

Wasilij Aksionow

Wyspa Krym

Przekład Maria Putrament

Pamięci mojej Matki Jewgienii Ginzburg

I. Szturm młodości

Każdy zna zbudowany w centrum Symferopola, sterczący wśród zwariowanych architektonicznych konstrukcji, arogancki w swej prostocie wieżowiec gazety „Russkij Kurier“, który wygląda jak zatemperowany ołówek. Naszą opowieść zaczynamy u schyłku gorączkowej redakcyjnej nocy w końcu bieżącego dziesięciolecia lub na początku przyszłego (zależnie od czasu wydania książki). Widzimy wydawcę i redaktora naczelnego owej gazety, czterdziestosześcioletniego Andrieja Łucznikowa, w jego prywatnym apartamencie na „wierchoturze“. Tym słowem o radzieckiej proveniencji kawaler z odzysku Łucznikow zwykł był nazywać swoje playboyowskie gniazdko na górnym piętrze.

Łucznikow leżał na dywanie w relaksującej pozycji jogi, usiłując wyobrazić sobie, że jest piórkciem, obłoczkiem, by oderwać się od swego osiemdziesięciokilogramowego ciała. Niestety, bezskutecznie. W głowie kotłowały mu się wciąż redakcyjne plewy, niejasne informacje z Afryki Zachodniej, przekazane dalekopisami przez UPI i RTA: nie wiadomo było, czy marksistowskie plemiona znowu runęły na Shabę, czy też oddział europejskich najemników zaatakował Luandę. Pół nocy babrali się z tymi bzdurami, dzwoniли do własnego korespondenta w Ivory, ale niczego nie dało się wyjaśnić. W końcu dali do składu mętną notatkę: „Według sprzecznych informacji napływających z...“

No i ten nieoczekiwany telefon od ojca, który prosił, by Andriej Arsieniewicz koniecznie wpadł dzisiaj do niego.

Uświadomił sobie, że z medytacji nic nie będzie. Wstał z dywanu i zaczął się golić, obserwując, jak poranne słońce rzuca światło i cienie na współczesną architekturę Symfi.

Kiedyś było to zapyziałe miasteczko, położone na ponurych szarych wzgórzach, jednak po gospodarczym boomie zarząd miasta ogłosił Symferopol terenem współzawodnictwa najambitniej szych architektów świata i teraz stolica Krymu zadziwiała nawet bardzo wymagających turystów.

Pomimo wczesnej pory na placu Barona toczyły się luksusowe samochody. Łucznikow uświadomił sobie, że to weekend. Zaczął sprytnie manewrować swoim piter - turbo, zajeżdżać drogę, zmieniać pasy z jednego na drugi, aż wcisnął się w dobrze znaną uliczkę, którą zawsze jeździł do Podziemnego Węzła. Zatrzymał się na światłach sygnalizacyjnych i przeżegnał się. Nagle zdał sobie sprawę z niestosowności tego gestu. Dlaczego się żegna? W końcu uliczki nie było już starej, dobrze znanej cerkwi Wszystkich Świętych na Ziemi Rosyjskiej Objawionych. Na jej miejscu widniał jakiś owalny kształt. Więc się przeżegnałeś, głupcze, przed światłami? Całkiem skołowaciałeś przez tę „Ideę“, przez swoją głupią gazetę, już od roku nie odwiedzałeś ojca Leopolda, a teraz kreślisz znak krzyża przed światłami.

Zwyczaj żegnania się na widok prawosławnych kopuł bawił jego nowych moskiewskich przyjaciół. Najmądrzejszy z nich, Marlen Kuzienkow, tłumaczył: przecież jesteś prawie marksistą, a nawet z egzystencjalnego punktu widzenia używanie takich symboli świadczy o naiwności. Łucznikow uśmiechał się Tylko i nadal, ilekroć widział na tle nieba złoty krzyż, natychmiast żegnał się jakoś bezwiednie. Miał sobie za złe ten formalizm pozbawiony głębszego podtekstu, odejście od Cerkwi, a teraz był przerażony, że się odruchowo przeżegnał przed światłami.

Czuł niesmak po nocy spędzonej w redakcji. W Symferopolu nie ma miejsca dla nostalgii. Zmieniły się światła i Łucznikow po chwili zrozumiał, że ów owalny kształt to

obecna cerkiew Wszystkich Świętych na Ziemi Rosyjskiej Objawionych, najnowsze arcydzieło architekta Ugo van Plusa.

Stado samochodów, a wśród nich turbo Łucznikowa, służyło do Podziemnego Węzła - ogromnego splotu tuneli.auta w pędzie pokonywały niezliczone zakręty, by wyskoczyć w odpowiednim miejscu krymskiego układu komunikacyjnego. Zgodnie z projektem samochody miały pokonywać podziemną trasę bardzo szybko, ale z roku na rok było o to coraz trudniej, szczególnie podczas wyjazdów na weekendy. Ponieważ przy wylocie tunelu samochody jechały niezbyt prędko, można było przeczytać wielkie napisy na betonowej ścianie. Korzystały z tego działające w mieście organizacje młodzieżowe. Aktywiści zawieszani na linach malowali jaskrawymi farbami hasła swoich ugrupowań, ich symbole i karykatury. Konserwatyści w Dumie Miejskiej domagali się „przywołania do porządku łajdaków“, ale odkąd przewagę zdobyli liberałowie, przy wsparciu gazety Łucznikowa, czterdziestometrowe betonowe mury przy wylocie tunelu były od góry do dołu pomalowane na wszystkie barwy tęczy i stanowiły w pewnym sensie stołeczną osobliwość, niemal okno wystawowe wyspiarskiej demokracji. Co prawda na Krymie każdy mur jest świadectwem demokracji.

Teraz, wyjeżdżając przez Wschodnią Bramę, Łucznikow z uśmiechem obserwował pracę młodocianego entuzjasty, który, zawieszony jak pająk na murze, wykańczał ogromne hasło: „Komunizm - to świetlana droga ludzkości“, wymalowane na de nieaktualnych już napisów. Na tyłku chłopaka, opiętym spłowiałymi dżinsami, błyszczał sierp i młot. Od czasu do czasu młodzieniec rzucał na przejeżdżające samochody jakieś paczuszki, z których wysypywało się agitacyjne konfetti.

Łucznikow rozejrzał się. Większość kierowców nie zwracała uwagi na młodzieńca. Tylko z lewej strony, dwa pasy dalej, wyraźnie podpici brytyjscy turyści w caravanie - volkswagenie machali do niego chustkami i robili zdjęcie, a z prawej strony starszy pan w lśniącym russo - bałcie chmurzył się z dezaprobatą. Wypiełgnowany, pełen poczucia własnej godności - odwrócił się lekko ku pasażerom i coś powiedział. Obie piękne panie: jedna zaawansowana w latach, druga młoda, uniosły się na miękkich, skórzanych poduszkach i spojrzały ciekawie, mrużąc oczy - nie na wiszącego w górze człowieka - pająka, lecz na Łucznikowa. Białugwardyjskie ścierwo. Pewnie go poznali, bo wczoraj występował w telewizji. Pewnie teraz zastanawiają się, gdzie mnie spotykały: na wtorkach u Beklemiszewów, na czwartkach u Obolenskich czy też na piątkach u Nesselrode...

Szyba w russo - bałcie zsunęła się w dół.

- Dzień dobry, Andrieju Arsieniewicz!

- Witam panie! - zawołał entuzjastycznie Łucznikow. - Ogromnie się cieszę! Pięknie panie wyglądają! Jadą panie zagrać w golfa? Przy okazji, jak się czuje generał?

Każdemu można zadać takie pytania, ponieważ każdy ma w rodzinie jakiegoś zramolałego staruszka ze szlifami generalskimi.

- Pewnie pan nas nie poznaje, Andrieju Arsieniewicz - rzekła łagodnie starsza pani, a młoda uśmiechnęła się. - Jesteśmy Nesselrode.

- Łaskawa pani raczy żartować, jak bym mógł nie poznać - wygłupiał się Łucznikow. - Spotykaliśmy się przecież na wtorkach u Beklemiszewów, na czwartkach u Obolenskich, na piątkach u Nesselrode...

- To właśnie my jesteśmy Nesselrode - powiedziała starsza piękność. - To Lidoczka Nesselrode, a ja jestem Warwara Aleksandrowna...

- Oczywiście - zachwycił się Łucznikow. - Pamiętam, że spotykaliśmy się na wtorkach u

Beklemiszewów, na czwartkach u Obolenskich i na piątkach u Nesselrode, czyż nie tak?

- Dialog w stylu Ionesco - powiedziała śliczniutka Lidoczka.

Obie panie uroczo wyszczerzyły ząbki.

Dlaczego są dla niego takie miłe? obraża je, a one się uśmiechają. Ach tak, w tym sezonie stanowią dobrą partię. Lewicowe poglądy nie mają znaczenia. Ważne, że jest kandydatem do stanu małżeńskiego ze środowiska wrewakuantów, rzadki okaz.

- Pan za chwilę śmignie swoim turbo? - spytała Lidoczka Aleksandrowna.

- *Yes, mum* - odpowiedział po angielsku Łucznikow, co zabrzmiało podejrzenie w uszach rosyjskich dam.

- Nasz tatusiek preferuje russo - bałta, czyli płynny, równomierny ruch, nie pozbawiony jednak przyspieszenia. - Lidoczka Nesselrode usiłowała zachować styl Ionesco.

- To od razu widać - rzekł Łucznikow.

- Tak pan sądzi? - spytała Warwara Aleksandrowna. - Czy dlatego, że jest pańskim przeciwnikiem politycznym?

Więc on jest jego przeciwnikiem politycznym?

- Ależ nie, łaskawa pani, po prostu zrozumiałem, że pani ojczulek preferuje russo - bałta, kiedy go ujrzałem za kierownicą russo - bałta.

Pan Nesselrode odwrócił się do pań i coś powiedział.

- Michaił Michałycz pyta o zdrowie Arsienija Nikołajewicza? - Warwara Aleksandrowna przekazała słowa małżonka.

Łucznikow zerknął na samochody sunące przed nim w jednakowym tempie. Za chwilę zacznie się podjazd i stado się przerzedzi. Poruszył lekko kierownicą, zbliżył się maksymalnie do russo - bałta i jął szeptać niemal do ucha pani Nesselrode: - Właśnie jadę do ojca, a więc będę miał okazję dowiedzieć się o stan jego zdrowia. Natychmiast zadzwonię do państwa albo zadepeszuję. Proponuję zacieśnić kontakty między nami. Nie jestem co prawda młody, ale wolnego stanu. Proszę nie zwracać uwagi na moje lewicowe poglądy. Zgoda?

Dodał gazu. Jaskrawoczerwony sportowy wóz ze sterczącym kufrem poderwał się do przodu, lawirując z jednego pasa na drugi, wydostał się ze stada i pomknął w górę po błyszczącym w słońcu garbie Trasy Wschodniej.

Trasa Wschodnia przy wyjeździe z Symfi osiąga niezwykłą wysokość. Lekka srebrzysta estakada z licznymi rozjazdami stanowi szczyt sztuki inżynieryjnej. „Przyjeżdżajcie na Krym, obejrzeć XVIII - wieczne budynki na tle architektury XXI wieku!” - nawołują turystyczne foldery.

Z czego powstało nasze bogactwo? — po raz kolejny zastanawiał się Łucznikow, spoglądając z trasy w dół na szczęśliwą ziemię, gdzie błyszczały baseny - prostokątne, trójkątne, owalne, o kształcie nerek, a wijącymi się szosami sunęły duże luksusowe samochody, którymi zamożni mieszkańcy tych stron jeździli w odwiedziny do przyjaciół. Amoralnie bogata kraina.

Przypomniał sobie południową drogę lub, jak oni to nazywają „trasę” w Związku Radzieckim. Niedawno jechał tamtędy wołgą ze starym moskiewskim przyjacielem, zdegradowanym reżyserem filmowym Witalijem Gangutem.

Jak się nazywa miasto, w którym weszliśmy do sklepu? Fanież? Nie - Fatież. Na głównym placu dziurawy asfalt i znana postać na cokole. Czy był tam znicz? Nie było. Chyba tylko miasta obwodowe mają prawo do znicza.

- Za chwilę ujrzysz nasze bogactwo - powiedział Witalij.

W sklepie przy ladzie stało kilka kobiet. Odwróciły się i w milczeniu patrzyły na obcych.

Może myślały, że to cudzoziemcy - dziwne torby na ramieniu, dziwne kurtki... Kiedy oglądaliśmy półki, kobiety wciąż nas obserwowały bez słowa.

Krótko mówiąc, nic tu nie było. No, nie należy przesadzać, albo raczej pomniejszać sukcesów: coś jednak było do kupienia. Jeden rodzaj cukierków, rozmiękłe od wilgoci wafelki, herbatniki, konserwy rybne, „Konserwa turystyczna“... W dziale „Gastronomia“ oferowano coś okropnego - zamrożone, sprasowane maszynowo ryby, które utraciły swój dawny wygląd; tylko gdzieś na brudnoczerwonej powierzchni brykietów widniały rozwarte paszcze, które przywędrowały do Fatieża z krainy wiecznych mgieł.

- Widzę, że niewiele tu macie - Gangut z krzywym uśmiechem zwrócił się do kobiet.

- A czego potrzebujecie? - spytała chmurnie któraś z nich.

- Sera - mruknął Łucznikow. - Chcieliśmy kupić trochę serka. Znał z dawien dawna cudowną skłonność ludzi radzieckich do zdrabniania nazw artykułów żywnościowych.

Kobiety rozplywały się w uśmiechach. Rosyjskie baby potrafią w mig zmienić chmurną wrogość w szczerą życzliwość - oto prawdziwy cud! Obcy człowiek z zasady budzi niechęć, ale ktoś, kto chciałby kupić serka, z miejsca staje się sympatyczny, zasługujący na uśmiech.

- Ser? Można kupić w miasteczku wojskowym, jest w ciągłej sprzedaży - tłumaczyły ochoczo. - Dwanaście kilometrów stąd, od razu poznacie.

- Jasne - kiwnął głową Łucznikow. - Jesteśmy samochodem, to żaden problem.

- A masło? - dopytywał się prowokacyjnie Gangut. - A kiełbaska?

Jednak lody stopniały, złośliwość moskiewskiego intelektualisty nie robiła wrażenia.

- Po kiełbaskę, kochani, trzeba jechać do Orła. Co tu kłamać, u nas kiełbasy nigdy nie ma. Przywożą czasem masło, ale kiełbaski... Trzeba jechać do Orła i to rankiem. O tej porze wszystko już wykupili. A wy dokąd jedziecie?

- Do Moskwy.

- O, tam wszystkiego w bród! - ucieszyły się kobiety. Ruszyli do samochodu.

- No, co według ciebie moralniejsze: supermarket Jelisiejewa, czy gastronomia w mieście Fatież? - spytał Gangut.

- Nie wiem, co jest bardziej moralne, ale Jelisiejew z pewnością jest amoralny - powiedział ponuro Łucznikow.

- Więc twoim zdaniem odwieczne znęcanie się nad ludźmi i odwieczna pokora - to moralne? Pozwól w takim razie, że ci ofiaruję upominek z głębi Rosji, zawieź go na Wyspę, poczęstuj gości.

Gangut podał płaską puszkę konserw. Napis na etykietce głosił: „Kalmar bez głowy w sosie własnym“.

Wspomnienie o miasteczku Fatież, o puszcze konserw i inne tego rodzaju bzdury wprawiły Łucznikowa w przygnębienie. Silnik ryczał na nadziemnej stalowej drodze, szczęśliwa kraina pławiła się w słońcu, w tarczy szybkościomierza odbijały się rude wąsy Łucznikowa, które zawsze sprawiały mu radość, dzisiaj jednak coś go dręczyło, jechał do ojca w kiepskim nastroju. Co jest tego powodem? Kalmar bez głowy w sosie własnym? Wspomnienia z kontynentu? Mętne informacje z Afryki Zachodniej? To, że przeżegnał się przed światłami? Spotkanie z głupią rodziną Nesselrode? To, że ciągle przybywa mu lat?

Same paskudztwa, ale nic nowego. Wreszcie sobie uświadomił, że dręczyła go jakaś dziwna trwoga, niezwykła obawa. Coś niepokojącego brzmiało w głosie ojca, kiedy mówił: „Koniecznie przyjedź jutro“. O co chodzi? Po prostu słowo „koniecznie“ było czymś niezwykłym w ustach ojca. Chyba nigdy go nie używał. Nawet w dzieciństwie Andriej nigdy nie słyszał od ojca: „Musisz to koniecznie zrobić“. Arsienij Nikołajewicz używał trybu

przypuszczającego: „Może byś się zabrał do książek...“ „Może wybralibyśmy się wszyscy nad morze...“. Wyraźny rozkaz w ustach ojca niepokoił Łucznikowa.

Widywali się dość często, właściwie dzieliła ich tylko godzina szybkiej jazdy Trasą Wschodnią i pół godziny kręcenia bocznymi zjazdami i wjazdami. Arsienij Nikołajewicz mieszkał w dużym domu na zboczu Siuriukkaja. Andriej Arsieniewicz lubił gościć u ojca, wychodzić wczesnym rankiem na płaski dach, czując ogromną przestrzeń w dole, pełną porannej świeżości, skakać z trampoliny do basenu, później popijać z ojcem kawę, palić, rozmawiać o polityce, obserwować przemieszczanie się jaskrawo malowanych tureckich i greckich trałowców, które łowiły tu ryby pod okiem szarego szczupaka - wyspiarskiej kanonierki. Wyspiarze pilnie strzegli swoich małży, jako że słynne krymskie ostrygi codziennie wysyłano samolotami do Paryża, Rzymu, Nicei, Londynu, a pozostałe - najlepsze - podawano turystom w niezliczonych restauracjach. Podatki z hodowli ostryg zasilają bezpośrednio budżet ministerstwa wojny, więc szczupak - kanonierka był szczególnie czujny.

Przed wjazdem na serpentynę u podnóża Siuriukkaja Łucznikow zatrzymał się na chwilę na poboczu. Robił to zawsze, by przedłużyć cudowny moment, kiedy na zboczu ukaże się dom ojca. Otwierał się stąd rozległy widok na Zatokę Koktebelską, w jego prawym górnym rogu pod skałami Góry - Piły widniały trzy białe załomy - dom ojca.

Tu także nie było żadnej nostalgii. Arsienij Nikołajewicz pobudował się przed ośmiu czy dziesięciu laty, kiedy na wschodzie Krymu zaczęły się szybko mnożyć jego stadniny. W tym okresie, wraz z rozwojem końskiego biznesu, wzrosła ogromnie popularność Łucznikowa - seniora. Określone środowiska dawały do zrozumienia, iż Arsienij Nikołajewicz powinien zgłosić swoją kandydaturę w wyborach przewodniczącego Dumy Tymczasowej, czyli praktycznie prezydenta Krymu. Niewielu może się poszczycić równie pięknym życiorysem: jeden z nielicznych żyjących jeszcze uczestników Marszu Lodowego, bojowy wrewakuant, profesor historii, człowiek, który „ma ogromny wkład w zachowanie i rozkwit kultury rosyjskiej“, a jednocześnie Europejczyk o szerokich kontaktach na Zachodzie, w dodatku milioner - hodowca koni, „współtwórca sukcesu ekonomicznego Tymczasowej Strefy Ewakuacyjnej“ - to znaczy Wyspy Krym.

W czasopiśmie zaczęły się ukazywać publikacje o Arsieniju Nikołajewiczu, p jego pięknym domu na zboczu góry, o końskiej farmie za Świętą Górą, o nowej rasie koni wyścigowych, pochodzącej z jego stadnin. Powstawał image Łucznikowa - Łuka: wysoki chudy starzec o wesołych oczach, noszący się niczym młodzieniaszek - w dżinsach i skórzanej kurtce.

Arsienij Nikołajewicz sam zamknął sobie drogę do prezydentury. Trudno orzec, czy zrobił to celowo, czy przypadkiem. Pewnego razu w wywiadzie telewizyjnym na pytanie, czy nie budzi jego niepokoju fakt, że ten wspaniały dom znajduje się w strefie sejsmicznej, odpowiedział:

- To absurd bać się trzęsienia ziemi, mieszkając na Wyspie Krym!

Wypowiedź Łucznikowa wywołała komentarze, w których nie brak było fatalistycznego humoru i straceńczej odwagi: rzeczywiście, co znaczy trzęsienie ziemi wobec radarów, rakiet i sputników, którymi osaczyło Wyspę odległe zaledwie o osiemdziesiąt kilometrów czerwone supermocarstwo - ZSRR - ukochana i znienawidzona historyczna ojczyzna!

Jednak autor aforyzmu, który zachwycił symferopolskich snobów i kosmopolityczną zbieraninę w Jałcie, raczej nie mógł kandydować na najwyższy urząd. Na razie władzę polityczną na Wyspie sprawowali niezłomni patrioci, prawdziwi wrewakuanci, wojskowi z dziada pradziada, przepojeni wiarą w swoje siły, którzy niecierpliwie czekali na nadejście

radosnego dnia, kiedy w Wiosennym Marszu wyruszą do walki o odrodzenie ojczyzny. Oczywiście nie należy mieć tu wielkich nadziei, ale warto jednak pamiętać o naszym bohaterze lejtnancie Bayle - Landzie, o Dawidzie i Goliacie, a także o własnych doświadczeniach, kiedy to nasze niewielkie, lecz supernowoczesne oddziały szturmowe w ciągu tygodnia zniszczyły potężną armię turecką i zmusiły janczarów do zawarcia układu pokojowego. Nie baczając więc na stałe zagrożenie, a może właśnie ze względu na nie, nie potrzebujemy prezydenta defetysty. No i nie zapominajmy o synu Arsienija Łucznikowa, Andrieju: toż to prawie komunista, który stale przesiaduje w Moskwie. Zlitujcie się, panowie, to nie uchodzi! Tak rozumują czekiści - kagiebiści. Gdzie święte zasady naszej demokracji? Jaki zresztą z Andriusza komunista, znam go od dzieciństwa. Chyba czas zakończyć tę dyskusję, temat został wyczerpany...

Tak wyobrażał sobie Łuczniwow dyskusję „w środowisku“ na temat kandydatury Łucznikowa - seniora. Myślał o tym, zbliżając się serpentyną na Siuriukkaja do Kachowki.

Jak zwykle na myśl o „środowisku“ wzbierał w nim gniew. Gówniarze i starzy sklerotycy, sklepikarze i debile debatują o Odrodzeniu! Zdemoralizowani bogacze mają czelność uważać się za strażników rosyjskiej kultury! Od dzieciennych lat wbijacie nam do głowy opowieści o bestialstwach bolszewików, a czy wy byliście lepsi? Czerwoni rozstrzelali tysiące ludzi, a wy wieszaliście setki. Nie pod białym sztandarem szliście z Południa i Wschodu na Kreml, lecz pod czarnym, zbrukanym krwią. Żądza zemsty prowadziła wasze bataliony. Liberałowie, tacy jak mój ojciec - junkier albo sam generał Denikin, nie mieli odwagi wyrzec w waszej obecności słowa „republika“ ani napomknąć o reformie agrarnej.

Czerwoni gardzili rozpedzoną Dumą Ustawodawczą, a wy nienawidziliście ją, chociaż została powołana z woli narodu rosyjskiego. Nawet po przegranej ścigaliście Milukowa, zabiliście Nabokowa - seniora, a jak potraktowalibyście przeciwników, gdybyście odnieśli zwycięstwo? Od sześćdziesięciu lat żyliście komfortowo w swojej Tymczasowej Strefie Ewakuacyjnej, cieszyliście się dobrobytem i wolnością, a tymczasem naród rosyjski spływał krwią pod rządami stalinowskich siepaczy, kosztem ogromnych strat odpierał najazd cudzoziemskich hord, pędził mamy żywot w zacofaniu, ubóstwie, kłamstwie, bezprawiu, a teraz znowu składa w ofierze swe najwartościowsze dzieci. W czasach, kiedy w Rosji zachodzą skomplikowane i dramatyczne procesy, wy, kłapiąc sztucznymi szczękami, nadal gładzicie o Wiosennym Marszu...

Tok jego myśli przerwały dźwięki klaksonu dochodzące z góry. Zahamował i nad sobą, za krzewami derenia, ujrzał ojca w spłowiałej niebieskiej koszuli. Ojciec wołał coś do niego i machał rękami. Za jego plecami dziwnie wyglądały w promieniach słońca światła małego żółtego buldożera. Pewnie właśnie z buldożera Łuczniwow - senior dawał sygnały klaksonem.

- Nie tak szybko, Andrieju! - wołał ojciec. Łuczniwow powoli przejechał przez wiraż.

Ojciec szedł ku niemu młodzieńczym krokiem, beztrąsko wymachując rękami.

- Wczoraj osunęły się tu głązy - wyjaśnił. - Właśnie usuwam je buldożerem. Dobra, skończę po obiedzie.

Zajął miejsce w samochodzie obok Andrieja.

- Teraz możemy jechać jak zwykle - powiedział ojciec z uśmiechem, kiedy minęli niebezpieczne miejsce. - Nie straciłeś klasy?

Łuczniwow do trzydziestego roku życia był rajdowym automobilistą - niemal zawodowcem. Nigdy nie podpisywał się na szosach ani w mieście, ale niekiedy ponosiło go na

górkich drogach. Pomyślał, że może ojcu będzie miło, kiedy w pomarszczonym, siwiejącym rudzielcu dostrzeże swego dawnego syna. Nacisnął na gaz. Silnik ryknął. Ostro brali wiraże, wydawało się, że za chwilę poszybują w niebo, by następnie runąć w przepaść, ale wystarczył lekki ruch kierownicy, by wóz z piskiem opon, na dwóch kołach, wychodził z zakrętu.

- Brawo! - powiedział ojciec, kiedy wpadli na podwórze Kachowki i zatrzymali się na parkingu.

Nie przypadkiem rezydencja Łucznikowa - seniora nosiła nazwę Kachowka. Przed dziesięciu laty Andriej przywiózł z kolejnego wyjazdu do Moskwy kilka płyt. Ojciec z pobłażliwością słuchał radzieckich piosenek, nagle poderwał się zdumiony jedną z nich.

*Kachowka, Kachowka,
Karabin druh wiemy,
Załaduj, wyceluj i pal!...
Szaleje natarcie
I gwiżdżą złe kuk,
Miarowo jazgocze kaem.
A nasza dziewczyna
W polowym mundurze
Z Kachowki wychodzi przez dym.
Pamiętasz kolego,
Jak szliśmy do boju,
Jak w grozie pogrążał się świat
I wtedy nas obu
Przez dym prowadziły
Jej oczy błękitne jak kwiat.*

Przesłuchał ją wielokrotnie, a później siedział jakiś czas w milczeniu.

- Tekst marnutki, ale, dziwna rzecz, komsomolska romantyka przywołuje moje własne wspomnienia z młodości, nasz junkierski batalion. Przecież i ja walczyłem w Kachowce... I nasza dziewczyna, Wieroczka, księżniczka Wołkooska, szła w polowym mundurze przez płonąca Kachowkę... - powiedział wreszcie.

Dziwne - radziecka *Kachowka* stała się ulubioną piosenką starego wrewakuanta. Oczywiście Łuczniwow - junior z przyjemnością podarował ojcu płytę, uznał, że to jeszcze jeden krok ku urzeczywistnieniu Idei Wspólnego Losu, której był rzecznikiem. Arsienij Nikołajewicz wysłał kopię płyty kolegom z batalionu, mieszkającym w Paryżu: Oni także byli zachwyceni. Wtedy postanowił nazwać Kachowka swoją siedzibę na zboczu Siuriukkaja.

- Nadal jesteś w formie, Andriusza.

Stali chwilę w upale, przyglądając się sobie wzajemnie. Mury różnej wysokości otaczały dziedziniec: krążanki, kręcone schody, okna na kilku poziomach, drzewka w donicach, rzeźby.

- Widzę, że masz coś nowego - rzekł Andriej. - Ernst Nieizwiestnyj...

- Kupiłem to z katalogu przez mego agenta w Nowym Jorku - powiedział Arsienij i dodał niepewnie:

- Zdaje się, że Nieizwiesmyj mieszka teraz w Nowym Jorku?

- Niestety - powiedział Andriej. Zbliżył się do *Prometeusza* i dotknął go dłonią. Wiele razy widział tę rzeźbę w pracowni Eryka przy Trubnej i później przy Gilarowskiego.

Weszli do domu korytarzem bez okien, którego ściany zdobiły afrykańskie maski, przeszli do południowo - wschodniej, wielopiętrowej części budynku, unoszącej się tarasowo nad doliną. Zjawił się staruszek Chua, pchając wózek z napojami i owocami.

- Andriusa, syneku, cesę się - zasyczał przez resztki zębów, podobnych do kamyków przy ujściu Jangcy.

- Widzisz, wystarczyło czterdzieści lat, żeby Chua zaczął mówić po rosyjsku - powiedział ojciec.

Chińczyk zachichotał radośnie. Andriej ucałował starca w brązowy policzek i wziął szklankę wódki.

- Zaparz nam kawy, Chua.

Arsenij Nikołajewicz podszedł do poręczy balkonu i przywołał ręką syna - spójrz na dół, pewnie cię to zainteresuje. Andriej spojrział i o mało nie upuścił szklanki. Na dole przy basenie stał jego syn Anton Andriejewicz. Wysoką szczupłą sylwetką przypominał dziadka; płowe długie włosy, przewiązane na czole wąskim skórzanym paskiem, jaskrawe amerykańskie kąpielówki, sięgające prawie kolan. Jedynak Andrieja Arseniewicza, z którym nie było kontaktu od ponad roku, stał w nonszalanckiej pozie na drabince prowadzącej do basenu. A w wodzie pływały dwie gibkie nagusieńskie dziewczyny.

- Zjawili się pieszo wczoraj wieczorem, brudni, z pustymi plecakami... - powiedział przeproszającym tonem senior.

- Wygląda na to, że się domyśli - zauważył Andriej.

- I pojedli sobie - zaśmiał się dziadek. - Byli głodni jak wilki. Przypłynęli z Turcji z rybakami... Zawołaj go, Andrieju. Spróbujcie jakoś...

- Antoszka! - zawołał Łucznikow tak, jak wołał kiedyś, całkiem niedawno, jakby wczoraj, a syn natychmiast pędził wówczas do niego wielkimi susami jak sympatyczny wesoły psiak.

Nieoczekiwanie stało się tak i teraz. Anton skoczył do wody, szalonym kraulem przeciął basen, a potem pognał schodami do góry.

- Witaj, tatku!

Jakby nie było między nimi tych scen po rozwodzie Andrieja Arseniewicza z matką Antona, wzajemnych oskarżeń, zniewag; jakby chłopak nie wahał się cały rok po świecie nie wiadomo z kim i gdzie.

Uściskali się, pokleпали po plecach, pomocowali jak niegdyś, nawet trochę się poboksowali. Łucznikow zerknął na ojca i przekonał się, że promienieje on z radości. Kątem oka zobaczył też, że dziewczyny wyszły z wody, wciągnęły na tyłeczki jaskrawe kuse kąpielówki i powoli skierowały się na górę, pałac i paplając między sobą. Zapomniały włożyć staniczki, albo w ogóle ich nie miały.

- Dziewczyny, przedstawiam wam mego ojca - powiedział po angielsku Anton. - Andriej Łucznikow. Tatko, to Pamela, a to Kristina.

Były śliczne i młode, niewiele starsze od dziewiętnastoletniego Antona. Pamela - blondynka miała wspaniałą grzywę spłowiałych w słońcu włosów i jędrne kształtne piersi. Kalifornijskiego chowu, jak Farah Fawcett - pomyślał Łucznikow. Kristina była szatynką, a jej piersi, trzeba przyznać, że właśnie piersi dziewcząt najbardziej przyciągały uwagę Łucznikowa, nie były tak doskonałe, ale całkiem niezłe, ze sterczącymi różowymi sutkami.

Dziewczyny powiedziały grzecznie: *nice to meet you* - chyba Kristina miała słowiański akcent - i mocno, po męsku, ucisnęły dłoń Łucznikowa. Demonstracyjnie nie zwracały uwagi na swoje kołyszące się lekko piersi, jakby chciały zasugerować otoczeniu, że to widok

całkiem naturalny. Pod wpływem takiego sposobu bycia dziewczyn lub po prostu z głodu w spodniach Łucznikowa obudził się stary druh. Łucznikow zirytował się, wróciła przebrzydła zależność, chociaż miał wrażenie, że się jej wyzbył w zwariowanym kołowrocie dni.

- Pewnie jesteście z *women - lib, baby?* - spytał dziewczyny.

- Proszę nie mówić do nas per *baby* - powiedziała Kristina schrypniętym głosem.

- *Mak chouvinst pig* - ryknęła Pamela. - Ich pokolenia nie da się odzwyczaić od tego świństwa. Zwróć uwagę, Kristi, jak obrzydliwie wymawia on słówko *baby*. Tak w filmach z lat pięćdziesiątych mówią żołnierze do prostytutek!

Łucznikow zaśmiał się z ulgą, to zwyczajne głuptaski! Druh w spodniach natychmiast się uspokoił.

- Nie gniewajcie się, dziewczyny, na mego tatę - rzekł Anton. - On rzeczywiście jest odrobinę *old - timer*. Po prostu podnieciłyście go trochę swoimi cyckami.

- wybaczcie, džentelmeni - zwrócił się do dziewcząt Łucznikow. - Chlapnąłem ni w pięć, ni w dziewięć. Grzechy przeszłości. Poczujęm się zbyt swobodnie. Przecież jestem żołdakiem z lat pięćdziesiątych.

- Gdzie zjemy obiad, proszę państwa, tutaj czy w jadalni - spytał Arsienij Nikołajewicz.

- W jadalni, może do jadalni dziewczyny przyjdą ubrane. W przeciwnym razie biedny tata nie przełknie ani kęsa.

- Albo pożrę coś, czego jeść nie należy - burknął Łucznikow.

Ojciec i syn usiedli obok siebie na szeszlonych.

- A więc gdzie się obracałeś przez cały rok? - spytał Łucznikow.

- Lepiej spytaj, gdzie mnie nie było - odpowiedział Anton. Na jego znak Chua przyniósł wytarte dzinsy. Anton wyjął z kieszeni blaszane pudełeczko po holenderskich cygarach „Wilhelm II“, gdzie miał przygotowanego skręta.

Jasne, palimy trawkę, pomyślał Łucznikow. Właśnie w obecności ojca zapalimy trawkę - niech żyje wolność! Czyżby on sądził, że zamierzam go tłamsić, obłudnie prowadzić na pasku? Czyżby podobnie jak te dwie dziewczyny uważał mnie za człowieka z lat pięćdziesiątych? Uchodzę w świecie za człowieka reprezentującego współczesne poglądy, tylko mój syn dopatrzył się między nami *generation gap*. Czy to nie zbyt prymitywne? We wszystkich rodzinach mówi się o konfliktach pokoleniowych, więc i u nas powinny one występować? Może Anton nie jest zbyt mądry? Po kim ten duży, arogancki nos? Niewysokie czoło odziedziczył po mamuni. Ale nos? Nie mogę się odżegnać od chłopaka - podbródek mój, i pieprzyki jak lustrzane odbicie - u mnie nad lewym obojczykiem, u niego - nad prawym, u mnie - na prawo od pępka, u niego na lewo, a sylwetka jak u Arsienija.

- No to spytam, gdzie ciebie nie było - uśmiechnął się do syna. - W Stanach byłeś?

- Od wybrzeża do wybrzeża - powiedział Anton.

- W Indiach?

- Czterdzieści dni mieszkałem w aśramie. Przedostaliśmy się także przez chińskie posterunki do Tybetu.

- Powiedz, Antosza, z czego żyłeś cały rok?

- W jakim sensie?

- Trzeba było jeść, pić, skąd miałeś na to pieniądze? Anton roześmiał się teatralnie.

- Ubawiłeś mnie, tatku! Możesz mi wierzyć, że to żaden problem dla... Dla takich jak ja, to znaczy naszych. Zwykle żyjemy we wspólnotach, czasami pracujemy, czasami żebrzemy. Poza tym jestem niezłym saksofonistą.

- Gdzie grałeś?

- W Paryżu, w metrze... Wiesz, jest taka poczta przy Chatelet...

- Daj się sztachnąć - poprosił Łucznikow.

Anton przypomniał sobie, że pali i natychmiast zademonstrował jakieś odlotowe oszołomienie.

- To, nawiasem mówiąc... z Maroka - wybełkotał płaczącym się językiem.

Jednak to jeszcze dzieciak.

- Domyśliłem się - powiedział Łucznikow, biorąc zaśliniony niedopałek i wdychając słodkawym dym. Słodkie paskudztwo.

- Dziwne, dopiero teraz zdałem sobie sprawę z tego, że pytam po rosyjsku, a ty odpowiadasz w języku Jaki - przyjrzał się uważnie synowi. Piękny chłopak, bardzo przystojny.

- To język mego kraju - zawołał zapalczywie Anton. Z jego twarzy zniknęła beztroska. Oczy płonęły. - Mówię językiem mego kraju!

- Ach tak! Więc takie idee teraz wyznajemy?

- Posłuchaj, *atac*, znowu mnie podpuszczasz. Widzę, że wciąż jeszcze nie nauczyłeś się poważnie ze mną rozmawiać. Jaki! - w głosie Antona zabrzmiała nutka wrogości, zastarzałej wrogości sprzed roku.

- *Jaki! Jaki, atac!*

Atac, czyli ojciec, typowe słówko Jaki, zlepek języka tatarskiego i rosyjskiego. Na parterze, w drzwiach jadalni, ukazał się dziadek.

- Chłopcy, obiad! - zawołał.

Anton wygramolił się z szezlonga i podskakując na jednej nodze, zaczął wciągać dzinsy. Odwrócił się do ojca:

- Zapomniałem powiedzieć, że byłem także w twojej Moskwie.

- Tak? - Łucznikow wstał. - Jak ci się podobała?

- Rzygowiny - z przyjemnością oznajmił Anton. Czuł, że wygrał w tym dialogu, i wyraźnie poweselał.

A dziadek nie ukrywał, że jest zachwycony wnukiem. W drzwiach jadalni Anton po przyjacielsku szturchnął go ramieniem. Łucznikow średni zatrzymał się.

- Czy ze względu na niego proszę, bym koniecznie przyjechał dzisiaj? Czy on zamierza jutro wyparować?

- Nie. Antoszka nie zwierzał mi się ze swoich planów. Myślę, że tak szybko nie wyjadą stąd. Dziewczyny są pierwszy raz na Wyspie. Antoszka ma zamiar służyć im za przewodnika. Nagłe zderzenie nowej amerykańskiej kultury i stylu życia rosyjskich konserwatystów. W dodatku tuż obok są spelunki Koktebela. Dziewczynom wystarczy rozrywek na tydzień.

Arsenij Nikołajewicz mówił żartobliwym tonem, ale Andriej zauważył, że ojciec bacznie mu się przygląda. Było to jakieś nietypowe i dlatego budziło niepokój.

- Czemu w takim razie powiedziałeś „koniecznie“? Po prostu tak sobie? Bez żadnej szczególnej intencji?

- Owszem, miało to głębszy sens - uśmiechnął się ojciec. - Będzie dzisiaj na obiedzie Fred Buturlin.

- Codziennie widuję się z nim w Symferopolu! - zawołał Łucznikow.

- Musimy wieczorem porozmawiać we trzech - powiedział nadspodziewanie ostro Łucznikow - senior, niczym prezydent w trudnych chwilach historycznych.

Weszli do jadalni. Poprzez oszkloną ścianę widać było morze, skałę Kameleon i przylądek Krokodyl. Pamela, Kristina, Anton i Fred Buturlin siedzieli już przy stole.

Buturlin był członkiem Rady Ministrów, doradcą ministra informacji. Pięćdziesięcioletni potomek starego rosyjskiego rodu - dla przyjaciół i elektoratu Fred, a dla innych Fiodor Borisowicz, członek partii kadetów i klubu sportowego „Rosyjski Sokół” - był w rzeczywistości playboyem bez określonych poglądów. W pewnym okresie Buturlin chodził na wykłady Łucznikowa - seniora, później podrywał dziewczęta razem z Łucznikowem - juniorem. Dlatego uważał obu za swoich najlepszych przyjaciół.

- Halo, Andrew! - zawołał.

- Witam, Fiedia! - Łucznikow pozdrowił go zgodnie z moskiewskimi zwyczajami.

Mój Boże! Pamela i Kristina włożyły sukienki! Co prawda były to szatki nowomodne, przewiewne, z przezroczystej gazy na wążutkich ramiączkach, ale ich sutki były osłonięte barwnymi aplikacjami. Antosza siedział nagi do pasa, a zaczesane do tyłu kudły związał w kucyk.

Siódmym biesiadnikiem był majordomus Chua. Staruszek rządził kuchnią i kelnerami, ale ciągle wracał do stołu, pragnąc z dumą podkreślić, że jest członkiem rodziny, słuchał też uważnie rozmowy, a jego zasuszona twarzyczka jaśniała radością. Nagle usłyszał coś o sobie: - Chua to stary tajwański szpieg - mówił do dziewcząt Anton. - To zrozumiałe: Krym i Tajwan są jak dwaj bracia. Wrewakuanci uważają, że po prostu wypada mieć w domu chińską agenturę. Chua szpieguje nas od ponad czterdziestu lat, jest jak członek rodziny.

- Co to jest „wrewakuanci”? - Pamela uroczo zmarszczyła nosek.

- Kiedy w 1920 roku bolszewicy wypędzili mego dziadka i jego bohaterskie wojsko z kontynentu na wyspę Krym, biali oficerowie przyjęli nazwę tymczasowo ewakuowanych. *Wriemiennyj is temporary in English*. Później powstał ten skrót. A w latach pięćdziesiątych, kiedy ostatecznie rozwiały się widoki na odrodzenie Świętej Rusi powstało słowo wrewakuant, co jest jakby nazwą narodowości.

Łucznikowowie - ojciec i dziadek - wymienili spojrzenia: Anton bardzo dobrze spisywał się w roli przewodnika. Podchmielony Fred Buturlin zaśmiał się, nie wiadomo czy się ululał przed obiadem, czy może uważał, że stan nieważkości pasuje do playboyowskiej kurteczki i dodaje mu uroku w oczach dziewczyn.

- Daj spokój, Tony - pogroził palcem. - Nie wprowadzaj w błąd podróżniczek. Wrewakuanci, miłe panie, to wcale nie narodowość. Jesteśmy Rosjanami. Właśnie my, a nie... - w tym momencie dzielny członek klubu sportowego „Rosyjski Sokół” czknął, pewnie przypomniawszy sobie, że na dodatek jest członkiem rządu - ...a nie ktokolwiek inny - zakończył dyplomatycznie.

- Chce pan powiedzieć, że jesteście elitą, która powinna rządzić narodami Krymu?! - wykrzyknął Anton, przechylając się przez stół.

- Dlaczego on wytrzeszcza oczy - pomyślał Łucznikow. - Czy to nie z powodu narkotyków?

- My, Tony, my - Buturlin figlarnie pogroził widelcem. - Dlaczego się dystansujesz od nas?

- Anton reprezentuje teraz kulturę Jaki - uśmiechnął się Łucznikow.

- Tak! - zawołał Anton - to oni są przyszłością naszego kraju, a nie wymierający wrewakuanci, spasieni mułowie czy chudzi Anglicy! - odsunął łokciem talerz i zwrócił się do dziewczyn:

- *Jaki* to znaczy dobrze, coś pośredniego między *okay* i *jakszy*, to narodowość kształtująca się na Wyspie Krym. W jej skład wchodzi potomkowie Tatarów, Włochów, Bułgarów, Greków, Turków, rosyjskich żołnierzy i brytyjskich marynarzy. Jaki - to narodowość młodzieży. Nasza historia i nasza przyszłość. Plujemy na marksizm i

monarchizm, na Odrodzenie i Ideę Wspólnego Losu!

Po tej pełnej ognia tyradzie przy stole zapadła cisza. Dziewczyny siedziały z kamiennymi twarzami. Kristina miała wydęty jeden policzek, pewnie przytrzymując tam nie połknięte jedzenie.

- Proszę wybaczyć, miłe panie - powiedział Arsienij Nikołajewicz. - To odwieczny konflikt Słowian w wyspiarskich warunkach.

- A my plujemy na konflikty - trochę bełkotliwie oznajmiła Kristina i jęła przeżuwać to, co zmagazynowała w ustach.

- Bravo! - pochwalił ją dziadek. - Proponuję, byśmy od walki idei przeszli do rzeczywistości. Oto homar, a z lewej strony są sosy do niego. Sałatkę z krewetek już jedliśmy. Zwracam uwagę na przezroczyście plastry znakomitej bałakławskiej szynki. A ten czarny kopczyk w kryształ, udekorowany plasterkami cytryny, to uśmiech historycznej ojczyzny - wielce poszukiwany na świecie kawior. Szampan Nowy Świat nie wymaga reklamy. Tak więc do boju!

Dalsza część obiadu przebiegała w zwykłej, sympatycznej atmosferze, podsycanej musującym winem. Wkrótce zaczęto zadawać sobie pytania i udzielać odpowiedzi bez pytań, a kiedy podano kawę, Łuczniak poczuł na kolanie bosą stopę Pameli.

- Ten facet - powiedziało złotowłose dziewczę z Kalifornii, wskazując go cygarem wyjętym z ust Freda Buturlina - wygląda jak reklama papierosów marlboro.

- A ten facet - Kristina uniosła zwiewną sukienkę i ulokowała nagi tyłeczek na kościstych kolanach dziadka Arsienija - wygląda jak pasterz całego rodzaju ludzkiego. Mojżesz w dżinsach!

- Dziewczyny, dajcie spokój moim przodkom! - zawołał Anton. - Tato, mogę wziąć twój samochód? Nie? Skąpiradło, jak mówią w Moskwie. Jesteś starym skąpiradłem! Dziadku, pożycz na godzinę rolls - royce'a? Nie? Przekłęci skąpcy! Wrewakuanci! Jaki podzieliłby się ostatnią koszulą!

- Mogę ci dać land - rover z łańcuchami! - powiedział dziadek Arsienij. - Żebyście się nie stoczyli z serpentyny do zatoki.

- Hura! Jedziemy! - Młodzi wstali od stołu. Klaszcząc i podskakując, zaczęli nucić modną w sezonie turystycznym piosenkę *Miasto Zaporże*. Nim wyszli, Pamela włożyła na głowę wytworny letni kapelusz doradcy ministra informacji.

Miasto Zaporże!

Sanuationfree!

Widzę gęby hoże,

Bracia, je vous pre!

Rosyjsko - angielsko - francuski hit stłumiły ściany rozległego domostwa.

- Te dziewczyny mogą rozwalić twój pałac - rzekł Andriej do ojca. - Gdzie on je poderwał?

- Podobno poznał w Stambule trzeciego dnia pobytu.

- Trzeciego dnia? Pięknie! A kiedy został nacjonalistą Jaki?

- Myślę, że dzisiaj rano. Ze dwie godziny rozmawiał nad morzem z chłopakiem, którego wynająłem do pilnowania łodzi. To aktywista *Jaki - Future - to - Gainer - Centr*.

- Masz udanego syna, Andriusza - wymamrotał całkiem osowiały Buturlin. - Myślący, energiczny, przyjaźni się ze świetnymi dziewczynami. A moi paniczekowie uwielbiają

salony, fortepian, skrzypce, grają różne duperele od Haydna do Strawinskiego... Uważają się za duchową elitę... Obrzydliwość! W domu wieczne brzdąkanie - Rachmaninow... Handel... nuda... nie piją, nie tarzają się...

- Starczy, Fred - powiedział Łucznikow - senior - już jesteśmy sami.

Fred Buturlin natychmiast się przyczesał, poprawił kurtkę.

- Jestem gotów, panowie - oznajmił.

- Wyłącz telefony, Chua - poprosił Arsienij Nikołajewicz.

- Nie zainstalował pan jeszcze magnetycznego izolatora? - spytał Fred. - Jest znakomity. Niewiele kosztuje, a neutralizuje wszystkie „pluskwy“.

- O co tu chodzi? - spytał Łucznikow.

Był poirytowany tym, że mają przed nim jakieś sekrety.

Arsienij Nikołajewicz bez słowa poprowadził ich w głąb domostwa do osobistych pokojów. Na ścianach pokrytych ciemną dębową boazerią wisiały portrety przodków rodu Łucznikowów; część z nich udało się wywieźć w roku dwudziestym, resztę ściągnięto różnymi sposobami już za czasów radzieckich. Wszędzie stały szafy biblioteczne i regały z książkami, atlasami, albumami, starymi mapami; były tu również globusy i teleskopy, modele żaglowców, statuetki i zdjęcia ulubionych koni Arsienija Nikołajewicza. Nad biurkiem wisiało zdjęcie pupila Łucznikowa - Wariaga, pięcioletniego ogiera rasy krymskiej, wielokrotnego zwycięzcy na torach wyścigowych Europy i Ameryki.

- Niedawno miałem gościa z Moskwy — powiedział Arsienij Nikołajewicz. - Wielki znawca koni. Żyd, ale wyjątkowo inteligentny człowiek.

Andriej Arsieniewicz uśmiechnął się. Pewnie wrewakuanci nigdy się nie wyzbęda poczucia wyższości wobec Żydów. Nawet ojciec, chociaż liberał, zdradził się z tym nawykiem.

- Wymyślił on w jakimś czasopiśmie - ciągnął Arsienij Nikołajewicz - rubrykę pod tytułem „Z życia słynnych koni“. Wspaniały pomysł, nieprawdaż?

- No i co? - Buturlin uniósł brwi.

- Pewnie utracili? - spytał chmurnie Andriej.

- Właśnie tego słowa użył mój gość - powiedział Arsienij. - Redaktor utracił rubrykę.

Andriej zaśmiał się.

- Żydzi proponują, Rosjanie utracają. Tak się tam mają sprawy.

Usiedli w skórzanych fotelach wokół niskiego okrągłego stołu. Chua przyniósł portwajn i cygara i zniknął bezszelestnie.

- No więc, co się wydarzyło? - Łucznikow był coraz bardziej poirytowany.

- Szykuje się zamach na ciebie, Andrieju - rzekł ojciec. Łucznikow zaśmiał się z ulgą.

- Wiedziałem, że tak zareaguje - zaczęła rzeć - Arsienij Nikołajewicz odwrócił się do Buturlina.

- Pewnie dzwonił do ciebie jakiś sklerotyczny wołczesociniec! - śmiał się Łucznikow. - W „Kurierze“ codziennie odbieramy takie telefony. Wymyślają nam od czekistowskich bękartów, kremlowskich kurew, żydowskich pachółków... Odgrają się, że uduszą, utopiają, powieszają za jaja...

- Tym razem to znacznie poważniejsze, Andrew - powiedział Buturlin.

- Informacja pochodzi bezpośrednio ze Stowarzyszenia Odrodzenia Ojczyzny i Tronu - Arsienij Nikołajewicz referował sprawę chłodno, z dystansem. - Prawe, zakonspirowane skrzydło SOOT podjęło uchwałę o usunięciu ciebie, żeby w ten sposób rozprawić się z „Kurierem“. Poinformował mnie o tym stary przyjaciel, jeden z nielicznych żyjących jeszcze żołnierzy naszego batalionu, ale... - wargi Łucznikowa - seniora drgnęły w lekkim uśmiechu

- zapewniam, że nie jest to sklerotyk. Wiesz doskonale, że twój „Kurier“ i ty sam drażnicie prawicowe środowiska naszego społeczeństwa...

- Zdaje się, że także lewicowe - wtrącił Fred Buturlin.

- Otóż to. Mego starego przyjaciela zawsze oburzała twoja orientacja polityczna, a Ideę Wspólnego Losu nazywał sowietyzacją, teraz jednak jest wstrząśnięty decyzją prawicy. Uważa, że są to metody stosowane przez czerwonych i brunatnych, zagrażające naszej demokracji. Głównie z tego powodu postanowił uniemożliwić ich zamiary, a dopiero w drugiej kolejności ze względu na łączącą nas przyjaźń. Teraz, Fiedia, przedstaw swoje przemyślenia.

Arsienij Nikołajewicz zerwał się z fotela i zaczął krążyć po pokoju.

Łuczniłow siedział z nie zapalonym cygarem w zębach.

- Wiesz doskonale, Andriusza, że żyjemy na beczie prochu, a nasza wyspa przemieniła się w kloakę... - zaczął swoje przemówienie doradca ministra informacji Fred Buturlin. - Trzydzieści dziewięć zarejestrowanych partii. Mnóstwo ekstremistycznych ugrupowań. Idiotyczna moda na marksizm szerzy się niczym grypa. Dzisiaj każdy bogacz dla upiększenia półek swojej willi sprowadza z Moskwy dzieła zebrane klasyków marksizmu. Wrewakuanci czytają braci Miedwiediewów. Mułowie cytują Envera Hodżę. Nawet w pewnym angielskim domu recytowano wiersze Mao Zedonga. Wyspa jest naszpikowana agenturą CIA i KGB, działającą prawie jawnie. Demoralizujący trans odprężenia. Ciągłe przyjeżdżają jakieś delegacje przyjaźni i współpracy w dziedzinie kultury, nauki, techniki. Bezwizowy ruch turystyczny, bezcłowa wymiana towarowa... Pewnie to wszystko wzbogaca nasze społeczeństwo, ale stopniowo kraj przekształca się w spelunkę gorszą niż Hongkong. Demokracja, którą Arsienij Nikołajewicz i jego współtowarzysze wywalczyli w trzydziestym roku, dzisiaj sięga absurdu. Chyba jedyną instytucją zachowującą zdolność do działania są nasze siły zbrojne, ale ostatnio i tam występują niepokojące objawy. Niedawno odbyło się nadzwyczajne posiedzenie gabinetu, ponieważ żołnierze jednostki raketowej w Północnym Okręgu Obronnym zażądali powołania wojskowego związku zawodowego. Wyobraź sobie strajk w wojsku! Według materiałów dowództwa, sześćdziesiąt procent oficerów prenumeruje twój „Kurier“. Znaczy to, że czytają gazetę, która na każdej kolumnie neguje sens istnienia armii rosyjskiej. Rozumiesz, Andrieju, w innych normalniejszych warunkach, twoja Idea Wspólnego Losu byłaby tylko jedną z wielu ideologii, które zgodnie z konstytucją z trzydziestego roku ma prawo głosić każdy obywatel. Dzisiaj ta idea i „Kurier“, który ją konsekwentnie upowszechnia, stanowią zagrożenie nie tylko dla - jak to określasz — konserwatystów, lecz także dla samego istnienia naszego państwa, naszej demokracji. Głosząc Ideę Wspólnego Losu, budząc w społeczeństwie poczucie winy wobec Rosji z powodu nieuczestniczenia w jej cierpieniach i - jak to oni nazywają - w wielkich dokonaniach, w gruncie rzeczy nawołujesz do kapitulacji wobec czerwonych, do przekształcenia naszej wspaniałej bananowej republiki w obwód krymski. Wyobraź sobie ten koszmar: obkomy, rajkomy...

- Nie rozumiem, Fiedia - przerwał mu Łuczniłow. - Chcesz powiedzieć, że zamach na mnie będzie całkowicie uzasadniony? No cóż, trudno odmówić ci logiki.

Czuł się jak osaczone zwierzę. Łajdak Buturlin rozgadał się, snuje państwowotwórcze rozważania, a w tym czasie SOOT opracowuje szczegóły łowów. Na mnie. Ofiarą będzie czterdziestosześcioletni mężczyzna stanu wolnego, jak z reklamy papierosów marlboro, miłośnik szybkiej jazdy, pijaczyna, samotny i nieszczęśliwy rozpustnik. Wkrótce przesyje go seria z pistoletu maszynowego. Z żalem myślał o swoim dzieciństwie. Tato, mam, po co

uczyliście mnie gam i karmili kaszką Nestle? Koniec.

- Wstydziliś się, Andrieju! - zawołał Buturlin. - Przedstawiam ogólną sytuację, żebyś zdał sobie sprawę z zagrożenia!

Tak, to nie żart. Ojciec nie musiał wymieniać nazwiska starego przyjaciela, od razu wiadomo, że chodzi o majora Boborykę, a zamach szykuje jego siostrzeniec Jurka, szkolny kolega Łuczniakowa, noszący dziwne podwójne nazwisko Ignatiew - Ignatiew.

Ten karykaturalny typek towarzyszył Andriejowi przez całe życie. Przez dłuższy czas - aż do wyjazdu Andrieja do Oksfordu - chodzili do tej samej klasy. Później, po powrocie na wyspę, Andriej spotkał Jurkę na pierwszej prywatce i był zaskoczony niekorzystnymi zmianami, jakie w nim zaszły. Nieśmiały pryszczaty chłopak, autor rysunków przedstawiających brygantyny i fregaty, przemienił się w rozrośniętego, niezdarnego starego wałacha. Ukazywał w uśmiechu brzydkie żółte zęby i dziąsła, miał zawsze przetłuszczone proste włosy, uczesane z przedziałkiem, i krzykliwy głos, którym wygłaszał monologi demaskujące go jako ekstremistycznego prawicowca.

W tamtych czasach Andriej miał w nosie politykę, wydawało mu się, że jest poetą, hulał, zachwycał się cyprysami i powstającymi wówczas w Jałcie „klimatycznymi parawanami“, włóczył się po dansingach za Marusią Geremi - przyszłą matką Antona - i zawsze, ilekroć spotykał Jurkę, podkpiwał z niego.

Ignatiew - Ignatiew także kręcił się wokół olśniewającej Marusi, nigdy jednak nie mówił jej o swoich uczuciach, nigdy z nią nie tańczył i podobno trzymał się od niej przynajmniej na odległość trzech metrów. Paradował w jakimś dziwnym półwojskowym ubiorze z wilczym ogonem na ramieniu - Młoda Wilcza Sotnia. Siedząc w kącie, wodził za Marusią ponurym wzrokiem, po paru koktajlach wykrzywił duże wilgotne usta w cynicznym uśmiechu, a po kolejnych kilku zaczynał perorować donośnie, pozornie nie zwracając na nią uwagi. Temat zawsze był ten sam. Obecnie, w dobie poststalinowskiej, nadszedł czas, by - korzystając z zamętu wywołanego przez Chruszczowa - wysadzić desant na kontynencie, stalowym mieczem rozplątać zjeżdżały Kraj Rad, dotrzeć w ciągu tygodnia do Moskwy i restaurować monarchię.

Kiedy jednak w 1956 roku na Węgrzech wybuchła rewolucja, Młoda Wilcza Sotnia wolała rozprawiać o polityce i popijać alkohol w przytulnych krymskich barach, w przeciwieństwie do młodych liberałów - tej hałastry, różnych pożałuj Boże poetów i jazzmanów - którzy zorganizowali oddział do walk ulicznych, polecili do Wiednia, a stamtąd dotarli do Budapesztu prosto pod czołgi pacyfikujące miasto.

Andriej Łuczniakow ledwo wtedy uszedł z życiem z płonącego sztabu młodzieży węgierskiej w kinoteatrze Korvin. W jego ramieniu utkwiała kula radziecka - to znaczy rosyjska. Do domu wrócił dzięki pomocy szwedzkiego Czerwonego Krzyża. Był poparzony, poniżony i przerażony dzikim okrucieństwem oddziałów pancernych swojej historycznej ojczyzny. Spośród trzystu ochotników na wyspę wróciło niecałe pół setki. Oczywiście witano ich jak bohaterów. W gazetach zamieszczono zdjęcie Andrieja. Marusią czuwała przy jego łóżku. W końcu, gdy zablżyły się rany bojownika o wolność, odbyło się wspaniałe wesele, które niektórzy uznają za początek nowej młodzieżowej subkultury.

Wśród licznych cudownych epizodów tego wesela miał miejsce również epizod obrzydliwy. Ignatiew - Ignatiew, przechyliwszy się przez stół ku Łuczniakowowi, jął wykrzykiwać mu w twarz: „A jednak nasi nieźle przetrzepali Żydo - Madziarów!“. Weselnicy o mało go nie pobili, ale Andriej - promieniejący radością pan młody, idol młodzieży - postanowił odbyć z nim rozmowę. Wybacz, Jura, mam wrażenie, że coś nas dzieli.

Okazało się, że owszem, dzieli nie byle co - nienawiść! W lśniącej toalecie nocnego klubu

Blue Inn Ignatiew - Ignatiew, drżąc i czkając, zdradził się ze swoim kompleksem niższości: „Nienawidzę ciebie, zawsze ciebie nienawidziłem, paniczku o błękitnej krwi. Rzygam na wasze wesele“.

Łucznirow zrozumiał, że ma przed sobą zagorzałego wroga, szczególnie niebezpiecznego, ponieważ - jak się zdaje - zakochanego w nim. Później były różne inne histeryczne wyskoki, czołganie się u stóp, homoseksualne wyznania, erotyczne westchnienia adresowane do Marusi, fałszywe uśmiechy, pogrożki przekazywane przez osoby trzecie. Łucznirow na długie lata zapomniał o Ignatiewie - Ignatiewie. I oto teraz szykuje on zamach na jego życie! Co się za tym kryje - pobudki polityczne czy hormony?

- Dobrze, rozumiem, że sytuacja jest niebezpieczna - powiedział Łucznirow. - Ale co z tego wynika?

- Trzeba temu zapobiec - powiedział Buturlin.

Ojciec milczał. Stał w kącie, obserwował morze w zapadającym zmierzchu i milczał.

- Powiadomimy OSWAG - powiedział Łucznirow. Buturlin roześmiał się.

- Wiesz, że to niepoważne.

- Co ja mogę zrobić? - wzruszył ramionami Łucznirow. - Uzbroid się? I tak niczym Bond stale mam przy sobie berettę.

- Musisz zmienić polityczny kierunek „Kuriera“. Łucznirow spojrział na ojca, który bez słowa przeszedł do

drugiego okna, nawet się nie odwrócił. Na przedwieczornym niebie toczyła się bitwa żaglowców. Łucznirow wstał, wziął butelkę, parę cygar i skierował się ku wyjściu. Buturlin zaszedł mu drogę.

- Nie mam na myśli radykalnej zmiany... Chodzi o kilka negatywnych publikacji o Związku Radzieckim... Łamanie praw człowieka, ograniczenie swobody twórczej... To wszystko jest prawdą. Nie musisz kłamać. Zamieszczasz materiały na ten temat. Ale naświetlasz je jakoś od środka... Jakbyś był jednym z nich, takim liberalnym doradcą. Przecież wracając stamtąd, wzdygasz się z obrzydzenia, czy nie tak? Zrozum, kilka takich materiałów, a twoi przyjaciele będą mieli podstawy bronić ciebie. Powiedzą: „Kurier“ to niezależna gazeta Tymczasowej Strefy Ewakuacyjnej, dajcie spokój Łucznirowowi. Bo teraz - wybac mi, Andriusza - twoi przyjaciele nie mogą tego powiedzieć.

Łucznirow odsunął lekko Freda i ruszył w stronę drzwi. Nim je zamknął, zauważył, że Buturlin rozłożył ręce - trudno, nie mogą zrobić nic więcej. Ojciec trwał nieruchomo.

Opuściwszy pokoje ojca, wszedł do swojej wieży, otworzył drzwi i jakiś czas stał w ciemności z butelką w rękę i dwoma cygarami zaciśniętymi między palcami. Podniósł rolety. Położył się na tapczanie, bezmyślnie obserwując powolne przemieszczanie się na niebie zdeformowanych, częściowo ogarniętych ogniem fregat. Później zauważył magnetofon stojący na półce nad tapczaniem. Ponieważ można go było dosięgnąć, nie zmieniając pozycji, nacisnął klawisz.

W czarnomorską ciszę wdarły się obce dźwięki, gwar innego tłumu, głosy nieznanych ptaków, zawodzenie mroźnego wiatru, daleki ryk strudzonych silników, jakiś szcęk, uderzenia młota, idiotyczna muzyka - to wszystko było obce, obrzydliwe, dalekie, a był to przecież kraj przodków, komunistyczna Rosja, dla Andriej a Łucznirowa najdroższa kraina na świecie.

Dziwaczną mieszaninę dźwięków zagłuszył histeryczny krzyk kobiety: „Módlcie się, kochani, módlcie się, moi najśledsi! Nie macie świątyni - módlcie się w kącie! Nie macie świętej ikony - módlcie się do nieba!“.

Ubiegłej zimy podczas pobytu w Londynie Łucznikow ni stąd, ni zowąd wykupił tanią wycieczkę i przyleciał do Związku Radzieckiego. Nie dzwonił do moskiewskich przyjaciół, z grupą zachodnich mieszczan zwiedzał stare rosyjskie miasta - Władymir, Suzdał, Rostów Wielki, Jarosław. Nie żałował tej decyzji. Inturist podle traktował Anglików, godzinami trzymał na dworcach, upychał do wspólnych wagonów, często żywił w zwykłych stołówkach. Łucznikow nigdy dotąd nie miał okazji tak blisko zetknąć się z radziecką rzeczywistością.

To nagranie zrobił przypadkiem. We Władymirze podczas spaceru wokół Soboru Uspienskiego nagle usłyszał ową nawiedzoną. W parku nieopodal soboru stały prymitywne pawilony, pomalowane na jaskrawe kolory. Najwyraźniej było to miejsce zabaw dla dzieci, ozdobione portretami kosmonautów. Na domu naprzeciwko wisiało idiotyczne hasło: „Pięciolatce jakości - robotnicze gwarancje“. Wlokły się przeładowane trolejbusy, jechała długa kolumna ciężarówek, nie wiadomo dlaczego całkiem pustych. Potężne żeliwne ramie wyciągnięte w natchnionym geście. I nagle głos nawiedzonej. Oderwawszy się od współczesności, ujrzał pod obłupanym murem odwieczne rosyjskie staruszki, stada wron, krążące nad kopułami świątyni, obrzmiałą jurodiwą i przygłupką Sieriożę, bożego człowieka palącego białmora i trzęsącego się obok jurodiwej, która urodziła go przed czterdziestu laty.

- Spójrzcie, moi kochani, na Sieriożę. Szykuję dla niego łóżko, a sama kładę się spać na podłodze, jako że on jest człowiekiem bożym. A jada Sierioża z kotami i pieskami, jako że wszyscyśmy stworzenia boże, a Bóg nas uczy: nie czyńcie krzywdy przyrodzie!

Łucznikow z magnetofonem w kieszeni stał wśród starych kobiet. Kobiety kładły czerstwe pieczywo do torby jurodiwych. Obrzękła baba szybko kreśliła znak krzyża w podzięce za datki i wołała coraz przenikliwiej:

- Nie lżycie Żydów, kochani moi! Żydzi to lud boży. Wrogowie każą wam lżyć Żydów, a wy w niewiedzy swojej jesteście im posłuszni. Nie Żyd sprzedał Pana naszego, lecz człowiek sprzedał, a wszyscy apostołowie byli Żydami!

Podszedł milicjant - co tu mówią o Żydach? Zbliżyły się dwie młode dziewczyny w angorowych czapeczkach - ale babka daje czadu! Jednak ani milicjant, ani dziewczyny nie odezwali się słowem, słuchali wrzasku jurodiwej w milczeniu.

- Kochani moi! Najśłodszy moi! Nie lżycie Żydów!

...Bitwa żaglowców dobiegała końca. Tliły się jeszcze fregaty, ale powoli pochłaniał je mrok. Tylko cień szczuplutkiej dziewczyny był jeszcze widoczny na ścianie. Cień przesunął się i znieruchomiał czujnie, w każdej chwili gotów do ucieczki. Potem w pokoju zmaterializowała się Kristina.

- Cześć, Marlboro! Czy to pan?

Bezczelna dłoń nie musiała długo szukać, szybko trafiła tam, gdzie chciała trafić, znalazła suwak. W ciemności Andriej widział nad sobą błyszczące oczy Kristiny, uśmiechnięte usta, biel zębów. Włosy opadły jej na twarz, gdy przywarła do niego wargami. Poczuli ich dotyk i gwałtowne podniecenie.

- Dziękuję, moi kochani! Niechaj was Bóg ma w swojej opiece! A kto chce widzieć babę Jewdokiję, niech jedzie autobusem do stacji Koladino, stamtąd do Pierwszej Pięciolatki będzie kilometr piechotą, a chata nasza ostatnia! Zdrowia i spokoju wam życzę, kochani moi! Niechaj Matka Boża smutki wasze uko!

Chłupot mokrego śniegu pod nogami, głośniejsza muzyka „nawet do najdalszej planety nie jest wcale daleko...“ Muzyka cichnie, słysząc głuchy chichot Sierioży, radość debila obdarowanego papierosem, własny głos.

- Czy mogę pojechać z wami?

- Ktoś ty? Nie nasz? - głos Jewdokii zagłusza wszystkie dźwięki. W dawnych czasach takie jak ona ściągały tłumy bez żadnych mikrofonów - szczególne głosy rosyjskich jurodiwych.

- Jestem Rosjaninem z Krymu.

- Niechaj Bóg cię błogosławi. Czego od nas chcesz?

Jakieś szuranie, chrząkanie, stękanie - wsiadają do autobusu. Ostry głos, nie gorszy niż głos jurodiwej, co prawda wzmocniony mikrofonem:

- Proszę kupować bilety!

Jak oni tam mówią, czyżby po rosyjsku?

...Kristina chciała dominować, ale Łucznikow nie przepadał za amazonkami. Po krótkiej walce zatriumfowała odwieczna niesprawiedliwość, dziewczynę zmogła siła jego mięśni. Obym tylko nie padł - pomyślał małodusznie, jak często mu się zdarzało w podobnych sytuacjach. Jednak dziewczyna uległa w porę, jęknęła cieniutko i żałośnie, oddając się we władzę świńskiego plemienia mężczyzn. Andriej, podniesiony na duchu jej kapitulacją, pewnie wszedł w słodkie, wilgotne obszary.

- Proszę podać pieniądze za bilet. Nie pchajcie się! Co za ludzie! Bydło nie ludzie! Masz, Sierioża! Nieznajomy, może chcesz suchara? Następny przystanek - dworzec autobusowy! Ojej, gdzie się on toczy? Ślizgawica... Chciałem zapytać, matko Jewdokijo... Zaczekaj, gołąbeczku, najpierw ja zapytam: jak tam na Krymie z zaopatrzeniem?

Syk pneumatycznych drzwi. Otwarte. Hałas, krzyki, przepychanka, jak zwykle podczas wsiadania.

- Przepraszam, gdzie pan kupił pomarańcze? ...Łucznikow, zapomniawszy o swym wieku, z zapalem

zabawiał się z gibką, pojękującą Kristina, znęcał się nad nią niczym młody żołnierz, wciskał w materac, przygniatał do ściany, potem nagle opiekuńczym gestem głaskał jej wilgotne ciało, lizał jej uszka, obojczyki, odpoczywał, oszczędzał siły, by znowu rozrabiać jak żołnierz.

...Wysoki męski głos relacjonował sąsiadowi:

- Jechaliśmy z siostrą z Riazania, gdy do wagonu wdarli się pijani żołnierze. Chodź z nami, mała - mówią do siostry i ciągną ją za sobą. Spoko, chłopaki — mówię - pozwólcie ludziom odpocząć. Podsiniaczyli mi oko i poszli. Siedzę i myślę, co za wpadka. A tu wsiadł do wagonu Kozłów, mój przyjaciel, wypiliśmy butelkę wina i poszliśmy szukać tamtych żołnierzy. Byli w wagonie obok. Zaraz pogadamy sobie z wami! Wtedy jeden z nich tłucze łokciem szybę, wyjmuje ostry odłamek szkła - taki łebski facet! - i do nas, a pozostali zamykają nam drogę. Skutek był taki, że dopiero wczoraj wypisali mnie z urazówki, a Dimka jeszcze tam został.

Głos uciekał, zagłuszał go szelest gazety, kaszel, słychać było wyraźnie z tranzystora *Taniec młodych łabędzi*. Własny głos:

- Leczyście ludzi, matko Jewdokijo?

Przeraźliwy wrzask w całym autobusie, zgrzyt hamulców, jęki, łomot, zdławione zawodzenie. Kurwa - jego - mać - wypier - dek - skurwy - syński - w - oko - jebany - rozpierzdził - wszyst - kich - lu - dzie - ratunku!

Katastrofa i zaraz zapadła cisza.

...Zbliżała się chwila prawdy. Łucznikow szykował dziewczynę do ostatniego skoku do rajów.

Już się zrównali, już nie było podległości i dominacji, zniknęły różnice i bariery, splekli

się, pograżyli w zachwycie, oboje porwała fala i niosła, niosła, niosła - chyba już dostrzegli skrawek cudownego lądu - ale nastąpił odpływ, zaczęli się cofać, aż odpadli od siebie.

Dziwił się zawsze, że po akcie miłosnym tak szybko wracał do spraw powszednich, zaczynał myśleć o pieniądzach, o samochodach. Teraz, odsunawszy się od Kristiny i leciutko głaszcząc jej drżące ramię, przeniósł się błyskawicznie na pola z topniejącymi płatami śniegu, skąd dobiegały magnetofonowe dźwięki i gdzie w podmokłym rowie leżał przewrócony autobus Władymir - Suzdal.

Ciężko rannych nie było. Chyba ktoś miał złamaną rękę, ktoś zwichniętą nogę, poza tym same potłuczenia. Dzieci ryczały w głos, baby stękały, mężczyźni kłęli. Pasażerowie wydostawali się z autobusu przez drzwi z lewej strony, które teraz znalazły się nad ich głowami. Trzeba się było podciągać, podsadzać innych. Łucznirow odwracał głowę, żeby nie widzieć ohydnej bielizny pod spódnicami. Od Jewdokii zalatywało chlewem i moczem. We dwóch z żołnierzem - artylerzystą podsadzali ją do wyjścia, kiedy nagle jęła lamentować:

- A gdzie Sieriożka? Zapomnieliście o Sierioży, kochani moi! Gdzie moje dzieciątko? Sierioża, odezwij się, złociutki!

Debila przygniotły w tyle wozu tobołki i walizki. Widać było jego łysiejącą, trzęsącą się głowę. Stękając, pożerał pomarańcze, gryząc je przez oczka w siatce. Zerwał się, kiedy usłyszał głos matki.

- Mamuniu! - zawołał.

Szczeciniaste policzki debila ociekały sokiem pomarańczowym.

Kiedy wszyscy wydostali się z autobusu, żołnierz i Łucznirow także wyskoczyli do rowu, wpadając po pas w lodowatą, brudną wodę.

- Wspaniale - powtarzał żołnierz. - Wspaniale.

Na poboczu stało już kilka ciężarówek. Dźwig samochodowy wpadł w poślizg na oblodzonym asfalcie i utknął w krzakach. Zatrzymał się również autobus nadjeżdżający z przeciwnej strony. Tłum wokół miejsca kraksy powiększał się.

- Mówiłem skurwielom, że w taką gołoledź nie wolno wysyłać autobusu na trasę! - krzyczał kierowca przewróconego wozu. - A oni na to: jak nie pojedziesz, będziesz musiał oddać legitymację partyjną!

Z mętnego wieczornego nieba siąpił deszcz ze śniegiem. Jewdokija siedziała na poboczu, tuląc w ramionach swoje potężne dziecko. Sierioża szlochał, wspierając się na ogromnym matczynym brzuchu. Rozległ się sygnał karetki pogotowia. Nadjechały dwa żółto - granatowe wozy milicyjne.

- Matko Jewdokijo? - zawołał Łucznirow.

Baba spojrzała na niego ze zdziwieniem, ale zaraz go poznała.

- Idź swoją drogą, obcy człowieku - powiedziała zachrypniętym głosem. - Nie lecę nikogo i nie znam żadnych słów. Przyjeżdż do Koladino latem, kiedy ptaki śpiewają i zieleni się trawa. A teraz idź! - Pobłogosław mnie, matko Jewdokijo! - poprosił Łucznirow.

Podniosła rękę, ale zaraz ją cofnęła.

- Idź do swoich Niemców na Krymie, tam dużo cerkwi, niech cię tam błogosławią.

Wydeła dolną wargę i odwróciła się tyłem do Łucznirowa, jakby dając mu do zrozumienia, że nie istnieje dla niej.

- Wspaniale! - ryknął w pobliżu żołnierz. Ciągnął skądś stalową linkę. - Gdyby jeszcze zdobyć butelczynę, byłoby całkiem wspaniale!

Łucznirow poszedł poboczem oblodzonej szosy w kierunku miasta. Podniósł kołnierz jesionki kupionej w sklepie przy Saint Germain, krzyżował na piersi ramiona, ale wściekły, wilgotny rosyjski wiatr przeszywał go na wylot, aż całe ciało dygotało z zimna. Patrzył tępo

na ciągnące się wzdłuż drogi budynki zmechanizowanej fermy. Czuł się obco. Nie dotyczyło go to wszystko, co się tutaj teraz działo, co się wydarzyło kiedyś i wydarzy w przyszłości. Ostatnie, co utrwalił magnetofon, to był krzyk kapitana milicji:

- Jedź dalej, nie zatrzymuj się!

...Kiedy słuchał i wspominał, Kristina wstała z tapczanu. Wzięła z parapetu jakąś małą szmatkę, potrząsnęła i okazało się, że to jej sukienka. Za chwilę uczesana i ubrana usiadła przy stole, zapaliła i nalała sobie do szklanki kseresu.

- Co to za dzikie dźwięki? - wskazała podbródkiem magnetofon.

- To nie dotyczy pani - powiedział.

Kiwnęła główką, zgasiła papierosa, przeciągnęła się.

- Chyba już pójdę. Dziękuję panu.

- Ja także pani dziękuję. To było bardzo miłe. Odwróciła się na progu:

- Jedno pytanie. Pewnie się pan spodziewał, że przyjdzie Pamela?

- Prawdę mówiąc nie spodziewałem się niczego.

- Na razie - powiedziała. - Pamela jest na dole z Tonim. Na razie, panie Marlboro.

- Wszystkiego najlepszego, Kristino - powiedział grzecznie. Kiedy został sam, zapalił papierosa i napełnił szklankę.

Rzeczywiście nietrudno zmienić oblicze „Kuriera“. Bardzo łatwo gardzić tym krajem, naszym krajem. Nawiasem mówiąc, w jutrzejszym numerze ukaze się reportaż o radzieckich drogach. *Podróż przez krainę kawy*. Anonimowy materiał z Moskwy. Świetna drwina o tamtejszych koszmarnych przydrożnych kawiarniach. Może to będzie wystarczające, by na jakiś czas uratować mu życie?

Odwrócił się na tapczanie, sięgając po słuchawkę telefoniczną - właściwie można się nie ruszać z legowiska; dziewczyny same przychodzą, do Rosji można wrócić po naciśnięciu klawisza magnetofonowego; połączyć się z gazetą, wykręcając pięć cyferek.

Odezwał się Bruk. Pewny siebie, trochę podpity głos:

- *Courier! Associate editor Brook is here.*

- Ile razy trzeba przypominać, że pracuje pan w rosyjskiej gazecie! - burknął Łucznikow.

- A więc podpadłem! - zawołał wesoło Bruk. - Proszę się nie gniewać, szefie. Pan wie, w jakich warunkach pracujemy. Wielu czytelników ma trudności z rosyjskim, a ja mam trudności z jaki. Angielszczyzna odpowiada obu stronom.

- Co nowego w Afryce, Sasza?

- Ucieszy się pan, redaktorze. Romek przysłał z Kinszasy dokładną informację. Plemiona Ibu i Jebu walczą ze sobą na granicy. Uzbrojenie radzieckie, światopogląd obu walczących stron - marksistowski. Daliśmy do składu. Na pierwszą stronę.

- Proszę zdjąć z pierwszej i zamieścić na ósmej. Będzie zabawniej.

- Czy jest pan, szefie, pewny, że to zabawna informacja?

- Myślę, że tak. I jeszcze jedna sprawa. Proszę wycofać z numeru moskiewski materiał.

Zapadła cisza.

- Ma pan na myśli *Podróż przez krainę kamy*, szefie?

- Tak.

- Ale...

- Co? Milczenie.

- Co jest, do licha?! - wrzasnął Łucznikow. - Czemu pan milczy?

- Przepraszam, ale... - Bruk nagle wytrzeźwiał. - Przecież pan wie... Od dawna

spodziewają się po nas takiego materiału...

- Kto się spodziewa? - wrzasnął Łucznikow. Wyrzucone z wściekłością słowa odbiły się o tonącą w mroku ścianę.

- Czym zastąpić? - spytał zimno Bruk.

- Proszę zamieścić wywiad Samsonowa z Sartre'em! To wszystko. Zadzwoń za godzinę! Rzucił słuchawkę, złapał butelkę, łyknął z gwinta, odstawił, przewrócił się na drugi bok. Zgnieciony pled pachniał kobietą. Oto czym mnie szantażują - że mnie zakatrupią!

Znowu schwycił słuchawkę, wybrał poprzedni numer.

Bruk wesolutko gwizdał idiotyczny hit *Miasto Zaporozie*.

- *Courier!Associate edi...*

- Przepraszam, Bruk, poniosło mnie. Później panu wytłumaczę...

- Nie szkodzi - powiedział Bruk. - Dopilnuję, żeby było, jak pan sobie życzy.

Łucznikow czuł, że musi wyjść. Nie wiedział dokąd. Z takim pyskiem nie można się pokazać. W takich portkach także nie można się pokazać, cuchną prostytutką. Kobięcą i męską. Nie szkodzi, w nocnym Koktebelu ujdą. Rozporek będzie dokładnie zapięty. To coś nowego dla nocnego Koktebelu - dokładnie zapięte spodnie Łucznikowa. Wezmę ze sobą plik banknotów. Jakie wziąć? Oto radzieckie papierki, a tu dolary. Do diabła z nimi! Banknoty wyemitowane przez Bank Sił Zbrojnych Południa Rosji - oto odpowiednia waluta! Jaki chyba już zapomnieli, że istnieje słowo „rubel“. Ich jednostka pieniężna nazywa się „ticza“, co wyraźnie pochodzi od „tysiąc“. Według tabeli kursów zamieszczonej w „Izwestiach“, za jedną krymską ticzę w Związku Radzieckim płać 0,75 rubla. We wszystkich „Bieriozkach“ chętnie przyjmują ticze, ale udają, że nie są to rosyjskie pieniądze, że nie ma na nich rosyjskich napisów „jeden... dwa... sto tysięcy rubli... „Bank Sił Zbrojnych Południa Rosji“. Oto dziwna, lecz uznawana przez cały naród zasada współczesnej Rosji, Związku Radzieckiego: nie dostrzegać rzeczy oczywistych. Na tak zwanych kartkach wyborczych są pouczenia: „Zostawić nazwisko jednego kandydata, pozostałe nazwiska wykreślić“. A pozostałych nie ma i nie było! Idiotyczne oszustwo, ale nikt go nie widzi, nie chce widzieć. Wszyscy chcą być bydłem: instynkt stadny zapewnia komfort psychiczny. Program Wriemia w radzieckiej TV - to stosowany każdego wieczora zabieg usuwania płata mózgowego. Nikomu nie przeszkadza, że bank państwowy nosi nazwę Bank Sił Zbrojnych w dodatku Południa Rosji! Na naszych pieniądzach dotąd widnieje gęba barona! Jeżeli się uważacie za obrońców rosyjskiej kultury, to powinniście umieścić podobizny Puszkina, Lwa Nikołajewicza, Fiodora Michajłowicza... Też mi bohater - nieudolny baron Wrangel, obrońca „ostatniego brzegu Ojczyzny“! Może on zbudował Cieśninę Czongarską? A lejtnant Bayle - Land nie istniał? Na ziemiach rosyjskich władzę dzierżą kłamcy i półgłówki. Dlaczego w Moskwie przydzielają mi tłumacza? Zastanówcie się, towarzysze, po co mi tłumacz, czuję się głupio, chodząc po Moskwie z tłumaczem. Nie ma sensu kablować na mnie, nie mam sekretów, wiecie o tym. Dzięki i za to. Ale w takim razie po co? Taki zwyczaj - ważny zagraniczny gość powinien mieć tłumacza. To tak, jakby na Krymie nie mówiono po rosyjsku? No właśnie. Przecież wiesz, Andrieju, że kiedy Stalin zaczął nawiązywać jakie takie kontakty z Krymem, uznał, że nikt tam nie mówi po rosyjsku, że ten kraj nie ma nic wspólnego z Rosją, to całkiem obce państwo, a jednocześnie jakby nie państwo, lecz strefa geograficzna, zamieszkała przez jakiś tam „lud“, a my kochamy wszystkie „ludy“ jako potencjalnych odbiorców marksizmu. Jednak - oponuję - ani Stalin, ani Chruszczow, ani Breżniew nigdy się nie wyrzekli aspiracji do Krymu jako części Rosji, czy nie mam racji? Oczywiście, masz rację - odpowiadają mądrzy przyjaciele aparaczczy. W sensie terytorialnym nigdy z Krymu nie zrezygnowaliśmy, nie nawiążemy z Krymem stosunków

dyplomatycznych, ale w sensie kulturowym uważamy, że jest to państwo całkiem obcojęzyczne. Czy to ma sens? Czyżbyś, Andriusza, nie rozumiał? To ma bardzo głęboki sens - w ten sposób sygnalizujemy krymskiej społeczności, że język rosyjski poza socjalizmem nie istnieje. To bzdura, wszyscy wiedzą, że na Krymie językiem państwowym jest rosyjski. Wszyscy wiedzą, ale sęk w tym, że jakby nie dostrzegali tego. Znaczący więc, że sęk w tym? Ano, właśnie. Mówisz przecież, że tam u was dużo głupoty. U nas także nie ma, Andrieju. Oczywiście, to anachronizm, ale w pewnym sensie korzystny, ponieważ zespała, jak wiele innych stalinowskich anachronizmów. Nawiasem mówiąc, Andrieju Arsieniewiczu, ciebie trzeba tłumaczyć na współczesny rosyjski, czyli na język radziecki. Mnie? Po co? Mówię współczesną ruszczyzną, opanowałem nawet obie pisownie - starą i nową. Tak uważasz? W takim razie spróbuj powitać widzów. Bardzo proszę: „Dobry wieczór, towarzysze!” Błąd. Należy mówić: „Dobry wieczór, drodzy towarzysze!” Mniejsza o intonację. Masz, Andrieju, całkiem obcą intonację. Wiemy, że jesteś patriotą, szanujemy twoją Ideę Wspólnego Losu, twoje winy wobec ojczyzny zostały zatarte, jesteś nasz, Andrieju, ufamy ci, ale nie potrafisz nawet sformułować takiego zdania: „Brak mi słów, by wyrazić uczucie głębokiej satysfakcji”. Tak się znęcał nad Łucznikowem jego serdeczny przyjaciel, mądry i sprytny Marlen Kuzienkow, gruba ryba w zagranicznym wydziale KC.

Więc jest coś wspólnego między Moskwą i Symferopolem! Ta sama skłonność do niedostrzegania faktów, które istnieją, ale są niemiłe; trzymanie się przestarzałych form: te wszystkie zramolałe „wszechrosyjskie urzędy” na Krymie, do których pies z kulawą nogą nie zagląda; nasz izolacjonizm: dystansujemy się od miejscowej ludności i w tym celu ukuliśmy słówko „wrewakant”. Z kolei Moskwa nie widzi na Krymie Rosjan, nie wiadomo dlaczego pamięta tylko o Pierwszej Konnej, a drugiej jakby nie było, w historycznych filmach telewizyjnych z okazji jubileuszy nie ma ani Trockiego, ani Bucharina, ani nawet Chruszczowa - gdzie się podział Nikita Siergiejewicz, kto witał Gagarina? Nie sposób wyliczyć wszystkich moskiewskich sztuczek z pomijaniem i zapominaniem. Niestety u nas także istnieje taka tendencja, więc może nie totalitaryzm zawinił, lecz szczególne cechy charakteru narodowego? Mamy taki osobliwy charakter. No nie? Gdzie jeszcze istnieje takie milutkie porzekadło: „Nie wynoś brudów z domu?” Celtowie, Normanowie, Germanowie, Galkowie utrzymywali w czystości swoje domostwa, wyrzucali brudy na zewnątrz, a dumny potomek Słowian zmiata śmieci do środka, aby sąsiedzi nie widzieli. Jeśli uznamy, że takie brzydkie nawyki wynikają z charakteru narodowego, to wszystko się zgadza. Przecież sami siebie nazywamy gównem, czego nigdy nie zrobiliby Anglicy.

Kiedy po długich rozważaniach Andriej Arsieniewicz doszedł do tego cuchnącego trochę wniosku, stwierdził, że pędzi w ryczącym wehikule serpentyną, prowadzącą wprost na główną ulicę Koktebelu, zabudowaną wielopiętrowymi hotelami. Widząc, co się z nim dzieje, mógł odtworzyć swoje poprzednie mchy: wyszedł z Gościnnej Wieży, wymachując plikiem tyczy, energicznie przemaszerował krążankiem, przyhamował nieco na widok nieruchomej sylwetki Kristiny na parapecie, minął ją, gwizdząc demonstracyjnie staromodną *Sentymentalną podróż*, znowu przyhamował, ponieważ w oświetlonym oknie biblioteki stał ojciec, minął go bez słowa, wyszedł na podwórze, jak młodzik wskoczył do samochodu, nie zareagował na wołanie Freda, który chciał się z nim zabrać, zapuścił silnik.

Teraz, kiedy sobie uprzytomnił, że oto w nocy jedzie do miejscowości, w której spędził swoją hulaszczą młodość, kiedy przypomniawszy sobie swoje dzisiejsze wyczyny, tak się zdumiał, że zahamował gwałtownie. Co się z nim dzisiaj dzieje? Odwrócił się. Zielone niebo w prześwicie ulicy, sierp księżycy nad sylwetą Siuriukaję. W bocznej uliczce, biegnącej w

stronę morza, powoli obraca się świetlisty owal - szyld nocnego klubu Kalipso. Miał dziwne uczucie, jakby powrócił do młodości. Z Biblijnej Doliny nadleciał podmuch wiatru, przygiął na chwilę wierzchołki cyprysów, rozczochrał i posrebrzył listowie płątana. Czy to zapowiedz niebezpieczeństwa wyostrzyła dzisiaj moje odczucia? Bezkresne przestworza i obietnica koktebelskiej nocy po długich latach znowu mnie urzekają.

Przed wejściem do baru Kalipso stało kilkanaście samochodów. Kilku smukłych chłopaków podrygiwało na asfalcie w migotliwym świetle neonu. Wejście kosztuje piętnaście ticzy. W ciągu dwudziestu lat, to znaczy od czasu, kiedy Łucznirow był tutaj po raz ostami, zakład podwyższył kategorię. Dawniej w szatni wisiało duże malowidło, uznawane za „artystyczne“. Przedstawiało nimfę Kalipso z potężnymi piersiami i tatarskim warkoczem. Nimfa, pogrążona w smutku, zegnała tatarskiego Odyseusza, odpływającego w spienioną morską dal. Teraz to samo wnętrze zdołała wymyślna płaskorzeźba, ukazująca w odcinkach przygody małego niczym plemnik Odyseusza w łonie olbrzymiej Kalipso, podzielonej na dziesiątki ponętnych kawałków. Całość była podświetlona i zda się żyła, oddychała, pulsowała. Z pewnością wkład w to dzieło mieli nowi emigranci. Może sam Nusberg?

Ledwo wszedł na salę, kierując się w stronę barn, kiedy usłyszał za plecami głośne okrzyki:

- Patrzcie, panowie, redaktor „Kuriera“!

- Andriej Łucznirow we własnej osobie!

- Co to może znaczyć - Łucznirow w Kalipso? Mówili po rosyjsku wyraźnie po to, by się odwrócił. Nie

odwrócił się. Usiadł przy barze, zamówił manhattan i poprosił barmana, by zaraz po idiotycznym *Miasteczku Zaporozże*, które pewnie leci już tego wieczora po raz dziesiąty - co najmniej po raz setny, proszę pana, mózg od tego staje - nastawił melodię z czasów jego młodości, *Serenadę in Blue* Glenna Millera. Z przyjemnością, proszę pana, to także moja młodość. Łucznirow w to nie wątpił. Chyba już pana spotykałem. Jeszcze pan nie poznał? Niewykluczone, że jest pan z Eupatorii, zdaje się, że ma pan tam hotel. Zabawne, Fadieiczu... Jak pan powiedział? Powiedziałem, zabawne, Fadieiczu, minęło dwadzieścia lat, jestem znanym człowiekiem, a ty pozostałeś barmanem, ale ja ciebie poznałem, a ty - kij ci w oko - nie poznajesz mnie. Andriusza! A niech to jasna cholera! Nie przeklinaj! A uściskać mogę? Łezkę uronić? Już dobiegają srebrzyste dźwięki...*Błękitna serenada*, tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty, pierwsze wyprawy do Kalipso... pierwsze pocałunki... pierwsze dziewczyny... bójki z amerykańskimi lotnikami.

Łucznirow poklepywał Fadieicza po plecach, po policzku, słuchał synkopowych kaskad Millera i nagle sobie uświadomił, co go tej nocy przywiodło do Kalipso. W czasach młodości stale panowała tutaj atmosfera zagrożenia. Nieopodal, za przylądkiem Kameleon, znajdowała się amerykańska baza lotnicza, a amerykańscy lotnicy przy każdej okazji chętnie się bili z rosyjskimi chłopakami. Może dzisiaj słowo „zamach“ i poczucie zagrożenia, które go nieoczekiwanie odmłodziły, wzbudziły w nim chęć zmierzenia się z losem. A gdzie można rzucić wyzwanie losowi, jak nie w Kalipso?

Co za bzdura! W ciągu minionych dziesięcioleci Kalipso bardzo się zmieniło. Dzisiaj to elegancki lokal rozrywkowy, przeznaczony dla zamożnej klienteli z górnych warstw klasy średniej. Seks nie jest już szaloną przygodą, a lotnicy się zestarzelili, zlikwidowali bazę i dawno się wynieśli do swego Milwaukee.

Został stary Fadieicz i nawet mnie poznał. Bardzo się z tego cieszę. Zaraz dopiję manhattan i wrócę do Symfi, do domu. Jutro - do redakcji, a za trzy dni samolotem do

Dakaru, Nowego Jorku i Paryża na konferencję przeciwko apartheidowi, sesję Zgromadzenia Ogólnego NZ, spotkanie redaktorów naczelnych czołowych gazet świata na temat „Sport i polityka“, no i na końcu do Moskwy.

Nagle w lustrze za barem ujrzał syna, o którym - planując zajęcia na przyszły tydzień - całkiem zapomniał. Trudno się dziwić, zgubiliśmy się obaj, dlatego pamięć zawodzi. Zaplanowałem cały tydzień i nawet nie wspomniałem o synu, którego nie widziałem ponad rok.

Z kim siedzi? Dziwne towarzystwo - blada podłużna twarz Antona, złota główka Pameli na jego ramieniu i czterech masywnych facetów w kosztownych garniturach. Bransolety, złote roleksy. Pewnie to zagraniczni robotnicy z arabskiego pirsu.

- Tam jest mój syn - powiedział do Fadieicza.

- Ten wysoki?

- Tak, a kto z nim siedzi?

- Nie wiem. Pierwszy raz widzę. To nie są nasi goście.

Obecnie Fadieicz wygląda jak kierownik katedry na uniwersytecie. Siwowłosa mistrz ma do pomocy trzech sprytnych Włochów.

- Antosza! Pamela! Chodźcie do mnie! - zawołał Łuczniak. - Podaj szampana, Fadieicz.

Fadieicz pstryknął palcami - i srebrne wiaderko z butelką pojawiło się na stoliku. A gdzie syn? Trzeba go zapoznać z Fadieiczem, przekazać sztafetę pokoleń. Nie chce się przysiąc? Gardzi? Czyżby chodziło o konflikt pokoleniowy? Łuczniak zobaczył w lustrze, że Anton chce się przysiąc, ale nie może. Siedzi ze swoją Pamelą w głębi niszy, a czwórka bogatych facetów blokuje im wyjście.

- Niezbyt grzeczni - powiedział. Zauważył, że Fadieicz sprężył się i zmrużonymi oczami patrzy w tamtą stronę.

- *That's true*, Andriej - wycedził Fadieicz, uśmiechając się dobrze znanym uśmiechem. - Niezbyt grzeczni.

Łuczniak nie zastanawiając się dłużej, zeskoczył ze stołka.

- Trzeba nauczyć ich grzeczności - powiedział, kierując się w stronę niszy.

Kiedy szedł przy dźwiękach *Błękitnej serenady*, zauważył, że symferopolscy intelektualiści obserwują go z ciekawością.

Podszedł do stolika i złapał jednego z facetów za rękę. Człowiek takiej postury nie mógł być słaby, ale Łuczniak z zaskoczenia omal nie połamał mu kości.

- O co chodzi, Antosza? - spytał syna. - Co to za ludzie?

- Diabli wiedzą - wybełkotał Anton. Stracił głowę i zaczął mówić po rosyjsku. - Przysiedli się i powiedzieli, że nas stąd nie wypuszczą. Nie wiem, czego chcą.

- Zaraz się dowiemy - Łuczniak wykręcił grubą, bezsilną rękę i zaczął rozpinać marynarkę na brzuchu nieznajomego. W dawnych czasach wprawiało to przeciwnika w przerażenie.

Wokół niszy gromadzili się gapie, niektórzy z nich znali Łuczniaka. Od drzwi zajście obserwował dyżurny posterunkowy. Chyba Fadieicz wymieniał z nim znaczące spojrzenia.

Wszyscy czterej „niegrzeczni faceci“ byli po czterdziestce, mówili w języku Jaki z lekkim akcentem tatarskim, jak zwykle mówią na wyspie Turcy zatrudnieni w Arabian Oil Company.

- Puść, *aga* - poprosił grubas. - Bahdzo phoszę, Łuczniak - *aga*.

Łuczniak uwolnił rękę, pozwolił facetom wyjść z niszy.

- Spytaj, Anton, skąd znają nasze nazwisko.

Chłopak dopędził jednego z nich na środku sali, obezwładnił błyskawicznie niczym japoński karateka. Łucznikow był zachwycony. Kilka lat wcześniej chodzili razem na lekcje karate.

- Skąd znasz nazwisko mego ojca? - spytał Anton.
- *Ti - Vi... Jaki boy... Ti - Vi... juk... karderler... majarata... sorry much...* - stękał grubas.
- Widział ciebie w telewizji - przetłumaczył Anton. - Przeprasza.
- Puść go - powiedział Łucznikow.

Klepnięt syna po plecach, syn szturchnął ojca łokciem w brzuch, a Pamela ze śmiechem dała obu mężczyznom klapsa. Czwórka nieznanomych migiem ulotniła się z Kalipso. Posterunkowy, wsunawszy ręce za pas, na którym wisiał potężny kolt, wyszedł za nimi. Widzowie klaskali. To była scena jak z westernu. Oczy Fadiecza błyszcząły jak za młodych lat.

Napili się szampana. Pamela ciekawie zerkała na Łucznikowa. Pewnie się zastanawiała, czy była u niego Kristina i co z tego wyszło. Łucznikow pomyślał, że pewnie brały też pod uwagę inny wariant. Anton opowiadał Fadieczowi historyjki o karate, o tym, że znajomość karate była przydatna w krajach egzotycznych. Fadiec z powagą kiwał głową.

Kiedy wyszli na ulicę, okazało się, że trzy opony land - rovera są przebite nożem. Czyżby SOOT robił takie świństwa? A może osobiście Ignatiew - Ignauew, to do niego podobne.

Powoli - całkiem jak filmowy szeryf - zbliżał się posterunkowy. Obok wlekli się pokornie czterej przestępcy.

- Widział pan, panie władzo? - Łucznikow wskazał posterunkowemu opony.
- Hej, wy tam! Co o tym wiecie? - zawołał posterunkowy. Mówili chętnie, chociaż plątali się w zeznaniach. Okazało się, że przyszedli do Kalipso, by się zabawić. Nagle zaczęli ich jakiś *aga*, zaproponował dwieście ticy... Dwieście ticy? Tak, dwieście za postraszenie „łucznikowskiego szczeniaka“. Byli w dobrym nastroju, więc się z głupoty zgodzili. A ten *aga* siedział cały czas w Kalipso, obserwował zajście, wybiegł na ulicę przed nimi, przebił opony, wsiadł do swego samochodu i odjechał. To był jaskrawożółty stary ford.

- Jak wyglądał ten *aga*? - spytał Łucznikow. - Tak? - Usiłując upodobnić się do Ignatiewa - Ignatiewa, wyszczerzył zęby, zaczął się ślinić, wysunął do przodu szczękę, patrząc tępych wzrokiem.

- *Si! Si!* - potwierdzili. - Właśnie tak!
- Zna go pan? - spytał posterunkowy.
- Nie! - Łucznikow machnął ręką. - Pomyślałem, że to pewnie jakiś wariat. Proszę o tym zapomnieć.

- Wariaci są najbardziej niebezpieczni - powiedział pouczająco posterunkowy. - Nie chcemy tutaj takich. Mamy mnóstwo turystów, przyjeżdżają także towarzysze radzieccy.

Na piersi posterunkowego odezwał się walkie - talkie, stróż porządku zaczął opisywać „wariata“, a Łucznikow, Anton i Pamela skręcili za róg, gdzie czekał na nich czerwony turbo w świetnym stanie.

- Weźcie mój wóz, dzieciaki - powiedział Łucznikow. - A ja pospaceruję w samotności.
- Ależ tato, jak... - zająknął się Anton.

Pamela milczała, uśmiechała się uroczo, przytuliwszy policzek do jego ramienia. Całkiem niezła żona dla Antoszki. Mogliby się pobrać.

- Mam dzisiaj noc nostalgii - powiedział. - Chciałbym się powłóczyć po Koktebelu. Nie obawiaj się o mnie, jestem uzbrojony po zęby - klepnął się po kieszeni kurtki, gdzie rzeczywiście miał berette.

Urok nocy rozwiewał się powoli. Mija atak malarycznej gorączki młodości. Obrzydliwa

rekonwalescencja. Nogi odzyskiwały swój zwykły ciężar. Łucznikow szedł przez Koktebel i niczego nie poznawał prócz pejzażu. Oczywiście pejzaż to także niemało.

W tych górach wszystkie nierówności terenu, widoczne zarówno w świetle księżyca, jak i w świetle słońca, styk lądu z morzem, skały i strome urwiska - na jednym z nich, przy głazie Wołoszyna, kołysze się na wietrze drzewo oliwne - wszystko to świadczyło o wszechobecności Duszy.

Pejzaż zmienił się nagle, wydłużył się księżycowy profil Siuriukkaja, ukazał się jakiś księżycowy obraz, przecięty kanionami i rozpadlinami, wśród których sterczały spiczaste szczyty. Oszalamiająca odmiana krajobrazu! Za szarym wołoszynowskim wzgórzem wyrósł nagle jakiś bazaltowy słup.

Krok od morza wznosi się nie istniejąca wcześniej skała z jaskinią u podnóża... Wtedy Łucznikow przypomniał sobie - to Disneyland dla dorosłych! Czytał gdzieś o tym pomysle znudzonej koktebelskiej administracji. Tak zwane Arkady Wyobraźni. Co za draństwo - żaden turysta nie dostrzeże przejścia ze świata naturalnego w świat wirtualny, pierwotna przyroda przedostaje się tutaj przez zręcznie zamaskowane otwory w murach. Przedostaje się i zostaje uzupełniona znakomitymi podróbkami. Każdy krok odsłania nieprawdopodobne widoki. Większość zwiedzających przeżywa szczególną euforię, niezwykle stan ducha. Nie zapomniano też o handlu. Tu i ówdzie w tym sztucznym świecie zbudowano bary, restauracyjki, eleganckie sklepy. W Arkadach Wyobraźni nikt nie liczy pieniędzy, każdy chętnie je wydaje.

Oczywiście z wyjątkiem „towarzyszy“ radzieckich. Obywatele kraju rozwiniętego socjalizmu mają do wydania tylko diety. Oni także popadają w euforię, jest to jednak typowa radziecka euforia, wywołana widokiem zachodnich wystaw sklepowych. Zdyscyplinowani turyści z północy podążają za przewodnikiem, grzecznie oglądają koktebelskie cuda, ale serce podchodzi im do gardła dopiero na widok wystaw Faberge, Tiestowa, Saksa, a umysł jest wtedy zajęty przeliczaniem „waluty“ - przebrzydłych dolarów, franków, marek, ticz.

Mimo tak późnej nocnej pory Łucznikow ujrzał w Arkadach Wyobraźni samotną kobietą postać. Niewątpliwie była radzieką turystką. Któż inny w środku nocy na skrzyżowaniu wirtualnego i rzeczywistego świata, nieopodal fal, które pieniały się z szumem, ale były sztuczne, mógł tak zachłannie oglądać wystawę sklepu perfumeryjnego?

Łucznikow, nie chcąc jej peszyć, skręcił w bok i zaczął się wspinać jakimiś pseudostarożytnymi schodami, aż dotarł do małej zatoczki otoczonej skałami, za którymi otwierał się widok na przestrzeń zalaną światłem księżyca. Okazało się jednak, że nie oddalił się od kobiety przed wystawą perfumeryjną, lecz przeciwnie - zbliżył się do niej.

Nie widziała go, zajęta studium wystawy, czytaniem reklamówek Heleny Rubinstein.

Nie ufając własnym oczom, Łucznikow jeszcze bardziej zbliżył się do radzieckiej damy.

Widział płaszczyk ściągnięty mocno paskiem, jasne włosy związane z tyłu głowy, piękną opaloną twarz ze zmarszczkami biegnącymi ku skroniom niczym końskie lejce. Kobieta zmrużonymi oczami oglądała flakony, tubki, słoiki, pudełeczka i poruszała spierzchniętymi wargami, czytając bezgłośnie angielski tekst. Takiej kobiety nie da się podrobić - pomyślał Łucznikow. - Uwierz swoim oczom i nie uciekaj od przeszłości.

- Taniu! - zawołał.

Drgnęła, wyprostowała się, nie wiadomo dlaczego zacisnęła dłońią usta. Widocznie jego głos rozległ się tuż przy jej uchu, ponieważ widział, że się rozgląda, szukając go w pobliżu.

- To ty, Andrieju? - dobiegł do niego jej rozpaczliwie daleki głos. - Gdzie jesteś?

Przypomniał sobie, że są w Arkadach Wyobraźni. Być może Tania widzi go teraz tak, jakby był bardzo daleko. Zaczął więc machać do niej dwiema rękami, zdjął kurtkę, wymachiwał nią, dopóki się nie przekonał, że zwróciła na niego uwagę. Jej oczy rozbłysły radością. A on zapragnął rzucić się ku niej, rozwiązać pasek płaszcza i zdjąć z niej wszystko, jak robił to niegdyś.

Ogarnęła go euforia. Andriej Arsieniewicz Łucznikow stał z podniesionymi ku niebu ramionami pośród dziwnego świata z uczuciem oszałamiającego szczęścia. System luster, brak poczucia rzeczywistości, elektroniczna akustyka, ale widzi ją, a ona widzi jego.

Ojciec, syn, miłość, przeszłość i przyszłość - wszystko to mieszało się, budząc dziwne nadzieje. Wyspa i Kontynent, Rosja... kwintesencja życia, skrzyżowanie szlaków.

- Taniu - powiedział. - Wyjdź szybciotko z tej diabelskiej beczki śmiechu.

Arsienij Nikołajewicz oczywiście nie mógł tej nocy zasnąć, palił bez końca, co spowodowało atak kaszlu, obrzydliwe rżenie w oskrzelach. Kiedy tuż przed świtem poczuł się lepiej, otworzył w gabinecie okno, włączył Haydna i usiadł przy nocnej lampce z tomem antologii filozofii rosyjskiej. Otworzył książkę, całkiem przypadkowo trafiając na ojca Pawła Florenskiego.

Nie przeczytał jednak ani linijki. W skąpym świetle przedświt zjawił się Antoszka, przelazł przez barierkę otaczającą solarium, przyczłapał na bosaka pod okno gabinetu dziadka. Usiadł na parapecie. Spojrzał na różowiejące niebo na wschodzie.

- Czy mógłbyś, dziadku, opowiedzieć o swoim najmocniejszym przeżyciu seksualnym? - spytał wreszcie.

- Byłem wtedy mniej więcej w twoim wieku - powiedział dziadek Arsienij.

- Gdzie to się działo?

- W pociągu - dziadek Arsienij uśmiechnął się i, zapomniawszy o niedawnym ataku kaszlu, zapalił. - Cofaliśmy się, po prostu uciekaliśmy. Od tyłu nacierał na nas Machno, a my nie zdobyliśmy Moskwy i wycofywaliśmy się w kierunku morza. Pewnego dnia pod Jelizawietgradem resztki naszej kompanii - ze dwudziestu pięciu ludzi - załadowano do pociągu. Trzeba trafu, że pociągiem tym ewakuowano studentki Instytutu Smolnego. Dziewczęta straciły najbliższych, straciły domy, a pociąg ponad rok błąkał się na naszych tyłach. Brudne, umęczone dziewczęta. Jeszcze niedawno zaleciliśmy się do nich, tańczyliśmy walca, umawialiśmy się na ślizgawkę. Poznały nas, ale ponieważ wojna domowa wszystkich nas zmieniła, gotowe były do kapitulacji. Tę moją ujrzałem od razu w pierwszym przedziale i natychmiast straciłem dla niej głowę. Nie wiem, jak się zdobyłem na taką bezczelność, ale prawie od razu wywołałem ją do przedsionka. Wstała i posłusznie poszła za mną. Na workach z węglem rozłożyłem szynel, a karabin postawiłem w kącie. Nigdy, ani wcześniej ani później, miłość fizyczna nie sprawiła mi takiej rozkoszy. Pociąg zatrzymał się na jakimś przystanku, jacyś mężczyźni próbowali wybić szybę, by wejść do przedsionka, ale pokazałem im karabin i kochałem się dalej z moją dziewczyną. Zorientowali się, o co chodzi, i rechotali za oknem. Na szczęście ona tego nie widziała, siedziała na workach odwrócona do nich tyłem.

- Zgubiliście się później? - spytał Anton.

- Tak, na długo - powiedział dziadek Arsienij. - Spotkałem ją wiele lat później, w trzydziestym pierwszym roku, w Nicei.

- Gdzie jest teraz?

- Oto ona - dziadek Arsienij wskazał portret zmarłej żony, matki Andrieja.

- Babcia?! - wykrzyknął Anton. - Czyżby to była moja babcia?

- Sure - nie wiadomo dlaczego po angielsku, odpowiedział speszony dziadek.

II. Program Wriemia

Tatiana Łunina rano wróciła do Moskwy z Krymu, a wieczorem pojawiła się na szklanym ekranie. Była trenerką reprezentacji lekkoatletycznej juniorów, a także znaną komentatorką sportową programu Wriemia. W przeszłości nie miała sobie równych jako plotkarka - we wspaniałym stylu przebiegała osiemdziesiąt metrów, była zawsze pierwsza na mecie. Odeszła ze sportu z tytułem mistrzowskim i rekordem, który został pobity dopiero po dziesięciu latach.

Wróciła do Moskwy oszołomiona nieoczekiwanym spotkaniem z Andriejem. Przed rokiem postanowili nie spotykać się więcej, a teraz wszystko zaczęło się od nowa. W samolocie z zamkniętymi oczami cały czas myślała o nim, zapominając o całym świecie, a przede wszystkim o swoim małżonku. Jednak on pamiętał o niej. W tłumie za barierą celną natychmiast dostrzegła postawną sylwetkę męża - dziesięcioboisty. Przyjechał swoją wołgą ze wszystkimi atrybutami moskiewskiego szyku: zamszową marynarką, zegarkiem seiko, papierosami winston, zapalniczką ronson i dwiema teczkami - dużą dyplomatką i małą pederastką. Zatraskany i tępowy wyraz twarzy miał przekonać otoczenie - mogą tu być znajomi - a może głównie jego samego, że zjawił się na lotnisku przypadkiem, znalazł trochę wolnego czasu, więc postanowił wyskoczyć do Szeriemietiewa, by spotkać małżonkę. Tania jednak nie miała wątpliwości, jak bardzo na nią czekał, jak jest jej spragniony. Przypomniała sobie niezmienny od lat piętnastu rytuał: powolne rozbieranie się, dotykanie piersi i bioder, coraz mocniejszy uścisk, dygot jego pożądania i własna obrzydliwa słodycz w całym ciele. Piętnaście lat dzień po dniu - on niczego więcej nie potrzebuje.

- Takie sprawy, Taniu, takie sprawy - mówił w drodze z lotniska, niby to opowiadał o wydarzeniach, które zaszły podczas jej nieobecności, powtarzał się, plótl jakies bzdury, pochłonięty myślami o tym, co ma nastąpić. W Moskwie oczywiście padało. Błady krążek słońca, które w ostatnich latach było rzadkim zjawiskiem atmosferycznym, wisiał nad ciemnymi chmurami, stłoczonymi nad wieżowcami dzielnicy mieszkalnej, gdzie wielkie litery wołały z dachów: „Partia to rozum i sumienie naszej epoki!“. Tania miała ochotę zignorować to wszystko - tak wiele wokół niej się zmieniło! Ale nie mogła zignorować, patrzyła na chmury, na błoto pryskające spod kół ciężarówek, na błady krążek słońca i na wielkie czerwone litery, na byczy kark małżonka trochę speszonego przedłużającym się oczekiwaniem, ze smutkiem myślała, że zamęt w sercu wywołany przez Łucznikowa szybko ustaje, odchodzi także w przeszłość nieustanny krymski karnawał, a ona powraca do nawyków liczących piętnaście lat.

Zabierał się do niej już w windzie, następnie na klatce schodowej, w drzwiach, za nic by jej nie wpuścił dalej niż do przedpokoju, ale Tatiana przypomniała sobie nagle Łucznikowa, jak w świetle księżycy siedział na łóżku i wyciągał ku niej ramiona. To wspomnienie sprawiło, że skamieniała, a później szarpnęła się w stronę drzwi: zapomniałam, kretynka, że należy to złożyć, poczekaj, mężulku, muszę biec, zapomniałam oddać, coś ty, zaczekaj, puść, proszę, czy nie rozumiesz, że muszę oddać ROZLICZENIE WALUTOWE! Co za spryt, jaki instynkt - w obrzydliwej szamotaninie, w uścisku mężowskich ramion wiedziała, czym może go spacyfikować, co na niego zadziała: rozliczenie walutowe - puścił natychmiast. Nim zdążył ochłonać, Tatiana wyskoczyła, pobiegła do windy, zjechała na dół, wybiegła z bramy, popędziła na drugą stronę ulicy i wsiadła do taksówki. Zauważyła na balkonie małżonka

pograżonego w niemej rozpacz, wyglądającego jak kamienny posąg z Wyspy Wielkanocnej.

Tego dnia nie miała w Komitecie nic do roboty, ale stale kręciła się po korytarzach, tak jak wypadało to robić. Wszyscy patrzyli na nią. Wśród ludzi zapracowanych, pogodzonych z obrzydliwą pogodą, opalona i błękitnooka, w białych spodniach i białej bluzie z żaglowego płótna - komplet ten kupił jej wczoraj Andriej w najelegantszym sklepie Teodozji - wyglądała jak istota z innego świata, co w pewnym sensie było prawdą. Jeszcze wczoraj wieczorem pędziła czerwonym turbo pod świetlistym niebem, jeszcze wczoraj nocą w Hiltonie znęcał się nad nią ukochany mężczyzna, a potem jedli kolację we francuskiej restauracji na nabrzeżu, oglądali wycieczkowe statki i jachty z różnych stron świata, a nad nimi na ciemnym niebie latały boeingi do Singapuru, Sydney, Delhi...

Jak będę dłużej tu się kręciła, napytam sobie biedy - pomyślała. I miała rację. Z pierwszego wydziału wyszła zaprzyjaźniona sekretarka Wierula o oczkach okrągłych jak paciorki.

- Nakablowano na ciebie, Taniu, gratuluję, nie widziałam jeszcze czegoś takiego.

- Kiedy zdążyli?

- Zdążyli...

- Kto?

- Nie domyślasz się?

Domyślała się, chociaż nieważne, kto był autorem donosu. Ani przez chwilę nie wątpiła, że powiadomią Komitet o jej spotkaniu z Łucznikowem. Zaskoczyła ją tylko sprawność donosiciela, pewnie prosto z samolotu pognał do pierwszego wydziału.

- Napisano tam, kochanie, że dwie noce spędziłaś w hotelu z białogwardzistą.

Siedziały w kąciku za halą maszyn, gdzie nikt nie zaglądał, i paliły przywiezione przez Tanię papierosy saratoga. Wierula - nałogowa palaczka - za jednego takiego papierosa mogła sprzedać każdą tajemnicę państwową.

- To prawda? Gratuluję, Taniu. Ja za jedną, za ćwierć takiej nocy posłałabym całą tę bandę do wszystkich diabłów.

Takie sprawy - pomyślała Tatiana Łunina, naśladować swego męża - takie sprawy. Dziwne, atmosfera Komitetu z krążącymi po korytarzach byłymi mistrzami sportu działała na nią uspokajająco, dodawała otuchy. Wszyscy ci ludzie związani ze sportem byli bohaterami donosów albo ich autorami, a niekiedy jednym i drugim. Ciągłe ktoś z nich „podpadał”, przez jakiś czas - rok, dwa lub trzy lata - nie wysyłano go za granicę. Jeżeli w tym czasie nie zaniedbał się, nie wpadł w alkoholizm, nie wyszedł z obiegu, znowu zaczynał jeździć - najpierw do krajów socjalistycznych, a później także do kapitalistycznych. W takiej sytuacji słowo „sprawy” pasowało jak ulał. Tania nie myślała już o Andrieju. Podarowała Wieruli wszystkie kosmetyki, jakie miała w torebce, opowiedziała o białym komplecie, który może razili w Moskwie, ale pochodził z najelegantszego sklepu w Teodozji, kosztował sześćset tyczy i świetnie wyglądał na tamtejszych ulicach. Każdy człowiek z Zachodu na pierwszy rzut oka pozna, gdzie go kupiono. Wtedy w kącie, gdzie siedziały, usłyszały głosy: „Widzieliście Łuninę?”, „Podobno przyszła Tania Łunina!”, „Siergiej Pałycz pytał, czy nie było towarzyszkę Łuninę?”

- Dziwne jest życie - westchnęła pryszczata Wierunia z wylupiastymi oczami. - Tutaj za taki komplet nie dadzą dwudziestu rubli, a dzinsowy kosztuje dwieście. Ile kosztuje na Krymie dzinsowy sarafan z bluzeczką? - Trzydzieści pięć tyczy - ze znajomością rzeczy powiedziała Tania. - A na rynku można kupić za dwadzieścia.

- Jakie to dziwne... - szepnęła Wierula.

Na korytarzu rozległ się tupot wielu nóg, głośne rozmowy, trzasnęły drzwi i zapadła cisza, zaczęło się zebranie. Tatiana ucałowała szybko pogrążoną w rozważaniach Wierulę, wyskoczyła na korytarz, zbiegła schodami, otworzyła drzwi na boczną uliczkę i ujrzała zieloną wołgę. Przy kierownicy siedział zniecierpliwiony małżonek. Trudno, nie ma rady - pomyślała, kierując się do samochodu. Świadomość, że w wydziale specjalnym znajduje się doniesienie na nią, sprawiła, że zaczęła inaczej patrzeć na męża, zbliżenie z nim już nie wydawało się sprzeczne z naturą.

Jednak małżonek i tym razem nie miał zaspokoić swych pragnień. Ledwo zajechali przed blok spółdzielczy, wsparty na betonowych fundamentach przybytek ich miłości, jak go w skrytości ducha nazywał były dziesięcioboista, poczuł ukłucie trwogi: przed ich klatką schodową stał wóz z napisem „Telewizja“, a na ganku sterczeli faceci z programu Wriemia, z pewnością czyhali na Tanię. Okazało się, że dzisiaj nie ma kto pokazać się na ekranie, prócz Łuninej wszyscy sportowi komentatorzy są poza Moskwą. A gdyby się samolot spóźnił? Gdyby się spóźnił, szukano by jakiegoś innego wyjścia, ale się nie spóźnił, więc bez Tani ani rusz. No cóż, logiczne. Podłe nastały czasy, ślubny małżonek przez cały dzień nie może uzyskać tego, co mu się prawnie należy. Bałagan jakiś, brak porządku.

Nawet Tatiana trochę się zezłościła i zrozumiała nagle, że jest to złość moskiewska, że już ostatecznie wróciła do rzeczywistego świata. Andriej Łucznirow - który to już raz - odpłynął w przestworza, a wraz z nim odpłynęło wszystko, co było wczoraj - Koktebel, Krym wraz z całym światem zachodnim.

Tego wieczora Tatiana, która pojawiła się na ekranach jak zwykle na tle stadionu na Łuznikach, była jakaś inna, zwichrowana ideologicznie. Czytała idiotyczne wiadomości sportowe, a miliony mężczyzn w całym kraju miało wrażenie, że to objawienia Erosa. Mąż wziął ją na dywan przed telewizorem. Potrafił się skoncentrować i doprowadził ją do krańcowego wyczerpania. Kochał każdą żyłkę w jej ciele i gorąco pragnął dotrzeć do każdej. Trzeba przyznać, że nigdy nie był o nią zazdrosny: pragniesz romantyki - twoje prawo, puszczasz się z innymi - także nie szkodzi, byle zostało coś dla mnie.

III. Chujoza

Dawniej - jeszcze rok temu - Gangut był bardzo zmartwiony, kiedy dostrzegł objawy starzenia się, teraz jakby się do tego przyzwyczaił, no cóż nie ma rady - włosy siwieją, od czasu do czasu strzyka w stawach, zdarzają się kłopoty z pęcherzem, nie ma mocnych na biologię. Pomocna okazała się przywoływana w trudnych sytuacjach wierna towarzyska życia - ironia. Jakże bowiem przyjmować do wiadomości to wszystko bez ironii? Było piękne ciało, tańczyło, śpiewało. Lecz się zestarzało i okropnie zbrzydło. Nadszedł czas, by ciało przerobić na mydło... Tak się wdzięczył do samego siebie całkiem jeszcze niestary, średnio sytuowany Gangut, dostrzegając objawy starzenia się.

Aż nagle zauważył kolejny zaskakujący objaw. Odkrył w sobie nową skłonność. Kawę na ławę, proszę państwa, Gangut uświadomił sobie, że zawsze stara się wrócić do domu przed godziną dwudziestą pierwszą. Przed tą godziną parzy herbatę i włącza telewizor z programem Wriemia - to właśnie starość, objaw rozpadu duszy.

Oto jestem tu, porzucony przez wszystkich w zatęchłym mieszkaniu, brzuchaty, i sam na sam z telewizorem. „Warta przodowniczego roku“. Idiotyczny komunikat liczbowy. Cztery miliony ton zbóż - czy to dużo, czy mało? Wszechzwiązkowa konferencja czytelnicza. Wszyscy klaszczą. Ponure spięte twarze. Akt dekoracji orderem obwodu wołgogradzkiego. Staruszkowie z medalami. Wprowadzenie sztandaru. Buldożery. Znowu „Warta przodowniczego roku“. W krajach kapitalistycznych wzmaga się walka o prawa człowieka. Ujarmiona długowłosa młodzież leje policję. Izraelscy żołdacy znęcają się nad arabskimi wieśniakami. Znowu wiadomości krajowe! Grają pogodne harfiarki, cudowny raj! Stabilizacja, wesołe dzieciaki, tulipany... Co za chujoza... Gangut z dysydenckiego nawyku ironizował niemrawo, w rzeczywistości jednak wzruszał się w propagandowym transie, jakby ktoś go głaskał po głowie, był tego świadomy, ale poddawał się wzruszeniu, coraz bardziej pragnął go każdego wieczora. Program Wriemia uzalił się nad kryzysowymi zjawiskami zachodniej rzeczywistości, pochwalił sztukę radziecką i dotarł do wiadomości sportowych, najbardziej lubianych przez Ganguta. Gangut gdzieś wyczytał, że współczesny widz telewizyjny, aczkolwiek wydarzenia sportowe ogląda, siedząc wygodnie w fotelu, jednak w jakiś sposób uczestniczy w nich, w jego organizmie zachodzą wówczas procesy ozdrowieńcze. Oczywiście bzdura, ale bzdura przyjemna. „O wydarzeniach sportowych opowie nasz komentator...“ Było ich siedmioro czy ośmioro, Gangut traktował ich prawie jak rodzinę, coś jak „krewnych“ z powieści Bradbury’ego. Każdemu nadał przezwiska i zawsze starał się odgadnąć, kto dzisiaj zjawi się na ekranie: „Pedant“ czy „Komsomołeczka“, „Szlachcianka“ czy „Agit - Słoń“, „Zaspana“, „Żaba“, „Błękitny“... Ukazał się rzadki gość - „Seksowna Dziewczyna“, czyli Tatiana Łunina. Jej widok wstrząsnął Gangutem. Błyszczące oczy Tatiany, opalona twarz, biała, szykowna kurteczka były dla niego tego wieczora sygnałem: jesteś, Witalij, worem gówna, najwyższy czas wyrzucić cię na złomowisko.

Znali się kiedyś. Nawet jakby się mieli ku sobie. Kiedyś sprężystym krokiem zjawiał się na korcie... Tania ścinała tam piłki. Kiedyś pokazywał w Domu Filmowca film, wywalczony po długich bojach z biurokracją... Tatiana siedziała w pierwszym rzędzie. Kiedyś bywał w wesołym towarzystwie, trzymał fason... Spotykał czasem Łuniną. Krzyżowały się ich spojrzenia, niekiedy wymieniali jakieś repliki, a każda replika jakby mówiła, iż może ich coś

połączyć, czemu nie dzisiaj, ale jutro albo pojutrze, czy za rok... Pewnego razu na wystawie awangardowego malarza, urządzonej ukradkiem na poddaszu, spotkał Łuninę z Łucznirowem, swoim zagranicznym przyjacielem, bogaczem z Krymu. Każdy jego przyjazd do Moskwy wywoływał zamieszanie w piwnicach i na poddaszach: Łucznirow przywoził płyty jazzowe, albumy, czasopisma i obuwie dla naszych biedaków, urządzał balangi, jeździł po Moskwie z gromadą dziewczyn, kompanów od kielicha i szpiclów, później wyruszał w jakąś niesamowitą podróż, powiedzmy do Buenos Aires, i wracał ze Sztokholmu. Dla moskwianina zarówno Buenos Aires, jak i Sztokholm, to tylko marzenie. Wtedy, na nielegalnym wernisażu, bez znajomości psychologii można się było zorientować, że Andrieja i Tatiinę łączy romans, szalony romans, że oboje są nieprzytomni ze szczęścia. A Gangut właśnie miał złą passę, odrzucono mu film, który go kosztował dwa lata pracy, w Sojuzkinie urządzono pranie mózgu, nie puszczono na festiwal w Cannes, upupiono kolejny scenariusz, a ówczesna żona, Dina, zrobiła mu obrzydliwą awanturę z powodu pieniędzy, miała mu za złe, że rzekomo wszystko przepija, a rodzina skazana jest na głód, awanturowała się z powodu częstych wyjazdów, czyli - jak uważała - jawnego kurewstwa pod pozorem poszukiwań twórczych. Krótko mówiąc, nie był to dla Ganguta dobry moment na oglądanie cudzego szczęścia. Razem z innymi nieszczęśliwymi wołał popijać liche wińsko, pluć na Związek Radziecki i bradziażyć po kątach.

A czasy były piękne. Wprawdzie dranie znęcali się nad nami, ale czasy były piękne. Gdzie się to wszystko rozwiało? Gdzie jest ów malarz awangardzista? Gdzie większość gości wernisażu? Wszyscy się wynieśli. Izrael, Paryż, Nowy Jork. Można oddać na makulaturę książkę telefoniczną. „Leningradzie, ja jeszcze nie chcę umierać, jeszcze w starym notesie mam twoje numery...“. A w Pitrze prawie nie ma do kogo telefonować. Jak szybko mijają przekłete lata, z braku wielkich zmian gromadzą się obrzydliwe drobne zmiany. Rachunek lat to koszmar. Przeraza obecność śmierci. Przeraza również nieśmiertelne bytowanie.

Witalij Gangut zerwał się z wygniecionego fotela, wlepił oczy w kolorową podobiznę Tani Łuninej. Wygląda tak jak wtedy. Czy nasze dziewczyny potrafią jeszcze tak wyglądać? Czyżbyśmy jeszcze żyli? Czyżby Wyspa Krym pływała jeszcze po Morzu Czarnym?

„Reprezentacja juniorów podczas zawodów na Krymie pokonała miejscowych lekkoatletów we wszystkich konkurencjach. Najlepsze wyniki osiągnęli...“.

Co ona mówi? Dlaczego się z nią nie ożeniłem? Ona by mi nie pozwoliła tak skapcanieć, zestarzeć się, tak obrzydliwie chałturzyć przy robieniu filmów oświatowych. To nie Dinka, ani Kątka, ani inne moje idiotki, ona jest... A gdzie Andriusza? Ile lat nie widzieliśmy się ze sobą? W ubiegłym roku, a może dwa lata temu, jechaliśmy razem z Południa moim gruchotem i przez całą drogę kłóciliśmy się. Jak wariaci gadaliśmy tylko o polityce: o dysydentach, o KGB, o gerontokracji, o Czechosłowacji, zachodnich lewakach, o charakterze narodowym Rosjan, śmierdzącym mesjanizmie, jego idiotycznej Idei Wspólnego Losu... Łucznirow powiedział wtedy, że on, jego przyjaciele i gazeta „Kurier“ walczą o połączenie Krymu z Rosją, a Gangut wściekł się, nazwał go masochistą, samobójcą, zwyrodnialcem z rozszczepioną psychiką i chujem rybim.

- Za dobrze się wam łajdakom powodzi w kapitalizmie, neuropaci przekłeci, chcecie zhańbić nasze pokolenie, zabić przed czasem nasze nadzieje, tak jak wasi ojcowie, padlina umundurowana, co przesrali całą Rosję w knajpach, a potem nawiali! - wrzeszczał Gangut, kiedy jego zdezelowana wołga z łoskotem podążała do Moskwy.

- Przecież twój ojciec, Witaliju, był marynarzem na czerwonym niszczycielu, walczył o Krym, idioto! - darł się Łucznirow. - Oślepiście, bo wam nie dają robić waszych głównianych filmów! Oślepiście ze złości, wypierdki historii! Rosja potrzebuje nowej spermy!

W jakiejś paskudnej jadłodajni pod Moskwą pogodzili się pozornie, przestali kłócić, uśmiechali się, ironicznie zwracali do siebie „towarzyszu Łucznirow“, „szanowny panie Gangut“, umówili się na spotkanie na dzień następny, by razem odwiedzić saksofonistę Dimę Szebeka, ale obaj wiedzieli, że się więcej nie zobaczą, że ich drogi życiowe rozeszły się, że każdy z nich może spisać drugiego na straty.

Czym było dla pokolenia Ganguta w Związku Radzieckim dziwne pod względem politycznym, historycznym i geograficznym zjawisko noszące nazwę Wyspa Krym? Czy rzeczywiście nadzieją, jak w uniesieniu wołał Gangut? Od dzieciństwa pamiętali jedynie słuszną, wyczerpującą definicję Krymu: „Na tym skrawku ziemi czasowo okopali się białogwardyjscy pogrobowcy czarnego barona Wrangla. Naród nasz nigdy nie zaprzestanie walki przeciwko niedobitkom białych band o urzeczywistnienie słusznych oczekiwań tamtejszych prostych ludzi pracy, marzących o połączeniu odwiecznej rosyjskiej ziemi z wielkim Związkiem Radzieckim“. Autorem definicji był naczelny autor kraju, więc nie kwestionowano żadnego słowa. W pięćdziesiątym szóstym roku, kiedy sam autor został zakwestionowany, czarnomorska wyspa budziła gorące zainteresowanie w środowisku nowej młodzieży, ale gdyby nawet wtedy jednemu z najaktywniejszych młodych ludzi w Leningradzie, Witalijowi Gangutowi, ktoś powiedział, że za dziesięć lat zaprzyjaźni się serdecznie z „pogrobowcem pogrobowców“, uznaliby to za kiepski dowcip lub nawet „burżuazyjną prowokację“. Ojciec Ganguta rzeczywiście walczył o Krym podczas wojny domowej i przebywał na pokładzie niszczyciela „Czerwona zorza“, kiedy trafiła go salwa z angielskiego krążownika. Wynurzywszy się z wody, ojczulek zaangażował się w przebudowę kraju, dopóki znowu nie stracił gruntu pod nogami. Kiedy udało mu się powrócić z gułagu, opowiadał wiele ciekawych rzeczy, między innymi o Krymie. „Nasza flota była wówczas w opłakanym stanie - mówił. - Gdyby bodaj wąziutki przesmyk łączył Krym z Kontynentem, albo gdyby Czongar nie był taki głęboki, dotarlibyśmy tam po własnych trupach. W tamtych czasach, towarzysze, panował ogromny entuzjazm“.

W pierwszych poststalinowskich latach ponura definicja, która z góry wykluczyła wszelkie wątpliwości, straciła nieco ze swego imperatywnego charakteru, ale to wcale nie przybliżyło Wyspy do Rosji, lecz nawet oddaliło. Krym jawił się teraz jako odrażająca międzynarodowa jaskinia rozpusty, eldorado awanturników i szpiegów. Były tam amerykańskie bazy wojskowe, striptiz, jazz, boogie - woogie. Krótko mówiąc, Krym odsunął się od Rosji, zrównał się z różnymi Hongkongami, Singapurami, Honolulu, stał się symbolem zachodniej rozwiąłości, co w pewnym sensie było faktem. Pewnego razu w knajpie pewien marynarz opowiadał, że kiedyś mieli awarię silnika, przez całą noc, dopóki trwała naprawa, ich trawler znajdował się nieopodal Jałty, przez lornetkę widzieli latarnie na nabrzeżu, szyld „drink coca - cola“ pisany rosyjskimi literami. Litery były rosyjskie, ale Jałta wydawała się bardziej odległa od rosyjskiego brzegu niż Londyn, dokąd już po trochu zaczynało jeździć, nie mówiąc o Paryżu, z którego przyjeżdżał Yves Montand. I nagle Nikita Siergiejewicz Chruszczow - nie tłumacząc niczego społeczeństwu - podpisał z Wyspą umowę o wymianie kulturalnej. Rozpoczęło się pokojowe współistnienie. Z Krymu przyjechał nudny tatarski zespół ludowy, a na Wyspę wysłano Cyrk Moskiewski. Zrobił tam prawdziwą furorę, zasypano go kwiatami, pieszczono i kadzono. Kiedy w latach sześćdziesiątych pojawili się pierwsi rosyjscy goście z Wyspy, pokolenie Ganguta zaczęło nawiązywać kontakty z krymskimi rówieśnikami, ponieważ przyjeżdżali przede wszystkim młodzi, starzy wrewakuanci nie wyczuli się lęku przed bolszewikami. We wczesnych latach sześćdziesiątych młodzi wyspiarze robili oszałamiające wrażenie na moskwianach i

leningradczykach. Okazało się, że można być Rosjaninem i znać biegle dwa, trzy języki europejskie, odwiedzić dziesiątki krajów, studiować w Oksfordzie i na Sorbonie, mieć paszporty amerykańskie, angielskie, szwajcarskie. A u siebie na Krymie obywać się bez paszportu. W jakiś dziwny sposób nie uważali swego kraju za ojczyznę - był to dla nich jakby obóz tymczasowy. A jednak byli Rosjanami, chociaż nie wszystko rozumieli. Na przykład nie rozumieli sensu gorących w owym czasie dyskusji o malarstwie abstrakcyjnym i jazzie. Trudne moskiewskie pytania wywoływały uśmiechy, wzruszenia ramion i niemrawą odpowiedź: *Why not?* Dlaczego nie? Ludzi, którzy wyrosli pod znakiem „Dlaczego tak?“, nie wiedzieli jak wytłumaczyć swoją walkę o taką a nie inną szerokość nogawek spodni, o fryzury, tańce, technikę nakładania farb na płótno, Teatr Sowriemiennik czy Teatr na Tagance. Byli jednak tacy, którzy wszystko chcieli zrozumieć, wszystko poznać od środka, a pierwszym z nich był Andriusza Łucznikow.

Dziwnym zrzędzeniem losu Gangut poznał Łucznikowa na Wyspie. Przyjechał tam jako jeden z pierwszych „sovieticusów“ na Jałtański Festiwal Filmowy. Tamtego roku nastąpiła jakaś dziwna przerwa w generalnej operacji przykręcania śruby. Gangutowi pozwolono zgłosić jego drugi film na pokaz poza konkursem. Nazajutrz rano w hotelu zjawił się rudzielec w spranej dżinsowej kurtce z roleksem na przegubie, przedstawił się jako członek rady programowej gazety „Russkij Kurier“ Andriej Łucznikow, przyniósł grube niczym poducha niedzielne wydanie gazety, w którym o Gangucie napisano ni mniej, ni więcej: „Jeden z czołowych reżyserów nowej fali kina światowego Witalij Gangut uważa...“. Tak po prostu w jednym szeregu z Antonionim, Chabrolem, Bergmanem, Bunuelem...“ Gangut oczywiście uległ zauroczeniu Wyspą, całkowicie złożył broń. Być może wtedy po raz pierwszy w jego świadomości zrodziła się myśl, że Wyspa Krym należy do całego ich pokolenia, że jest wcielonym marzeniem, modelem przyszłej Rosji.

W tamtych czasach mówiono, pisano, filmowano i wystawiano w imieniu pokolenia. Gdzie są dzisiaj owi ludzie z lat sześćdziesiątych? Ilu z nich przepchnęło się przez izraelską szczelinę i rozsiało po świecie? To wcale nie jest pytanie retoryczne. Liczebność i geografia rozproszenia też świadczą o katastrofie. Wyjazd jest również decyzją, jak uważają niektórzy. Nie można przez całe życie być plasteliną w brudnych łapach tego państwa. Są jednakże i inne decyzje. Najodważniejsi siedzą w więzieniach. Wyjazd to klimakterium - uważają inni i może jest to trafniejsze określenie. Ci, co pozostali, mówią - katastrofa i kupują żyguli. Nagle się okazało, że można nieźle zarabiać na filmach oświatowych, trzeba tylko zrezygnować z ambicji, zająć się samodoskonaleniem, a ono z czasem oznacza cowieczorne wysiadywanie w fotelu i oglądanie programu Wriemia.

Coraz rzadziej dzwoni telefon u Ganguta, coraz rzadziej wychodzi on wieczorami z domu, coraz mniej pozostało przyjaciół. Teraz zniknął z wykazu Andriej Łucznikow, jaki z niego Rosjanin, to obcy, zwichnięty zachodni lewak, niech go diabli... coraz mniej przyjaciół, coraz mniej kobiet, co prawda maluch w spodniach ma coraz mniejsze wymagania.

Takie mętne tło, *background* - jak się dzisiaj mówi - kłębiło się za plecami Witalija Ganguta, kiedy stał pochylony, wpatrując się spłoszonym wzrokiem w twarz komentatorki sportowej Tani Łuninej. Widniała na ekranie trzy lub cztery minuty, po czym została wyparta przez prognozę pogody. Gangut szarpnął się, złapał marynarkę... Przed rokiem była w sam raz, obecnie się nie dopina. Nie będę żarł trzy dni, zacznę znowu biegać... Zajrzał do portfela. Dawne grube pieniądze - „pokłosie twórczych triumfów“ nie trzymały się go, dzisiejsze - ciułane kosztem upokorzeń, zawsze były w portfelu... Szedł przez mieszkanie, jego sylwetka odbijała się w brudnych szybach, zakurzonych lustrach, gasił za sobą światła, czyli zniknął, w końcu zatrzymał się na sekundę przy drzwiach, zgasił swoje ostatnie odbicie,

westchnął i stwierdził, że jutro z samego rana trzeba pójść po formularze do OWIR - u, wydziału wiz i rejestracji cudzoziemców. Będzie stąd spadać, spadać jak najszybciej.

Na schodach ogarnęła go fala radości, „młodzieńczego entuzjazmu“. Rzuci wszystko, otrząśnie się ze wszystkiego, dokładnie umyje ręce, spali za sobą mosty, popłynie pod pełnymi żaglami! Trzeba uczciwie powiedzieć, że „młodzieńczy entuzjazm“ w przeszłości nieraz nawiedzał znakomitego reżysera. Tak jak dzisiaj wybiegał wieczorem na ulicę, spacerował z uczuciem uniesienia, lądował w końcu w pobliskiej melinie pijackiej, a rano, po trzech kawach, jechał do oświatówki, w drodze niemrawo rozważał motywy odwrotu, myślał o klimakterium, o pokoleniu, o korzeniach, o tym, że niedawno w jakimś artykule wymieniono jego nazwisko, a więc cofnięto zakaz, może za jakiś czas pozwolą kręcić film, a przecież każdy bodaj odrobinę niekonformistyczny film więcej znaczy dla wspólnej sprawy niż dziesięć „Kontynentów“. Fałszywe zaproszenie do Izraela, które zdobył w krótkotrwałym okresie dysydenckim, leżało starannie ukryte jako zabezpieczenie przyszłych zrywów „młodzieńczego entuzjazmu“.

Dzisiejszy zryw różnił się od poprzednich, był to rzeczywiście jakiś chwilowy nawrót młodości. Przede wszystkim odszuka Tanię, dowie się, co jest z Andriejem. Trzeba koniecznie nawiązać z nim kontakt. Na Krymie istnieje rozwinięty przemysł filmowy. Redaktor naczelny „Kuriera“ nie odmówi pomocy dawnemu kumpłowi. To bądź co bądź Witalij Gangut, „jeden z...“. Jeszcze niedawno w Domu Filmowca, kiedy się zażerali kawiozem, pewien hollywoodzki przystojniak powiedział mu: *I know. I know, you are very much director*. Wyjedzie stąd z hukiem. Więc najpierw odszuka Tanię Łuninę i jeżeli nadarzy się okazja, przeleci ją.

Czerwone oczko windy tępo wpatrywało się pod prawy obojczyk Ganguta. Szyb dźwigowy w czternastopiętrowym spółdzielczym wieżowcu pomrukiwał jak samolot. Skądśś dobiegała piosenka *Hey Jude*. Rozsunęły się drzwi windy, wysiadł sąsiad Ganguta, mężczyzna w średnim wieku, który patrzył spode łba i trochę w bok oraz spacerował z dużym psem obronnym. Mieszkał w sąsiedztwie od kilku lat, ale Gangut nie znał jego nazwiska ani imienia. Sąsiad nie mówił nigdy dzień dobry, co więcej - nie odpowiadał na pozdrowienie. Pewnego razu Gangut się zirytował i zatrzymał go za guzik: „Należy odpowiadać“. „O co chodzi?“ - spytał sąsiad. „Kiedy ktoś mówi panu dzień dobry, trzeba coś odpowiedzieć“. Tak - tak - powiedział sąsiad i poszedł sobie, spoglądając spode łba. Oczywiście psa nie było podczas tej rozmowy. Gangut spodziewał się, że lekcja nie pójdzie na marne, ale było inaczej. Sąsiad tak jak dawniej mijał Ganguta, jakby widział go po raz pierwszy.

- A, dzień dobry - powiedział tym razem. Pies wymachiwał potężnym ogonem. Gangut był zdumiony.

- Dzieńdoberek, dzieńdoberek...

Sąsiad przytrzymał Ganguta za ramię. Winda uciekła.

- Proszę wstąpić do mnie - powiedział.

- Słucham? - nie zrozumiał Gangut.

- Zapraszam do mnie - sąsiad uśmiechnął się swawolnie. - Tyle czasu mieszkamy obok siebie...

Był podchmielony.

- Nigdy bym do pana nie poszedł - powiedział Gangut - ale dzisiaj zrobię to.

- Właśnie dzisiaj - sąsiad wciąż chichotał. - Mam gości. Jubileusz. Proszę, proszę.

Gangut wszedł do mieszkania przepojonego zapachem odświętnych potraw. Okazało

się, że redaktor artystyczny Jerszow, czyli „mężczyzna spoglądający spode łba i trochę w bok“, niesympatyczny sąsiad, obchodzi swoje półwiecze. Stół ugiął się od przysmaków, sterczały udka węgierskich indyczek, nieco uszkodzone marmury galaret odbijały światło ozdobnego żyrandola. Od pierwszego spojrzenia na gości Gangut zrozumiał, że nie powinien był tu przychodzić.

- To nasz sąsiad, rosyjski reżyser filmowy Witalij Gangut - obwieścił jubilat.

Biesiadnicy zostali ściśnięci, Ganguta umieszczono na skraju kanapy między damą w błyszczącej peruce i szczupłym nastolatkiem - uczniem z gatunku tych, którzy w środku dnia dzwonią do drzwi i zaskakują inteligencję twórczą pytaniem: „Przepraszam, może państwo mają makulaturę?“.

- ... Rosyjski reżyser... utalentowany, zdolny... my... gdyby... pamiętasz film historyczny z dziejów naszej ojczyzny... rosyjski reżyser... odsunięty... wiecie przez kogo...

Z różnych stron stołu patrzyły na Ganguta gęby niczym rondle.

- Dlaczego tak się tu podkreśla narodowość? - spytał sąsiadkę przy stole.

- Ponieważ, Witaliju, uważano tu pana za Żyda - odpowiedziała obojętnie, poprawiając jednocześnie biust i peruczkę.

- Mylili się - zawołał męski głos z przeciwnego końca stołu. Rozległ się śmiech, ktoś zaproponował, żeby wypić za coś, zaczęło się ogólne picie - zakąszanie, wszyscy mówili naraz, o Gangucie zapomniano. Dopiero wtedy odsunął łokciem talerz, na którym miał już nóżki w galarecie, kawał indyczki, kawał kulebiaka, śledzie i sałatkę, i spytał donośnie sąsiadkę:

- Co to znaczy?

Z drugiej strony stołu wyciągnęła się dłoń, przyjacielsko ucisnęła rękę Ganguta. Męska wąsata twarz uśmiechała się swojsko, koleżeńsko, dawniej powiedziano by - w imieniu całego pokolenia.

- Jewdokija jak zawsze wszystko upraszcza, chodźmy, Witaliju, na balkon, zapalimy.

Od stołu podniosła się potężna, wysportowana postać w czarnej skórzanej kurtce, wypisz wymaluj rewolucyjny komandarm. Gangut wstał także, miał dość siedzenia w kącie kanapy koło sąsiadki wiercącej się w swojej kremplinie.

- Oleg Stiepanow - przedstawił się postawny facet, kiedy wyszli na balkon, wyjął paczkę marlboro. - Krajowe, nawiasem mówiąc. Tu jest napis po rosyjsku. Produkują w Moskwie.

- Pierwszy raz widzę - mruknął Gangut. - Nieraz słyszałem, ale nigdy nie paliłem - zaciągnął się. - Smak całkiem naturalny.

- Tak jest - Oleg Stiepanow przespacerował się po rozległym balkonie i stanął w odległości metra od Ganguta. - Uśmieje się pan, ale. często rozmawialiśmy u Jersza o panu. I mieliśmy pana za Żyda.

- Dlaczego rozmawialiście o mnie? I w dodatku często? Dlaczego interesowało was, czy jestem Żydem, czy nie?

- W naszych czasach ludzie szukają się wzajemnie. Trwa historyczna selekcja - krótko wyjaśnił Oleg Stiepanow.

- Jest pan słowianofilem?

- Oczywiście - uśmiechnął się Oleg Stiepanow. - Chyba pan się zgodzi, że należy pomagać stłamszonemu narodowemu geniuszowi. Siłą rzeczy poszukuje się Rosjan w sztuce. Pańską twórczość - trzy pańskie filmy, pomimo modnych obcych ozdobników - osobiście uważam za rosyjską, jest w niej zdrowe rosyjskie jądro. Oczywiście nazwisko, imię ojca Siemion, a co ważniejsze - pańskie otoczenie - budziły wątpliwości, ale badanie wykazało, że miałem rację, cieszę się szczerze, Witaliju, proszę mi wierzyć.

- Badanie? - spytał Gangut.

Oleg Stiepanow poważnie skinął głową.

- Sprawdzaliśmy pańskie korzenie. Możliwe, że pan o tym nie wie, ale początek Gangutów w Rosji sięga wielkiego rosyjskiego zwycięstwa w bitwie przy przylądku Gangut, gdy wzięto do niewoli pewnego Szweda, chłopca okrętowego. Później była już tylko krew rosyjska. No cóż, Szwedzi, Waregowie, to jest do przyjęcia.

- Mówi pan poważnie?

Stali na balkonie dziesiątego piętra w czternastopiętrowym wieżowcu. W dole na skrzyżowaniu migąca sygnalizacja uliczna. Dalej, za wąską wstęgą rzeki, piętrzyło się jak skalne turnie, niknąc w nocnym zmroku, nowe osiedle, przypominające prehistoryczną jaskinię. Nad nim dogasało wiejskie niebo. Ganguta ogarnął bezgraniczny smutek. Gwałtownie poruszył głową, jakby walczył z wciągającym wirem wodnym. Oleg Stiepanow stał wsparty o poręcz balkonu, on także patrzył na zielonkawę, nie wróżące nic dobrego niebo.

- Żydzi to przypadkowi goście na naszej ziemi - powiedział.

Gangut pomyślał, że stąd trzeba się wynieść, wynieść się natychmiast z tego bagna. Ale został prawie do rana, żarł z talerza, który wyglądał jak koryto, pił wszystko jak leci, coraz bardziej otępiały słuchał Olega, który go namawiał, by koniecznie zadzwonił jutro do jakiegoś Dmitrija Walentinowicza, który mu pomoże. Kto to jest? Minister, sekretarz KC, generał? To skromny ptaszek, ale śpiewa pięknie. Zadzwon do niego jutro, przedstaw się, a zobaczysz, że życie ci się odmieni.

O świcie Stiepanow zawlókł Ganguta do jego mieszkania naprzeciwko, ułożył na tapczanie, nawet otarł wymiociny.

Siedział jakiś czas obok bezwładnego ciała, usiłował je odwrócić z brzucha na plecy, albo przynajmniej wsunąć rękę pod brzuch - na próżno, Gangut sapał tylko, ale na nic nie reagował. Zmartwiony Oleg Stiepanow usiadł w fotelu przy biurku, wsunął rękę do kieszeni spodni, ścisnął go. Przed sobą miał zdjęcie - dwaj nadzy chłopcy i jedna naga dziewczyna na de przypiływu fali. Patrzył na zdjęcie, pomrukując rozkosznie i nie przestając grzebać. A potem wyszedł, zostawiwszy na biurku numer telefonu.

IV. Dziwna przygoda

Tamtego wieczora Marlen Michajłowicz Kuzienkow także oglądał na ekranie telewizyjnym komentatorkę sportową Tatianę Łuninę, ale nie zrobiła na nim tak oszałamiającego wrażenia jak na wrażliwym artyście Witaliju Gangucie. Owszem podobała mu się. Miło oglądać na ekranie telewizyjnym zadbaną, dobrze ubraną kobietę. Marlen Michajłowicz uważał, że sprawia to przyjemność wszystkim za wyjątkiem pryncypialnych, najbardziej zagorzałych przeciwników epoki telewizji. A tymczasem przystojne twarze na ekranie nie tylko nie szkodzą, lecz przeciwnie - są pożyteczne. Dzisiaj widuje się na ulicy lub w telewizji twarze nie budzące klasowych skojarzeń. Właśnie takie twarze są na ekranach TV nieocenione nie tylko ze względów propagandowych, jak mogłoby się wydawać ludziom ograniczonym, lecz także ze względu na głębokie przemiany historyczne, zachodzące w kraju. Tego rodzaju twarze rok po roku, dziesięciolecie po dziesięcioleciu mogą niespostrzeżenie spowodować wielkie zmiany w psychice społeczeństwa.

Kuzienkow doszedł do tego wniosku wówczas, kiedy oglądał Tanię. Musi to wykorzystać w przyszłości. Taki był Marlen Michajłowicz - niczego nie marnował.

Oczywiście dowiedział się rano, że Tania wróciła z Krymu. Co więcej, wiedział już, że się spotkała w Koktebelu z Andriejem Łucznikowem i spędziła z nim dwa dni - ściślej dwie doby - w trójkącie Teodozja - Symferopol - Jałta. Materiały o tym spotkaniu znalazły się na biurku Marlana Michajłowicza wcześniej niż donos do wydziału pierwszego Głównego Komitetu Państwowego do Spraw Sportu i Wychowania Fizycznego. Taką już miał pracę Marlen Michajłowicz, musiał wiedzieć wszystko, co dotyczyło Krymu. Szczerze mówiąc, czasem wolałby o czymś nie wiedzieć, ale materiały wciąż napływały szeroką strugą. Z tytułu swojej pracy Marlen Michajłowicz nadzorował obszar zwany oficjalnie Wschodnią Strefą Śródziemnomorską - to znaczy Wyspę Krym.

Więc ona jest tutaj, a on jeszcze w Symferopolu. Kuzienkow zajrzał do pokoju, gdzie żona i dzieci siedzieli wokół telewizora, czekając na jakiś kolejny festiwal piosenki „Goździk 79“, „80“ albo z wyprzedzeniem „84“.

Znał z grubsza trasę podróży Łucznikowa - Paryż, Dakar, Nowy Jork, chyba Genewa, potem znowu Paryż. Z tym facetem jednak nigdy nie ma pewności, może nagle zmienić plany i zjawić się jutro w Moskwie, żeby być blisko Tatiany. Zdaje się, że jego wiza, upoważniająca do wielokrotnego wjazdu, jest jeszcze aktualna. Trzeba jutro sprawdzić. Przestań wreszcie myśleć o pracy - przywołał siebie do porządku. - Pomyśl o tym, że Łucznikow nie tylko jest obiektem twego służbowego zainteresowania, lecz także twoim przyjacielem. Ta wyspa to nie tylko anachronizm polityczny, lecz także wspaniałe zjawisko przyrodnicze. Czy chcesz się upodobnić do strażników rewolucji, którzy według ówczesnej frazeologii „spalali się w pracy“, a korzyści z tego było niewiele: tylko krew i brud. Jesteś nowoczesnym człowiekiem, twoje imię pochodzi od dwóch wybitnych ludzi tysiąclecia.

Dzisiaj na jednej z moskiewskich ulic Marlen Michajłowicz miał dziwną przygodę. Właściwie ze względu na stanowisko nie musiał chodzić ulicami Moskwy. Jego koledzy z tego szczebla nie bywali na ulicach, podczas szybkich przejazdów z osiedla letniskowego na plac Stary bez szczególnej ciekawości oglądali przez szyby samochodów służbowych niezliczone tłumy stanowiące obiekt ich trosk. Marlen Michajłowicz uważał jednak za swój obowiązek utrzymywać żywe kontakty ze społeczeństwem. Miał własny samochód, czarną

wołgę, wyposażoną we wszystkie możliwe zagraniczne bajery, dostarczone przez specjalny oddział państwowego domu towarowego, i chętnie nim jeździł. Marlen Michajłowicz kończył już pięćdziesiąt lat, chodził na korty tenisowe „Dynamo”, nosił tweedowe marynarki i półbuty z dziurkowanym wzorem. Wiedział, że kierownictwo naczelnej instytucji, gdzie służył, nie całkiem aprobuje jego gusty. Usprawiedliwieniem było słówko „międzynarodowy” - masz kontakty z burżuazją, musisz się maskować - ale wiedział także, że niższe piętro nie wypowiada się na jego temat, a na jego własnym piętrze ten i ów z uśmiechem nazywa go „tenisistą” i dowcipkuje na temat imienia, wywodzącego się od marksizmu - leninizmu - to można zrozumieć: pomysły nazewnicze z końca lat dwudziestych budzą wątpliwości, zalatuje od nich lewactwem, a piętro wyżej na ten temat panuje cisza, trochę inna cisza niż na dole - tamtejsza cisza jak się zdaje ma znak „plus - minus”, z przewagą krzyżyka nad kreseczką. Odgórne milczenie upewniało Kuzienkova w przekonaniu, że powinien trzymać fason, chociaż niekiedy musiał sygnalizować towarzyszom, że jest „swoim człowiekiem” - zakląć czasem w ścisłym gronie, okazywać zamiłowanie do wędkarstwa, w oględny sposób demonstrować sympatię do generalissimusa, czyli do naszej wersji historii, interesować się wiejską literaturą, leciutko zniekształcać na sposób południowy spółgłoski „g” i „w”, chodzić do... hm... - sauny. Należy podkreślić w tym miejscu, że Marlen Michajłowicz niczego nie udawał, był rzeczywiście swoim człowiekiem w naczelnej instytucji, swoim w stu procentach, a może i powyżej stu. Tak w każdym razie zakładali psycholodzy z wyższego piętra. Nie znali oni jednak tajników duszy Marlenu Michajłowicza, nie wiedzieli, że stale drażny go niepokój, spowodowany istnieniem małego haczyka w ankiecie. Marlen Michajłowicz zastanawiał się tylko: wiedzą o tym czy nie wiedzą ci, którzy powinni wiedzieć. W ten sposób, z konieczności klucząc i robiąc wtręty w naszej krótkiej prezentacji Marlenu Michajłowicza Kuzienkova, zbliżamy się wreszcie do zapowiedzianej „dziwnej przygody” na ulicach Moskwy.

Po zakończeniu partii tenisa z generałem ze sztabu lotnictwa strategicznego, Marlen Michajłowicz wyszedł na ulicę Puszkina. Jego wołga była zaparkowana pod znakiem zakazu parkowania, ale każdy bodaj trochę myślący milicjant wie, że samochód z takim numerem jest nietykalny. Kiedy się jednak zbliżył do swego pięknego wozu - wolał go od wszystkich mercedesów, porsche i nawet krymskich russo - bałtów - zobaczył, że z drugiej strony biegnie w jego kierunku milicjant. Kuzienkow czekał z uśmiechem, wyobrażając sobie, jak szczęka opadnie temu głupekowi na widok resortowej legitymacji.

- Najmocniej przepraszam - powiedział młodziutki milicjant. - Czy mógłbym dostać od towarzysza trochę benzyny, potrzebuję ze trzy litry, żeby dojechać do wydziału.

- Bardzo proszę - odparł życzliwie Marlen Michajłowicz.

- Mam pełny bak, ale musicie się sami obsłużyć. Ja nawet rurki nie mam.

Przypadkowe zetknięcie się z moskiewskim ludkiem, a raczej z jego reprezentantem w milicyjnym mundurze, sprawiło Martenowi Michajłowiczowi przyjemność. Wyobraził sobie miny sąsiadów z piętra, gdyby w kierowcy, który udostępnił swój bak jakiemuś milicjantowi, rozpoznali kolegę „ze szczebla”. Być może głównym problemem aparaczyków jest brak kontaktów z ulicą. A na to już Włodzimierz Iljicz zwracał uwagę.

Milicjancik przyniósł kanister i rurkę z gruszką do odsysania. Kręcił się przy wołdze, ale mu nie szło, może rurka była dziurawa, a może nie znał się na rzeczy. Benzyna ledwie kapiała, a chwilami w ogóle przestawała płynąć.

- Nie szkodzi - pocieszał chłopaka Marlen Michajłowicz.

- Nie spiesz się, spróbuj ustami.

Żeby nie tracić czasu, Kuzienkow zajął się obserwacją tłumu płynącego chodnikiem. W jego polu widzenia znalazła się dziwna para - odzwierciedlenie dwóch epok. Błady niechlujny starzec w wysłużonej marynarce z baretkami orderowymi włókł się za długowłosym chłopakiem w dżinsach. W prawym ręku staruszek niósł siatkę z ubogimi zakupami, lewą trzymał mocno chłopca za rękaw.

- Czterdzieści lat! - zawołał wykrzywionymi ze złości ustami. - Czterdzieści lat walczę o socjalizm! O nasze ideały! Nie pozwolę! Chodźmy, chodźmy!

- Odczep się, ojczulku - powiedział ściszym głosem długowłosy młodzian. - Nie rozrabiaj, zostaw mnie w spokoju.

Wyraźnie nie chciał zwracać na siebie uwagi przechodniów i siłą uwalniać ramienia. Widocznie rozumiał, że starzec nie puści, będzie wrzeszczał jeszcze głośniejsze, a jeżeli spróbuje się wyrwać siłą, może wtedy wybuchnąć awantura. Z drugiej strony pewnie zdawał sobie sprawę z tego, że samymi słowami staruszka nie przekona, awantury nie da się uniknąć.

Krótko mówiąc, typowy moskiewski starzec trzymał w potrzasku typowego moskiewskiego młodzieńca.

- Nie puszczać ciebie! - darł się starzec. - Nigdy nie puszczałem wroga wolno! Zaraz cię nauczę, co znaczy wredna propaganda! Chodźmy!

Uwagę moskiewskiego tłumu niełatwo przyciągnąć. Ludzie ponuro mijali dziwną parę, nie zwracali uwagi na krępującą sytuację młodego człowieka ani na szarpiącego się i wrzeszczącego starca. Stopniowo jednak, kiedy wrzaski staruszka przybrały na sile, ten i ów odwracał się, zwalniał krok.

Wtedy Kuzienkow, ulegając jakiemuś wewnętrznemu impulsowi, zaszedł drogę dziwnej parze.

- Co się tu dzieje? - spytał starca oficjalnym tonem. - Dlaczego przeszkadza pan spacerować temu obywatelowi?

To było tak w stylu Zoszczenki, że aż się lekko uśmiechnął. A starzec oniemiał, zająknął się na widok dużego samochodu i milicjanta, na widok zimnego uśmiechu w oczach pewnego siebie towarzysza. To były oznaki ukochanej władzy. Starzec na chwilę stracił rezon i puścił rękaw młodzieńca.

- Widzicie, towarzyszu, chodzi taki po delikatesach i zrzędzi - powiedział wreszcie.

- Sami zrzędzicie - bronił się niemrawo młody człowiek.

- Dlaczego się pan go czepia? - zapytał Marlen Michajłowicz surowym tonem.

- Zrzędzi, ot co, chodzi z teczką i zrzędzi, my chodziliśmy w łapciach... a on z teczką... chodzi taki po delikatesach i zrzędzi - bełkotał starzec.

- Nie należy czepiać się obywateli - tym samym tonem pouczył Marlen Michajłowicz.

- Nie zdajecie sobie sprawy z sytuacji, towarzyszu! - starzec był zrozpaczony. - On tam gadał, że w sklepach są pustki!

Dygotał cały w wysłużonej marynarce, spod której widać było kraciastą, poplamioną koszulę, w sandałach włożonych na bose stopy. Odrobinę zalatywało od niego alkoholem, ale bardziej acetonem i zgnilizną schorowanego ciała. Ziemisto - szara twarz drżała, można się zdenerwować, kiedy człowiek nie znajduje zrozumienia nawet u swoich.

- Mówił, że w sklepach nic nie ma. To wróg. - Stary odwrócił się, chciał znowu złapać za rękaw długowłosego wroga w dżinsach i z teczką, ale okazało się, że tamten już nawiał. Nawiasem mówiąc, Marlen Michajłowicz także nie zauważył, kiedy wyparował odważny krytyk sytuacji gospodarczej.

- Czy pan uważa, że w sklepach jest wszystko? - spytał Marlen Michajłowicz.

- Wszystko, czego człowiek potrzebuje do życia! - wykrzyknął starzec. Rozglądał się przy tym ciągle, wypatrując wroga, chciałby biec za nim, ale widział, że już za późno, pokazał więc siatkę z zakupami Kuzienkowowi i patrzył na niego coraz podejrzliwiej.

- Oto makaron, kasza, trzysta gramów masła, makaron... Leżą także słodkie bułeczki! - zawołał nagle. - Oni zrzedzą z dobrobytu. My na nich pracujemy, nie żałujemy życia, a im się nic nie podoba!

- A czy panu podoba się wszystko? - spytał zimno Kuzienkow. Chciał przekonać siebie samego, że kieruje się ciekawością socjologa, chociaż w rzeczywistości zaczynała go irytować postawa szpicla - ochotnika.

- Mnie wszystko się podoba! - drżące palce starca prawie sięgały tweedowej marynarki Kuzienkowa. - Czterdzieści lat walczyłem o słuszną sprawę! W łapciach chodziłem, w łapciach... a oni mają teczki...

- Proszę iść swoją drogą - rzekł Marlen Michajłowicz. Odwrócił się od starca, podszedł do samochodu.

Milicjant wciąż jeszcze był zajęty przelewaniem benzyny. Nawet głowy nie podniósł, chociaż musiał słyszeć awanturującego się staruszka.

- No jak tam? - spytał rzeczowo Kuzienkow. - Ciągnie?

Milicjant brał rurkę do ust, zasysał benzynę, spluwał, kierował rurkę do kanistra, ale benzyna ledwie kapała. Kuzienkow oparł się o bagażnik, starając się nie zwracać uwagi na historyczną konfrontację z prostymi samochodowymi kłopotami. Nagle poczuł, że miękki brzuch starca szturcha go w bok.

- Nie zrozumieliście sytuacji, towarzyszu - staruszek mówił teraz cicho, uważnie patrząc na Marlana Michajłowicza. - Kim wy właściwie jesteście?

W kącikach ust zaschnięta ślina, zaropiałe oczy. Uważny wzrok i intonacja świadczyły o tym, że nie jest to zwykły moskiewski głupek, lecz stalinowski zuch, człowiek ze służb specjalnych, co najmniej dawny żołnierz ochrony.

- Niech pan posłucha - powiedział Kuzienkow z odrazą i litością. - Czy pan wciąż jeszcze nie ma dosyć? Panu wszystko się podoba, a temu chłopakowi nie. Przecież ludzie są różni, prawda?

- Tak, tak - starzec uważnie przyglądał się Kuzienkowowi. - Ludzie rzeczywiście są różni... A towarzysz skąd? Sierżancie, skąd jest ten towarzysz?

Milicjant, który już się nałykał benzyny, krzyknął na starca, nie podnosząc głowy:

- Popiliście? To idźcie stąd!

Stary drgnął, wyraźnie się zawahał, ponieważ władza zawsze ma rację - rzeczywiście pił, a skoro tak, powinien się zmyć. Ale został i patrzył na Kuzienkowa. Oczywiście nie rozpoznał, że ubranie Kuzienkowa ma angielskie pochodzenie, ale jego spojrzenie mówiło wyraźnie: kim jest człowiek, który odebrał mi wroga? Czy to nasz człowiek? Wygląda obco. Może to wróg? Może ma pomocników?

Marlen Michajłowicz doskonale rozumiał to spojrzenie i wzbierała w nim wściekłość, ale nagle w najgłębszym zakamarku świadomości zrodził się lęk.

Ręce starca wyciągnęły się do jego piersi, zaślinione wargi poruszyły się.

- Tak, piłem - szepnął. - Macie przewagę... a ja czterdzieści lat walczyłem... w łapciach... przeciwko teczkom... trudności zaopatrzeniowe... żywimy pół świata... pomagamy bratnim partiom... pokażcie dokumenty... kim jesteście... mnie tu znają wszyscy, a was... no, sierżancie...

Marlen Michajłowicz był zły na siebie z powodu tego lęku. Czyżby nawet teraz, nawet na

takim stanowisku ciągle czuł się niewolnikiem? Można byłoby bez wysiłku przerwać to gładzenie, kopnąć stalinowskiego śmierdziela (tak właśnie pomyślał - stalinowskiego śmierdziela) i odjechać, gdyby nie głupi sierżant ze swoją głupią rurką. Czego się bać, najwyżej straci pół godziny na wyjaśnienia w najbliższym wydziale milicji, jeden telefon do Szczelokowa i wszyscy zemdleją, ale z drugiej strony wybuchnie bezsensowny skandal, wiadomość o nim może dotrzeć do górnego piętra. Teraz liczą się ze zdaniem tamtejszych sklerotyków, niektórzy uważają ich za podporę społeczeństwa (marny los społeczeństwa, które ma taką podporę)... Jak się pozbyć natręta? Za chwilę uczepli się marynarki, zaczniesz histeryzować, wtedy zbiegnie się cała ulica, u nas uwielbiają takie scenki...

Nagle do starca podbiegła potargana kobieta około czterdziestki. Z czarnej podartej podkoszulki z zagranicznym napisem „Grand Prix“ wysuwały się jej piersi.

- Wujku Kola, idziemy! Co z tobą? Idziemy, idziemy! Zaraz babka przybiegnie! Od godziny szukają ciebie po podwórkach!

Stary chrypiał, szarpał się, wymachiwał siatką, z której sypał się makaron.

- Nie chce okazać dokumentów! — krzyczał. - A milicjant nie wykonuje obowiązków służbowych! Na pomoc, towarzysze!

- Idziemy, wujku Kola! Zapamiętaj numer samochodu, napiszesz oświadczenie! - Kobieta upchnęła piersi do podkoszulki, poprawiła spadające kaptcie - widocznie wyskoczyła z domu jak stała - i zrobiła oko do Marlena Michajłowicza, cmokając krzywym, pijanymi ustami.

Jej rada trafiła do przekonania staremu. Oczywiście, że można napisać donos. Pozwolił się prowadzić, ale wciąż się odwracał i odgrażał, choć jego słowa zagłuszał uliczny gwar.

- No jak tam u was, sierżancie? - spytał z irytacją Marlen Michajłowicz. Kontakt z życiem ulicy skończył się przykrą awanturą. Kuzienkowa najbardziej złościł zapomniany już strach, który go na chwilę ogarnął. Czy nigdy się nie pozbędzie tego uczucia?

Wyrwał rurkę z rąk sierżanta, obejrzał - no oczywiście, jest dziurawa! Zaklął, otworzył swój bagażnik, wyciągnął jakąś rurkę, włożył do baku, drugi koniec wziął do ust, pociągnął i zakrzuszył się, za to benzyna popłynęła strugą. Wkrótce milicjant miał paliwo do swego moskwicza.

- W zamian za nieinterweniowanie. Zniesienie embarga na ropę naftową - uśmiechnął się Marlen Michajłowicz.

Sierżant zerkał na niego dziwnie. Nie wiedział, z kim ma do czynienia, i wołał nie dziękować.

Kuzienkow siedział już w samochodzie, kiedy w lusterku wstecznym ujrzał wujka Kole. Staruszek spieszył się na pole walki ideologicznej, ciężka marynarka wydeła mu się jak żagiel, rozpięta koszula odsłaniała zwiotczały brzuch. Pewnie siatkę zostawił w domu i trzymał teraz w ręku czerwoną książeczkę wielkości legitymacji partyjnej, którą raz po raz podnosił nad głowę, jakby dając jakiś znak. Marlen Michajłowicz mógł z łatwością odjechać i zakończyć tę bezsensowną historię, należało tylko nacisnąć sprzęgło, wrzucić pierwszy bieg, dodać gazu i włączyć lewy migacz. Gdyby wykonał tę operację odrobinę szybciej niż zwykle, zdążyłby na czas, ale pomyślał sobie, że każde przyspieszenie będzie ucieczką, dlatego zwolnił ruchy, dzięki temu wujek Kola dopadł go, wsadził głowę do okna i wyciągnął książeczkę.

- Oto mój dokument, proszę czytać! I okażcie swój. Natychmiast!

- Kapuś - powiedział Marlen Michajłowicz. Energicznym ruchem ręki odepchnął spoconą twarz wujka Koli. - Nie waż się zaczepiać ludzi, wredny kapusiu.

I odjechał. Staruch zaklął szpetnie. W bocznym okienku mignęła chmurna twarz

milicjanta. Samochód pomknął środkiem ulicy, ale w tym momencie zapaliło się czerwone światło. Stojąc przed sygnalizatorem, Kuzienkow widział w odległości kilkudziesięciu metrów za sobą milicjanta i wujka Kolę, który wymachiwał czerwoną książeczką, wskazywał ręką czarną wołgę, odwołując się do władzy. Sierżant z kanistrem w jednej ręce, drugą ujął starca za ramię, potrząsnął nim, wskazał głową swój samochód - ano wsiadaj! Nagle stary się przewrócił. Zapaliło się zielone światło i Kuzienkow zdążył tylko zobaczyć jego nogi w niebieskich dresowych spodniach.

Po powrocie do domu Marlen Michajłowicz natychmiast poszedł do łazienki umyć ręce. Miał wrażenie, że lewa ręka jest lepka od potu starca. Po chwili namysłu zaczął się rozbierać, żeby wziąć prysznic. Rozbierając się, patrzył na swoje odbicie w lustrze. Szpakowaty, opalony mężczyzna w sile wieku. Nie wolno tak sobie folgować, Marlenie, myślał, nie godzi się. Zachowałeś się niestosownie do swego stanowiska, do swojej pozycji, co tam zresztą pozycja, nie lękajmy się słów zapomniałeś o swojej odpowiedzialności wobec historii. Zachowałeś się, przeszła go nagle trwożna myśl, zachowałeś się jak dysydent. I czułeś się jak dysydent, a to jest niedopuszczalne!

Wyobraził sobie, że jest owym starym funkcjonariuszem służb specjalnych, że wali się cały jego świat. Milicjant, czarna wołga, przenikliwy wzrok - symbol władzy, której strzegł niczym pies przez całe życie - odwracają się przeciwko niemu. To katastrofa! Odrzucenie tych starców - a jest ich niezliczone mnóstwo - byłoby tragiczną pomyłką państwa, przekreśleniem długiego okresu historycznego. Ahistorycznym błędem, podważającym państwowość.

Do końca dnia nie mógł się pozbyć myśli o „dziwnej przygodzie“ (tak postanowił określić zajście, kiedy nadejdzie pora na wieczorną pogawędkę z żoną). Myślał o tym przy biurku podczas lektury gazet krymskich. Miał przygotować krótki przegląd wydarzeń na Wyspie dla jednego z członków politbiura. Uwielbiał takie przeglądy, pisał je z zaangażowaniem i poczuciem odpowiedzialności, tym razem jednak natrętna myśl o „dziwnej przygodzie“ utrudniała koncentrację. Marlen Michajłowicz marzył o chwili, kiedy będzie mógł opowiedzieć żonie o swoich odczuciach.

Twarz Tani Łuninej na ekranie telewizyjnym na chwilę pochłonęła jego uwagę, pomyślał o Andrieju Łucznikowie, o związanych z nim problemach, drogą skojarzeń doszedł do reżysera Witalija Ganguta, swego przyjaciela, osoby znajdującej się w kręgu zawodowego zainteresowania Marlena Michajłowicza. Pomyślał, że Gangut zachowałby się całkiem normalnie w idiotycznym zajściu przy ulicy Puszkina. A on sam zachował się nienaturalnie, czyli, według określenia Nikołaja Gawriłowicza, obrzydliwie.

Wieczorem ni stąd, ni zowąd zadzwonił starszy syn z pierwszego małżeństwa, Dmitrij. Dwudziestopięcioletni chłopak miał własne życie, był solistą półlegalnego zespołu jazzowego C₂H₅OH. Nosił nazwisko matki, ale używał artystycznego pseudonimu - Dim Szebeko. Uważał politykę za oszustwo i oczywiście był zagorzałym dysydentem, to znaczy reprezentował odmienne poglądy od oficjalnie obowiązujących. Marlen Michajłowicz miał czasami wrażenie, że Dim Szebeko wstydi się pokrewieństwa z taką szyczą jak on i ukrywa rodzinne koligacje przed swoimi przyjaciółmi. Zresztą Marlen Michajłowicz również miał wiele powodów, by nie chwalić się synalkiem wobec kolegów z „piętra“. Stosunki między synem i ojcem zawsze były nienormalne, ponieważ odcisnęło się na nich piętno poczucia krzywdy porzuconej żony, matki Dima Szebeko. W ostatnim okresie muzyk jakby zobojętniał w stosunku do uwielbianej niegdyś mamy, wahał się po stolicy z nonszalanckim uśmieszkiem na przystojnej beczelnej twarzy, z ojcem zaś utrzymywał

stosunki naturalne, konsumpcyjne: czasem podłapie od taty trochę grosza, kiedy indziej butelczynę dobrego przydziałowego trunku. Tym razem pytał, kiedy przyjedzie krymski koleś Andriej, jako że obiecał przywieźć płyty Johna Klammera i Keitha Jarreta, a także grupy Sex Pistols, która wprawdzie zdaniem Dima Szebeka nie reprezentuje wysokiego poziomu, jak cała kultura punk, ale trzeba się z nią zapoznać.

Po rozmowie z synem Marlen Michajłowicz wrócił do „dziwnej przygody“, pomyślał, że na miejscu owego długowłosego chłopaka mógł być Dim Szebeko. Co prawda Dim Szebeko ma taką gębę, że jej widok odstraszyłyby nawet czujnego wujka Kolę. „Takich trzeba likwidować, tato - powiedziała by Dim Szebeko. - Na twoim miejscu udusiłbym dziada“.

Wreszcie Marlen Michajłowicz odsunął się od maszyny do pisania i czekał w otępieniu, aż skończy się przekłety *Rumianek* - trwające do dwudziestej trzeciej telewizyjne szaleństwo. Słyszał, jak Wiera Pawłowna odprowadziła dzieci do ich pokoju i czekał niecierpliwie na żonę. Zbliżał się srebrny jubileusz, ale ich uczucia nie wygasły. Przeciwnie, prawie co wieczór, pomimo zmęczenia, Marlen Michajłowicz marzył o spotkaniu z delikatnym, pięknym ciałem Wiery Pawłowny.

- Dzwonił Dim Szebeko, kotku? - spytała żona, kiedy wreszcie złapała oddech po uściskach.

Głowa Marlena Michajłowicza spoczywała na jej wiernym ramieniu. Oto świat miły i spokojny, rozumiały w każdym centymetrze kwadratowym skóry - świat jego żony, cudowne wzgórza i doliny. Mógłby żyć w nim, nie opuszczać go dla niepewnych obszarów polityki zagranicznej.

- Wiesz, kochanie, miałem dzisiaj dziwną przygodę w mieście - powiedział szeptem, a ona zrozumiała, że to coś ważnego i nie powtórzyła pytania o telefon syna, gotowa wysłuchać zwierzenia.

- No cóż, Marlenie - powiedziała, kiedy jego relacja o odczuciach związanych z tym błahym wydarzeniem dobiegła końca. - Oto co myślę: A - zagięła mały palec lewej ręki - należało trzymać się z dala od tej przepychanki, nie zwracać na nią uwagi; B - skoro zwróciłeś uwagę, należało się wtrącić, co słusznie uczyniłeś; C - zachowałeś się, kotku, wspaniale, jak człowiek na poziomie. Pewną wątpliwość budzi zakończenie przygody, czy należało nazywać tego człowieka „wrednym kapusiem“? Wreszcie D - najistotniejszy w tym wydarzeniu jest, jak mi się wydaje, lęk, który obudziło w tobie spojrzenie wujka Koli. Oboje wiemy, Mariusza, skąd się ten lęk wywodzi, jakie ma korzenie. Powiem ci, że ja odbieram tę przygodę jako gwałtowny, podświadomy protest przeciwko lękowi żyjącemu wciąż w tobie, we mnie, w całym naszym pokoleniu. A skoro tak, to wszystko jest zrozumiałe, naturalne, rozumiesz, co mam na myśli? Co się tyczy ewentualnego donosu tego pomyłonego człowieka...

Wiera Pawłowna niedbale machnęła ręką, jakby nie warto było dla takiej bzdury zaginać paluszka. Jaka mądra, jaka subtelna, myślał Marlen Michajłowicz, głaszcząc z wdzięcznością ramię żony. Jak ona go rozumie. Jakie logiczne wyciąga wnioski. Jaki reprezentuje poziom moralny.

Wiera Pawłowna była lektorem uniwersytetu, zastępcą sekretarza egzekutywy wydziałowej, członkiem zarządu Towarzystwa Łączności Kulturalnej ZSRR—Wschodnie Śródziemnomorze. Rzeczywiście trudno jej było odmówić cech, które przed chwilą wyliczył małżonek.

Westchnęli z ulgą i usnęli w uścisku. Stanowili rzadki w obecnych czasach przykład harmonii małżeńskiej. Wczesnym rankiem obudził ich telefon. Dzwonił Andriej Łucznirow.

- Skończyła mi się wiza, Marlenie. Czy mógłbyś zatelefonować do ambasady? Muszę

przyjechać do Moskwy.

V. Przekleńci cudzoziemcy

Epoka kamienia łupanego - rozmowę ze stolicą kosmicznego państwa, jakim jest Rosja, trzeba zamawiać przez centralę. Tak dzwoniłiśmy do Europy w latach pięćdziesiątych. A do Riazania jest jeszcze trudniej zatelefonować z Moskwy niż do Paryża.

Podszedł do okna. Za hotelowymi oknami na bulwarze Raspail panowała rzadka tu cisza. Na chodniku między drzewami parkowały ciasno, jeden przy drugim, samochody. Po wąskim, nie zajęтым pasie asfaltu chodził smętny Marokańczyk z miotłą. Niebo różowiało. Za godzinę zacznie się ruch. Łucznikow zamknął dźwiękoszczelne okiennice, wskoczył do łóżka i natychmiast zasnął. Obudził się trzy godziny później, dokładnie o siódmej. Oczekiwał go trudny dzień, ale miał w zapasie trzy godziny i nie musiał się spieszyć. Jest w Paryżu i nie musi się spieszyć, cóż to za rozkosz!

Ćwiczenie jogi. Prysznic. Golenie się. Śniadanie zje w La Maison przy Montparnasse, gdzie wszystko jest jak dawniej, ci sami goście - staruszek z gazetą „Figaro“, staruszek z „Timesem“, staruszek z „Messagero“, wszyscy trzej pałą, samotna, bardzo leciwa kobieta, czyściutka, jak z porcelany. Kto jeszcze? Ach tak, blondyn z brunetką albo brunet z blondynką, lub blondyn z blondynem, brunet z brunetem - wśród nich jest mniej kombinacji kolorystycznych niż u par heteroseksualnych; a tam siedzi młoda, z pewnością amerykańska rodzina, mama usadowiła się boczkim, ponieważ na plecach ma przytroczone dziecko. Wszyscy znaleźli sobie miejsce na dużej werandzie La Maison, nie wadząc sobie wzajemnie, a więc nawet przy śniadaniu przestrzegając nakazów europejskiego renesansu. Dwaj postawni, nie starzejący się kelnerzy w długich białych fartuchach roznoszą kawę, śmietankę i croissanty. Nieopodal werandy sprzedawca owoców morza układa na ladzie ostrygi. Czasem - a właściwie codziennie - zjawia się na werandzie jakiś nowy przybysz z jakiegoś pobliskiego hotelu, dżentelmen w średnim wieku, sprawiający wrażenie, że nigdzie mu się nie spieszy. Zawsze ma przy sobie gazetę. Na tym polega urok paryskich śniadań - wszystko jest jak zwykle.

W kiosku na rogu Montparnasse i Raspail Łucznikow kupił „Herald Tribune“ i dwujęzyczne wydanie „Courriera“. Po pierwszym łyku kawy wyobraził sobie, że siedzi tu z Tatianą Łuniną. Uśmiechnął się do swoich myśli i zabrał się do lektury gazet. Najpierw „Courrier“. Prognoza pogody na dole pierwszej kolumny. Symferopol +25°C, Paryż i Londyn +29°C, Nowy Jork +33°C, Moskwa +9°C ... Moskwa znowu jest biegunem zimna wśród innych stolic. Świństwo, nawet klimat się pogarsza. Od kilku lat z rządu antycyklony omijają Rosję, gdzie wszystkiego brakuje, gdzie nie ma ani radości, ani jedzenia, tkwią nad obzartą Europą, zapewniając jej dodatkowy komfort. Czołówka „Courriera“ - lot radzieckiego statku kosmicznego. Jednym z dwóch kosmonautów jest Polak, jak oni mówią - obywatel Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Duże, szerokie twarze, na ustach - dyżurne uśmiechy. Na tej samej kolumnie na dole wśród innych informacji oświadczenie akademika Sacharowa i małe zdjęcie. Ale chyba to w porządku, prawda? Polak po raz pierwszy jest na orbicie w radzieckim statku kosmicznym, a pan Sacharow - z całym szacunkiem dla niego - nie po raz pierwszy protestuje. W „Herald Tribune“ - odwrotnie: duży portret Sacharowa i jego oświadczenie umieszczono w górnej części kolumny, a informację o locie - na dole, twarze kosmonautów jak dwie wytarte kopiejkę. Tak czy inaczej, upadająca zdemoralizowana Rosja

znowu dostarcza tematów do gazet. Kto jest bohaterem współczesnej Rosji, kto odznacza się większą odwagą - kosmonauci czy dysydenci? Dziecinne pytanie, ale budzi głębsze refleksje.

Po słonecznej stronie Montparnasse Łucznikow zauważył szczupłą sylwetkę pułkownika Czernoka. Zabawne - miał na sobie garnitur w kolorze khaki, taki sam jak Łucznikow. Niebieska koszula także bardzo podobna. A żeby było śmieszniej, pułkownik kupił w kiosku na rogu „Courriera“ i „Herald Tribune“. Co prawda wziął jeszcze lipcowy numer „Playboya“. Chyba zauważył przyjaciela, ale podobnie jak Łucznikow nie dał tego po sobie poznać. Byli umówieni na spotkanie za godzinę, dwa kroki stąd w kawiarni Select. Tymczasem Czernok mógł, podobnie jak Łucznikow, siedzieć wygodnie w słońcu, przeglądać gazety i popijać kawę, jakby miał przed sobą cały wolny dzień.

Patrzmy dalej. Informacje polityczne z Krymu. Narodowa frakcja Jaki w Tymczasowej Dumie Państwowej znowu zaatakowała wrewakuantów, żądała natychmiastowego przekształcenia Wyspy w niezależne państwo ze wszystkimi instytucjami państwowymi. Atak został odparty przez SOOT, komunistów, socjaldemokratów i konstytucyjnych demokratów, „trudowików“ i „przyjaciół islamu“. Każde ugrupowanie miało własne cele, paradoks polega na tym, że całe to szemrane towarzystwo ze swoimi bzdurnymi, cherlawymi ideami jest nam bliższe niż sympatyczni chłopcy z Jaki. Twardzi i energiczni reprezentanci nowej wyspiarskiej narodowości, o której tak głośno, są dzisiaj bardziej niebezpieczni dla Idei Wspólnego Losu niż monarchiści i starorosyjscy liberałowie. Nie mówiąc o wszystkich odłamach komunistów, którzy nie zasługują na to, by strześcić na nich język. Moskiewscy komuniści powtarzają wszystko za Moskwą, pekińscy - za Pekinem, eurokomuniści siedzą w uniwersyteckich gabinetach, podczas gdy ich uczniowie głoszą hasła z 1905 roku: „Chleb zjemy, a piekarnie spalimy!“. To ideologia nie dająca się teraz zastosować, przestarzała, zmurszała. Być może jej jedynym sukcesem będzie ów zdrowy pęd, który kiełkuje w Moskwie, pierwociny, do których garnie się Idea Wspólnego Losu. Andriej Arsieniewicz Łucznikow nieraz przy porannej kawie wydawał się sobie rozsądnym, mądrym, rzeczowym i pozbawionym uprzedzeń analitykiem nie tylko poszczególnych narodowości, lecz w ogóle całego rodu ludzkiego.

Ostami łyk kawy. Ręka sięga do kieszeni po papierosa. Wzdłuż osi Montparnasse i bulwaru Saint - Michel pędzi, wściekle trąbiąc, grupa wozów policyjnych. Godzina dziewiąta czterdzieści. Zaczyna się nowy zwariowany dzień redaktora naczelnego jednego z najbardziej kontrowersyjnych dzienników naszych czasów, wydawanego w Symferopolu „Russkiego Kuriera“.

Notatki w zasadzie potwierdzały uzgodnione wcześniej spotkania, ale jeden telefon był zaskakujący. Wczoraj w porze obiadowej do hotelu zadzwonił mister J.R Haloy z Paramount i prosił, by monsieur Ljutchnikoff był łaskaw porozumieć się z nim telefonicznie. Później - czyli po obiedzie - mister Haloy, a był to stary łajdak Octopus, przyjaciel z młodych lat, przyjechał do hotelu osobiście i zostawił kartkę: „Radzę złożyć broń, Andrieju Łucznikow. Kapitulacja jutro o godzinie pierwszej w cukierni Lipp na St - Germain - des - Pres. Octopus“. Nie ma rady. Trzeba będzie zjeść obiad z amerykańskimi filmowcami, nie można zlekceważyć starego Octopusa. Kiedy się widzieli po raz ostami? Przed trzema czy przed pięcioma laty? Więc jaki mamy gryplan? Za kwadrans spotkanie z Czernokiem. O jedenastej UNESCO, Pietia Sabasznikow. Na pierwszą jedziemy razem do radzieckiej ambasady, by się dowiedzieć, czy wiza została przedłużona. O siedemnastej z Sabasznikowem do von Wittego. O osiemnastej trzydzieści pięć w studiu ABC. Następnie przyjęcie w Pen Clubie na cześć dysydenta X. Dopuszczalne spóźnienie pół godziny. Zmieszczę się. Wieczór wolny.

Spędzę go w samotności. Czy to możliwe? Pójdę do kina na Bertolucciego albo do knajpki w Dzielnicy Łacińskiej. Przed snem poczytam Platona. A może nie pójdę ani do kina, ani do knajpki, od razu zabiorę się do Platona. Ten fragment o tyranii i wolności muszę przeczytać na nowo...

Położył na stole pieniądze, zabrał gazety i wyszedł z kawiarni. Z drugiej strony ulicy to samo zrobił pułkownik Czernok, dowódca Północnego Okręgu Obronnego Wyspy Krym. Obaj - niemal stanowiąc swoje lustrzane odbicie - ruszyli w kierunku kawiarni Select.

Byli do siebie podobni, w tym samym wieku, obaj wywodzili się z elity wrewakuantów, jeden mocniej zbudowany, drugi smuklejszy, pierwszy - lotnik wojskowy, drugi - literat i polityk.

- Ze swojej La Rotunde przeszkadzałeś mi czytać gazety - powiedział Łucznikow.

- A mnie twój widok na werandzie La Maison psuł smak kawy - rzekł Czernok.

- La Maison jest lepsza - powiedział Łucznikow.

- Ale ja mam lepszy garnitur - replikował Czernok.

- Trafiony - poddał się Łucznikow.

- Nie pchaj się - powiedział Czernok.

Rozmówka pochodziła z trzeciego symferopolskiego męskiego gimnazjum imienia cesarza Aleksandra Drugiego Wyzwoliciela.

Kelner przyniósł piwo.

- Czytałeś najnowsze wiadomości z Symferopola? - spytał Łucznikow.

- Masz na myśli Jaki?

- Tak. Według nowych sondaży ich notowania wzrosły o trzy punkty. Teraz są jeszcze wyższe. Idea nowej narodowości jest zaraźliwa jak odkrycie Nowego Świata. Mój Antoszka po pierwszym dniu pobytu na Wyspie został Jaki - nacjonalistą. W zimie są wybory do Dumy. Jeżeli nie zaczniemy natychmiast kampanii wyborczej, nigdy nie ujrzymy Rosji.

- Zgadzam się z tobą - mruknął lakonicznie pułkownik. Zastanawiali się nad możliwością utworzenia w krótkim czasie masowej partii. Zwolenników Idei Wspólnego Losu jest na Wyspie mnóstwo we wszystkich warstwach ludności. Dziesiątki gazet z potężnym „Kurierem“ na czele nawołują do połączenia z wielką ojczyzną. Niewątpliwie kiedy powstanie ZWL, czyli Związek Wspólnego Losu - to nieźle brzmi, a dobra nazwa jest rękojmią powodzenia - więc kiedy powstanie ZWL, inne partie stracą na znaczeniu. Trzeba jak najszybciej ogłosić powstanie nowej partii i uczynić to z podniesioną przyłbicą. Nawet mułowie są zwolennikami autonomii w granicach ZSRR, więc nie ma się czego obawiać. Czy wojskowi będą mogli wstępować do ZWL? wybaczyć, ale w takim przypadku nie możemy uznać ZWL za partię polityczną... No cóż, może nie być partią polityczną, ale niech uczestniczy w wyborach. Wybaczyć, ale to demagogia! Owszem jest w tym demagogia, ale w stylu radzieckim, albo w stylu naszych „żubrów“: jesteśmy za odprężeniem, ale pod warunkiem narastania walki ideologicznej; nie jesteśmy państwem, ale mamy niepodległość; nie jesteśmy partią polityczną, ale bierzemy udział w wyborach... Nie pasuje do nas demagogia. Naszą przebiegłością jest brak przebiegłości. My... Kim my właściwie jesteśmy?

To puste pytanie, stary. Dzisiaj chodzi o ratunek, wcale nie o ratunek Krymu, jak rozumiesz... Żeby uczestniczyć w krwiobiegu Rosji, trzeba zostać jej częścią. Dobra, pomówmy o praktyce.

Jakiś czas mówili o praktyce i zamilkli dopiero wtedy, gdy za oknami tarasu zatrzymały się dwie dziewczyny.

Dwie montparnasskie dziwki w snobistycznych spłowiałych tunikach, z potarganymi

włosami i dziwnym makijażem. Chyba byłyby niebrzydkie, gdyby je domyć. Dziewczyny przywarły do szyby w pytających pozach - no jak tam, dogadamy się? Łucznikow pokazał zegarek - niestety spieszymy się, żałujemy, dziewczynki, ale nie jesteśmy panami naszego czasu. Dziewczyny zaśmiały się, przesłały całusy i gdzieś żwawo pobiegły. Jedna miała pod pachą futerał na skrzypce.

- Poznałem wczoraj uroczą kobietę - powiedział Czernok, który zawsze traktował kobiety z nieco staroświecką galanterią, co przeszkadzało mu prowadzić rozwiązyły tryb życia. - Była zachwycona, że jestem Rosjaninem. Rozczarowała się, kiedy powiedziałem, że pochodzę z Krymu. - Więc jest pan *creme*? Musiałem długo tłumaczyć, że nie jestem śmietankowy. Niewielu już pamięta, że Krym to część Rosji...

- Co z tymi mirage? - spytał Łucznikow.

Pułkownik siedział w Paryżu od miesiąca, prowadził pertraktacje w sprawie zakupu słynnego myśliwca bombardującego dla krymskich sił zbrojnych.

- W najbliższych dniach podpiszemy kontrakt. Sprzedają nam pół setki - Czernok zaśmiał się. — Absolutna bzdura! Po co nam mirage? Po pierwsze nasze sikory nie są gorsze, a poza tym czas się przestawić na migi... - Nagle zajął Łucznikowowi w oczy. - Czasem zastanawiam się, czy potrzebni im tacy lotnicy... jak ja.

Łucznikow z irytacją odwrócił wzrok.

- Przecież wiesz, Sasza, jak tam jest - odezwał się po chwili. - Czasem mam wrażenie, że oni sami nie wiedzą, czego chcą. Ale my musimy wiedzieć, czego chcemy. Ja chcę być Rosjaninem, nawet jeżeli mają mnie deportować na Syberię...

- Oczywiście - powiedział Czernok. - Nie można się wycofać.

Łucznikow spojrział na zegarek. Czas jechać na Place de Fontenoy.

- Jeszcze chwilę, Andrieju - powiedział nagle Czernok jakimś szczególnym tonem. - Mam do ciebie pytanie.

Bulwar Montparnasse drgnął i popłynął przed oczyma Łucznikowa. Andriej czuł, że za chwilę usłyszy coś, co dotyczy osobiście jego, a to w ostatnim czasie ograniczało możliwości działania.

- Posłuchaj, Andrieju, jeżeli nie życzysz sobie, zmienię temat... Czy ci się nie wydaje... - pułkownik mówił łagodnie, jakby miał do czynienia z chorym albo z kobietą, a potem nagle wypalił: - Czy nie potrzebujesz obstawy?

Chodzi o zamach, pomyślał Łucznikow. Raczej o możliwość zamachu. Ścisłej o pogroźki na ten temat. Dziwne, że całkiem o tym zapomniałem. Widocznie Tania przesłoniła mi wszystko. Jakie to poniżające być człowiekiem skazanym, budzącym litość. Co prawda Czernok jest żołnierzem, a każdemu żołnierzowi grozi śmierć...

- Wiesz - ciągnął po pauzie Czernok - dysponuję specjalnym oddziałem... Będą cię pilnowali dyskretnie, co zapewni ci bezpieczeństwo. Po kiego diabła umożliwiać ekstremistom odstrzął najlepszych ludzi na Wyspie? Dlaczego milczysz? Stawiasz mnie w głupiej sytuacji!

- Wykreślamy ten punkt z porządku dziennego, Sasza - powiedział Łucznikow.

- Zgoda. - Pułkownik wstał.

Pożegnali się. Dziesięć minut później Łucznikow przepychał się wynajętym renault - 5 przez samochodowe zatory Paryża. Na skrzyżowaniu Saint - Germain i du Bac samochody ledwo się poruszały. Mógł trochę pomarzyć, przywołać wspomnienia. Chyba przed trzema laty, kiedy przyleciał do Paryża, by się spotkać z Tanią, zamieszkał w tym oto hotelu Pont Royal. Tania przywiozła do Paryża sportowców na jakieś komunistyczne święto sportowe.

Był to Dzień „Humanite“ albo Bieg „Humanite“. Mieli dla siebie tylko dwie godziny. Tutaj na drugim piętrze Tania otoczyła go moskiewską czułością. „Mój kochany - powiedziała - taki kawał świata leciałeś dla mnie, kochanie ty moje najmilsze“. A on gotów był dla niej pięć razy okrążyć kulę ziemską. Słodkie nocne wspomnienia wyparły myśli o zamachu. Dawno zauważył, że kiedy myśli o Tańce (oni w Moskwie całe życie mówią na siebie Tanka, Wańka, Jurka), zapomina o wszystkich przykrych sprawach.

W znakomitym, chociaż nieco dziwnym nastroju wydostał się wreszcie z zatłoczonej du Bac na nabrzeże i dolnym pasmem pognał w kierunku placu Inwalidów. Prawy brzeg Sekwany tonął w słońcu.

I oto jesteśmy w atmosferze *United Nations Educational, Scientific and Cultural Organization*. Oczywiście, by się człowiek nie nudził, wszędzie rozbrzmiewa muzyka. Widocznie główne zadanie potężnej organizacji międzynarodowych nierobów polega na zapewnianiu ludziom stałej rozrywki.

W owalnej, wytwornie urządzonej sali pod malowidłami w stylu Chagalla, a może nawet Chagallowskimi, trwa posiedzenie jakiegoś podkomitetu czy podkomisji do spraw statystyki światowej.

Łuczniwowi powiodło się, trafił na przedstawienie odgrywane niemal codziennie w UNESCO przez Piotra Sabasznikowa, delegata Krymu. Piotr Sabasznikow to także kolega z klasy i stary przyjaciel. Krym nie należał do ONZ, ZSRR nigdy by się nie zgodził na takie bluźnierstwo, ale działał w agendach UNESCO, bowiem nie można było wyobrazić sobie poważnych akcji międzynarodowych bez niezwykle aktywnej wyspy. Pod presją Związku Radzieckiego nikt na świecie nie odważył się nazwać Wyspy mianem, które sama przybrała - Krym - Rosja. Żadna organizacja, żaden kraj nie śmiał się sprzeciwić gigantowi, poza taką drobnicą jak Chile, RPA, Izrael i nie wiadomo dlaczego Gabon. W dokumentach UNESCO używano określenia Wyspa Krym, ale Piotr Sabasznikow na wszystkie posiedzenia przychodził z tabliczką Krym - Rosja i korygował poniżającą decyzję kapitulantów.

- Udzielam głosu delegatowi Wyspy Krym, panu Sabasznikowowi - obwieścił przewodniczący podkomisji czy ćwierć - komitetu, kiedy Andriej Łuczniwow zajmował miejsce w całkiem pustej łoży prasowej.

W kierunku podium kroczył niespiesznie Pietia Sabasznikow ze skórzaną teczką pod pachą. Wszyscy delegaci uważnie obserwowali każdy jego ruch. Nowicjusze, to znaczy delegaci nowych krajów, dziwili się. O co tu chodzi? Przecież to po prostu kolejny mówca. Jednak Pietia Sabasznikow potrafił zwyczajną czynność przemienić w farsę. Usta w ciup, brwi groźnie nastroszone, dumnie uniesiony podbródek. A jednocześnie te obwisłe policzki. Sabasznikow odgrywał ni to Gromykę, ni to moskiewskiego aktora Tabakowa. Łuczniwow, zasłoniwszy dłonią usta, zaśmiewał się bezgłośnie. Pietia wciąż był ten sam - uwielbiał spektakle i robił to z wielkim talentem aktorskim.

Już jest na trybunie i daje pokaz wyrazistej mimiki. Szeroki uśmiech (prezydent Carter) trwa prawie minutę. Następnie, stękając, prychnąwszy, pokasłując, by oczyścić gardło i jamę ustną (gensek Breżniew) wyciąga z kieszeni okulary. Lekki półobrót, pseudomarzyielskie spojrzenie w bok i czarująco grasejując, całkiem jak premier tymczasowego rządu krymskiego Kublicki - Piottuch, monsieur Sabasznikow zaczyna przemówienie.

- Panie przewodniczący! Panie i panowie! Drodzy towarzysze! Nim przejdę do meritum sprawy, jestem zmuszony prosić o zaprotokołowanie następującego sprostowania. Udzielając mi głosu, pan przewodniczący popełnił błąd, był łaskaw mianowicie nazwać mnie delegatem Wyspy Krym, podczas gdy w rzeczywistości jestem delegatem kraju, którego oficjalna nazwa brzmi Krym - Rosja. Mam zaszczyt prosić pana przewodniczącego

oraz wszystkich panów delegatów o wzięcie pod uwagę niniejszego i dołożenie starań, by w przyszłości uniknąć podobnego błędu.

Łucznirow odszukał wzrokiem stół delegacji radzieckiej. Elegancki pan - obecnie Sowietki wyglądają bardziej na burżujów niż kapitaliści - podniósł się i dał znak sekretarzowi posiedzenia, który jak zwykle skinął głową. Wszystko odbywało się rutynowo: po każdym wystąpieniu delegata Krymu - Rosji Związek Radziecki zgłaszał protest. Wszyscy byli do tego przyzwyczajeni, traktowali to prawie jako formalność protokolaną UNESCO. A Piotr Sabasznikow zakończył tradycyjną uwagę wstępną ironicznym ukłonem, skierowanym do sali ze szczególnym uwzględnieniem delegacji radzieckiej, jakby chciał powiedzieć, że kto jak kto, ale on nie przywiązuje wagi do takich bzdur jak zgłoszony przed chwilą własny protest i spodziewany protest strony radzieckiej.

- Panowie - przeszedł do meritum sprawy - w warunkach współczesnej demoralizacji społeczeństwa statystyka uległa erozji jeszcze większej niż inne dyscypliny socjologiczne. Naszym obowiązkiem jako członków najbardziej humanistycznego oddziału Zgromadzenia Narodów - Łucznirow widział, że Sabasznikow z trudem powstrzymuje śmiech - jest przywrócenie tej dziedzinie nauki dobrego imienia, żeby stała się niezawodnym barometrem zdrowia planety. Niestety, proszę państwa, ja, delegat Krymu - Rosji, dolegę jedynie oliwy do ognia. Wiem, że tak będzie, ale muszę to zrobić. Oto jeden z ostatnich numerów „Time’a”. Zamieszczono w nim mapę statystyczną świata, opracowaną na podstawie materiałów różnych instytucji społecznych, łącznie z UNESCO. Oczywiście cenię „Time’a” jako jeden z filarów niezależnej prasy amerykańskiej i właśnie dlatego muszę skrytykować niektóre przejawy tendencyjności we wspomnianej wyżej mapie statystycznej. Po pierwsze: co to za poziomy wolności wyrażone w procentach? Według jakich zasad „Time” przekłada święte filozoficzne pojęcie na język liczb? Po drugie: zmuszony jestem wytknąć nieścisłości wszystkich liczbowych wskaźników dotyczących Rosji. Krym - Rosja jest wdzięczna za to, że „Time” przydzielił jej całe sto procent wolności, jednocześnie ubolewa z powodu przydzielenia Związkowi Radzieckiemu jedynie ośmiu procent. Pragnę jednak po raz kolejny podkreślić, że wszystkie dane statystyczne dotyczące Krymu - Rosji i Związku Radzieckiego należy rozpatrywać proporcjonalnie do liczby ludności. Oto drugi przykład. Według publikacji „Time’a”, w Związku Radzieckim przypada 18,5 samochodu osobowego na tysiąc mieszkańców. U nas przypada 60,8 samochodu na tysiąc mieszkańców. Proszę państwa, kiedy w badaniach statystycznych używacie pojęcia „Rosja”, bądźcie uprzejmi sumować dane Związku Radzieckiego i Krymu - Rosji. Przekonacie się wówczas, że Rosja w chwili obecnej ma 25,3 samochodu na tysiąc mieszkańców i 16 procent wolności według skali „Time’a”. Oto co chciałem podkreślić w tym punkcie porządku dziennego. Mam nadzieję, że nie nadużyłem uwagi państwa. Dziękuję.

Sabasznikow włożył jakieś papierki do teczki i uśmiechając się złośliwie pod nosem poszedł na swoje miejsce. Zdążył po drodze pomachać do Łucznirowa siedzącego w łożu prasowej - zauważyłem - i wskazać głową wyjście - spotkajmy się, a także niezwykle plastycznie całym ciałem wyrazić szacunek radzieckiemu koledze, który pędził już przejściem, by dać odpór rozpasanym prowokatorom z jakichś nikomu nieznanym, brzydko pachnących organizacji, które wbrew woli narodów są reprezentowane na forum międzynarodowym.

Łucznirow - nim opuścił łożę prasową - skonstatował, że został dostrzeżony przez delegację radziecką i amerykańską. Siedzący przy tych stołach faceci spoglądali na niego z zaskoczeniem - redaktor „Kuriera”!

Spotkali się z Sabasznikowem w drzwiach. Z głębi sali dobiegał groźny głos:

- ...Ludzie radzieccy z gniewem odrzucają pseudonaukowe prowokacje prasy burżuazyjnej, nie mówiąc o urągliwych docinkach żartownisiów z nikomu nieznanym podejrzanych organizacji, wbrew woli narodów reprezentowanych na forum Narodów Zjednoczonych!

- Walentin stara się jak może - pokiwał głową Sabasznikow. - Ale tam, gdy naprawdę trzeba coś powiedzieć, brakuje mu ducha.

- Przecież to automat, nie człowiek! - Łucznikow zerknął przez ramię na przedstawiciela Związku Radzieckiego wykrzykującego standardowe komunały. - Zdumiewające, że coś takiego ma imię.

- Rano grałem z nim w debłu przeciwko Irlandczykowi i Urugwajczykowi - powiedział Sabasznikow. - Dostaliśmy okrutne baty, wszystko przez niego.

Wyszli. Świat wokół chłonał słoneczne promienie.

- Jakie piękne byłoby życie, gdyby nie nasze głupie namiętności - westchnął Sabasznikow. - Zaplątaliśmy się od czasu grzechu pierworodnego.

- Daje o sobie znać duch UNESCO - uśmiechnął się Łucznikow.

- Śmiejesz się, Andrieju, a ja zamierzam wstąpić do zakonu - rzekł Sabasznikow.

- Nie gniewaj się, ale przypomina mi się pewna anegdota - powiedział Łucznikow.

- Wiem, co masz na myśli - westchnął krymski dyplomata.

Samochodem Łucznikowa pojechali w kierunku Saint - Germain - des - Pres.

W drodze Pietrusza pajacował, ale Łucznikowowi udało się jednak ustalić, że w ostatnim czasie odwalił on kawał dobrej roboty, a mianowicie wyjaśnił stanowisko Związku Radzieckiego i Stanów Zjednoczonych wobec Krymu. Jeżeli chodzi o Sowiety, to nic nowego, dawna mgła, natomiast jankesi są zwolennikami teorii geopolitycznej stabilności Sonnenfelda, znasz tego typa, Andriusza, oni srają na nas z wysokości i jest okay. Okazało się również, że Sabasznikow, odgrywając swoje przedstawienie, pamiętał, iż punktualnie o piątej oczekuje ich generał Witte.

Staruszek był krewnym, co prawda w linii bocznej, premiera Wittego. Wycofał się z kontynentu w stopniu sztabkapitana. Został w wojsku i szybko otrzymał gwiazdkę generalską. W dwudziestym siódmym roku był jednym z najmłodszych i najzdolniejszych generałów na Wyspie. Baron go uwielbiał, wszyscy wiedzą, że pomimo powszedniego prawosławnego barszczu baron całe życie tęsknił za rewelskimi parówkami. Niewątpliwie za parę lat młody von Witte zostałby dowódcą Sił Zbrojnych Południa Rosji, ale szatan odebrał mu rozum, ten sam szatan, który zwodzi nas wszystkich - miłość do Jedynej Niepodzielnej Ubogiej i Bogatej, Potężnej i Bezsilnej, to znaczy do Matki Rosji - szaleństwo tym dziwniejsze, Andriusza, że zrodziło się nie w scytyjsko - słowiańskim, lecz bałtyckim czerepie. Krótko mówiąc, generał wstąpił do zakazanego na Wyspie Związku Małorusinów, wziął udział w głośnym buncie Eupatorskich Gwardzistów i ledwo zdołał uciec do Paryża przed kontrwywiadem. Kiedy w trzydziestym piątym roku nasi ojcowie wprowadzili kwitnącą dzisiaj demokrację i wysłali barona na emeryturę, von Witte z jakiegoś powodu postanowił nie wracać z wygnania i dotąd wegetuje skromnie w Paryżu. Mam wrażenie, Andrieju, że generał przeszedł to, do czego ja się zbliżam - mam na myśli odrodzenie duchowe. Wysoki głos załamał się w krótkim, teatralnym, nieskończenie fałszywym szlochu. Sabasznikow odwrócił łysiejącą głowę ku otwartej szybie. Powiew wiatru targał kosmyki cienkich włosów, a on tak trwał, pozwalając, żeby Łucznikow wyobraził sobie łyzy cichej radości i głębokie duchowe przeżycie malujące się na jego twarzy.

- Znakomicie to zrobiłeś, Pietiasza - pochwalił Łucznikow. - Twój talent ciągle się

rozwija.

- Żartujesz sobie - powiedział cienkim głosem Sabasznikow, a jego ramiona zdrząły, nie wiadomo było, czy się śmieje, czy płacze.

- Jeżeli chodzi o generała Wittego, myślę, że nie wrócił na Wyspę, ponieważ nie widział sojuszników w naszych ojcach. Ciekaw jestem jednego - czy rzeczywiście spotykał się ze Stalinem i co ten karaluch myślał o połączeniu.

- Muszę cię uprzedzić, że staruszek ma już kuku na muniu - powiedział Sabasznikow.

Łucznirowowi udało się przy pierwszym podejściu dać nura w podziemny parking przy Saint - Germanin - des - Pres i znaleźć wolne miejsce już na trzecim poziomie. Nie powiodło się natomiast mercedesowi, który jechał za nimi od Place de Fontenoy. Kiedy dojeżdżał do wejścia na parking, wyskoczył jak diabeł z pudełka ciemnoskóry chłopak i wywiesił tabliczkę „Complet“. Kierowca merca zirytował się okropnie, chyba miał zamiar mimo wszystko zostawić wóz, nawet wysunął nogę, ale na widok dwóch symferopolskich dżentelmenów, wychodzących z parkingu, noga zawisła w powietrzu. Dżentelmeni udali się do pobliskiej restauracji Lipp. Kierowca mercedesa widział, jak dżentelmeni wchodzili do restauracji, w drzwiach zostali porwani w objęcia grubego, wysokiego Amerykanina.

Jack Haloy podczas przyjacielskich spotkań upodabniał się do ośmiornicy, wydawało się, że liczba jego kończyn powiększa się dwukrotnie. Ramiona otwierały się i zamykały, chwyciły łąpczywie ofiary i ścisnęły je. Wszyscy przyjaciele wydawali się miniaturowymi w objęciach byłego dyskobola. Nawet barczysty Łucznirow czuł się jak baletnica, kiedy Octopus kładł ręce na jego ramionach. Na jednej z ubiegłych olimpiad - nie wiadomo na której i w którym roku - Octopus w rzucie dyskiem zdobył złoty medal, może zresztą był to medal srebrny lub brązowy, albo prawie zdobył, był o włos od zdobycia, w każdym razie znajdował się w składzie olimpijskiej reprezentacji USA, lub typowano go do reprezentacji, a może rokowano, że zostanie kandydatem do reprezentacji. Spytajcie pierwszego lepszego bywalca plaży w Santa Monica, każdy wam powie, że rzeczywiście był dyskobolem i dzisiaj, chociaż brzuchaty, lepiej rzuca dyskiem niż jakiś uniwersytecki głupek. Co się zresztą sprzeczać o medale, skoro dzisiaj nazwisko Haloya łączy z innym złotem, wyższej próby od olimpijskiego, ze złotem Hollywood. W ostatnich latach w wytwórni Paramount nakręcił jeden za drugim trzy wielkie filmy. Zaczynał - by tak rzec - od zera, od marnych pieniędzy wątpliwego pochodzenia, z dwoma nikomu nieznanymi manhattańskimi mądralami, scenarzystą Francisem Bukniewskim i reżyserem Leibem Stoksem, udało mu się jednak zebrać konstelację znakomitych gwiazd, ścisnąć niezrównaną Lucy Clark, zaprzyjaźnioną z powszechnym ulubieńcem, światowcem, zwariowanym romantykiem, smakoszem, poliglotą i erotycznym partyzantem Jackiem Haloyem Octopusem. Nawiasem mówiąc, supergwiazda rodem z Krymu zrobiła dobry wybór. Już pierwszy niezwykle film *Aluzja* zdobył ogromne powodzenie i przyniósł duże pieniądze wszystkim współtwórcom, a niezrównanej Lucy - jeszcze większy rozgłos. Dwa dalsze filmy - *Trąd* i *Eurydyka trade mark* - to kolejne sukcesy, kolejne pieniądze, droga do sławy...

Znakomity producent filmowy witał nowo przybyłych gości w drzwiach restauracji.

- Andriej, Pit! Gdybyście wiedzieli, jak mnie uszczęśliwia widok waszych grzesznych twarzy w promieniach słońca! Pośród zwiewnych cieni Saint - Germanin - des - Pres! Słowo honoru, wasz smrodliwy oddech dotarł do mnie poprzez wszystkie wonie Paryża z odległości tysięcy metrów! Muszę zagrać na fortepianie na waszą cześć, i zrobię to, *fuck myself*.

Był wyraźnie w stanie wskazującym na spożycie, a procent alkoholu w jego krwi miał

się wkrótce jeszcze podnieść.

W sali na pierwszym piętrze wokół wielkiego stołu siedziało już całe towarzystwo. W centrum - niezrównana Lucy, po prawej stronie - Leib Stoks, jej aktualny partner seksualny, z lewej - Frank Bukniewski, były partner seksualny; nieco dalej przystojniak Kris Hansen - partner Lucy z filmowej historii miłosnej, a obok - jego mążnek Maks Ruten, łysy chłop o grubych wargach, dalej kamerzysta Wołodia Gusakow, nowy radziecki emigrant z żoną malarką, szanowną matroną Mirą Łunc, a także obowiązkowy gość na wszystkich przyjęciach Octopusa - „nieznajoma dziewczyna“.

- Cześć, chłopaki! - zawołała po rosyjsku Lucy Clark. Po prawdzie nie należy się dziwić, że supergwiazda o światowej sławie niekiedy używała języka WPFW (Wielkiego, Potężnego, Prawdomównego i Wolnego - jak określono w środowisku Łucznikowa), ponieważ był to także jej język. Nazywała się Gala Burkina i przyszła na świat w rodzinie wrewakuanta z Jałty, chociaż odziedziczyła po tymczasowym miejscu pobytu rodziców tatarskie szerokie kości policzkowe i mongolski wykrój oczu, wyglądający dziwnie przy północnorosyjskim błękicie tęczęwek. No cóż, ogrodnik Karim często w upalne dni spoglądał spoza koronkowych splotów winorośli na jej mamę, a jak wiadomo myśli ogrodników docierają z daleka do nudzących się pań.

Nowojorscy intelektualiści z nawyku odwiecznej rywalizacji przyjęli krymskich intelektualistów z niejakim lekceważeniem, z uśmieszkami, a ci z kolei, świadomi swej historycznej przewagi, jak zwykle w kontaktach z nowojorczykami byli serdeczni i bezpośredni, tak jak Mikłucho - Makłaj był uprzejmy dla mieszkańców Nowej Gwinei. Haloy studiował na uboczu ogromną kartę win, drapał się po podbródku, zasięgał rady szefa sali, niesamowicie poważnego, jak wszyscy francuscy kapłani gastronomii. Jaki ten Octopus jest malowniczy. Zawsze odzwierciedlał czas i środowisko, do którego aktualnie należał. W latach pięćdziesiątych w Anglii, gdzie Łucznikow go poznał, w pewnym sensie reprezentował piechotę morską: ostrzyżony na jeża, pewny krok. W latach sześćdziesiątych spacerował z bródką a la Thelonious Monk, w ogóle nosił się jak jazzman. Nadeszły lata siedemdziesiąte - proszę bardzo! Szpakowate kędziory do ramion, wystający brzuch opięty jaskrawym podkoszulkiem, kamizelka z hipisowskiego bazaru... milioner - dziwak z Beverly Hills. Obecnie lata siedemdziesiąte odchodzą w przeszłość, stoimy u progu niewiadomego. Jack Octopus już się szykuje do jego spotkania, ostrzygł się, włożył śnieżnobiały garnitur.

Tymczasem przy stole zapadła krępująca cisza, ponieważ nowojorczyki zdążyli zrazić mieszkańców Krymu lekceważeniem, a jeszcze nie zdążyli się oswoić z ich życzliwym sposobem bycia. Lucy Clark z całkiem niedwuznacznym uśmiechem patrzyła na siedzącego naprzeciwko Łucznikowa, jakby widziała go po raz pierwszy. Wyraźnie chciała wskoczyć mu do łóżka. Kris i Maks ponuro wymieniali jakieś uwagi jak „koledzy z pracy“, a nie małżonkowie. Wołodia Gusakow siedział onieśmielony, jak przystało na nowego emigranta. Jego żona Mira wypiętą piersią i wysoko podniesionym podbródkiem demonstrowała gotowość do bezkompromisowej walki o honor męża. Łucznikow odwracał wzrok od nowojorczyków, nie chcąc się irtować ich widokiem i łagodnie uśmiechał się do Lucy Clark: nie tak ostro, Galu, nie tak ostro, przecież się znamy nie od dzisiaj. Bukniewski i Stoks, rozwaleni na krzesłach, wymieniali spojrzenia, mrugali do siebie, uśmiechali się pod wąsem, ale widać było, że są nie w sosie, coś im tutaj przeszkadza. A „nieznajoma dziewczyna“ chyba miała zamiar nawiać. Tylko Piotr Sabasznikow był właściwym człowiekiem na właściwym miejscu, aktorskim zmysłem wczuł się w sytuację i z zapalem naśladował zachowanie uczestników „krępującej ciszy“ - sapał nieśmiało, nieporadnie wzruszał ramionami, zerkał spod oka na sąsiadów i szybko odwracał oczy, chyba się nawet

zarumienił drań.

- Co się tam guzdrzesz, Jack? - przerwał milczenie Łucznirow.

Octopus podszedł do stołu, usiadł przy stronie szczytowej.

- Wybieraliśmy wina - powiedział. - To bardzo ważne. Źle dobrane wino może sprawić, że obiad się nie uda, a wy za dwie godziny będziecie wyglądali jak świnię.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, rozwiata się krępująca cisza. Obecność przy stole zwalistej postaci, pyzatyh policzków, małych bystrych oczek wprowadziła harmonię. Wina, jak się okazało, były dobrze dobrane, a potem już wszystko poszło gładko: awokado z plasterkami szynki, krewetki, zupa żółwiowa, cynaderki po prowansalsku, chateaubriand - Lipp pod dyrygenturą Octopusa nie dawał biesiadnikom chwili wytchnienia.

Łucznirow opowiadał Lucy i Jackowi o *demarche* Pieti na posiedzeniu podkomitetu UNESCO. Dyplomata udawał oburzenie: robisz ze mnie karykaturę! Lucy się zaśmiewała. Nowojorczyccy, przekonawszy się, że Rosjanie wcale się nie chełpią szlacheckim pochodzeniem i błękitną krwią, ochoczo odpuścili sobie snobizm. Rozmawiali po angielsku. Łucznirow, spojrzawszy na Wołodię Gusakowa, pomyślał, że pewnie facet nie wszystko chwyta.

- Czegoś nie rozumiem - potwierdził Wołodia. - Co takiego zabawnego opowiada pan o procentach wolności?

Na młodej, nieco prostackiej twarzy malowała się wrogość. Być może zrozumiał, o co chodzi, może nawet więcej niż wynikało z opowieści Łucznirowa.

- Ten pan żartuje sobie - załamującym się głosem powiedziała jego żona, podnosząc podbródek. - Nasz ból jest dla niego okazją do kpin.

Amerykanie nie rozumieli i wybuchnęli śmiechem.

- *Mira of Moscow* - rzekł Bukniewski - *Lady MCHAT*.

wyciągnięta nad stołem dłoń dyskobola spoczęła na ramieniu Wołodi Gusakowa. Łucznirow zauważył, że małe oczka Jacka nie uśmiechają się, jak to zwykle bywa, lecz błyszczą lodowato. Dopiero teraz zrozumiał, że nie jest to zwykły towarzyski obiad, początek kolejnego cyklu paryskich hulank, że Octopus ma jakieś poważne zamiary. Patrzył na przemian na Jacka i Wołodię Gusakowa. Nowi emigranci dla wszystkich zagranicznych środowisk rosyjskich stanowili zagadkę, a dla Łucznirowa była to męka, rozdwojenie jaźni. W gruncie rzeczy właśnie z powodu tych ludzi jeździł do Moskwy, utożsamiał się z każdym z nich, pragnął uczestniczyć w ich życiu i walce. Niestety w Moskwie było ich coraz mniej, coraz więcej przebywało w paryskich kawiarniach i kampusach amerykańskich uniwersytetów. Na Krym przyjeżdżali w gości, żaden z nich nie osiedlił się na Wyspie.

Chciał powiedzieć Wołodii, że niepotrzebnie czuje się dotknięty, on, Łucznirow, nie ich wyśmiewa, lecz siebie... ale uświadomił sobie, że Wołodia Gusakow i jego żona Mira Łunc nie rozumieją go, cokolwiek by mówił w jakimkolwiek języku świata, nawet w najpoprawniejszym żargonie moskiewskich szumowin. Oto przepaść, która przed sześćdziesięciu laty podzieliła bryłę „wspólnego losu“.

- Wy, Rosjanie, jesteście masochistami - zaśmiał się Octopus. - Andrieju i Wołodia, jako znawca słowiańskiej duszy rozdzielię was na dziesięć minut.

Wstał, położył dłoń na ramieniu „nieznajomej dziewczyny“ - chodź z nami, *pussy - cat* - zrobił oko do Łucznirowa - musimy pomyśleć o naszych kurewskich sprawkach. Łucznirow jednak rozumiał, że chodzi o coś innego.

Wyprawa na dół do barn trwała nie dziesięć, lecz całe trzydzieści minut. Oczywiście w barze Octopus spotkał trzech znajomków, siedzących na barowych stołkach. Jeden z nich,

laureat nagrody Goncourtów, który wyglądał raczej na pijaczka - zegarmistrza niż wyrafinowanego francuskiego pisarza, okazał się bliskim przyjacielem Octopusa. Taka to już prawidłowość - spośród trzech znajomków jeden zawsze był najlepszym przyjacielem. Z barmanem także łączyła go jakaś wspólna przeszłość, jakieś skomplikowane stosunki, coś się wydarzyło podczas ostatniego przyjazdu, jakaś skarga jakiegoś monsieur Delanu, wizyty komisarza Prive, który jednak był - jak przypuszczano - przyzwoitym chłopem, monsieur Octopus mylił się co do niego. W każdym razie w chwili obecnej nic mu nie grozi ze strony VI dzielnicy Paryża, ponieważ monsieur Prive, zgodnie ze swoim nazwiskiem, to stara Francja z czasów, kiedy ludzie spokojnie patrzyli sobie w oczy i jeszcze nie wiedzieli o koszmarach socjalizmu, o komputerach, które docierają do nas, proszę mnie dobrze zrozumieć, z Ameryki, a nie z Rosji, wbrew temu, co niektórzy uważają; więc te socjalistyczne potwory zachowują w swojej pamięci wszystkie drobne grzeszki, nieważne, czy to był stolik przewrócony w kawiarni, spoliczkowanie jakiegoś łajdaka, czy przywłaszczenie w hotelu groszowego ręcznika, jak to było z pewnym polskim profesorem, więc taki socjalistyczny potwór został zainstalowany w VI dzielnicy Paryża, ale pan w nim nie figuruje dzięki przyzwoitości monsieur Prive. W tym momencie „nieznajoma dziewczyna“ ujrzała przez okno uroczą przyjaciółkę i zapragnęła pobiec za nią. Octopus przytrzymał ją oburącz za pupę, jął też przekonywać - nie wiadomo dlaczego po hiszpańsku - o niedoskonałości miłości lesbijskiej.

- Do diabła z tobą, Octopusie - zirytował się Łucznikow, zerkając na zegarek w obawie, że się spóźni na spotkanie z generałem von Witte.

Octopus puścił dziewczynę, odwrócił się od barmana, osłonił ręką ucho, do którego od czasu do czasu bełkotał coś laureat nagrody Goncourtów, zaklął we wszystkich znanych sobie językach, a było ich co najmniej dziesięć. Następnie w stylu prezydenta Nixona położył dłoń na ramieniu Łucznikowa i zaczął referować swoją propozycję, co słysząc Łucznikow o mało nie spadł ze stołka.

- ...Posłuchaj stary, wiesz, ile zgarnąłem forsy w ostatnich latach, ale przysięgam na tę oto prawicę, którą, Andrieju, robię wszystko, najważniejsze, na tę nieprzeciętną grabę, której potrzebuję chociażby po to, by rozpiąć rozporek, że zapierniczam w kurewskim biznesie ruszających się obrazków wcale nie dla pieniędzy. Widzę, że się uśmiechasz, spodziewasz się, że stary Octopus zaraz zagai o posłannictwie i sztuce, ale nie będę mówił o sztuce, chociażby z tego powodu, żebyś, stary koniu o błękitnej krwi, nie wyśmiał dziecka filadelfijskiej biedoty. Czy nie wiedziałeś o moim okropnym dzieciństwie? Więc ci opowiem to, w co, mam nadzieję, uwierzysz, a jeżeli nie uwierzysz, to zrzucę cię ze stołka i wezwę monsieur Prive, który wpakuje twoje nazwisko do swego socjalistycznego komputera, a skutek będzie taki, że nigdy cię nie wpuszczą do Paryża, będziesz jak Żyd Wieczny Tułacz tysiące lat kręcić się wokół Paryża, ale nigdy tu się nie dostaniesz ze względu na nieodpowiednie zachowanie w barze restauracji Lipp, albo będziesz siedział i wył na swojej Wyspie, dopóki nie przyjdą czerwoni. Więc ci powiem, że kręcę ten biznes nie dla siebie, ale po to, by utrzymać obrzydliwych łajdaków, którzy mnie otaczają, żeby urzeczywistnić marzenia międzynarodowych łachudrów, to znaczy moich przyjaciół, a jeżeli nie wierzysz mi, to przysięgam, że jeszcze dzisiaj wyrzucę cię, mój kochany, z Paryża i przykuję łańcuchami do pomnika Marksa obok hotelu Metropol. Będziesz tam tkwił, aż się zacznie twój ukochany Wspólny Los, a później komuchy z wdzięczności wyjebią cię kawałkiem kiełbasy „doktorskaja“ i ześlą do Jokszar Oły, krainy wiecznych lodów, do czego, spodziewam się, nigdy nie dojdzie, ponieważ kocham cię, przyjacielu, mówię to uczciwie i jestem twoim niewolnikiem...

Octopus wyrzucił z siebie tę tyradę jednym tchem w najczystszy styl dawnych libacji i zaczął mówić całkiem przytomnie:

- Niedawno przeczytałem twoją książkę *My Rosjanie*. Wstrząsająca! Te wszystkie psychologiczne osobliwości! Być może to wasza cecha narodowa. Anglicy, kolonizując wyspy i inne obszary, natychmiast zaczęli dążyć do oderwania ich od metropolii. U was drugie pokolenie, któremu udało się uratować, nie mówiąc o trzecim, marzy o surowym uścisku przodującego, chociaż najbardziej ograniczonego narodu w historii. Zmiany osobowości, psychodegradacja... ale jak to wspaniale ukazujesz! Brawo, Andrieju, nie można ci odmówić ani talentu dziennikarskiego ani mistycznego wyczucia historii. Słowo daję, tatarskie nasienie na zawsze zatruło waszą arystokrację. Powiedz jednak uczciwie - czy rzeczywiście marzysz o połączeniu z Rosją, to znaczy o zagarnięciu Krymu przez Związek Radziecki, czy to tylko... no... taki chwyt polityczny? Nie widzieliśmy się tyle lat, przyjacielu. Chciałbym wiedzieć, co ci gra w duszy.

Przeszywał Łucznikowa wzrokiem. Dwie jarzeniówki rozpały się do białości, w ich świetle przygasły kolory butelek na półkach barowych i słoneczne promienie za oknami, wychodzącymi na Saint - Germain - des - Pres. Świat wyblakł, przybrał kontrastowe barwy czerni i bieli. Mrok zawisł nad głową. Łucznikow czuł rosnące napięcie.

- Nigdy z tobą nie rozmawiałem na takie poważne tematy

- powiedział. - Wolałbym nadal uważać cię za starego przyjaciela Octopusa...

Haloy uśmiechnął się jakoś dziwnie, aż Łucznikow zwątpił, czy ma przed sobą człowieka, którego znał, czy to naprawdę Octopus.

- Zbyt długo nie widzieliśmy się. Chyba nie wszystko rozumiesz. Czy wiesz, ile każdy pisarz zajmujący się polityką dałby za rozmowę ze mną? Nie rozumiesz, idioto, że mam dla ciebie propozycję? Ważną, konkretną propozycję?

- Co my mamy wspólnego? - Łucznikow naciskał palcami gałki oczne, ale świat nadal był czarno - biały. Wtedy wypił duszką podwójny koniak i barwy wróciły. - Jeżeli interesuje cię reklama, to muszę powiedzieć, że „Kurier“ poświęca dużo miejsca twoim filmom. Lucy jest stale na naszych łamach... Przecież to perła Wyspy ...

- Dziwak z ciebie! - przerwał Octopus. - Moja propozycja jest więcej warta niż takie kurwy jak Lucy. Możemy z tobą, Andrieju, połączyć Wyspę z Rosją!

- Co ty pleciesz? - Łucznikow schwycił Octopusa za nadgarstki, zajrzał mu w oczy. - Co znaczą te bzdury?

- Monsieur Gobo, pańskie prawe ucho coś zanadto urosło - rzekł Haloy do barmana, który przy drugim końcu lady coś podliczał. - Przespacerujmy się, Andrieju. Nie znoszę ludzi z takimi oślimi uszami.

Na bulwarze Amerykanin wziął Łucznikowa pod ramię, ścisnął je stalowym uchwytem i wymachując wolną ręką, zagładając mu w oczy, z zapalem zaczął rozwijać swój pomysł.

To będzie wielki film o połączeniu Krymu z Rosją. Tragiczny i liryczny, romantyczny i dramatyczny, doprawiony ironią. Totalitarny potwór pożera wesołego króliczka na jego własne życzenie. Łucznikow napisze scenariusz. Właściwie scenariusz jest prawie gotowy. Sceny zbiorowe są gotowe. Reżyserem będzie Witalij Gangut. Stoksowi damy kopa w dupę, zanadto się mądrzy. Nie szkodzi, że Gangut jest w Moskwie, wyciągniemy go stamtąd, obecnie to żaden problem. Przyjmujesz, stary, propozycję?

- Puść moje ramię - powiedział Łucznikow.

- O co chodzi? - zdziwił się jakoś nienaturalnie Octopus, ale ręki nie puścił.

- Muszę zapalić - powiedział Łucznikow. - Po kiego chuja uczepliłeś się mnie? Czy jestem

babą? - Dziwak z ciebie, zdecydowanie dziwny typek... - potężny Octopus bełkotał jakby zakłopotany, ale wciąż trzymał ramię Łuczniakowa. - Proponuję ci miliony, a ty...

- No! - Łuczniakow krawędzią wolnej ręki zdzielił go w brzuch i wyrwał ramię.

Zdumiony olbrzym zatrzymał się wśród płynącego chodnikiem paryskiego tłumu. Ludzie oglądali się na niego. Łuczniakow zrobił kilka kroków, zapalił papierosa.

- Z czyjego polecenia prowokujesz mnie? - zapytał.

- Łajdak! - rzucił Octopus ponad głowami paryżan. I poszedł sobie, ale po kilku krokach zatrzymał się.

- Ja do ciebie jak przyjaciel, a ty... gówno! - wrzasnął znowu. Jeszcze kilka wściekłych kroków i donośny ryk spod kawiarni Margot:

- Nie chcę cię więcej znać! Łuczniakow tkwił w miejscu.

Octopus padł na krzesło stojące na chodniku, ostami raz pokazał Łuczniakowowi pięść i zajął się przywoływaniem kelnera.

Łuczniakow zobaczył, że z restauracji Lipp wychodzi Sabasznikow. Pomachał do niego ręką i obaj mszyli w kierunku parkingu. Sabasznikow - wcielenie obrażonej cnoty - relacjonował rozwój wydarzeń podczas przyjacielskiego obiadu filmowców. Amerykańscy luminarze zwymyślali go od szlacheckiego zwyrodnialca, Wołodia Gusakow nazwał go białogwardyjskim niedobitkiem, a także czerwonym podlizuchem, a Lucy Clark rozpięła mu pod stołem rozporek. Jak widzisz, sytuacja przy stole zrobiła się nieznośna, nawet moje zahartowane w UNESCO nerwy nie były w stanie wytrzymać czegoś takiego, więc wyniosłem się stamtąd bez słowa.

- Całkiem bez słowa? - spytał Łuczniakow.

- Powiedziałem im tylko, że to *table de guignol*. Potem wyszedłem bez słowa. Tylko, no... Krótko mówiąc koszmar. Świat marazmu, nienawiści, nieustającego skandalu. Zbliża się czas holokaustu. Trzeba uciekać do klasztoru, póki nie jest za późno, dokądkolwiek, na Malte, na wyspy Tristan da Cunha... Może wiesz, gdzie się znajduje najuboższy, najdalej położony prawosławny klasztor?

Wyjechali z podziemnego parkingu. Teraz musieli przeciskać się przez coraz wścieklejszy ruch na ulicę Bienfaisance na prawym brzegu, gdzie od pięćdziesięciu lat mieszkał niedoszły działacz idei rosyjskiej generał von Witte.

Łuczniakow nie powiedział przyjacielowi o propozycji Amerykanina. W ogóle wołał o tym nie myśleć, nie rozważać tej bluźnierczej propozycji, typowej dla zdemoralizowanych gagatków z Beverly Hills.

Tak czy inaczej, postanowił nie denerwować się i wrócił do kołowrotu swego paryskiego dnia. Przypomniawszy sobie, że należy zadzwonić do ambasady radzieckiej.

- Halo, towarzysz Tarasów? Mówi Andriej Łuczniakow.

- Dzień dobry, panie Łuczniakow - odezwał się superuprzejmy głos. - Miasniczenko przy telefonie.

- Dzwonię w związku z wizą - powiedział Łuczniakow, patrząc z budki telefonicznej na doświetlony słońcem mur opactwa Saint - Germain - des - Pres. - Czy sprawa posuwa się naprzód?

Ostami zwrot, typowy dla biurokracji radzieckiej, zacytował jak najciekawiej. Jakie przedziwne zmiany zaszły w świecie: pan rozmawia z towarzyszem i wzajemnie się rozumieją! Dziwne są zrządzania losu!

- Wszystko w porządku, panie Łuczniakow - odparł towarzysz Miasniczenko serdecznym tonem.

- Niemożliwe! - zdziwił się Łuczniakow.

- Ależ tak, jak najbardziej, Andrieju Arsieniewiczu. Wiza jest gotowa, trzeba tylko odnotować w pańskim paszporcie. Czekam na pana, Andrieju Arsieniewiczu...

- Taak... po prawdzie nie spodziewałem się, że to zostanie tak szybko załatwione... jestem bardzo zaganiany... - bąknął Łucznikow.

- Proszę się łaskawie nie niepokoić, Andrieju Arsieniewiczu, to potrwa najwyżej dziesięć minut.

Towarzysz Miasniczenko jakby się rewanżował uprzejmością za uprzejmość, w odpowiedzi na sowietyzmy Łucznikowa, łącznie z „jestem zaganiany“, odpowiedział staroreżymowym „łaskawie“. Pewnie uważa, że tak mówią za przykładem literatury klasycznej dzisiejsi pogrobowcy i niedobitki.

Rzeczywiście formalności na rue Grenelle trwały nie więcej niż dziesięć minut. Towarzysz Miasniczenko był młodym człowiekiem, sovietikusem nowej generacji: niedbałe ruchy, przyciemnione modne okulary, uprzejmy, aczkolwiek nieco kwaśny uśmiech.

Łucznikow wsunął paszport do kieszeni i raźnie pomaszerował na róg bulwaru Raspail, gdzie w samochodzie czekał na niego Sabasznikow.

Dyplomata Pietiasza kontynuował narzekania: - Posłuchaj, Andriusza, rzućmy wszystko do diabła i jedźmy do Nowej Zelandii. Kupimy ziemię, założymy rosyjską fermę, ściągniemy kilku przyjaciół i ojca Leonida, będziemy uprawiać warzywa, oczekiwać końca życia, czytać i komentować Pismo Święte... Czyżby ci nie zbrzydło to wszystko: Paryż, Nowy Jork, Symferopol, Moskwa, kobiety i mężczyźni, polityka. Lepiej jedź prosto na plac Zgody. Gdyby udało się namówić ze dwudziestu przyzwoitych ludzi i uciec gdzieś daleko od tego burdelu, nie musiałbym iść do klasztoru. A teraz skręć na Waszyngtona i szukaj miejsca do zaparkowania.

Łucznikow myślał, że w domu generała panuje atmosfera marazmu, półsennych dziwactw, że spotka tam gromadę kotów albo gadających ptaków, obdarte tapety, bezwstydną rozpacz. Mógł także spodziewać się czegoś przeciwnego, to znaczy schludnej, pogodnej starości, ale nie oczekiwał, że się znajdzie w biurze polityka. Za masywnymi drzwiami z miedzianą tabliczką, na której po rosyjsku i po francusku wypisano długi tytuł generała, w rozległym holu ozdobionym mapami Rosji i portretami kilku wybitnych ludzi, wśród których sąsiedowali ze sobą głównodowodzący Ławr Korniłow i przewodniczący Rady Komisarzy Ludowych Włodzimierz Lenin - spotkał ich młody człowiek w szarym flanelowym garniturze, typowy francuski dyplomata, przedstawił się jako sekretarz barona von Witte i oznajmił, że pan generał oczekuje panów Łucznikowa i Sabasznikowa.

Generał siedział przy dużym biurku i coś szybko pisał, trochę jakby za szybko, by nie wyglądać na komedianta.

W ciągu kilku sekund, kiedy generał jakby nie dostrzegał gości (także o jedną lub dwie sekundy za długo), Łucznikow porównał go ze swoim ojcem. Porównanie wypadło korzystnie dla Arsienija Nikołajewicza. Generał wyraźnie nie dorównywał młodszemu Arsienijowi Nikołajewiczowi pod względem postawy, mchów, chociaż generała także nie można było nazwać ramolem.

Mocny uścisk dłoni, przytrzymanie ręki gościa w uścisku, głębokie spojrzenie, w oczach serdeczność i życzliwość. Znowu przesada! Siadajcie, chłopaki! Diabelnie się cieszę, żeście przyszli, zawsze rad jestem gościom z Rosji, zwłaszcza młodzieży. Wprawdzie prawie pół wieku żyję na wygnaniu, ale duszą jestem w ojczyźnie, na jej równinach i wyspach (to ostatnie mocno zaakcentowane). Ostre badawcze spojrzenie lub imitacja ostrego spojrzenia, w każdym razie jasny blask na pofałdowanej twarzy. Pół godziny temu gościłem sekretarza

organizacji komsomolskiej w zakładach budowy ciągników w Swierdłowsku (prawa powieka przymyka się znacząco i otwiera). Niezgorza młodzież wyrosła nam na Uralu, myśląca, z charakterem. A jak tam na południu? Co na Krymie? Jak się czuje Arsienij Nikołajewicz? Proszę przekazać ojcu ukłony ode mnie, pozdrawiam go serdecznie. Jesteśmy przecież towarzyszami broni. Kachowka, Kachowka... Macie szczęście, chłopcy, nie musieliście walczyć w bratobójczej wojnie. A co u was? Co się dzieje w waszym środowisku? Co w waszym życiu najważniejsze? Sport? Seks?

Witte przerwał, chyba zrozumiał, że przeholował. Podczas swego bzdurnego przemówienia, nawet przekazując pozdrowienia Łucznikowowi - seniorowi, nie patrzył na Andrieja, zwracał się do Sabasznikowa, którego znał, a tamten, jak zwykle czując fałszywą nutę, doskonale się dostosował do gry staruszka, udawał „młodzież“, przerośniętego pryszczatego gimnazjalistę, peszył się, chichotał, nawet - kawał drania - obgryzał paznokcie. Wreszcie generał spojrzął jednak na Łucznikowa i zaciął się, chyba się nawet trochę spłoszył. Łucznikow właśnie strząsał popiół z papierosa do popielniczki z kremłowską basztą, obserwował uważnie generała i wcale nie wyglądał na „chłopca“.

- Czy to prawda, Witoldzie Jakowlewiczu, że w trzydziestym szóstym roku spotykał się pan ze Stalinem? - spytał.

- Chłopaki, chłopaki - staruszek machinalnie pogroził palcem z żartobliwym wyrzutem, ale był wyraźnie przestraszony.

- Jestem redaktorem i wydawcą „Russkiego Kuriera“, gazety, która leży na pańskim biurku.

- Andrieju Arsieniewiczu! - staruszek klasnął w dłonie, okazując niezwykle polityczny spryt. - Któż nie wie! Któż nie docenia! Gdyby pan wiedział, jak tutaj na obczyźnie cieszy nas rosyjska mowa, czy to będzie moskiewska „Prawda“ czy symferopolski „Kurier“! My Rosjanie...

- Prosiłbym pana, Witoldzie Jakowlewiczu... - pomimo trybu warunkowego i wielokropka to zdanie Łucznikowa zabrzmiało zuchwale, a wsparte następnie lekkim uściskiem przegubu staruszka, wyglądało jak żądanie - dość błazenady!

I generał zmienił się nie do poznania. Szybko włożył inne okulary, zamiast przyciemnionych niebieskawych - czyste mocne soczewki.

- Słucham, panie Łucznikow.

Sabasznikow także się zmienił, reagował spontanicznie, unosił brwi, przybierał mądry wyraz twarzy, energicznie kiwał albo przecząco potrząsał głową.

Łucznikow: Wyznajemy Ideę Wspólnego Losu.

Von Witte: Kogo pan reprezentuje?

Łucznikow: Określony nurt intelektualny.

Von Witte: Jak się nazywa?

Łucznikow: Związek Wspólnego Losu. Skrót ZWL.

Von Witte: Gratuluję. Całkiem zgrabnie - Związek Wspólnego Losu! Kogo jednak pan...

Łucznikow: Panie generale, nie jesteśmy związani z żadnym wywiadem na świecie.

Von Witte milczy z wytrzeszczonymi ze zdziwienia oczyma.

Łucznikow: Nie może pan sobie tego wyobrazić?

Von Witte milczy, jego zwężone oczy patrzą teraz bacznie.

Łucznikow: Nasza siła polega na całkowitej jawności i...

Von Witte: Dlaczego pan nie dokończył?

Łucznikow: ...i gotowości do zaakceptowania każdego zwrotu wydarzeń.

Von Witte: Ja bym powiedział: Do zaakceptowania każdego zrzędzenia losu.

Łucznirow: Świewnie! Teraz ja panu gratuluje, generale.

Wymienili ironiczne uśmiechy.

Znudzony Piotr Sabasznikow wstał i podszedł do kąta, gdzie ze szklanego akwarium obserwowały gabinet kolorowe rybki, a w klatkach ćwierkały rosyjskie ptaki, pewnie podarunek komsomolskich organizacji z Uralu.

- Być może teraz, panie generale, moje pytanie o spotkanie ze Stalinem wyda się panu stosowniejsze - powiedział Łucznirow. - Ciekaw jestem, jak wódz postępowej ludzkości reagował na ideę połączenia.

- Może pytanie jest stosowne, ale ironia pod adresem Józefa Wissarionowicza jest całkiem niestosowna - powiedział surowo von Witte.

- Jeżeli nie odpowie pan na moje pytanie, generale, będzie to znaczyło, że jest pan głównem - uśmiechnął się uprzejmie Łucznirow.

Dosadne słówko zostało uznane za żart. Szeroki uśmiech stęzał na twarzy generała. Prawe kolano drgało nerwowo. Łucznirow pomyślał, że pewnie nie zadziałała od razu sygnalizacja alarmowa.

Drzwi gabinetu otworzyły się. Obok sekretarza stali dwaj barczyści drągale w kraciastych marynarkach.

- Nieładnie, Witoldzie Jakowlewiczu - pokiwał głową Sabasznikow. - Zawsze uważałem pana za człowieka z gustem. Nieładnie, ojczulku!

- Pewnie są to uralscy komsomolcy? - spytał Łucznirow, przyglądając się drągalom.

- Pan pozwoli, że zadam kontrpytanie, panie Łucznirow. Dlaczego pyta mnie pan o Stalina? - generał patrzył na gościa z udawaną uprzejmością, w której kryła się pogróżka.

- Mam do czynienia ze spadkobiercami generalissimusa

- uśmiechnął się Łucznirow.

- Ach, Witoldzie Jakowlewiczu, Witoldzie Jakowlewiczu...

- Sabasznikow karciał generała jak psotnego chłopca. - Straszny nas pan trzema umiejętnionymi facetami. Co za brak gustu!

- Pleciesz bzdury, Pietiasza! Ci młodzi ludzie służą u mnie...

- Chce pan wiedzieć, generale, dlaczego uważam pana za głównego? - spytał światowym tonem Łucznirow i zaczął wyklądać swoją światową myśl, spacerując po gabinecie, w którym teraz zauważył wyraźne objawy upadku i rozkładu, umiejętnie, acz nieskutecznie zamaskowane pospiesznym sprzątaniami: odklejone tapety z mysim zapaszkiem, nadpęknięty radiotelefon co najmniej sprzed piętnastu lat, pajęczyna na mapie świata, którą ominęło przy sprzątanii, zwisająca w świetle słońca nad poźółkłymi ze starości lodowcami Grenlandii.

- Jest pan głównem, ponieważ zbyt wcześnie pan zrezygnował ze swoich ideałów. Walczył pan o nie dłużej, niż Dubczek walczył o swój kraj. Dubczek przynajmniej nie sprzedał się, a pan się sprzedał natychmiast, dlatego jest pan stokrotnie bardziej głównem niż on. Utonął pan w głównie, generale, po zdewaluowaniu swoich ideałów. A zrozumiawszy to, zaczął pan proponować swoje ideały komu się dało, dlatego główna przybyło. Teraz u kresu życia może pan oglądać w lustrze - zamiast ideowego człowieka - żałosnego faceta, źle opłacanego sługę trzech lub czterech służb szpiegowskich, czyli worek główna. A reagując obecnie szyderym uśmiechem na słowo „ideały“, jeszcze bardziej tonie pan w głównie.

Podczas tego monologu najemni bandyci zaglądali do gabinetu z pytającymi minami, pewnie żaden z nich nie znał rosyjskiego. A generał tracił siły, szczęka mu opadła, zamgliły się oczy.

Łucznikow i Sabasznikow, przez nikogo nie zatrzymywani, wyszli z mieszkania i kilka minut później siedzieli przy stoliku w ogródku kawiarnianym na Polach Elizejskich.

- Trochę mi wstyd - wyznał Łucznikow.

- Niepotrzebnie - powiedział Sabasznikow. - Stary łajdak zasłużył na to. Jak mógł coś takiego wymyślić, chciał postraszyć nas ochroniarzami? Jeżeli nawet założymy, że się boi ciebie, to przecież mnie zna sto lat jako człowieka wrażliwego. Ile razy grałem z nim w durnia w jego śmierdzącej norze! A on udaje Goldfingera!

Mówiąc to, przekładał z ręki do ręki pucharek campari z wodą sodową, chyba nie udawał tym razem, naprawdę się rozżołościł.

Ani się spostrzegli, kiedy nadszedł zmierzch, najpiękniejsza pora w Paryżu. Słońce jeszcze oświetlało mansardy, a na dole, wśród nadciągających ciemności, zapalały się światła nad chodnikami Pól Elizejskich, pełnych różnorodnych przechodniów.

- Powiem ci coś, Andrieju - odezwał się Sabasznikow po długim namyśle. - Pamiętasz nasze gimnazjalne określenie „tępaki“?

- Pamiętam, bo co? - powiedział chmurnie Łucznikow. Oczywiście pamiętałem, że nazywali tak kujonów, wywodzących się przeważnie z rodzin wachmistrzów i sierżantów.

- A to, że właśnie do ciebie, z twoimi IWL i ZWL, określenie „tępaki“ pasuje jak ulał.

Dziwne, ale Łucznikow poczuł się bardzo dotknięty.

- Zdaje się, że nie żartujesz, Sabasza.

- Rzeczywiście nie żartuję, chociaż rzadko mi się to zdarza. Widzę, że mój najlepszy przyjaciel, został takim „tępakiem“! Czyżbyś traktował to wszystko poważnie, Andrieju? Ze śmiertelną powagą? Z fanatyczną monarchiczną - bolszewicką ideowością? Czy to ty, Łucz? Czyżby całe nasze życie dobiegało końca?

- Zawsze uważałem, że jesteśmy sobie bliscy ideologicznie, Sabasza - powiedział Łucznikow.

- Oczywiście! - zawołał Sabasznikow. - Jesteśmy sobie bliscy, bliscy w niepoważnym traktowaniu rzeczywistości. Przecież nawet w Budapeszcie żartowaliśmy, a naszej krytyki „żubrów“ nie da się traktować serio. Przecież Idea Wspólnego Losu... oczywiście nie neguję jej, ale jednak jest trochę niepoważna, czy nie? Zamilkł wyczekująco, zająknął przyjacielowi w oczy, ale Łucznikow obojętnie wytrzymał jego wzrok bez dawnych sentymentów, z narastającą złością.

- Nie, jest całkiem poważna.

- Jesteś zatruty - rzekł cicho Sabasznikow. Łucznikowa zalała fala gniewu.

- Zwyrodnialcy - powiedział, jakby chciał przyciągnąć umykające spojrzenie Sabasznikowa. - Twoja ulubiona „niepoważność“, Sabasza, to coś w rodzaju dziedzicznego syfilisu. Zastanów się, ile naród rosyjski musiał zapłacić za nasze wysublimowane idee. Motylki na łonie natury! Do dupy ze wszystkim!

Do głębi przejęty gniewem, zostawił przyjaciela i odszedł dygocząc ze wzburzenia, kopnął żeliwny stołek, który stał na jego drodze i, zaciskając pięści, odwrócił się w stronę błysku flesza - poznali, dranie? - nie ujrzał żadnego fotoreportera, tylko kilkadziesiąt twarzy różnych ras, zwabionych rosyjską awanturą. Schodził coraz niżej, coraz dalej od Łuku Triumfalnego, w stronę placu Zgody. Ciągle jeszcze wzburzony, ale już spokojniejszy, szedł w tłumie obojętnym, niepoważnym, mijał bastiony handlowe niepoważnej cywilizacji, coraz bardziej wątpił w swoją słuszność, coraz bardziej się wstydził, wyrzucał sobie grubiaństwo, chamstwo w stosunku do prawie brata - ilu nas było chłopaków - wrewakuantów z Symfi? Trzecie gimnazjum klasyczne imienia cara Wyzwoliciele, środek stulecia, tuzin braci... świetni chłopcy, wcale nie „tępaki“...

I zgubił się. Tylko ten, który za nim szedł, nie stracił go z oczu. Jeszcze jeden błysk flesza. Zdjęcie długiego parkingu wzdłuż alei, dziesiątki samochodów i setki ludzi. Potrzebna część zdjęcia zostanie odpowiednio powiększona. Ktoś dba o rekonstrukcję jego życia. Wszystko zostanie zachowane dla przyszłości, co prawda niedalekiej. On sam, chociaż ma do spełnienia historyczną misję, żyje bieżącą chwilą, nie troszcząc się o jej znaczenie, rozpraszając się w nadchodzących i odchodzących minutach, na przykład manewrując kierownicą podczas wyjeżdżania na jezdnię, w tył - w przód, na lewo do oporu, na prawo do oporu, do diabła z tymi Francuzami, stawiają samochody byle gdzie, nie myśląc o tym, że ktoś zechce ... Bzyk, lekkie otarcie o zawalidrogę citroena, kupa zmarnowanego czasu... obrzydliwe wgniecenie na prawych drzwiach... trzeba będzie płacić panu Hertzowi. Dokąd znowu pędzę z poczuciem nieważności, nieistotności wszystkiego, co robię... Nie zrobiłem czegoś najważniejszego, przegapiłem coś bardzo istotnego... Co? Dlaczego nie zachowuję w pamięci spraw nieważnych... one także są potrzebne... nawet wywiad dla ABC lub przyjęcie na cześć dysydenta... przecież nie dla siebie to robiłem, lecz dla Idei... to właśnie jest treścią życia... Jakżeś mógł, gadzie Sabaszka, zaliczyć mnie do „tępaków“? Biedny błaznie! Nigdy nie zerwę z tobą. Czy może być coś smutniejszego niż wieczni krymscy chłopcy wrewakuanci?

W minorowym nastroju - gniew już wyparował - przeciskał się przez zatłoczone ulice prawobrzeżnego Paryża, kiedy nagle uświadomił sobie w panice, że jutro leci do Moskwy, a jeszcze nie kupił nic z tego, czego tam brakuje.

Co może ucieszyć moskwan: podwójne ostrza do golarki, kolorowe filmy, baterie do flesza, płyty jazzowe, pianka do golenia, podkolanówki, dżinsy - mój Boże, stałe radzieckie błagania o dżinsy! - podkoszulki z nadrukami, adidas, kozaczki, narty zjazdowe, aparaty słuchowe, golfy, staniki i figi, wełniane rajstopy, szylkretowe szpilki do włosów, angorowe i kaszmirowe swetry, papierowe serwetki, talk do intymnego pudrowania, przyklepiec biurowy scotch, także scotch whisky, tonik, wermut, atrament do parkerów, skórzane kurtki, kasety do dyktafonów, ciepła bielizna, zimowe buty, składane parasole, rękawiczki, przyprawy, tampaksy, flamastry, kolorowe nici, szminki, wieża hi - fi, lakier do paznokci i zmywacz - tyle razy podkreślano, że zmywacz także! - tabletki antykoncepcyjne i odżywki dla niemowląt, prezerwatywy i smoczki, szczepionki dla psów, obroże przeciw pchłom, pistolety gazowe, okulary przeciwsłoneczne, aparaty fotograficzne polaroid, gaśnice samochodowe, odtwarzacz samochodowy, filtry olejowe, zapalniczki i gaz do nich, zegarki kwarcowe, krawaty dziane, czasopisma „Vogue“, „Playboy“, jakieś żarcie...

Nie można się zjawić z pustymi rękami, nikt ciebie nie zrozumie. Nawet wybitny moskiewski intelektualista, całkowicie pochłonięty pracą umysłową, spogląda na cudzoziemca, zwłaszcza na gościa z Krymu, z niemym pytaniem: coś przywiózł? Każdy drobiazg poprawia nastrój, jest świadectwem istnienia na świecie innego systemu życia, sąsiedowania z „państwem demokracji ekonomicznej“. Nie można przyjechać do Moskwy z pustymi rękami, to byłoby świństwo. Godziny szczytu, korki, ścisk, brak miejsca do parkowania, głupio wpaść do Galerie de la Fayette na pół godziny i zaraz pędzić do telewizji, nie można narażać się łądakom, to znaczy można, ale nie należy się spóźniać... A dla Tatiany nic nie kupił!

W absolutnym popłochu uświadomił sobie, że jedzie Faubourg Saint Honore i że gdzieś tutaj znajduje się wspomniały sklep Saint - Laurenta. Szczęściara z tej towarzyszką Łuninej!

Jakże miło załatwiać zwykłe, powszednie sprawy w burżuazyjnych warunkach! Wchodzisz do przestronnego salonu, gdzie rozbrzmiewa relaksująca muzyka, pozdrawiasz niebiańską istotę, wyłaniającą się z lustrzanych głębi - zielone rzęsy, powiewne szatki z

szyfonu... On, ona czy ono milczy, ale spojrzenie niezidentyfikowanej istoty otwiera przed tobą tajemny świat możliwości.

A więc... madame... monsieur... przepraszam, mademoiselle, jaka miła niespodzianka... potrzebny mi jest strój dla młodej damy, takiego wzrostu jak pani, ale o wyrazistych kształtach, wszystko, poczynając od majteczek, aż do futra, łącznie z biżuterią - kolczyki, bransoletka etc. Liczę na pani fantazję, ale i rozsądek. Nie mam na myśli strony finansowej, lecz podkreślam, że zakup jest przeznaczony dla kobiety. Dostrzegam zrozumienie w pani wzroku, moje uznanie za to, że pomimo trudności językowych, mimo tego, że wychowany zostałem w starożytnych tradycjach basenu Morza Egejskiego, zrozumiała pani sens mego wywodu. Mogę dodać, że mam do dyspozycji zaledwie kwadrans. I już do nich biegła kierowniczką działu w męskim komunistycznym kostiumie.

Piętnaście, no może dwadzieścia minut później Łucznikow wyszedł w towarzystwie trzech osób z obsługi, dźwigających kilkanaście pudeł dla moskwianki, do której uśmiechnęło się szczęście. Najbliższy oddział potężnego Symfi - Card przy Avenue de l'Opera zaaprobował wypłacenie z osobistego konta kwoty 15 899 franków, czyli równowartości dwóch i pół tysiąca ticy, to znaczy dwu i pół miliona rosyjskich wojennych rubli. Plus mandat pod wycieraczką. Ukłon w stronę zwiewnych szyfonów, brawo, pani również puściła wodze fantazji - pięćset franków, świetnie pani sobie radziła! Połóżcie tutaj, dziewczyny, na tylnym siedzeniu! Proszę po sto franków dla każdej na szczoteczki do zębów, a dla pani, towarzyszeko madame - mocny, partyjny uścisk dłoni. Nauka Lenina zwycięży, jako że jest prawdziwa.[^] *rewir*, dziewczyny. Jeżeli w nocy najdzie was chęćka odwiedzić szczodrego faceta, to znaczy mnie, zapraszam na bulwar Raspail do hotelu Savoy. Zaproszenie dotyczy oczywiście także pani, towarzyszeko.

A wy wszyscy, cały zespół telewizji ABC, prezenterzy, redaktorzy, kamerzyści i kto tam jeszcze, powinniście wiedzieć, że Andriej Łucznikow nie jest „tępakiem“. To Łucz... motocyklista, koszykarz, automobilista, przywódca młodzieży z lat pięćdziesiątych, czołowy playboy z lat sześćdziesiątych, wódz awangardy politycznej w latach siedemdziesiątych, po prostu lider.

A więc Andrew Łucz na ekranach telewizyjnych. Wywiad wypadł przezabawnie. Telewizyjny nudziarz spodziewał się pewnie wyważonego dialogu o problemach „Kuriera“, o tym, w jaki sposób na dalekiej wyspie powstaje wpływowa gazeta o światowym zasięgu, ale z aluzjami do zagrożenia - zarówno Łucznikowskiej idei, jak gazety i samej Wyspy Krym. System pułapek, które trzeba pokonać na drodze do głównego pytania: jak pan sobie wyobraża gazetę w ZSRR?

- My, Rosjanie mamy bujną wyobraźnię, proszę panów. To, co wypisuje prasa partyjna - to także wytwór wyobraźni. A czym jest nasza Wyspa? To przecież nic innego jak UFO. Cały nasz świat opiera się na urojeniach i wytworach wyobraźni, więc łatwo wyobrazić sobie taki drobiazg, jak dziennik „Kurier“ w moskiewskich kioskach, a jeszcze łatwiej - likwidację gazety z powodu braku papieru, jako że skoro możemy przedstawić sobie Rosję jako całość, równie łatwo można zrozumieć, dlaczego - dysponując największymi w świecie obszarami leśnymi - cierpimy na brak papieru.

Gospodarz talk - show mister Hopehide, nieco ogłupiały po wysłuchaniu tyrady Łucza, potężnym wysiłkiem woli zamknął rozdziawione usta. Niezidentyfikowany Pływający Przedmiot - wspaniale! Brawo, mister Łucznikow. Ależ tak. Łucz, dziękuję panu, mam nadzieję, że jeszcze... Oczywiście, ja także panu dziękuję! A teraz - zauważył najazd kamery i czym prędzej się uśmiechnął - szklivo organiczne i metaloceramika załśniły uwodzicielsko. - Przyjaźń gwiazd telewizyjnych na wszystkich kontynentach. Nie zapraszam do krainy

wonności, chociaż mógłby pan tam przyjechać. Szczegóły w „Kurierze“. Proszę czytać!.
Adieu!

Pstryk. Reflektory zgasły. Świetna końcówka! No, Hopehide, nie ma pan jakiejś butelczyny? Nie piję, mister Łucznikow, pan wybacz. Widzę, Hopehide, że z ciebie prawdziwy „tępak“! Co proszę?

Wyobrażał sobie okładkę tygodnika - na czarnym tle zarysy Krymu, czerwone litery UFO, koniecznie z pytajnikiem.

Zręczna dziennikarska przenośnia... Znowu - który to już raz dzisiaj - zjawiała się natrętna myśl: jestem natarczywym, spoconym, międzynarodowym handlarzem, gdzie ja się pcham, dlaczego się nie potrafię zatrzymać, przypomnieć sobie tego, co najważniejsze? Co mi umyka? Skąd ten wstyd?

Słowo „spocony“ było nazbyt dosłowne, nie pasowało do metafory. Po porannej świeżości nie pozostało śladu - marynarka wygnieciona, na niebieskiej koszuli ciemne plamy. Nocna ulica przy stacji telewizyjnej także była spocona, nie dawała ochłody. Poczul nagle, że nie jest w stanie ruszyć ani ręką, ani nogą. Już mu się zdarzały takie reakcje. No cóż, dźwiga na ramionach czterdzieści sześć lat, to niemałe obciążenie. Nawet głowy nie może odwrócić, by odprowadzić wzrokiem mijającego go powoli merca, chyba go ktoś obserwuje z wozu. Ulica nazywa się Rue Cognac. Tak właśnie! Podwójny koniak, szybko!

A więc Platon. Analiza tyranii. Samotność.

No proszę, monsieur już się uśmiecha, powiedział barman. Miał pan ciężki dzień? W portfelu obok szeleszczących franków - prostokątny kartonik - zaproszenie na Rue Saint Pere - przyjęcie na cześć dysydenta. Nie można zlekceważyć. Proszę jeszcze raz to samo.

Mieszkanie na trzech kondygnacjach w kamienicy z szesnastego wieku, zwichrowana podłoga wyfroterowana do połysku, schody z twardej francuskiej dębiny zdradzają objawy reumatycznych zniekształceń - ostoja zdrowego rozsądku w swojej epoce, dzisiaj gniazdo współczesnych buntowników.

Goście stali i siedzieli na wszystkich trzech poziomach, a także na schodach. Rozmawiano po francusku, angielsku, rosyjsku, polsku, niemiecku. Honorowy gość, starszawy radziecki człowiek, mówił coś do pani domu (patykowata, liliowa, o wyłupiastych oczach) i pana domu (siwy, szary, ironiczny), do gości, dziennikarzy, wydawców, tłumaczy, pisarzy, aktorów, ultrakonserwatystów i arcyliberałów - paryskie towarzystwo - od adidasów do pantofelków z krokodylej skóry, od znaczków z zuchwałymi napisami do kolii z pereł... Wśród gości był gwiazdor rockowy, jakiś Carl Pitera czy też Piter Carlton, wysoki, chudy, w złotej marynarce, włożonej na nagie ciało. Niepojęte zygzaki zmarihuanowanej psychologii sprawiły, że ze Związku Czerwonych Khmerów Europy przewędrował niedawno do Towarzystwa Popierania Procesu Demokratycznego w Rosji.

Łucznikow znał dysydenta, przemiłego moskwianina, jeszcze z połowy lat sześćdziesiątych, nieraz przesiadywał u niego w kuchni, filozofował, pokonując niechęć do kawioru z bakłażanów i śledziowych pasztetów. Zawsze dziwiło go słowo „my“. W tamtych czasach dysydent nie był jeszcze dysydem, ponieważ to pojęcie nie istniało, buntował się tak, jak tysiące innych moskiewskich inteligentów, którzy w rozmowach prowadzonych w kuchniach krytykowali władzę. Przecież my ciągle kłamiemy... zakłamaliśmy historię... przecież Katyń to nasza robota... zaczęliśmy wydobywać wolfram, a nie mamy nowoczesnej technologii, no i daliśmy plamę... oszukaliśmy siebie i cały świat... Łucznikowa - podobnie jak innych cudzoziemców - zaskakiwała całkowita identyfikacja z władzą.

Nie podszedł jednak do honorowego gościa. Uściśnie mu dłoń przy okazji, może go

nawet ucałuje, ale teraz nie wypada pchać się w sam gąszcz. Stał oparty o ciemnowiśniową szesnastowieczną belkę, popijał cudownego szampana, wymierna! uwagi z dziewczyną pisarza Floyda Rouena, skromniśią z rodziny Vanderbiltów, i zerknął na szeroką, różowawą twarz, zmęczoną entuzjastycznym przyjęciem w „wolnym świecie“, która od czasu do czasu ukazywała się spoza głów i ramion.

Powinien odpocząć ze trzy tygodnie w Normandii w dobrym nadmorskim hotelu. Nigdy dotąd nie był na Zachodzie. Przed tygodniem dotarł do Wiednia, na grzbiecie ma jeszcze moskiewski kubrak. Powinien pochodzić po sklepach, a nie reprezentować niezwykłego rosyjski intelekt. Walczy z zawrotami głowy, jest o krok od „szoku kulturalnego“. Jeszcze wczoraj podejrzliwie spoglądał na niego dzielnicowy, a teraz tyle życzliwości, sami znani ludzie, brakuje tylko Brigitte Bardot, ale jest za to pewien senator. Wszyscy słyszeliście o „odważnych wystąpieniach w obronie praw człowieka“, wygłaszanych przez tego przybysza, ale nie potraficie wyobrazić sobie mieszkania przy ulicy Krasnoarmiejskiej z odciętym telefonem, domowego aresztu podczas świąt państwowych, wezwań do prokuratury, aluzji na temat przymusowego leczenia, zresztą ja także nie potrafię sobie tego wyobrazić, chociaż dobrze znam Moskwę.

Tak myślał Łucznikow, patrząc na widoczną chwilami twarz w oddalonym kącie sali obok średniowiecznego witraża. Twarz była obrzmiała i spocona, wargi mówiły coś szybko lub uśmiechały się blado, ale zasadniczo. Tak sobie myślał, aż zauważył, że on sam również jest obserwowany.

Nad półmiskiem z drobiem zebrało się towarzystwo. Pałaszują, wymieniają uwagi. Jeden tnie powietrze dłonią. Inny - z brodą aż po kości policzkowe, na ramionach rozsypane kudły, nowy Manson, a oczka czekistowskie. Po coś tu przylazł, Łucznikow?! Proszę państwa, wśród nas są kremłowscy agenci!

- *What are they talking about?* - spytała miss Vanderbilt.

Zbliżyło się rosyjskie towarzystwo, trzech chłopów i dwie baby. Nikogo z nich nie znał. Chociaż, przepraszam... ten sympatyczny blondyn z lewej, w eleganckich okularach, to Sława, Sławka, pianista jazzowy, poznałem go w sześćdziesiątym trzecim roku... Później załatwiłem mu zaproszenie do Symfii, tak, to było w sześćdziesiątym dziewiątym, a on nawalił, przez niego nie odbył się koncert, zaczął pić, awanturował się w hotelu, biegał nago po korytarzu za kobietami - mogę dotknąć cipki, madame? - potem dał dyla do Stanów... Oczywiście, to Sława.

Nie jestem dla ciebie Sławką, łajdaku Łucznikow, zdrajco, kurwo bolszewicka, ile ci zapłacono za Wyspę Krym, chuju złamany, wesz kagiebowska, nie jestem dla ciebie Sławką, takich jak ty na każdym skrzyżowaniu powinno się częstować kopniakiem, gówno marksistowskie, gnoju przeklęty!

No i spróbujcie podczas moskiewskiej awantury zachować tolerancyjność godną Europejczyka. Po pierwszych obrzydliwych słowach jeszcze się uśmiechacie, ale ohydnych słów jest mnóstwo, wasz wyniosły uśmiech gaśnie. Przystojny Sławka miał ołowiane oczy. Nie został niestety Dave Brubeckiem, Oscarem Pitersonem, Erie Gardnerem i nigdy żadnym z nich nie zostanie, ponieważ zaraz złamiemy mu rękę w przegubie. Zachód, skażony mikrobami bolszewizmu, nie zareagował na to. Dzielni bojownicy o wolność, którzy jeszcze wczoraj w Moskwie produkowali „iljiczów“ na hurtowe zamówienie, biorąc udział we współzawodnictwie pracy, nie zareagują także, ponieważ są speszeni eleganckim towarzystwem. Pożegnaj się ze swoją prawą ręką, Sławka, już nie będzie pieściła klawiszy ani rozrabiała w spodniach.

Specjalnym chińskim chwytem (nauczył go na Tajwanie przyjaciel, major specnazu)

trzymał delikatny przegub agresywnego pianisty i powoli przepychał się razem z ofiarą do stołu, gdzie stały trunki - trzeba się czegoś napić. Zdumiona twarz Sławy, półprzymknięte z bólu oczka u kresu wytrzymałości. Posłusznie podążył obok. Towarzysze broni porozumiewają się szeptem. Jednego Łucznikow pamiętał z Moskwy, był fotoreporterem w tygodniku „Ogoniok“, Żyd spod tyłka Sofronowa. wypijmy, Sława, ty masz jedną rękę wolną, ja drugą - napijemy się koniaczku? Nie pijesz teraz? Więc po co się stawiasz? Jesteś, łajdaku, od dziesięciu lat na Zachodzie, mógłbyś uświadomić swoich nowicjuszy, że tutaj nie wszystkie zasady socrealizmu cieszą się uznaniem, zasadę „kto nie z nami, ten przeciwko nam“ wyznają tylko członkowie mafii, w ich środowisku jest to obowiązujące prawo, ale w normalnym społeczeństwie to bzdura. Teraz musisz cierpieć, niezdaro. Chcesz, przedstawię cię hrabiemu Beithy. Mister Beithy, może potrzebuje pan jednorękiego pianisty?

Przesuwali się tak od jednego drinka do drugiego, od słonych pierożków do krewetek, to jedna szycha, to inna pozdrawiała redaktora potężnego „Kuriera“, Łucznikow gadał na prawo i na lewo po angielsku, francusku, rosyjsku, umawiał się na spotkania, na jakiś lunch, puszczał oko do pięknych pań, ucinał nawet pogawędki, wygłosił na przykład mądrą mowę na temat rokowań SALT, a pechowy Sława musiał cały czas wlec się obok. Każda próba uwolnienia kończyła się bowiem nieznośnym bólem ręki. Odsunięci na bok przez pisarkę Faitogner i pchnięci do przodu przez wydawcę Renoira, usłyszeli kilka zdań dysydenta „... proszę zrozumieć, towarzysze, że nam nie można wierzyć... nie można wierzyć w żadne nasze słowo...“

Zdezorientowany tłumacz, młodzieniec z trzeciego francusko - rosyjskiego pokolenia, zdębiał i po krótkim namyśle zabrał się do uściślenia myśli swego podopiecznego, a osobistości otaczające dysydenta, wyłowiwszy słowo „towarzysze“, uśmiechały się pobłażliwie: znalazł sobie „towarzyszy“!

W tym momencie dysydent rozpromienił się tak szczerze, że wszystkie wybitne osobistości odwróciły się, podążając za jego spojrzeniem, i na widok znanego oblicza redaktora naczelnego „Kuriera“ także się rozpromieniły oślepiająco, aż nasz bohater poczuł się nagle jak na planie filmowym.

- Andriusza!

Trzeba było uwolnić przemiłego Sławkę, zdzieliwszy go uprzednio kolanem w tyłek.

Uściskali się. Pomimo trwającego od tygodnia słodkiego życia od dysydenta zalatywało śledziowym pasztetem. Ile wspomnień... Takie nagłe spotkanie! Pewnie pamiętasz, Andriusza, nasze stare mieszkanie w Kriwoarbackim zaułku...

pamiętasz, jak siedzieliśmy? Pomyśl tylko - jestem w Paryżu! Możesz sobie wyobrazić!

Niezwykłość sytuacji - jestem w Paryżu! - wykrzywiła sympatyczną twarz jakimś skurczem, ale wiadomość, którą usłyszał, wywołała jeszcze większe emocje. Niemożliwe! Jedziesz do Moskwy? Jutro? Do Moskwy? Na kilka dni? Nieprawdopodobne!

Łucznikow uwalniał się z uścisku, a wybitny dysydent gorączkowo szukał po kieszeniach... No cóż, Andriusza... gdybym wiedział... tu numer telefonu - 151 - 0088... Tamara Fiodorowna... z synem Witią... gdybym wiedział... mógłbym posłać... ale przynajmniej to... przekaz koniecznie...

Komentator „Expressu“, szef wydawnictwa Triple Night, małżonka ministra, śpiewak Clark People, pisarka Marie Faitogner z pewnym zmieszaniem patrzyli na honorowego gościa, który wyjmował z kieszeni paczuszki i wkładał je do kieszeni Łucznikowa. Koniecznie przekaz Tamarze Fiodorownie dla Witi, powiedz (szept pachnący bakłażanem prosto do ucha)... tylko ją... zawsze... zawsze... czekam ...niech składa... wszystko będzie

dobrze... zrozumiałeś, Andriusza? a po powrocie odszukaj mnie...

Kilka błysków flesza. Kto tu wpuścił paparazzi? W kątach sali lekki popłoch. Kto fotografował? Kogo fotografowano? Ani myśliwego, ani zwierzyny nie ustalono.

Łucznirow wyszedł na podwórze wybrukowane średniowiecznymi bezcennymi kocimi łbami. Z jednej strony kamienicy wszystkie trzy kondygnacje były doświetlone, na trzech pozostałych ścianach jaśniały gdzieś lampki, niczym średniowieczne kaganki. Po niebie sunęła pierzasta chmurka. Czy współczesne chmury różnią się od chmur z szesnastego wieku? Pewnie się różnią, powietrze jest zanieczyszczone... Czy żyłem w szesnastym wieku? Czy zostawił we mnie jakieś ślady? Coś drgnęło w duszy. Nieuchwytnie uczucia, po którym przychodzi odrętwienie.

Skrzypnęły średniowieczne wrota, otwierane drogą radiową, na podwórze wytoczyła się rozgadana banda filmowców z potężnym Octopusem na czele. Łucznirow cofnął się w stronę nieoświetlonej ściany kamienicy, potem wybiegł na ulicę Saint - Pere. Gdzieś w pobliżu zawarczał zapuszczany silnik. Przeszedł kilka kroków chodnikiem. Obok niego przemknęła ciemna sylweta samochodu. Poprzez jego warkot dały się słyszeć jeden po drugim dwa kłaśnięcia, gwałtowny ucisk w skroniach, lekkie dzwonienie, ze ściany wypadły dwa kafelki. Przypadkowy przechodzień krzyknął ze strachu i ukrył się w niszy. Łucznirow wyszarpnął pistolet z ukrytej kieszeni, ukląkł na jedno kolano, wycelował. Sto metrów od niego, na rogu nabrzeża, samochód zwolnił. Zapaliły się światła stopu. Łucznirow schował pistolet do kieszeni. Samochód powoli skręcał za róg, włączając się do nieprzerwanego potoku wozów.

Łucznirowowi kręciło się lekko w głowie. Czuł się jak po skoku do głębokiej wody. Jednak trudno nie trafić, kiedy się strzela z bliska na wąskiej paryskiej ulicy. Chcieli tylko postraszyć.

- Może pan wyjść! - zawołał do człowieka, który ukrył się w niszy. - Niebezpieczeństwo minęło!

Skrzypnęły drzwi, ukazała się poblada twarz.

- To do pana strzelano, monsieur? Pięknie! Po raz pierwszy widzę coś takiego. Jak na filmie!

- Takie jest życie! - uśmiechnął się Łucznirow. - Idzie sobie człowiek ulicą, a tu bach, bach - i oto skutek, ledwo pana słyszę.

- Przekłęci cudzoziemcy - rzekł wystraszony paryżanin. Łucznirow nie oponował.

- Ma pan absolutną rację, monsieur. Co prawda sam jestem tu obcy, ale w swoim kraju nie jestem cudzoziemcem i tak jak inni obywatele cierpię przez tę hałastę. Powinni mniej jeździć, więcej czasu siedzieć u siebie, byłoby na świecie spokojniej. Zgadza się pan ze mną?

Drzwi samochodu były otwarte, wszystkie paczki rozprute nożem. Chyba jednak zawartość nie została naruszona. Może bydlak nie odważył się niszczyć drogich rzeczy? Może to człowiek stateczny, znający wartość pieniędzy. Tak czy inaczej, Tanka znowu miała szczęście.

Wyjechać razem z nią. Odebrać ją dziesięcioboiście, ożenić się, wyjechać do Australii, albo lepiej do Nowej Zelandii. Do Ucha ze wszystkimi rosyjskimi problemami - wyspiarskimi i kontynentalnymi. Pisać powieści, założyć fermę, otworzyć hotel... Co sprawia, że nie potrafię żyć spokojnie? Po co mi ten Wspólny Los! Coraz częściej słyszę słowo „zdrajca“... a teraz strzelają już do mnie z pistoletu z tłumikiem. Ignatiew - Ignatiew to goryl, pianista Sława jest łobuzem, po nim można się spodziewać wszystkiego, ale nawet mądry, przywoici ludzie, zaprzyjaźnieni od lat, patrzą na mnie podejrzliwie...

Ideologia naciera ze wszystkich stron, a losem narodu, opuszczonego przez swoją

inteligencję, nikt się nie przejmuje. Z ciężkim sercem i bólem głowy przejechał przez bulwar Saint - Germain, gdzie nawet o tej porze kotłował się tłum; uliczny sztukmistrz zionął językami ognia, dwie pantomimistki wykonywały skomplikowane łańcuchy.

W małej kawiarence nieopodal hotelu siedział na werandzie samotny człowiek. Na widok Łucznikowa wstał. Był to generał von Witte we własnej osobie. Podniesiony kołnierz ciężkiego płaszcza i zdeformowany kapelusz upodobały go do kłozarda.

- W ostatnich latach nie opuszczałem swej dzielnicy - powiedział starzec, wychodząc na spotkanie Łucznikowowi. - Po pańskiej wizycie, Andrieju Arsieniewiczu, przeżyłem wewnętrzny zamęt.

Łucznikow z zaskoczeniem stwierdził, że czuje sympatię do generała. Worki pod oczami, drgające żyłki, niedopałek grubego papierosa w kąciu ust, zwitek gazet sterczący z kieszeni obwisłego kaszmirowego płaszcza - cała postać tchnęła szczerością, prawdziwa starość nie pozbawiona odwagi.

- No cóż, chodźmy do hotelu - zaprosił staruszką. Na twarzy generała pojawił się lekki uśmiešek.

- Lepiej nie - powiedział. - W holu czekają na pana.

- Czekają na mnie? - Łucznikow odwrócił się gwałtownie w stronę hotelu.

Przez otwarte drzwi widać było drzemiącego portiera, kawałek dywanu, połowę obrazu wiszącego na ścianie, pusty fotel.

- Jakieś sympatyczne towarzystwo - powiedział von Witte. - Zresztą nie muszę wchodzić do środka, Andrieju Arsieniewiczu. Chciałbym tylko odpowiedzieć na pańskie pytanie, a to potrwa najwyżej pięć minut.

Wyjął nowego papierosa, zapalił, zamyślił się na chwilę, jakby wrócił do czasów, kiedy przyjął go Stalin. Łucznikow oparł się o maskę samochodu, ciepłą jak głaz nadmorskiej plaży gdzieś w Grecji. Co to za „sympatyczne towarzystwo“. Myślał, o tym obojętnie, bez strachu, ale i bez straceńczej odwagi. Żadnych rozmów, natychmiast zaczął strzelać. Był zmęczony, ziewnął.

- Stalin powiedział mi wtedy dosłownie, co następuje: „Naród nasz nienawidzi białogwardyjskiego gniazda nad Morzem Czarnym, ale na razie nie protestuje przeciwko jego istnieniu. Trzeba poczekać z pół wieku. Wracajcie, generale, do Paryża i walczcie o słuszną sprawę.

Cytując wypowiedź Stalina, von Witte naśladował gruzińską wymowę.

- Tak myślałem - powiedział Łucznikow. - Nie zdziwił mnie pan. Ale chyba jeszcze nie minęło pół wieku?

Von Witte uśmiechnął się blado do swoich wspomnień.

- To była moja ostatnia wizyta w Moskwie. Tamtego wieczoru oglądałem *Jezioro łabędzie* w Teatrze Bolszoi. Cudowne!

- Dziękuję, Witoldzie Jakowlewiczu - Łucznikow, udając, że rozumie historyczne znaczenie tej chwili, mocno uściskał dużą, miękką dłoń generała. - Proszę wybaczyć moje impertynencje, proszę mi wierzyć... bardzo cenię... byłem pewny, że ostatecznie...

Starzec złamał papierosa i natychmiast wyjął innego.

- Miał pan rację, Andrieju Arsieniewiczu - powiedział nagle zachrypniętym głosem. - Moje życie było żalosne, okropne, niegodne...

Odwrócił się i powoli przeszedł na drugą stronę ulicy. Unosił się nad nim dymek papierosa. Generał podniósł laskę, przywołał taksówkę.

W holu Savoyu, w fotelach obitych zieloną skórą, czekały na Łucznikowa trzy piękności

ze sklepu Saint - Laurent. Co za subtelność! Oto nowy świat, nowe stosunki międzyludzkie. Zażartowałeś staroświecko w dobrej wierze, zaprosiłeś żartem, a teraz dziwisz się, że potraktowano cię serio. Proszę o wybaczenie, jestem wykończony. Chociaż coś się dzieje. Coś się obudziło. Nieoczekiwane rezerwy organizmu. Proszę, mademoiselle, proszę, madame. Pozwolę sobie stwierdzić, że wydekoltowana suknia i futro wokół łabędziej szyi bardziej na mnie działają niż przedpołudniowy kostium w stylu teoretyka rewolucji Antonio Gramsciego. Czuję się zaszczycona pańskim komplementem, monsieur Rus, ale nie jestem tu sama, przysły ze mną dwie cudowne istoty. Wspaniałe towarzystwo, w moim apartamencie wystarczy miejsca dla wszystkich...

W promieniach światła, wpadającego przez żaluzje, kotłowało się na dywanie wokół Łucznikowa coś cudownego, pachnącego, drżącego i jędrnego. Jego ręce dotykały rozkosznych zakątków, aż prawa napotkała twarde, pulsujący rożek na kształt jego własnego. A to, miłe panie, czyj kogucik? Chyba nie pani, madame? Ależ nie, to naszej milutkiej Julii. Jest Korsykanką. Ach tak, wszystko jasne. W naszym cudownym związku mnie przypadła rola zapłonu, chętnie to wykonam. Proszę, madame, na jakiś czas zostawić swoje dziewczynki, również Julię z jej kogucikiem, i na razie rozlokujmy się na sposób tradycyjny. A więc wkraczamy do delty Mekongu. Dziękuję, madame. To ja ogromnie dziękuję, monsieur Rus, szczerze, serdecznie dziękuję w swoim imieniu i imieniu moich dziewczynek. Dziewczynki do mnie, podziękujcie dżentelmenowi.

Zasypiając, długo jeszcze czuł wokół siebie kotłowaną, pocałunki, pieszczoty, westchnienia, rozkoszny śmiech, cieniutkie pojękiwania. Odprężający sen. Platon, samolot, schyłek cywilizacji...

VI. Dekadencja

Port lotniczy Szeriemietiewo, przygotowywany do olimpijskich wspaniałości, wyglądał na razie jak bazar. Zaprojektowano go na siedem rejsów dziennie, a obecnie odprawiał i przyjmował co najmniej setkę - nie ma rady na tych „przeklętych cudzoziemców“.

Łucznirow stał w kolejce do kontroli paszportowej i jak zwykle obserwował żołnierzy straży granicznej. Podobnie jak podczas poprzedniej wizyty miał wrażenie, że na obojętnych twarzach chłopców, wśród których nie wiadomo dlaczego wielu zdradzało mongolskie pochodzenie, zamiast dawnego skrytego uśmiechu pod adresem zagranicznych, a więc wrogich ludzi, teraz pojawił się jakby leciutki wyraz bezradności.

Był piękny jesienny dzień. Rozpromieniony Marlen w asyście wysokiego urzędnika służby celnej wyłuskał z tłumu Łucznirowa. Urzędnik zabrał gdzieś jego dokumenty. Po drugiej stronie ulicy, z dala od rozgardiaszu panującego w porcie lotniczym, chwiała się na wietrze kępka brzołek. Kiedy urzędnik zwrócił dokumenty, ruszyli w stronę prywatnej wołgi Marlena. Za nimi jechały na wózku dwie ogromne walizy Łucznirowa, kupione w ostatniej chwili w wolnołowej strefie lotniska Le Bourget. Północno - zachodni wiatr niósł wilgoć znad pskowskich i nowogrodzkich jezior, wydawało się, że powietrze jest przepojone niesłyszalnymi głosami dzwonów wolności. „Ludzie radzieccy głęboko wierzą, że tam gdzie jest partia, jest sukces, jest zwycięstwo“ - głosił napis na ogromnym transparencie, umieszczonym przy wjeździe na szosę. Obok znajdował się portret autora sentencji, który tego wietrznego dnia, kiedy w powietrzu rozbrzmiewały niesłyszalne dzwony, wyglądał nieco dziwnie, jak Pieczyng, który się zabłąkał w przedtatarskiej Rusi. Był piękny jesienny dzień. „Chwała naszej Partii Komunistycznej!“ Przy szosie z lewej strony stały, jedne na drugich, sześciany jakiegoś instytutu naukowo - badawczego czy biura konstruktorskiego, a z prawej, w rozległych przezroczystych przestworzach, lśnił świeżo wypucowany krzyż wiejskiej cerkwi. Na całą szerokość szosy czerwonymi literami wypisano na betonie: „Wykonamy uchwały XXV Zjazdu!“

Wzdłuż Szosy Leningradzkiej ogródki przed zwichrowanymi wiejskimi chałupami, krzewy czarnego bzu, połamane georginie, kałuże, rozjeżdżona glina między asfaltem i sztachetami - widocznie słońce niedawno wyjrzało po powszedniej moskiewskiej nie pogodzie. „Naród i partia - to jedność!“. Garbaty most, widok na dwie odnogi rzeki Moskwy, urwisty, ognistorudy brzeg wyspy z pękiem ciemnozielonych sosen. „Robotnicze gwarancje dla pięcioletniej jakości!“ Za mostem pojawiła się nieprzystępna twierdza osiedli mieszkaniowych, błyszczały szyby tysięcy okien, niesłyszalny głos nowogrodzkich dzwonów przemykał się między blokami, kusił bogactwem hanzeatyckiego związku. Z dachu na dach kroczyły ogniste litery: „Partia - mądrość, honor i sumienie naszej epoki!“

Dalej zagęściło się jeszcze bardziej: „Plany partii - planami narodu!“ „Sława wielkiemu, twórczemu narodowi radzieckiemu!“ „Sztuka - własnością narodu!“ „Niech żyje wiemy pomocnik partii - Leninowski Komsomoł!“ „Przekształcimy Moskwę we wzorcowe miasto komunistyczne!“ „ZSRR - ostoja pokoju w świecie!“ „Idee Lenina są wieczne!“ „Konstytucja ZSRR - to podstawowe prawo naszego życia!“... Pieczyng z podniesioną dłonią, Pieczyng w okularach, czytający gazetę, im bliżej do centrum, tym więcej Pieczyngów, są coraz pewniejsi siebie, coraz mniej zagubieni, coraz wyraźniej eksponują swoje ulubione symbole,

coraz mniej podobni są do Pieczynga, coraz bardziej podobni do Wielkiego Brata. Wreszcie nad placem przy Dworcu Białoruskim oczom Łucznikowa ukazało się to, co go urzekało najbardziej, co kiedyś zrobiło na nim niezatarte wrażenie ze względu na niezwykle sformułowanie syntaktyczne i hermetyzm, co z czasem stało się nieomal przedmiotem nostalgii - Pieczyngowska wypowiedź: „Gazeta to nie tylko kolektywny propagandysta i kolektywny agitator, to także kolektywny organizator“.

To zdanie, rozpięte nad placem, świecące nocą neonowymi literami, w gruncie rzeczy niezbyt skomplikowane, zawierało prostą mądrość, oświecało wielotysięczne masy analfabetów, uważających, że gazeta jest tylko kolektywnym propagandystą, dokształcała także tych, którzy sądzili, iż gazeta to kolektywny propagandysta i kolektywny agitator, ale nie przyswoili sobie ostatecznej mądrości, wpajało mieszkańcom Moskwy i „gościom stolicy“, że gazeta to również kolektywny organizator, wyczerpując w ten sposób problem.

- No i co, jakie wrażenia? - uśmiechnął się Kuzienkow.

- Niezwykłe - powiedział Łucznikow.

Hotel Inturist. Na ganku grupa francuskich turystów, obserwują dziwny tłum. Rosjanie - to ciekawe zjawisko, biali, ale wcale nie Europejczycy. Poirytowany Łucznikow, rozmawiając głośno z Kuzienkowem, szedł prosto w kierunku zaniepokojonych portierów. Dwaj wojskowi z ochrony, w wyjściowych mundurach, słysząc język rosyjski i czując, że zaraz będzie można okazać swoją wiedzę, z uśmiechami wymienili między sobą spojrzenia. Dokąd to panowie - towarzysze? Niestety źle trafili. Jeden z podejrzanie wyglądających Rusków dwoma palcami okazał nie byle jaką książeczkę - KC KPZR, a trzecim palcem wskazał bagaże gościa. Właśnie do chodnika dobiegał wóz obstawy, chłopcy z mossowietą zaczęli wyładowywać z niego kufry. Drugi Rusek, znaczący się gość, całkiem zaskoczył hotelowych ochroniarzy - otworzył portfel z krokodyla i wyjął papier z dwugłowym orłem - dziesięć tysięcy! Znaczący się z Krymu - domyślili się weterani niewidzialnego frontu. Uwielbiali facetów z Krymu, po pierwsze jako tako gadają po naszymu, po wtóre - dolar dzisiaj niepewny, a rosyjski rubel trzyma się mocno.

- Szakale - powiedział Łucznikow. - Skąd bierzecie takich drani?

- Nie domyślasz się? - uśmiechnął się Kuzienkow. Kuzienkow w towarzystwie Łucznikowa bez przerwy się uśmiechał, a był to uśmiešek wyższości, uśmiešek człowieka posiadającego pewną podstawową wiedzę, której rozmówca, pomimo wszelkich wysiłków, nie jest w stanie zgłębić. Łucznikow się wściekł.

- Co się uśmiechasz? - wybuchnął. - Czym nas przewyższacie? Wasza gospodarka leży, w polityce - same idiotyzmy, w ideologii - bzdury!

- Spokojnie, Andrieju, spokojnie.

Jechali windą na czternaste piętro. Jadący z nimi zachodni Niemcy ciekawie na nich zerkali.

- W sklepach stęchlizna, ludzie ponurzy, a ten uśmiecha się z wyższością - irytował się Łucznikow, gdy już dotarli na czternaste piętro. - Przestań się uśmiechać! - ryknął. - Uśmiechaj się, kiedy jesteś za granicą! Tutaj nie wolno ci się uśmiechać!

- Uśmiecham się na myśl o obiedzie i kieliszku wódki - powiedział Kuzienkow. - A ty się złościsz, bo masz kaca.

Kuzienkow z uśmiechem otworzył drzwi apartamentu.

- Po kiego diabła wynajmujecie dla mnie te luksusy?! - darł się Łucznikow. - Nie jestem marksistowskim monarchą z Afryki!

- Znowu zachowujesz się jak dysydent? - uśmiechnął się Kuzienkow. - Natychmiast po wyładowaniu na Szeriemietewie robisz się dysydentem. Nawiasem mówiąc, są tu z ciebie

zadowoleni. Mam na myśli nowy kurs „Kuriera“.

Łucznikow zdębiał.

- Zadowoleni z nowego kursu „Kuriera“? - Zatkano go z wściekłości, ale po chwili zrozumiał, że rzeczywiście można mówić o nowym kursie... Po tamtych pogróżkach mogli oczywiście pomyśleć...

Stół w królewskim apartamencie już nakryto, było na nim wszystko, czym Moskwa uwodzi ważnych gości: znakomity łosoś, kawior, wędliny, kraby, wódka w kryształowej karafce, ulubione wino Łucznikowa, czerwone achaszeni, w zakurzonej butelce.

- Czy to nagroda za nowy kurs? - spytał złośliwie Łucznikow.

Kuzienkow usiadł naprzeciwko niego, już się nie uśmiechał, jego twarz mówiła: dość wygłupów i taniego krytykanctwa. Łucznikow pomyślał, że rzeczywiście przesadził.

Pierwszy kieliszek radykalnie zmienił nastrój. Moskiewska przytulność. Kiedyś był zdumiony tym uczuciem. Jak może się czuć człowiek, wiedząc, że Czeka ma go stale na oku, świadomy tego, że przebywa w państwie bezprawia? A tymczasem ogarnia go spokój ducha, atmosfera moskiewskiej przytulności. Gdybyż to było w arbackich zaułkach, są tam zakątki, gdzie w polu widzenia nie ma nic radzieckiego, można tam bez trudu wyobrazić sobie gdzieś na rogu małego kadecika Arsiusze, ale na sławetnej ulicy Gorkiego, tu za oknami - w dole i na dachu - sterczą pamiątki z czasów późnej stalinowskiej dekadencji. Jednak nawet tutaj po pierwszym kieliszku wódki człowiek zapomina o paryskich szaleństwach, pogrąża się w moskiewską przytulność, jakby głaskała cię po czole starcza ręka - odpoczywaj, Andrieuszeńka, pośpij sobie.

Otrząsnął się, złapał słuchawkę, wykręcił numer Tatiany. Odebrał dziesięcioboista. Wstrętny nierób, leży cały dzień na tapczanie, czeka na Tatianę. Morze dachów za oknem. Przemknęła nowogrodzka chmurka. Ale namieszali stylów! Halo! Halo! Proszę wykręcić jeszcze raz. Z ulgą odłożył słuchawkę - wreszcie jest u siebie. Wódka, ojczyście niebo, to Rosja, jego jedyny dom,

- Na Wyspie powstał nowy związek - powiedział do Kuzienkowa.

Marlen Michajłowicz skinął głową: ciekawe, bardzo ciekawe. Dołożył mu na talerz łososa, kawioru, krabów, podsunął sałatkę.

- Związek Wspólnego Losu - powiedział Łucznikow.

Marlen Michajłowicz obrzucił wzrokiem ściany apartamentu, pytająco pochylił głowę - nie szkodzi? Łucznikow machnął ręką. Do pokoju wniesiono okute na rogach kufry Łucznikowa. Twarze chłopaków z obsługi jaśniały szacunkiem dla „szanownych gości“.

- Nie mam nic do ukrycia. Na tym polega nasz spryt - niczego nie ukrywamy.

- Jedz, Andrieju. Wybacz, że zamówiłem obiad tutaj, ale Wiera ma dziś posiedzenie - uśmiechnął się Kuzienkow. - Wiesz, jest teraz zapaloną działaczką...

Łucznikow zabrał się do jedzenia, milczeli jakiś czas, jedli, przepijali, podano jesiotra smażonego po moskiewsku, potem deser, wtedy Marlen Michajłowicz zaczął gadkę o Paryżu, że bardzo kocha to miasto, zacytował nawet pewien wiersz Erenburga. Robił aluzje do romantycznej przygody, którą miał w mieście, drogim dla każdego rosyjskiego inteligenta (jeżeli oczywiście mnie - aparatczyka - zaliczasz do inteligencji), trochę zazdrościł Andriejowi Arsieniewiczowi, który jako kosmopolita i włóczykij pewnie ma mnóstwo paryskich wspomnień.

- Nie rozumiem, Marlenie - powiedział zimno Łucznikow. - Jesteś kuratorem naszej wysepki. Wynika z tego, że nikt w Moskwie nie interesuje się naszymi sprawami bardziej od ciebie, a ty - jak się zdaje - nie zwróciłeś uwagi na informację o ZWL. Czy muszę ci jeszcze

raz tłumaczyć, że w rozmowie ze mną nie należy niczego udawać?

Kuzienkow otarł serwetką usta, sięgnął po cygaro.

- Nie gniewaj się, Andrieju, niczego nie udaję, po prostu taki mam charakter. Jestem człowiekiem małomównym, być może nawet czasem zbyt wolno myślącym. Oczywiście myślę o ZWL. Milczę nie dlatego, że mnie nie interesuje. Ale wybacź, Andrieju, znacznie ważniejsze wydają mi się wątpliwości pułkownika Czernoka, oczywiście w perspektywie przyszłości.

Teraz z kolei Łucznikow zademonstrował właściwości swego charakteru, usiłując ukryć zdziwienie, oszołomienie, wydostać się ze stanu zapaści, podobnego nieco do nokautu. Tymczasem Marlen Michajłowicz, umożliwiając rozmówcy odzyskanie formy, łagodnie referował wczorajszą rozmowę z pułkownikiem Czernokiem w kawiarni Select przy bulwarze Montparnasse.

- Widzisz, Andrieju, znamy pułkownika Czernoka jako szczerego rosyjskiego patriotę, wiemy, że jest oddany IWL nie mniej od ciebie, ale on również ma wątpliwości w sprawie zastąpienia samolotów mirage migami, zastanawia się także, czy w przyszłości Związek Radziecki będzie potrzebował takich lotników jak on. Łatwo sobie wyobrazić, ile wątpliwości mają tysiące wyspiarzy mniej zdecydowanych i ideowych niż Aleksander Czernok.

Łucznikow nalał sobie koniaku. Ręka trzymająca pucharek trochę jeszcze drżała, ale kiedy później położył ją na stole, była spokojna - wyszedł z zapaści.

- *Big Brother watches you everywhere, doesn't he?* - uśmiechnął się, patrząc w oczy Kuzienkowowi.

Dostrzegł w nich łagodny, życzliwy uśmiech. Marlen Michajłowicz rozłożył ręce.

- Możesz sobie wyobrazić, jakie znaczenie mają dla mnie wasze idee.

Łucznikow wstał, podszedł do okna. Zapadał zmierzch. Sylwetki statuetek ludzi pracy z bratnich krajów zacierały się na tle dachów. W dole nad perfumerią, nad Rosyjskim Winem i Upominkami zapalały się kolorowe kwiatki, jakieś zawijasy w stylu ludowym. Gusty się nie zmieniły.

- Więc pilnujecie? - spytał cicho Kuzienkowa. - Podśłuchujecie? Straszycie?

- Ostatniego nie rozumiem - zaskakująco szybko powiedział Kuzienkow.

Łucznikow zerknął przez ramię. Kuzienkow stał przy świecącym się telewizorze, na ekranie kręciły się wielobarwne postacie z filmu rysunkowego, dobiegały dziecinne głosy.

- Czy to nie wasi chłopcy strzelali? - uśmiechnął się Łucznikow.

- Strzelali? - Marlen Kuzienkow zmienił się na twarzy, sprężył się.

- Dwa razy - powiedział wesolutko Łucznikow. - Z twojej reakcji wynika, że nie jesteś wprowadzony w sprawę.

- Ustalę natychmiast - rzekł Kuzienkow. - Jestem przekonany... jeżeli oczywiście... ty sam... swoim zachowaniem...

- Bydlę - powiedział uprzejmie Łucznikow. - Uważasz, że mam być miłym chłopakiem, kiedy tropią mnie wasze psy?!

- No wiesz! - zawołał Kuzienkow. - Nie można tak przesadzać. Chciałem powiedzieć, że niektórzy mogli przeholować, przekroczyć rozkazy... Jeżeli tak było, zostaną w stosunku do nich wyciągnięte konsekwencje! Czyżbyś nie rozumiał, że... Przepraszam, nie o wszystkim mogę mówić... jestem przekonany, że strzelali ludzie z Wilczej Sotni.

W apartamencie hotelu Inturist zapadła cisza. Łucznikow wszedł do sypialni, otworzył walizę, wyjął podarunki dla rodziny Kuzienków: pocket - memo dla Marlena, zegarek dla Wiery Pawłowny, kaszmirowe swetry dla dzieci. Płyty dla Dima Szebeko postanowił

przekazać osobiście do rąk własnych wybitnemu muzykowi - to był inny świat, inna Moskwa, zdrowy świat.

Wyszedł do salonu, położył podarunki przed Marlenem Michajłowiczem.

- Przepraszam, Marlenie, zirytowałem się. Wiem, że jesteś moim przyjacielem w każdej sytuacji. Przywiozłem drobiazgi dla ciebie, Wiery Pawłowny i dzieciaków. Przyda się. W każdym razie tutaj czegoś takiego nie ma - nie powstrzymywał uśmiechu - nawet w dwusetnej sekcji GUM - u.

- Wzruszająca znajomość szczegółów naszego zaopatrzenia - powiedział Kuzienkow.

Po raz pierwszy odkąd się znali, Łucznikow widział obrażonego Kuzienkowa. „Bydle”, „dwusetna sekcja GUM - u” - to były ciosy poniżej pasa zadane postępowemu działaczowi, coś podobnego do owych ogłuszających strzałów w Paryżu. Lekka kontuzja.

- W każdym razie dziękuję. Cudowne podarunki w twoim stylu, eleganckie i kosztowne podarunki bogatego człowieka z bogatego kraju. Wiera zaprasza cię jutro na obiad. Zostaniesz poczęstowany przysmakami z naszego przydziału. Rano zgłosi się do ciebie tłumacz. Ustalisz z nim program pobytu. Jak zwykle niczego ci nie zabraknie, szczególnie teraz - to była kropelka jadu. - Masz do dyspozycji samochód. Na mnie czas.

Marlen Michajłowicz mówił spokojnie, z odrobiną smutku, wkładając płaszcz i kapelusz, chowając podarunki do teczki. Wyciągnął rękę. Smutne, mądre oczy. Jednostka jest niestety niczym wobec nieubłaganych praw historii.

- Mam kilka propozycji, Marlenie - powiedział Łucznikow, ściskając dłoń Kuzienkowa. - Skoro jestem persona grata, jak mówisz, po pierwsze, nie potrzebuję tłumacza. Tanka Łunina doskonale przetłumaczy wszystko, co trzeba. Po drugie samochodu z kierowcą także nie potrzebuję, będę korzystał z usług firmy Avis, która zagnieżdżyła się bezczelnie w naszej - podkreślam - naszej stolicy. Po trzecie, chciałbym odbyć podróż na trasie Penza - Tambów - Saratów - Kazań Omsk - Magistrała Bajkalsko - Amurska. Bez osób towarzyszących. Bądź uprzejmy uzgodnić to. Po czwarte, nie dziw się i potraktuj moją prośbę poważnie, chciałbym razem z tobą odwiedzić waszą łożę masońską.

Spojrzeli sobie w oczy i zaśmiali się szczerze. Chyba wszystkie niedomówienia i przycinki poszły w niepamięć.

- Czy dobrze ciebie zrozumiałem? - spytał, zaśmiewając się, Kuzienkow. - Masz na myśli...

- Tak właśnie - Łucznikow kiwnął twierdząco. - Chodzi o saunę. Nie mogę tego ominąć. Łaźniowy okres imperium socjalistycznego. Dekadencja. Rozumiesz?

- Brawo, Andrieju! - Kuzienkow klepnął go po ramieniu. - Moje najwyższe uznanie. Nie spotkałem drugiego takiego cudzoziemca.

- Nie zrewanżuję się ci tym samym, Marlenie! - ze śmiechem odparł Łucznikow. - Ile razy mam tłumaczyć, że nie jestem tutaj cudzoziemcem? Pokleпали się po plecach, wyglądało na to, że konflikt został zażegnany.

Łucznikow odprowadził Kuzienkowa do windy. Melodyjny sygnał, strzałka wskazuje dół. Winda pusta. Łucznikow wszedł do niej za Kuzienkowem.

- Powiedz mi na pożegnanie, czy jest odpowiedź na pytanie pułkownika Czernoka? - spytał.

- Nie ma - rzekł twardo Marlen Michajłowicz. - Nikt nie słyszał pytania, nie ma odpowiedzi.

Wieczorna ulica Gorkiego, Pieszkow Street. Łucznikow pożegnał się z Kuzienkowem i powoli poszedł w górę ulicy, do telegram. Przed nim, za wzniesieniem, na tle dogasającej

zorzy na dachu ocalałej jeszcze sytinowskiej kamienicy błękitnym światłem płonęło słowo „Trud“. Pojazdy rozjeżdżały się zgodnie z sygnalizacją. Olbrzymi termometr wskazywał temperaturę powietrza +8°C. Telegraf, eksponując błękitną kulę, jak zwykle zuchwale przekonywał, że ziemia jednak się kręci, co prawda w otoczeniu czegoś na kształt odnóży skorupiaków, to znaczy pszenicznych kłosów. Wszystko normalne i nieprawdopodobne. Przed wejściem do telegrafu na schodach i poręczach siedzieli i stali chłopcy, wśród nich jak dawniej sporo było partyzantów z południa. Wszyscy czekali na przygodę. A co najwspanialsze - przygoda nie ominęła żadnego. W mieście, gdzie od tylu lat tępiono ducha przygody, przygoda żyje, sunie ulicami, puka do okien, niepokoi stołeczny Urząd Spraw Wewnętrznych, szuka tych, którzy jej oczekują, i zawsze znajduje.

Łuczniów przycupnął na poręczy przy gmachu telegrafu nieopodal podziemnego przejścia, zapalił. Handlarze zaraz zwietrzyli wirginię. Popatrzcie, chłopaki, na tego faceta! Ale ciuchy! Markowe, można się posikać. Zwykły, tradycyjny styl, głupolu! Panie mister, która godzina? Skąd jesteś, brachu? Poczęstuj fajką! Może szukasz dziewczyny? Girls? Girls? Masz zielone? Co w ogóle masz? Czy jest pan z Krymu? Towarzysz jest z Krymu, chłopaki! Czy to prawda, że u was mówią po rosyjsku?

Łuczniów śmiał się, rozdał chłopakom wszystkie camele. Za plecami rosnących moskwian cały czas podskakiwał jakiś czarniawy młodzian. W oczach miał rozpacz - nie sposób zbliżyć się do cudzoziemca.

- Hej, przyjacielu! Posłuchaj! - wołał do Łuczniowa, ale wciąż mu przerywano, aż zdesperowany zawisł na czyichś plecach i wrzasnął:

- Kupię wszystko, co masz! Dokładnie wszystko! Chłopaki pokładali się ze śmiechu, a wraz z nimi śmiał się

Łuczniów. Nigdy nie gardził handlarzami, uważanymi za wyrzutków w radzieckim społeczeństwie, widział w nich żywiołowych buntowników, przeciwników totalitaryzmu, może odważniejszych niż młodzieżowi kontestatorzy na Zachodzie.

- Czy znacie, chłopcy, niejakiego Dima Szebeko? - spytał.

- Singera? C H₂OH? No pewnie, kto go nie zna! - kiwali z szacunkiem głowami.

- Przekażcie mu, że przyjechał Łucz - powiedział ze szczególnym naciskiem. - Kwateruje w Inturiście.

Chłopcy pootwierali gęby z zachwytem. Tajemnica, wielkie europejskie tajemnice, do Dima Szebeko przyjechał Łucz. Piękna sprawa!

Łuczniów poklepał ich po plecach, wy dostał się z tłumu i mszył schodami do góry.

A stamtąd schodził Witalij Gangut. Trzeba trafu! Pierwszego wieczora w Moskwie, w samym centrum, spotkać pogrążonego w marazmie odludka. W dodatku miał on płonące oczy i rozwianą grzywę. Łuczniów nawet się trochę wystraszył - sto lat nie widział Ganguta w takim stanie, może jest na haju, zacznie ze zwykłą moskiewską tępotą oskarżać go o zdradę ideałów młodości? Otworzył ramiona:

- Andriuszka!

- Witalka!

Cud nad cudu! Od Ganguta nie załatywało wódką ani wymiocinami, Gangut pachniał wodą kolońską! Chyba nawet pod pachami. Czy to Faberge?

- Andriucha, ale fart! Taki wieczór i ty się zjawiasz jak diabeł z tabakiery. Wszystko naraz!

- Co naraz? Czego mam ci, Witaliju, gratulować?

- Gdybyś wiedział, z kim przed chwilą rozmawiałem! Trudno sobie wyobrazić!

- Z Emmą? Z Milką? Z Wiktoria Pawłowna?

- Do dupy ze wszystkimi babami! Wielkie dzięki, nie potrzebuję ich. Precz z seksualnym uzależnieniem! Przed chwilą rozmawiałem z Ośmiornicą! Rozumiesz, rano zagraniczna depesza... Nie wyobrażasz sobie... leżę, łeb pęka z bólu, mam dość życia, a tu nagle depesza z zagranicy! Dygotał ze szczęścia, podając Łucznikowowi dar niebios – „zagraniczną depeszę“. Jej tekst wstrząsnął nawet Łucznikowem: *My friend Gangut call me as soon as possible Paris Hotel Grison telephon... Octopus.*

No tak, przecież Octopus to po łacinie ośmiornica. Spryciarz, wygląda na to, że chytrus Jack ma chętkę na Ganguta...

Łucznikow spojrzął na Ganguta. A tamten wyrwał mu z rąk depeszę, złożył starannie i wsunął do tylnej kieszeni dzinsów, uważając, że to najbezpieczniejsze miejsce. No i co ty na to? Tak, to ten sam ogromny Amerykanin, z którym mnie kiedyś zaznajomiłeś. Pamiętasz, kąpaliśmy się w Archangielskoje w stawie, gdzie kąpiel była zakazana? Haloy to mityczna postać! Został wielkim producentem. Więc wyobraź sobie, leżę na moim wygniecionym tapczanie z zagraniczną depeszą. Leżę cały dzień, usiłuję telefonować do Paryża. Nie łączy. Kiedy wykręcam numer centrali międzynarodowej, telefon wyłącza się na dziesięć minut. Oto co robią towarzysze, nawet chuja nie wyściubisz za żelazną kurtynę. Myślę sobie: wy tak, to my tak. Przyszedłem tutaj i patrząc w oczy telefonistce zwyczajnie zamawiam: miasto Paryżewo, obwód paryski, Francuska Socjalistyczna Republika Radziecka. I łączą, wyobrażasz sobie! Przy telefonie Ośmiornica. Czekałem, mówi, na telefon od ciebie, nie mszałem się z łóżka. Wyobrażasz sobie, Andriusza, nieprawdopodobna propozycja! Mówi wprost, nie owijając w bawełnę: piszę umowę. Jakies fantastyczne pieniądze, mówi wprost...

- W jakim języku? - spytał Łucznikow.

Gangutowi, który właśnie chciał podrapać się w głowę, ręka znieruchomiała w połowie drogi do celu.

- Rzeczywiście, w jakim języku rozmawialiśmy? Przecież ledwo potrafię wydukać coś po angielsku, a on po rosyjsku ani w ząb. To zresztą nieważne. Najważniejsze, żeśmy się rozumieli. Najważniejsze to wyrażenie zgody. Powiedziałem po angielsku: *I agree.*

- Co to będzie za film? - spytał ostrożnie Łucznikow.

- Może być każde gówno. Mam nadzieję, że nie każe mi robić filmu o problemach szkół zawodowych, Magistrali Bajkalsko - Amurskiej, ani o syberyjskiej ropie naftowej. W ostatnich latach, Łucz, nagromadziłem na swoim tapczanie tyle potencji, że mógłbym przerznąć tego wałacha - wskazał konny pomnik Jurija Dołgorukiego, który właśnie mijali. - Wiedziałem, że nie na próżno się wyleguję we własnym smrodzie. Artysta leży na swoim tapczanie, a tymczasem świat o nim myśli. Widzisz - doczekałem się!

- Myślisz, że Goskino cię puści? - spytał Łucznikow. Ganguta zatkało z gniewu.

- To tchórze, łgarze, demagodzy, łapówkarze, hipokryci, debile, łajdacy, zarozumialcy, donosiciele, bękarty stalinizmu!

- wykrzykiwał nieprzytomnie, po chwili zająknął się i dokończył prawie spokojnie:

- Gówno mnie to obchodzi.

Doszli do głównego, nieczynnego obecnie wejścia do Mossowietu naprzeciwko pomnika założyciela miasta. Stojący nieopodal milicjant spoglądał na nich ciekawie. Wśród nieruchomych moskiewskich neonów Łucznikow zauważył dziwny ruchomy stwór: zajmujące cztery kondygnacje słowo „Ryby“. Tylko te „Ryby“ pulsowały między nieruchomymi szyldami Pieszkow Street.

- A więc - powiedział - szykujesz się do wyjazdu? Gangut zapiął kurtkę na suwak,

wyciągnął z jednej kieszeni czapkę, z drugiej szalik.

- Czy nigdy się nie zastanawiałeś nad tym, Andrieju, dlaczego ty możesz w każdej chwili wybrać się do Ameryki, Afryki, choćby do Moskwy, a ja - twój rówieśnik - całe życie czuję się tutaj jak przypisany do ziemi?

- Codziennie głowię się nad tym i nad wieloma innymi sprawami - powiedział Łucznikow.

- Więc oddaj swój szwajcarski paszport - burknął Gangut.

- Wymień go na purpurową książeczkę. Otrzymasz wtedy odpowiedź na wszystkie swoje pytania.

- Spójrz na te „Ryby“ - powiedział Łucznikow, wskazując szyld. - Widzisz, jak się szarpia wśród uroczystego moskiewskiego spokoju? Szkoda, że nie zauważyłem ich wcześniej. Zdziwiałe, wspaniałe, niezwykłe „Ryby“.

- Łucz! - zaśmiał się Gangut. - Takiego ciebie kocham! Zapomnijmy dzisiaj, że mamy po czterdzieści pięć lat, dobrze? Zgadzasz się?

- Dzisiaj od rana mam lat trzydzieści - rzekł Łucznikow. Wtedy Gangut rozchwianym krokiem zbliżył się do milicjanta.

- Czy tędy, szanowny panie władzo, nie przechodziły dwie piękne dziewczyny? Kiedy tu jechał, wydawało mu się, że zastanie pogorzeliśko, ponurą atmosferę po serii procesów sądowych i wyjazdów - strażnicy Idei pozbyli się wszystkich niewygodnych ludzi, a ci, co pozostali, pieklą się przy wódce, szkalując władzę. Okazało się, że żyją wesolutko. Impreza goni imprezę: „zabawy na strychu“, przedstawienia „teatrów domowych“, koncerty Dima Szebeka, Kozłowa, Zubowa w różnych instytucjach naukowo - badawczych i podmiejskich klubach, wieczory autorskie ubogich poetów, grupa Metropolu, herbatki filozoficzne w kuchniach, imprezy literackie poświęcone „samizdatom“, wystawy w piwnicach, koncerty minstreli...

Czasami wydawało mu się, że moskiewski underground wysiła się specjalnie dla niego, dla swego ulubionego Łucza, chce pokazać, że jeszcze żyje.

Siedząc obok Tatiany na zdezelowanej kanapie podczas kolejnej popijawy po wystąpieniu jakiegoś nowego geniusza, rozglądał się wokół ze zdziwieniem - skąd w stolicy tylu nowych nieprawomyślnych obywateli. Wydawało się, że wszyscy powyjeżdżali. Jeszcze niedawno Bułat śpiewał:

Od wyjazdu wszystkich niejeden minął rok, Nawet w pracowni Ernsta zapanował mrok. Tylko Jura Wasiljew i Boria Messerer - tylko oni zostali teraz w zeteserer.

Wydawało się, że wszyscy przenieśli się do paryskich kafejek, do Nowego Jorku i Tel Awiwu, a tu znowu cała kolonia „pluskiew“, zapracowanych istot, niepodobnych do sportowców maszerujących przed mauzoleum; wyrosli nowi, ale starych jeszcze wciąż jest niemało.

„W naszym kraju dekadencja jest niezwykła“ - powiedział pewnego razu po koncercie w Studiu Eksperymentalnego Baletu, mieszczącym się w świetlicy hotelu robotniczego Mosstroju, jeden z tancerzy, młodzieńca Antinoes ubrany w kombinezon firmy Wrangler. Powiedział to z dumą cudzoziemcowi Łucznikowowi. W garderobie leżały zwalone na kupę beładnie palta. Pili zieloną herbatę i podłego rumuńskiego szampana.

Spoza sterty rekwizytów wydostał się rozkudłany, szpakowaty Garik Pol, reżyser przedstawienia, znany dawniej jako pijaczyna z Wszechrosyjskiego Towarzystwa Teatralnego, jak się okazało - myśliciel i geniusz tańca. Garik Pol przebił się przez zadymione powietrze, jakoś dziwnie, jak pingwin, rozłożył ramiona i zaatakował młodego Antinoesa.

„RUSSKI KURIER“ Polemika na temat dekadencji (według nagrania magnetofonowego)

...Dla mnie dekadencja - to moje życie, moja sztuka...

...Wybacz, ale to, co uważasz za dekadencję, to, co robiliśmy, to w rzeczywistości zdrowa sztuka, żywa sztuka...

...Jednak nasza sztuka nie jest realistyczna...

...Wybacz, ale nastąpiło całkowite pomieszanie pojęć. „Dekadencja“, mój kochany, to demoralizacja kulturalna, utrata wartości moralnych, zwyrodnienie, obumarcie, zsyfienie artystyczne, a to wszystko dotyczy socrealizmu...

...Czy widzimy te cechy w żywej, wiecznie pulsującej sztuce, w modernizmie, awangardyzmie? Skamieniały realizm socjalistyczny - oto prawdziwa dekadencja...

...To obala wszystkie nasze dotychczasowe pojęcia, przecież przywykliśmy uważać siebie za dekadentów, to znaczy za reprezentantów schyłku, a z drugiej strony wypatrujemy świtu, chociaż się nim brzydymy, ale to sztuka nowego społeczeństwa, a my jakbyśmy się czepiali starego odchodzącego społeczeństwa, które jak od choroby stroni od ludowości, od przodujących idei, społecznych treści, rewolucyjnych wyzwania... Od Kamczatki do Brześcia prężą się sportowcy, a my mamy kaca.

...Wybacz, ale w płaszczyźnie społecznej także wszystko zostało postawione do góry nogami. Jestem głęboko przekonany, że zdrowie zapewnia ludzkości liberalizm, a rewolucja - zwyrodnienie; przemoc i krew uniemożliwiają znalezienie nowych dróg, nowych widoków, prowadzą do ponurego starczego rozpadu... sztywnienia mięśni, zwapnienia mózgu.

...Wybacz, ale estetyka rewolucyjnych społeczeństw z jej niechęcią do przemian, do wszystkiego, co nowe, wraz z powtarzaniem co roku propagandowymi obchodami ze sztandarami, z przemarszami sportowców - to zwyrodnienie pokrewne późnej epoce bizantyjskiej, kiedy złotogłowiec osłaniało się brud, smród, wszy i rozkład.

...Wybacz, ale nie jest to wyłącznie cecha dzisiejszych czasów, czasów schyłku rewolucji, to zaczęło się od samego początku, jako że sama rewolucja też jest schyłkiem, krokiem do tyłu, do odwiecznego mroku, do pychy napęczniałej krwi. To, co uważano za gruntowne burzenie dawnego życia, to właśnie była degeneracja, utrwalanie pierwotnych stosunków społecznych, czyli przemocy, atak pysznego gnijącego potwora na pola i łąki liberalizmu, na nasze tańce, na naszą muzykę i boską ekspresję istoty ludzkiej...

...Nie mogę jednak rozstać się ze słowem „dekadencja“, tak je kocham.

...Nie musisz się rozstawać, ale należy inaczej rozumieć sens tych słów.

Równoległe toczyło się w Moskwie całkiem inne życie, w którym Łucznirow był nadal redaktorem „Kuriera“, znaczącą osobistością w międzynarodowym dziennikarstwie. Na Kutuzowskim Prospekcie znajdowała się agencja prasowa „Kuriera“, zajmująca chyba całe piętro z salą, w której odbywały się koktajle. Jeden z trzech moskiewskich korespondentów „Kuriera“ miał niewątpliwie kontakty z Czeką, drugi z CIA, ale ich szef Wadim Beklemiszew zasługiwał na zaufanie, był kolegą z ławy szkolnej, podobnie jak Czernok czy Sabasznikow.

I Beklemiszew, i Łucznirow uważali „Kuriera“ za gazetę w pewnym sensie moskiewską, w rozmowach między sobą nazywali agencję filią. Prócz trzech Krymczan pracowało tu kilku młodych moskiewskich dziennikarzy, opłacanych pół na pół w „czerwonych“ i „rosyjskich“ rublach, to znaczy w ticzach. Trzej weseli chłopcy i trzy ładniutki dziewczyny siedzieli w dużym jasnym pokoju, biegle trajkotali w trzech językach, preferując angielski,

palili, wypijali mnóstwo kaw i fabrykowali rewelacyjne materiały z życia radzieckich prominentów, wypełniając w ten sposób lukę, jaką stanowił brak kroniki towarzyskiej w prasie radzieckiej. Wszyscy oni uważali pracę w „Kurierze“ za wspaniałą synekurę, uwielbiali Krym i swego szefa Andrieja Łuczniowa, podskakiwali wprost z radości, kiedy przyjeżdżał z Krymu. Łuczniow, patrząc na ich wesołe twarze nie mógł sobie wyobrazić, że mogą być agentami Czeka, chociaż nie ulegało wątpliwości, że byli nimi. Tak czy inaczej, pracują u mnie, myślą, robią gazetę, wspierają Ideę, wykonują to, czego od nich żądam, a sekretów nie mamy, niech sobie kablują, jeżeli bez tego nie mogą funkcjonować.

Pewnego dnia, gdy przyjechał do Moskwy, w agencji „Kuriera“ odbyło się śniadanie z szampanem. Skromniutki poczęstunek: gorące kołaczki z czarnym kawiolem, do tego wspaniały szampan z piwnic księcia Golicyna w Nowym Świecie. Zaproszono między innymi wybitnych dyplomatów. Był wśród nich oczywiście dyrektor Ośrodka Kontaktów Kulturalnych Wschodniego Śródziemnomorza, czyli ambasador Krymu Borys Teodorowicz Wrangel, stryjeczny wnuk czarnego barona, który z biegiem czasu tak się zaczerwienił, że nie bez podstaw podejrzewano go o przynależność do jednej z pięciu krymskich partii komunistycznych. Do korpusu dyplomatycznego Krymu, do wszystkich „misji kontaktowych“, „punktów obserwacyjnych“ i różnych „komisji“ konstytucja zakazywała delegowania komunistów, ponieważ jednak konstytucja była tymczasowa, jej zakazy traktowano z przymrużeniem oka, byleby człowiek nie zdradzał się z oficjalną przynależnością.

Zjechało na śniadanie mnóstwo twórców i działaczy kultury, wśród których było wielu przyjaciół z dawnych burzliwych czasów. Między innymi „kurator“ Krymu Marlen Michajłowicz Kuzienkow. Spodziewano się jednak przybycia kogoś z wyższego szczebla. Zaczynała się już druga godzina imprezy, a nikt nie przyjechał, chociaż na prospekcie pod oknami snuły się milicyjne mercedesy. Niektórzy uważali, że „szykują trasę“. Na wszystkie przyjęcia w agencji „Kuriera“ zapraszano zwykle, na podstawie wykazu sporządzonego osobiście przez szefa, kilkanaście moskiewskich piękności. Były to przeważnie ubogie półkurewki nie pierwszej młodości, panie z oznakami starzenia się. Gdzieś jeszcze pozowały do zdjęć, brały udział w pokazach mody Sławy Zajcewa, wędrowały z łóżka do łóżka, w końcu do niektórych uśmiechało się szczęście - wychodziły za mąż za cudzoziemców. Na imprezach „Kuriera“ pełniły funkcję ruchomych bukietów. Sprytni chłopcy Beklemiszewa uzgadniali z nimi telefonicznie kolory toalet. Dziewczyny zresztą nie obrażały się, przeciwnie, cieszyły się, że są jeszcze komuś potrzebne.

Tatiana Łunina w trzyczęściowym tweedowym paryskim kostiumie grała rolę uwodzicielki, zmrużonymi oczami uważnie obserwując Andrieja, przesuwającego się w tłumie. Czuła się znakomicie w tej roli. Pozornie była nikim - taki sobie przypadkowy gość, nie wiadomo dlaczego zaproszony - a jednocześnie prawie wszyscy wiedzieli, że nie jest tu przypadkiem, przeciwnie, że jest tu pierwszą damą, wiedzieli, skąd pochodzi ten kostium i kto go jej ofiarował. Wspaniała sytuacja... Nagle podczas rozmowy z brazylijskim dyplomatą zauważyła, że ktoś obcy obserwuje ją uważnie. Spojrzenie to obudziło poczucie niepewności, niestabilności dzisiejszej pozycji... zagrożenia zmianami. Ktoś porwał Łuczniowa, ktoś zasłonił męża, nieznajomy włożył przyciemnione okulary. Brazylijczyk ze zdziwieniem stwierdził, że zamiast międzynarodowej kurwy ma przed sobą spłoszoną rosyjską prowincjuszkę.

Właśnie zaczął się ruch - przyjechali, przyjechali! Kto przyjechał? Przyjechał sam towarzysz Protopopow! Nikt nie oczekiwał takiego zaszczytu. Chyba najbardziej energiczna osobistość wśród zmęczonych kolegów. Ogromne ożywienie na Sali - co to może znaczyć?

Zjawili się ochroniarze, szybko zmieszali się z tłumem. Borys Teodorowicz Wrangel z partyjną gorliwością, niczym pierwszy lepszy sekretarz komitetu obwodowego, pognął w kierunku gościa. Protopopow wszedł z dumnie uniesioną głową. Zgodnie z zasadami hierarchii partyjnej, wyciągnął dłoń do Wrangla jak do swego, nawet na niego nie spojrzął, natomiast szefa „Kuriera“, reprezentującego na razie „niezależne postępowe środowiska świata“, uszczęśliwił uśmiechem i mocnym uściskiem dłoni.

- Udało się wyrwać na chwilę - zamiłowanie do zdrobnień nie było obce także moskiewskiemu Olimpowi - ... mamy moc pracy w związku ze zbliżającym się... - czym? czym? co się zbliża? - jubileuszem... - ulga w tłumie, mniejsza, o to, jaki jubileusz nas czeka - ...postanowiłem jednak osobiście... czytam pańską gazetę... nie wszystko, proszę wybaczyć, reprezentuje wysoki poziom... jednak w ostatnim okresie... tak, czytam z zainteresowaniem... - pauza, uśmiech, komentujcie sami - ...my zawsze traktowaliśmy z uznaniem rozwój myśli postępowej... - czy powie słowo „Krym“, czyżby się coś zmieniło? - ...we Wschodnim Śródziemnomorzu... - nie, nic się nie zmieniło; całkiem nic? może jednak cokolwiek?

Podano szampana - przezroczyściego, bezcennego szampana w kolorze przedwieczornego nieba. Towarzysz Protopopow spróbował łyk i cmoknął - docenił! Podobno oni tam tylko coś takiego piją. Podziękował za kołacz z kawiozem, krygując się - dziękuję, dbam o linię. Widocznie jednak coś się zmieniło, zachowuje się bardziej po ludzku!

- Marzymy o dniu, Timofieju Łukiczu, kiedy nasza gazeta będzie sprzedawana w Moskwie obok „Izwestii“ i „Wieczornej Moskwy“ - rzekł donośnie Łuczniwow.

Zapadła cisza. Nawet „bukiety“ znieruchomiały w malowniczych pozach. Tylko ochroniarze kontynuowali pracę - uważnie penetrowali wzrokiem salę. Towarzysz Protopopow wypił jeszcze łyk szampana. Wszyscy czekali, jak zareaguje na zuchwałstwo Łuczniwowa.

- To zależy od... - towarzysz Protopopow uśmiechnął się - od wzajemności, panie Łuczniwow... - Na sali podniecone szepty. - Powiedziałem już, że w pańskiej gazecie nie wszystko reprezentuje wysoki poziom, prawda?... więc w przyszłości wszystko będzie zależało od wzajemnego zrozumienia... - „Bukiety“ uśmiechnęły się, wyczuły, że atmosfera się poprawia - Mamy wspólną planetę... mamy wspólne morze... mamy, przyjaciele, wiele wspólnego... - w tym momencie uśmiechnęli się wszyscy - ...ale też niejedno nas różni - uśmiechy zgasły - ...więc proponuję wypić za wzajemne zrozumienie!

Mocny uścisk dłoni dla tymczasowo niezależnych postępowych sił planety, poważne, dodające otuchy spojrzenie w kierunku Wrangla. Niespiesznie, uwzględniając obowiązki ochrony, torującej przejście, z zachowaniem naturalnej klasowej stateczności towarzysz Protopopow opuścił gościnne progi.

Oficjalne osobistości wymieniały szeptem uwagi. Półoficjalni i nieoficjalni pisarze (a byli wśród nich bezdomni twórcy rosyjskiej kultury) chichotali między sobą. Czy któryś z nich spodziewał się, że obejrzy z bliska jeden z portretów? Coś takiego może się zdarzyć tylko w „Kurierze“, żyjemy, chłopaki, w czasach, kiedy się zdarzają cuda! Dyplomaci z nieprzeniknionymi twarzami rozmawiali o sporcie, o balecie, o rosyjskim szampanie i powoli kierowali się do wyjścia - taki zawód. Dziennikarze otoczyli Łuczniwowa, udawali, że są zajęci światową rozmową, ale patrzyli na niego, czekali na komentarz.

- Proszę państwa - powiedział Łuczniwow - zasada wzajemności, zaproponowała przez Timofieja Łukicza Protopopowa, odpowiada redakcji „Kuriera“.

UPI, AP, Reuter, France Presse i inne agencje oraz trzej Japończycy zanotowali jego

słowa modnymi wiecznymi piórami w stylu retro.

Śniadanie dobiegło końca.

- Co się tak ponizasz, Andrieju, przykro na ciebie patrzeć - powiedział na pożegnanie Gangut. — Zaliczyłeś się jednak do postępowej ludzkości.

- Kiedy pan wraca na Wyspę, Andrieju Arsieniewiczu? - spytał na pożegnanie komentator międzynarodowy z „Prawdy“ i, nie czekając na odpowiedź, chrząknął znacząco: najwyższy czas.

- Jakie wrażenie? - spytał Łucznikow Kuzienkowa. Kuzienkow uśmiechnął się na pożegnanie krzepiąco.

- Dlaczego nigdy pan nie zadzwoni, Andriusza? - spytał na pożegnanie jeden z „bukietów“. — Posiedzielibyśmy, pogadali, powspominali dawne czasy.

Sala szybko pustoszała. Za oknami zaczynała się moskiewska mżawka. Łucznikow stał przy oknie, rozmyślając o bezsensie „wspólnej sprawy“, wspólnej idei, wspólnego losu, każdej działalności, każdej aktywności. Czuł głęboki smutek i wstyd. Puste butelki i resztki zakąsek, obgryziony kołacz ze śladami szminki jak miesięczkowa plama - oto wyniki bezsensownego „śniadania z szampanem“. Należałoby uciec do Nowej Zelandii.

W tym momencie dotarł do niego głos Tatiany:

- Na razie, Andrieju!

Drgnął, odwrócił się od okna. Po raz pierwszy myśl o fermie nie łączyła się z Tatianą.

Sala była prawie pusta. Tylko w najdalszym kącie w fotelu chichotał wyzywająco podochocony „bukiet“ (chyba Lora, ekstancerka z music - hallu), obok trzech facetów rzeczowo rozważało problem, który z nich podejmie się dżentelmeńskiego obowiązku odtransportowania „bukietu“ w odpowiednie miejsce.

Tania stała w drzwiach. Dziesięcioboista trzymał ją pod rękę. Patrzyła na Łucznikowa trochę zmieszana. Mogłaby oczywiście wyjść bez pożegnania, ale chciała mu o sobie przypomnieć. Nic więcej, tylko przypomnieć. Widocznie czuła, że Andriej o niej całkiem zapomniał. Miała wprost nadprzyrodzoną wrażliwość.

Dziesięcioboista uśmiechał się grzecznie na poły dyplomatycznie, na poły koleżeńsko. Łucznikow pomyślał, że atleta - przystojniak niedługo przemieni się w człowieka niemłodego i niezbyt zdrowego. Być może takie wrażenie powstało pod wpływem nadętej miny dziesięcioboisty, zbyt przejętego odpowiedzialnością za stan sportu radzieckiego. Czyżby nie wiedział o ich romansie?

- Jedźmy do nas na herbatę, Andrieju - powiedziała Tatiana.

Dziesięcioboista spojrział na nią z tępym uśmiechem. Dopiero po chwili dotarł do niego sens zaproszenia. Zaprasza do domu na herbatę redaktora burżuazyjnej gazety!

- Na herbatę do państwa? - Łucznikow nie wiedział, jak się zachować.

- A dlaczego nie? Mamy świetną angielską herbatę. Posiedzimy w domowej atmosferze... - Tatiana, zaskoczona własnym zuchwalstwem, zmieniła się nie do poznania. Łucznikow ujrzał dawną Tanię, która zachwyciła go przed dziesięciu laty - zwariowaną moskiewską dziewczynę, która potrafiła niczym dziwka oddać się w łazience, albo rozkochać w sobie na całe życie.

- To kusząca propozycja - mruknął. - 1 w samą porę. Wie pani, poczułem się tutaj bardzo podle...

- Więc jedźmy do nas - rozpromieniła się.

- Rozbabrane stoły zawsze sprawiają na mnie przykre wrażenie - powiedział.

- Wiem, wiem - rzekła bezdźwięcznie Tania.

- Zapraszamy do nas - zdecydował się wreszcie dziesięcioboista i spiorunował żonę

spojrzeniem: chyba zwariowałaś!

W wynajętym żyguli Łucznikow zawsze miał na wszelki wypadek parę „firmowych“ butelek i kartonów z papierosami. Teraz położył to wszystko na stoliku w przedpokoju Tatiany. Położył i struchłał, słysząc w głębi mieszkania dziecięce głosy, całkiem zapomniał o dzieciach - nie ma ani gumy do żucia, ani samochodzików, ani coca - coli. Nigdy nie myślał o dzieciach Tani, a ona nigdy nie opowiadała o dwunastoletniej Milce i dziesięcioletnim Saszy.

Dzieci przyszły przywitać się z gościem. Milka - nimfetka, córka Tatiany nie mogła być inna. A Sasza... - Był zaszokowany. Zgrabny chłopczyk o wysokim czole, jakby trochę smutny. Andriej przypomniał sobie, że właśnie przed dziesięciu laty wyciągnął Tanę z jakiejś libacji i bez ceregieli... Czyżby? Oczy szare, jak jego, ale dziesięciooista także jest szarooki. Mocna szczęka, ale i dziesięciooista ma taką. Wytrącony całkiem z równowagi podarował Saszy swoje wieczne pióro ze złotą stalówką. W drzwiach kuchennych pojawiła się Tatiana.

- No jak tam, poznaliście się już? - spytała wesolutko.

Łucznikow wzrokiem zapytał ją o Saszę. Rozłożyła komicznie ręce. Wyglądała tak zabawnie, że wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Dziesięciooista przyniósł z tak zwanego barku dwie butelki francuskiego koniaku - my także nie wypadliśmy sroce spod ogona.

Zaczęło się przedstawienie. Dziesięciooista usiadł przy stole na wysoki połysk naprzeciwko Łucznikowa, nalał do kryształowych kielichów koniaku - wszystko mamy: i koniak, i kryształy.

- Za znajomość - powiedział. - Napijesz się, Tatiana?

- Za chwilę - dobiegło z kuchni.

- Gdzie pan pracuje? - spytał Łucznikow.

- Jak to gdzie? - zdziwił się dziesięciooista.

- Chodzi mi o to, czy pan gdzieś pracuje, czy... *free - lance?*

- Jak pan powiedział? - najeżył się dziesięciooista.

- Nieetatowo - zawołała z kuchni Tatiana.

- Jestem zastępcą naczelnika zarządu - powiedział dziesięciooista. - Głównego Zarządu Sportowych Walk Pojedynczych.

Łucznikow zaśmiał się - podobał mu się dowcip. Widocznie chłop wcale nie jest taki tępy.

- Z czego się pan śmieje? - spytała Tatiana, wchodząc z tacą.

- Podobał mi się żart pani małżonka. Główny Zarząd Sportowych Walk Pojedynczych - to brzmi pięknie!

- Ale co w tym zabawnego? - zdziwił się dziesięciooista.

- Taki zarząd rzeczywiście istnieje w naszym Komitecie - rzekła Tania. - Całkiem normalna sprawa. Zarząd taki jak inne. Główny Zarząd Sportowych Walk Pojedynczych...

Łucznikow był zawstydzony jak zawsze, kiedy radziecka rzeczywistość odsłaniała przed nim swoje zaskakujące właściwości. Można ją znać, ale nie da się poznać do końca.

- Zabawne jest to, że pracuje pan w zarządzie walk pojedynczych, będąc dziesięciooista - powiedział Łucznikow, unikając wzroku Tatiany.

- I co z tego? - spytał dziesięciooista.

Tatiana wybuchnęła śmiechem. Zdążyła już wypić kieliszek koniaku.

- Nigdy o tym nie pomyślałam - powiedziała. - Rzeczywiście zabawne: dziesięciooista w walkach pojedynczych.

Jej śmiech brzmiał trochę niepokojąco.

- Jeżeli chodzi o dziesięciobój, to u nas nie zapomina się dawnych zasług - powiedział małżonek. - Proszę spojrzeć: oto etapy, przez które przeszedłem. Osiem lat utrzymałem się w pierwszej dziesiątce...

Puchary i statuetki z brązu wieńczyły jugosłowiańską serwantkę. Łucznikowa razila pospolitość tego wnętrza - inaczej sobie wyobrażał dom Tatiany (jeżeli w ogóle kiedykolwiek o tym myślał).

Wypili drugą kolejkę. O herbacie już zapomniano.

- Dlatego teraz mam znakomitą pracę - wyjaśnił małżonek. - Rozumie pan?

Łucznikow spojrzał na Tatianę - jak mam się zachować? - ale ona chichotała, bawiła się sytuacją i nawet nie myślała o tym, by mu pomóc.

- Rozumie pan, co mam na myśli? - dziesięcioboista z uporem patrzył na Łucznikowa, siedząc nad czwartym kielichem.

- Rozumiem.

- Ni diabła pan nie rozumie. Tam u was od razu zapominają o sportowcach, a u nas otaczają troską.

- Rozumiem.

- Nie wydaje mi się, by pan rozumiał. Po twarzy tego nie poznać.

- Ojej, umieram! - Tatiana odchyliła się na oparcie krzesła.

- Zrób mądrą minę, Andriusza.

- Niepotrzebnie się śmiejesz - dziesięcioboista ścisnął żonę za ramię. - U nich tak, u nas inaczej. Towarzysz potwierdzi to bez żadnej propagandy.

- U nas oczywiście skala jest znacznie mniejsza - potwierdził Łucznikow, patrząc z ukosa na Saszę, który siedział na tapczanie z podkulonymi nogami. - U nas nie ma komitetu do spraw sportu. Wszystko odbywa się żywo. Wiele dziedzin sportowych kuleje.

- Właśnie! - zawołał dziesięcioboista, patrząc na żonę, która nadała się i z dezaprobatą kiwała cudzoziemcowi palcem

- nieładnie, nieładnie! Wychylił czwarty kieliszek. - A teraz powiedz, że sportowcy radzieccy są zawodowcami!

- Nigdy tego nie powiem - odparł zdecydowanie Łucznikow.

- Powiedz, powiedz - domagał się dziesięcioboista. - Może myślisz, że nie potrafię odpowiedzieć?

- On niedawno uczestniczył w seminarium poświęconym kontrpropagandzie - poinformowała uprzejmie Tatiana.

Milka w kurtce, czapce, z torebką na ramieniu przeszła przez pokój, kierując się do wyjścia. Trzasnęła z irytacją drzwiami, wyraźnie nie spodobała się jej ta libacja.

- Łyżwiarka figurowa - dziesięcioboista po czasie wskazał ją lekko, drżącym palcem. - Ile jest sztucznych lodowisk na waszej białogwardyjskiej wyspie?

- Trzy - powiedział Łucznikow.

- A u nas sto trzy!

Sasza wstał i poszedł do przedpokoju. Mój chód, pomyślał Łucznikow, a może jego? Dumny Sasza starannie zamknął drzwi. Dzieci wyraźnie nie akceptowały zakrapianych alkoholem rodzicielskich dyskusji.

- Gra w hokeja - powiedział dziesięcioboista. - Wielki talent!

- Wreszcie jesteście sami - zachichotała Tatiana.

- Dlaczego nie odpowiedziałeś na moje pytanie? - dziesięcioboista przysunął krzesło do Łucznikowa i znowu nalał koniaku. - No więc zawodowcy czy amatorzy?

- Ani zawodowcy, ani amatorzy - powiedział Łucznikow.

- To znaczy?

- Sportowcy radzieccy są urzędnikami państwowymi. Szósty kieliszek zawisł w powietrzu. Dziesięcioboiście opadła szczęka. Tania chichotała z zachwytem.

- Brawo, Andriusza! Przygotuj się, Mał, zaraz zjesz żabę! Na seminarium nie mówiono o czymś takim!

Huśtając się na krześle, cmoknęła Łucznikowa w policzek. Krzesło się usunęło spod niej, ale nie upadła, wykazała refleks lekkoatletki, trafiając na kolana Łucznikowa. Cmoknęła go jeszcze raz - w usta.

- Coś ty, Tatiano - wybełkotał dziesięcioboista. - Nie wypada... obcego faceta w usta...

- Jaki z niego obcy - zaśmiała się Tatiana, łaskocząc Łucznikowa. - Jest obcy ideologicznie, ale krew ma naszą, rosyjską.

- Rzeczywiście jest Rosjaninem? - zdziwił się Mał. Łucznikow też się zdziwił, kiedy zobaczył w lustrze, że stoi

z gniewną twarzą i gestem właściciela przygarnia do siebie Tatianę.

- Jestem o sto procent bardziej Rosjaninem niż pan, towarzyszu Mał. My się wywodzimy od Rurykowiczów!

- Rurykowicze to Białorusini - prychnął dziesięcioboista. - Ale nie o to chodzi. Najważniejsze - to czystość wewnętrzna, żebyś nie był reakcjonistą! Chodź tu!

Schwycił Łucznikowa za ramię żelazną łapą. Tania, wciąż się śmiejąc, włączyła wieżę. Rozległy się dźwięki *Ballady o Johnie i Yoko*. Wszyscy troje pomaszzerowali do ciemnej sypialni, gdzie w świetle ulicznej latarni stało, niczym gigantyczna płyta nagrobna, małżeńskie łóżko.

- Chciałbym wrócić do domu, wielkiego mieszkania, gdzie śpi smutek - powiedział dziesięcioboista zwykłym ludzkim głosem.

Łucznikow nie wierzył własnym uszom.

- Co? Czy dobrze słyszałem?

- Nasz Mał uwielbia poezję - powiedziała Tania. - Czyj to wiersz?

- Borys Mandelsztam - powiedział dziesięcioboista.

- Widzisz! - ucieszyła się Tatiana, podskakując na małżeńskim łóżku. - Ma zeszyt, w którym notuje złote myśli i wiersze. Nie jest byle kim, to inteligent!

- Spójrz tutaj - rozkazał groźnie dziesięcioboista. - Oto etapy mego życia - zabrakło miejsca!

Na półce wzdłuż całej ściany połyskiwały w świetle ulicznej latarni puchary i statuetki.

- Dlaczego nazywasz go Mał? - spytał Andriej.

- Skrót od słowa „małżonek“ - chichotała Tatiana.

- I dlaczego mówisz do niej ty, a do mnie pan? - wściekł się dziesięcioboista. - Podkreślasz swoją wyższość?

Machnął potężnym łapskiem.

- Po co wymachujesz w powietrzu? - powiedział Łucznikow. - Wal w moją pierś!

- Dobra - zgodził się Mał. - To po naszymu, jak towarzysz z towarzyszem. Bez szlacheckiego podsrywania.

- Oto mamy walkę dwóch systemów! - śmiała się Tatiana. Siedziała teraz na małżeńskim łóżku.

W pokoju oświetlonym tylko latarnią zza okna wydawała się Łucznikowowi ulicznicą, suką czekającą, który z psów ją dostanie. Poczuł zwierzęcą żądzę.

- Bij, Mał - powiedział cicho, przybierając tajwańską postawę zasadniczą.

Zaczęła się walka w sportowym stylu. Łucznikow bronił się skutecznie, ciskał dziesięcioboistę na łożo. Ten nie bardzo rozumiał, co się z nim dzieje, ale zachowywał się sportowo, doceniał zręczność przeciwnika.

- Dość tego, Andrieju - powiedziała Tatiana całkiem trzeźwym głosem. - Dość tej zabawy.

- Przepraszam, ale dlaczego to ja mam przerwać walkę? powiedział Łucznikow. - Nie jestem tołstojowcem. Napadnięto mnie, więc się bronię. Nie jestem okrutny. Nie uszkodziłem twego małżonka ani naczyń...

Nagle jakby coś wybuchło w jego głowie. Kiedy odzyskał przytomność, siedział na podłodze wśród odłamków szkła, w oparach koniaku.

- Żyjesz? - dotarł do niego z małżeńskiego łoża głos dziesięcioboisty.

Więc cisnął mu w twarz butelkę koniaku. W gębę. W pysk. W mordę. W facjatę. W ryj. Jak tu jeszcze nazywają ludzką twarz?

- Taniu! - zawołał. Nie odezwała się.

Zrozumiał, że przegrał; czepiając się przedmiotów, krzesel, regałów, podnosił się z trudem.

- Gratuluję - powiedział. - Przegrałem. Uczciwy pojedynek zakończył się twoim zwycięstwem, Mał.

- Teraz spadaj - powiedział Mał. - Wynoś się. Zaraz będę się kochał ze swoją kobietą.

Tatiana leżała z twarzą ukrytą w poduszce. Łucznikow widział w lustrze swą okrwawioną twarz.

- Ta kobieta pójdzie ze mną - powiedział. - Mam skaleczoną twarz, a kobiety mają litościwe serca.

Tatiana nie poruszyła się.

- Cieszy się, że ciebie nie zabiłem - powiedział Mał. - Tego mi tylko brakowało - zabić redaktora naczelnego „Kuriera“. Nie pochwalono by mnie za to.

- Taniu! - zawołał Łucznikow. Nie poruszyła się.

- Posłuchaj, bądź człowiekiem, idź sobie. Od piętnastu lat jesteśmy z Tanią legalnym małżeństwem.

- Chodźmy, Tatiano! - powiedział Łucznikow. - Nie pójdziesz ze mną?

- Słuchaj, biały, jeżeli kiedy miałeś Tanke, to nie znaczy, że jest twoja - powiedział pojednawczo Mał. - Ona należy do mnie. Odejdź, biały, po dobremu. U ciebie na Krymie są tabuny dziewczyn, a ja mam tylko ją.

- Powiedz, Taniu, że jesteś moja - poprosił Łucznikow. - Wstań wreszcie, opatrz mi twarz.

Nie ruszyła się.

Dziesięcioboista pochylił się nad nią, wsunął rękę pod brzuch, chyba odpiął jakiś guzik. Jego potężna postać wydawała się jeszcze masywniejsza obok kruchej kobiety.

- Pomyślałeś, Mał, że ja także mogę ci przyłożyć czymś po głowie? - spytał Łucznikow. - Jakimś twoim pucharem? Na przykład Nike z Samotraki.

Dziesięcioboista zaśmiał się chrapliwie.

- Straciłeś już szwung.

- Masz rację - zgodził się Łucznikow. - Nie jesteś taki prymitywny, jak się wydaje. No, dalej, rznij moją ukochaną.

- Masz zamiar patrzeć? - mruknął Mał. - Chcesz tutaj zostać? Proszę bardzo...

Plecy Tani drgnęły, głowa uniosła się nad poduszką.

- Taniu - powiedział cicho Łucznikow. - Ocknij się!

- Zaraz zobaczysz... zaraz... zaraz - bełkotał dziesięcioboista, pochylając się nad Tanią. - Zaraz zobaczysz, jak my oboje... jak nam... bij czymkolwiek... nie rozdzielis nas... prócz niej nie mam nic w życiu... Ojczyzna wycisnęła ze mnie wszystko, wyssała, została mi tylko Tania, bez niej jestem zerem...

- Idź, Andrieju - powiedziała Tania obcym głosem. Długo stał obok ogromnego domu, czuł jak puchnie mu

twarz. Absolutny bezsens. W głowie dudni. Nieznośny ból. Na piętnastu kondygnacjach mieszkalnego olbrzyma w każdym mieszkaniu, w ciemności i w świetle lamp, Mał legalnie jebał jego nielegalną miłość. Jego miłość opromienioną blaskiem krymskiego księżyca. Tam jest jego ojczyzna, tam jego szczęście - na Wyspie Krym, na oceanie wolności. Nigdy się z wami nie połączymy, zniewolona, ponura hołoto z północy. Nie jesteśmy Rosjanami, nie jesteśmy komunistami, jesteśmy wyspiarzami Jaki, mamy własne życie - nieustający karnawał wolności, jesteśmy od was silniejsi, bez względu na to, jakimi butelkami będziecie - bydlaki - rozbijać nam głowy. Zaczął padać śnieg.

Wrzesień, pora, kiedy na całym świecie, w całej Europie ludzie siedzą pod kasztanami, słuchają muzyki, a w Jałcie nimfy z ledwo zasłoniętymi cipkami wychodzą z fal prosto na ulicę... Beznadziejny, zgniły i ślepy rosyjski wrzesień... Do licha ze wszystkim, ze zmarnowaną miłością także... Taks! Taks! U podnóża mieszkalnego giganta zostało żyguli wynajęte w Inturiście, a w nim rzucony na siedzenie dwustronny angielski reglan.

Trzy dni później Tatianę wezwano do pierwszego wydziału. Koniecznie z małżonkiem. Po co małżonek? To nie jest rozmowa na telefon, Tatiano Nikiticzno. Rozmowa ważna dla pani i dla jej małżonka.

Nie zdziwiła się, kiedy w gabinecie naczelnika ujrzała faceta, który ją hipnotyzował na przyjęciu w „Kurierze“: bródka, przyciemnione szkła - najnowszy model wehrwolfu. Uroczy jegomość! Zdjął nawet okulary, kiedy się przedstawiał, pragnął pokazać Tani czystość i uczciwość swoich oczu, żadnych uśmieszków, żadnego owijania w bawełnę - masz do czynienia z przyjacielem. Naczelnik - stary stalinowiec o stosownym wyglądzie - przedstawił gościa: towarzysz Siergiejew, komentator agencji informacyjnej „Nowosti“ będzie obecny podczas naszej rozmowy.

Tania spojrzała na swego ślubnego. Stał w pozycji na baczność, oślepiający biały gors i także mankiety widoczne spod przyciasnego blezera. Był tak zdenerwowany, że jakby odmłodził, pomimo swego wzrostu wyglądał jak przestraszony chłopak. Zawsze się dziwiła, że radzieccy supermeni - miotacze, zapaśnicy, bokserzy - zachowują się jak bezradne bobasy, kiedy mają do czynienia z takimi bydlakami z pierwszego wydziału i „komentatorami“. Zirykowała się.

- Nie mam zamiaru udzielać wywiadu agencji „Nowosti“!

- Tatiano Nikiticzno... - powiedział towarzysz Siergiejew z przyjaznym uśmiechem.

Przerwała niecierpliwie:

- Czemu tak przypatrywał mi się pan na przyjęciu w „Kurierze“? Znalazł się Stirlitz! Chciał mnie pan załamać psychologicznie?

- Po prostu podziwiałem piękną kobietę - towarzysz Siergiejew odrobinę odchylił się na oparcie krzesła i jakby znowu zaczął podziwiać Tatianę.

- Ryzykował pan, nawiasem mówiąc! - zawołała, szarpnęła torebkę, wyjęła papierosa.

Natychmiast wyciągnęły się ku niej dwie dłonie z ogniem.

- Taniu, Taniu - bełkotał Mał. Siedział nieruchomo, jakby się bał, że pęknie, kiedy się poruszy.

- Niepotrzebnie się pani denerwuje - rzekł towarzysz Siergiejew. - Chcieliśmy po przyjacielsku zapytać o...

- O pana Łucznikowa! - dokończył groźnym basem kierownik wydziału.

Według starodawnej tradycji tego rodzaju przyjacielskich rozmów należało w tym miejscu przestraszyć się, zmięknąć i skapitulować. Niestety, tradycji nie stało się zadość - Tatiana rozżłościła się jeszcze bardziej.

- A skoro tak, to z komentatorem agencji „Nowosti“ w ogóle nie mam zamiaru rozmawiać! Też mi komentatorzy! Basta! Proszę sobie znaleźć inny temat do komentowania!

- Przestań, Łunina! - kierownik wydziału uderzył dużą dłońią o blat biurka. - Czy ty nie rozumiesz? Skończ z wygłupami!

- To wy przestańcie się wygłupiać! - krzyknęła i zerwała się z miejsca. - Komentatorzy! Jak chcecie rozmawiać, to nie kręćcie. Mam prawo wiedzieć, z kim rozmawiam!

- Mówisz, Tatiano, jak dysydentka! - po ojcowsku oburzył się kierownik, w dalekiej przeszłości jeden z koniuchów sportowej stajni Waški Stalina. - Gdzie się nauczyłaś tych teorii? Prawo! Uważaj, Tatiano!

Tatiana zauważyła, że towarzysz Siergiejew jakby się zmieszał. To ją rozbawiło. Usiadła spokojnie i spojrzała na niego, czując, że panuje nad sytuacją. No? Towarzysz Siergiejew z kwaśną miną okazał stosowną książeczkę.

- Myślałem, Tatiano Nikiticzno, że nie musimy nazywać wszystkiego po imieniu... Ale jeżeli pani sobie życzy - spojrzał znacząco na Mała.

A on siedział ledwo żywy z przymkniętymi oczami.

- Proszę bardzo, nazwijmy rzeczy po imieniu. W przeciwnym razie będzie to kłamstwo.

- Jestem zachwycony - powiedział towarzysz Siergiejew.

- Nie potrzebuję zachwyty - warknęła.

Ciekawe, że w książeczce rzeczywiście figurowało nazwisko Siergiejew, ale zamiast „komentator“ było napisane „pułkownik“.

- *Upto you* - westchnął pułkownik Siergiejew.

- Co pan powiedział, towarzyszu pułkowniku? - Tatiana patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, czy się aby nie przesłyszała. Chyba rzeczywiście ma jakąś kobiecą władzę nad pułkownikiem Siergiejewem, czuła to od początku i dlatego zachowywała się tak zuchwale.

- Powiedziałem, że jak pani sobie życzy - uśmiechnął się pułkownik. - Wieloletnie przyzwyczajenie, trudno się tego wyzbyć.

Miała wrażenie, że pułkownik jest jej wdzięczny za pytanie, w którym zabrzmiała kobieca przewrotność. Mógł dzięki temu napomknąć o romantycznym okresie swego życia - jakim w jego odczuciu był zakonspirowany pobyt za granicą, dać do zrozumienia pięknej kobiecie, że nie zawsze się babrał w sprawach krajowych.

Następnie wyłożył istotę problemu. Na wstępie zaznaczył, że darzy szacunkiem Andrieja Łucznikowa jako jednego z najwybitniejszych światowych dziennikarzy, a także jako człowieka. Ale to przy okazji... Krótko mówiąc, czynniki polityczne naszego kraju liczą bardzo na Łucznikowa. My... będę mówił „my“, żeby było prościej... my rozumiemy, że w określonej sytuacji historycznej taka osobistość, jak Łucznikow, może odegrać decydującą rolę. Historia raz po raz dezawuuje bzdury głoszone przez naszych teoretyków o zerowej roli jednostki. A więc, Tatiano Nikiticzno, mamy uzasadnione podstawy do obaw o Andrieja Arsieniewicza. Po pierwsze, każdy, kto studiował jego życiorys, musiał zauważyć zmienność jego politycznych zapatrywań. Powiem wprost, obawiamy się, że w decydującej chwili

Łucznirow może wykonać nieprzewidzianą wolę, może ujawnić kreatywne właściwości swojej natury i przyczynić się do jakichś absurdalnych zmian sytuacji. W związku z tym chcielibyśmy, by obok Łucznirowa przebywał stale oddany, mądry i, jak się dzisiaj przekonałem, odważny człowiek... Znowu spojrzął uważnie na Małą, a następnie pytając na Tatianę.

A ona siedziała jak skamieniała.

„Komentator“ musiał kontynuować wyjaśnienie.

- To był wstęp, Tatiano Nikiticzno. Ostatecznie chodzi nam głównie o Andrieja Arsieniewicza, o jego osobiste bezpieczeństwo. Otóż... rozumie pani, Tatiano... - Pod wpływem głębokiego ludzkiego niepokoju towarzyszy Siergiejew zapomniał o takim mało istotnym szczególe, jak imię jej ojca, zerwał się z krzesła i przespacerował się po gabinecie. - Rzecz w tym, że na Łucznirowa szykuje się zamach. Reakcyjne siły na Krymie... - Znowu się zaciął, zatrzymał się w kącie gabinetu, patrząc pytając na Tatianę.

- Owszem, wiem - powiedziała z niezrozumiałym dla siebie lekceważeniem.

- Co to wszystko ma znaczyć? - spytał nagle dziesięcioboista, po raz pierwszy przytomnym wzrokiem spoglądając na twarze obecnych.

- Może pani sama wytłumaczy małżonkowi sytuację - niepewnie zaproponował towarzyszy Siergiejew.

- Po co go tutaj zaproszono? - spytała Tatiana z krzywym uśmiechem.

- Żeby postawić kropkę nad „i“ - oznajmił ponuro kierownik wydziału.

- Dobrze - Tatiana odwróciła się do męża. - Wiesz doskonale, że Łucznirow od wielu lat jest moim kochankiem.

Mał nawet na nią nie spojrzął.

- Co to wszystko ma znaczyć? - powtórzył.

Ich szef milczał, jakby coś nie podobało mu się w tej sytuacji, może ton rozmowy, może jej treść.

Siergiejew jeszcze raz przespacerował się po gabinecie. Tania pomyślała, że wszystko odbywa się w tempie wieloodcinkowego serialu telewizyjnego. Miarowy spacer w biurowym wnętrzu, energiczny zwrot w odległym kącie. Monolog z tego kąta.

- Wynika z tego, moi drodzy, konieczność podjęcia określonych działań. Proszę mi zaufać, nie jestem potworem ani bezduszną maszyną... - Siergiejew znowu zapalił, nie wiadomo po co pomachał zapalniczką, jakby to była zapałka. - Właściwie zaufanie jest zbędne - uśmiechnął się z odrobiną goryczy. - Nie mogę tego udowodnić... Tak czy inaczej, zastanówmy się wspólnie. Przecież pan, Glebie, był kiedyś naszym idolem - uśmiechnął się do Mała. - Kiedy po raz pierwszy przekroczył pan osiem tysięcy punktów, to było dla nas święto. Pan jest gigantem, Glebie, słowo honoru, w moim odczuciu jest pan ideałem słowiańskiego lub, jeżeli pan woli, wareskiego męstwa. Poprosiłem pana tutaj razem z Tanią, ponieważ jakiegokolwiek zagrania bez pańskiej wiedzy uważam za niegodziwość, ponieważ liczę na pańskie męstwo i zrozumienie sytuacji. Jeżeli nie dojdziemy do porozumienia i za chwilę pošle mnie pan do diabła, słowo honoru, nie będę miał żalu, co prawda poczuję się tak, jakbym wdepnął w gówno, ale na to nie ma rady. Przekłęta historia stawia nas w takiej sytuacji... - Zgniół zapalonego papierosa w pięści, nawet się nie skrzywił, zaraz wyjął następnego i zapalił. - Bzdury... dżicz... wszystko się tak idiotycznie układa... słowo honoru, wolałbym posiedzieć z państwem przy koniaczku albo... albo... - Towarzyszy Siergiejew westchnął, chyba się zdecydował. - Krótko mówiąc, istnieje pogląd, że ze względu na interes państwa byłoby dobrze, gdyby Tatiana Nikiticzna Łunina została żoną

Andrieja Arsieniewicza Łucznikowa, według uznania - legalną małżonką albo towarzyszką życia, w każdym razie, by stale przy nim przebywała.

Skończył. W gabinecie zapanowała dziwna atmosfera, jakby zabrakło nagle tlenu. Kierownik wydziału wstał i otworzył okno, chociaż hałas uliczny przeszkadzał ukrytym mikrofonom. Towarzysz Siergiejew wypił duszkiem dwie szklanki wody gazowanej, drugą szklankę pił z wyraźną odrazą, ale wychylił do dna. Tatiana otworzyła torebkę, jakby czegoś szukała, choć w rzeczywistości po prostu grzebała w niej. Mał zajął do torebki Tani, a potem zdjął krawat i namotał go na pięść...

- Polecono mi przekazać państwu jeszcze jedno - powiedział z pewnym przymusem towarzysz Siergiejew. - Bez względu na to, jaką podejmiecie decyzję, nie wpłynie to na waszą sytuację służbową ani na... - dodał z nutką pogardy - możliwość wyjazdów za granicę. Krótko mówiąc, żadnych konsekwencji. Polecono mi to przekazać, a ja osobiście mam zagwarantować... - Znowu urwał w połowie zdania, jakby nie mógł opanować emocji, ale pilny słuchacz zauważyłby niewątpliwie, że przerwy spowodowane emocjami występowały wtedy, kiedy wszystko zostało już powiedziane.

Tania zdała sobie z tego sprawę znacznie później, wieczorem, teraz nie zwracała na to uwagi, patrzyła na Gleba, który dużymi krokami chodził po gabinecie, wymachując niedbale zerwanym z szyi krawatem. Wspominała pierwsze spotkanie, kiedy ją zachwyił siłą, młodością i swobodą ruchów. Trenował na stadionie skok o tyczce, a ona ćwiczyła wiraże na dystansie dwustu metrów. Za każdym razem, kiedy go mijala, pochylała głowę, jakby nie dostrzegając młodego olbrzyma, udając, że jest całkowicie pochłonięta biegiem. Aż wreszcie odrzucił on swoją tyczkę i pobiegł obok niej, śmiejąc się, zaglądając jej w twarz. Po raz pierwszy od wielu lat tłustawy Mał przypomniał jej dawnego, zwycięskiego Gleba. W sprawach miłosnych tamten młodzieniec nie był najlepszy, może zanadto koncentrował się na swoich dziesięciu konkurencjach, albo nie miał doświadczenia, ale wtedy Tania nie chciała nikogo innego. Kiedy szli razem promienni, rozkochani, ludzie patrzyli na nich z zachwytem - jaka piękna para! To było wspaniałe uczucie.

Zjawił się na chwilę tamten chłopak, gotowy do walki, urodzony zwycięzca, i zniknął. Znowu na środku gabinetu sterczał odęty Mał, potężny seksrobot, obrzmiały pijaczyna, tchórzliwy urzędnik, bezradny i taki kochany.

Stał chwilę nabzdyczony, przenosząc wzrok z kierownika wydziału na towarzysza Siergiejewa, jakby nie dostrzegając żony, upuścił krawat i ciężkim krokiem wyszedł z gabinetu, niezdarny i spocony.

- Zgadzam się - powiedziała Tatiana do towarzysza Siergiejewa.

Na twarzy starego stalinowca malowała się pogarda - owszem, sprawy państwowe to wielka rzecz, ale białogwardyjskie wyrko hańbi kobietę radziecką.

Siergiejew poważnie skinął głową, usiadł naprzeciwko Tani, wyciągnął do niej dłoń. A ona wesolutko pomachała mu przed nosem ręką. Trudno, niech wiedzą, że jest wesołą, cyniczną suką. Taka bezczelna kobieta, która idzie po trupach, to cenny nabytek.

- Gratuluję - powiedziała do Siergiejewa.

- Czego? - spytał.

- Pomyślnego zapoczątkowania operacji. Jednak do sfinalizowania sprawy brakuje pewnego szczegółu - samego Łucznikowa. Proszę go dostarczyć, a zabiorę się do pracy.

- Czy nie wie pani, gdzie jest teraz Andriej? - ostrożnie spytał Siergiejew.

- Nie mam z nim kontaktu od trzech dni - powiedziała Tatiana. - wynika z tego, że pan także nie wie?

Siergiejew jak zwykle uśmiechnął się subtelnie - my wszystko wiemy - ale widać było,

że się zdenerwował.

- O, czyżby jakaś wpadka? - pokiwała głową Tatiana.

Po raz pierwszy Siergiejewa zawiodły nerwy, wykonał nawet nieokreślony ruch w kierunku telefonu.

- Proszę nie zawracać mi głowy - powiedział ostro. - Niemożliwe, by pani nie wiedziała, gdzie się znajduje jej kochanek. Spotykacie się codziennie. Mogę wyliczyć wszystkie adresy, jeżeli pani chce, ja...

- Pokaże pan zdjęcia? - uśmiechnęła się. - Mamie pan pracuje, jeżeli nie wiecie, gdzie od trzech dni ukrywa się redaktor „Kuriera“...

- Jego samochód od trzech dni stoi pod pani blokiem - rzekł szybko Siergiejew.

- Ale Łucznikowa nie ma w samochodzie - zaśmiała się Tatiana.

- Nie zwolnił apartamentu w Inturiście.

- Ale się tam nie pojawił.

- Dwa razy dzwonił do Beklemiszewa.

- Skąd? - zawołała Tatiana.

Straciła panowanie nad sobą. Zaczęła im wymyślać. A oni pocieszali ją, Siergiejew nawet rozgrzewał jej ręce - teraz należy do nich, trzeba tylko tu podpisać... Kierownik wydziału nalewał do szklanki whisky, a kiedy podpisała, znowu obudziły się w nim ojcowskie uczucia. A Siergiejew dygotał wewnątrz - co teraz będzie? Znajdziemy, oczywiście znajdziemy, ale jak się mogło stać coś takiego - stracili go z pola widzenia na całe trzy dni!

To był prospekt Wołgogradzki, a może szosa Entuzjastów albo bulwar Sewastopolski czy ulica Profsojuznaja - jakaś bardzo szeroka ulica z monotonną zabudową z obu stron, obramowana czerwienią dużych haseł. Przed blokami znajdowały się agitacyjne klomby, ozdobione wielkimi symbolami, wykutymi i zespawanymi w pośpiechu, ale za to z nierdzewnej stali - sierp i młot, gwiazda pięcioramienna, rakiety z ogromnymi twarzami Iljicza, spoglądającymi z dziwnych miejsc na trzy podpite postacie, wlokące się ulicą o piątej nad ranem.

Łuczniwow obejmował zziębłe ramionka Lory Lerowej, jednej z owych przywiedłych „bukietów“, które upiękślały niedawne przyjęcie w „Kurierze“. Przed dziesięciu laty moskiewska gwiazda, modelka Ministerstwa Przemysłu Lekkiego, kochanka wielu geniuszów, teraz wyraźnie wychodziła z obiegu. Nosila jeszcze najmodniejsze kreacje - paryskie, powiewne, liliowe, ale ubierali ją nie owi bezinteresowni moskiewscy geniusze, ale jacyś wątpliwi muzycy, byle jacy malarze, krótko mówiąc handlarze i funkcjonariusze służb specjalnych, a więc i te stroje miały na sobie piętno bylejakości.

Płakała, tuliła się do Łucznikowa, chwiała się na nogach, dygotała z przepicia - jeszcze wyraźniejszy objaw schyłku. Dawniej, po przehulanej nocy Lora Lerowa szybko myła się, malowała, czesała i biegła ku nowym zwyczajom. Teraz wyraźnie musiała jeszcze czegoś się napić, choćby paskudnego portwajnu.

- Wszyscy moi powyjeżdżali - płakała, rozmazując szminkę na nie ogolonym policzku Łucznikowa. - Irka w Paryżu, ma tam butik... Alka wyszła za męża za bogatego Brazylijczyka...

Lenka w Nowym Jorku pracuje u Teda Lapidusa... Nawet Wiera w Londynie, chociaż to tylko skromna maszynistka, ale jest szczęśliwa, poświęciła życie Lwowi, on bardziej mnie kochał i ja... Wiesz, Andrieju, mogłabym także poświęcić mu życie, gdyby nie tamten Serb... Wszyscy, wszyscy wyjechali... Lew, Oskar, Ernest, Jura, Dima... wszyscy... wszyscy moi chłopcy... Trudno uwierzyć, ale czasem nie mam do kogo zadzwonić. Siedzę w Moskwie w obrzydliwej mżawce... Już nikt nie zaprasza do Picundy... Tylko hołota wpada, żeby mnie

przelecieć... Wszyscy wyjechali...

Łuczniakowi ścisnął jej ramiona, czasami ocierał moką, obrzmiałą twarz byłej piękności chustką do nosa, którą później wsuwał do kieszeni obwisłej marynarki. W ciągu trzech dni moskiewskich szaleństw schudł tak bardzo, że marynarka wisiała na nim jak na kołku. Dręczyło go współczucie dla wykończonych moskiewskich dusz, do których zaliczał siebie. Bardzo się sobie podobał w tej postaci - wynędzniały i współczujący.

A jego koleś Witalij Gangut - przeciwnie, jakoś puchł, zaokrąglął się, jakby go rozdymała ponura, pogardliwa buta. Pewnie nie podobał się sobie w takim stanie i dlatego nienawidził całego świata.

Na socjalistycznym prospekcie było przed świtem całkiem bezludnie, łopotały tylko niezliczone flagi, chorągiewki i chorągwie.

- Nie płacz, Loro - powiedział Łuczniakowi. - Wydamy cię szybko z mężem za bogacza, za włoskiego komunistę. Przyślę ci całe pudło szmat.

Gangut, który szedł kilka kroków przed nimi, podniósł kołnierz i naciągnął na uszy czapkę, demonstrując pogardę dla cierpiętnicy i pocieszyciela.

- Weź mnie na Wyspę, Andriusza - Lora rozpląkała się jeszcze żałośniej. - Boję się. Boję się Ameryki i Francji! Na Wyspie przynajmniej mieszkają Rosjanie. Zabierz biedną pijaczkę na Wyspę, wyleczę się, nie będę się kurwić...

- Wezmę, wezmę... - pocieszał Łuczniakowi. - Jesteś naszą ofiarą, Loro. Wyssaliśmy z ciebie urodę, ale nie wyrzucimy cię na śmietnik, my...

- Spytaj lepiej, ile ona forsę wyciągnęła od Wachtanga Czerkwiani - powiedział, nie odwracając się, Gangut. - Ofiara! Ile genów wyssała z naszego pokolenia!

- Bydlak! - zawołała Lora.

- Bydlak - zgodził się Łuczniakowi. - Witalij to bydlak, on dla nikogo nie ma litości. Zdemoralizowany geniusz filmowy. Niechaj gnije w swoim Hollywoodzie, a my będziemy się litować nad sobą nawzajem i pomagać sobie.

- Niedługo sprzedasz swoją Wyspę towarzyszom, łajdakowi - warczał Gangut. - Quisling zasrany, do dupy z wami wszystkimi...

Nagle się zatrzymał, wskazał grupkę ludzi, którzy stali w kolejce przed zamkniętymi drzwiami. Kilkoro starców i staruszek ubranych na czarno, obwieszonych orderami i medalami od ramion po pępek.

- O co ci chodzi? - spytał Łuczniakowi, domyślając się, że to kolejny antypatriotyczny podstęp.

- Podobno kochasz Rosję? - spytał Gangut. - Podobno jesteś znakomitym znawcą naszego kraju! Podobno nawet jesteś Rosjaninem, no nie? Podobno, jak my, jesteś człowiekiem radzieckim? W takim powiedz, twórco Wspólnego Losu, co to za kolejka?

- No wiesz, mogą stać w kolejce po różne rzeczy - wybełkotał Łuczniakowi. - Brakuje różnych rzeczy. Może po owoce, albo żeby się zapisać na dywany...

- Znaczą! - zaśmiał się z triumfem Gangut. - To kolejka do lokalu wyborczego. Towarzysze przyszli dwie godziny wcześniej, żeby przed innymi oddać głos na kandydatów bloku komunistów i bezpartyjnych. Mamy dzisiaj wybory do Rady Najwyższej!

Starcy z orderami, którzy dotąd spokojnie rozmawiali pod monumentalnymi kolumnami Pałacu Kultury, teraz patrzyli wrogo na troje cudzoziemców, dwóch łajdaków i jedną prostytutkę, na tych, którzy przeszkadzają im żyć.

- To babcie i dziadkowie z naszego domu - powiedziała Lora. - Bohaterowie pierwszych pięciolatek.

- Poszczęściło mi się - powiedział Łuczniakowi. - Zaraz zrobię z nimi wywiad.

- Możesz trafić na milicję - ostrzegł Gangut.
- Dziennikarz musi się uczyć z ryzykiem - rzekł Łucznikow. - Taki zawód. Ryzykowałem w Wietnamie, w Libanie. Zaryzykuję tutaj.

- Nie zostawię ciebie, Andrieju - powiedziała Lora. - Przy okazji oddam głos.

- A wybieraliśmy się na klina - przypomniał Gangut. Był zły na siebie, że sprowokował Łucznikowa.

- Nazwałeś mnie Quislingiem - powiedział Łucznikow - a sam jesteś tchórzem i dezerterskim. Idź sobie na klina do swoich kochanych burżujów, do głównianego Oddziału Wiz i Rejestracji Obcych Obywateli, a my wypijemy klina w lokalu wyborczym.

Objął za ramiona więdnący „bukiet“ i poprowadził w kierunku czujnych budowniczych pierwszych pięciolatek.

Dalszy ciąg przebiegał według Gangutowego scenariusza. Łucznikow robił wywiady, Lora dopytywała się, czy któryś ze starszków nie ma przypadkiem w kieszeni ćwiartki i proponowała za taką pierścienkę z brylantem. Płakała, klękała w podzięce dla twórców wszystkiego, co było wokół - plakatów, gablotek wystawowych, wykresów, rzeźb. Łucznikow chciał ustalić, co przeważa w leciwych entuzjastach - kat czy ofiara. Rzecz jasna, rozwodził się przy tym szeroko na temat swego nieuleczalnego kompleksu winy wobec oszukanej ludności historycznej ojczyzny. Gangut usiłował złapać taksówkę, żeby się stąd w porę zmyć, ale przy tym nie zaniedbywał wyjaśniania istoty starczego entuzjazmu, wyśmiewając wybory bez wyboru.

Patrol ze Sztabu Bojowych Drużyn Komsomolskich, wezwany przez jednego ze starszków, przybył w samą porę. Tej nocy dyżurowali najlepsi chłopcy, synowie dyplomatów, studenci Instytutu Stosunków Międzynarodowych. Zastosowali wobec prowokatorów serię świetnie opanowanych chwytów, skrępowali im ręce, cisnęli na podłogę wozu i usiedli na nich twardymi pośladkami.

W ostatniej chwili Lorę uratowała starszka windziarka, jedna z pierwszych ochotniczek na budowie Komsomolska nad Amurem, oznajmiwszy, że to jej kuzynka. To wydarzenie utwierdziło w Andrieju Łucznikowie wiarę, że lud zachował jednak duszę. Myślał o tym cały czas, kiedy jechali do sztabu i kiedy jeden ze studentów, przyszły dyplomata, któremu Łucznikow zdążył dołożyć w żebra na sposób tajwański, pojękując, kopał go w brzuch mocnym obcasem importowanego buta.

W sztabie BDK - dużym pokoju z portretem Dzierżyńskiego - obu prowokatorów posadzono na krzesłach, ręce przywiązano z tyłu do oparcia. Chłopak z tajwańskim sińcem pod żebrami napluł na dłoń, podsunął ją Łucznikowowi pod nos i kazał zlizać. Zliżesz plwocinę, zostaniesz łagodnie potraktowany. Nie zliżesz, miej żal do siebie. Łucznikow sprężył się i ciosem kolana unieszkodliwił adepta dyplomacji. Za karę również nogi przymocowano mu do krzesła.

A tymczasem pułkownik Siergiejew nie spał drugą noc. Razem z nim nie spał cały sektor - dwaj podpułkownicy, trzej majorzy i czterej kapitanowie. Od czasu, kiedy stwierdzono zniknięcie obiektu, którym zajmował się sektor powołany w tym właśnie celu, pułkownik Siergiejew zaczął podejrzliwie traktować swoich podkomendnych, posądzając ich o niedbalstwo. Wpadał nagle do któregoś z trzech pokojów należących do nich, otwierał gwałtownie drzwi - pewnie, łajdaki, oglądają krymską pornografię! To sztuka stracić w Moskwie z pola widzenia takiego człowieka jak Łucznikow!

Aż zauważył na sobie krzyżujące się spojrzenia swego starego zastępcy i młodego pomocnika. Wtedy zrozumiał, że on także stracił zaufanie pracowników, pewnie uznali, że

się skończył, skapcianał w Moskwie.

W jakiejś mierze mają rację. W ciągu dziesięciu lat pracy za granicą przystosował się do warunków kapitalistycznych. Mieli tam niezłe sukcesy. Teraz musi się przyzwyczaić do krajowych zwyczajów, odnowić kontakty zaopatrzeniowe, zwłaszcza jeżeli chodzi o artykuły deficytowe, bilety do modnych teatrów, książki, inne bzdury... Człek nagle się łapie na myśli, że praca nie zajac, do lasu nie ucieknie... A to przecież prawie jak praca sapera - jeden błąd i koniec z tobą!

W tych dniach grupy operacyjne sektora penetrowały Moskwę we wszystkich punktach, gdzie Łucznikow mógł się zjawić, założono podsłuchy telefoniczne, zainstalowano w samochodach „pluskwy“ podsłuchowe, wzięto pod obserwację wiele osób. Bezskutecznie. Okazało się przy tym, że połowa „pluskiew“ nie działa. Przyczyna - zwykła kradzież, chłopaکی z laboratorium podbierają drogie importowane urządzenia.

Krótko mówiąc, sytuacja była krytyczna. Generał, szef wydziału, po prostu mdlał ze strachu, ale wyżej nie sygnalizował. Chyba jednak na górze zorientowano się, że dzieje się coś dziwnego, zauważono nadmierną aktywność w sektorze „łucznikowskim“, zadzwonił jeden z urzędników i zapytał wprost, czy wszystko jest OK. Siergiejew spławił go opowieścią o udanym spotkaniu z Łuniną, teraz jednak, po drugiej bezsennej nocy, pijąc ohydłą kawę z termosu, dotykając swojej nieświeżej twarzy i patrząc z odrazą na twarze współpracowników, ściany gabinetu i nawet na wiszące na nich portrety, myślał, że lada chwila należy spodziewać się następnego telefonu i tym razem trzeba będzie wyłożyć prawdę - przegapiliśmy, zgubiliśmy we własnej stolicy redaktora wielkiej międzynarodowej gazety, niepewnego liberała, niepewnego przyjaciela, postać historyczną, a mówiąc szczerze - przyzwoitego człowieka.

Wydarzyło się jednak coś znacznie gorszego niż telefon od władz. W czasie, kiedy Ganguta i Łucznikowa, uwolnionego z więzów, prowadzono na przesłuchanie do szefa sztabu drużyny komsomolskiej, dokładnie wtedy na biurku Siergiejewa zadzwonił telefon. Dzwoniono z najważniejszego gmachu przy placu naprzeciwko. A dzwonił nie kto inny, tylko sam Marlen Michajłowicz Kuzienkow, pytał, gdzie w chwili obecnej przebywa Andriej Arsieniewicz Łucznikow. Okazało się, że tego dnia wieczorem Kuzienkow miał się stawić razem z Łucznikowem w jednej z najtajniejszych saun, by się spotkać z osobistością, której nazwiska nie wolno wymieniać. To wszystko. No i masz wpierdoł, towarzyszu Siergiejew!

Podczas rewizji jednemu z dwóch prowokatorów, usiłujących zakłócić wybory, zabrano przepustkę do studia filmowego Mosfilm i jedenaście rubli gotówką. Drugi miał przy sobie mnóstwo zagranicznych banknotów - w dolarach i ticzach, wizytówki zagranicznych dziennikarzy i notes z numerami telefonów w Symferopolu, Nowym Jorku, Paryżu i innych obcych miastach. Wstrząśnięty tym szef sztabu wyskoczył z gabinetu, może się chciał z kimś poradzić albo po prostu odetchnąć.

„Prowokatorzy“ mieli teraz rozwiązane ręce, na biurku w odległości metra od nich stał aparat telefoniczny, w drzwiach dyżurował tylko jeden komsomolec.

- Zadzwoń do swego Marlenu - powiedział ponuro Gangut. - Dość tego...
- Nie zadzwonię za nic w świecie - powiedział Łucznikow.
- Dość wygłupów - skrzywił się Gangut. - Zaraz powloką nas do KGB, a mnie się to całkiem nie uśmiecha.
- Nie będę do nikogo dzwonił - upierał się Łucznikow.
- Coraz mniej mi się podobasz, Andrieju - powiedział nagle Gangut.
- Tego nie da się uniknąć - mruknął Łucznikow.
- W takim razie ja zadzwonię - Gangut sięgnął po słuchawkę.

- Odłożyć słuchawkę! - ryknął dyżurny.

Był bardzo gorliwy ten ochotnik - bojownik, brakowało mu jednak umiejętności. Łucznikow bez wysiłku umożliwił Gangutowi wykonanie telefonu do jakiegoś Dmitrija Walentinowicza i przedstawienie pokrótce sytuacji.

Poniżony miody komsomolec, który przed chwilą uważał się za superżołnierza przyszłych wojen o triumf socjalizmu, siedział skulony na podłodze, kiedy przybiegł zdyszany szef sztabu. Za nim wtoczyła się gromada studentów Moskiewskiego Państwowego Instytutu Stosunków Międzynarodowych.

- Nie ruszać! - zawołał zwierzchnik, kiedy chłopcy zamierzali wziąć na Łucznikowie odwet za znieważenie kolegi.

Na biurku pod portretem Dzierżyńskiego zadzwoniły jednocześnie dwa telefony. Runął na podłogę ciężki aksamitny sztandar zahaczony czyjąś ręką. Rozpętało się to, co w potocznym języku nazywane jest nadzwyczajnym wydarzeniem. Sytuacja naszych bohaterów zmieniała się co chwila. Zawleczono ich do ponurego, cuchnącego chlorkiem mamra i ciśnięto na oślizgłą podłogę. Proszono, by się przenieśli do innego pomieszczenia, usadzano na fotelach, podawano kawę i gazety. Zaczął ich przesłuchiwać jakiś neurastenik z drżącymi wargami. Ktoś inny częstował papierosami marlboro i nawijał o drogach migracji starożytnych plemion, o łodziach z papirusu i tratwach z palmowego drewna.

Nagle zjawiała się brygada kryminalna, zaczęło się fotografowanie en face i z profilu, przy błyskach flesza. Dziewczyny z niezwykle puszystymi, rozpuszczonymi włosami przyniosły brzydko pachnące kotlety i sześć butelek czeskiego piwa. Cały czas z głębi budynku dobiegała muzyka, grano melodie patriotyczne i rozrywkowe - trwały wybory do Rady Najwyższej.

Wreszcie przyszedł potężny facet w skórzanym płaszczu. Miał obwisłe wąsy i długie wąskie bokobrody, jego ślepia znamionowały bezwzględność i spryt. Wyciągnął do Ganguta obie ręce, a kiedy tamten nie podał żadnej, objął go za ramiona.

- Widzisz, Witaliju, nasze orły nie zawiodły, wszystko załatwione - zamruczał przyjaźnie. - Wszystko w porządeczku, mój ty pechowy koleżko, chodźmy, chodźmy...

Dobrego koleżkę ma Gangut. Wybawca zauważył uśmiezek Łucznikowa i nie był nim zachwycony.

- Oleg Stiepanow - przedstawił się, wyciągając do Łucznikowa rękę i oglądając go przy tym uważnie. Może porównywał z jakimiś standardami?

- Andriej Łucznikow.

Widocznie to nazwisko zrobiło dobre wrażenie, ponieważ wybawca z uśmiechem poprosił niedawnych „prowokatorów“, by udali się za nim. Naczelnik sztabu drużyn komsomolskich szedł obok, głądził coś o nieporozumieniu, przeproszał za pochopne czyny młodzieży i tępotę starszych - entuzjastów. Wyraźnie nie do końca rozumiał, co się wydarzyło.

W samochodzie - czekał na nich czarny samochód z anteną na dachu - Oleg Stiepanow jeszcze raz uważnie obejrzał Łucznikowa.

- Pańskie nazwisko brzmi swojsko dla rosyjskiego ucha - powiedział.

- Co w moim nazwisku jest takiego swojskiego? - uprzejmie spytał Łucznikow.

Gangut milczał ponuro, chyba się wstydził.

- Za pozwoleniem, Łucznikowowie to stary ród, gwardziści, uczestnicy wielu wojen za Ojczyznę - zmrużone oczy Stiepanowa wpatrywały się w rozmówcę.

- Walczyli również w wojnie domowej - uśmiechnął się Łucznikow.

- Owszem, również w wojnie domowej... - powiedział z uznaniem Stiepanow. - No cóż, to rozumiałe, wojsko idzie tam, gdzie mu się każe. Czy nie jest pan krewniakiem Łuczniaków z Wyspy? To znana rodzina, jeden jest w Dumie, drugi jest właścicielem gazety... Nie mam zamiaru wypytywać pana. Witalij mnie zna, nie jestem z tych... Osobiście szczyliłbym się takimi krewniakami.

Łuczniak i Gangut wymienili spojrzenia.

Stiepanow siedział na przednim siedzeniu, zwrócony twarzą ku nim, obserwował ich, uśmiechał się przy tym protekcyjnie i przyjaźnie, spod wąsów widać było dwa duże żółte zęby. Kierowca o nieokreślonym wyglądzie i telefon w samochodzie o nieokreślonej przynależności. Też mi słowianofil, pomyślał Gangut.

- Właśnie Andriej jest właścicielem gazety na Wyspie - powiedział.

Dobrze wyszkolony kierowca ledwie zerknął na nich, zaś Oleg Stiepanow wybałuszył oczy, a jego twarz rozpromieniła się. Odtąd wszystko stawało się coraz dziwniejsze. Najpierw przybyli tam, dokąd jechali, czyli na śniadanie do mieszkania, gdzie oczekiwano przybycia „rosyjskiego reżysera“ Ganguta. Jednak już po chwili najważniejszą postacią stał się Łuczniak, twórca Idei Wspólnego Losu, którą środowisko moskiewskich narodowców doskonale znało. Zapachniało, moi kochani, historią, tradycjami, kawiozem. Wszyscy inni uczestnicy śniadania, wśród nich wszechmocna „osobistość“ Dmitrij Walentinowicz - nawiasem mówiąc, nieciekawym typem, nie wiadomo dlaczego ze znaczkiem tygodnika „Krokodyl“ w klapie - stracili na znaczeniu, co Oleg Stiepanow dawał do zrozumienia gościowi honorowemu.

Ciągle dzwonił telefon, w przedpokoju tłoczyli się ludzie, dobiegały stamtąd rozgorączkowane głosy. Szykowała się przeprowadzka ze śniadania na obiad w wyższych sferach.

Obiad odbył się rzeczywiście wysoko nad dachami starej Moskwy, w sali, którą nazywano - jakby mogło być inaczej - refektarzem, z ikonami w bogatych sukienkach i portretowym malarstwem Głazunowa z cerkiewnymi elementami. Serwowano tutaj bliny z kawiozem, paszteciki z nadzieniem z mięsa jesiota, pieczone prosięta z kaszą gryczaną - jakby miano tu dobrze prosperującą gospodarkę rynkową, a nie socjalizm. Przy stole zasiadło najwyżej dwadzieścia osób, z porannego towarzystwa zaproszono tylko Dmitrija Walentinowicza i Olega Stiepanowa, którzy zachowywali się jak niżsi rangą. Pozostali przedstawiali się, podając swe imię i imię ojca - Iwan Iljicz, Ilia Iwanycz, Fiodor Wasiliewicz, Wasilij Fiodorowicz, był nawet Aron Izrailewicz i Fattah Gajnułowicz, których obecność miała świadczyć o pozytywnym stosunku do mniejszości narodowych.

Wszystkim narodom na naszej ziemi, Andrieju Arsieniewiczu, damy to, czego potrzebują, spokojnie i łagodnie mówił Ilia Iwanycz, chyba najważniejszy w tym gronie. Mówił tak, jakby narody nie otrzymały jeszcze wszystkiego, nie korzystały od sześćdziesięciu lat ze wszystkich możliwych dobrodziejstw. Przede wszystkim jednak, Andrieju Arsieniewiczu, powinniśmy zaspokoić potrzeby naszego najważniejszego narodu, umęczonego narodu rosyjskiego, uważamy, że wymaga tego poczucie sprawiedliwości.

Wszyscy byli w sile wieku między pięćdziesiątym a sześćdziesiątym rokiem życia, nie mówiono o zajmowanych stanowiskach, ale sposób bycia, spojrzenia, modulacja głosu świadczyły, że to wysoki szczebel.

Wznoszono toasty za wierność. Za wierność ziemi, za wierność narodowi, sztandarowi, obowiązkowi, za wierność przyjaciom. Wasilij Fiodorowicz zaproponował wypić za Rosjan za granicą, którzy pozostali wierni historii. Wszyscy wstali, stuknęli się z Łuczniakiem.

Tylko Gangut nie wstał, udając, że jest pijany. Nie zwracano na niego uwagi - czego można wymagać od artysty z głową w chmurach?

A Gangut raz po raz spoglądał znacząco na przyjaciela - czas stąd spadać. Jednak Łuczniukow ani myślał wychodzić. Nieoczekiwanie znalazł się w samym sercu Rosyjskiego Klubu w Moskwie, a dziennikarzowi nie wolno lekceważyć takiej okazji. Miało to również związek z dziełem jego życia. Gdzie IWL może szukać poparcia, jak nie u tych patriotów? Nie są oni antysemitami ani szowinistami, wszak przy stole siedzą Aron Izrailewicz i Fattah Gajnułowicz. A koncepcja narodu rosyjskiego jako ofiary jest bliska IWL, może warto zacząć otwartą rozmowę, rozejrzeć się i pogadać wprost o połączeniu, o nowym życiu zjednoczonej Rosji...

Tymczasem to spotkanie stawało się sprawą coraz głośniejszą. Łuczniukow nie wiedział, że w moskiewskich apartamentach toczą się rozmowy telefoniczne na jego temat.

W to nadzwyczajne wydarzenie zaangażowana była także instytucja, w której istniał specjalny łuczniukowski sektor pod kierunkiem pułkownika Siergiejewa. Stąd pochodził Dmitrij Walentinowicz, skromniś z krokodylem w klapie, stamtąd przyjechał wóz z anteną na dachu, stamtąd szef sztabu drużyn komsomolskich otrzymał odpowiednie wytyczne, no bo i skąd?

W tej instytucji także zapanował rejwach, kiedy się okazało, że jeden z dwóch typków, zatrzymanych przez głupich studenciaków i zwolnionych - prawdę mówiąc, całkiem po kumotersku - był ważnym zagranicznym gościem.

Jednak pikantność sytuacji polegała na tym, że ten wydział instytucji, w którym zaczął się rejwach, nie miał styczności z sektorem pułkownika Siergiejewa, chociaż mieścił się na tym samym piętrze, na tym samym korytarzu, drzwi w drzwi.

Cały dzień sektor Siergiejewa miotał się w rozpacz po Moskwie i okolicy, usiłując trafić na ślad zaginionego „białogwardzisty“ i z drzeniem oczekując telefonu od Marlena Michajłowicza Kuzienkowa, podczas kiedy personel sąsiedniego sektora towarzyszył poszukiwanej osobistości od śniadania do obiadu, rejestrując wszystkie jej mchy, słowa i spojrzenia oraz liczbę wypitych kieliszków.

Cóż robić, zdarzają się usterki we współczesnych, wysoce wyspecjalizowanych strukturach.

W pewnej chwili o mało nie doszło do wyjaśnienia sprawy, kiedy podczas przerwy obiadowej maszynistka z sektora Siergiejewa usiadła przy stole z sekretarką z sąsiedniego wydziału. „Dzisiaj u nas wszyscy wariują“ - powiedziała maszynistka. „U nas także wariują“ - odparła sekretarka. Na rozszalałym morzu zbliżyły się do siebie światła sygnalizacyjne. „Nie wiesz, gdzie można kupić zmywalne tapety?“ - zapytała maszynistka. Światła sygnalizacyjne oddaliły się w różne strony.

Zbliżał się wieczór. Nad Moskwą płonęły złotem krzyże odbudowywanych cerkwi. Obiad dobiegał końca, szykowałą się kolejna impreza - wyprawa „na łono“. Ależ nie, nie puścimy pana, drogi Andrieju Arsieniewiczu, może na Wyspie zanglizował się pan trochę, ale w metropolii żyją tradycje rosyjskiej gościnności, pielęgnujemy je starannie. Dokąd teraz? Na łono. Tej informacji towarzyszyły uśmieški, porozumiewawcze mruganie, zacieranie rąk. Na łono! Na łono!

Czyżbyś miał zamiar jechać na łono z tą bandą? A co to takiego, Witaliju? Jakaś dacza rządowa z sauną i grubymi kurwami. Oczywiście pojedę, nie zrezygnuję z okazji. Czyżbyś, Witaliju, zamierzał zostawić swoich przyjaciół? Jacy z nich - kij im w bok - przyjaciele, gardzę całą oligarchią, spadam stąd, rzygać mi się chce.

„Rosyjski reżyser“ Witalij Gangut spadł bez kłopotu, nikt nie zauważył jego zniknięcia. Wszyscy byli już dobrze nabuzowani, podekscytowani, wpatrzeni w drogiego, cudownego gościa, milionera z Wyspy Krym, odwiecznej perły rosyjskiej.

Jechali kilkoma samochodami. Łucznikow wylądował na miękkich poduszkach nowiutkiego japońskiego datsuna.

Na łonie, za trzema wartowniami z ochroną, rozpościerał się przepiękny krajobraz; zielone wzgórza w promieniach zachodzącego słońca, ścieżki posypane czerwonym ceglany kruszywem, gościnne domostwo w tradycyjnym stylu, wyposażone jednak we wszystko, co trzeba, przede wszystkim w saunę. Symbol Trzeciego Rzymu - sauny zamykane na siedem spustów.

Wydawało się, że po zrzuceniu odzieży towarzystwo jest jeszcze serdeczniejsze, życzliwsze nie tylko w stosunku do gościa, lecz również do siebie nawzajem. Rośnie u nas akumulacja socjalistyczna, mówił jeden, poklepując drugiego po zwisających wałkach tłuszczu. Proszę zwrócić uwagę na Andrieja Arsieniewicza, oto co znaczy zachodni styl życia, różne treningi, ani odrobiny tłuszczu. Arystokrata, cha, cha, a my - chłopskie nasienie. Nasi przodkowie żarli postny kapuśniak, a Łucznikowowie - jak myślicie, od ilu pokoleń żywili się najlepszym mięsem?

- A gdzie jest Aron Izrailewicz? - spytał Łucznikow.

W suchym żarze sauny wszyscy oni - i Wasilij Fiodorowicz, i Ilja Iwanowicz, i Dmitrij Walentinowicz - nabrali kolorów, parowali, otwierały im się pory na skórze, płuca oddychały głębiej, oczy błyszczały.

Prosto z gorąca skakali do basenu, a potem kierowali się do stołów zastawionych szczydrze, jak nakazuje rosyjska tradycja. Po każdym seansie w parówce rósł apetyt, zwawiej sięgano po kielicha, pojawiło się nawet zainteresowanie zgrabniutkiemi dziewczętami z obsługi w szlafroczkach kąpielowych.

- A gdzie Fattah Gajnułowicz? - zapytał Łucznikow.

- Jaki pan uprawia sport, Andrieju Arsieniewiczu? - dopytywano się ciekawie.

- Każdy, zależnie od okazji - odpowiadał.

Mimo woli pożądliwym wzrokiem śledził kręcące się tu i tam kelnereczki. Jestem chaotycznym sportowcem. Cha, cha! Chaotyczny sportowiec! Słyszycie, towarzysze, Andriej Arsieniewicz jest chaotycznym sportowcem. To widać, kochani. Poznajcie się, chłopaki, z naszym gościem - chaotycznym sportowcem. Tobie, stary rozpustniku, Wasiliju Spirydonowiczu, jedno w głowie. Zwróćcie uwagę, nasz gość ma na szyi krzyżyk, a niby to człowiek nowoczesny. Mają tam przodującą ekonomikę, ale filozofia pozostała w tyle.

Łucznikow także obserwował gospodarzy. Widział, że otaczają go ludzie sprawujący władzę w Związku Radzieckim na wyższym szczeblu. Był uprzejmy, ale powściągliwy (to wyraźnie imponowało współbiednikom), uważnie słuchał strzępków rozmów, które niekiedy prowadzili nadzy osobnicy o genitaliach otoczonych szpakowatym owłosieniem. Głównym tematem rozmów był szczebel... On sięga szczebla Michaiła Aleksiejewicza... Ależ to szczebel Feliksa Filimonowicza... Przecież na szczeblu Kiryła Kiriejewicza zapada decyzja w takich sprawach...

W jakimś momencie, wychodząc z basenu, zaczął się zastanawiać, kogo mu przypomina ta banda. Ośmiu facetów niedbale okrytych ręcznikami siedziało przy długim, niby to prymitywnym stole ze szlachetnego drewna. Jeden bez pośpiechu nalewał do kieliszków dżin, drugi nalewał z puszką piwo tuborg, inny zahaczył widelcem przezroczysty plasterek łososia, a któryś przygarnął ramieniem opięty szlafrokiem frotte tyłek Ludoczki, która stawiała na stole paterę z owocami południowymi. Rozmawiali rzeczowo o jakiejś

służbowej sprawie, ale zaraz zamilkli na widok „naszego drogiego gościa“. Nie są podobni do rzymskich senatorów. Już wiem: wyglądają na mafie! Chicago, towarzyszo jak z filmu - grubo ciosane rysy, dziwne wśród establishmentu poczucie nie całkiem legalnej władzy.

- Gdzie jest Aron Izrailewicz?

Podczas kolejnego spaceru do parówki zbliżył się do Łucznikowa jego wybawca, Oleg Stiepanow. Nie ulegało wątpliwości, że po raz pierwszy znalazł się on w takim dostojnym gronie. Był wyraźnie onieśmielony, jak chłopiec, którego po raz pierwszy zaproszono do męskiego towarzystwa. Chyba krępując się swego wysokiego wzrostu, trochę się garbił, osłaniał rękami podbrzusze. I promieniał przy tym ze szczęścia, ach, jak promieniał!

Chytrawe zwykle oczka patrzyły radośnie i służalczo. Czuł, że to ważny moment w jego życiu. A stało się to całkiem nieoczekiwanie dzięki pijaczkowi Gangutowi. Rosyjska dawna arystokracja, partyjni promieniści, ważniacy z wojska i administracji, a wśród nich on, Oleg Stiepanow.

Dzisiaj jest jeszcze nikim, ale jutro...

- Wiem, Łucznikow, dlaczego pyta pan o Arona Izrailewicza i Fattaha Gajnułowicza - powiedział. - Jest pan ciekaw, czy mają tu wstęp ludzie obcej narodowości. Ma pan nawyki zachodniego dziennikarza, trzeba się ich wyzbyć, jeżeli chce pan przebywać w naszym środowisku... - Mówił niby tylko do Łucznikowa, ale tak podniósł głos, kiedy szli do parówki, że kilku milkiwych prominentów spojrzęło na niego z ukosa. Stiepanow rzucił ręką na krzesło; Łucznikow z ciekawością zauważył, że jego długi, cienki członek jest jakby w stanie półerekcji.

W parówce usadowili się w małym amfiteatrze na półkolistych wyheblowanych półkach - jak w senacie. Stopniowo nabierali czerwonego koloru, wyparowywały zbędne substancje, by można było bezboleśnie spożyć nowe smakowite substancje. Goście Lukullusa także wychodzili do specjalnej sali, by się wyrzygać i potem znowu zasiąść do jadła.

- Nie jesteśmy prymitywnymi szowinistami - Oleg Stiepanow mówił coraz głośniej - ani antysemitami. Chcemy tylko ograniczyć pewne żydowskie właściwości. W końcu to nasza ziemia, my tu jesteśmy gospodarzami. Żydzi trzymają ze sobą sztamę, trudno ją przełamać. Mnie trzykrotnie utracano dysertację tylko z powodu narodowością nigdy bym jej nie obronił, gdybym nie znalazł przyjaciół. Żydzi muszą zrozumieć, że należy zachowywać się skromniej, wtedy nikt ich nie ruszy. My jesteśmy gospodarzami w naszym kraju, a im daliśmy tylko bezpieczne, proletariackie schronienie...

- Jak pan powiedział - proletariackie schronienie? - spytał Łucznikow.

- Tak właśnie, nie przejęczyłem się. Myli się pan, uważając, że wraz z odrodzeniem ducha narodowego wygaśnie nasza ideologia. Komunizm to droga Rosjan. Chce pan wiedzieć, panie Łucznikow, jak się transformuje w naszych czasach rosyjska historyczna prawda?

- Chcę - powiedział Łucznikow.

Na półkolistych ławkach stopniowo ucichły rozmowy o szczeblach. Głos Olega Stiepanowa nabierał siły. Stiepanow zszedł na dół, odwrócił się przodem do audytorium, duży, niezdarły, podobny do konia opisanego przez Orwella, ale z płonąącym wzrokiem i półerekcją z powodu nieoczekiwanego furtu.

- Prawosławie, samodzierżawie i naród! Historyczna rosyjska triada żyje, dostosowana do naszej jedynej drogi - to znaczy do komunizmu.

- Kto to jest? - spytał leniwie jakiś głos za plecami Łucznikowa.

Ktoś odpowiedział szeptem.

- Składa deklarację - powiedział „leniwy“ z niewyraźnym uśmiechem.

Oleg Stiepanow niewątpliwie słyszał te wypowiedzi, odgarnął z czoła długi czarny kosmyk a la Majakowski. Nie miał zamiaru rezygnować z szansy, odejść z sauny, nie zwróciwszy na siebie uwagi.

- Chrześcijaństwo - to żydowski wymysł, a prawosławie - wyrafinowana pułapka, którą mędrcy Syjonu zastawili na giganta, jakim jest naród rosyjski. Dlatego nasz naród podczas historycznego przełomu z taką łatwością odrzucił chrześcijańskie bajki i zwrócił się do odwiecznej mądrości, do ideologii wspólnoty, do komunizmu! Samodzierżawie - w zasadzie prawie idealna forma sprawowania władzy - ze względu na przypadkowe małżeństwa i zrodzone z nich dzieci, z biegiem czasu straciło narodowy charakter. Ostatni nasz cesarz miał zaledwie jedną sześćdziesiątą czwartą część krwi rosyjskiej.

Naród nasz ze swoją wrodzoną mądrością połączył ideologię i władzę, wiarę i czyny, zadziwiając świat radziecką formą władzy! Tak powstała triada naszych czasów - komunizm, władza radziecka i naród! Wieczny, niezniszczalny naród, ponieważ naród - to nasza krew, nasz duch, nasza moc i tajemnica!

- Patrzcie, kochani, jak mu stoi! - zaśmiał się leniwy głos za plecami Łucznikowa. - Po prostu sterczy! Zuch z tego Stiepanowa!

Stiepanow nie zauważył, kiedy pod wpływem uniesienia nastąpił wzwód. Zawstydzony, usiłował osłonić się ręką, ale czerwony łepiek zwyczajnie wyzierał pomiędzy palcami.

Pomieszczeniem wstrząsnął potężny wybuch śmiechu. Ma fujarę ten teoretyk! Biegnij, bratku, szybciotko do Ludoczki. Co tam Ludoczka! Jemu stoi na całą triadę! Zuch z ciebie, Stiepanow!

Teoretyk z lękiem patrzył na śmiejące się twarze, aż zrozumiał, że to śmiech przyjazny, zauważyli go i zapamiętali na zawsze, odtąd jest jednym z nich. A kiedy to do niego dotarło, pośmiał się także z siebie, pokręcił głową i pobiegł truchcikiem, zasłaniając ręką nieposłuszny narząd.

Wtedy otworzyły się drzwi, na progu zjawił się jeszcze jeden człowiek - dobrze zbudowany, wysportowany nagus.

Śmiech zamilkł.

- Oto i Aron Izrailewicz - powiedział ktoś półgłosem. Łucznikow poznał swego przyjaciela Marlena Michajłowicza Kuzienkowa. Ktoś zachichotał cicho. Łucznikow obejrzał się, powiódł wzrokiem po wszystkich. Patrzyli na nowego gościa z uprzejmymi uśmiechami. Widać było, że wprawdzie dopuszczono go tutaj, ale nie uważano za swego.

Marlen Michajłowicz zbliżał się do półek, patrzył gdzieś ponad głowę Łucznikowa, uśmiechał się półgębkiem, wyraźnie onieśmielony. Zniżył wzrok i nagle z ogromnym zdumieniem ujrzał Łucznikowa.

- Andrieju?! No wiesz! Jakże to? W jaki sposób? To chyba przywidzenie! Oczywiście przywidzenie, inaczej nie da się tego określić. Ty - tutaj? To po prostu sensacyjny zwrot!

- Jaki znowu zwrot? - uśmiechnął się Łucznikow.

Wyszli z parówki, wskoczyli do basenu. Tu Marlen opowiedział, jakie zamieszanie spowodowało zniknięcie Andrieja. Stosowne organy szukały Łucznikowa po całej Moskwie, a on sam zwymyślał ich dzisiaj telefonicznie. Tak, właśnie, on także musiał tam zasięgać informacji. Osobistość takiego formatu jak ty, Andrieju, znajduje się zawsze w kręgu uwagi odpowiednich organów, więc trzeba się było zwrócić do nich, ponieważ zniknąłeś, nie dzwoniłeś, nie zjawiłeś się. Mamy różne nie załatwione sprawy. Dzwoniłem do twojej Tatiany, do korespondentów „Kuriera“, nawet do mego Dima Szebeka, ale nikt nie wiedział, gdzie jesteś. Pewnie to z powodu Tatiany, tak? Więc musiałem zadzwonić do odpowiednich

organów, jako że na dzisiaj wyznaczono ci spotkanie z bardzo ważnym prominentem. Pamiętasz swój żart o łożu masonskiej? No więc udało mi się uzgodnić sprawę, a ty zniknąłeś. Rozumiesz, u nas obowiązuje subordynacja, a tu taki skandal. Dlatego musiałem się zwrócić do odpowiednich organów, okazało się jednak - co za wpadka! - że oni także nie wiedzą, gdzie jesteś. A tymczasem ty się tutaj relaksujesz. Kto jak kto, ale oni powinni wiedzieć, cha, cha, cha, co za heca!

- A ja myślałem, że tutaj każdy stołek ma łączność z odpowiednimi organami - powiedział Łucznikow. - Nawet woda z tego basenu bezpośrednio spływa do odpowiednich organów.

- Kraina cudów! - Marlen Michajłowicz podniósł nieco ręce do góry i pogрузił się w zielonkawej, przezroczystej wodzie wzbogaconej morskim potasem.

- Więc moje spotkanie z waszym prominentem nie odbyło się? - spytał Łucznikow.

- Odbyło się - Marlen Michajłowicz znowu się pogрузił w zielonkawej wodzie - niestety bez mego udziału. Trafiłeś tutaj innymi kanałami. A to w przyszłości będzie miało konsekwencje...

- Więc wasz prominent także? - spytał Łucznikow.

- Oczywiście, jest tam - Kuzienkow wskazał oczami parówkę.

Łucznikow wyszedł z basenu. Kuzienkow za nim.

- Od trzech dni nie zmieniałem koszuli, Marlenie - powiedział Łucznikow. - Mógłbyś mi pożyczyć swoją? Jestem dzisiaj... zaproszony na przyjęcie do ambasady angielskiej, nie zdążę wpaść do hotelu.

- Owszem, bardzo proszę - Kuzienkow patrzył na Łucznikowa zamyślonym wzrokiem.

- Jeszcze jedno - Łucznikow położył dłoń na ramieniu człowieka, który powiedział, że jest jego przyjacielem. - Czy mógłbyś zabrać mnie swoim samochodem? Całkiem straciłem orientację.

Kuzienkow zamyślił się jeszcze bardziej.

Z parówki wyszedł Oleg Stiepanow, szybko owinął biodra ręcznikiem. W głębi holu pod palmami trzy dziewczyny, wesoło zerkając na boki, nakrywały do stołu. Na zewnątrz, za oszkloną ścianą, przesuwały się wśród świerków obojętne postacie ochroniarzy. Oleg Stiepanow stał nieruchomo z wyrazem ogromnego szczęścia na twarzy.

- Dobra, Andrieju, jedziemy - powiedział zdecydowanie Kuzienkow.

Nie wiadomo, czy to byli chłopcy z poprzedniej ekipy, czy sektor Siergiejewa włączył się do pracy, ale wóz operacyjny sprawnie towarzyszył wołdze Kuzienkowa przez całą drogę do miasta, zachowując zresztą przyzwoity dystans. Kuzienkow z kwaśną miną spoglądał od czasu do czasu we wsteczne lustro. Nawet tego nie ukrywał przed Łucznikowem, raczej podkreślał, że go to brzydzi.

- Twoja trasa, Andrieju, została w zasadzie uzgodniona mówił Kuzienkow. - Nie licz jednak na samotny wyjazd. Cudzoziemcom twojej rangi powinien towarzyszyć tłumacz. Postaram się, żeby przydzielono jakiegoś sensownego chłopaka...

Spojrzał z obawą na Łucznikowa, ale on zgodnie skinął głową. Zgodził się na tłumacza! Co mu jest?

- Można nawet poprosić, by wyznaczili jakąś sensowną dziewczynę! - uśmiechnął się Kuzienkow. - To zależy od ciebie. A propos, jak tam z Tanią?

- Nic szczególnego - mruknął Łucznikow. - Ten jej mążzonek...

- Nielichy debil, nieprawdaż? - powiedział szybko Kuzienkow.

- Nie, to całkiem normalny chłop, ale on... rozumiesz... krótko mówiąc, wariuje na

punkcie swojej żony.

- Masz jej dość? - spytał Marlen.

- Nie o to chodzi. Po prostu nie wiem, czy jestem jej potrzebny. Na tym polega problem.

- Jak chcesz, mogę z nią porozmawiać. Może jednak będzie lepiej, jeżeli zrobi to Wiera. Mają ze sobą dobre stosunki.

- A może porozmawiają z nią odpowiednie organy? - powiedział niewinnie Łucznikow.

- No wiesz! - Kuzienkowa zatkało z oburzenia. - Czasami przyprawiasz mnie o furję, Andrieju! Malujesz wizję Orwellovskiego społeczeństwa! Mówisz jak obcy. Nie obchodzi cię, jaką przeszliśmy drogę od stalinizmu, ile to kosztowało takich ludzi jak ja... Gdzie jest twoja IWL?

- Nie gniewaj się. - Łucznikow miał wyrzuty sumienia. Rozumiał, że Kuzienkow, opuszczając nagle dachę, zabierając stamtąd bez żadnych uzgodnień jego, Łucznikowa, łamie mafijne zasady, ryzykuje. - Musimy, Marlenie, porozmawiać, wyjaśnić sobie wszystko szczerze bez uśmieszków i żarcików - powiedział. - Obawiam się, że jeżeli tego nie zrobimy, będzie to miało poważne konsekwencje.

Kuzienkow spojrzał na niego z sympatią.

- A co się tyczy sauny - dodał Łucznikow - to cieszę się, że nie zawarłem znajomości z tym prominentem. Jeżeli otaczają go tacy ludzie, jakich dzisiaj widziałem, to pies mu mordę lizał. Nie są w moim guście. Nie z mego klubu.

Kuzienkow znowu na niego spojrzał i uśmiechnął się.

- Zatrzymaj się, Marlenie, przy jakimś postoju taksówek - poprosił Łucznikow.

Jechali Kutuzowskim Prospektem. Wołga obstawy trzymała się ciągle w tej samej odległości. O tej porze ruch był niewielki, śmigały tylko taksówki i niekiedy przejeżdżał jakiś dyplomata.

Łucznikow wyskoczył z hamującego ostro samochodu i ze zdziwieniem poczuł się tak, jakby znów powróciły młode lata. Może sprawiły to amarantowe prześwity w chmurach za iglicą hotelu Ukraina, albo kolejna ucieczka, posmak nowej przygody?

Wóz operacyjny przemknął obok nich i zatrzymał się w rozterce na środku mostu na rzece Moskwie. Samochód Marlena odjechał, zniknął za garbem mostu. Łucznikow wszedł do taksówki, podał adres osiedla, w którym mieszkała Tatiana.

Kiedy mijali operacyjną wołgę, trzech siedzących w niej osobników udało, że Łucznikow wcale ich nie obchodzi. Taksówka pokręciła się pod mostem i korzystając z zielonego światła, szybko wjechała na wzniesienie obok gmachu RWPG. Światło się zmieniło i Łucznikow zobaczył, jak zza ogromnego ikarusa z turystami, łamiąc wszelkie przepisy mchu drogowego, w szalonym pędzie wyskoczyła na wirażu operacyjna wołga.

Widocznie jej pasażerowie zmobilizowali się, bowiem odtąd prowadzili obserwację fachowo, uważali na światła i nie spuszczały z oka rozklekotanej taksówki Łucznikowa.

Łucznikow uświadomił sobie, że nie ma ani rubla. Nie wiadomo, czy taksówkarz weźmie dolary.

- Bardzo panu dziękuję - powiedział taksówkarz, biorąc zieloną dziesiątkę. - *Thank you, mister, very much!*

Łucznikow bez pośpiechu wszedł do bramy, ściągnął windę. Drzwi wejściowe pozostały otwarte, w szybie odbijało się prawie całe podwórze obramowane wielopiętrowymi murami. Widać było sunącą przez nie czarną wołgę, która szukała miejsca dogodnego do prowadzenia obserwacji. Asfaltowym chodnikiem minęła plac zabaw dla dzieci i zatrzymała się naprzeciwko bramy. W świetle reflektorów ujrzeli Łucznikowa przy windzie, uspokoili się i wyłączyli silnik.

A tymczasem na podwórze wjechał piekarski furgon, stanął na zapleczu piekarni, zablokował wołgę między krzakami bzu i placem zabaw. Łucznikow nie spodziewał się tak korzystnego obrotu sprawy. Nie myśląc długo, pobiegł w kierunku furgonu przez plac zabaw. Pasażerowie czarnej wołgi wyskoczyli z niej dopiero wtedy, kiedy kluczyki ze stacyjki furgonu znalazły się w kieszeni Łucznikowa.

Długowłosy kierowca furgonu z rozdziawioną gębą obserwował scenę pogoni tajniaków za eleganckim gościem.

Elegant wskoczył do bramy i zniknął, tajniacy pognali przez plac zabaw, bijąc rekordy biegu przez płotki. Czarna wołga staranowała słońca i huśtawkę, ale utknęła między karuzelą i szwedzkim murem. Kierowca furgonu - oprzytomniawszy - pobiegł zobaczyć, jak będą zgarniali eleganta, przecież mu nie popuszczą. Ale po kiego licha facet zabrał jego kluczyki?

Okazało się, że elegancik to człek łebski. Za wieżowcem miał zaparkowane żyguli z białą tablicą i numerem TUR - 00 - 77. Wsiadł do niego, z uśmiechem minął tajniaków, rzucił kluczyki kierowcy furgonu - dziękując, przyjacielu.

Tajniacy złapali kierowcę furgonu za kłapy - zabieraj swoją śmieciarkę, zablokowałaś wóz służbowy, syczą, przez ciebie nawiał nam wróg państwowy! Kierowca oburzył się oczywiście - jaka śmieciarka, przecież wożę w niej pieczywo, nasz chlebuś powszedni. Pchnęli go, podbiegli do furgonu. Nim go wyprowadzili spod bramy, rozwalili kiosk gazetowy. Wołga wyskoczyła na wolną przestrzeń, a tu pusto, tylko migają żółte światła. Nie szkodzi, mówi tajniak, daleko nie odjedzie. Teraz nam, chłopaki, nogi z dupy powyrywają, mówi drugi. Hej ty, mówi trzeci do kierowcy furgonu, daj nam po paryskiej. Bierzcie. Kierowca przyniósł trzy gorące bułki, niech sobie chłopcy pojedzą, nim dostaną służbowy wycisk.

Łucznikow zatrzymał żyguli na Starym Arbacie, włożył rzucony na tylne siedzenie dwustronny angielski płaszcz i ze znacznie lepszym samopoczuciem zagłębił się w zaułki, które zawsze budziły w nim żłudną wiarę w normalność, logiczność i stabilność rosyjskiego życia.

Na rogu Siwcowego Wrażka i Starokoniuszennego (jakie normalne nazwy) przetrwała stara kamienica, w podwórzu przy niej przetrwała druga jeszcze starsza, a w tamtym podwórzu - czyli za trzecią bramą - zachowała się całkiem zniszczona pięciopiętrowa budowla, pamiętająca srebrny wiek. Tam, na najwyższym piętrze, mieszkał Dim Szebeko, który swoje mieszkanie nazywał przytuliskiem komunalnym.

Druga godzina w nocy, cała kamienica śpi, ale na ostatnim piętrze słychać głosy i śmiechy. Ciekawa jest historia powstania tego azylu młodej Moskwy. Kiedyś Dim Szebeko i jego matka zajmowali tu dwa pokoje w dużym mieszkaniu komunalnym, w którym trwało zwykłe komunalne życie z kłótniami, awanturami i kuchennymi walkami. W tym czasie Dim Szebeko dojrzywał do bycia muzykiem rockowym, aż w końcu nim został - Dimem Szebeko. Młodzież dorastająca w innych pokojach tego mieszkania też zostawała muzykami albo fanami muzyki rockowej. Wtedy postanowiono wyrzucić z „przytuliska“ wapniaków, zaczęły się skomplikowane zamiany mieszkań, które Dim Szebeko nadzorował osobiście, powstał „wolny obszar Arbatu“. Dzielnicowy rozkładał ręce - wszyscy lokatorzy mieli legalne umowy o najem i opłacony czynsz.

Drzwi „przytuliska“ zawsze stały otworem. Łucznikow uchylivszy je, przekonał się, że nie sposób zrobić kroku w głąb mieszkania. Podłoga w przedpokoju była całkowicie zastawiona sprzętem muzycznym, plecakami, walizkami. Zespół C₂H₅OH szykował się do

podróży. W mętym świetle błyszcząły jaskrawo dwa bębny Premier i trzy gitary Johnson. W ostatnim roku grupa wyraźnie wzbogaciła się.

- Gdzie Dim Szebeko? - spytał Łucznikow nieznajomą dziewczynę w podkoszulku z napisem *As dirty as honest*.

- Pije herbatę - dziewczę wskazało głową doświetlone jasno drzwi.

Dim Szebeko był nie tylko muzycznym liderem grupy, lecz także jej duchowym przewodnikiem - gum.

Siedział u szczytu stołu i pił z miseczki zieloną uzbecką herbatę. Inni także pili herbatę. Paradoks polegał na tym, że członkowie grupy, której nazwę stanowił wzór chemiczny alkoholu etylowego, ze względów ideologicznych nie pili alkoholu. Taką zasadę wyznawał obecnie Dim Szebeko - żadnego dopingu prócz muzyki.

Wielu muzyków znało Łucznikowa, od kilku lat przywoził im najnowsze nagrania i czasopismo „Down beat“. Nowicjuszom przedstawiono go: „Łucz - czyli promień światła w Królestwie Ciemności“. Cały zespół, zapomniawszy o pakowaniu, otoczył stół.

- Wybieramy się w trasę, Łucz - powiedział Dim Szebeko nie bez dumy. - Mamy koncertować w mieście Kowrow.

- Co to za miejsce? - spytał Łucznikow.

- Miasto Kowrow słynie z motocykli kowrowiec - usłyszał wyjaśnienie.

- Zwyczajne gościnne występy - rzekł Dim Szebeko. - Miasto Kowrow płaci nam spory szmal i daje autokar. Wyobraź sobie, Łucz, miasto Kowrow pragnie usłyszeć współczesny jazz - rock.

- Weźcie mnie ze sobą, chłopaki - poprosił Łucznikow. - Muszę uciec od KGB.

- Weźmiemy ze sobą Łucza? - zwrócił się Dim Szebeko do zespołu.

- Oczywiście, weźmiemy.

- Postaramy się ukryć pana.

- A co oni mają do ciebie? - spytał Dim Szebeko.

- Nic szczególnego - wzruszył ramionami Łucznikow. - Zanadto się mną opiekują. A ja wolę jeździć po moim kraju bez nich. Chciałbym wiedzieć, jak żyje mój kraj. Czyż nie jestem Rosjaninem?

- Łucz jest prawdziwym Rosjaninem - wyjaśnił nowicjuszom Dim Szebeko. - Jest redaktorem rosyjskiej gazety w Symferopolu.

- Fajowo! - zachwycili się bardzo młodzi nowicjusze. - Podobno u was na Wyspie jest bardzo klawo, to prawda?

- Cześćciowo - powiedział Łucznikow.

Śliczna młoda dziewczyna ucałowała go w usta i wąsy.

- Jak mam to rozumieć? - spytał.

- Galu, jak on ma to rozumieć? - spytał Dim Szebeko.

- To z powodu jego narodowości - brzmiała mętna odpowiedź.

- Czy można uciec od KGB? - spytał jakiś chłopak ze skórzaną przepaską na czole. - Wydaje mi się, że to niemożliwe.

- Cha, cha, cha! - roześmiał się Dim Szebeko. - Po informacje na ten temat zwracajcie się do naszego puzonisty Ben - Iwana. Ile razy przekraczałeś granicę państwową, Ben - Iwanie? Wszyscy spojrzeli na drobnego kudłacza w żołnierskiej bluzie, który na rogu stołu w milczeniu zajadał kawałeczek razowca.

- Dwa razy - powiedział cicho Ben - Iwan. - Dotychczas tylko dwa razy. Może jesienią wybiorę się po raz trzeci.

- Mówi pan serio, Ben - Iwanie? - spytał Łucznikow.

- Całkiem serio - powiedział Ben - Iwan. - Mam przyjaciół wśród węgierskich przemysłowców, przechodzę z nimi w Karpatach przez granicę.

Benjamin Iwanow urodził się w pięćdziesiątym drugim roku, kiedy nagonka przeciwko „kosmopolitom pozbawionym przynależności narodowej“ sięgała szczytu. Jego rodzice - ludzie dziwni - w odpowiedzi na antykosmopolityczną kampanię wpisali synowi do metryki angielskie imię.

Ben - Iwan spokojnie tłumaczył, że przekroczyć granicę państwową ZSRR trudno, ale jednak można. Dwa razy był z Węgrami w Monachium, oni mieli swoje sprawy handlowe, a on wybrał się z ciekawości. Tej jesieni po gościnnych występach powędruje do Szwecji. Znajomy Szwed przyleci po niego do Karelii...

- Przecież tam są różne radary, lokatory! - zdziwił się Łuczniwow.

- Psują się często - powiedział Ben - Iwan. - Mogą nas oczywiście zestrzelić, ale ten Szwed był już tutaj samolotem trzy razy, zabierał dysydentów. Trzeba lubić ryzyko i... - zmieszał się trochę - mieć pewnie doświadczenie o charakterze ezoterycznym.

- Ezoterycznym? - spytał Łuczniwow. - Co ja słyszę? Ben - Iwan wzruszył ramionami. Wszyscy wstali od stołu, trzeba było wynosić instrumenty muzyczne.

W zaułku Starokoniuszennym przed ambasadą kanadyjską czekał ikarus z zakładów motocyklowych w Kowrowie.

- Wszyscy są? - spytał Dim Szebeko. - Galu, przesiądź się gdzieś dalej od Łuczniwa! Jedziemy!

W jaskrawych światłach ikarusa widać było biegnący przez las pas asfaltu. Na poboczach zatrzymały się na noc ogromne chłodnie i TIR - y.

Młodzież spała, rozwaliwszy się na siedzeniach. Łuczniwow i Dim Szebeko siedzieli w tyle wozu, rozmawiali.

- Zapomniałem zapytać - powiedział Łuczniwow - czy w ubiegłym roku poznałeś mego syna Antona?

Dim Szebeko plasnął się w czoło.

- Rzeczywiście! Ja także miałem ciebie zapytać o niego. Co słychać u twego Toszki?

- Więc się znacie?

- Dwa tygodnie wałęsaliśmy się razem. Twój chłopak dostał ogromnego szwungu w dawnej ojczyźnie.

- A mnie powiedział, że Moskwa to rzygowiny.

- Powtórzył naszą opinię.

- Teraz rozumiem - uśmiechnął się Łuczniwow.

- Uczyłem go grać na saksofonie — powiedział Dim Szebeko. - Chłopak ma swing we krwi.

- Przydały mu się twoje lekcje - Łuczniwow opowiedział o ulicznych muzykach w Paryżu i o stacji Chatelet, gdzie jego syn zarabiał na chleb dzięki moskiewskim lekcjom.

- Fajnie - szepnął Dim Szebeko. Słuchał jak dziecko opowieści o Paryżu, uśmiechając się do miasta, którego nigdy nie widział. - Jak fajnie tam u was, w szerokim świecie, i jak chujowo u nas... - zamyślił się, potrząsnął nagle głową. - A jednak za nic nie wyjadę. Niedawno jeden taki ze Stanów gwarantował mi miejsce w syndykacie muzyków, ale nie wyjadę i chłopakom nie pozwolę wyjeżdżać.

- A to dlaczego? - spytał Łuczniwow.

- Dlatego, że rosyjska młodzież powinna grać w Rosji - powiedział i dodał z nienawiścią - niech oni wyjeżdżają.

- Kto?
- Smrodliwi kapusie! - Dim Szebeko wyszczerzył zęby.
- Posłuchaj, Dim Szebeko, jak myślisz, kto z twego zespołu kabluje?
- Nikt, u nas takich nie ma.
- To przecież niemożliwe.
- Tak sądzisz?
- Absolutnie niemożliwe. Masz dwudziestu ludzi, z pewnością jest tu kilku kapusiów.

Dim Szebeko zamyślił się, zasłonił dłonią oczy.

- Chyba masz rację, Łucz. No bo czyż taki zespół mógłby istnieć bez kapusia? Niemożliwe. Uff - aż mi się niedobrze zrobiło. Jasne, że któryś z nas jest kapusiem.

- Może ten, który jeździ do Monachium? Jak mu tam, Ben - Iwan?

- Ben? Zwariowałeś, Łucz! A właściwie dlaczego nie?

- Albo Gala o słodkich ustach?

- Galka? Przecież czasem z nią sypiam. Jest taka bezpruderyjna.

- Właśnie takie dziewczynki... - Łucznikow kontynuował okrutną grę.

- Masz rację - Dim Szebeko przymrużył oczy. - Prawie na pewno kabluje. Gierka, Witia, Izia, Asker, Nina... - wyliczał szeptem młodych przyjaciół. - Oni tam pewnie werbują tych, co to wyglądają najniewinniej... Nawiasem mówiąc, kiedyś zwrócili się do mnie... w Schronie Przeciwbombowym... jest taki bar na Stolesznikowym. Podobno mają specjalny wydział do pracy wśród muzyków i hipisów... W Leningradzie przy Kriestowskim w ubiegłym miesiącu zlikwidowano „komunę“, ilu tam było kapusiów? Nie da się ich rozpoznać. Weź dla przykładu mego ojczulka.

- Uważasz, że Marlen jest kapusiem?

- A jak myślisz? To kapuś z wysokiego szczebla. A Wiera Pawłowna? Kapuś na poziomie międzynarodowym. A ty sam, Łucz, nie jesteś aby kapusiem?

Łucznikow zaśmiał się.

- U was, a raczej u nas człowiek nawet sam siebie nie jest pewny. Jestem kapusiem, czy nie jestem? Jaki ze mnie kapuś, skoro muszę uciekać. Chociaż być może pośrednio jestem kapusiem...

Dim Szebeko osłonił dłonią usta i zaczął szeptać do ucha Łucznikowa:

- Nagle przyszło mi na myśl coś naprawdę okropnego, Łucz! Może w naszym kraju każdy człowiek jest pośrednio kapusiem? Przecież wszystko, co się robi, co się mówi, spływa do nich...

- Więc i ty, Dim, jesteś kapusiem?

- Pośrednio - tak, jestem kapusiem - bełkotał Dim Szebeko, wstrząśnięty swoim odkryciem. - Weź dla przykładu naszą orkiestrę. Gramy muzykę antyradziecką. Cudzoziemcy walą do nas jak w dym, wynika z tego, że ich picujemy, że niby to u nas wolność. Jedziemy na występy do Kowrowa, chłopcy z fabryki na koncercie rozdziawią gęby, zaczną wariować. I już wiadomo, czego się po kim można spodziewać. Tak, Łucz, w dzisiejszej Rosji - mojej i twojej - odkaszlną z powagą - każdy człowiek jest bezpośrednio lub pośrednio kapusiem.

- To obrzydliwe, nie można tak myśleć - powiedział Łucznikow. - Wybacz mi, to ja podsunąłem ci taką myśl. Chciałem sprawdzić pewne swoje hipotezy, dlatego ciebie sprowokowałem. Nie gniewaj się.

- Daj spokój! - powiedział Dim Szebeko - Teraz rozumiem, wszyscy są kapusiami... - zamyślił się, a potem szepnął całkiem cicho - prócz jednej osoby.

- Kogo masz na myśli? - Łucznikow dotknął jego ramienia.

- Moją mamę, ona nie jest kapusiem ani bezpośrednio, ani pośrednio - szepnął.

Mignęły światła jakiegoś osiedla, pijany chłopak włókł poboczem motorower, błyszcząły szkła na wystawie sklepu Towary powszechnego użytku. Autokar znowu wjechał do lasu.

- Czy możesz mi pożyczyć ze sto rubli? - spytał Łucznikow. Jeżeli chcesz, wymienimy na walutę według kursu w „Izwiestiach“.

- Nie potrzebna mi twoja waluta — burknął Dim Szebeko. - Mogę ci dać nawet dwieście albo trzysta rubli. Robimy dobrą kasę. Płacą teraz za naszą muzykę jak trzeba. To także paradoks, no nie? Gramy przeciwko nim, a oni nam płacą. Zabawne, nie? Uciekamy od nich, a oni biegną obok i jeszcze płacą. Co mamy robić, Łucz? Dokąd uciekać?

Łucznikow wziął od Dima Szebeko plik dziesięciorublowek, poprosił go, by zatrzymał autokar. Przeszli do przodu.

- Chcecie odlać się, chłopaki? - spytał kierowca. W jego kabinie radio mruczało głosem Pugaczowej.

Któryś z muzyków podniósł głowę. Już dojechaliśmy?

- Dokąd mamy uciekać, Łucz? - spytał Dim Szebeko.

- Wy macie jedną drogę - powiedział Łucznikow. - Uciekajcie jak najdalej w muzykę. Zazdrozczę ci, Dim Szebeko. Zawsze wam zazdrościłem, wy - muzycy - macie dokąd uciekać. Nie dopadną was.

- Tak myślisz? - spytał Dim Szebeko. - Jesteś tego pewny? A ty dokąd uciekasz?

Z otwartych drzwi autokaru, z rosyjskich ciemności ciągnęło ziąbem.

- Uciekam, gdzie mnie oczy poniosą - powiedział. - Ale w historycznej ojczyźnie zaczynam tracić wzrok, chłopie. Na razie popędzę tam - gestem Lenina wskazał ciemność. - Bieg na przełaj. *Good - bye!*

Zeskoczył na pobocze, autokar natychmiast odjechał. Odlewając się do rowu, patrzył w ślad za nim. Komfortowy olbrzym dziwnie wyglądał na wąskiej drodze z rozbabranym poboczem i dziwacznymi asfaltowymi łatami. Jednak jechał szybko, wkrótce jego światła zniknęły za niewidocznym zakrętem.

Zapadła nagle cisza, okazało się, że w Rosji o tej porze nie jest wcale zbyt ciemno. Była pełnia księżycowa. Szosa srebrzyła się lekko. Widać było zakole rzeki pod skarpą, strome wzgórze a za nim osadę z ruinami cerkwi.

Podniósł kołnierz płaszcza i ruszył lewą stroną drogi. Z tyłu - a chyba także z przodu - zbliżał się ryk silnika. Zza wzgórza biły w niebo smugi światła reflektorów. Za chwilę z ogłuszającym łomotem minęły go jedna za drugą dwie sterty brudnego żelastwa.

Kiedy wszedł na wzgórze, ujrzał małe ognisko. W jego świetle krzątało się kilka postaci. Trzech mężczyzn, wszyscy w płóciennych czapczkach z plastikowymi daszkami, w koszulkach i dresowych spodniach, wiszących jak worki na wypiętych tyłkach, pchało samochód. Otyła młoda kobieta, obciągając kwiecistą sukienkę, podkładała pod koła gałęzie.

- Hej, towarzyszu, towarzyszu! - zawołała na widok Łucznikowa.

Podszedł i zobaczył zsunięty w połowie do rowu caravan - model nazywany tutaj rafikiem. Miał potłuczone szyby i uszkodzony dach.

- Brakuje nam jednego chłopca - powiedział ktoś. - Pomóż popchnąć, bracie.

Zszedł na pobocze, oblepione gliną buty zrobiły się nieznośnie ciężkie. Zaparli się w piątkę. Koła pobuksowały trochę i wreszcie rafik ruszył z miejsca. Ucieszyli się wszyscy.

- Oto kogo brakowało, niech skonał! - chuchał Łucznikowowi do ucha zdyszany chłop obok. - Oto, kuma, kogo nam brakowało!

- Niezły masz chuch, bracie - zażartował Łucznikow.
- A i ty piłeś dzisiaj coś dobrego. Chyba żytnią, dobrze mówię?
- Dobrze - zgodził się Łucznikow.

Rafik wjechał na asfalt. Chłop wskazał Łucznikowowi powyginany dach.

- Widzisz, kurwa, rury wiózł po nocy na przyczepie nie zamocowane, chujoza taka. Jedna rura zsunęła się i rozwaląa wszystko po drodze.
- Dobrze, że jeszcze żyjemy, Bogu niech będą dzięki - powiedziała piskliwie kobieta, obciążając na brzuchu sukienkę.
- Bogu niech będą dzięki, że żyjecie - Łucznikow ukląkł i przeżegnał się szeroko.

VII. OK

Od kilku lat plac lejtnanta Bayle - Landa na nabrzeżu Jałty przemienił się w wielką, słynną w świecie kawiarnię. Od eleganckiego starego hotelu Oreanda do szklanych ścian supernowoczesnego Jałta - Hiltona stały białe żeliwne stoliki pod kolorowymi parasolami. Pięć rozrośniętych platanów rzucało ruchliwe cienie na barwną terakotę, po której śmigali młodzi kelnerzy, przetaczał się różnorodny tłum roznegliżowanych turystów, a na trasie od stolików do morza i z powrotem defilowały zabójcze jałtańskie dziewczyny, które na radziecką modłę nazywały siebie „kadrami“. Były niemal całkiem nagie - miały tylko lekkie tiule na piersiach i wzgórek łonowy, w porównaniu z czym najśmielsze bikini z poprzedniego dziesięciolecia wydawało się zakonnym habitem.

- Rewolucja seksualna zlikwidowała prostytucję - powiedział Arsienij Nikołajewicz Łuczniuk do przyjaciela, bankiera nowojorskiego Freda Baxtera. - Zaskakujące, prawda? Widzisz, jakie wyrosło tu pokolenie dziewczyn? Nawet ja się dziwię, ilekroć przyjeżdżam do Jałty. Są takie delikatne, takie cudowne, mają poczucie humoru. Wnuk opowiadał, że można zaprosić nieznaną dziewczynę „na seks“. Zgodnie z zasadą równouprawnienia płci dziewczyny tak to robią. Jak na dancingu.

Baxter chichotał z twarzą ukrytą pod rondem kapelusza.

- Niestety, Arsenie, takie pierdoły jak my dwaj nie mogą liczyć na boogie - woogie.

- Ja wolę tango - uśmiechnął się Arsienij Nikołajewicz.

- Jeszcze ci się to zdarza? - Baxter zerknął na niego żartobliwie.

- Czasami. Przyznaję się, że nieczęsto.

- Gratuluję - powiedział Baxter. - Pewnie konie działają na ciebie tak pobudzająco.

- Wydaje mi się, że jesteś seksualnym kontrrewolucjonistą - zachnął się Arsienij Nikołajewicz.

- Owszem, i szcycę się tym. Jestem kontrrewolucjonistą w każdym sensie. Jak mam ochotę pójść w tango, płacę za to duże pieniądze. Chociaż muszę się przyznać, że każdego roku moje wydatki na takie zachcianki maleją pomimo inflacji.

Dwaj wysocy starsi panowie, jeden w odwiecznych spłowiałych dżinsach, drugi w nowomodnym paryskim stroju, podobnym do kombinezonu robociarza z budowy, znaleźli wolny stolik w cieniu i zamówili wodę z miejscowego wodospadu Uczan - Su.

Słońce kończyło swój codzienny bieg nad miastem rozrywki i wkrótce miało już zapaść za granatowe góry, gdzie nad szczytami błyszczały słynne „klimatyczne parawany“.

- Co oni dodają do wody, że tak orzeźwia? - spytał Baxter.

- Niczego nie dodają. Po prostu taka jest tu woda - powiedział Arsienij Nikołajewicz.

- Nie wiem, jak się to dzieje - mruknął Baxter. - Zawsze daję się złapać na reklamowy slogan „cudu jałtańskiego“. Jest w tym coś hipnotycznego. Rzeczywiście poprawia mi się samopoczucie, młodnieję, nawet zaczynam myśleć o kobietach. Czy to prawda, że Czechow opisał historię, która wydarzyła się w Oreandzie? Jakiego pieska miała ta dama, pekińczyka?

- Czyżbyś nie czytał Czechowa? - zaśmiał się Arsienij Nikołajewicz.

- Wszyscy czytają rosyjskie książki - burczał Baxter. - Wszyscy mówią o waszych przeklętych problemach, jakby na świecie poza tym nie było kłopotów z ropą naftową, ajatollahem, cenami złota... - Baxter nagle wyjął pospiesznie okulary, wsadził je na mięsisty

nos i wbił wzrok w kobietę, siedzącą samotnie kilka stolików dalej. - To ona - mruknął. - Spójrz, Arsenie, oto typ Czechowowskiej paniusi, mogę się założyć, brakuje tylko pekińczyka.

W przeciwieństwie do źle wychowanego bankiera, Arsienij Nikołajewicz nie wpatrywał się tak bezczelnie w nieznaną kobietę, zerknął na nią tylko jakby przypadkiem. Ładna, młoda dama z grzywą ładnych włosów, w szerokiej beżowej sukience, siedziała samotnie przy szklance martini. Wydała mu się znajoma, ale nie wyglądała na bohaterkę Czechowa.

- Kochany Fredzie - Arsienij Nikołajewicz pokiwał głową - oto jak literatura rosyjska może być źle rozumiana przez amerykańskich finansistów! Żaden pies, nawet nowofundlandczyk, nie przybliżył tej damy do Czechowa. Myślę, że to jakaś francuska aktorka. Nawiasem mówiąc, nasza Wyspa cieszy się powodzeniem jako plan filmowy.

- W każdym razie chętnie zatańczyłbym z nią - oznajmił stary Baxter. - I nie żałował pieniędzy.

- A może ona jest bogatsza od ciebie? - powiedział Arsienij Nikołajewicz.

Ta uwaga rozbawiła Baxtera. Ze śmiechu oczy zaszczyły mu łzami, a szkła zapotniały.

Starsi panowie zapomnieli o „damie bez pieska“, pochłonęła ich rozmowa o Francuzkach z dawnych lat, szczególnie z roku czterdziestego czwartego, kiedy obaj wyzwalali Paryż od nazistów i mieli okazję zaprzyjaźnić się z mnóstwem wyzwolonych Francuzek. Niewątpliwie tego roku Francuzki były najwspanialsze.

A samotna dama nie była Francuzką ani aktorką filmową. Jeżeli zaś chodzi o jej stan majątkowy, to gdyby Baxter dowiedział się, jak sprawy wyglądają, z pewnością natychmiast przestałby się śmiać. Tania Łunina - była to bowiem ona - dzięki zabiegom Siergiejewa otrzymała diety i ryczałt na zakwaterowanie według najwyższej, radzieckiej stawki, jednak ze względu na drożyznę panującą w Jałcie z trudem wiązała koniec z końcem. Wynajęła pokój od podwórza w tanim hotelu Wasiliewskij Ostrow, jadała w pobliskiej włoskiej knajpce. Pokój był niezły, ze świetną klimatyzacją, dywanem i piękną łazienką z niebieskawą wodą, kuchnia Włochów reprezentowała poziom, jakiego w Moskwie nie uświadczysz, ale... ale... Wystarczyło zejść trzy przecznice w dół w kierunku morza, by znaleźć się w świecie, gdzie jej pieniądze nie znaczą nic, po prostu nie istniały, a przed wystawami na Nabrzeżu Tatarów przypominały o sobie jak złośliwa kpina.

Krótko mówiąc, gdyby Tania usłyszała, co mówił stary Baxter, gdyby potrafiła zrozumieć jego słowa, być może zatańczyłaby z nim. Dla zgrywy. Myślała niekiedy o nie zobowiązującej przygodzie z jakimś romantycznym kapitalistą, przychodziły jej do głowy takie zwariowane myśli. Ale o czym tu mówić, spacerują na tym placu znacznie lepsze, a przede wszystkim młodsze dziewczyny. Pozostawało jej tylko siedzieć w przedwieczornej porze pod platanami, udawać Simone Signoret, później przespacerować się po Nabrzeżu Tatarów, oglądając od niechcienia wystawy, i skręciwszy jakby z ciekawości w zaułek, wrócić do swego hoteliku. A potem wydzwaniać pod wszystkie telefony Andrieja. Odpowiedź, niestety, zawsze była ta sama: pan Łuczniuk jest nieobecny, nie dysponujemy żadnymi informacjami, przepraszamy.

Rachunek telefoniczny powiększał się zastraszająco. Tatiana zamierzała jutro lub pojutrze, nie zważając na konspirację, wstąpić do biura Filmeksport ZSRR, to znaczy do kolegów towarzysza Siergiejewa, by przekazać rachuneczek do uregulowania. Znaleźli głupią, pracuję dla was, więc płąćcie. Przytyłam pewnie co najmniej o dwa kilogramy, żywiąc się pizzą, o przyzwoitym befsztyku nawet marzyć nie mogę... Dranie...

Tanię zaszczycono wielkim zaufaniem - wydelegowano samą do Jałty! Wszystkie radzieckie trasy - turystyczne i sportowe - omijają to miasto wielkim łukiem, uważając, że

człowieka radzieckiego nie należy wystawiać na pokusy kosmopolitycznego przybytku. Nie wiadomo dlaczego uważano, że Symferopol - miasto najnowocześniejszej architektury, stylowa Teodozja, wieżowce międzynarodowych firm w Sewastopolu, luksusowe pałacyki Eupatorii i Gurzufu, minarety i łaźnie Bachczysaraju, zamerykanizowane Dżankoj i Kercz, stylowe koronki autostrad i osiedla najbogatszych Jaki - że to wszystko mniej zagraża ideologicznej odporności człowieka radzieckiego niż roztańczona, bezsenna, stujęczyczna Jałta, uwielbiana przez filmowców i wszelkiej maści literatów z całego świata. Zdaniem mędrców z Agitpropu w Jałcie ulegają erozji takie pojęcia - święte dla człowieka radzieckiego - jak „granica państwowa“, „sierpem i młotem znaczony paszport radziecki“, „czujność“, „obowiązek patriotyczny“, że właśnie tutaj ludzie radzieccy tracą „poczucie dumy“, „lśniące skrzydła“, zaczynają marzyć o anarchistycznych błędach i już nie patrzą z góry na burżujów. Pewnie były to tylko niezbyt trafne wymysły tępawego Agitpropu, w rzeczywistości Jałta nie stanowiła szczególnego niebezpieczeństwa dla zwycięskich idei socjalizmu. Cała nie istniejąca w przyrodzie Wyspa Krym, lub, według oficjalnej nomenklatury prasy radzieckiej, Strefa Wschodniego Śródziemnomorza była dla Agitpropu czymś trudnym do przełknięcia (nieoczekiwana klęska Armii Czerwonej w latach wojny domowej). Teraz nadchodziły stamtąd pomysły zacieśnienia wzajemnych kontaktów i trzeba było bardzo się starać, żeby Jałta została nieoficjalnie uznana za ideologiczne tabu.

Byli oczywiście tacy, którzy jeździli do Jałty - na przykład prominenci, naj słynniejsi artyści, a także prominenckie dzieci - by się zabawić.

Teraz Tania dostąpiła tej łaski, szeregowa trenerka lekkiej atletyki, szeregowa komentatorka telewizyjna siedzi pod platanami na placu lejtnanta Bayle - Landa bez asysty, całkiem sama, taka dama w stylu Simone Signoret ze starych filmów.

Popatrz, Tatiano, jakie masz perspektywy, należy tylko wstąpić do tajnego bractwa. Sama na Krymie! Sama w Jałcie! Pijesz martini na placu lejtnanta Bayle - Landa!

Przed wyjazdem Siergiejew napomknął, że wszechwidzące oczy będą obserwowały każdy jej krok, ale Tania po tym, jak sektor powołany do pilnowania Łucznikowa zgubił go, zwątpiła w skuteczność tajnych służb. Teraz nawet u nich odstawiają chałturę, myślała, wodząc wzrokiem po otoczeniu: nieopodal siedzą dwaj starzy, chudzi Anglicy (jeden wydaje się znajomy, chyba jakiś aktor); klimatyczne parawany, lśniące na górach, wyglądają jak fantastyczne, wabiące ku sobie miasto; nagie dziewczyny wychodzą z fal i biegną ku kawiarnianym stolikom; kelnerzy narodowości Jaki - bez względu na liczbę gości obsługują ich tak, jakby dobrze się bawili; tu i tam kręcą się muzycy i kuglarze; kołyszają się maszty statków tureckich, greckich, krymskich, izraelskich, obok nich stoją dwa duże, białe statki spacerowe; zbliżają się do portu jachty oceaniczne; para śmigłowców z przezroczystymi kabinami ciągnie nad miastem odwieczne hasło: „Coca - cola to jest to!“; nad dachami drugiego szeregu jałtańskich wieżowców zapalają się już napisy w języku rosyjskim, angielskim, tatarskim... Patrzyła na to wszystko, popijając wytrawne martini, które dawno wypiłaby duszkiem, gdyby była w Moskwie. Popijając drobnymi łyżkami swoją dzienną rację, zapomniała o wszechwidzącym oku, a o towarzyszu Siergiejewie myślała tylko z powodu przekłębionych rachunków telefonicznych.

Prawdę mówiąc, była już kiedyś w Jałcie, kiedy Andriej uprowadził ją po apelu z pensjonatu w Łaspi, gdzie mieszkała jej drużyna. Przyjechali tutaj w szalonym pędzie wspaniałym samochodem, jedli kolację na kołyszającym się dachu hotelu Prospekt Newski, tam również spali ze sobą. Pamięta, jak zadziwiła ją Jałta o świcie. Wyszedłszy z hotelu ujrzała w ogródku kawiarnianym na małym placu ludzi różnej narodowości, pochłoniętych

rozmową; pod palmą dziewczyna w wysokim kołpaczku cichutko grała na flecie, a na werandzie Klubu Białego Żołnierza tańczyło kilka par w historycznych strojach. Mekka światowego anarchizmu, zwariowanej fantazji, szalona, grzeszna Jałta!

Z rozmów z towarzyszem Siergiejewem wynikało, że Tania nie doceniała swoich wysportowanych kablowniczek. Wszystkie jej romantyczne ucieczki - jak się okazało - figurowały w teczce towarzysza Siergiejewa, podobnie jak przyjazdy Andrieja na randki w Paryżu, Tokio, San Diego. Towarzysz Siergiejew łagodnie, bez żadnych pogroźek dał jej do zrozumienia, że nie reagowano na doniesienia, ponieważ miał on plany związane z Tanią, liczył na owocną współpracę.

Tania czuła, że idiotyczne pijaństwo i bójka z Małem spowodowały kryzys w jej stosunkach z Andriejem. Dawniej gotów był przelecieć tysiąc kilometrów, żeby spędzić z nią jedną noc, a teraz zniknął. Zgubił się gdzieś w Rosji, w Moskwie, jakby ona nie istniała. Co się z nim dzieje? Czyżby potraktował poważnie tamtą obrzydliwą scenę? Dawniej wybaczał jej wszystko, uważał, że jest moskiewską awanturnicą, kochał ją taką i wybaczał wszystko. A teraz nagle pogniewał się. Co się właściwie wydarzyło? Umiała się, każdemu się zdarza. On sam także dobry! Można sobie wyobrazić, ile bab pieścił swoimi włochatymi, rudymi rękami!

Tylko raz zadzwonił do niej do Moskwy. Ledwo poznała jego głos. Skąd dzwonisz, spytała i przestraszyła się. Pytanie całkiem naturalne, ale z racji swojej nowej funkcji Tatiana pomyślała ze wstydem, że wypytuje go. Z Riazania, odpowiedział, rodzinne strony Sołżenicyna. Jakie strony? Rodzinne, Sołżenicyna, powtórzył Andriej. Jakie? Tym razem Tatiana usłyszała, ale nie zrozumiała. W ogóle zapomniała o Sołżenicynie po jego deportacji. To była głupia rozmowa. Mał siedział przy kuchennym stole, jakby nic nie słyszał, na nic nie zwracał uwagi, zamyślony jadł maleńką porcję białego sera: po dramatycznej scenie w pierwszym wydziale przeszedł, nie wiadomo dlaczego, na dietę, zabrał się do treningów, zbijał nadwagę. Jestem w Riazaniu, wybieram się do Kazania, a potem do Bieriezania. Z powodu złej słyszalności nie dało się ocenić, w jakim jest nastroju, wydawało się, że głos miał wesoły. Kiedy się zobaczymy, spytała. Kończy się farsa, zawołał Andriej. Kiedy się zobaczymy. Obawiam się, że nieprędkiem dobiegło do niej. Nie wygłupiaj się, Andrieju, zawołała. Przyjedź natychmiast. Po co ci Kazań i Bierezań! Muszę się z tobą zobaczyć! Tęsknię! Tęsknię! Co? Na razie! Kiedy będziesz w Moskwie? Obawiam się, że nieprędkiem. Wracam na Wyspę. Kiedy lecisz? Kiedy będziesz w Moskwie? Nieprędkiem. Forsa się ... Zrozumiała, że ich rozłączono, ale mówiła jeszcze minutę, a może dłużej o tym, że się stęskniła. Głos jej świadczył o tym, że się stęskniła fizycznie. Był to także sygnał dla Mała, który po ugodzie z Siergiejewem nie tknął jej palcem. Kiedy wreszcie odłożyła słuchawkę i odwróciła się, przez otwarte drzwi ujrzała Mała z płaszczem na ramieniu i ciężką torbą Adidas w prawym ręku. Dokąd się wybierasz, spytała zmęczonym głosem. Do Cachkadzoru, odpowiedział i zniknął na długo.

Wiadomość o idiotycznej telefonicznej rozmowie wstrząsnęła Siergiejewem, był oburzony. Pierwsze - jako zawodowiec - potrafił ukryć, ale oburzenia opanować nie zdołał. Głupio zachowuje się Andriej Arsieniewicz, niepoważnie. Czyżby nie rozumiał, że każdy jego krok... Tania patrzyła Siergiejewowi w oczy z nieprzyjemnym uśmiechem. On pewnie nie rozumie, nie domyśla się, że pan wie o każdym jego kroku. Taki naiwny. Tak. On zawsze był naiwny. Pewnie jest przekonany, że pan go stracił z pola widzenia, towarzyszu Siergiejew. Człowiek z Zachodu wszystko traktuje niepoważnie, nie docenia pańskiej instytucji.

Kiedy została sama, zapomniała o mężczyznach, zajęła się dziećmi, trzeba było przygotować je do wyjazdu na wakacje, które miały spędzić na obozie pionierskim.

Nagle wybuchła panika. Siergiejew przyjechał do niej do domu, położył na stół nowiutki paszport zagraniczny, delegację służbową z Komitetu Kobiet Radzieckich i paczkę białych rubli, która wówczas wydała się Tani dość okazała. Wyjazd natychmiastowy. Dokąd? Zaraz powiem - jedźcie pani do Jałty! Z kim? Sama, ufamy pani. Co tam będę robiła? Mam kogoś szpiegować? Nie potrafię. Wpadnę! Dziwna z pani kobieta, Taniu, przecież omówiliśmy dokładnie zadania. Proste i szlachetne zadania - ma pani być z Łuczniwowem, swym ukochanym, to wszystko. Wolałabym najpierw spotkać się z nim tutaj. Przecież jest tutaj? To nie pani sprawa. Siergiejew wyraźnie zirytował się. Nie pani sprawa, gdzie przebywa teraz. Pani ma jechać do Jałty, zamieszkać w hotelu Wasiliewskij Ostrów i codziennie dzwonić do Andrieja Arsieniewicza do „Kuriera“, do jego apartamentu, do Kachowki - posiadłości jego ojca. Proszę natychmiast nas zawiadomić, kiedy go pani spotka. Ale dlaczego... W tym momencie Siergiejew przerwał je brutalnie - nie chce pani jechać do Jałty? Ależ chcę, nawet bardzo. Sama do Jałty, piękne szmatki, pieniądze według najwyższej stawki! Humor jej się poprawił. Hura! No i są teraz skutki tego idiotycznego „hura“: samotność i żal, żal do Andrieja, który zniknął, jakby ona nigdy nie istniała...

Nabrzeżem zajeżdżały pod płatany dwie czerwono - białe - granatowe furgonetki z „kogutami“ na dachu. Wysypali się z nich policjanci w białych hełmach z przezroczystymi tarczami i białymi pałkami, ustawili się w dwuszeregu. Słowo „posterunkowy“ - pozostałość dawnej Rosji, kojarzące się Tani z brzuchatym, pyzaty gamoniem w buciorach, jak milicjant z pobliskiego posterunku - nie pasowało do krymskich policjantów w granatowych koszulkach z krótkimi rękawami, doborowych chłopaków niczym amerykańscy policjanci z sensacyjnych seriali.

Za policyjnymi furgonami zjawił się otwarty land - rover z wszechobecną prasą. Kamery i obiektywy wzięły na cel policyjny dwuszereg i nabrzeże, gdzie trwało jakieś zamieszanie. Kilku fotoreporterów biegło między kawiarnianymi stolikami, bez przerwy szczękając aparatami. Jeden zauważył dwóch starszych panów siedzących przy stoliku nieopodal Tani i zaczął gorączkowo fotografować ich w zbliżeniu, dopóki staruszek w dzinsowej koszuli nie włożył na nos ciemnych okularów, a drugi nie nasunął na twarz beżowego kapelusza z kolorową wstążką. Przerwano obsługiwanie gości. Kelnerzy zgromadzili się na estradzie dla orkiestry, podnieśli jaskrawozielony sztandar z zarysami Wyspy i napisem „Jaki“ oraz transparent z hasłem w niezrozumiałym języku i zaintonowali niezrozumiałą, wesołą piosenkę. Klaskali ze śmiechem w dłonie, podskakiwali, trzech lub czterech grało na trąbkach. Nagie dziewczyny klaszcząc, tańczyły wokół estrady.

Nadjechały srebrzyste wozy TIVIMIG - u - telewizji ekspresowej - oznakowane symbolem firmy, skrzydlatym okiem. Policyjny dwuszereg, osłaniając się tarczami, ruszył do natarcia. Tłum na Nabrzeżu Tatarów falował chaotycznie. Huknęło dwa razy. W przedwieczorne niebo wzniosł się kłębam dym płonącej benzyny.

Tania weszła na krzesło, przytrzymując się brzegu parasola. Zobaczyła, że na Nabrzeżu Tatarów kotłuje się tłum, walczą ze sobą trzy młodzieżowe bandy: chłopcy w koszulkach barwy sztandaru na estradzie, chłopcy w koszulkach z sierpem i młotem na piersiach i chłopcy w dziwnych strojach - przypominających kimono lub czerkieskę z naszytymi na piersiach ładownicami i wilczymi ogonami opadającymi na plecy. Walka była zacięta, migwały kije baseballowe, fruwały butelki z „koktajlami Mołotowa“...

Z drugiej strony Nabrzeża Tatarów, od portu, na rozszalałą młodzież również nacierała policja, w promieniach zachodzącego słońca błyszcząły plastikowe tarcze.

- Co się tu dzieje? - spytał Baxter.

- Trzecie pokolenie wyspiarzy reguluje wzajemne stosunki - uśmiechnął się Arsienij Nikołajewicz. - O ile się nie mylę, wiec zorganizowany przez Jaki został zaatakowany z dwóch stron - przez skrajną prawicę i skrajną lewicę. - Młodą Wilczą Sotnię i Czerwony Front. Jak widzisz, nasi kelnerzy opowiadają się po stronie Jaki, po prostu są nimi. Nawiasem mówiąc, mój wnuk także został aktywistą Jaki. Niewykluczone, że gdzieś tam walczy razem z nimi.

- Nieźle pomyślane - powiedział Baxter. - Urozmaicenie wieczoru na nabrzeżu.

- Niestety chłopcy dziczeją w szybkim tempie - powiedział Arsienij Nikołajewicz z ubolewaniem.

- Wszędzie tak jest - odezwał się Baxter. - Biją się w Londynie, biją się w Paryżu, niedawno widziałem to na własne oczy na Polach Elizejskich. - Za przykładem „Francuzki“ wgramolił się na krzesło i rozejrzał, osłaniając dłonią oczy. - Chyba się trochę uspokoiło - powiedział po chwili. - Spalono dwa samochody, stłuczono kilka szyb. Policja spycha chłopaków na plażę. No, będą mieli kąpiel! Cudownie!

Zszedł z krzesła i skierował się w stronę „Francuzki“. Arsienij Nikołajewicz nie wierzył własnym oczom. Staruszek Baxter, prawie jego rówieśnik, zbliżył się do stojącej na krześle młodej, smukłej damy, ujął ją za łokieć. Bez żadnych ceregieli, niech to diabli. Amerykanie zawsze zachowywali się po chamsku. Podchodzi do subtelnej, eleganckiej damy i łapie ją za łokieć jak dziwkę. Zaraz oberwie, ale będzie śmiechu.

Tania zeskokczyła z krzesła. Stał przed nią wysoki, szykowny staruch - pomarszczony, czerwony pysk, kartofelkowaty nos. Usiedli przy stoliku. Tania uniosła pytająco brwi. Staruch wyjął z kieszeni notes oprawny w skórę krokodyla, staromodne wieczne pióro, do połowy złote, skrobął coś w notesie i, uśmiechając się po ojcowsku, podał Tani.

Spojrzała: dolarowy zakrętas, za nim jedyńka z trzema zerami i znak zapytania. Spojrzała staremu w twarz. Dziecinne niebieskie oczka.

- *Ca w?* - spytał.

- *Ca va, pas* - powiedziała Tania, przekreśliła jego piórem jedyńkę i napisała nad nią grubą trójkę.

- *Ca va!* - zawołał staruch radośnie.

Wtedy - żeby nie było żadnych wątpliwości - obwiodła piórem zera i wstała.

- Gdzie pani woli? - spytał staruch. - W Oreandzie? - wskazał hotel. - Albo na jachcie? - pokazał ręką port.

- Ma pan jacht? - spytała Tania. Była całkiem spokojna, prawie bezbłędnie sformułowała po angielsku pytanie, niedbale odgarnęła włosy, arystokratka seksu, ale w środku dygotała. W co ty się wdajesz, Tatiano!

Baxter zapewnił, że jacht należy do niego, przypłynął nim tutaj, komfortowy pływający dom. Pokazał gestem Arsienijowi Nikołajewiczowi, że zadzwoni później, ujął pod rękę piękną „Francuzkę“ i odeszli w kierunku portu nabrzeżem, wyłożonym dużymi płytami, na których widniały jeszcze ślady niedawnej walki - strzępy podartych transparentów i koszulek, kije baseballowe, potłuczone butelki.

Arsienij Nikołajewicz patrzył za nimi, rozgoryczony nawet. W ciągu długiego życia, w którym niejednego doświadczył, powinien był wyzbyć się idealizacji kobiet, ale oto znowu czuje się dotknięty, boli go i napawa obrzydzeniem, że ta kobieta o miłej twarzy jest dziwką, że poszła z nieznanym starcem i będzie robiła wszystko, czego sobie zażyczy rozpustny Bak, a nie wygląda na zawodową...

Arsienij Nikołajewicz, przybity i zachmurzony, zostawił na stoliku pieniądze za wodę, przeszedł przez plac, na parkingu wsiadł do swego starego wozu i pojechał do Arteku na

piątkowe spotkanie u Nesselrode.

Będzie sensacja, myślał ze smutkiem, zjeżdżając powoli prawym pasem w wieczorną, granatową otchłań u podnóża Ajudahu, gdzie o tej porze zapalały się światła w jednym z najbardziej arystokratycznych osiedli wrewakuantów. Łucznirow - senior na piątkowym spotkaniu u Nesselrode! Od dawna lekceważył wrewakuanckie salony imitujące normalne światowe życie rosyjskie. Nie mógł znieść pełnej zakłamania atmosfery owych „śród“, „czwartków“ i „piątków“. Na wyspie ukształtowało się nowe społeczeństwo, ale w zamkniętym świątku wrewakuantów ciągle jeszcze pielęgnowano ducha i styl „srebrnego wieku Rosji“. Już go nie zapraszano, to znaczy przypomniano o imprezach, ale nadal obrażano się - co za Europejczyk z tego Łucznirowa, co za kosmopolita, brzydzi się rosyjskim życiem. Trudno się było uchronić od kosmopolityzmu na kosmopolitycznej wyspie Krym, jednak w domach niektórych „żubrów“ - jak ich nazywał Andriej, przekazywano z pokolenia na pokolenie rosyjskie tradycje. Tak było w domu Nesselrode seniora, członka Tymczasowej Dumy Państwowej z ramienia monarchistów, współwłaściciela zespołu zakładów zbrojeniowych w Siwaszu.

Ni stąd, ni zowąd stary Nesselrode zaczął wydzwaniać: co się dzieje, Arsieniju Nikołajewiczu? Odseparował się pan od naszego towarzystwa. Może wpadłby pan kiedyś do Arteku na nasz piątek? Bylibyśmy bardzo radzi, gdyby nas również zaszczylił Andriej Arsieniewicz... Młodzieżowe środowisko, z którym przyjaźni się nasza Lidoczka, uwielbia go... Wie pan, te nowe idee nie wpłyną pozytywnie na ducha naszej armii, ale nie ma rady, musimy nadażyć za życiem...

Dotychczas w środowisku „żubrów“ nie mówiono „nasz kraj“ ani nawet „nasza wyspa“, uznawano tylko „nasze rosyjskie, czasowo ewakuowane wojsko“, „naszą bazę ewakuacyjną“...

Arsenij Nikołajewicz zbywał zaproszenia różnymi unikami, nie miał zamiaru z nich korzystać, zwłaszcza że, jak donosiła poczta pantoflowa, panie Nesselrode upatrzyły sobie wolnego Andrieja.

A teraz wszedł do starego bentleya i w melancholijnym nastroju jechał do Arteku. Zdawał sobie sprawę, że to śmieszny protest przeciwko amoralności współczesnego świata, w którym cyniczny bogacz bez skrupułów kupuje sobie uroczą młodą damę... Obrzydlistwo... Lepiej bodaj na chwilę wrócić do minionego wieku, chociaż to tylko fikcja...

Na dacy u Nesselrode odbywało się tradycyjne spotkanie piątkowe, tym razem w atmosferze wyjątkowego ożywienia. W głębi salonu pianista Sasza Buturlin grał Rachmaninowa. Należało to do zwyczaju. Istniała legenda, że Rachmaninow przyjeżdżał na Krym i zawsze się zatrzymywał u państwa Nesselrode. Kiedy nie było zawodowych pianistów, madame Nesselrode sama zasiadała do fortepianu i grała z wielkim natchnieniem, pogrążona w marzeniach, albo, jak niektórzy mówili, we wspomnieniach. W fotelach siedzieli starszacy w generalskich mundurach i w cywilnych garniturach. W sąsiednim salonie finansisci i panie w średnim wieku grali w brydża. Na otwartej werandzie bawiło się mieszane towarzystwo, przeważnie młodzież, na stojąco, z koktajlami w rękach. Obok był bufet. Właśnie na werandzie nad morzem panowało niezwykle ożywienie, które zwróciło uwagę Arsienija Nikołajewicza.

Wejście Arsienija Nikołajewicza do salonu wywołało pewne zainteresowanie, mniejsze jednak niż się spodziewał. Michaił Michajłowicz - bardzo elegancki we fraku - oczywiście go uściskał, Warwara Aleksandrowna podała do pocałunku wciąż jeszcze bardzo piękną dłoń, ale oboje sprawiali wrażenie zdenerwowanych i zakłopotanych.

Okazało się, że pogodny przebieg „piątku“ zakłóciło okropne wydarzenie. Kostię -

młodszy syn państwa Nesselrode

- przywieziono z Jałty okropnie poturbowanego, w podartym

- proszę sobie wyobrazić - ubranu, był zresztą ubrany jak barbarzyńca, rozumie pan, Arsieniju Nikołajewiczu, w jakieś dzinsy i koszulkę z symbolami tych okropnych Jaki.

Widocznie Kostia brał udział w dzisiejszych przepychankach na Nabrzeżu Tatarów. No właśnie, to nie do pomyślenia, Arsieniju Nikołajewiczu, by chłopak z dobrej rodziny uczestniczył w ulicznych burdach. Przyjechał pan dzisiaj nieoczekiwanie, Arsieniju Nikołajewiczu, ale w bardzo stosownej chwili. Dlaczego w stosownej chwili, droga Warwara Aleksandrowna, co ja mam wspólnego z... Mój Boże, *excusez - moi*, to oczywiste... Pański wnuk, Arsieniju Nikołajewiczu, to smutne, ale właśnie pański wnuk Anton... proszę mi wybaczyć, to kochany przez nas wszystkich pański wnuk Toszka wciągnął naszego Kostienkę do zdziczałego ruchu „Jaki - nacjonalistów“, on również zaciągnął go dzisiaj na Nabrzeże Tatarów. Szykujemy Kostię do kariery dyplomatycznej, a to - jak pan rozumie - jest nie do pogodzenia z udziałem w awanturach ulicznych. Zresztą w ten sposób można stracić życie... Była tam Wilcza Sotnia...

- Była tam Wilcza Sotnia - powiedział ponurym głosem Michaił Michajłowicz - i chuligani z Czerwonego Frontu. Zbiegła się różna hałastra, elementy proradzieckie, prochińskie, młodoturcy także byli w drodze, ale się na szczęście spóźnili. Dzwoniłem do pułkownika Mamontowa z OSWAG - u, jutro zgłoszę tę sprawę na posiedzeniu naszej frakcji w dumie. Czy wie pan, że oni nazywają siebie „zwulami“? Nowa partia ZWL, Związek Wspólnego Losu. Nie było ich dzisiaj na Nabrzeżu Tatarów, ale to oni rozpętali tę polityczną rozróbę na naszej Wyspie, to znaczy w strefie tymczasowej ewakuacji.

- ZWL? - upewnił się Arsienij Nikołajewicz.

- Czy pański syn nie mówi o nowej partii? - spytał elegant z monoklem, wyglądający na oswagowca, który się do nich zbliżył.

- Pan pozwoli, że przedstawię - powiedziała Warwara Aleksandrowna. - Nasz daleki krewny Wadim Anatoljewicz Wostokow, służy w OSWAG - u.

- Nie widziałem się z synem od kilku tygodni - wyjaśnił Arsienij Nikołajewicz. - Przylatuje dzisiaj w nocy.

- Rzecz jasna z Moskwy? - Wostokow uśmiechał się uprzejmie.

- Ze Sztokholmu - odpowiedział oschle Arsienij Nikołajewicz i wyszedł na werandę. Dawno zauważył tam swoją kopię - wysokiego, kościstego, trochę przygarbionego ukochanego wnuka. Anton wyraźnie znajdował się w centrum zainteresowania. Perorował, wymachując rękami, podchodził do poszkodowanego Kostii, kładł na ramieniu towarzysza broni swoją wodzowską dłoń, sadowił się ze szklanicą whisky na poręczy i rozprawiał w malowniczej pozie, a Lidoczka Nesselrode i jej goście, wszyscy w greckich tunikach - widocznie tak zaplanowano dzisiejszy piątek - słuchali z uwagą.

- *Jaki!* - zawołał Anton na widok dziadka. - *Granad kar - ning, kabachet*, niespodzianka! *Sigim - sa - fak!*

To oznaczało, że Anton mówi w języku Jaki. Goście z zachwytem powtarzali eleganckie przekleństwo *sigim - sa - fak*.

Arsienij Nikołajewicz przygarnął ramieniem wnuka, zajął mu w oczy. Jedno oko było podbite, policzek zadrapany. Koszulka - jaskrawozielona jak sztandar - podarta na ramieniu.

Bohater wieczoru - Kostia Nesselrode - wyglądał nader malowniczo - poszarpana koszula, skrwawiony bandaż, obrzmiała szczęka, ale twarz miał uśmiechniętą, jak przystało na bohatera.

- Dołożyliśmy im, dziadku - powiedział po rosyjsku Anton. - Daliśmy wycisk i

czzerwonym, i czarnym, nieprędko się pozbierają! To mięczaki, dziadku, a u nas są twardziele - rybacy, chłopcy ze stacji benzynowych, kilkunastu byłych wojskowych. Aleśmy im dali łupnia! Zaraz zobaczysz. Za chwilę wiadomości w telewizji.

Rozległ się sygnał najpopularniejszego programu na Wyspie, nadawano w nim na żywo relacje z nadzwyczajnych wydarzeń, powtarzane później w zmontowanej, udratyzowanej postaci.

Wszyscy odwrócili się do dużego telewizora w kącie. Trzej wygadani prezenterzy w trzech językach - rosyjskim, angielskim i tatarskim - uśmiechając się, przerywając sobie nawzajem, opowiadali o zajściu sprzed dwóch godzin, kiedy to na nabrzeżu w Jałcie doszło do młodzieżowej zadymy. Migawki z wiecu Jaki, Antoszka Łuczniukow wspinający się na słup. Na ekranie pojawiły się stoliki kawiarniane; Arsienij Nikołajewicz ujrzał siebie i Freda Baxtera, popijających wodę Uczan - Su.

Może członek Tymczasowej Dumy, pan Łuczniukow - senior, zauważyłby swego wnuka, gdyby nie był pochłonięty pić Uczan - Su (krótka reklama wody Uczan - Su) w towarzystwie Freda Baxtera, który znowu zaszczycił swoim przyjazdem Wyspę Krym. Co za bydlaki, nawet sfilmowali „Francuzkę“, stojącą w niewygodnej pozycji z wypiętą uroczą pupką! Zbliżenie - maślane oczka Baxtera, pańskie akcje, panie Baxter, znowu idą w górę! „Co za dranie - zawołał Anton - ani słowa o naszych hasłach“.

A oto efektowne sceny: Wilcza Sotnia naciera. Otwarte usta, szable nad głowami. Szable są stępione, nie nadają się do zabijania, ale do kalectwa owszem. Z drugiej strony nacierają, skaczą z balkonów starych hoteli „czerwoni frontowcy“. „Koktajle Mołotowa“ znowu wróciły do mody! Kamera ukazuje panoramę ogarniętego walką nabrzeża, zbliżenie.

- To ja, ja! - wykrzyknął radośnie Kostieńka Nesselrode, chociaż nie było powodu do dumy - rozwścieczony, zaczerwieniony policjant przyciska go do ściany i młóci rękami i nogami.

Mignął Anton, który usiłował stosować tajwańskie chwyt swego ojca, ale oberwał w policzek tępą szablą. Na ekranie znowu się pojawili Arsienij Nikołajewicz i Fred Baxter. Pierwszy wkładał okulary przeciwsłoneczne, drugi osłaniał twarz rondem beżowego kapelusza z kolorową wstążką. „Nie przeszkadzajcie nam, panowie - skomentował sarkastycznie prezenter. - My się rozkoszujemy wodą Uczan - Su“.

Krótką reklamą wody. Zwarte szeregi policjantów niczym rzymskie kohorty nacierają ze wszystkich stron. Strumienie wody, gazy łązujące. Ucieczka. Opustoszałe nabrzeże ze śladami walki, dopalające się samochody, stłuczone szyby. Trzej prezenterzy patrzą na siebie, uśmiechają się dwuznacznie. Czyje idee zwyciężyły? Kto jest górą? Jak w takich przypadkach mówią w Związku Radzieckim - zwyciężyła przyjaźń!

Na ekranie pojawiły się serpentyny drogi biegnącej do Arteku, na niej powoli jadący starym odkrytym wozem Arsienij Nikołajewicz. Może w tym kontekście rozważyć dzisiejsze wydarzenia szacowny członek Tymczasowej Dumy Arsienij Nikołajewicz Łuczniukow. A ciekawe, gdzie przebywa jego syn, redaktor naczelny „Kuriera“? Czyżby znowu w...?

Program zakończono wielokropkiem.

Trzeba się trzymać z dala od tego zwariowanego świata, pomyślał Arsienij Nikołajewicz. Siedzieć u siebie na górze i strzelać do reporterów.

- Świnie! - ryknął Anton. - Mają w pogardzie ludzkie sprawy, patrzą na nie z góry! Następny wiec Jaki zorganizujemy obok telewizji! Potrząśniemy bandą intelektualistów, którzy chętnie wydadzą nasz naród na stracenie, byle mieli okazję uśmiechać się do kamery!

- Nie pozwolimy! - zawołał entuzjastycznie Kostieńka, słabym jeszcze głosem.

- Jeżeli chodzi o mnie, to jestem zwolenniczką ZWL! - oznajmiła donośnie Lidoczka Nesselrode. Stała w kącie werandy na de ciemnego morza, tunika powiewała na wietrze, opinała jej smukłą postać, kasztanowate włosy falowały.

Pozostali „Grecy“ odchodzili od telewizora z ironicznymi uśmieszkami, imponowała im „banda intelektualistów“ z telewizji. Niektórzy ciekawie patrzyli na Lidoczkę - chce przypodobać się Antonowi czy dziadkowi Arsienijowi. Można zrozumieć, że chłopcy powariowali na punkcie nowej narodowości, ale trzydziestoletnia kurewka, która postanowiła złapać naczelnego „Kuriera“ i w tym celu stroi się w piórka wyznawczyni Idei Wspólnego Losu - to, za przeproszeniem, śmiechu warte! Założmy, proszę państwa, że marzenie Lidoczki Nesselrode spełni się, że się zwiąże z rodziną Łuczniaków. Co ją czeka w nowym układzie rodzinnym? Tata Nesselrode jest starym monarchistą, a ona go uwielbia. Mama Nesselrode jest konstytucyjną monarchistką, a mama to drugie ja Lidoczki, która zresztą odebrała angielskie wychowanie. Przyszły teść panny Nesselrode - jeden z filarów wyspiarskiej demokracji, konstytucyjny demokrata. Przyszły mąż - twórca Idei Wspólnego Losu, czyli zwolennik sowietyzacji Krymu.

A przyszły pasierb, który jest tu z nami, to obywatel Jakilandu. Biedna panna, ile nadziei bije z jej twarzy, jak romantycznie powiewają jej szaty na de Morza Czarnego! Pewnie widzi już naszego monarchę w roli genseka KC KPZR i politbiura, przestrzegającego konstytucji, zgłoszonej przez Partię Wolności Narodowej i Jaki ASRR pod czerwonymi sztandarami Wspólnego Losu...

Arsienija Nikołajewicza poproszono do telefonu, w słuchawce usłyszał głos Baxtera:

- Halo, Arsen - bełkotał stary rozpustnik. - Wygląda na to, że jeszcze nie wypadliśmy z obiegu.

- Gratuluję - powiedział oschle Arsienij Nikołajewicz. - Twoje sukcesy wcale mnie nie dotyczą.

Baxter zachichotał.

- Nie rozumiałeś mnie, staruszkę. Miałem na myśli przekłętą publikatory. U was na Krymie są one bardziej natrętne niż nawet w Stanach Zjednoczonych. Poinformowano całą wyspę, że jesteś u Nesselrode, a jakiś drań od godziny fotografuje z pirsu moją skorupę. Czego oni potrzebują od dwóch ramoli?

- Czy po to do mnie dzwonisz? - spytał Arsienij Nikołajewicz. - Chcesz, żebym ci odpowiedział na to pytanie?

- Nie denerwuj się, brachu. Złóścisz się, jakbym ci odebrał dziewczynę. Przecież ona była niczyja, całkiem sama i niczyja, nigdy nikomu nie wchodziłem w paradę, wybaczone moje kontrrewolucyjne nawyki.

- Daj mi spokój, stary - Arsienij Nikołajewicz ani razu nie wymienił imienia rozmówcy, ponieważ nieopodal przechadzał się Wadim Wostok i wyraźnie strzygł uchem. - Dzisiaj wieczorem wracam na swoją górę. Przyjedź, odetchniesz czystym powietrzem. Możesz przywieźć ze sobą, kogo chcesz - podkreślił to oficjalnie.

- Musimy się zobaczyć - powiedział Baxter rzeczowo, nawet trochę ostro. - Nie mówiłem ci, że stąd lecę do Moskwy. Rano będę na Szeremietiewie. Ty wybierasz się do symferopolskiego portu lotniczego, by spotkać syna. Wyjedź zaraz, spotkajmy się na godzinkę w Aero Symfi. W barze Imperium. Dobrze?

Łuczniak senior odłożył słuchawkę, wrócił na werandę, odszukał wnuka i zaproponował wspólny wyjazd na lotnisko po ojca. Nieoczekiwanie wnuk zgodził się chętnie, nawet jakby się ucieszył. Skąd przyjedzie mój stary *atac*? - spytał.

Arsienij Nikołajewicz wzruszył ramionami.

- Oczekiwałem go z Moskwy, ale wraca ze Sztokholmu.

- Po moim starym można się wszystkiego spodziewać - powiedział Anton. - Nie będę zdziwiony, jeżeli kiedyś spadnie do nas z Kosmosu.

Arsienija Nikołajewicza ucieszyły ciepłe nutki w głosie wnuka. Jednak kocha ojca, to nie ulega wątpliwości. Kiedy wraca od mamuni, obecnie hrabiny Malcovanti, jest wyraźnie wrogi, obcy, ale jak pomieszka trochę z dala od niej, znowu jest sympatycznym Antoszka Łuczniakowem.

Zbliżyła się Lidoczka Nesselrode, miała błagalne oczy.

- Czy nie mogłabym towarzyszyć panu? Dawno nie ruszałam się z domu, siedzę na Krymie kamieniem, atmosfera nocnego życia portu lotniczego to dla mnie natchnienie. Jestem trochę poetką...

- Poetką? - zdziwił się Anton. - Kim ty właściwie jesteś, Lidko? Czy to prawda, co o tobie mówią?

- Wstręciuch! - Lidoczka pogroziła mu piąstką. - Mogłabym być twoją matką! - zerkała uważnie na Arsienija Nikołajewicza.

Musiał zabrać do wozu tę idiotkę w tunice. Posadzili ją na szerokim tylnym siedzeniu, sami usiedli z przodu, prowadził Anton.

Przez całą drogę Anton mówił o swojej nowej ideologii, być może chciał, nim dojadą do portu lotniczego, nawrócić dziadka na swoją wiarę. Sześćdziesiąt procent mieszkańców Wyspy uważa się za Jaki. Wy, starzy wrewakuanci, zwyczajnie nie nadążacie za życiem, nie znacie problemów miejscowej ludności ani tendencji współczesnego życia. Budzenie świadomości narodowej - oto zadanie dzisiejszej młodzieży. Rosjanie na Wyspie - to dzień wczorajszy, Tatarzy - to dzień przedwczorajszy, ludność anglojęzyczna - to w ogóle bzdura. Nie należy czepiać się upiórów, trzeba szukać nowych dróg.

Dziadek zgodził się, że rozumowanie wnuka nie jest pozbawione logiki, ale uznał je za przedwczesne. Musi minąć kilka pokoleń, by powstała nowa narodowość. Nie ma jeszcze kultury Jaki ani języka Jaki. To, co obecnie istnieje, jest zwykłą mieszanką zniekształconych słów rosyjskich, tatarskich, angielskich, przyprawioną elementami łaciny i greki.

Wnuk z tym polemizował. Niedługo pojawią się podręczniki do nauki języka Jaki, słowniki, gazety i czasopisma, kanał telewizyjny. Są już pisarze Jaki, jednym z nich jest on sam, Ton Łucz...

- Wasz ruch - powiedział Arsienij Nikołajewicz - skoro już istnieje, powinien stawiać sobie skromniejsze cele, koncentrować się na sprawach oświaty, a nie na...

- Jeżeli będziemy stawiali sobie skromniejsze cele, to się spóźnimy - powiedział cicho i bardzo poważnie Anton. - Może masz rację, dziadku, urodziliśmy się zbyt wcześnie, ale jeżeli będziemy czekali, wszystko się szybko skończy. Pożre nas Związek Radziecki albo powstanie tu faszyzm... krótko mówiąc... - Anton zamilkł.

Arsienij Nikołajewicz po raz pierwszy spojrział poważnie na swego wnuka, po raz pierwszy uświadomił sobie, że go nie docenia, że wnuk jest człowiekiem całkiem dorosłym.

Lidoczka Nesselrode nie uczestniczyła w męskiej rozmowie, była bardzo kobieca i romantyczna. Wsparta na skórzanych poduszkach, pograżyła się w marzeniach, podziwiała gwiazdy, księżyc, obłoki.

Aero Symfi leżał na północ od stolicy, zaraz za zboczami Gór Krymskich, stanowił całe miasto z grupami oświetlonych teraz budynków różnej wysokości, siecią szos i niezliczonymi parkingami, zastawionymi mrowiem samochodów. W centrum, przy pasach startowych, wznosił się ogromny doświetlony grzyb (jeżeli można tak określić kształt owej

budowli) - główna wieża Aero Symfi.

Administracja portu lotniczego szczyła się tym, że pasażerowie niechętnie go opuszczali. Były tu niezliczone sale, hole, salony, sklepy czynne przez całą dobę, przytulne bary, miękkie sprężyste podłogi, relaksująca muzyka, która nie zagłuszała informacji, niegłośnych, ale znakomicie wpadających w ucho... Człowiek czuł tutaj, że jest pod fachową, nienatrętną opieką, jaką może zapewnić współczesna, dbająca o ludzi cywilizacja, dlatego też nie miał ochoty odlatywać do jakiejś koszarnej, deszczowej Moskwy ani do wiecznie strajkującego Paryża, gdzie jego walizkę mogą po prostu wyrzucić na ulicę. Właściwie po co odlatywać z Aero Symfi? Można tu żyć tygodniami, spacerować po rozległym gmaszysku, obserwować stany i lądowania, jadać smakowite posiłki w różnych narodowych knajpkach, zawierać znajomości z lekkomyślnymi tranzytowymi pasażerami, nocować w klimatyzowanych, dźwiękoszczelnych pokojach, nie wyjeżdżać nigdzie, ale przebywać w atmosferze podróży.

O tej porze w barze Imperium było pusto, siedział tylko Fred Baxter ze swoją panią. Stary rozpustnik ceremonialnie dokonał prezentacji:

- To mój przyjaciel, Tino, jeszcze z czasów wojny, stary Arsi, przedstawiam ci, Arsi, mademoiselle Tinę z Finlandii. Znasz fiński, Arsi? Szkoda. Mademoiselle Tina zna angielski, niemiecki, nawet trochę mówi po rosyjsku. I po francusku także - dodał z uśmiechem.

Tina (to znaczy Tania) z miłym uśmiechem uściśnęła dłoń Arsienija Nikołajewicza, ale stary szlachcic miał wrażenie, że w jej szczerym, spokojnym uśmiechu kryje się odrobina pogardy. Siedzieli w niszy na półokrągłej kozetce obitej safianem, przy stole, nad którym wisiała staromodna lampa z frędzlami.

- Muszę przed odjazdem obgadać pewną sprawę - Baxter był zmęczony i jakby smutny.
- Może mademoiselle Tina posiedzi z młodzieżą przy barze? - Prosimy panią do nas - powiedział Anton.

Poprowadził kobiety w stronę baru, gdzie nudził się samotny przystojny barman. Miał szpakowate skronie i wyglądał jak żywa reklama „Napij się smirnoffa, a świat nabierze blasku!”. Okazało się, że jest narodowości Jaki (albo może się tylko za takiego uważał i poszarpana koszulka Antona wzbudziła w nim sympatię. Włączył telewizor za barem, na jednym z dwunastu kanałów znalazł powtórkę reportażu z demonstracji. Anton komentował sceny, usiłował wyjaśnić przebieg zajścia, odwoływał się do Lidoczki Nesselrode, ale ona tylko się uśmiechała, zachowując się tak, jakby w ogóle jej to nie dotyczyło: wieczór w porcie lotniczym, młoda arystokratka oczekuje na przylot narzeczonego, także arystokraty. W świecie prostackich awantur zbliżały się ku sobie dwie arystokratyczne dusze.

Tania udawała, że niewiele rozumie po rosyjsku i znacznie więcej niż w rzeczywistości rozumie po angielsku. Jak zwykle na Krymie rozmowa toczyła się w różnych językach, z rosyjskiego przechodzili na angielski, padały słowa tatarskie, włoskie i całkiem nieznanego pochodzenia.

- To trudny problem, proszę pana - mówił barman. - Na przykład mój tata jest czystej krwi Kozakiem dońskim, a mama pół Greczynką, pół Angielką. Ja ożeniłem się z Tatarką, a moja córka niedawno wyszła za mąż za Serba, ćwierć krwi Włocha. Mamy na naszej Wyspie niezły koktajl.

- Ten koktajl nazywa się Jaki - powiedział Anton. Barman klepnął się w czoło.

- Wspaniały pomysł, proszę pana. To będzie mój firmowy napój! Koktajl Jaki! Opatentuję to!

- Musi mi pan postawić kolejkę za pomysł! - śmiał się Anton.

- *Whenever you want, sir!* - odpowiedział wesoło barman.

- Pani jest turystką, kochanie? - spytała Tanię Lidoczka Nesselrode. - Wie pani, ja tu czekam na swego narzeczonego, wraca dzisiaj z dalekiej podróży. Nie rozumie pani? *Nicht verstehen?*

Tymczasem starzy przyjaciele gawędzili pod lampą z frędzlami.

- Nasze życie dobiega końca, Arsieniju - powiedział Baxter. - Napijmy się jak za dawnych czasów!

- Ja nigdy w dawnych czasach nie upijałem się, w przeciwieństwie do ciebie - odparł Arsienij Nikołajewicz. - Nigdy się nie staczałem na dno.

- Rozumiem, co masz na myśli - wymamrotał Baxter ze smutną i skruszoną miną. - Wcale się nie stoczyłem, Arsi. To moja ostatnia szansa, wybacz, przyzwyczałem się płacić kobietom za miłość. Nie gniewaj się na mnie. Znowu się zakochałem, Arsi. Kupuję jakąś kurwę za sto franków i zakochuję się. Ale teraz... teraz rozkleiłem się całkiem, Arsi. Stary sentymentalny dziad... Wiesz, ta Tina to чудо, możesz mi wierzyć, nigdy nie miałem takiej kobiety. To coś szczególnego, Arsi. Jest słodka.

- Zamknij się - Arsienij Nikołajewicz skrzywił się z odrazą. - Nie interesują mnie wyznania śliniącego się sklerotyka...

- Zgoda - Baxter położył swoją zdeformowaną bokerską łapę z wątrobianymi plamami na szczupłej dłoni Arsienija Nikołajewicza.

Arsienij Nikołajewicz z dziwną satysfakcją pomyślał, że na szczęście nie ma takich ohydnych przebarwień.

- Czy wiesz, Arsi, ilu naszych rówieśników zostało przy życiu - spytał Baxter.

- Nie myślę, o tym, Bak - Arsienij Nikołajewicz wzruszył ramionami. - Żyję na swojej górze, myślę o żyjących, szczególnie o Maksie...

- Chciałbym mieszkać obok ciebie na górze - powiedział Baxter. - Obok Maksa...

- Upiłeś się jednak - Arsienij Nikołajewicz zajrzał do jego szklanki. - Co ty pijesz?

- Słowo honoru, Arsi, teraz mam w nosie i biznes, i politykę. Kiedy życie dobiega końca, najważniejsze są stosunki między ludźmi. Mówią mi: jesteś Noe, możesz poprowadzić naszą arkę! Odpowiadam: bzdura. Jaki ze mnie Noe, jestem starym capem, którego należy wyrzucić na śmietnik. Niech to jasny piorun, przyjechałem tu przed nudną wyprawą do Moskwy w sprawach finansowych tylko po, żeby się zobaczyć z tobą, mój przyjacielu.

Rozparł się na safianowych poduszkach i nagle uważnie spojrzął na starego przyjaciela, na którego dotychczas jakby nie zwracał uwagi, traktując go jak dyktafon.

- Oto, kto jest Noem - powiedział uroczyście. - Ty, Arsienij Łucznirow! Posłuchaj - znowu oparł się łokciami o stół, przybierając postawę kierowcy ciężarówki - wiesz oczywiście, że na świecie istnieje coś takiego, jak Komisja Trójstronna. Bywam często na jej posiedzeniach, udaję, że wszystko rozumiem i że bardzo szanuję dżentelmenów, zajmujących się ratowaniem ludzkości. Ze względu na brak Noego arkę budują chamy, semowie i jafetowie. Krótko mówiąc, dowiedzieli się tam, że jesteśmy przyjaciółmi i zaczęli mnie podjudzać. Chcesz wiedzieć, co w Komisji Trójstronnej myślą o sytuacji na Wyspie Krym? Ja pluję na ich zdanie, chciałbym z tobą i resztą naszych rówieśników przeżyć wyznaczony nam czas i dołączyć do innych w dobrym starym angielskim stylu, ale oni powiedzieli, że nasza komisja buduje arkę, mającą uratować ludzkość od czerwonego potopu... Prosił mnie, bym z tobą porozmawiał, powiedzieli, że jesteś krymskim Noem. Oni w tej komisji coś kombinują w związku z arką, ale jedno mogę ci powiedzieć, nie z ich powodu przyjechałem tutaj, po prostu chciałem się z tobą zobaczyć...

- Ty rzeczywiście sklerociejesz, Bak... - powiedział z irytacją Arsienij Nikołajewicz.

- No dobrze, już ci przedstawiam sedno sprawy - Baxter zapalił cygaro i niespiesznie, rzeczowo i zwięźle zaczął referować sprawę. Pewnie tak przemawiał na posiedzeniach Komisji Trójstronnej i zarządu swego banku.

- Sytuacja na Krymie i wokół niego wymknęła się spod kontroli. Związek Radziecki może go w każdej chwili zagarnąć. Wyspa znajduje się w strefie wpływów radzieckich. Ludność jest zdemoralizowana przez rozszalałą demokrację. Umysły opanowała Idea Wspólnego Losu. Większość nie zdaje sobie sprawy ze skutków anszlusu. Do połknięcia malucha przez olbrzyma nie doszło dotychczas jedynie dlatego, że wpływowe siły w Rosji nie chcą was połykać, co więcej, siły te odzwierciedlają ukryte nastroje mas, które nie mogą się ujawnić z przyczyn ideologicznych. Siły te nie potrzebują jeszcze jednej republiki autonomicznej, nie wiedzą, co zrobić z pięcioma milionami zbędnych ludzi, którym w dodatku obca jest specyficzna radziecka psychologia, rozumieją, że ekonomiczny rozkwit Krymu skończy się nazajutrz po jego przyłączeniu. Obecnie ich aparat przymusu dostosował się do istnienia za miedzą małej niby - Rosji, dostosował się ideologicznie, strategicznie i zwłaszcza - ekonomicznie. Według poufnych informacji jedna trzecia obcych walut dostaje się do Związku Radzieckiego przez Krym. Krótko mówiąc, status quo jest jakby wszystkim na rękę, nie mówiąc o tym, iż dodaje pewnej pikanterii stosunkom międzynarodowym. Jednak sytuacja wymyka się spod kontroli. Na Wyspie liczą się tylko nastroje proradzieckie i panrosyjskie. Reszta - Jaki, Chińczycy, Albańczycy, Wilcza Sotnia - to dziecinada. System radziecki - chociaż wydaje się to dziwne - w porównaniu z zachodnimi strukturami jest mało sterowny, ulega słabo zbadanym siłom żywiołowym, podobnym do ruchów tektonicznych. Bliski jest dzień, kiedy Związek Radziecki połknie Wyspę.

- U nas nikt w to nie wątpi - wtrącił Arsienij Nikołajewicz.

- Wybacz, ale Związek Radziecki będzie musiał połknąć Wyspę. Zrobi to wbrew swojej woli. Komisja Trójstronna odebrała na ten temat całkiem wyraźne sygnały bezpośrednio z Moskwy.

Jakiś czas patrzyli na siebie w milczeniu, aż wreszcie Arsienij Nikołajewicz, zapominając o tym, że postanowił nie palić, poprosił Baxtera o cygaro.

- I co dalej? - spytał, usiłując zajrzeć poprzez obłoczek dymu w kłujące niebieskie oczka Freda Baxtera, bandyty z zachodniej pustyni.

- Dalej zaczyna się literatura - uśmiechnął się Baxter. - Zachodowi, jak się wydaje, nie zależy na istnieniu niezależnego rosyjskiego terytorium. Pod względem strategicznym Krym, jak już mówiłem, w ogóle się nie liczy. Bogactw naturalnych ledwo starcza dla was, a Arbat Oil Company już kieruje się w stronę Zatoki Perskiej. Wasz przemysł to zbędny konkurent na naszym malejącym rynku. Więc niech się dzieje wola nieba. Ale nie, okazało się, że Zachodowi i przede wszystkim Komisji Trójstronnej zależy na istnieniu wolnego Krymu. Zgodnie ze współczesnym stanem umysłów zależy nam na jego istnieniu ze względów moralnych i estetycznych. Zachód życzy sobie, by wśród fal totalitarnego potopu pływała taka piękna arka - Wyspa Krym. Jak ci się ta bzdura podoba?

- To całkiem niegłupie - powiedział Arsienij Nikołajewicz.

- Aha - triumfował Baxter. - Odezwał się w tobie szlachecki romantyzm. Powinieneś w takim razie wiedzieć, że staromodny szlachecki sentymentalizm Rosjan, czyli tak zwane wysokie porywy, są przez współczesnych futurologów oceniane jako najbardziej pozytywna i pragmatyczna postawa ludzka.

- I dlatego jestem Noem? - uśmiechnął się Arsienij Nikołajewicz.

- Sure - kiwnął głową Baxter. - Nikt inny tylko ty.

- A gdzie nasz Ararat? - spytał Łucznikow.

- North Atlantic Treaty Organization - powiedział Baxter. - Nastąpi gwałtowne i zdecydowane wzmocnienie zachodniej, nawet proamerykańskiej orientacji. Zachodnie gwarancje wojskowe. Zostanie przywrócona stabilność i Moskwa odetchnie z ulgą. Zostanie przeprowadzona wściekła kampania propagandowa, utłuką pięćdziesięciu dysydentów, później uspokoi się wszystko. Komisja otrzymała z moskiewskich źródeł wyraźne aluzje na ten temat. Niektórzy rozumieją, że jedziemy na tym samym koniu... Czytałeś Sacharowa? Wyobraź sobie, że są na Kremlu ludzie, którzy go także czytają.

- Ja się nie nadaję - powiedział zdecydowanie Arsienij Nikołajewicz. - Jestem za stary, zbyt wiele smutku nagromadziło się we mnie, nie chcę tracić mojej góry, będę dalej siedział na niej, mam prawie osiemdziesiąt lat, jestem młody tylko w porównaniu z moją górą. A także nie chcę zostać wrogiem swego syna.

- Rozumiem - powiedział Baxter - Zabierz mnie na swoją górę, Arsi. Ja także mam wszystkiego dosyć, śmieszy mnie ta komisja, gdzie wszyscy są pragmatykami i optymistami, śmiać się chce, kiedy na nich patrzę i kiedy ich słucham. Jakiś Harry Kisselburger kładzie rękę na czole, jakby rozstrzygał problemy świata, a ja widzę szkielec, czaszkę i kości... Odchodzące życie... Chciałbym wierzyć, że decydujące wydarzenia zaczną się poza granicami życia. Sprzedaj mi, Arsi, kawałek swojej góry. Rzuciłbym wszystko, żeby mieszkać obok ciebie, wieczorami grywać w kanastę. Zabrałbym Tinę i żyłbym z nią na twojej górze...

- Akurat zostałaby z tobą tutaj - uśmiechnął się Arsienij Nikołajewicz, kładąc rękę na kark starego Baxtera.

Taki mieli zwyczaj, kiedy nie kleiła się rzeczowa rozmowa, zachowywali się tak, jakby o niej zapomnieli, jakby wcale jej nie było, co oznaczało, że bardziej cenią łączącą ich przyjaźń niż ekonomikę czy politykę.

- Dlaczego nie miałyby spędzać bodaj części roku ze mną na górze? - stary Bak naiwnie spoglądał niebieskimi bandyckimi oczkami. - Jeżeli będzie miała ochotę na jakiegoś młodego, sam wyślę ją do Nicei albo do Miami, dokąd tylko zechce. Przecież będą ją traktować trochę jak córkę. Trochę - podkreślił. - Arsi - szepnął do ucha przyjacielowi - powiem uczciwie, już proponowałem jej coś takiego. Proponowałem, żeby została moją towarzyszką życia, przyjacielem. Jestem przekonany, że dla niej prostytutka jest tylko zabawą. To szczególna kobieta, niewiele takich na świecie, możesz mi wierzyć, wiesz, że mam doświadczenie...

W tym momencie rozległ się łagodny dźwięk gongu i miły głos oznajmił, że samolot Sztokholm - Symferopol podchodzi do lądowania.

Z lewej strony barn zaświecił się duży ekran, na którym, na tle ciemnego nieba, pojawił się migocący światłami pozycyjnymi i oświetlający sobie drogę potężnym czołowym reflektorem jumbo jet linii SAS.

Supernowoczesny, nigdzie prócz Symfi nie stosowany system, włączył kamery telewizyjne na pokładzie ogromnego statku powietrznego, na ekranie ukazały się wnętrza czterech wielkich salonów, w których pasażerowie - jedni uśmiechnięci, inni poważni - szykowali się do wyjścia. W klasie biznes nie było Andrieja Łucznikowa, natomiast w zatłoczonym „ekonomicznym“ salonie chyba mignęła znajoma twarz, nie wiadomo dlaczego okropnie zarośnięta.

Tina zeskoczyła ze stołka i gdzieś pobiegła.

- Tino! - zawołał zaniepokojony Baxter.

Ale ona nawet się nie odwróciła.

Kiedy starsi panowie rozważali zagadnienia polityczne, do Tiny - Tani siedzącej przy barze zaczęło wreszcie docierać, w jak nieprawdopodobnej znalazła się sytuacji. Anton i Lidoczka niekiedy wymieniali jakieś uwagi po rosyjsku i Tania stopniowo zrozumiała, kto jest kim i po co całe towarzystwo przyjechało nocą do Aero Symfi. Ten rosły chłopak, który, nawiasem mówiąc, parę razy jakby przypadkiem pogłaskał ją po plecach, jest synem Andrieja. Ta romantyczna kretynka uważa się za narzeczoną Andrieja, a wysoki siwy starzec, przyjaciel jej dzisiejszego klienta, to ojciec Andrieja, słynny Arsienij Nikołajewicz Łucznirow. Tania struchlała, a kiedy na ekranie ukazał się jumbo jet, kiedy ujrzała - może tylko zdawało jej się, że ujrzała - uśmiechniętą twarz Andrieja, nie mogła już nad sobą zapanować, pobiegła przed siebie, byle znaleźć się jak najdalej stąd!

Przez pół godziny błąkała się wśród niezliczonych korytarzy, hal targowych, wjeżdżała i zjeżdżała ruchomymi schodami Aero Symfi. Pobrzmiwała niegłośna muzyka, tu i tam pytano ją, czy nie potrzebuje pomocy. Wargi Tani drżały, wydawało się jej, że za chwilę popędzi gdzieś, rozplaszczy się na ścianie, popełni po niej jak okaleczona mucha. Uświadomiła sobie, że ta jej „przygoda“ to zwyczajna prostytutka. Wolała nie myśleć o tym, jak wziął ją ten staruch, najpierw rozebrał i dotykał, powoli z namysłem, potem, jak młodzik, przytulił się mocno, wziął ją i robił to długo, bełkocząc amerykańskie sprośności, których na szczęście nie rozumiała, a później... a później stary idiota wyznał miłość — komu - kurewce? Miał jeszcze inne zachcianki... może wszczepiono mu małpie gruczoły? Do licha z obrzydliwymi wspomnieniami... Miała twarz wykrzywioną złością, kiedy weszła do oddziału Krajnia Bank i okazała młodemu wystraszonemu urzędnikowi czek Baxtera.

Okazało się, że czek opiewał nie na trzy, lecz na pięć tysięcy dolarów. Stary szczodry goryl! Urzędnik, przejęty szacunkiem dla podpisu goryla, wypłacił Tani nowiutki banknoty, wyemitowane przez Bank Sił Zbrojnych Południa Rosji. Takiego mnóstwa tyczy Tania nigdy nie miała w ręku. Oto moja przyszłość - zostanę kurwą. Ale kto będzie mi tyle płacił? Będę pracowała na dworcach, w kabinach sanitariatów. Widocznie coś się we mnie załamało, kiedy podpisałam zgodę na współpracę z Siergiejewem, a może wcześniej, kiedy Mał skatował Andriej a. Takie przeżycia nie mijają bez śladu. Nie pomogą żadne tłumaczenia, żadne powoływanie się na urazy psychiczne - jesteś sprzedajną informatorką, brudną kurwą. Nie zasługujesz na Andrieja, nie wolno ci sypiać z mężem, nie wiadomo, czy stary nie przekazał ci jakiejś pamiątki wtedy na jachcie, którego załoga przeżyła się, jakby na pokład weszła Grace Kelly, a nie dziwka z nadmorskiej kawiarni; nie masz prawa kontaktować się z dziećmi, jak je wychowasz, dziwko?

Zatrzymała się w miejscu, gdzie dwaj policjanci uzbrojeni w pistolety maszynowe uważnie obserwowali na ekranie monitora ludzki potok, wypływający z brzucha skandynawskiego statku powietrznego prosto do jasno oświetlonego korytarza. Policjanci odsunęli się uprzejmię, żeby zrobić jej miejsce.

- Madame z Francji? - spytał jeden z nich.

- Z Moskwy - powiedziała.

- O! - zdziwił się policjant. - Nawiała pani?

- Niby dlaczego? - burknęła Tania. - Przyjechałam służbowo.

- Brawo - powiedział policjant. - Nie pochwalam ludzi, którzy uciekają z wielkiego Związku Radzieckiego.

Drugi policjant bez słowa podsunął Tani krzesło.

Od razu zobaczyła Andrieja, który szedł korytarzem z obrzydliwym zielonym plecakiem. Był ubrany od stóp do głów w radzieckie szmaty. Wiotkie dzinsy z tkaniny planeta, wyraźnie z cudzego tyłka, wisiały na nim jak worek. Na głowie miał tak zwaną

czapkę turystyczną — bezkształtną płócienną myckę z napisem „Leningrad“ i plastikowym daszkiem w kolorze kisielu z czarnych jagód. Pod krótką, rozpiętą kamizelką z jakiejś dzianiny widać było obrzydliwą kwiecistą koszulę. Zniknęły zabójcze rude wąsy, ponieważ całą twarz aż po oczy miał zarosniętą gęstą rudą szczeciną z kępkami siwizny. Był wesolutki, roześmiany, wymachiwał rękami, witał niewidocznych na ekranie bliskich - tatuśka, pięknego synalka, romantyczną żylastą kretynkę - narzeczoną, pewnie także wstrętnego amerykańskiego bogacza z przeszczepionym małpim hormonem.

- Czy nie na niego pani czeka? - spytał policjant, przerywając żucie gumy. Łucznikow minął kamerę.

Tania nie odpowiedziała, zerwała się, odepchnęła krzesło i popędziła na koniec korytarza, gdzie świecił się w różnych językach napis „wyjście“, gdzie była czarna noc - nie wiadomo ratunek czy zagłada, i gdzie powoli podjeżdżały żółte krymskie taksówki marki ford piter.

- Dlaczego przyleciałeś ze Sztokholmu? - spytał Arsienij Nikołajewicz. - Spodziewaliśmy się ciebie z Moskwy.

- Nie wyobrażacie sobie, moi kochani, jakie miałem przygody w historycznej ojczyźnie - opowiadał wesoło Łucznikow, obejmując ojca i syna, i z pewnym zdziwieniem, ale przychylnie, patrząc na rozpromienioną Lidoczkę Nesselrode. - Po pierwsze, zgubiłem ogon i dałem od nich dyla. Dwa tygodnie włóczyłem się po centralnych guberniach bez żadnego dokumentu w kieszeni, wszyscy myślą, że w tym kraju coś takiego jest niemożliwe, ale to całkiem możliwe, kochani! Potem zaczęło się najciekawsze. Nie uwierzycie, ale udało mi się nielegalnie przekroczyć granicę!

Arsienij Nikołajewicz pobłażliwie słuchał wynurzeń syna. Przeżył kawał życia, siwieje, a wciąż zachowuje się jak smarkacz i popisuje się okropną radziecką ruszczyzną.

- Nasza ojczyzna jest krainą cudów - ciągnął Łucznikow. Opowiedział, jak cały tydzień we dwóch z jakimś zwariowanym jazzmanem płynęli kajakiem do jeziora Puchu Jarwe przez nieprzebyte ostępy Karelii, jak cały tydzień żyli nad tym jeziorem, żywiąc się borówkami i rybami i jak wreszcie przyleciał własnym samolotem pewien Szwed, przyjaciel owego jazzmana, Kerl Larson. Później tym samolocikiem, który niemal szorował brzuchem po wierzchołkach drzew, przebyli bez przeszkód granicę państwową. Ben - Iwan - ten jazzman - na jakiejś sobie tylko znanej podstawie uznał, że tego dnia żołnierze służby granicznej będą niezdolni do pełnienia służby, ponieważ do najbliższej spółdzielni przywieziono wódkę i portwajn. Miał rację, kiedy lecieli nad świętą ruską ziemią, żaden Usteczek nie drgnął, no i proszę - oto żelazna kurtyna, a Finów, którzy mają umowę ze stroną radziecką o odstawianiu zbiegów, przekupili wcześniej kilkoma skrzynkami wody... Do Sztokholmu dolecieli bez przeszkód i Ben - Iwan zamierza wrócić tą samą drogą. To typ ezoteryczny.

- Po co to robiłeś? - zdziwił się Arsienij Nikołajewicz. - Przecież jesteś dobrze widziany w Kraju Rad. Czyżbyś zmienił przekonania?

Andriej Arsieniewicz z nieukrywaną przyjemnością wychylił puchar oryginalnego szampana Nowy Świat, obwiodł wzrokiem obecnych i powiedział trochę górnolotnie:

- Wróciłem z Rosji pełen nadziei. To kraj wielkiej przyszłości!

Tania błąkała się po nocnej Jałcie, nie zwracając uwagi na jej urodę, nie widziała umieszczonych wysoko nad miastem, zasuniętych na noc parawanów klimatycznych, w których odbijało się światło księżyca, ani mrowia świateł na zboczach gór, ani szklanych wieżowców „drugiej linii“, pnących się w górę jeden za drugim, ani kamiennych lwów, orłów,

najad i atlantów przy historycznej „pierwszej linii“ na Nabrzeżu Tatarów. Nie zwracała na to uwagi, dygotała w panice! Kilkakrotnie dostrzegła swoje odbicie w szybie wystawowej, ale nie poznała twarzy wykrzywionej strachem, nie uświadamiała sobie własnej obecności w mieście, gdzie nieprzerwanie toczyło się życie. Odruchowo weszła do zalanego światłem, ale całkiem bezludnego supermarketu, przemierzyła go do końca, dotykała różnych rzeczy, nie zdając sprawy, co to takiego, przy wyjściu kupiła coś całkiem bezsensownego - boliwijski kapelus - i włożyła na głowę. Znalazła się na małym placu otoczonym starymi domami. Na dachu jednego z nich siedział kamienny orzeł z rozpostartymi skrzydłami, przy bramie innego leżały lwy; atlant i kariatyda dźwigali portyk trzeciego domu. Tu uspokoiła się trochę, poczuła głód. Ucieszyła się - po prostu jestem głodna, nie chcę się wieszać, topić ani truć, po prostu chcę coś zjeść.

Na placu pod wysokimi cyprysami, których wierzchołki łagodnie kołysał egejski wiaterek, stała przyczepa samochodowa z rejestracją RFN. Drzwi były otwarte, w środku kilka osób grało w karty, a facet w samych kąpielówkach palił, siedząc na schodkach. Na widok Tani pozdrowił ją uprzejmie i zapytał o seks.

- Bydlak - warknęła.

- *Entschuldigen mich* - przeprosił i dodał, że nie warto się denerwować.

Z drugiej strony placu świeciły się przeszklone ściany całodobowej knajpy. Widać było potężną kobietę, pożerającą potężny tort przybrany bitą śmietaną i truskawkami. Tania weszła do środka, usiadła nieopodal grubaski i zamówiła kebab. Dwaj uśmiechnięci chłopcy o wyglądzie południowców, którzy oczywiście myśleli tylko o seksie, w ciągu kilkunastu minut upiekli jej apetyczną porcję kebaba, postawili na stół drewnianą miskę z sałatą, oliwą, i przyprawę, butelkę wody mineralnej.

- To u pani z nerwów? - spytała grubaska, rozprawiając się z tortem.

- Co z nerwów? - Tania spojrzała na nią wrogo. Co za niechlujny babsztyl, grube łydki sterczą z szortów, zwisający brzuch, bluzka zachlapana bitą śmietaną, usta mokre - nie wiadomo, czy to rozmazana szminka, czy truskawka.

- Takie nocne przekąski - zachichotała grubaska. - Przysięgam, dawniej nigdy mi się to nie zdarzało. Byłam szczuplejsza od pani. Chłopaki na Nabrzeżu Tatarów gwizdali na mój widok. Podziwiano mnie, kiedy tańczyłam swinga, tyle było we mnie erotyki. Teraz przechodzę załamanie nerwowe, w dzień śpię, a w nocy pożeram torty. W ciągu jednej nocy siedem tortów. Nieźle? - Wpatrywała się w Tanię, ciekawa, czy ta kabalistyczna liczba zrobiła na niej wrażenie. Widząc, że nie, dodała niemal z pogrózką: - Czasami nawet tuzin! Tuzin tortów. Nieźle! A to wszystko przez mężczyzn!

Bezczelny wzrok grubaski świdrował Tanię. Czuła, że za chwilę usłyszy lesbijską propozycję. Co za paskudztwo. - Oto zwyrodnienia kapitalizmu. Nadmiar wszystkiego, nadmiar pieniędzy w kieszeni, wszyscy się prostytutują, łakną rozkoszy. Ginący świat. Muszę stąd uciekać jak najszybciej. Polecę jutro do Moskwy, do diabła z Łucznikowem, Siergiejewem i jego firmą, zabiorę dzieci z obozu pionierskiego, naprawię samochód i pojedziemy wszyscy do Cachkadzoru, do Mała. Będę trenować razem z nim. Tylko on naprawdę mnie kocha, jestem jego żoną, a on jest moim mężem, wszystko mi wybaczy, będę żyła w świecie, który jest moim światem, gdzie wszystkiego brakuje, gdzie się wszyscy wszystkiego boją, to prawda, ale jest to normalniejszy świat; zostanę ekspedientką albo magazynierką, będę kradła i czuła się jak normalny człowiek.

Tymczasem jadła szybko i chyba także bardzo niechlujnie, ponieważ przyprawa „tysiąc wysp“ dwa razy prysnęła na elegancką suknię, którą tej wiosny Andriej kupił jej w Teodozji w sklepie Muriel i Mery Liz.

Na drugim końcu długiego półokrągłego stołu siedziała chudziutka dziewczyna w ciemnej podkoszulce. Dziewczyna miała wielkie wystraszone oczy i głowę oskubanej kury. Tani w pewnej chwili wydało się, że to ona sama tam siedzi, że to jej odbicie. Znowu się przestraszyła, ale przypomniała sobie, że jest inaczej ubrana, włosy ma uczesane i w dodatku pożera kebab...

Z kuchni, lśniącej glazurą i aluminium, wyszedł mężczyzna w wieku około czterdziestu pięciu lat, pochylił się nad stołem i zaczął coś mówić do dziewczyny o wystraszonych oczach, uśmiechając się plugawie. Dziewczyna osłoniła się serwetką, zerkała dużymi oczami, chyba zamierzała uciec.

Do knajpy wszedł facet w ciemnych okularach, zamówił kawę i pił ją stojąc, nie patrzył na Tanię, ale niekiedy podnosił oczy do lustrzanego sufitu, w którym odbijała się cała sala. Pewnie mnie już ustalili, pomyślała Tania. To oczywiście Siergiejew. Jego mchy, jego okulary, tylko brodę ma jak Radames, ale taką brodę można przykleić. Nie dam się. Mam wszystkiego dosyć, ucieknę dzisiaj. Jeszcze dzisiaj ucieknę tam, gdzie mnie nie dosięgniecie, gdzie nie będą mnie uważali ani za prostytutkę ani za szpiega...

- Cha, cha, cha - zaśmiała się grubaska. - Nie oszuka mnie pani, jestem doświadczonym psychologiem, widzę, że to u pani na de nerwowym...

- Proszę dać mi spokój - wrzasnęła Tania. - Jestem po prostu głodna. Cały dzień nie jadłam. Jeżeli pani jest wariatką, to nie znaczy...

- No i co, mam cię! - grubaska nie słuchała Tani. Pochyliła się przez stół, wielką łapą zręcznie schwyciła za koszulę chłopaka południowca i ciągnęła ku sobie. - Oszukałeś mnie wczoraj, Luba Łukiczu, ale dzisiaj nie uciekniesz. Będziesz się musiał pohuścić na barchanach pustyni Sahary... - wsunęła chłopakowi do ust łyżkę śmietany z truskawkami. - Jedz, zdrajco!

Człowiek w ciemnych okularach powoli odwrócił głowę, filizankę z kawą wciąż trzymał przy ustach.

Ręka Tani drgnęła. Talerz z resztkami kebabu zsunął się z blatu i roztrzaskał na posadzce.

Mężczyzna w ciemnych okularach szybko wyszedł z knajpy i zniknął w mroku.

Dziewczyna o szalonych oczach przycisnęła do ust serwetkę, jakby chciała zdusić wyrrywający się z nich krzyk przerażenia.

Kucharz w oślepiająco białym ubraniu, wyraźnie jej prześladowca, przeskoczył przez stół, tak jak skaczą bohaterowie filmów kowbojskich, zgarnął dziewczynę, przycisnął jej biodra do swego podbrzusza. Grubaska potężną ręką trzymała południowca, a drugą pakowała mu do ust kawałki tortu.

Tania uświadomiła sobie nagle, że krzyczy, piszczy razem z nieszczęśliwą dziewczyną w podkoszulce i nie wie, gdzie ma uciekać. Na ciemnym placu czaiło się więcej szaleństwa i niebezpieczeństw, niż w tej jasno oświetlonej sali.

Tylko kasjer, przystojny starszawy południowiec, spokojnie siedział na środku sali. Palił holenderskie cygaro, czasem patrzył w oddalony kąt sali, gdzie - jak się okazało - siedzieli dwaj faceci w ciemnych okularach.

- *Okay?* - pytał niekiedy kasjer tamtych dwóch.

A oni ze śmiechem pokazywali kciuki.

Tania cisnęła kasjerowi jakiś banknot i pobiegła do obrotowych drzwi. Tu wpadła na wystraszoną dziewczynę. Nieszczęsna miała wygniecioną i poszarpaną spódnicę. Gonił ją okropny kucharz, nagi od pasa w dół. Dziewczyna pierwsza wyskoczyła na plac i

natychmiast zginęła w mroku. Tania biegła za nią.

Spokojnie szumiała fontanna, w misie z brązu baraszkowały dwa kupidyny. W niemieckiej przyczepie świeciły się okna. Panował spokój. Tania rozejrzała się. Nocna knajpa wyglądała całkiem spokojnie. Erotoman wracał do środka, kręcąc nagim tyłkiem. Grubaska jadła tort. Chłopak przy barze wycierał filiżanki. Kasjer, śmiejąc się, rozmawiał z dwoma mężczyznami w ciemnych okularach, którzy wyszli z kąta i stali przy kasie. Tania miała wrażenie, że zasnęła na chwilę i przyśniły jej się koszmary.

Usiadła na brzegu fontanny. Woda cicho szemrała. Śródziemnomorski wiatr leciutko burzył włosy, pochylał wierzchołki cyprysów, srebrzył listowie płątana. Orzeł, lwy, atlant i kariatyda - mile symbole spokojnej przeszłości. Teraz, kiedy nikt na nią nie patrzył, Tania rozplakała się jak dziecko. Z dziecinnych lat pamiętała, że płacz przynosi ulgę.

Na plac wychodziły trzy wąskie ulice. Z jednej, cicho warcząc, wyjechał luksusowy otwarty land - rover. Zatrzymał się przy przyczepie, jadący w nim ludzie poprosili Niemców, by zaśpiewali coś nazistowskiego.

- Nie znamy nazistowskich pieśni - tłumaczyli się Niemcy. - Nigdy nie znaleźliśmy.

- Nie możecie nie znać *Horst Wessel* - odpowiedzieli ludzie z land - rovera. - Zaśpiewajcie jak zwykle, objęci ramionami, kołysząc się.

Mówili łamaną angielszczyzną i Tania prawie wszystko rozumiała.

- Nie będziemy śpiewali tego paskudztwa! - Jeden z Niemców splunął.

- Zapłacimy - padła propozycja z land - rovera. - Zgoda? Bierzcie się za ręce i śpiewajcie. Słowa nie są ważne. Najważniejsze, żebyście się kołysali do taktu. Macie za to setkę.

Samochód wycofał się i szybko zniknął. Niemcy splekli ramiona i zaczęli śpiewać jakieś brednie. W trzech ciemnych ulicach ukazały się wolno kroczące słonie. W śródziemnomorskiej ciszy rozległ się przeraźliwy kobiecy krzyk. Tania ujrzała wykrzywioną przerażeniem twarz dziewczyny z dużymi oczami, podnoszącej się z misy z brązu, w której przed chwilą jeszcze nie było nikogo prócz baraszkujących kupidynów. Usłyszała własny przeraźliwy krzyk. Zaciśnęła dłońią usta, nie wiedząc, w którą stronę ma uciekać. Słonie były coraz bliżej, każdy dźwigał na grzbiecie owego seksualnego maniaka. Niemcy śpiewali, kołysząc się miarowo, robili to coraz chętniej, chyba nawet przypomnieli sobie słowa.

- Stop! - odezwał się nagle megafon. - *That's enough for tonight! All people are off till wednesday! Thank you for shooting!*

Zdjęcia zakończono. Wszyscy wyszli na plac. W ciemnych starych domach zaświeciły się okna, tu i tam kręciły się samochody ze sprzętem, krzatali się ludzie. Dziewczynę z wystraszonymi oczami wyciągnięto z fontanny, otulono wspaniałym szlafrokiem z alpaki. Odjechała w tym szlafroku sama przy kierownicy białego ferrari. Dopiero teraz Tania ją rozpoznała - to była znana aktorka.

Kilku filmowców podeszło do Tani, mówili coś do niej ze śmiechem. Nie rozumiała. Na brzegu fontanny usiadł człowiek podobny do Radamesa. Uśmiechał się do niej przyjaźnie.

- Oni mówią, że obecność pani na planie dodała scenie pikanterii. Odzwierciedlała pani kryzys bohaterki. Dziękują pani, nawet coś proponują. Zmiany w scenariuszu. Spore pieniądze.

- Do diabła z nimi - powiedziała Tania. Była śmiertelnie zmęczona. Kiedy wszyscy odeszli, Radames powiedział cicho:

- Obrzydliwi gangsterzy! Upodobali sobie naszą wyspę, kręcą tutaj bez końca swoje sprośne bzdury... Madame Łunina, jestem Wadim Wostokow, pułkownik Wostokow. Reprezentuję wywiad OSWAG, chciałbym z panią porozmawiać...

- Macie podobne zwyczaje - rzekła Tania. - Nawet ubieracie się podobnie.

- Ma pani na myśli naszych kolegów z Moskwy? - uśmiechnął się Wostokow. - Trafne spostrzeżenie. Wywiad naszych czasów to wielki międzynarodowy biznes, przynależność do niego wywiera jakieś wspólne piętno.

- Wywiad - Tania uśmiechnęła się złośliwie. - Należy raczej powiedzieć nadzór, szpiclowanie.

- Łaskawa pani - rzekł Wostokow ze smutkiem - nadzór nie jest najobrzydliwszą czynnością naszych służb.

- Czy pańska broda jest prawdziwa? - spytała Tania.

- Może pani szarpnąć - uśmiechnął się Wostokow.

Szarpnęła z przyjemnością. W rękę zostało kilka szpakowatych włosków. Strząsnęła je z obrzydzeniem. Wstała. Wostokow ujął ją delikatnie pod rękę.

Opuścili plac, przeszli około stu metrów w dół i znaleźli się na Nabrzeżu Tatarów. Zeszli jeszcze niżej, na plażę. Znajdowała się tu kawiarnia z ogródkiem. Widać było z niej port, gdzie przy pirsach cumowały duże statki spacerowe i oceaniczne jachty. Był między nimi jacht „Elise“ Freda Baxtera, na którym przed kilkoma godzinami Tania według moskiewskiego słownictwa „pokazała klasę“. Wostokow zamówił dżin z tonikiem.

- Piękna jest ta „Elise“ - powiedział z zadumą. - Pan Baxter ma niewątpliwie dobry gust.

- No śmiało, niechże pan mówi - zachęciła go Tania. - Proszę jednak wziąć pod uwagę, że ja niczego się nie boję. - Wypiła duszkiem koktajl i uspokoiła się.

- Rozumiem przyczyny pani odwagi - uśmiechnął się Wostokow.

Rzeczywiście krymscy i moskiewscy koledzy zachowują się zdumiewająco podobnie: leciutkie, całkiem leciutkie uśmieszki, obezwładniająca szczerłość z niedostrzegalnymi, dającymi się jednak odczuć pogroźkami - nie ma rady, taka służba, taki mój biznes, ale z ludzkiego punktu widzenia może pani liczyć na moją sympatię.

- Nie mam zamiaru, miła pani, zaskakiwać jej swoją wszechwiedzą, jak to bywa w kiepskich radzieckich powieściach sensacyjnych - ciągnął Wostokow. - Wszechwiedzę wywiadu wyolbrzymia zawsze sam wywiad.

- Dostrzegam różnicę - powiedziała Tania z uśmiechem. - Nasi czekiści nigdy się nie przyznają, że nie wszystko wiedzą.

- Jednak - kontynuował Wostokow - znane mi są przyczyny demonstrowanej przez panią pewności siebie. Po pierwsze - Andriej Łucznikow, odgrywający na naszej Wyspie wielką rolę. Po drugie - oczywiście pułkownik Siergiejew. - Wostokow przerwał na chwilę i zerknął na Tanię, ale ona tylko się uśmiechała. - Nawiasem mówiąc, znakomity specjalista. Proszę go ode mnie pozdrowić przy najbliższej okazji. - Zamilkł, jakby chcąc umożliwić Tani przetrwanie „oszałamiającej informacji“.

- Brawo - rzekła Tania. - Jest pan zbyt skromny, panie Wostokow. Dysponuje pan wprost zabójczymi informacjami, po co pomniejszać swoje zasługi?

- To niewłaściwe słowo, Tatiano Nikiticzno - uśmiechnął się Wostokow. - Ja nie pomniejszam swoich zasług. W naszych czasach łatwo zdobywa się informacje. Znacznie trudniej poznać psychologię interesującej nas osoby. Nie rozumiem na przykład przyczyn pani histerycznego zachowania w restauracji. A przecież zajmuję się panią od wielu lat.

Należy przyznać, że pan Wostokow wyprzedził towarzysza Siergiejewa o kilka długości.

- Więc, Tatiano Nikiticzno, może to ten epizod spowodował pani wybuch?

Wostokow wyjął z eleganckiego portfela i położył na stole kilka zdjęć. Tania i Baxter w łagodnym półmroku kajuty uśmiechają się do siebie z pucharami szampana. Rozbierają się. Naga Tania w ramionach starca. Zmienione twarze, czoła zroszone potem. Wypisywanie

czeku. Ojcowski uśmiech Baxtera.

W jej głowie znowu się wszystko zmaciło, w ściśniętej krtani uwiązał przeraźliwy krzyk. Pół setki kroków od nich falowało ciemne morze. Tam jest ratunek, zniknąć w falach, przemienić się w wodne stworzenie bez uczuć i myśli...

- ...Mówiłem pani, że nadzór nie jest najobrzydliwszą czynnością, którą musimy wykonywać - dotarł do niej głos Wostokowa. - To, co właśnie pani pokazałem, to niestety zwyczajny szantaż. Mogę tylko zapewnić, chociaż prawdopodobnie nie ma to dla pani większego znaczenia, że podjąłem się tej pracy z pobudek ideowych. Jestem, Tatiano Nikiticzno, rosyjskim arystokratą, my Wostokowowie wywodzimy się od...

- Arystokrata - głos Tani był schrypnięty, obcy - mógłbyś przynajmniej zgolić zawieszoną brodę, bydlaku. Obok takiego jak ty arystokraty - przypomniała sobie wulgarne moskiewskie powiedzonko - nawet srać nie usiądę.

Zmiotła ze stołu sztywne, jakby polaroidowe zdjęcia. Pofrunęły w czarnomorskie ciemności jak stadko gołębi. Nim opadną na plażowe otoczaki, albo odlecą do piekieł, gdzie jest właściwe dla nich miejsce, nim znikną, rozpuszczą się w słodkiej nocy kapitalistycznej dżungli, w której całe powietrze jest przesycone pornografią. Tania zacisnęła mocno powieki, żeby niczego nie widzieć, rękami zacisnęła uszy, by niczego nie słyszeć, w głowie przemknęła dziwna myśl, że kiedy otworzy oczy i odsłoni uszy, świat będzie już inny, nadejdzie świt, nad spokojnym morzem wstanie socjalistyczny poranek, tamto lato w obozie pionierskim na kaukaskim wybrzeżu, ostatnie lato w dziewictwie, godzinę później pozbawił ją cnoty trener gimnastyki, umięśniony facet podobny do Wostokowa, tylko bez staroegipskiej brody.

Kiedy otworzyła oczy i odsłoniła uszy, pułkownika Wostokowa rzeczywiście nie było. Na jego miejscu siedział kościsty mężczyzna o mokrych wargach, głupawym uśmiechu, odsłaniającym nie tylko długie zęby, lecz także blade, chore dziąsła, o przetłuszczonych włosach, rozchodzących się na boki jak dwa wronie skrzydła.

- Wstawaj, czekistowska suko! - powiedział bardzo wyraźnie. - Zaraz pokażemy tobie i twemu kochasiowi, lizusowi kremłowskiemu, że za wcześniej się cieszyacie. Wstawaj!

Nie wiadomo skąd zjawily się trzy postacie w ciemnych kurtkach z kapturami na głowach, zasłoniły morze.

Wstała, zastanawiając się gorączkowo, co robić, żeby nie wzięli jej żywej. Na razie nie będzie stawiać oporu. Będzie posłuszna, uspi ich czujność, a później skoczy z parapetu na kamienie albo pod koła samochodu, albo wyszarpane od kogoś nóż czy pistolet i... sobie w brzuch...

- Idź! - rozkazał dowódca ze złym uśmieszkiem. On także włożył na głowę kaptur.

Tania wyszła z kawiarni w otoczeniu czterech zakapturzonych facetów. Zauważyła kątem oka, że gospodarz i dwaj kelnerzy spoza oświetlonej lady obserwują z lękiem zajście. W zakamarkach mózgu przemknęła myśl, że być może to kolejne zdjęcia do filmu, na które trafiła przypadkowo, że za chwilę rozlegnie się głos:

- *Stop! Thank you for shooting!*

Niestety nie były to zdjęcia do filmu. Na nabrzeżu stał duży russo - bałt z przyciemnionymi szybami. Tanię pchnięto na tylne siedzenie, za nią wskoczyli trzej bandyci. Dowódca usiadł obok kierowcy, zdjął z głowy kaptur. Samochód ruszył nabrzeżem, skręcił na pas asfaltu biegnący w górę, bez wysiłku pokonywał wzniesienie, jadąc w kierunku estakady lub nie znanych jej górskich uliczek Jałty.

Bandyci zakleili Tani usta przylepcem. Potem jeden z nich rozpiął jej suknię i zaczął ścisnąć i ssać piersi. Drugi podniósł spódnicę, przeciął nożem figi, wepchnął łapę w krocze,

wszystko odbywało się w ciszy, bezgłośnie, tylko siedzący na przednim siedzeniu dowódca postękiwał z rozkoszy. Tania zrozumiała, że nigdzie nie ucieknie, dzieje się z nią coś okropnego i niestety to dopiero początek.

Samochód parł do przodu wąską uliczką, biegnącą wśród domów pogrążonych we śnie. Nagle z zaułka wyskoczył plamisty wojskowy wóz i zatrzymał się przed russo - bałtem. Jak zwykle podczas samochodowej kolizji początkowo nikt nie rozumiał, co się stało. Russo - bałt miał miękką tapicerkę, więc ani Tania, ani jej strażnicy nie ucierpieli. Na przednim siedzeniu jęczał, szlochał dowódca, który walnął łbem w przednią szybę. Kierowca nadział się piersią na kierownicę i stracił przytomność. Z wojskowego wozu wyskoczyło trzech chłopaków w desantowych kombinezonach. Przez tylne okno widać było nadjeżdżający szybko drugi identyczny samochód, z którego w biegu wyskoczyło trzech wojskowych z automatami. Rozległ się stłumiony strzał, drzwi russo - bałta otworzyły się i wojskowi wyciągnęli pasażerów na zewnątrz. Nie minęła minuta, a wszyscy czterej bandyci zostali zakuci w kajdanki. Wpakowano ich bez ceregieli do samochodu, który nadjechał z tyłu. Wrzucono tam również bezwładne ciało kierowcy.

Do Tani zbliżył się jeden z jej wyzwolicieli, zasalutował. Zauważyła na jego berecie tęczowy owal i przypomniała sobie, że to odznaka lotnictwa wojskowego przedrewolucyjnej Rosji.

- Prosimy o wybaczenie, lady, spóźniliśmy się trochę - powiedział żołnierz. - Oto pani torebka. Proszę tutaj. Nasz samochód jest w dobrym stanie. Może pani być spokojna. Zawieziemy panią do hotelu.

Twarz opalona, w uśmiechu błyszczą białe zęby. Z jakiego świata zjawilo się tych sześciu przystojnych chłopców? Zapięła na piersi poszarpaną suknię.

- Kim są ci łajdacy? - spytała drżącymi wargami.

- wybaczy pani, ale nie wiemy - powiedział żołnierz.

- A wy skąd jesteście?

- Lotnictwo wojskowe. Pododdział do zadań specjalnych - uśmiechnął się chłopak. - Alarm postawił nas na nogi. Wyjechaliśmy na osobisty rozkaz pułkownika Czernoka. Proszę się uspokoić, już wszystko w porządku.

Niezupełnie. W bezpiecznym, wygodnym pokoju hotelu Wasiljewskij Ostrow Tania padła na podłogę i poczołgała się do łazienki. Usiłowała ominąć miękki puf, stojący na środku pokoju, ale trafiła głową w stolik od telefonu, a jej nogi zaplątały się pod łóżkiem. Kilka minut szarpała się w tej pozycji, pojękując cicho, aż się rozzłościła i zaatakowała czerwony puf. Okazało się wtedy, że nawet kociak mógłby go odepchnąć. W końcu dotarła do łazienki, odkręciła do oporu wszystkie krany. Rozebrała się do naga w szumie wody i stanęła przed lustrem. Patrzyła na nią udręczona, szalona dziwka, jak tamta z restauracji. Jest prostytutką i agentką, po obrzydliwej nocy wróciła posiniaczona wstrętnymi łapami. Co tej nocy złapała - syfilis, tryper czy wszy łonowe? Komu się jeszcze sprzedała? Usiłuje zmyć z siebie brud. Gęstnieje para, lustro traci blask. To nie ona tam stoi, nie brudna kurwa, którą ciągle szarpia i wloką gdzieś. To jestem ja, trzydziestoosmioletnia matka dwojga ukochanych dzieci, żona ukochanego silnego męża, była mistrzyni świata, kochanka rosyjskiego dżentelmena, Rosjanka z krwi i kości, gotowa do poświęceń, która „...koniam w biegu zatrzyma, do izby płonącej wejdzie...”. Jej odbicie w lustrze zbladło, zniknęło. Z przepełnionej wanny wylewała się woda. Ze zdziwieniem zobaczyła, że przy łóżku pływają jej kapciuszki. Wyszła z wanny, podeszła do szafki nocnej, zaczęła wyjmować tabletki, jakie się trafiły - nasenne, przeczyszczające, rozkurczowe, wrzucała je do szklanki. Uzbierało się

dwie trzecie naczynia. Zaraz połknę wszystkie, pomyślała z jakimś wewnętrznym chichotem, popiję coca - colą z lodówki. Trzeba się pośpieszyć, nim lodówka nie utonie. Kiedy tu przyjdą, zobaczą ciało pływające pod sufitem. Świetny kawał. Ale będzie śmiechu w Moskwie. Przychodzi pokojówka, a Tanka Łunina pływa pod sufitem. Zdechła baba pod żyrandolem, świetny kawał...

W lewej ręce trzymała szklankę z tabletkami, w prawej otwartą butelkę coca - coli. Woda sięgała do kolan. Dobijano się do drzwi, bez przerwy dzwonił telefon. Do licha z nimi, nie dadzą dokończyć kawału.

- Madame, madame! Proszę pani! - darły się za drzwiami pokojówki.

Drzwi dygotały. Tania podniosła słuchawkę.

- Madame Łunina, w holu czeka na panią dżentelmen - powiedział recepcjonista modulowanym głosem.

Jeszcze jeden dżentelmen. Tylu wokół dżentelmenów. Połknąć naraz wszystkie tabletki, popić coca - colą. Ostatnia przyjemność w życiu - zimna coca - cola.

Wyważyli drzwi i wystraszeni uskoczyli w bok. Tania z chichotem powlokła się korytarzem. W końcu korytarza był balkon, stamtąd można obejrzeć cały hol. Ostami raz spojrzę na dżentelmena. Ciekawość nie jest grzechem, jest świństwem, jak głosi porzekadło. Ostatnie świństwo w życiu - popatrz na męską świnię, która czeka na świnię żeńską.

Na dole w holu siedział, założywszy nogę na nogę i studiując uważnie najnowszy numer „Kuriera“, Andriej Arsieniewicz Łucznikow. Był starannie ogolony i uczesany, miał na sobie elegancki letni garnitur od Saint - Laurenta. Tak go pochłoneła lektura, że nie zauważył paniki, która ogarnęła hotelową służbę, ani wody spływającej z balkonu do holu ani nagiej Tani, która patrzyła na niego z piętra.

- Andrieju! - zawołała rozpaczliwie.

Butelka z coca - colą i szklanka spadły na podłogę i stukły się. Na mokry dywan wysypały się kolorowe tabletki.

Łucznikow natychmiast zrozumiał wszystko, wbiegł na górę, objął drżącą Tanię, przytulił mocno.

Recepcjonista i jego pomocnik rozmawiali półgłosem za ladą, jakby nic dziwnego się nie działo, byli świetnymi zawodowcami.

- Proszę zwrócić uwagę, Muchtar - aga, jakie piękne panie przyjeżdżają teraz z Moskwy.

- Rzeczywiście, Flinch, widocznie nastąpił tam jakiś przełom.

- Co pan sądzi, Muchtar - aga, o Idei Wspólnego Losu?

- Jestem przekonany, Flinch, że wywrzemy korzystny wpływ na wielki Związek Radziecki. Nie jestem Rosjaninem, ale dumny jestem ze wspaniałych sukcesów Związku Radzieckiego. To kraj wielu narodów, a nad Wołgą mieszkają nasi bracia Tatarzy. A pan, Flinch? Ciekaw jestem, co pan, mieszkaniec Krymu pochodzenia angielskiego, myśli o połączeniu?

- Myślę, że pomożemy towarzyszom radzieckim rozwinąć hotelarstwo.

- Brawo, cieszę się, że mam takich postępowych kolegów.

- Panowie! - zawołał z góry Łucznikow. - Pomóżcie załadować do samochodu bagaże tej pani!

Kwadrans później pędzili turbo-piterem po głównej estakadzie w kierunku stolicy. Andriej co chwilę całował Tanię w policzek.

- Zamiast wszystkich tamtych tabletek połknij tę jedną - podał jej na dłoni różową tabletkę uspokajającą. - Już po wszystkim, Taniu. To moja wina. Zbyt pochłoneły mnie rosyjskie przygody i zaniedbałem ciebie. Chcesz wiedzieć, co się tej nocy wydarzyło?

- Nie! - zawołała. - Nie chcę o niczym wiedzieć! Nic się nie wydarzyło!

Różowa pigułka napełniła ją spokojem i radością. Świat nagle wypiękniał. Na horyzoncie widniały zielone wzgórza i grzbiety starych gór, romantyczna kraina, urzeczywistnione marzenia białej gwardii, fantastyczne miasta i góry Grina.

- Nic się ze mną nie wydarzyło, kochany - mruzczała Tania.

- Od czasu, kiedy wyszedłeś z naszego domu, nic mi się nie przydarzyło. To były zwidy pozbawione sensu. Tylko dzisiaj coś się wydarzyło. Przyjechałeś po mnie - to jednak ważne wydarzenie, więcej nie było nic.

Łucznikow uśmiechnął się, jeszcze raz ucałował jej policzek.

- Rzecz w tym, że wytropiła cię Wilcza Sotnia. To zakonspirowane (choć w naszych warunkach nie może być mowy o żadnej konspiracji) skrajnie prawicowe ugrupowanie SOOT

- Stowarzyszenia Odrodzenia Ojczyzny i Tronu. Faktycznie mają w nosie i ojczyznę, i tron. To zwyczajni faszyci, bandyci, którzy zawłaszczyli romantykę „białego ruchu“ i usiłują zbić na tym kapitał. Stąd wilcze ogony, jakie nosili generała Szkuro. Jest ich niewielu, społeczeństwo ich nie popiera, ale mają broń i pieniądze, a co najważniejsze - straceńczą determinację. Przewodzi im obecnie niejaki Ignatiew - Ignatiew, mój dumny kolega z klasy, który nienawidzi mnie przez całe życie, ma jakieś kompleksy związane z moją osobą, może dlatego, że jest homoseksualistą. To on zorganizował napad na ciebie. Śledzili cię w ostatnim okresie, aż w końcu porwali. Zamierzali zgwałcić ciebie, zhańbić, żeby się na mnie zemścić, zastraszyć. Na szczęście dowiedział się o tym nasz kolega Wadim Wostokow z OSWAG - u, zatelefonował do innego kolegi z klasy, Saszy Czernoka, lotnika wojskowego, a ten ściągnął swoją grupę specjalną. Teraz porywacze siedzą w areszcie i czeka ich proces. Oto wszystko.

- Wszystko? - upewniła się Tania.

- Tak - kolejny całus w policzek. - Podwójny Ignatiew to zwyrodnialec. Wszyscy moi koledzy z Trzeciego Symferopolskiego Gimnazjum imienia Cara Wyzwolicielea przyjaźnią się ze sobą i mają podobne poglądy. Jest nas dziewiętnastu, a każdy coś na tej Wyspie znaczy. Jesteś, moja dziewczynko, bezpieczna. Cieszę się, że spotkaliśmy się w końcu. Teraz zawsze będziemy razem.

Znajdowali się teraz nad Symferopolem, za chwilę mieli dać nura do jednego z tuneli Podziemnego Węzła. Pod nimi rozpościerało się niezwykle miasto.

- Widzisz ten wieżowiec w centrum? - spytał Łucznikow. - To siedziba „Kuriera“, a na samej górze znajduje się moje mieszkanie. Pobędziemy tam trzy dni, a później pojedziemy odpocząć do ojca na Siuriukkaja, może Antoszka zechce poznać swoją macochę.

- Nie! - zawołała Tania. - Nigdzie nie pojedziemy. Nigdzie nie będziemy mieszkali razem. Wyślij mnie natychmiast do Moskwy, Andrieju. Błagam!

- Daj spokój, kochanie - podał jej jeszcze jedną różową pigułkę. - Łyknij to. Jesteś dzielna, Tatiano, opanuj się. No zdarzyło się. Przecież w Związku Radzieckim także bywają takie napady, wcale nierzadko. Jak wynika z nieoficjalnych danych, prowadzimy w świecie pod względem przestępczości kryminalnej. Wszystko będzie dobrze, dziecinko...

Kilkanaście minut później wjeżdżali szybkobieżną windą na szczyt wieżowca.

Podobne do szałasów ogromne, chociaż jednoizbowe, mieszkanie Łucznikowa było cudem architektury dla playboyów: różne schody, antresole, kołyszące się posłania, paleniska, wanna, rzecz jasna zawieszona pod dachem. Tania upatrzyła sobie norę między występami ścian, na których wisiały tygrysy skóry. Miała przed sobą szklany stok dachu, a

za nim tylko niebo i szybko płynące obłoki.

- Podoba mi się tutaj. Nie dotykaj mnie, Andrieju. Bardzo proszę. Przykryj mnie jakimiś pledami, przynieś mleka i włącz telewizor. Najlepiej jakiś program sportowy. Nie dotykaj mnie, zawołam, kiedy będę gotowa.

Zrobił, jak sobie życzyła. Urządził przytulne legowisko, otulił ją jak dziecko szetlandzkimi i meksykańskimi pledami, przyniósł dzban gorącego mleka i grzanki. Włączył wielki telewizor, gdzie na jedenastym kanale nadawano bez końca programy sportowe.

- Cud sportowej długowieczności — powiedział przystojny szpakowaty prezenter. - Były mistrz świata w dziesięcioboju, medalista z lat sześćdziesiątych zamierza uczestniczyć w igrzyskach olimpijskich w konkurencji pchnięcia kulą.

- No proszę - powiedział Łucznikow. - Wszystko okay?

- Okay - szepnęła. - Idź już, czekają na ciebie koledzy z klasy.

VIII. W szklanym wigwamie

Koniec lata na Krymie. Na wschodzie pachnie usychający piołun, w centralnych obwodach - ciepła woń dorodnej pszenicy, w Bachczysaraju, Karasubazarze, Szufut Kale - korzenne aromaty tatarskich bazarów.

Trwały przygotowania do tradycyjnego rajdu samochodowego tak zwaną Starą Drogą Rzymską z Ałusztzy do Sugdei. Od dawna nikt tamtędy nie jeździł, zachowano ją tylko po to, by raz w roku mógł się tam odbyć szalony rajd, który przyciągał najznakomitszych zawodników świata. Drogę zbudowali władcy Królestwa Bosporańskiego jakby specjalnie dla rzymskich legionistów, którzy zniszczyli ich państwo. Osiemdziesiąt kilometrów gruntowej drogi ledwo przykrytej żwirem, z koleinami wyżłobionymi przed wiekami, z osypującym się poboczem, trzysta osiemnaście ostrych wiraży nad przepaściami i skalnymi urwiskami. Zwycięzcy Antycznego Rajdu byli największymi bohaterami Jaki. Przed piętnastu laty pierwsze miejsce zdobył Andriej Łucznirow, wyprzedzając światowych asów na wyścigowym piterze krajowej produkcji. Dzięki temu zwycięstwu zdobył ogromną popularność.

Na tej trasie kierowca czuje się jak lotnik podczas walki powietrznej, opowiadał przyjaciołom po latach swoje wrażenia. Mkniesz prosto w przepaść, ale nie wolno tknąć hamulca, z tyłu i z boków naciskają rywale. Uczestnik rajdu musi mieć w sobie dużo agresji. Dzisiaj nie byłbym do tego zdolny.

Tamtego wieczora w jego mieszkaniu zasiadło przy kominku siedmiu kolegów z klasy. Zajadali gorące szaszłyki, dostarczone z restauracji „Kuriera“, popijali ulubionego szampana. Tania patrzyła na nich ze swojej nory, którą wybrała pierwszego wieczora, skąd - należy podkreślić - starała się wychodzić jak najrzadziej. Od początku, to znaczy od kilku tygodni, niezmiennie oglądała program telewizyjny nadawany na jedenastym kanale - mecze koszykówki i piłki nożnej, wywiady, zawody lekkoatletyczne z całego świata. Działo to na nią uspokajająco. Niekiedy krymska telewizja nadawała informacje z Cachkadzoru. Mał przeżywał jakąś cudowną odnowę. Pojawiał się na ekranie duży, silny, pokazywał w uśmiechu białe zęby, oczywiście dziękował partii za otoczenie opieką radzieckiego sportu, następnie mówił o swoich coraz lepszych, imponujących wynikach. Tego roku kończył czterdzieści lat, a kulę raz po raz pchał na odległość dwudziestu jeden metrów. Chcąc nie chcąc, trzeba było odsunąć młodzież i włączyć Gleba do olimpijskiej reprezentacji kraju.

Tania patrzyła na przyjaciół Andrieja. Towarzystwo wyraźnie sfatygowane - łysiny, przerzedzone czupryny, siwiejące włosy. Zachowywali się jednak tak, jakby to była sprawa naturalna. Zakichani supermeni, myślała z irytacją Tania, gardzą starymi, kiedy sami są młodzi, a młodymi, kiedy ich własna młodość minęła.

A oni rozmawiali właśnie o tym, jak pokonać młodzież, agresywnych i utalentowanych Jaki. Wołodzieńka, hrabia Nowosilcew, najbliższy przyjaciel Andrieja, oznajmił nagle, że zamierza w tym roku ścigać się znowu na Starej Drodze Rzymskiej. Wiadomość ta zaskoczyła wszystkich, zamilkli, wpatrując się w hrabiego, który obojętnie popijał szampana.

W przeciwieństwie do Łucznirowa, hrabia Nowosilcew był zawodowym rajdowcem, prócz udziału w innych rajdach co najmniej siedmiokrotnie uczestniczył w Rajdzie

Antycznym i wygrał go trzy razy.

Kiedy Andriej przedstawił Tani hrabiego jako swego najbliższego przyjaciela, uśmiechnęła się tylko. „Najbliższy przyjaciel“ patrzył na nią tak, jakby nie wątpił, że nie unikną spotkania w łóżku. „Ten twój przyjaciel to wilczek“ - powiedziała później do Andrieja. Wilk - poprawił ją z naciskiem. „Powinieneś go pilnować“. „Właśnie to robię“ - uśmiechnął się.

- Czy nie za późno, Wołodzieńka? — spytał ostrożnie pułkownik Czernok. - W wieku czterdziestu sześciu lat może zawieść refleks.

- Załatwię wszystkich - powiedział zimno hrabia. - Możecie być pewni, że załatwię tę drobnicę na zwykłym żyguli.

Zadowolony z wrażenia opróżnił kielich, kiwnął niedbale przyjaciółom, nie zapomniał postać spojrzenia Tani. Tak, załatwi wszystkich tutejszych i zagranicznych gówniarzy na naszym (podkreślił) zwykłym radzieckim żyguli model 06. Oczywiście wyszykował samochód, chyba nikt w to nie wątpi. Wmontował silnik najnowszego pitera, podrasował go pewnymi drobiazgami z utajnionej techniki lotniczej (dziękuję, Sasza), przerobił również podwozie, przystosował włosko - radzieckiego mieszańca do opon wyścigowego huntera. Opony szerokości trzydziestu centymetrów, proszę panów, ze specjalną rzeźbą własnego pomysłu.

- Wspaniale, hrabio! - zawołał łysy chłopaczek Timosza Mieszkow, najbogatszy z obecnych, współwłaściciel naftowej ośmiornicy Arbat Oil Company. - Jestem tobą zachwycony, Wołodzieńka!

Wszyscy pamiętali, że mały Timoszeńka zawsze zachwycał się potężnym Wołodzieńka.

- A mówią, że arystokracja jest zdegenerowana!

- Arystokraci nie degenerowali się nigdy - rzekł pouczająco hrabia Nowosilcew. - Arystokracja zrodziła się przed wiekami z najsilniejszych, najdzielniejszych i najsprytniejszych wojowników, a są to czasy wcale nie takie odległe.

- Na czym właściwie polega sens twego wyzwania? - spytał spokojnie gruby profesor Fofanow, odpowiedzialny pracownik Tymczasowego Instytutu Kontaktów Międzynarodowych, czyli ministerstwa spraw zagranicznych Wyspy Krym.

- Jest w tym duży sens - powiedział z zadumą Łucznikow.

- Jaki! - zawołał hrabia. - Nasz przywódca wie, gdzie jest pies pogrzebany. Ja osobiście traktuję to jako wyczyn sportowy, ostatni mój wypad - znowu niby przypadkiem zerknął w kierunku Tani. - Ale przywódca, to znaczy Andriusza, wie, gdzie jest pogrzebany polityczny zdechłak. Musimy zwyciężyć na Starej Drodze Rzymskiej, utemperować młody wyspiarski naród, pięknych chłopców Jaki. I trzeba to zrobić właśnie teraz, w chwili powstania ZWL, trzy miesiące przed wyborami do Dumy. Czy zapomnieliście, że zwycięzca rajdu jest na Wyspie bohaterem, ma ogromny wpływ na społeczeństwo? Może zostać prezydentem, konsulem, królem, w każdym razie aż do następnego rajdu za rok. Poza tym - żyguli! Weźcie pod uwagę - zwycięży radziecki wóz!

Wszyscy milczeli. Któryś puścił w ruch butelkę. Tania nastawiła głośniej telewizor. Transmitowano arcynudny mecz o puchar UEFA, jakaś moskiewska drużyna broniła się niemrawo przed atakami agresywnych Holendrów.

- Czy już robiłeś próby? - spytał Łucznikow.

- Przejadę tę trasę z zamkniętymi oczami, Andrieju - powiedział hrabia. - Jeżeli jednak uważasz...

- Ja także wezmę udział w rajdzie - powiedział nagle Andriej.

Tania wyłączyła telewizor. Wszyscy spojrzeli na Łucznikowa.

- Oczywiście nie na żyguli - uśmiechnął się. - Pojadę, jak w dawnych czasach, na swoim piterze.

- A to po co, Andriusza? - spytał cicho hrabia Nowosilcew.

- Żeby zająć drugie miejsce, Wołodieńka - odpowiedział Łucznikow. - Albo pierwsze, jeżeli... jeżeli ty się rozwalisz...

Zapadło przykre milczenie, a potem wypsnęło się komuś: „Oto męczennicy idei!”. - Wybuchnęli śmiechem, zaczęli na wypródki żartować, co z nimi zrobią bolszewicy, kiedy zostanie urzeczywistniona idea ich życia, to znaczy, kiedy żałosna spelunka - ich mała, piękna ojczyzna - zostanie połączona z potwornym lewiatanem, ich praojczyzną. Zaryzykować, a na samochodach uczestniczących w rajdzie umieścić hasła IWL? Byłby to formalny komunikat o powstaniu związku. Co prawda cała Wyspa wie o IWL, pisze o tym prasa, temat IWL został podjęty w programach telewizyjnych, nie było jednak oficjalnego zawiadomienia o powstaniu związku.

- Biorąc pod uwagę nasze dalsze plany - powiedział Łucznikow - będzie to świetna zapowiedź. Wołodieńka jest nie tylko męczennikiem, ale także wizjonerem! Brawo, hrabio!

A dalsze plany? - Co dalej planuje to towarzyszycho? Tania zorientowała się nagle, że są to pytania szpiega.

- Ciekawe, co o tym myśli madame Tatiana? - hrabia Nowosilcew podniósł żółte, wilcze oczy.

- Myślę, że wszyscy jesteście samobójcami - powiedziała zimno.

Spodziewała się, że nastąpi wybuch śmiechu, ale zapadło milczenie. Zaskoczona przesunęła się na skraj pawlacza i spojrzała na dół. Wszyscy stali i patrzyli na nią bez słowa. Po raz pierwszy pomyślała, że są bardzo przystojni z tymi łysinami i siwiznami, młodzi niczym dekabryści.

- Nie tylko pani tak uważa - przerwał milczenie hrabia. Andriej zaśmiał się nieszczerze.

- Zaraz powie: przewraca się wam w głowie z dobrobytu, zwyrodnialcy.

- Jesteście zwyrodnialcami - powiedziała Tania. - Nie rozumiem waszego mędrkowania, ale że dobrobyt uderzył wam do głowy, to święta prawda.

Wzmocniła dźwięk w telewizorze, zaszyła się w swoim kącie, wzięła stertę francuskich czasopism z modą. Nie po raz pierwszy tłumiała w sobie wybuchy irytacji na Łucznikowa, teraz jednak zrozumiała, że Łucznikow naprawdę ją złości. Miłość mija. Ogarnął ją smutek, zszarzały kolorowe stronice czasopism i ekran telewizyjny, na którym właśnie pokazywano, jak nasi, po zainkasowaniu idiotycznego gola, wlekli się ponuro na środek boiska, by kontynuować walkę z silniejszym przeciwnikiem.

Andriej przychodził do niej każdej nocy, przyjmowała go zawsze, jak dawniej, potem Andriej szedł do siebie w głąb ogromnego wigwamu, kręcił się tam, rozmawiał z pracownikami przez wideotelefon, dzwonił do różnych krajów, coś pisał, pił szkocką, pluskał się w wannie. Tani wydawało się czasem, że odwiedził ją jakiś obcy mężczyzna, sprawił przyjemność obojgu, a teraz sobie poszedł i nic ją to nie obchodzi. Rozumiała, że trzeba o wszystkim powiedzieć Andriejowi: o Siergiejewie, dlaczego przyjęła propozycję, o swojej złości, o Baxterze, o Wostokowie. Tylko szczerza rozmowa może położyć tamę obcości, która się wkrada pomiędzy nich. Nie mogła mu jednak o tym mówić i powstawało w ten sposób błędne koło, pogłębiała się obcość.

A Łucznikow nie miał czasu zajmować się Tanią. Po powrocie ze Związku Radzieckiego przekonał się, że sytuacja gazety jest niepokojąca. Sprawy finansowe nadal wyglądały nieźle, zwrotów nie było, ale dziennik stracił dynamikę, którą tylko on mógł zapewnić. Idea

wspólnego Losu istniała na stronicach „Kuriera“ podczas nieobecności Łucznikowa, ale nie pulsowała żywą krwią. Informacje i materiały ze Związku Radzieckiego były nudne, przegadane, ten, kto interesował się Związkiem Radzieckim, powinien był raczej sięgać po „Słońce Rosji“ albo po tak reakcyjną gazetę jak „Russkij Artillerist“.

Po powrocie z podróży Łuczniwow sam zabrał się do pisania. Na łamach „Kuriera“ zaczęły ukazywać się jego eseje z podróży do „krajów cudów“. Pisał o ubóstwie współczesnego radzieckiego życia, o ucieczce inteligencji, o zastraszaniu tych, którzy zostali, i pojawianiu się nowych, nie zastraszonych, o zakłamaniu publikatorów, o skostnieniu elit władzy. Codziennie dzwonił do Moskwy, rozmawiał z Beklemiszewem, żądał krytycznych materiałów. W nieoficjalnym na razie ośrodku kierowniczym nie zarejestrowanego jeszcze, lecz już istniejącego ZWL panowało przekonanie, iż w przededniu dokonania historycznego wyboru nie wolno ukrywać prawdy o kraju, który niedługo będzie ich krajem, o wielkim mocarstwie, do którego dołączy wyspiarski naród, uznający swoje rosyjskie korzenie, i naród ten ma prawo wiedzieć wszystko o swojej przyszłej ojczyźnie.

Tania dziwiła się, kiedy on śpi, ale nie pytała go o to. Na dachu gigantycznego wieżowca z aluminium był on wyłącznym gospodarzem, po raz pierwszy widziała go w tej roli, miała wrażenie, że jest także jej gospodarzem, jakby nie była jego przyjacielem, ukochaną, lecz wygodnym przyrządem do uprawiania seksualnej gimnastyki.

Znowu nie śpi? - pomyślała, kiedy po wyjściu gości wyjrzała ze swojej pieczary. Nie od razu wypatrzyła Andrieja. Wydawało się, że wigwam jest pusty, ale niespodziewanie zobaczyła go nad sobą na północnym zboczu wieży, w jednej z jego jaskiń przeznaczonych do pracy. Siedział przy maszynie do pisania w przytulnym świetle niewielkiej lampki, pisał kolejny hit dla „Kuriera“.

Nicość

(w setną rocznicę urodzin J.W. Stalina)

Na zesłaniu wyśmiewano go: Koba znowu nie zdjął skarpetek, Koba sypia w skarpetkach, towarzysze, od nóg Koby zalatuje zgniłym serem... Oczywiście wszyscy, którzy się wówczas w Turuchansku śmiali, zostali w późniejszym okresie zlikwidowani, ale w tamtych mały ospowaty Józef w milczeniu zastanawiał się, co ma zrobić. Jeżeli zdejmie i upierze skarpetki - będzie to oznaczało, że uznaje swoją klęskę. Jeżeli nie zdejmie i będzie nadal cuchnąć - stanie się celem niewybrednych docinków. Z ponurym uporem nicości postanowił nie zdejmować i cuchnąć.

Wydaje się, że jeszcze nie do końca został wyjaśniony pewien biopsychologiczny aspekt Wielkiej Rosyjskiej Rewolucji - stopniowy, z biegiem czasu potężniejący, w końcu zwycięski ruch miernot i nicości.

Rewolucja gromadziła się w kodzie genetycznym narodu rosyjskiego jako nienawiść pospółstwa (któremu zawsze i wszędzie na imię - większość), wywołana przez nonszalanckie, bezmyślne i w ostatecznym rachunku bezczelne zachowanie elity - nazwijmy ją, jak kto woli, szlachtą, inteligencją, nowobogackimi, pierwiastkiem twórczym, wpływem Zachodu.

Rozpatrując problem pod tym kątem widzenia, nie zamierzamy negować społecznych, politycznych i ekonomicznych przyczyn nienawiści, pragniemy jedynie dorzucić do nich ów aspekt biopsychologiczny, przy tym, mając na uwadze przyszły rozwój wydarzeń, pozwalamy sobie uznać go za decydujący. Rozważmy go w przededniu uroczystego jubileuszu, do którego szykuje się nasz kraj. Spodziewamy się, że z okazji jubileuszu w oficjalnej prasie radzieckiej

ukaze się artykuł średniej objętości, w którym uwzględnione zostaną wszystkie te sprawy łącznie z pomyłkami Stalina, związanymi z nadużyciem władzy.

Jak wynika z naszych obserwacji, kraj zamierza nieoficjalnie uczcić setną rocznicę urodzin tej wyjątkowej miernoty jako człowieka wielkiego. Prawie każda mijająca nas ciężarówka miała na przedniej szybie przyklejony portret generalissimusa w barbarzyńskim mundurze, a działo się to nie na południu kraju, nie w Gruzji, lecz w centralnych rosyjskich obwodach.

Niniejszy artykuł ma na celu udowodnienie, że Stalin wcale nie był postacią wybitną, że był najzwyczajszą miernotą, zbiegiem okoliczności wypchniętą w górę. Wśród przywódców rewolucji rosyjskiej znajdowali się ludzie utalentowani, tacy jak Lenin, Trocki, Bucharin, Mironow, Tuchaczewski. Przewodząc zrewoltowanym masom, kierowali się oni marksistowskimi teoriami, nie wiedzieli, że są skazani na zagładę, że główną siłą rewolucji jest zryw biopsychologiczny, który wcześniej czy później unicestwi wybitne osobowości i wydzwignie spośród siebie największą nicość, mającą sprawować władzę.

Istnieje powiedzenie: rewolucja pożera własne dzieci. Pozwoli sobie wprowadzić pewną poprawkę: rewolucja pożera cudze dzieci. Trocki, Bucharin, Blücher, Tuchaczewski - to cudze dzieci, zuchwali wioślarze, którzy na chwilę znaleźli się w rwącym potoku. Dzieci rewolucji - to mołotowowie, kalininowie, woroszyłowowie, zdanowowie - denny osad, który wypłynął podczas biopsychologicznego sztormu.

Często ze śmiechem odżegnujemy się od filmów, nakręconych w szczytowych latach stalinowskiej władzy przez takich mistrzów kina radzieckiego, jak Romm, Kozincew, Trauberg (później, w czasach odwilży, zajęli się oni klasyką, zostali „wielkimi artystami“, a nawet „liberałami“), od takich filmów jak Młodość Maksyma czy Człowiek z karabinem. To błąd. Sprostytuowana inteligencja wykonywała tak zwane zamówienie społeczne, a dokładniej - czujnie reagowała na nastroje i życzenia ukształtowanych już wówczas rządów szarżysty i miernoty. Bezczelne, tępe indywiduum odgrywało w sztuce radzieckiej główną rolę, co było odzwierciedleniem prawdy życiowej, ponieważ także w życiu główną rolę odgrywała nicość, ucieleśnienie ogromnej, zbiorowej, bezczelnej miernoty. Wszyscy wyróżniający się spośród tłumu nicości - inteligenci, a także bardziej barwne postaci z ludu: marynarze, anarchiści, zaradni gospodarze wiejscy, zwani kułakami - byli w owej sztuce skazani na szyderstwa, drwiny, musieli zniknąć w tępej masie lub ulec zagładzie.

Podobnie było w życiu, służalczą sztuka wiernie odzwierciedlała biopsychologiczne tendencje w życiu. Z wściekłą zaciętością ucinano głowy wyrastających ponad wielomilionowe stado. Tępiono rewolucyjnych przywódców ludowych, wyróżniających się talentem, takich jak Sorokin, Mironow, Machno, który w gruncie rzeczy uratował bolszewicką Moskwę, zadając od tyłu potężny cios Armii Ochotniczej. Proces biopsychologiczny wypychał w górę miernoty typu Woroszyłowa, Timoszenki, Kalinina i wreszcie najmierniejszego z miernych - Józefa Stalina. Miecz lub raczej piła biopsychologicznej rewolucji robiła swoje: spadły głowy Trockiego, Bucharina, Tuchaczewskiego, wyrastające ponad masy, piła wędrowała przez miasta i wsie, gubernie i powiaty, jedyną winą ofiar były isierki talentu, czasem niewielkie, ale dostrzegalne zdolności. Tak ukształtowała się władza nicości najmarniejszej, najbardziej debilowatego debila naszych czasów.

Każde poczynanie Stalina nacechowane jest wyjątkowym, porażającym beztalenciem. Unicestwił zbawienny leninowski plan Nowej Polityki Ekonomicznej, doprowadzając kraj do jeszcze większego ubóstwa i głodu. Zamierzając zreorganizować rolnictwo, wytepił miliony sprawnych gospodarzy i poprzez „rozkułaczenie“ stworzył najwyższą formę rolniczej miernoty

- kołchozy. Wielomilionowe ofiary śmierci głodowej na Ukrainie, Powołżu, w całym kraju, zagłada milionów ludzi przesiedlonych przymusowo - oto bezpośrednie następstwa tych posunięć.

Czując narastające niezadowolenie w partii, obawiając się Kirowa, wyrastającego ponad przeciętność, nie umiejąc znaleźć innej mądrzejszej metody kierowania krajem, Stalin znowu sięgnął po środki najprymitywniejsze. Zamordowano Kirowa, co zapoczątkowało liczne procesy i zmasowany terror w partii - chyba najjaskrawszy objaw nieudolności Stalina. Na nieszczęście dla kraju działo się to w toku narastania biopsychologicznego zrywu, a więc było nieuniknione.

Przed wybuchem II wojny światowej, w warunkach komplikującej się sytuacji politycznej, Stalin gorączkowo szuka bratniej duszy, bliskiej sobie biostruktury, i znajduje ją w osobie Hitlera. Hordy ogłupionych Niemców i hordy ogłupionych Rosjan dzielą pomiędzy siebie Europę Wschodnią. Trudno było nieudolniej przygotować się do wojny niż to uczynił Stalin. Zlikwidował utalentowanych marszałków, zlekceważywszy geopolityczny (zbyt skomplikowany do przeanalizowania) aspekt zbliżających się wydarzeń, znalazł sobie oparcie w bliskim pod względem biopsychologicznym Hitlerze, światowej miernocie numer dwa, a po jego zdradzie ratował się paniczną ucieczką, oddając na zagładę nasze miasta, miliony ludzi skazując na śmierć i niewolę. Nicość Hitlera uniemożliwiła Niemcom osiągnięcie zwycięstwa. Ileż trzeba mieć w sobie cwaniackiej nicości, by się porwać na cały świat, nie wyobrażając sobie nawet (obaj bandyci cierpieli na brak wyobraźni) , że wszyscy ludzie w pewnych okolicznościach mogą zacząć się bronić.

Kiedy dwaj debile dusili się nawzajem (ściślej mówiąc Adolf dusił Józefa), Anglosasi mieli czas zorientować się, która bestia jest w danej chwili groźniejsza. No i proszę - oto słabe, anemiczne demokracje zachodnie! Śmiertelnie wystraszony Stalin, który już się wyniósł z Moskwy, chętnie przyjął nieoczekiwaną pomoc. Ale do tego nie jest potrzebny rozum, ani talent.

Wielkość naszego kraju polega na tym, że w obliczu narodowej katastrofy, po dziesięcioleciach niszczenia wszelkiej ponadprzeciętności, potrafił on w toku walki znaleźć utalentowanych marszałków i konstruktorów wojskowych, odważnych lotników i czołgistów. o nicości naszej biopsychologicznej góry świadczy to, że zwycięska Rosja straciła trzykrotnie więcej ludzi niż Niemcy zniszczone przez lotnictwo aliantów.

Okres powojennej odbudowy to chyba ukoronowanie miernoty i nicości Stalina. Nie miał do zaproponowania żadnych nowych projektów, żadnych reform. Zamiast tego stworzył dwudziestomilionową armię niewolników. Drenażowy system GUŁAG - u szybko wypompuwał nadmiar talentów i twórczych sił, które ujawniły się w latach wojny. Znowu triumfowała miernota, ponieważ jeszcze nie zaczął się jej upadek, jeszcze nie nadeszły czasy zdrowienia. Szczyt władzy miernot zbiegł się oczywiście z biologiczną śmiercią ich idola. Po tym wydarzeniu rozpoczął się upadek, proces, którego Marks nie zdołał przewidzieć, wkroczył w nową fazę.

Stalin oczywiście nie umarł w pięćdziesiątym trzecim roku. Żyje dotąd w propagandzie, w stalinowskich sesjach tak zwanej Rady Najwyższej, w przeprowadzaniu tak zwanych wyborów, skostnieniu i niechęci do reform współczesnych radzieckich przywódców (następców Kalinina i Żdanowa), w stałym pogarszaniu się ekonomiki (wszystkie dziedziny służące ludziom są porażone stalinowską tępotą), w obłądnym wzroście produkcji zbrojeniowej, w nietolerowaniu żadnych odmienności poglądów, w narzucaniu całemu społeczeństwu przez zastraszenie ideologicznych wzorców, w rozprzestrzenianiu się tego, co obecnie jest nazywane dojrzałym socjalizmem, czyli duchowego i ekonomicznego ubóstwa...

A jednak szczyt biopsychologicznego zrywu minął. Stalin jako naczelna miernota współczesności zdycha. Rozpoczęła się rekonwalescencja.

GUŁAG został zburzony, obecny system łagrowy nie może się z nim równać. Nienawiść do odmiennych poglądów świadczy, że te odmiennie poglądy istnieją. Pojawili się pisarze, reżyserzy, malarze, kompozytorzy. Granice są bardziej otwarte. Jednak najważniejszy objaw zdrowienia polega na tym, że nawet w kierowniczych gremiach kraju zjawili się ludzie, którzy usiłują pokonać globalną stalinowską tępotę. Bycie stalinistą w „rozwinętym stalinizmie“ nie jest niebezpieczne, przynosi nawet zaszczyt. Antystalinizm w środowisku ludzi władzy nie jest akceptowany, jego zwolennicy nie mają łatwego życia, ukrywają się za frazesami oficjalnych kłamstw, jednak usiłują myśleć, szukać dróg ratowania Rosji z upadku. Na razie nie mówią o reformach, ale o nich myślą. Kłamią, ale na ich twarzach maluje się pragnienie prawdy. Dawna stalinowska Rosja opierała się na krwi, współczesna stalinowska Rosja opiera się na kłamstwie. Z woli Opatrzności nasza ojczyzna przeszła przez wielką krew ku wielkiemu kłamstwu. Nie możemy, nie chcemy myśleć, iż sześćdziesiąt pięć lat pod butem stalinowskiej miernoty są nikomu niepotrzebne jak pokarm przeżuwany przez krowę, że nasza święta krowa musi zdechnąć. Jednakże kłamstwo jest lepsze niż krew. Czy to nie dowód, iż miernota się wykańcza, że mózg zaczął pracować? Jaki będzie następny okres? Nie da się zamknąć w szpitalach dla psychicznie chorych wszystkich myślących ludzi. W Rosji jest coraz więcej ludzi, którzy potrafią odróżnić prawdę od kłamstwa i mają odwagę to robić. Komunistyczny beton pomimo „stałego intensyfikowania i rozszerzania form pracy ideologicznej“ zaczyna pękać. Naród pragnie lepszego życia.

Przepełniły przez wschodnią część naszego niewielkiego Morza Czarnego i pospacerujemy po nabrzeżu uzdrowiska, Soczi. Pod niezliczonymi transparentami „dojrzałego socjalizmu“ (ostatnie arcydzieło: „Zdrowie każdego to zdrowie wszystkich“) zobaczycie tłumy obywateli radzieckich, uważnie oglądających się nawzajem - kto jakie nosi dżinsy, okulary, koszulki, czy są „markowe“ - to znaczy pochodzące z Zachodu. Nad głowami przechodniów nadal widnieją pozornie niezniszczalne gwiazdy, sierpy, młoty, snopy, koła zębate - głupoty z lat trzydziestych, ale na piersi ludzie noszą amerykańskie gwiazdy i pasy, angielskie napisy. Na niektórych koszulkach są nawet dwugłowe orły z reklamy wódki smirnoff.

Szczyt rewolucyjnego biopsychologicznego zrywu przeminął. Stalin zdycha, to nie ulega wątpliwości, cały nasz kraj jest o krok od nowego okresu, być może bardziej tajemniczego niż rewolucja, przygotowanego dla nas przez Opatrzność. Czy mamy zapomnieć o nędznym Stalinie? Nie, nie wolno zapominać, ponieważ ostateczna śmierć Stalina może okazać się jego zwycięstwem.

Uważamy, że w Rosji trwa obecnie walka dwóch potężnych prądów. Jeżeli zwycięży Stalin, powstanie społeczeństwo totalitarne, bezmyślne stado, które, nie pamiętając już Stalina, nie zdając sobie sprawy ze stalinowskiej nicości, będzie zagrożeniem dla całej kuli ziemskiej. Jeżeli Stalin przegra, Rosja może się przekształcić w wielką twórczą wspólnotę ludzką, prowadzącą dialog z Bogiem, pamiętającą o własnych i cudzych cierpieniach, która na zawsze zachowa pamięć o władzy miernoty, o krwi, kłamstwie i stalinizmie.

Dzisiaj każde wydarzenie w Rosji należy oceniać z punktu widzenia walki tych dwóch prądów. Weźmy na przykład takie osobliwe zjawisko jak emigracja Żydów i odbywająca się pod tym szyldem ucieczka inteligencji, zaszczutej powszechną pogardą w dziesięcioleciach stalinizmu. Pozornie jest to prąd antystalinowski - kto by pomyślał jeszcze przed dziesięciu laty, że pozwolą ludziom opuścić bez większych kłopotów „bastion socjalizmu“ i osiedlać się w innych krajach? Z drugiej strony to prąd stalinowski - wypychanie za granicę ludzi myślących

krytycznie, tych wszystkich, którzy się wychylają, hamują przebieg owego biopsychologicznego procesu. Czy pozwolą wrócić wyjeżdżającym? Czy będzie można wyjeżdżać i wracać, czy przezwyciężymy ksenofobię, czy obudzi się w nas świadomość, iż należymy do rodziny ludzi, gdzie nie walą w łeb oblizaną ideologiczną łyżką?

Trudno sobie wyobrazić bardziej decydujący, ważniejszy okres w przyszłym życiu naszego społeczeństwa. Jubileusz łajdaka J.W. Stalina jest jeszcze jedną okazją do rozważań. Czy naszemu narodowi starczy sił po raz drugi pochować cuchnące szczątki i wykorzysta je w ten sposób, by zamiast zatruwać użyźniały grunt dla demokracji?

W społeczeństwie harmonijnym zarówno większość, jak i mniejszość mają swoje role do spełnienia - zarówno w aspekcie społecznym, jak i biologicznym. Kolejna strata mniejszości może być zgubna dla nowej Rosji. Czy nowa duża, silna grupa ludzi nie rozpuści się w lurze „dojrzałego socjalizmu”, czy stanie się zaczątkiem dla nowych antystalinowskich procesów?

Wzmocnij ją, Boże!

IX. Za mało pary

W opisaney już ściśle tajnej saunie „Kurier“ z artykułem *Nicość* przechodził z rąk do rąk. Nie czytano go głośno. Każdy rozumiał, że czytanie czegoś takiego na głos to bluźnierstwo. Cienkie, niebieskawe stronicie zagranicznej gazety, wyjętej na dzisiejsze spotkanie z szafy pancernernej, szeleściły w rękach. Niezły papier! Mając takie gazety, można się nie martwić brakiem papieru toaletowego. Ktoś chrząkał, czytając artykuł, ktoś inny pomrukiwał, najbardziej opanowani - wśród nich „Ważniak“ - milczeli, ich nerwy w toku działań zahartowały się jak stal.

Marlen Michajłowicz, otulony szwedzkim ręcznikiem kąpielowym, usadowił się wygodnie w fotelu i popijając piwo, uważnie obserwował twarze towarzystwa, związanego jakąś nigdy nie sformułowaną umową, wspólną nagością, sprośnymi pogaduszkami, na które obecnie nie pozwalano sobie w oficjalnych gabinetach. Marlen Michajłowicz najczęściej spoglądał na twarz „ważniaka“ i za każdym razem stwierdzał z uznaniem, że nic nie daje się z niej wywnioskować.

Kuzienkow znał na pamięć artykuł Łuczniakowa - „Kurier“ ukazał się przedwczoraj. Zdążył się przygotować psychicznie do dzisiejszego seansu w saunie i teraz spokojnie czekał na pytania. Kogo jak kogo, ale jego, kuratora Krymu i „osobistego przyjaciela“ Łuczniakowa na pewno będą o to pytać.

- No, jak to oceniasz, Mariusza? - spytał wreszcie „Ważniak“. Ani wyrazem twarzy, ani intonacją głosu nie zdradził swego stanowiska. Marlen Michajłowicz na chwilę wstrzymał się od odpowiedzi. Wiedział, że słowa „Ważniaka“ naruszają milczenie, sprowokują dyskusję, która coś wyjaśni, zasugeruje.

Tak też się stało - nastąpił wybuch, no bo przecież i wódeczka już była, i piwko, i skóra po suchej parówce oddychała swobodniej.

- Czyżby zwrot o sto osiemdziesiąt stopni? - ni to zapytał, ni to stwierdził Iwan Mitrofanowicz.

- Dialektyk - burknął Fiodor Siergiejewicz, wyraźnie niezadowolony z autora artykułu.

- I do bozi się odwołuje - powiedział z uśmiechem Aktin Filimonowicz.

- Okazało się, że rewolucja pożera cudze dzieci - chrząknął Artur Łukicz.

- To jedyne, z czym się zgadzam - jak zwykle żarliwie powiedział Oleg Stiepanow, który w ostatnich tygodniach regularnie uczęszczał do sauny.

Ktoś jeszcze coś tam mruczał, ale „Ważniak“ patrzył wprost na Marlenu Michajłowicza, leciutkim uśmieszkiem dając do zrozumienia, że docenił jego taktyczny wybieg.

Marlen Michajłowicz rozumiał, że ze wszystkich replik „Ważniak“ przywiązuje wagę do jednej - „zwrot o sto osiemdziesiąt stopni“.

Problem Łuczniakowa bardzo niepokoił Kuzienkowa. We wszystkich ustnych raportach i w notatkach przedstawiał Andrieja jako człowieka skomplikowanego i kontrowersyjnego, który jeszcze nie posiadał do końca mądrości ideologii, ale jest szczerym i oddanym przyjacielem Związku Radzieckiego i gorącym zwolennikiem zjednoczenia Krymu z Rosją, to znaczy jest prawie swoim człowiekiem.

Jako „prawie swego“ Łuczniakowa przyjęto w sanktuarium, w przyjaznym przybytku suchej pary. To, że nie docenił zaufania, można było wytłumaczyć właściwościami

zachodniej psychologii i szlacheckim wychowaniem. Ale jego dalsze wyskoki? Jego zniknięcie? Ucieczka w głąb Rosji? Zabawa w złodziejów i policjantów? Jego przygody na prowincji? I wreszcie nieprawdopodobne, nie wyjaśnione dotychczas zniknięcie z kraju. Jakim cudem udało mu się przekroczyć granicę gdzie to było, kiedy, w jaki sposób? I to pojawienie się na Krymie! Jego wyskoki można było wytłumaczyć niektórym osobom z kierownictwa - oczywiście tylko niektórym - niewyżytą młodością, skłonnością do awanturnictwa, niewłaściwym wychowaniem... Ale... ale chodziło o to, że po powrocie Łucznikowa na Krym „Kurier“ wyraźnie zmienił orientację. Z proradzieckiej, to znaczy postępowej gazety, stał się organem dysydenckim. Raz po raz ukazywały się na jego łamach zbyt jednostronne informacje, notki, komentarze, zawsze zjadliwe, ironiczne, wyraźnie napastliwe. I wreszcie *Nicości* Tym razem przebrał miarę. Tylko człowiek obcy ideologicznie, pogrobowiec białogwardzistów lub zwyczajny drań mógł tak potraktować naszą historię, człowieka, którego nazwisko dla wielu pokoleń ludzi radzieckich oznacza zwycięstwo, porządek, władzę, może nawet przemoc, ale majestatyczną, może nawet mrok, ale wspaniałą. Sprowadzenie do nicości działaczy naszej historii (zresztą współczesnego kierownictwa także nie wywyższył) - to wroga działalność pod względem klasowym i narodowym. Co się stało z Łucznikowem? Towarzysze oczywiście są zdziwieni. Czy przekupił go wywiad amerykański? Czy zrezygnował ze swojej Idei Wspólnego Losu?

Marlen Michajłowicz spokojnie wziął do ręki „Kurier“ (prawdę mówiąc, uwielbiał to pismo, po prostu przepadał za nim), szybko przerzucił strony i zaraz po ogromnym ogłoszeniu o Rajdzie Antycznym znalazł artykuł *Nicość*.

- Przeczytam wam, moi drodzy, ostatnie słowa. Proszę zwrócić uwagę: „Czy nowa duża, silna grupa ludzi nie rozpuści się...“ Dalej ta przenośnia..... czy stanie się zaczątkiem nowych ... procesów?“

- No i co? - spytał Fatian Iwanowicz. - Dalej apeluje do bozi! Nie przypadkiem nosi krzyżyk. Taki religijny.

- Zaczekaj, Fatianie Iwanowiczu - Marlen Michajłowicz machnął ręką (na Fatiana Iwanowicza można było machać ręką). - To zdanie, moi drodzy, ma głęboki sens.

Jak zwykle był w saunie trochę skrępowany - oficjalny zwrot „towarzysze“ - nie pasował do okoliczności, a zwrot „chłopaki“ raził popospolitością. Z kłopotów wybawiło słówko „drodzy“, chociaż brzmiało trochę sztucznie w tym gronie.

- Na podstawie tych słów uważam, że Łucznikow nie zmienił swego stanowiska, przeciwnie szykuje się do coraz skuteczniejszych posunięć w ramach Związku Wspólnego Losu zorganizowanego przez niego i wpływową grupę „kolegów z klasy“.

Znowu zapadła kłopotliwa cisza, widocznie nie do wszystkich dotarł sens słów Marlenu Michajłowicza, a poza tym „Ważniak“ dotąd się nie wypowiedział.

- Chuj z nim! - machnął ręką „Ważniak“ (dobitne słówko miało rozładować nastrój, przypomnieć, że są w saunie, a nie na plenum czy naradzie). - Jednego, chłopaki, nie rozumiem, na co ten Łucznikow liczy z takimi poglądami?

Cel został osiągnięty - na twarzach pojawiły się uśmiechy. Rzeczywiście, chuj z nim? Rozzuchwalał się ten Łucznikow - zbrukał nasze najświętsze symbole — Rewolucję, Stalina... Przecież on, chłopaki, był na Węgrzech, zza barykady strzelał do naszych żołnierzy. Na co liczy na radzieckim Krymie?

- Oto właśnie chodzi, moi drodzy, że on na nic nie liczy - powiedział Marlen Michajłowicz. - Zwichrowana, zdeklasowana psychologia. Czasami nie wiadomo, co o nim myśleć, po prostu histeryczny idealizm, niech to pies zajebie!

Jakże niewłaściwie chlapanął to Marlen Michajłowicz. Jeszcze raz udowodnił, że nie jest

swój, że w saunie jest jakoś dziwnie obcy.

- Pozwolisz, że zapytam, Marlenie Michajłowiczu? - Oleg Stiepanow ujął go za ramię i surowo zająrzył mu w oczy. Kuzienkow wiedział, że ten „nowicjusz“ ma prawo mówić do niego „ty“, brać za ramię i nawet surowo zaglądać mu w oczy. Niedawno Oleg Stiepanow został dyrektorem ideologicznego instytutu i członkiem egzekutywy komitetu miejskiego.

- Pozwolisz, że zapytam - powtórzył Oleg Stiepanow. - „Nowa duża, silna grupa ludzi“ to ludność Krymu, która włączy się do ZSRR?

- Tak, dobrze pan rozumiał - Marlen Michajłowicz nie mógł się opanować i ruchem ramienia strącił rękę Stiepanowa, chociaż rozumiał, że nie należy tego robić. „Ważniak“ z pewnością nie pochwali tak wyniosłego gestu w stosunku do nowego ulubieńca.

- Czyli pięćmilionowa dysydencka piąta kolumna? Ten Łuczniuk chce nas rozsadzić od środka jak kiedyś Tito, który zamierzał się wprowadzić na Kreml ze swoimi hajdukami?

- Nie należy stawiać tej sprawy na głowie - skrzywił się Kuzienkow. - Jest pan niegłupim człowiekiem, panie Stiepanow...

- Czy to pańska mama, Anna Markowna, nauczyła pana tak się przypocholebiać? - spytał Stiepanow z uprzejmym uśmiechem.

Ten potrafi dokopać. Nieoczekiwanie i boleśnie. Oni zawsze wiedzieli o nim wszystko. Zawsze i wszystko. Również o jego biednej mamie, która boi się zbyt często dzwonić ze Swierdłowska, żeby nie zwrócili uwagi na jej leciutki akcent, i o wszystkich krewnych z tamtej strony. No cóż, trzeba podjąć walkę.

Marlen Michajłowicz wstał, pochylił się trochę w stronę Stiepanowa, odłożył na fotel puszysty ręcznik, to znaczy obnażył się. - Moja matka Anna Markowna Syskina...

- Syskind - zachichotał Stiepanow, chociaż było widać, że jest zaniepokojony, boi się, że dostanie w twarz, a nie wie, jak się w takim przypadku zachować. — Anna Markowna Syskind... cóż, pan, Marlenie Mich...

- ...wiec moja matka uczyła mnie, że niegodziwców opętanych ideami „czarnej sotni“ należy traktować tak, jak na to zasłużyli.

Podniósł odważnie rękę, a Stiepanow tchórzliwie zasłonił twarz łokciem. Do rękoczynów jednak na szczęście nie doszło, ponieważ właśnie rozległ się bas „Ważniaka“:

- Chuj z tym, chłopaki - zadudnił. — Co to za moda czytać w saunie białogwardyjskie gazetki? Nie godzi się, Olesza, nie godzi się... - łagodne pouczenie pod adresem Stiepanowa, jakby to on przyniósł „białogwardyjską“ gazetę, a nie Kuzienkow, zresztą na prośbę jego, „Ważniaka“. - A ty, Mariusza - głos zabrzmiał już nie tak przyjaźnie, ale coś z przyjaźni jeszcze zostało. - Przyniósłbyś lepiej następnym razem „Chodoka“, obejrzelibyśmy sobie babki, porównali z naszymi...

„Chodok“ był rosyjskim wariantem „Playboya“, wydawanym na Wyspie przez słynnego Hefnera, oczywiście nie bez udziału spółki „Kuriera“. Kiedyś Marlen Michajłowicz przyniósł do sauny „Chodoka“, co wywołało wielką uciechę. Ale fajne pisemko! Gdybyż coś takiego wydawano u nas do wewnętrznego użytku, oczywiście nie dla mas, nie należy demoralizować ludzi, ale dla kierownictwa.

Wszyscy śmiali się zadowoleni. Konflikt zażegnano. Jednak wydarzenie to miało miejsce, co otwierało szerokie możliwości do snucia różnych spekulacji.

Nagle „Ważniak“ zamilkł, wstał i skierował się do wyjścia, kończąc dzisiejsze posiedzenie.

Temat „Chodoka“ rozwiął się, śmiech umilkł, wszyscy przed czasem zaczęli się rozjeżdżać do domów.

X. Rodacy

Któregoś ranka w wigwamie „Kuriera“ zadzwonił telefon, Tania, chyba po raz pierwszy, odkąd tu zamieszkała, podniosła słuchawkę. Zwykle podczas nieobecności Andrieja wyłączała system komunikacji ze światem, co trochę irytowało jej ukochanego, ponieważ nie mógł się dowiedzieć, jak się ona miewa.

Tego ranka zapomniała to uczynić, machinalnie podniosła słuchawkę, jakby była w Moskwie.

- Tatiana Nikiticzna? - powiedział niepokojąco znajomy głos. - Witam panią!

- Pan Wostokow, jeżeli się nie mylę? - burknęła wrogo.

- Oho, już. pani poznała Wostokowa? Gratuluję - powiedział głos. - Świetnie się pani spisuje.

- Kto mówi? - spytała ostro, chociaż już wiedziała kto.

- Mówi Siergiej, Taniu - powiedział przyjaźnie pułkownik Siergiejew, który tak się dziwnie nazywał: Siergiej Siergiejew. - Całkiem nam zginęłaś, kochanie.

- Bez żadnych „kochanie“! - warknęła.

- Co ja z tobą mam - zaśmiał się Siergiejew. - Prawdziwy z ciebie jeź.

- Bez jeży! - krzyknęła.

- Dobrze już, dobrze. Dzwonię, by się dowiedzieć, jak się miewasz. Byłem niedawno w Cachkadzorze, widziałem się z Glebem. Jest w świetnej formie, co pchnięcie, to oczko.

- Co znowu za „oczko“? - nie zrozumiała.

- No, ponad dwadzieścia jeden metrów. A co tam u ciebie? Dobrze się bawisz?

- Czy ja muszę składać sprawozdanie z życia osobistego?

- Brr - powiedział Siergiejew. - Powiało mrozem od pani głosu. Jakbym nie z Krymem rozmawiał, lecz ze Spitsbergenem.

- Dzwoni pan z Moskwy? - Na myśl o tym nastrój Tani odrobinę się poprawił.

- A skąd miałbym dzwonić, oczywiście, z naszej stolicy - westchnął Siergiejew. - Automatyzacja, Taniu. Kosztowna przyjemność, ale czego się nie robi, by się przypomnieć sympatycznej osobce.

- O panu nie da się zapomnieć - powiedziała Tania.

- No i świetnie, dziękuję za pamięć — Siergiejew mówił tak, jakby rozmawiał z kapryśnym dzieckiem. - Będę kończył. Czy mam przekazać Glebowi pozdrowienia?

- Tak, poproszę - nieoczekiwanie dla siebie samej powiedziała całkiem miłym głosem.

Połączenie zostało przerwane. Dziwne, w pierwszej chwili Tania myślała tylko o swoim Glebie. Samo wspomnienie o nim wywołało spazm rozkoszy przesuwający się od lędźwi kręgosłupem w górę. Zapaliła papierosa, usiadła w środku przebrzydłego szklanego wigwamu.

Wostokow zna Siergiejewa, mówi o nim z szacunkiem. Siergiejew zna Wostokowa i także ma o nim dobre zdanie. Siergiejew bez obawy mówił przez telefon o Wostokowie, a przecież mógł chyba przypuszczać, że OSWAG ma na podsłuchu telefony Łucznikowa. A więc mówiąc tak, zasypał Tanię, nie pozostawiał żadnych wątpliwości, że ma ją w garści... wynika z tego... co zresztą może „wynikać“? Być może to nie Siergiejew dzwonił, tylko oswagowcy tak zręcznie go udawali? Albo Amerykanie? Albo może Siergiejew nie obawia się

Wostokowa? Może mówił otwarcie, ponieważ cała informacja o Łucznikowie trafia do Wostokowa, który jest swoim człowiekiem? A może Siergiejew chce w jakimś celu zdekonspirować ją, Tanię, wobec konkurencyjnych służb wywiadowczych? Albo... Nie da się rozszyfrować wszystkich wariantów. Trzeba dzisiaj wieczorem opowiedzieć wszystko Andriejowi. Musi zrozumieć, że ona zaprzedała się diabłu tylko dla niego. Zgodziła się na głupią i niebezpieczną grę tylko po to, by być obok ukochanego mężczyzny, żeby dzielić z nim niebezpieczeństwo, żeby je od niego odwrócić. Dlaczego wyznanie prawdy z biegiem czasu staje się coraz trudniejsze? Wtedy miała wrażenie, że to prosta sprawa, opowie mu wszystko i ciężar spadnie z serca. Musi zrozumieć, że to był podstęp z jej strony.

Dlaczego jednak on nie pyta jej o nic? Ogarnęła ją nagle niechęć do Łucznikowa. Uświadomiła sobie ze zdziwieniem, że nigdy o nic jej nie pytał. Nie pytał o przeszłość, na przykład o rodziców, o sukcesy sportowe, o dzieci, nawet o Saszę, który może być jego synem. Wykręca się żartami, nie mówi ani słowa poważnie, tak jest zawsze, on nigdy... Używając w myśli tych ostatecznych słów, Tania rozumiała, że w odniesieniu do przeszłości są one niesprawiedliwe, dawniej pytał o różne rzeczy, dopiero teraz tak się zmienił.

On i jego przyjaciele bez trudu załatwiają sprawy, które zwykłych ludzi przyprawiłyby o zawrót głowy. Supermeni, a pierwszym wśród nich jest Andriej. On zawsze ma rację, nigdy nie dręczą go wątpliwości, wygląda na to, że się nigdy niczego nie boi, nie myśli o tym, że zastawiają na niego sieci różne wywiady, że być może podsłuchują każde jego słowo i fotografują każdy ruch, że podsunęto mu do łóżka kobietę, że, kto wie, czy ten błękitny śmigłowiec, który codziennie obok ich wieżowca ciągnie reklamę jakiegoś mydła „Alfuzow - all fusion“, nie filmuje jakąś niesamowitą kamerą wszystkich przedmiotów w jego wigwamie, wszystkich idiotycznych papierzysek na biurku i kondomu, który dzisiaj rano po użyciu niechlujnie rzucił na posadzkę obok wanny, która zresztą wisi im nad głowami. W całym wigwamie nie ma ani jednej ściany, tylko rozsuwane się i zasuwające ekrany, trudno rozemnać się w kontaktach, że też wpadł na pomysł zamieszkania w czymś takim, byle zadziwić świat, cóż to za typek, bufon i szpaner!

Tania dała upust irytacji, odprężyła się i dopaliwszy papierosa pomachała pięścią w kierunku mydlanego śmigłowca, a potem udała się na zakupy.

Ta czynność w Symfi dotychczas sprawiała jej dużą przyjemność i na jakiś czas godziła z życiem. Obfitość gastronomicznych półek u Jelisiejewa - Foszona; wolny spacer z lekkim drucianym wózkiem wzdłuż półek, na których wabiły wzrok kolorowo opakowane przysmaki, poczynając od wędlin w kilkudziesięciu odmianach, poprzez niezrównane pod względem świeżości dary morza, kończąc na hawajskich orzechach, a raczej zaczynając od nich; powolny spacer przy dźwiękach niegłośnej, uspokajającej muzyki. Tania mogłaby spacerować tak bez końca. Niejedna moskiewska pani domu zemdłałaby z wrażenia, a o kobietach z prowincji aż strach pomyśleć.

Tania jeździła za granicę od lat, nie groziło jej omdlenie na widok kapitalistycznego żarcia. Dawniej, zanim poznała Andrieja, zachodnie supermarkety także budziły jej zachwyt, lecz jednocześnie irytowały ze względu na chudy portfel. Jak można kupić na przykład koktajl z krewetek, który kosztuje tyle co ładna koszulka. Teraz taki spacer to rozkosz! Tania nie musi myśleć o pieniądzach, właściwie nie ma pieniędzy. Kasjerce, która z daleka wita ją uśmiechem, daje plastikową kartę kredytową. Kasjerka wkłada ją do komputera i po wszystkim. Zostawia zakupy i maszeruje do kawiarni Aniczko Most po drugiej stronie ulicy, gdzie o tej porze wpadają na aperitif krymscy lub, jak mówi się tutaj, rosyjscy oficerowie. Obok znajduje się Sztab Generalny, oficerowie, którzy przychodzą do kwaciarni, to dżentelmeni, eleganccy, przystojni i - jak się wydaje - nie uznający popularnego na wyspie

homoseksualizmu. Zakupy dostarcza do domu posłaniec z supermarketu.

Kasjerka zwróciła Tani kartę, jeszcze raz uśmiechnęła się szeroko - ta kobieta pachniała zawsze perfumami Chanel nr 5 - i powiedziała w zwariowanym języku Jaki, który Tania zaczynała rozumieć:

- *Chanom, samwan czeka ju na Aniczkow Most.*

- Słucham? Kto na mnie czeka? — zdziwiła się Tania. - Nikt nie może na mnie czekać.

Kasjerka uśmiechnęła się tym razem jakoś szczególnie, poufale, bardzo poufale, zbyt poufale.

- *Frenda* - powiedziała. - *Bis trabała, chanom, Frendaga ka - derlejaki, mem...*

Przechodząc przez ulicę w oslepiających promieniach słońca wśród osypujących się platanów, Tania pomyślała, że poranny telefon wiąże się z oczekującym ją w kawiarni „przyjacielem“. Pewnie to Wostokow, a może ktoś z „naszych“, z Eksportfilmu albo nawet z IPU... Nie spodziewała się jednak, że w rogu sali ujrzy samego pułkownika Siergiejewa.

Wyglądał jak średniej klasy biznesmen - flanelowy garnitur, koszula w drobne paski, jednobarwny krawat, drogie okulary. Był pochłonięty lekturą notowań giełdowych, zamieszczonych w „Heraldzie“, obok na stoliku leżały „Kurier“ i „Figaro“, dymiło cienkie holenderskie cygareto, szklanka campari z lodem i plasterkiem cytryny dopełniała widoku męzczyzny rozkoszującego się spokojem - takie wrażenie odniosła Tania. Nie nadeszła pora aperitif, oficerów jeszcze nie było, tylko w innym kącie czulili się do siebie krępy Murzyn i pulchny blondynek. Zdaje się, że obaj byli malarzami, jeden Amerykanin, drugi Niemiec, i spędzali na wyspie miesiąc miodowy.

- Przepraszam, Taniu, za maleńki podstęp - powiedział serdecznie Siergiejew. - Pomyślałem, że przed spotkaniem należy ci się przypomnieć, przygotować cię psychicznie...

- Jak zwykle okazał się pan złym psychologiem - powiedziała zimno Tania.

Gospodarz kawiarni, nie czekając na zamówienie przyniósł Tani kieliszek martini i brazylijską kawę.

- Nie boi się pan siedzieć tutaj? - spytała Tania. - Obok jest Sztab Generalny.

Siergiejew uśmiechnął się, dając do zrozumienia, że jest zachwycony jej naiwnością.

- Lubię tę kawiarnię, zawsze tu bywam, kiedy przylatuję ze swego Toronto.

- Ze swego Toronto? - uśmiechnęła się Tania, ale zauważyła walizeczkę z nieoderwaną jeszcze etykietką: „TWA, rejs nr... Toronto - Symfi“.

Siergiejew z satysfakcją zauważył jej spojrzenie.

- Nie możesz sobie wyobrazić jak byliśmy niespokojni o ciebie - zniżył głos, chociaż człowiek taki jak on, mówiący doskonałą ruszczyzną, który odwiedza kawiarnię Aniczkow Most, za każdym razem kiedy przylatuje na Krym ze swego Toronto, zapewne nie musi zachowywać ostrożności.

- Jestem wzruszona. Pańscy koledzy mają dobre serca - powiedziała Tania.

- Niezły mamy zespół - zgodził się Siergiejew. - Po napadzie Ignatiewa - Ignatiewa na ciebie niektórzy chłopcy domagali się zdecydowanego utemperowania łajdaka... Całe szczęście, że tamtej nocy pilnował cię Wostokow. Zuch, ma wyjątkową intuicję. Zdążył zawiadomić Czernoka, który wysłał swoją grupę specjalną - Siergiejew wyraźnie popisywał się znajomością sprawy.

- A gdzie się podział on sam? - spytała Tania. - 1 dlaczego dzwonił do Czernoka, a nie do swoich ludzi?

- Dlaczego nie spytałaś go o to? - w głosie Siergiejewa zabrzmiała jakaś ukryta nutka. - Przecież on bywa u was. On także jest „kolegą z klasy“.

- Jest o rok młodszy - burknęła Tania.

- Ach tak? - Siergiejew aż przymknął na chwilę powieki. Tania zrozumiała, że właśnie przekazała mu jakąś ważną informację.

- Zadowolony? - zapytała. - Zdobył pan informację?

- Dziękuję, Taniu - powiedział. - Bardzo cię proszę, daruj sobie złośliwości. Są nie na miejscu, zwłaszcza że jesteśmy za granicą.

- Wiec my oboje jesteśmy jakby rodakami - Tania ani myślała rezygnować ze złośliwości.

- Tak, jesteśmy tu rodakami - powiedział ostro Siergiejew. - Prawdziwymi rodakami. Potrzebuję od ciebie pewnych informacji. Dla dobra wspólnej sprawy.

- A jakie mamy wspólne sprawy?

- Bezpieczeństwo Andrieja - powiedział Siergiejew. - Bardzo proszę, Taniu, uwierz mi. Mam oczywiście także inne sprawy, głupio byłoby ukrywać to przed tobą, przecież nie jesteś kretynką. Ale jeżeli chodzi o Andrieja, jest to nasza wspólna sprawa.

- Co pana interesuje? - spytała.

- A więc uwierzyłaś mi?

- Może pan i tak uważać - rzuciła niedbale, przywołała gestem kelnera i poprosiła o jeszcze jeden kieliszek.

Zjawił się natychmiast z kieliszkiem na tacy. Siergiejew całkowicie go ignorował. Mówił bez żadnych obaw.

- Chciałbym wiedzieć, o czym rozmawiają „koledzy z klasy“. Spotykają się teraz coraz częściej. W jakim są nastroju? Co planują?

- Rajd samochodowy - powiedziała Tania. - Przygotowują się do Rajdu Antycznego. Hrabia Nowosilcew i Andriej zamierzają wziąć w nim udział, niepoprawni wariaci.

- Nie chodzi mi o te bzdury - powiedział ostro Siergiejew.

- Ale oni rozmawiają tylko o tych bzdurach - powiedziała Tania. - Cały czas bajdurzą o swoich piterach, ferrari, mazaratti, a Nowosilcew, proszę sobie wyobrazić, szykuje żyguli. Tylko to jedno słyhać - cylindry, zawory, hamulce, paliwo...

- Nie udawaj głupiej - w głosie Siergiejewa po raz pierwszy zabrzmiała pogroźka. - Przypomnij sobie lepiej, a przedtem pomyśl o sobie.

- Dlaczego pan nie spyta Wostokowa? - Tania zobaczyła swoje odbicie w lustrze i wzięła się w garść. - On bywa u nas. Uważają go za przyjaciela.

Rozumiała już, że Siergiejew wypytuje o te sprawy, o nastroje i zamierzenia, ponieważ nie ufa informacjom Wostokowa. Pewnie przyleciał, kiedy się przekonał, że Wostokow nie wszystko wie o „kolegach z klasy“, nie zawsze u nich bywa i wcale nie jest z nimi zaprzyjaźniony. Była dumna, że to rozgryzła.

A Siergiejew nagle się zaśmiał drwiąco, z wyższością.

- Wostokow?! - chichotał. - Rozśmieszasz mnie, Tatiano! Pytać Wostokowa! Cha! Cha! Cha! Przecież to konkurencyjna firma!

Równie nagle przestał się śmiać.

- Co innego, że wszystko o nim wiemy. O tobie, Taniu, także wiemy więcej od innych, weź to pod uwagę.

- Ma pan ma myśli zdjęcia Wostokowa? - syknęła ze złością.

Twarz Siergiejewa nie drgnęła, ale wyglądał na zaskoczonego. Może nie wie o zdjęciach ani o jachcie „Elise“?

- Owszem, zdjęcia - powiedział obojętnie.

- No więc komunikuję panu na wszelki wypadek, że nie obchodzą mnie one ani tyle - pokazała na długim paznokciu wążutki paseczek. - Czy pan sądzi, panie Siergiejew, że mamy z Andriejem jakieś tajemnice, że coś przed sobą ukrywamy?

Był oszołomiony i rozwścieczony, wprost dygotał ze złości.

- Czy chce mi pani dać do zrozumienia, że pan Łuczniuk jest poinformowany o naszych kontaktach?

- Właśnie to mam na myśli - rzuciła z desperacją.

- No wiesz! - Siergiejew musiał wydmuchnąć cały obłok dymu z holenderskiego cygara, by bodaj na chwilę ukryć zmieszanie. - No, wiesz! Zmieniasz kierunek? Czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, na co się decydujesz?

Kawiarnia nagle rozbrzmiała gwarem, śmiechem, wesołymi głosami. Weszła gromada oficerów ze Sztabu Generalnego, pięciu lotników i trzech marynarzy. Usadowili się przy półokrągłym barze. Wszyscy znali Tanię. Odwracali się do niej, pozdrawiali wznoszonymi szklaneczkami.

- Mamy, Tatiano Nikiticzno, nowy kawał z Moskwy, posłucha pani? - zawołał któryś.

Zabrała swój kieliszek i poszła do baru. Lustro odbijało malowniczy obrazek - olśniewająca dama w otoczeniu olśniewających oficerów. Widziała w lustrze, że Siergiejew zapłacił rachunek, starannie schował go do teczki (do rozliczenia) i wyszedł z kawiarni. Nie interesowały go wojskowe tajemnice Krymu.

XI. Obroty w sferach

Minął tydzień od konfliktu w saunie, który kosztował Marlena Michajłowicza wiele nerwów. Codziennie widział badawcze spojrzenia kolegów, widocznie zaczynały docierać do nich słuchy Telefony w gabinecie dzwoniły rzadziej, górne piętro milczało. Jednak telefony były. Wydzwaniali „sąsiedzi”. W uzgodnieniu z nimi postanowiono wysłać na Wyspę najbardziej kompetentnego pracownika sektora zajmującego się Łucznikowem. Wybór padł na Siergiejewa, który rzecz jasna nie miał nic przeciwko temu, a Marlen Michajłowicz rozumiał go. Bez względu na to, jak paskudne sprawy należało tam załatwiać, pobyt na Wyspie sprzyjał odnowie. Może polegało to na wzroście świadomości klasowej, może przyczyniały się do tego drobne kapitalistyczne przyjemności, ale najpewniej to sprawa klimatu, słońca, szczególnego wiatru. Marlen Michajłowicz zamknął oczy, wyobraził sobie, że jest gdzieś na nabrzeżu Sewastopola albo na przełęczy w Łaspi. Właśnie wówczas zadzwonił telefon. „Ważniak” oficjalnym tonem - jakby nie chodzili razem do sauny - polecił przygotować się do spotkania na takim szczeblu, że Martenowi Michajłowiczowi oko zbiałało. Jutro o tej porze należy się stawić w bocznym skrzydle, do którego nawet tacy jak on muszą mieć specjalne przepustki. Proszę się przygotować do rozmowy o aktualnej sytuacji na Wyspie, co najmniej czterdzieści - pięćdziesiąt minut, ale i nie więcej, pouczył „Ważniak”.

Kuzienkow zwołał swoich pracowników, zawiadomił, że będą mu potrzebni do późnych godzin wieczornych, on sam zanocuje w swoim gabinecie (z racji stanowiska miał obok do dyspozycji pokój wypoczynkowy z łazienką), a rano mają wszyscy stawić się w biurze na godzinę przed rozpoczęciem pracy. Należy przygotować zwięzłą i jednocześnie szczegółową informację z danymi liczbowymi o sytuacji politycznej, o wojsku, przemyśle, handlu, finansach we Wschodniej Strefie Śródziemnomorskiej, o organizacji Krym-Rosja, o Tymczasowej Strefie Ewakuacyjnej Sił Zbrojnych Południowej Rosji lub gnieździe białogwardyjskich pogrobowców - w zależności od tego, jaka nazwa będzie preferowana w podniebnych sferach. Personel pracował, telefony dzwoniły, sekretarki biegały. Sam Marlen Michajłowicz także tkwił przy biurku, chociaż niekiedy przychodziło mu na myśl, że to wszystko zawracanie głowy, skoro narada ma na celu jedno - wykazać, że Marlen Michajłowicz źle pracuje i przenieść go na niższe stanowisko, albo w lepszym przypadku odstawić na boczny tor.

Jednak nazajutrz, kiedy ujrzał uczestników narady, zrozumiał, że sprawa nie jest taka prosta, w każdym razie nie jest jednoznaczna. „Ważniak” nie był tu najważniejszy. Co prawda zajmował zaszczytne miejsce przy stole obok „najwybitniejszych osobistości”, jednak z zachowaniem dystansu dwóch krzesel. W kącie rozległego gabinetu przy osobnym stole siedzieli trzej zastępcy „najwybitniejszych osobistości” i jeden zastępca „Ważniaka”. Uśmiechnął się on przyjaźnie do Marlena Michajłowicza. Był to jeden z jego ewentualnych sojuszników, mądry facet, doktor nauk. Wszyscy obecni uścisnęli Marlenowi Michajłowiczowi dłoń, po czym zaproszono go do głównego stołu, gdzie stało przygotowane dla niego krzesło naprzeciwko „portretów”.

Marlen Michajłowicz usiadł, położył teczkę i podniósł oczy. „Portrety” patrzyły na niego chmurnie i rzeczowo, na ich twarzach z roku na rok występowały coraz wyraźniejsze oznaki zmęczenia i starzenia się pomimo wielkich sukcesów Systemu i Teorii w skali światowej.

Spojrzenie Marlena Michajłowicza, zgodnie z obowiązującą etykietą, wyrażało skupienie i szacunek. Tak wypadało. Gotowość do pracy doprawiona odrobiną uwielbienia.

Pomyślał sobie, że jest to uczucie tak naturalne, jak naturalny jest oddech. Podczas spotkania z „portretami“ należy czuć onieśmienie i uwielbienie, ponieważ jest to spotkanie z tym, co dla niego najważniejsze, z partią, która jest droższa niż życie. Przeniknęło go ciepło współuczestnictwa, poczuł nagle, że jest tu swoim człowiekiem, cokolwiek się wydarzy - on zawsze będzie tu swój jako żołnierz partii, dokądkolwiek go przeniosą, choćby nawet do rajkomu.

Zrozumiał, że nikt nie wątpi w jego szczerłość, że cenią tę jego cechę. Wydało mu się, że jeden z „portretów“ spojrzał na niego jakoś po ojcowsku, serdecznie, z serca, widocznie dla „portretów“ towarzysze z niższych szczebli również byli symbolem wielkiego, potężnego i wiecznego jak syberyjska tajga pojęcia „partia“.

Krótką wymiana uczuć za pośrednictwem jakichś wewnętrznych radarów dobiegła końca, zaczęła się merytoryczna rozmowa.

Więc, towarzyszu Kuzienkow, zebraliśmy się tutaj, żeby pogawędzić o twojej Wyspie, powiedział jeden z „portretów“. Od tylu lat Wyspa jest jak sól w oku. Robotnicy piszą listy do Komitetu Centralnego, że już pora coś z tym zrobić.

Marlen Michajłowicz słuchał uważnie, kiwał głową, po pierwsze, wyrażając w ten sposób uznanie dla faktu, że takie osobistości poświęciły swój czas dla podjęcia decyzji o losie skromnego obiektu pozostającego pod jego nadzorem, po drugie, całkowite zrozumienie dla klasowego niezadowolenia z powodu „soli w oku“, a wreszcie gotowość do przedstawienia wyczerpującej informacji o wszystkich dziedzinach życia Wyspy. Otworzył nawet te czuszkę i lekko odkaslnął.

Informacja jednak nie była na razie potrzebna. „Drugi Portret“, o twarzy pozornie świadczącej o silnym charakterze, w rzeczywistości zaś będącej w stanie nieustannej walki ze zwisającymi zwiotczalymi fałdkami, wyniosły i poirytowany, zaczął krótkimi palcami przesuwając coś na stole, jakieś notatki, padały przy tym urywane zdania, że problem został nadmiernie rozdmuchany, w rzeczywistości nie ma żadnego problemu, że są ważniejsze problemy, że zdobyto doświadczenie, dojrzała historyczna chwila... W tym momencie zauważył, że odsunął notatki tak daleko, iż dalsze ich odsuwanie wyglądałoby bezsensownie, zirytował się jeszcze bardziej, zaczął bębnić krótkimi palcami po politurowanym brzegu stołu, chyba stracił wątek, potem zdecydowanie sięgnął do zielonego sukna, podciągnął ku sobie papiery i znowu zaczął je odsuwać. Martenowi Michajłowiczowi przemknęło przez myśl, że to bardzo niesympatyczny człowiek. I natychmiast wstyd mu się zrobiło, że tak to ocenił. Wyrazem twarzy i mchem ręki dał do zrozumienia, że to faktycznie drobny problem w porównaniu z polityką globalną i rozwojem postępu społecznego, a także wyraził gotowość do natychmiastowego przedstawienia zwięzłej i treściwej informacji, ale w tym momencie „Niesympatyczny Portret“, jakby nie dostrzegając Kuzienkova, pochylił się nad stołem, odwrócił lekko głowę ku temu, którego od początku nazywamy „Ważniakiem“, i spytał wprost, czy do rozwiązania tak zwanego krymskiego problemu wystarczy zgromadzenie desantowe generała N.

Marlen Michajłowicz drgnął z przerażenia. W następnej chwili uświadomił sobie, że wszystkie oczy są skierowane na niego. Obojętnie niczym ryba patrzy „Pierwszy Portret“. Badawczo, profesjonalnie przyglądają mu się wszyscy zastępcy. „Ważniak“ przechylił się na bok - nawiasem mówiąc poza całkiem swobodna - i wycelował w mego lewe oko. Nawet „Niesympatyczny Portret“ zerkał na Kuzienkova uważnie z lekkim uśmiechem i

nieruchomo czekał na odpowiedź „Ważniaka“. Tylko jeden człowiek w gabinecie nie patrzył na Kuzienkova, był to „Trzeci Portret“ - nazwijmy go „Skryty“, który cały czas rysował na kartce papieru jakiś ornament i nie przerwał tego zajęcia.

- Jak sądzisz, Marlenie Michajłowiczu - spytał „Ważniak“ - czy to wystarczy do rozwiązania problemu? - Pod względem wojskowym? - odpowiedział pytaniem Marlen Michajłowicz.

- A pod jakim by jeszcze? - powiedział „Niesympatyczny“ do „Ważniaka“, ignorując Marlena Michajłowicza. - Przy okazji można byłoby przetestować czołgi na poduszce powietrznej.

- Pod względem wojskowym zgrupowanie desantowe generała N. nie rozwiąże problemu Wyspy Krym - powiedział twardo Kuzienkow ku swemu własnemu zaskoczeniu. - Wyspa dysponuje potężnymi siłami zbrojnymi - powiedział jeszcze pewniej. - Pozwólcie przypomnieć, towarzysze, że niedawna wojna z Turcją wykazała ich wartość bojową.

T Nie jesteśmy Turkami - zachichotał „Niesympatyczny“.

Żart oczywiście wywołał wybuch śmiechu. Zastępcy wymienili spojrzenia, by pokazać, że doceniają poczucie humoru. Jak jękliwy dzwoneczek zaśmiewał się „Pierwszy“. Oczywiście nie jesteśmy Turkami! Śmiał się również „Ważniak“, ale wyraźnie dla pozorów. Zachowywał się zdumiewająco niezależnie i uważnie przyglądał się Martenowi Michajłowiczowi. Tylko „Skryty“ pary z ust nie puścił, wciąż był zajęty swoim ornamentem. Nie śmiał się również Marlen Michajłowicz.

- Oni - powiedział spokojnie, nawet z odrobiną złości - także nie są Turkami.

Zapadła cisza. Całkowite zaskoczenie. Kuzienkow zręczną repliką przekreślił głęboki sens żartu jednego z „portretów“! Uczestnicy narady zajęli się swymi papierami, zostawiając Marlena Michajłowicza sam na sam z „Niesympatycznym“. A on siedział nadęty, patrzył na swoje znieruchomiałe palce, wszystkie fałdki na twarzy zwiotczały.

Nagle w gabinecie rozległ się śmiech - nieco spóźniony. Śmiał się „Ważniak“, figlarnie kręcił głową, z wyraźną aprobatą zerkał na Kuzienkova.

- Rzeczywiście, towarzysze, oni także nie są Turkami - powiedział. - Marlen Michajłowicz ma rację, tamtejsze wojsko jest rosyjskie, a Rosjanie od wieków - spojrzał na „Niesympatycznego“ - dawali Turkom łupnia.

Za okularami „Pierwszego“ przemknął błysk. „Skryty“ ciągle był pochłonięty ornamentem.

Marlen Michajłowicz zrozumiał, że „Ważniak“ i „Niesympatyczny“ współzawodniczą ze sobą.

- O czym tu mowa? - „Niesympatyczny“ znowu patrzył na „Ważniaka“, chociaż mówił do Marlena Michajłowicza. - Jak można porównywać naszą armię z siłami białych? Jak można wątpić w pomyślnie rozwiązanie problemu? - jego głos brzmiał coraz pewniej. - Ameryka drży przed nami, a tu z kim mamy do czynienia? Nasi ojcowie szablami i bagnietami wypędzili ich jak zające z ukraińskich stepów!

Marlen Michajłowicz miał wrażenie, że „Ważniak“ mrugnął do niego nieznacznie, ale nawet bez tego poparcia nie zląkł się „Niesympatycznego“, coraz bardziej utwierdzał się w postanowieniu, że przedstawi swój punkt widzenia, to znaczy jeszcze raz podkreśli niejednoznaczność problemu Wyspy.

- Zaraz wszystko wyjaśnię - powiedział. - Siła bojowa armii krymskiej jest rzeczywiście wysoka. Gdybyśmy założyli, że desantowe zgrupowanie generała N. to Turcy (lub Amerykanie), krymskie siły zbrojne rozgromiłyby je bez trudu. Jednak - zauważył, że

„Niesympatyczny“ otworzył usta, żeby mu przerwać, ale ciągnął dalej - mogę zapewnić, że nigdy żaden żołnierz krymski nie strzeli do żołnierza radzieckiego. Taki jest stan tamtejszej mentalności. Niektórzy wpływowi wojskowi na Krymie uważają swoje jednostki za część Armii Radzieckiej. W zasadzie nasze Ministerstwo Obrony mogłoby już obecnie wysyłać tam swoje okólniki.

- Co za bzdura! - zawołał „Niesympatyczny“ - To przecież są biali!

- Byli kiedyś białymi - powiedział Marlen Michajłowicz, zaskoczony niewiedzą „przywódcy“ - Ich dziadowie byli białymi.

- Pozostały wszystkie partie z tamtych czasów - skrzywił się z odrazą „Niesympatyczny“ - i kadeci, i oktiabryści...

- Na Krymie jest ponad czterdzieści zarejestrowanych partii politycznych, wśród nich również wymienione przed chwilą - powiedział oschle Marlen Michajłowicz.

„Niesympatyczny“ był tak oburzony jego tonem, że aż otworzył usta. Kuzienkow zauważył, że „Pierwszy“ patrzy na niego z prawie młodzieńczą ciekawością. A „Ważniak“ spoglądał z wyraźną aprobatą.

- Niech pan powie o Związku Wspólnego Losu, Marlenie Michajłowiczu - przypomniał.

- Oczywiście, najważniejszym wydarzeniem politycznym w życiu Wyspy jest powstanie Związku Wspólnego Losu - powiedział Marlen Michajłowicz. - Na jego czele stoją wybitni ludzie średniego pokolenia tamtejszych Rosjan.

- Bardzo ważne wydarzenie - rzekł z ironią „Niesympatyczny“, odchylił się na oparcie krzesła i pierwszy raz zwrócił się bezpośrednio do Kuzienkowa, pytając lekceważącym głosem: - No i czego się domaga ten pański Związek Wspólnego Losu?

- Połączenia Krymu z Rosją - powiedział dobitnie Marlen Michajłowicz.

- To są te postępowe siły? - uśmiechnął się kwaśno „Niesympatyczny“.

- W żadnym przypadku nie można nazwać tych ludzi siłami postępowymi w naszym rozumieniu - powiedział Marlen Michajłowicz.

- Ale będzie zwracania głowy z tym połączeniem - odezwał się nagle „Pierwszy“. - Co my zrobimy z tymi wyspiarzami? Czterdzieści partii, narodowości pewnie także tyle samo... Prócz rdzennych Tatarów i Rosjan są tam Grecy, Arabowie, Żydzi, Włosi... nawet Anglicy...

- Partia ma duże doświadczenie w rozwiązywaniu podobnych problemów - odparł „Niesympatyczny“. - Problem wielopartyjności, jak wszyscy wiemy, można rozwiązać w ciągu kilku dni. Z zagadnieniami narodowościowymi sprawa jest bardziej skomplikowana, myślę jednak, że Grecy powinni mieszkać w Grecji, Włosi - we Włoszech, Rosjanie w Rosji.

Wszyscy zastępcy, Marlen Michajłowicz i nawet „Ważniak“ nadstawili uszu. Rozmowa toczyła się między „portretami“, należało tylko uważnie jej słuchać.

- Zsyłka? - zaskrzeczał „Pierwszy“. - Znowu babrać się z takimi sprawami?

- Nie zsyłka, lecz dokładnie zbilansowane przesiedlenie - powiedział „Niesympatyczny“.

- Inaczej niż kiedyś - uśmiechnął się. - Z uwzględnieniem wymogów humanitarnych. Przesiedlenie wszystkich napływowych grup narodowościowych. Ludność rdzenna, to znaczy Tatarzy krymscy, zostanie na miejscu, utworzymy obszar autonomiczny, wchodzący w skład powiedzmy Gruzińskiej SRR.

- Piękna idea - wystękał „Pierwszy“ i poskrobał się w głowę. - Ale będą kłopoty, oj, będą! Trzeba się dogadać z Amerykanami...

- Dogadamy się z Amerykanami - „Niesympatyczny“ uśmiechnął się wyniośle. - Oczywiście sprawa niełatwa, ale nie należy przesadzać z kłopotami. Likwidacja resztek dawnej Rosji przyniesie wielkie korzyści w sferze ideologicznej.

- A korzyści ekonomiczne - zaskrzeczał „Pierwszy“. - Ile bogactwa płynie do nas z Wyspy - waluta, elektronika...

- Nie oszczędzamy na ideologii - powiedział „Niesympatyczny“.

- Co proponujecie, towarzyszu Kuzienkow - odezwał się nagle „Skryty“, odsunął ukończony ornament i podniósł na Marlena Michajłowicza bardzo spokojny i bardzo niezyczliwy wzrok.

Pod wpływem zaskoczenia Marlen Michajłowicz na chwilę stracił orientację, pochylił głowę, zacisnął pod stołem pięści, ale opanował się. Pomyślał, że to dzięki tenisowi nauczył się mobilizować.

- Przede wszystkim, towarzysze, pragnę zapewnić, że na swoim stanowisku staram się w miarę moich sił i możliwości wcielać w życie wolę partii - powiedział. - Każda decyzja podjęta przez partię będzie dla mnie jedyną słuszną decyzją, jedyną możliwą do przyjęcia.

- Gdyby było inaczej, nie siedziałby towarzysz tu z nami - uśmiechnął się „Niesympatyczny“.

Co za uśmieszek, pomyślał Marlen Michajłowicz, czy można wyobrazić sobie bezczelniejszy, nieludzki uśmieszek?

Pozostali milczeli, nie zareagowali na przysięgę wierności, tylko zastępca „ważniaka“ z aprobatą przymknął powieki. Marlen Michajłowicz z radością zrozumiał, że dobrze rozegrał tę sprawę.

- Poświęciłem sprawom Wyspy dwadzieścia lat życia i dlatego ostrzegałbym w obecnej sytuacji przed podejmowaniem jakichkolwiek kroków o ostatecznym charakterze. Sytuacja na Wyspie jest niezwykle skomplikowana. Kształtuje się nowa świadomość narodowa. W czwartym pokoleniu rosyjskiej emigracji, to znaczy wśród młodzieży, szerzy się idea stapienia się grup etnicznych i powstawania nowego narodu, tak zwanego Jaki. Następuje polaryzacja. Młodzież ta, całkiem nie zorganizowana, przeciwstawia się Związkowi Wspólnego Losu, który jest wyrazem tego, co przed chwilą nazwałem stanem umysłów. Jednak sympatia do Związku Radzieckiego dominuje na Wyspie. W tym nurcie znajdują się liczne partie lewicowe i komunistyczne, które, niestety, ciągle ze sobą walczą. Wpływy chińskie są nikłe, chociaż i one istnieją. Pojawiają się, znikają i znowu się pojawiają grupy anarchistyczne. Nie należy, rzecz jasna, zapominać o pozostałościach instytucji dawnej Rosji, o aparacie administracyjnym tak zwanych wrewakuantów. Nie należy także bagatelizować grupy tatarskich nacjonalistów, chociaż stale rosną w niej wpływy Jaki. Dla Tatarów Jaki to alternatywa idei rosyjskiej. Istnieje również półprzestępcze, a więc niebezpieczne, ugrupowanie rosyjskiej ultraprawicy - Wilcza Sotnia. Jeżeli chodzi o Zachód, to w strategicznych planach NATO Krym nie odgrywa większej roli, ale działalność wywiadu natowskiego świadczy o tym, że Wyspę uważa się za potencjalne ognisko destabilizacji. Krótko mówiąc uważam, że gdyby obecnie odbyło się odpowiednie referendum, to co najmniej siedemdziesiąt procent ludności głosowałoby za przyłączeniem do Związku Radzieckiego. Jednak pozostałe trzydzieści procent to także niemało, każde nieumiejętne podłączenie do sieci może spowodować krótkie spięcie i pożar. Za trzy miesiące na Wyspie odbędą się wybory. W jakimś stopniu wyjaśnią one sytuację. Powinniśmy wykorzystać ten czas do intensywnej obserwacji, do dalszego powiększenia naszych wpływów poprzez rozszerzanie różnych kontaktów w poszczególnych środowiskach, rozpowszechniania naszej radzieckiej ideologii, zwiększenia sprzedaży literatury politycznej. Nawiasem mówiąc, literatura ta to chodliwy towar na Wyspie, ale nie należy się łudzić - moda na radzieckie wydawnictwa w każdej chwili może się zmienić. Zwycięstwo Związku Wspólnego Losu w wyborach będzie korzystne dla naszej sprawy, jednak powinniśmy się wystrzegać

bezpośredniego poparcia dla tej organizacji. Rzecz w tym, że ZWL jest zjawiskiem niejednoznacznym. Przewodzi mu grono wpływowych osobistości, tak zwani „koledzy z klasy“, do których należy wydawca Łucznikow, pułkownik Czernok, popularny sportowiec hrabia Nowosilcew, przemysłowiec Timofiej Mieszkow. Pragnę, towarzysze, szczególnie podkreślić sytuację w naszych czasach wręcz nieprawdopodobną. Ludzie, którzy tworzą tę grupę, są niezależni, nie ulegają żadnym zewnętrznym wpływom, to prawdziwi idealisci. Ich ruch opiera się na pierwiastku idealistycznym, na tak zwanym kompleksie winy wobec historycznej ojczyzny - to znaczy Rosji. Zdają sobie sprawę z tego, że osiągnięcie życiowego celu skończy się dla nich utratą wszystkich przywilejów, upadkiem klasy szlacheckiej, zerwaniem więzi z wrewakuantami. Pragmatyczny polityk potraktuje ich poglądy z pobłażliwym uśmiechem, ale oni istnieją i mają coraz szersze wpływy. Znalezienie naukowych, marksistowskich podstaw tego ruchu jest trudne, ale możliwe. Wymaga to jednak szczegółowej analizy, którą nie będę zanudzał towarzyszy. Teoretyczna analiza - to sprawa przyszłości, dzisiaj powinniśmy się uważnie i ostrożnie przyjrzeć ZWL. Jak każdy ruch idealistyczny, ZWL wstrząsany jest emocjonalną febrą. Właśnie obecnie przeżywa podobny wstrząs, który na pierwszy rzut oka może się wydać gwałtowną zmianą kierunku, zwrotem o sto osiemdziesiąt stopni.

Marlen Michajłowicz odwrócił kartkę i nagle odczuł jakąś zmianę atmosfery. Zrobił małą pauzę i podniósł oczy. Zdumiało go to, co ujrzał. Wszyscy uczestnicy narady słuchali w napięciu. Wszyscy nie odrywali od niego wzroku, nawet z twarzy „Niesympatycznego“ zniknął wyraz lekceważenia, fałdki wygładziły się nieco, ukazały się jego prawdziwe rysy. Marlen Michajłowicz zrozumiał przyczyny dzisiejszej narady. „Zwrot o sto osiemdziesiąt stopni“ wywołał popłoch, obawę, że Wyspa Krym, którą już uważano za własność, może odpłynąć w siną dal.

Później Marlen Michajłowicz miał do siebie pretensje, że utożsamiając się z krymskimi idealistami jakby się wyrzekł partii, ale wtedy przeżył triumf. Patrzcie, jaki to spryčiuła z tego „Niesympatycznego“, chce załatwić sprawę rękami desantowców! Bohater się znalazł! Nikogo nie zna i znać nie chce, przywódca mas, współczesny faraon! Boi się, miota, nie wiedząc, co robić, obawia się nawet sąsiada odległego o dwa krzesła. Zresztą może jego najbardziej.

„Niesympatyczny“ zrozumiał, że dał się przyłapać, skrzywił się znowu lekceważąco, rozwalił się na krzesła, zadudnił grubymi paluchami, nawet ziewnął i spojrzał na zegarek, ale była to tylko gra pozbawiona sensu.

Marlen Michajłowicz ciągnął dalej:

- W rzeczywistości nie ma żadnego zwrotu. Tyle tylko, że interesują się tam ideami naszych dysydentów, nowej emigracji, co jest typowe dla idealistów. Redaktor „Kuriera“ Łucznikow, niekwestionowany przywódca ruchu, nie boi się kuli bandyty z Wilczej Sotni, lęka się natomiast pogardliwego spojrzenia jakiegoś jazzmana lub malarza - moskiewskich przyjaciół z lat młodości. Oto przyczyny niektórych zmian w naświetlaniu życia naszego kraju na łamach „Kuriera“.

Zrobił jeszcze jedną pauzę, nim przeszedł do konkluzji. Już wczoraj uznał ją za niebezpieczną, ale teraz pod uważnym spojrzeniem zmrużonych oczu „Niesympatycznego“, wydała mu się wręcz karkołomna.

- Jestem głęboko przeświadczony, że przed decydującymi wydarzeniami na Wyspie „koledzy z klasy“, obawiając się oskarżenia o zdradę, chcą ukazać społeczeństwu tak zwaną prawdę o radzieckim życiu, by społeczeństwo, przyzwyczajone do jednego z najwyższych w

świecie standardów, do warunków jednego z najbardziej otwartych krajów pseudodemokratycznych, zdawało sobie sprawę z tego, na co się decyduje, głosując za połączeniem z wielkim Związkiem Radzieckim. Ludność Wyspy używa nazwy naszego kraju zawsze z tym przymiotnikiem. Jestem również przekonany, że następnym krokiem „kolegów z klasy“ będzie ostra krytyka zmurszałych pozostałości starej Rosji, Zachodu, a także polemika z nacjonalistami Jaki. Biorąc pod uwagę tę skomplikowaną sytuację, proponuję powstrzymać się w chwili obecnej od podjęcia ostatecznej decyzji, trzymać rękę na pulsie i kontynuować ostrożną, uważną obserwację wydarzeń i ludzi.

Marlen Michajłowicz zamknął teczkę i jakiś czas siedział nieruchomo, wpatrzony w pseudokrokodylą skórę z trzema rzymskimi cyframi w rogu - XXV.

- Czy są pytania do Marlena Michajłowicza? - spytał „Ważniak“.

- Dużo pytań, bardzo dużo - zapiał „Pierwszy“. - Jak zaczniemy pytać, to do rana nie skończymy.

- Marlenie Michajłowiczu - powiedział „Niesympatyczny“ jakoś dziwnie łagodnie.

Marlen Michajłowicz aż drgnął z zaskoczenia i podniósł wzrok. „Niesympatyczny“ patrzył na niego z uprzejmym uśmiechem światowca, dając do zrozumienia, że teraz traktuje go inaczej, że go rozszyfrował, „rozgryzł“, zrozumiał jego grę, teraz Marlen Michajłowicz nie jest w jego odczuciu „swoim“, dlatego zasługuje na uprzejmy uśmiech.

- Pan oczywiście rozumie, Marlenie Michajłowiczu, że mam wiele pytań - powiedział uprzejmie. - Po prostu mnóstwo. Należy wyjaśnić wiele kwestii... - pauza. - Pan to oczywiście doskonale rozumie...

- Jestem przygotowany na każde pytanie - powiedział Marlen Michajłowicz. - Chciałbym jeszcze raz podkreślić, że dla mnie najważniejsze są decyzje partii. Historia dowiodła, że specjaliści mogą się mylić. Partia - nigdy.

Apatyczna twarz zastępcy świadczyła, że tym razem Marlen Michajłowicz odrobinę przeholował, ale było mu to obojętne.

- Jest propozycja - powiedział „Skryty“ - by wydelegować Marlena Michajłowicza Kuzienkowa na dłuższy czas jako generalnego konsultanta Instytutu Badań Wschodniego Śródziemnomorza. W ten sposób będziemy mogli lepiej poznać problem naszego wyspiarskiego terytorium, naświetlić go od wewnątrz - „Skryty“ uśmiechnął się półgębkiem. - W naszym imieniu będzie pan trzymał rękę na pulsie. Konkretnie polecenia będzie pan otrzymywał za pośrednictwem towarzysza... - wymienił nazwisko „ważniaka“, podziękował wszystkim uczestnikom narady za współudział i wstał. Narada się skończyła.

Marlen Michajłowicz wyszedł na korytarz. Kręciło mu się w głowie, od czasu do czasu czuł dreszcze spowodowane napięciem nerwowym. Na szczęście dzięki tenisowi nauczył się odprężać. Nagle ogarnęła go ogromna radość - wyjedzie na Wyspę „na dłuższy czas“, to dopiero fart! Nie szkodzi, że na niższe stanowisko, jakby na zesłanie, należy dziękować losowi za taki podarunek. Mogli wysłać na ambasadora gdzieś do Czadu lub Mali. Naprawdę ma szczęście, a przejęcie obowiązków przez „Ważniaka“ oznacza, że nie jest to degradacja, lecz podniesienie problemu na wyższy szczebel.

„Ważniak“ wziął go pod rękę, szepnął na ucho - Cieszysz się? - i ze śmiechem szturchnął łokciem w bok.

- Cieszę się, nie ukrywam - powiedział Marlen Michajłowicz. Mądra decyzja. Dobrze, że będę tam właśnie teraz. No i Wiera bardzo mi pomoże...

- Nie, brachu, tam żona jest kulą u nogi - uśmiechnął się „Ważniak“. - Wybierasz się do Tuły z własnym samowarem? Ech, Marlenie, trochę ci zazdroścę. Ale wyskoczę na tydzień i zabawimy się.

Marlen Michajłowicz zajął w oczy „Ważniakowi” - swemu nowemu bezpośredniemu szefowi - i zrozumiał, że nie ma sensu rozmawiać o żonie i dzieciakach. Wszystko zostało przesądzone. „Kulę” należy zostawić w Moskwie. No cóż, po sprawie Szewczenki można zrozumieć niepokój niektórych towarzyszy.

- Gwarantuję dobrą zabawę - Marlen Michajłowicz uśmiechnął się w stylu sauny.

- Ja nie mogę - powiedział z żalem „Ważniak”. - Wszędobyłska prasa, telewizja. Ty także uważaj - napomniał surowo.

- Możesz być spokojny - powiedział Marlen Michajłowicz. Doszli do końca bezludnego korytarza, stanęli w miejscu,

gdzie kończył się zielony dywanik. Mieli przed sobą białą ścianę i popiersie Lenina z czarnego kamienia, które przez to było nieco dziwne. „Ważniak” położył dłoń na ramieniu Marlena Michajłowicza.

- Niepotrzebnie ukrywasz przed ludźmi swoją mamę Annę Markownę Syskind. Niewiele zostało takich kominternówek.

Marlen Michajłowicz podziękował swemu protektorowi bladym uśmiechem.

XII. Stara Droga Rzymska

Zwykle Rajd Antyczny miał początek w Symferopolu, w miejscu gdzie się zaczynała południowo - wschodnia estakada, ale uczestnicy mogli wybrać dowolną trasę prowadzącą do starożytnej drogi, która łączyła Ałusztę z Sugdeją. Można tam było dojechać stalową ośmiopasmową estakadą, mknąc obok najwyższego krymskiego szczytu Czatyrdahu, lub opuścić estakadę jednym z ośmiu zjazdów i szukać szczęścia na poplątanych asfaltowych serpentynach na dole. Każdy uczestnik rajdu marzył o tym, by przed innymi wyskoczyć na starożytną drogę, ponieważ wyprzedzanie na serpentynach oznaczało igranie ze śmiercią. Z kolei na siedemdziesięciokilometrowej prostej jak strzała estakadzie można było cisnąć gaz do dechy, ale tam także trwała ostra walka o pozycje, tak zajeżdżano sobie drogę, że wielu zawodników kończyło tu jazdę, wpadając na barierę ochronną lub wóz kolegi. Dlatego najsprytniejsi wybierali asfaltowane serpentyny tworzące labirynt wokół Maszut - Sułtana, Angary, Tamaku, by w Ałuszcie wyskoczyć tuż przed ryczącą i dymiącą gromadą maszyn i pomknąć do Demerdży starą rzymską drogą, wlokąc za sobą tren żwirowego kurzu, który bynajmniej nie umiał jazdy konkurentom.

Łuczniów i Nowosilcew opracowali chytry plan. Hrabia da nura w pierwszy zjazd i zniknie z pola widzenia, a Andriej na swoim turbo postara się powstrzymać główną grupę samochodów - będzie zajeżdżał jej drogę, zmieniał pasy, nagle hamował. Jeżeli hrabiemu uda się wcześniej od innych dojechać do starej rzymskiej drogi, nie przeskoczą go ani Billy Hunt, ani hrabia Portago, nie mówiąc o miejscowych zawodnikach.

Tym razem zjechali tu najlepsi rajdowcy świata, co najmniej dziesięciu supergwiazdorów, ze trzydziestu gwiazdorów, resztę stanowili zawodnicy niższej klasy, ale odważni i ambitni. Do udziału zakwalifikowano dziewięćdziesiąt dziewięć maszyn - "Sto minus jeden" jak reklamowano rajd na koszulkach, kurtkach, papierosach, napojach... Na wielki parking przy „Południowym Wschodzie“ zjeżdżały się samochody różnych marek, po sprawdzeniu hamulców i układu kierowniczego zajmowały miejsce na linii startu, skąd rycząca gromada popędzi na estakadę. Po obu stronach kotłował się wielotysięczny tłum. Na trybunach wokół pomnika Lejtnanta wszystkie miejsca zajęte były przez eleganckie towarzystwo. Nad placem wisały śmigłowce telewizji, wszędzie kręcili się reporterzy i kamerzyści. Od wielu lat Rajd Antyczny był czymś w rodzaju święta narodowego. Jednoczył wszystkich mieszkańców Krymu, a zarazem wzmagał współzawodnictwo grup etnicznych: Tatarzy marzyli o zwycięstwie Tatara, krymscy Anglicy obstawiali swoich rodaków, wrewakuanci - to znaczy Rosjanie, liczyli na zwycięstwo swoich zuchów. W ostatnich latach zwycięzcami Rajdu Antycznego byli obcy - zagraniczni zawodnicy, tacy jak obecni na tym rajdzie Billy Hunt i hrabia Portago.

Billy Hunt, opalony przystojniak o pięknych zębach, jechał na hunterze, czyli „myśliwym“. Trudno określić, jaki wóz był prarodzicem tego potwora. Karoserię zdobyły znaki różnych firm: alfa romeo - skrzynia biegów, porsche - hamulce, mustang - gaźnik... za każdy taki znak firmy płaciły Huntowi duże pieniądze, ale on miał je w nosie. Był fanatykiem sportu samochodowego, lub, jak mówią w Moskwie, miał bzika na tym punkcie. Przed każdymi zawodami sam konstruował swoje samochody, zamawiał w różnych firmach części według własnych rysunków technicznych. Kochały się w nim najpiękniejsze kobiety świata, a on łaskawie przyjmował ich miłość, jednak ledwie prasa zdążyła opisać ich

miodowe dni, dochodziło do rozstania, bowiem śliczne dziewczęta nie wytrzymały szalonego rytmu życia Hunta, a on oddałby je wszystkie za jedną jedyną świecę zapłonową. Billy nie bez powodu nazywał swoje wozy „myśliwymi“. Na każdych zawodach zawsze wybierał ofiarę, lidera, polował na niego, jechał w ślad za nim, irytował nieustanną pogonią i tuż przed finiszem kończył łowy zwycięstwem.

Całkiem inny typ zawodnika reprezentował hrabia Portago, chudy, wyniosły młodzieniec (co prawda miał już trzydzieści sześć lat), wydawało się, że siedząc w swoim srebrzystym flamenco nie widzi nikogo, walczy z czasem, obchodzi go tylko prędkość. Zaciskał wąskie kastylijskie wargi, kiedy ktoś „pętał mu się pod nogami“. Podczas kilku ostatnich rajdów właśnie on padł ofiarą Hunta, jednak nadal nie dostrzegał go i nigdy nie komentował swoich porażek. Życie osobiste Portago stanowiło dla prasy tajemnicę.

Łuczniów siedział przy kierownicy swego pitera i spokojnie obserwował reporterów, kręcących się wokół huntera i flamenco. Zresztą publikatory wzięły go również na warsztat. Czterdziestosześcioletni wydawca wpływowej gazety uczestniczy w rajdzie - to niebywała sensacja. Chyba jeszcze większą sensacją były napisy na karoserii jego wozu: ZWL! Związek Wspólnego Losu! Łączcie się z ZWL! Kilku redaktorków pchało się z pytaniami, podsuwali mikrofony, ale Łuczniów odsuwał je dłonią i spokojnie palił papierosa. Uśmiechał się przy tym zagadkowo. Jak wiadomo, taki uśmiech najbardziej intryguje.

I oto ujrzał największą sensację dnia - wóz hrabiego Nowosilcewa oznaczony był numerem „87“ i nosił egzotyczną nazwę żyguli - kamczatka. Pewnie tylko karoseria, emblemat z czółnem i pierwszy człon nazwy pochodziły z Wołżańskich Zakładów Samochodowych. Samochód był jednomiejscowym kabrioletem. Resztę jego przestrzeni wykorzystano do zwiększenia mocy silnika, zapewne umieszczono dodatkowe zespoły, ukryte pod stalową osłoną i termoizolacją. Przód samochodu zdobił system reflektorów własnej konstrukcji, których światło miało przenikać przez zwirowy kurz rzymskiej drogi. Karoseria żyguli umieszczona została na podwoziu skonstruowanym przez hrabiego Nowosilcewa. Grube opony, uzbrojone w sterczące kolce, i masywne, jaskrawo pomalowane kauczukowe zderzaki wokół samochodu, które miały służyć do roztrącania rywali. Rura wydechowa, stercząca spod tylnego zderzaka, wyglądała jak dysza odrzutowca. Nieznany dotychczas układ dużych i małych lusterek umożliwiał obserwację drogi pod samymi kołami. Łuczniów dopiero teraz na starcie mógł obejrzyć to dziwadło, Nowosilcew bowiem nikomu nie pokazywał swego samochodu, nawet „kolegom z klasy“. Łuczniów uśmiechnął się. Wołodę w gimnazjum przezywano „Kamczatką“, ponieważ przesiadywał na ostatniej ławce, gdzie zawsze był czymś zajęty, zrzucał pracę domową, żuł papier, by zrobić obrzydliwą kulę i rzucić ją w prymusa Timoszę Mieszkowa, ciągle coś kombinował, żył na tyłach własnym życiem, chyba się nawet onanizował. Z czasem zapomniano o tym przezwisku. Po wakacjach spędzonych u ciotki w San Francisco przyszczał hrabia - nicpoń wrócił do Symfi jako superman, sportowiec, młody mężczyzna. Pasjonował się boksem, karate, skokami z trampoliny, rajdami. Wtedy nadano hrabiemu inne przezwisko, nieco prymitywne, wywodzące się od nazwiska - „Nowo - Siła“, które przyłgnęło do niego na długo, nawet teraz czasem go używano.

Nawiązanie przez Wołodę do dzieciństwa i „Kamczatki“ Łuczniów uznał za trafne i wzruszające. Pomachał rękawiczkami do Nowosilcewa, który jednak nie zauważył jego przyjaznego gestu. Wokół wozu Nowosilcewa kręcili się reporterzy, a on pozował w nakryciu głowy z poprzedniego rajdu, podobnym do galijskiego hełmu ze skrzydełkami. Na jego samochodzie również widniały hasła ZWL. Trudno było się zorientować, co bardziej

interesowało reporterów - hasła ZWL, legendarny hrabia czy jego nowy pojazd.

Nowosilcew powoli jechał na swoje miejsce na starcie, niekiedy zatrzymywał się, mówił coś z tajemniczym uśmiechem. Nieopodal na otwartej platformie stał wielki telewizor, na którego ekranie Łucznikow widział uśmiechniętą twarz hrabiego na zmianę z żyguli - kamczatką, filmowane ze śmigłowca. Hrabia poprosił reporterów, by się odsunęli od samochodu i zademonstrował jeden ze swoich sekretów. To było rzeczywiście wspaniałe - niezgrabny z wyglądu wóz dosłownie obrócił się w miejscu. Łucznikow odszukał wzrokiem Billy'ego Hunta, który uważnie obserwował maszynę Nowosilcewa. Tylko hrabia Portago nie zwracał na nikogo uwagi, czyszcząc paznokcie i coś gwiżdżąc.

- Hej, *cello!* - zawołał ktoś wesoło, Łucznikow rozejrzał się i zobaczył nad tłumem twarz syna. Antoszka przepychał się do niego, machając czapką z napisem „Jaki“. Łucznikow ucieszył się i jednocześnie wstyd mu się zrobiło. Całkiem zapomniał o swoich bliskich, nie myślał ani o synu, ani o ojcu, ani o matce Antona, wegetującej gdzieś w Rzymie, ani nawet o aktualnej partnerce, która pewnie gdzieś na trybunie nie odrywa lornetki od jego samochodu. Całkiem zwariował, rozpolitykował się, dostał hyzja na punkcie przeklętej Rosji.

- Hej, *cello!* - wołał do niego syn jak do kolegi. Słowo *cello* tak się zadomowiło w potocznej mowie, że nawet wrewakuanci czasem posługiwali się nim, chociaż większość z nich odrzucała żargon Jaki. Wywodziło się ono od zwykłego „człowieka“. Jednak z północy, z angielsko - krymskich osiedli dotarło tu słowo *fellow*, a pod wpływem licznych w latach pięćdziesiątych amerykańskich baz wojskowych pojawiło się chamowate *man*. Powstała urocza hybryda *czetlou - man* (Andriej i jego koledzy w młodości uwielbiali to słówko), a później powstało z niego *cello*, człowiek przemienił się w coś w rodzaju wiolonczeli.

Łucznikow otworzył prawe drzwiczki i Antoszka wpakował się do samochodu.

- *Atac* - powiedział i zatrajkotał w języku Jaki, chcąc zaimponować ojcu.

Łucznikow rozumiał ledwo połowę, ale się zorientował, że on - *atac* - jest zuchem, że Rajd Antyczny to *kołkuj (holiday plus sabantuj* - czyli święto) dla wszystkich, ale nie ma co liczyć na zwycięstwo. Zwycięży faworyt Jaki, dwudziestotrzyletni Masta Fa na eagle.

- Czy ty jeszcze pamiętasz rosyjski? Mów po rosyjsku. - Łucznikow zburzył Antoszce czuprynę.

Anton z wyraźną ulgą przeszedł na język swoich przodków.

- Zabawne, tato, że jesteśmy z tobą jakby politycznymi przeciwnikami - powiedział.

- Jacy tam z nas przeciwnicy - nie zgodził się Łucznikow.

- Nie uważasz nas za siłę? - spytał Anton. - Uważasz, że Jaki narodowcy nie mają perspektyw?

- Jeszcze na to za wcześnie - powiedział Andriej nie bez smutku. - Ten ruch mógłby się liczyć za trzy pokolenia, gdyby Wyspa jeszcze istniała.

- A gdzie się ma podziać? - powiedział Anton. - Przecież nie utonie.

- Przyciągnie ją kontynent.

- My, młodzi uważamy waszą ideę za szaleństwo - powiedział Anton bez złości, z zadumą. - Jak można twierdzić, że Wyspa jest rosyjska? To imperializm. Czy ty wiesz, że krwi rosyjskiej jest tu mniej niż połowa?

- Nawiasem mówiąc w Związku Radzieckim wygląda to tak samo - rzekł Andriej.

Przez megafony obwieszczono, że do startu zostało dziesięć minut i zawodnicy mają zająć swoje miejsca.

Łucznikow zapuścił silnik, słuchał jak pracuje. Kątem oka zauważył, że syn patrzy na niego z szacunkiem.

- Czy dziadek urządza dzisiaj przyjęcie? - spytał syna.

- Oczywiście! - zawołał Anton i przeszedł na angielski. – *It's going to be what the americans call a swell party.* Zaproszono wszystkich uczestników rajdu i najświetniejsze towarzystwo. Czy twoja pani będzie? Miałem okazję ją poznać. Ma na imię Tina?

- Tania - powiedział Andriej.

- Tina czy Tania? - upewnił się Anton.

- Jaka Tina, do diabła? Tania!

- *Jaki, atac!* Spotkamy się wieczorem. Nie pędź zanadto na trasie. Tak czy inaczej, zwycięży Masta Fa.

- *Jaki, cello!* - powiedział Łucznikow.

Pozostało półtorej minuty do startu. Włączył swoje CB - radio.

- Cześć - powiedział do Tani.

- Jak leci? - spytała.

- Normalka - powiedział. - Poszukaj Bruka i leć z nim śmigłowcem do Sugdei.

- Przecież planowaliśmy inaczej - powiedziała.

- Znajdź Bruka i leć z nim na finisz - powtórzył zimno. - To wszystko. Wyłączam się.

Przed samym startem pomyślał, że jego ukochana dziwnie się zmieniała, jest przekorna, dzisiaj nie chciała iść na rajd, o mało się nie posprzeczała.

- Stan!

Wystrzeliły rakiety, samochody ruszyły.

Regulamin rajdu nie ograniczał ani pojemności cylindrów, ani wielkości samochodu. Można było jechać wielkim komfortowym russo - bałtem albo dwumiejscowym MG, bardziej podobnym do trzewika niż do samochodu. Mogłyby wziąć udział w Rajdzie Antycznym także owe koszarne „błękitne rekiny“ i „żółte smoki“, które na dnie słonego jeziora osiągały niemal prędkość dźwięku, ale jak radziłyby sobie na serpentynach rzymskiej drogi?

W przeciwieństwie do większości uczestników rajdu Łucznikow nie udoskonalął swego samochodu z myślą o wyścigu. Jego turbo - piter był maszyną wyjątkową, najnowszym osiągnięciem i dumą koncernu samochodowego Piter - Auto w Dżankoj. Wiosną ubiegłego roku wyprodukowano pięćdziesiąt egzemplarzy wozów tego typu i przed rozpoczęciem kampanii reklamowej rozesłano je po świecie. Wszystkie ważne zespoły silnika zaplombowano fabrycznie, nawet olej należało zmieniać dopiero po przejechaniu stu tysięcy kilometrów. Dawniej Łucznikow niechybnie zajrzałyby do wnętrza swego turbo, teraz uświadomił sobie z goryczą, że nie przejmuje się wynikiem rajdu, nawet by nie zauważył całej tej imprezy, gdyby nie ZWL. Zmienił się, nie potrafiłby już tak cieszyć się wiosną jak w ubiegłym roku, wiele stracił, a co zyskał w zamian - siłę, władzę? Wszystko to razem niewiele jest warte w porównaniu z tamtą cudowną chwilą.

Gdy po kilku minutach jazdy zarysowała się sylweta Czatyrdaha, pomyślał, że jego jedynym celem jest teraz wyprowadzić Wołodkę na czoło wyścigu, niczego więcej nie potrzebuje, absolutnie niczego.

Przed nim, w odległości około dwudziestu metrów, jechały tylko trzy samochody. Billy Hunt w swoim plamistym „myśliwym“ usiłował trzymać się za dumnie mknącą srebrzystą torpedą hrabiego Portago. Między nimi jednak sunął jaskrawopomarańczowy wóz z zielonym ogonem. Łucznikow domyślił się, że to eagle faworyta Jaki, „niezwycięzonego“ Masta Fa. Pewnie ten twór zaskoczył Hunta, ponieważ był wyraźnie zdenerwowany.

Łucznikow doszedł do wniosku, że już nie zdoła zatrzymać Portago. Niewątpliwie on

pierwszy dopadnie serpentyny. Może jednak unieszkodliwić Hunta, całkowicie pochłoniętego taktyką łowów, a pomoże mu w tym Masta Fa. Jeżeli Portago zostanie sam, Nowo - Siła poradzi sobie z nim na serpentynie.

Masta Fa pędził z maksymalną prędkością, uniemożliwiając Billy'emu wyprzedzenie i uplasowanie się za wozem Portago. Hunt zaczął zwalniać, pewnie zamierzał przepuścić eagle i ucześcić się ogona rywala. Łucznikow nacisnął pedał gazu i ustawił się za wozem Masta Fa. Zdążył zauważyć z lewej strony wykrzywione usta Hunta. Teraz, by znaleźć się za samochodem Portago, Hunt musiałby zahamować gwałtownie, a to oznaczało ryzyko znalezienia się w zwariowanym kołowrocie walki toczącej się w podstawowej grupie samochodów, gdzie bezpardonowo zajeżdżano sobie drogę i przepychano się. Miał jedno wyjście - wycisnąć wszystko, co się da, ze swego wozu i wyprzedzić Masta Fa bodaj o kilka metrów. Hunter zjechał na lewo, prawie do samej bariery osłaniającej estakadę, dystans między nim a eagle zwiększył się, co pozwoliło eagle jeszcze trochę uciec do przodu. Łucznikow pomyślał, że Billy jest u kresu swoich możliwości, a on ma jeszcze pewne rezerwy obrotów. Rzucił się desperacko w prześwit między hunterem a eagle.

Przez chwilę trzy wozy jechały obok siebie. Łucznikow ciekawie zerknął w lewo i ujrzał wściekłego Hunta pochylonego nad kierownicą. Spojrzał w prawo - młoda tatarska twarz z płonącymi oczami. Co za Jaki, to prawdziwy Tatar Mustafa, może z odrobiną krwi greckiej. Oni wszyscy zmieniają teraz imiona, kształtują nową narodowość, naiwni chłopcy - mój Ton Łucz, ten Masta Fa... Czuł, że wyprzedza obu, a nie wyczerpał jeszcze swoich możliwości. W ostatniej chwili Billy postanowił go postraszyć, zjechał trochę w prawo. Jego zderzak dotknął karoserii pitera. Śwąd palonej gumy, silnik pitera ryknął i hunter pozostał z tyłu. Teraz Łucznikow wyprzedził eagle. Zobaczył w lusterku, że Hunt zwalnia, widocznie chce zaatakować z tyłu swoją ofiarę - hrabiego Portago, mknącego z szaleńczą prędkością. Hunt jednak jechał teraz zbyt wolno. Dopędziła go cała gromada - ferrari, mazdy, mustangi, spitfire'y, pitera. Jeszcze sekunda i stado pochłonięto huntera - hrabia zyskał na tym co najmniej minutę.

Wyprzedzając bez szczególnego wysiłku Masta Fa, Łucznikow zdążył spojrzeć w dół z samolotowej niemal wysokości estakady. Na stromej serpentynie dostrzegł jaskrawą plamę żyguli - kamczatki. Tkwił nad nim śmigłowiec telewizji, widocznie reżyser reportażu domyślił się, co jest grane.

Łucznikow nacisnął hamulec i ujrzał w lusterku rozszerzone przerażeniem oczy niedoświadczonego Jaki. Odległość między nimi nie zmniejszała się, widocznie Masta Fa także zahamował. Po kilku sekundach zbliżyła się różnobarwna gromada pojazdów.

Masta Fa skręcił kierownicę, zjeżdżając na prawo. W gromadzie samochodów wystąpiły objawy paniki, ktoś wyraźnie hamował, ktoś usiłował wyrwać się do przodu, ale inni cisnęli go, zmuszali do zwolnienia. Łucznikow szarpnął się w prawo, nadstawiając bok samochodu, jakby chciał dopędzić hrabiego Portago, choć w rzeczywistości zamierzał powstrzymać wszystkich. Jeszcze kilka sekund! Zjechał na prawą stronę estakady. Przed nim, w odległości około trzydziestu metrów, zwycięsko gnał flamenco. Łucznikow znowu spojrzął na dół i ujrzał samochód hrabiego Nowosilcewa, mknący wśród zielonych zarośli wąwozu, gdzie zaczynała się serpentyna, prowadząca do angarskiej przełęczy. Nieliczni kierowcy, którzy również wybrali tamtą drogę, zostali daleko w tyle. Minęło jeszcze kilka minut. Każdorazowo, kiedy z gromady samochodów wrywał się jakiś wóz, zaraz zjawiało się przed nim jaskrawoczerwone turbo Łucznikowa, zmuszając go do hamowania lub zmiany pasa. Wyglądało na to, że Łucznikow pomaga hrabiemu Portago. Przemknęli estakadą nad przełęczą. Po kolejnej zmianie pozycji Łucznikow ujrzał lecący obok wielki śmigłowiec

telewizji. Przez otwarte drzwi widać było uśmiechniętych chłopców, którzy kibicowali kierowcom.

Łucznirow usłyszał w telefonie spokojny głos Tani:

- Lecimy nad tobą. Co ty robisz, Andrieju! Zaraz się rozwalisz!

- Bardzo proszę, nie dzwoń do mnie więcej - powiedział Łucznirow.

Zobaczył, że po lewej stronie z gromady samochodów wysuwa się plamisty hunter i sunie nie w kierunku Portago, lecz za nim. Zrozumiał, że Billy rozszyfrował jego taktykę, teraz Łucznirow jest jego zwierzyną. Uśmiechnął się, widząc w lusterku, jak Billy dokładnie reaguje na każdy jego ruch. Skończyła się zabawa, teraz trzeba cisnąć gaz do dechy. W oddali widać było półkolisty błyszczący wjazd na Ałusztę, skąd należało stromą serpentyną wyskoczyć na Starą Drogę Rzymską.

Wjazd był trzykrotnie węższy niż estakada i Łucznirowowi udało się tutaj zablokować huntera. Flamenco pierwszy wyskoczył na żwir i natychmiast wzbił się za nim tren czerwonego kurzu. W ślad za flamenco, nie wiadomo skąd, jak diabeł z tabakiery, zjawił się i pognał serpentyną w górę hrabia Nowosilcew. Powiódł się plan „kolegów z klasy“. Teraz Łucznirow osłaniał żyguli - kamczatkę przed hunterem. Jeszcze chwila i koła jego wozu zazgrzytały na żwirowanej drodze. Z tyłu Hunt włączył potężne reflektory, nawet przez gęsty kurz ich światła oślepiały, odbijając się w lusterkach wozu Łucznirowa. Przed nim mknęła żyguli - kamczatka. Hrabia Nowosilcew podniósł rękę, by pozdrowić Andrieja.

Zaczęły się zwariowane serpentyny pnące się z boczem coraz wyżej. To z jednej, to z drugiej strony otwierały się przepaści. Z lewej w malowniczych zielonych dolinach i na zboczach, widniały wille i hotele Dimerdży, z prawej widać było morze, małe skaliste zatoczki, nadmorskie osiedla, jaskrawe plamki jachtów, statek wycieczkowy, płynący do Jałty. Gdzieniegdzie na wirażach zachowały się stare, sterczące w różne strony pale. Przeważnie jednak nie było żadnego zabezpieczenia. Mijali niebezpieczne miejsca - zapadające się pobocza, szczeliny, osypiska. W ostatnich latach droga uległa całkowitej ruinie i właśnie ten stan drogi czynił rajd szczególnie atrakcyjnym. Z braku czasu Łucznirow nie odbył żadnej jazdy próbnej. Wiedział jednak, że Wołodzieńka w ostatnim miesiącu ganiał po tej drodze co najmniej piętnaście razy, zna każdą szczelinę, a więc ZWL do przodu! Teraz Nowosilcew pędził tuż za flamenco, ale nie spieszył się z wyprzedzaniem. Portago wyciskał ze swojej maszyny wszystko, co było można. A Łucznirow kluczył wozem raz w prawo, raz w lewo, żeby jak najdłużej nie przepuścić Hunta.

Z góry wyglądało to całkiem niewinnie. Karawana samochodów rozciągnęła się na kilka kilometrów, w obłokach kurzu błyszczały szyby i lusterka. Niekiedy zawodnicy zamieniali się miejscami, jakby ustępując sobie drogi. Tylko flamenco i kamczatka pędziły przodem. Co najmniej o pół kilometra wyprzedzały czerwonego pitera turbo, który sunął po szosie ruchem węża od jednego pobocza do drugiego, by nie przepuścić plamistego huntera. Z góry to także nie wyglądało groźnie, tylko czasem, kiedy na ekranie telewizyjnym ukazywały się samochody Łucznirowa i Hunta, pędzące prawie obok siebie, a potem w zbliżeniu napięte, z grymasem wysiłku twarze zawodników, serce Tani kołatało jak szalone. Widziała, że siedzący obok Bruk, Sabasznikow, Mieszkow, Fofanow, Wostokow, Beklemiszew, Nulin, Karetnikow i Denikin po każdym manewrze Łucznirowa ocierali pot z czoła i wymieniali znaczące spojrzenia. Wszyscy byli okropnie przejęci. Napięcie podsycił trajkot sprawozdawcy:

...Trwa zaciepła walka między Andriejem Łucznirowem i Billym Hunterem. Kto by pomyślał,

że wydawca „Kuriera“, którego przed wielu laty wykreślono z listy zawodników, potrafi tak skutecznie zмагаć się ze znakomitym Afrykanerem? Samochody zjeżdżają w dół ku Tuaku, przyspieszają. Wiraż. Hunt zjeżdża w lewo na osypującą się krawędź, przygniata krzewy dereniu, usiłuje wyprzedzić pitera turbo. Łucznikow także zjeżdża na lewo, a teraz, jakby przewidując kolejny manewr Hunta, skręca w prawo. Przed nim krótki prosty odcinek drogi. Łucznikow wyprzedza Hunta o półtorej długości samochodu. Tymczasem liderzy pędzą do przodu, hrabia Nowosilcew jest tuż za wozem hrabiego Portago. Obie maszyny biją rekordy szybkości Rajdu Antycznego. Na autostradach w kierunku Kuczuk - Uzenia, Tuaku i Kapsichory ustał ruch. Ludzie powysiadali z samochodów i obserwują rwącą kawalkadę, która mknie na dole drogą rzymskich legionistów. Uwaga! Ostry wiraż na zjeździe! Flamenco i kamczatka biorą go w dotychczasowej kolejności. Uwaga! Uwaga! Uwaga! Do wirażu zbliża się piter turbo, mknie z szaloną prędkością, jakby miał zamiar poszybować w morze. Ale co robi Hunt? Proszę państwa, on ścina zakręt! Hunter dosłownie przefrunął nad głazami pobocza, tuż przy ziejącej przepaści, i wyskoczył przed Łucznikowa! Nie przypadkiem cały świat mówi o wyjątkowym talencie białego myśliwego Hunta! On czuje drogę każdym milimetrem kół swego samochodu, każdym milimetrem swojej skóry! A więc nadal prowadzi hrabia Portago, tuż za nim jedzie hrabia Nowosilcew i szybko dopędza ich Hunt. Łucznikow usiłuje jeszcze ratować sytuację, ale chyba brak mu sił. Nasuwa się pytanie: co sprawiło, że dwaj nasi weterani wrócili na szosę? Czy państwo nie sądzą, że sprawiły to przyczyny polityczne? Pewnie wszyscy zauważyli na samochodach hasła nawołujące do przystąpienia do ZWL. Ale przepraszam, wracam do tematu. Liderzy mają już za sobą połowę antycznej trasy, teraz widnieją przed nimi różowawe zbocza Kapsichory...

Łucznikow nie zastanawiał się nad wyjątkowym talentem Hunta. Zaszokował go widok plamistego potwora, który wyskoczył spośród głazów i zamknął wyjazd z wirażu. Zmniejszył obroty. Hunter oddalał się błyskawicznie, sunąc w górę za kamczatką, a z tyłu zbliżali się dwaj Włosi na ferrari i mazaratti, za nimi nadjeżdżał Niemiec na porsche. Obaj z Hunterem jechali w górę skrajem wąwozu, po którego drugiej stronie pędzili w dół hrabia Portago i hrabia Nowosilcew. Hrabia jeszcze raz podniósł rękę, by dać do zrozumienia Andriejowi, że widział wszystko i docenił sytuację. Teraz Wołodia może liczyć tylko na siebie. Musi wyprzedzić flamenco - to jego zadanie. Jak najszybciej wyprzedzić flamenco, niech Hiszpan i Afrykaner walczą ze sobą.

Łucznikow zmienił bieg. Wóz przyspieszył z rykiem. Droga mknęła prosto w przepaść, na przedzie widniały trzy żaloszne słupki ochronne, a za nimi jaskrawoniebieski przestwór morza. Ostry zakręt. Zgrzyt hamulców, śwąd palonych opon. Zakręt został z tyłu, przed oczami kolejna przepaść. Odległość między hunterem i kamczatką malała. Łucznikow dokładnie widział wszystko, pewnie niedawno padał tu deszcz i kurz zniknął. Widział nawet szczeliny w gliniasto - kamienistym poboczu na wirażu, zdążył pomyśleć, że w tym miejscu hrabia ma chyba jedyną okazję, by wyprzedzić flamenco - pobocze było dość szerokie, jeżeli się nie osunie pod kołami kamczatki, hrabia wyskoczy do przodu i wygra wyścig, ponieważ dalej już nie będzie żadnej możliwości wyprzedzania. Andriej pomyślał, że zaryzykowałby na jego miejscu. Zobaczył, że Nowo - Siła też podjął taką decyzję, wjechał z rozpędu na pobocze - i ziemia obsunęła się pod nim.

Na długim odcinku wznoszącej się drogi pędziło już co najmniej dwudziestu zawodników - prócz Hunta, Portago i Łucznikowa, wszyscy oni stali się świadkami tragedii, nie wspominając o pilotach i pasażerach śmigłowców, a także o milionach widzów.

Kamczatka, straciwszy grunt pod kołami, wpadła na skałę sterczącą z przepaści i

przekoziołkowała w powietrzu. Silne uderzenie musiało zerwać pas bezpieczeństwa, ponieważ hrabia Nowosilcew wyleciał z samochodu jak z katapulty. Po chwili kierowca i samochód zniknęli na dnie przepaści. Ryk silników zagłuszył wybuch zbiornika z benzyną.

Zawodnicy mówili później, że przeżyli szok na widok katastrofy. Nawet lider hrabia Portago przyhamował, tracąc kilka minut, nawet Billy Hunt. Wykorzystał to Andriej Łucznirow, wyprzedził ich obu, wyszedł na prowadzenie, nie hamował i nie stracił ani jednej sekundy. Później przyznał się sam sobie, że od początku, od owego wieczora, kiedy Wołodienka oznajmił o zamiarze uczestniczenia w rajdzie, w głębi duszy wyobrażał sobie podobny przebieg wydarzeń i wiedział, że nie zahamuje, nie straci ani jednej sekundy, zwycięzcą w rajdzie powinien być nie Nowosilcew, nie Łucznirow, lecz ZWL. Pędząc stromym zboczem w dół ku osiedlu Paradizo, zobaczył na wzgórzu grecką cerkiew, chciał się przeżegnać, ale pomyślał, że straci na to chwilę cennego czasu, i nie przeżegnał się, szepnął tylko: świeć Panie nad jego duszą! Zegnaj Wołodka, Kamczatko, Nowa - Siło, przyjacielu mego życia!

- Panie, świeć nad jego duszą! - zawołał, widząc w lusterku, jak walczą ze sobą na wirażu flamenco i hunter. Ogarnęło go uniesienie. Zrozumiał, że wygrał rajd.

Kiedy na ekranie telewizora ukazało się rozpostarte na skałach ciało rycerza w galijskim hełmie, pasażerowie śmigłowca przeżegnali się, przeżegnała się również Tania, po raz pierwszy w życiu. Wszyscy mieli łzy w oczach, a Timosza szlochał jak dziecko.

Tymczasem śmigłowiec w dalszym ciągu leciał nad trasą rajdu. Tania spojrzała w drugie okno i nagle ujrzała bardzo wyraźnie na szczycie wzgórza biały samochód kempingowy, na dachu którego leżał człowiek z karabinem. Złapała za ramię Wostokowa, wskazała gestem. Wostokow włączył radiotelefon.

- Uwaga, Sasza! Biały ford kempingowy na wzgórzu za Paradizo. Na dachu snajper.

Z gromady śmigłowców lecących nad szosą błyskawicznie odłączył się jeden, poleciał w dół. Gdy cień śmigłowca padł na dach białego forda, snajper drgnął - nacisnął spust. W następnej chwili korowód samochodów skręcił za wysokie skały przy wiszącej nad morzem wąskiej kamienistej drodze, która prowadziła do Nowego Świata. Pasażerowie śmigłowca „Kuriera“ odetchnęli z ulgą - jaskrawoczerwony piter turbo nadal pędził przodem.

- Sam Bóg skierował pani wzrok w tamtą stronę - szepnął Fofanow, całując dłoń Tani.

Łucznirow rzecz jasna nie zauważył ani strzału ani snajpera mierzącego do niego z dachu białego wozu kempingowego. Nie mógł też widzieć chłopców, którzy wyskoczyli ze śmigłowca pułkownika Czernoka na dach przyczepy i schwytali snajpera. W ogóle starał się nie widzieć obstawy, zorganizowanej przez przyjaciół, chociaż wiedział, że „grupa szybkiego reagowania“, podlegająca bezpośrednio Czernokowi, a więc ZWL - owi, była stale w pogotowiu. Dziurę w lewym tylnym błotniku zauważył dopiero później. Teraz pędził w kierunku luksusowej, zbudowanej w pseudogenueskim stylu Sigdei, ku zwycięskiemu finałowi.

Wieczorem w Kachowce Łucznirow z przyjaciółmi i Tanią oglądali w telewizji przesłuchanie snajpera. Był to chudy, ostrzyżony na jeża trzydziestolatek, dziwnie podobny do Oswalda. Mówił po rosyjsku bez obcego akcentu, a więc prawdopodobnie pochodził ze środowiska wrewakuantów. Zresztą nikt go nie rozpoznał. Domniemywano, że pochodzi z północno - zachodniej części Wyspy, gdzie w okolicach Karadży i Nowego Czuwasza istniała odizolowana kolonia potomków gwardyjskich kozaków, główna rezerwa Wilczej Sotni.

Niedoszły zabójca siedział rozwalony na krześle, założywszy nogę za nogę, uśmiechał się beczelnie, żeby ukryć lęk. W gruncie rzeczy był chyba zadowolony, że znalazł się w

centrum uwagi.

- Pańskie nazwisko? - pytał grzecznie jeden z oswagowców.

- Iwan Szmidt - uśmiechnął się i machnął ręką. - Mówcie mi Wania, chłopaki.

Wbrew oczywistym dowodom nie przyznawał się do zamiaru zastrzelenia nowego czempiona. Karabin z lunetą leżał na stole, kamera pokazywała go kilkakrotnie w zbliżeniu. Ależ proszę panów, uśmiechał się Iwan Szmidt, nie miałem najmniejszego zamiaru strzelać, po prostu obserwowałem wyścig przez lunetę. Zawsze jej używam, kiedy nie mam przy sobie lornetki.

- Więc to, panie Szmidt, pańska luneta? - pytał oswagowiec, wskazując dowód rzeczowy.

- Tak jest, ma pan rację - uśmiechnął się „pan Szmidt“.

- Ale po co przymocował pan do lunety karabin, panie Szmidt? - dopytywał się oswagowiec.

- No, wie pan... - mamrotał niedoszły morderca, spuszczać oczy, później zerknął spode łba i zatrajkotał, krzywiąc wargi w uśmiechu. - No, wie pan... czasem... kiedy nie mam pod ręką broni, posługuję się tą lunetą jak karabinem, ale tym razem, proszę panów, przecież nie mogłem strzelać do naszego rosyjskiego mistrza, nawet jeżeli jest nim towarzysz Łucznikow, jestem, panowie, patriotą, schwytaliście mnie, zadajecie nietaktowne pytania, pozwólcie, że przypomnę o konstytucji... Czy aby nie jesteście z GPU?

Na tym przerwano reportaż z przesłuchania, a na ekranie pojawiły się zdjęcia z rajdu. Będą teraz ciągle pokazywać ten program, póki widzowie na Wyspie nie poznają szczegółowo wszystkich wydarzeń.

- Jutro zwolnią drania za kaucją, zacnie się długie śledztwo, sądowe przepychanki, a on tymczasem da dyla gdzieś do Grecji albo do Ameryki Łacińskiej - powiedział Fofanow.

- Nie trafi do więzienia? To prawda, panie Wostokow? - oburzyła się Tania.

- Tak, można się spodziewać, że pan Szmidt uniknie więzienia - Wostokow jakoś znacząco uśmiechnął się do Tani. - Takie są uroki burżuazyjnej demokracji, miła pani.

Na ekranie zjawiły się twarze zwycięzców.

- Rzeczywistym zwycięzcą rajdu jest hrabia Nowosilcew - ponuro powiedział z ekranu zmęczony Łucznikow.

- Cały łańcuch przypadkowych zdarzeń sprawił, że jestem dopiero drugi - Billy Hunt cedził każde słowo.

- W przyszłym roku będę pierwszy - Masta Fa ukazał w uśmiechu wspaniałe zęby.

- Jestem głęboko poruszony śmiercią mego przyjaciela i krewnego - powiedział hrabia Portago, odwracając się od kamery.

- Są krewnymi? - zdziwiła się madame Mieszkowa.

- Oczywiście, są spowinowaceni - powiedziała madame Denikina. - W ubiegłym roku córka Wołodi wyszła za mąż za siostrzeńca Portago, barona Lenza.

- Nie wiedziałam o tym - powiedziała madame Fofanowa - no i jak, czy Katia jest zadowolona z tego małżeństwa?

Program telewizyjny przerwano. W mroku reflektory oświetlały jakiegoś typka w kajdankach, prowadzonego przez policję. Później pokazano wnętrze policyjnego wozu z dwoma innymi aresztowanymi. Wokół wozu falował tłum fotoreporterów i gapiów. Komentator telewizji trajkotał po angielsku:

- Przy trasie wyścigu w okolicach Paradizo policja zatrzymała jeszcze trzech podejrzanych mężczyzn, uzbrojonych w karabiny snajperskie. Wygląda na to, że bardzo im zależało na upolowaniu któregoś z uczestników rajdu...

Wszyscy siedzieli na fotelach, tylko dzisiejszy zwycięzca Andriej leżał na dywanie w kącie pokoju, patrząc w okno, gdzie za wzgórzami Doliny Biblijnej dogasała zorza wieczorna.

Potem goście wyszli i Andriej został sam z Tanią w swojej wieży, po raz pierwszy sam na sam z nią w domu ojcowskim. Kilka minut trwała cisza, czuli, że ta pustka i ciemność może ich rozdzielić.

- Taniu - powiedział wreszcie Andriej - chodź do mnie. Jego głos drżał lekko. Tania pomyślała, że dzieje się coś szczególnego. Poczowała bijący od Andrieja tak potężny zew, jakiego nigdy nie doświadczyła. Jej ciało zareagowało natychmiast. Zrzuciła ramiączka i suknia podobna do tuniki opadła na podłogę. Zdejęła figi i stanik. Zbliżyła się do mężczyzny leżącego na ziemi, uklękła obok niego, podparła się łokciami. Drżała, czując obrzydzenie i pożądanie. Wszedł w nią, a jej się wydało - pierwszy raz, odkąd była z Andriejem - że wypełnił ją całą od krocza do piersi, był w tej chwili niezwykły, ogromny, oszałamiający przy każdym mchu jak Mał.

- Więc uratowałaś mnie, uratowałaś, uratowałaś? - pytał, ściskając rękami jej biodra.

Milczała, dławiała się, gryzła wargi. Bydlę, myślała, żalosna zasmarkana szmata, fałszywy superman, myślała, kołysząc się w rytmie jego mchów.

- Wiec wykonałaś zadanie? - dopytywał się, szlochał spocony, rozsadzał ją od środka z niezwykłą siłą. - Wykonałaś zadanie swoich mocodawców? Ocaliłaś cennego dla Rosji człowieka? Dlaczego milczysz, kurwo? Pytam, odpowiadaj... Taniu, Taniu, odpowiadaj...

- Nie mogę mówić - wystękała.

Ta chwila przeciągnęła się, robił to naumyślnie. Spocona ręka, którą dotykał jej sutków, była słaba, ale w środku poruszał się jak rozpalony szlauch. Nie zdołała się powstrzymać, zajęczała.

- Nie możesz mówić? - bełkotał, dławiąc się szlochem. - Tajemnica służbowa, towarzyszeko agentko? Ale życie uratować możesz? Mnie uratowałaś, a Wołodi nie, szmato, *dirty cunt*, dziwko sprzedajna...

W tym momencie jął spazmatycznie wyrzucać w nią wszystko, co się w nim zgromadziło, całą swoją nicość, słabość, strach, a ona odpowiadała na to obrzydliwymi wybuchami litości i współczucia.

Kilka chwil leżeli w milczeniu.

- Wybacz mi - powiedział wreszcie. - Po finiszu pewien życzliwy człowiek przekazał mi wyczerpującą informację o tobie. Wybacz, Taniu... - dotknął ręką jej piersi.

Odsunęła się gwałtownie.

- Ścierwo... - syknęła.

Wtedy wstał, otworzył drzwi do łazienki. Na jej nogę padł pasek światła, cofnęła ją.

- Tam jest twój pokój, krużgankiem na lewo - powiedział. - Z łazienką. Pośpiesz się, za pół godziny zaczyna się przyjęcie. Daj spokój, Taniu. Masz rację, jestem pociły, wybacz mi, proszę.

Tania nagle z przerażeniem stwierdziła, że on się uśmiecha jak dawniej, jakby się nic nie wydarzyło, jakby nie zginął jego przyjaciel, jakby nie wylał w nią brudnego kubła swego nędznego łęku.

- Porozmawiamy później, wyjaśnimy wszystko. Wstawaj, Tanku! - rzekł lekceważąco - zwycięskim tonem, jak dawniej.

- Nie jestem dla ciebie Tanku - wychrypięła, nie ruszając się. Zamknął za sobą drzwi łazienki. Zaszumiała woda. Jakiś czas leżała nieruchomo. Miała wrażenie, że ucieka

z niej życie, że chudnie błyskawicznie, że już sterczą z niej kości, a razem z życiem znika złość i obrzydzenie, znika również uroda, która niekiedy dziwiła ją samą, wszystko znika, tylko ciężki, przejmujący smutek wypełnia serce. Rozumiała, że to ostatnie spotkanie z Andriejem, że za tymi drzwiami już nic nie zostało dla nich dwojga.

Wstała, zgarnęła rzeczy - sukienkę i torebkę, ujrzała swoje odbicie w lustrze, pomyślała obojętnie, że uroda jeszcze została, i poszła tam, gdzie jej kazał - krużgankiem na lewo do swego pokoju, by się przygotować na przyjęcie. W końcu krużganka zobaczyła sylwetkę dziewczyny w ciemnym swetrze. Siedziała na poręczy, wsparta o słup i paliła. Nie zwróciła uwagi na Tanię.

Przyjęcia z okazji Rajdu Antycznego w domu przewodniczącego szlachty teodozyjskiej były już tradycją. Prócz uczestników rajdu uczestniczyli w nich członkowie Rządu Tymczasowego, elita wrewakuantów, kierownictwo Klubu Białego Żołnierza, dyplomaci z rzekomo nie istniejących ambasad, wyższe szarże z armii, przywódcy narodowych i religijnych wspólnot, członkowie Dumy, wybitni obywatele. Uważano za zaszczyt zaproszenie do Łucznikowa - seniora, choć można było również przyjść bez zaproszenia - wielka, przepiękna rezydencja na zboczu Siuriukkaja była otwarta dla wszystkich przez całą noc.

Wczesnym rankiem przybył po kryjomu do Kachowki premier Kublicki - Piottuch, by konfidencko porozmawiać z Arsienijem Nikołajewiczem. Przed laty Kublicki - Piottuch chodził na wykłady Arsienija Nikołajewicza z historii Rosji, był jednym z jego ulubionych studentów. Z czasem prześcignął swego profesora, został badaczem wczesnego okresu rosyjskiego chrześcijaństwa. Los wydzwignął go na stanowisko premiera bez jego udziału, na skutek jakichś międzypartyjnych intryg. Znalazłszy się na górze, skromny, wykształcony i niezbyt bogaty Kublicki - Piottuch uznał wyrok losu za decydujący, uwierzył w swoje posłannictwo i uczciwie sprawował urząd, chociaż czasami - ostatnio coraz częściej - ogarniało go zwątpienie.

Premier zastał swego nauczyciela podczas gimnastyki porannej. Służący zaprowadził go do parku i wskazał górę. Premier podniósł głowę i ujrzał w przezroczystym koktebelkim powietrzu starego Łucznikowa, wspinającego się po linie na pionową skałę. Kublicki - Piottuch patrzył z dołu na tę wspinaczkę i coraz bardziej umacniał się w przeświadczeniu, że trafił pod właściwy adres - staruszek Łucznikow jest człowiekiem wyznaczonym przez pana Boga do ważnych celów. A kiedy się dowiedział, iż Arsienij Nikołajewicz uprawia wspinaczkę, by się pozbyć zawrotów głowy, całkiem w niego uwierzył.

Arsenij Nikołajewicz, widząc ze skały premiera, zrozumiał, że historia znowu zapukała do jego drzwi, znowu zagrały surmy. Postanowił twardo, że nie ulegnie żadnym historycznym wyzwaniom. Cały dzień unikał Witi, jak nazywał szefa rządu, tłumacząc się obowiązkami związanymi z przygotowaniem do przyjęcia, a Kublicki - Piottuch cały dzień spacerował po parku albo siedział na szeszlangu i patrzył na morze, myśląc o tym, że rozkoszowanie się ładnymi widokami sprzyja odzyskaniu równowagi duchowej, co z kolei pomoże w rozwiązywaniu problemów politycznych. A kraj od rana do wieczora przetrwał pomyślnie bez kierownictwa.

O zmierzchu zjawił się sekretarz premiera, przywieziono granatowy garnitur od Cardina z Orderem św. Włodzimierza w kłapie. Premier przebrał się i z gabinetu Łucznikowa - seniora obserwował przez okno zjazd luksusowych samochodów: były tu mercedesy, rolls - royce'y, lincolny, russo - bałty. Kublicki - Piottuch znowu popadł w historyczną rozterkę, która sięgnęła szczytu na widok pancernego ziła z Instytutu Badań Wschodniego Śródziemnomorza.

Uroczystość wręczenia nagród poprzedzona została chwilą ciszy dla uczczenia pamięci hrabiego Nowosilcewa, wielkiego obywatela, „dumy rosyjskiego sportu“, jak powiedział premier. Używszy tego zuchwałego sformułowania, Kublicki - Piottuch spojrzął ukradkiem na radzieckich towarzyszy. Pełna twarz dyrektora instytutu nie wyrażała nic. A generalny konsultant Kuzienkow, przysłany niedawno z Moskwy, z uśmiechem pochylił głowę.

Zwłoki hrabiego Nowosilcewa przewieziono do soboru Włodimirskiego na przylądku Chersonesz, gdzie miało się odbyć nabożeństwo żałobne. Wybierali się na nie po przyjęciu wszyscy „koledzy z klasy“.

Zwycięzcy stali już obok premiera. Na starym inkrustowanym stoliku umieszczono puchary, medale oraz czeki nagród pieniężnych. Wszędzie wisiały i stały mikrofony. Co jakiś czas włączano reflektory telewizji.

Wśród czterech finalistów Łuczniukow był najstarszy, najbardziej elegancki i najchmurniejszy. Tania, stojąc wśród zadomowionych tu pań, patrzyła na Andrieja, nie mogąc uwierzyć, że ten spokojny, pewny siebie mężczyzna i tamten szlochający histeryk, który się nad nią znęcał - to ta sama osoba. Koniec, myślała, dość tego. Jutro powie mu prawdę. Andriej nie tknie jej więcej. Nie kocha go. Czy go zresztą kiedykolwiek kochała? Może tamtej nocy sprzed dziesięciu lat, w windzie przy ulicy Kaczałowskiego.

Czuła, że wszyscy patrzą na nią. Redaktor naczelny „Kuriera“, zwycięzca w Rajdzie Antycznym, po raz pierwszy prezentuje towarzystwu nową partnerkę. Niekiedy spoglądał na nią Łuczniukow - senior, stojący wśród oficjalnych gości w drugim szeregu. Niewątpliwie rozpoznał ową dziwną „Finkę“ z Portu Lotniczego w Symfi, ale patrzył na nią z sympatią. Tania pomyślała, że jest sto razy lepszy od syna. Nikomu niczego nie narzuca, żadnych swoich poglądów, może zresztą nie ma idiotycznych poglądów politycznych, może jedyną wyznawaną przez niego ideą jest honor. Pomyślała tak po raz pierwszy w życiu. Stare słowo „honor“ straciło swój blask, ale przecież jest coś warte. Podniosła dumnie głowę i stała tak nieruchomo, nie zwracając na nikogo uwagi, w najkorzystniejszej pozycji, w blasku swojej urody, która po ekscesach seksualnych nie tylko nie zmaląła, lecz przeciwnie, nabrała szczególnego uroku.

Podczas przemówienia Kublickiego - Piottucha Łuczniukow przyglądał się obecnym. Widział ponure twarze przyjaciół i twarz Tani z niezrozumiałym dla niego wyrazem dumy. Skąd ta wyniosłość, miła pani, moja ukochana księżniczko GPU? Uważa się pani za pierwszą damę balu? Niestety, towarzyszeko Łunina, daleko pani do Margot Fitzgerald, która przed godziną przyleciała z Florydy, żeby pogratulować Billy'emu niespełnionego zwycięstwa. Należy się uczyć poświęcenia, przecież jest pani tutaj na polecenie swojej potężnej instytucji. Uratowała mnie pani, wielkie dzięki za to. Ale dzisiaj my - zwycięzcy - przyciągamy wszystkie spojrzenia.

Nagle wśród radzieckich gości ujrzał Marlena Kuzienkowa. Co za niespodzianka! Co znaczy jego przyjazd? Przecież coś znaczy, oni niczego nie robią tak sobie. Spotkał jego wzrok, uśmiechnęli się do siebie.

Nie był to koniec niespodzianek. W tłumie mignęły dwie twarze - uśmiechniętego ironicznie Octopusa i Witasi Ganguta. Więc jednak radziecki Fellini wybrał wolność? Trzeba się z nimi pogodzić, nie należy rozstawać się z przyjaciółmi u progu starości. Później zobaczył swego duchowego ojca, Leonida, ucieszył się i jednocześnie zawstydził, ponieważ nie rozmawiali ze sobą prawie dwa lata. Jesteś mi potrzebny, upadam na duchu, ojciec Leonidzie... Dlaczego jest powiedziane - nawet włosy na głowie waszej wszystkie są policzone? Czuł jeszcze jakieś szczególne spojrzenie skierowane na niego z tłumu, nie mógł

się zorientować, kto tak na niego patrzy. W głębi sali ujrzał syna stojącego na parapacie. Anton był w garniturze i krawacie, obok stała jakaś dziewczyna, obejmował ją za ramiona, ona promieniała urodą. Spojrzenie, to szczególne spojrzenie nadal dawało znać o sobie, Łucznirow nie umiał określić, skąd pochodziło, dopóki nie zobaczył w drzwiach młodej kobiety w czarnym swetrze z białym wykładanym kołnierzem. Włosy miała upięte z tyłu głowy, oczy ukryte za przydymionymi szklami masywnych okularów. Nie zdążył się jej przypatrzeć, ponieważ premier wręczył mu puchar, medal i czek.

Oklaski, dotyk miękkiego policzka Kublickiego - Piottucha. Z pucharem w ręku zrobił krok w kierunku mikrofonu.

- Panie i panowie, drodzy towarzysze! Mówiłem już, że za zwycięzcę wyścigu uważam swego przyjaciela, nieodżałowanego hrabiego Władimira Nowosilcewa. Udział weteranów w Rajdzie Antycznym to jego pomysł. Zawsze podziwiałem jego sportowe zalety, zawsze zachwycała mnie jego wierność ideałom młodości. To był człowiek honoru, marzyciel, prawdziwy rosyjski rycerz. Podjął ogromne ryzyko, rzucając wyzwanie takim zawodnikom, jak Billy Hunt i hrabia Portago, jak nasza utalentowana młodzież wyspiarska. Nowosilcew zdecydował się na to, by obywatele Wyspy mogli właśnie w dniu dzisiejszym przeczytać na naszych samochodach nazwę powołanego przez nas do życia nowego rosyjskiego klubu politycznego - Związku Wspólnego Losu. Spodziewałem się, że właśnie hrabia Nowosilcew na dzisiejszej uroczystości ogłosi powstanie nowego klubu. Los zrzucił inaczej, więc sam jestem zmuszony podjąć się tego obowiązku. ZWL - tak w skrócie brzmi nazwa nowego klubu - nie jest partią polityczną, ponieważ pragnie widzieć w swoich szeregach wszystkich obywateli naszego kraju, niezależnie od poglądów politycznych. Główna idea Związku - to poczucie jedności z naszą historyczną ojczyzną, dążenie do przełamania wyspiarskiej izolacji, włączenie się do wielkiego duchowego procesu, w którym kraju zwany przez nas od dzieciństwa Rosją - a w świecie Związkiem Socjalistycznych Republik Radzieckich - ma do spełnienia wielką rolę. Wzywamy wszystkich do rozważenia tej propozycji i do dyskusji, by w ostatecznym efekcie połączyć się z Rosją, to znaczy podzielić los dwustu pięćdziesięciu milionów naszych braci, którzy od dziesiątków lat w cierpieniach i przebłyskach triumfu wcielają w życie niepowtarzalną duchową i mistyczną misję Rosji i narodów kroczących u jej boku. Kto wie, może Krym stanie się elektronicznym zapłonem dla rosyjskiego silnika na odwiecznej trasie, którą podąża ludzkość. Jestem szczęśliwy, że w tym uroczystym, tak u nas lubianym dniu mogę ogłosić powstanie na Wyspie Związku Wspólnego Losu, zamierzającego uczestniczyć w najbliższych wyborach do Tymczasowej Dumy Państwowej. Nie zgłaszamy naszych kandydatów, poprzemy tych kandydatów reprezentujących poszczególne partie, którzy podzielą naszą historyczną filozofię. Mieszkańcy Wyspy muszą dokonać wyboru, a będzie to wybór świadomy. Publikacje „Kuriera“ i innych organów prasowych, popierających ZWL, przedstawiają na swoich łamach prawdziwy obraz życia w Związku Radzieckim. Niczego nie ukrywamy. Zaświadczam to słowem honoru. Wybór Wspólnego Losu wymaga od nas poświęcenia. Możemy się tylko domyślać jak wielkiego. Należy wybierać między dostatnią wegetacją na peryferiach ludzkości lub udziałem w mesjanistycznym pochodzie, w którym podąża Rosja, w duchowym procesie współczesności. Znacnie mnie wszyscy, znaliście naszego bohatera hrabiego Nowosilcewa, znacnie lotnika Czernoka, przemysłowca Mieszkowa, profesora Fofanowa, dyplomatów Sabasznikowa i Beklemiszewa... Zwracamy się do was - poprzyjcie ZWL, głosujcie na ludzi wiernych idei ZWL! Panie Boże, poprzyj ZWL!

Łucznirow postawił puchar na stole. W tym momencie sala wybuchła. Kto by mógł pomyśleć, że śmietanka towarzyska, która się tu zebrała, jest zdolna do takiego

żywiolowego demonstrowania uczuć? Oklaski, gwizdy, okrzyki zachwytu, ale także przekleństwa, nawet kocia muzyka. Łuczniwow podniósł dłoń i natychmiast zapadła cisza. Władza idola działa, pomyślał, nim zakończył wystąpienie serdecznymi podziękowaniami pod adresem organizatorów rajdu i władz, przedsiębiorstw, organizacji sportowych, pozdrowieniami zagranicznych uczestników i gości, a także wyrazami zachwytu dla pięknych pań, które swą obecnością zaszczyliły uroczystość.

Trafił w dziesiątkę. Kamery natychmiast skierowały się w stronę publiczności, najpierw widok ogólny, następnie w zbliżeniu madame Tatiana Łunina, Margot Fitzgerald, Lucy Clark. Ostatnia nie omieszkała oczywiście pomachać rączką i krzyknąć do mikrofonu: „Halo, ZWL!” Łuczniwow ani przez chwilę nie wątpił, że uwodzicielska Lucy nie przeoczy okazji zwrócenia na siebie uwagi.

To była prawdziwa sensacja! ZWL uczestniczy w wyborach do Dumy! Zaskoczony Kublicki - Piottuch, jękając się nieco, zakończył uroczystość wręczania nagród. Billy Hunt wściekał się, ponieważ zrozumiał, że wciągnięto go w jakąś aferę polityczną. Poważna twarz ojca. Gwiżdżący Antoszka z dwoma palcami w ustach. Roześmiana złotoblond dziewczyna, usiłująca gwizdać za jego przykładem. Ach tak, to jedna z tych, które wiosną gościły w Kachowce!

Masta Fa chciał coś powiedzieć o mchu Jaki, ale nie miał wprawy, zresztą i ruch niewiele znaczył, raz po raz przechodził na język tatarski, potem na rosyjski, na angielski, była to taka abrakadabra, że na sali rozległy się śmiechy. Wyniosła obojętna twarz Tatiany. Całym wyglądem demonstrowała swoją obcość tutaj. Skupione szepty wśród pracowników IBWŚ. Marlen z ciekawością ogląda podniecony tłum gości.

Spojrzenie spoza przyciemnionych okularów nadal ściagało Łuczniwowa, także podczas konferencji prasowej na trawniku. Zdążył się przyjrzeć pani w czarnym swetrze i białych spodniach. Dość zgrabna sylwetka, to z pewnością jakaś amerykańska nudziara, młoda rusycystka. Spytał Bruka, czy przypadkiem nie wie, kim ona jest. Bruk przypadkiem wiedział wszystko - przyjechała z Nowego Jorku na sesję Amnesty International... Łuczniwow natychmiast zapomniał o niej.

W Kachowce - w holach, na tarasach, trawnikach - zaczęło się koktajl party z bufetem i kolacją dla chętnych. Okazało się, że jest ich wielu. Tania została nagle sama. Wzięła w bufecie kieliszek martini i poszła na górę do solarium, gdzie było mniej ludzi. Jednak i tam uśmiechano się do niej i przyglądano natrętnie. Przechodząc obok jednej grupy, burknęła prosto w twarz jakiejś damie, obwieszonej biżuterią: „Co się gapisz, stara dupo?”. Dama drgnęła, zatrajkotała przedziutko po francusku, ale było widać, że moskiewska mowa dotarła do niej.

Z rogu tarasu Tania patrzyła na zatokę, po której sunęły gdzieś kutry i jachty, na gromady świateł wzdłuż brzegu, na błyszczące, mieniące się diamenty Koktebelu u podnóża góry. Patrzyła w dal, by nie widzieć oświetlonego trawnika, na którym siedzieli dziennikarze, a naprzeciwko nich „koledzy z klasy” - założyciele ZWL, wśród nich Andriej, szczupły, w granatowym garniturze, przystojny chłop, ani słowa. Z daleka wydawało się, że nie było owych dziesięciu lat, że to ten sam Łucz, wesoły i zawadiacki jak dawniej, którego pokochała przed dziesięciu laty w burdeliku przy ulicy Kaczałowskiej.

To wrażenie szybko minęło. Łucz wsadził na nos binokle a la Czechow i zaczął coś czytać dziennikarzom. Nie wiadomo, dlaczego czechowowskie binokle diabelnie irytowały Tanię. On nawet okularów zwykłych nie chce nosić, wciąż musi brylować, snob zakichany, jego odwaga, stanowczość - to blaga, ona teraz wie, jaki jest w rzeczywistości rozwibrowany

i śliski, ten jego zapał to także oszustwo, po to, żeby się pokazać ciągnie za sobą miliony szczęśliwych ludzi na obrzydliwy śmietnik.

Cóż to za czasy, co za obyczaje - mężczyźni wariują na punkcie polityki, a piękne kobiety muszą w samotności podziwiać widoki. Czy nie z tego powodu rozwinął się safizm, jak pani sądzi? Odwróciła się. Dwaj playboye z bezczelnymi uśmieszkami podawali jej wizytówki. Prasa, madame - „Spletnik“ i „Chodok“. Czy moglibyśmy porozmawiać? Pchali się do niej blisko, jeden nawet położył rękę na biodro Tani. Czy jest pani zadowolona ze swego przyjaciela? Ależ nie, nie mamy wątpliwości, jednak nasi czytelnicy są ciekawi pewnych szczegółów. Czy preferuje pani stosunki spontaniczne, czy według harmonogramu? Jakie są zalecenia radzieckiej seksuologii? Czy pani wie, że jej legalny małżonek Łunin został mistrzem Związku Radzieckiego w pchnięciu kulą? Czy on ma kochankę? Du pani potrzebuje rąk, by zliczyć swoich przyjaciół? Czy nie dostrzega pani w Idei Wspólnego Losu wyraźnego męskiego pierwiastka, który dąży do wprowadzenia czegoś twardego i gorącego w gigantyczną kobiecość?

Tymczasem wokół nich kręcili się reporterzy i błyskając fleszami, fotografowali tak zwaną rozmowę, będącą grą do jednej bramki, ponieważ ci dranie nie dopuścili Tani do głosu. Wreszcie strząsnęła natrętną dłoń ze swego biodra i niedbale dała facetowi pstryczka w nos. Panom dziennikarzom opadły szczęki.

- A teraz moja kolej - powiedziała z wielką pewnością siebie. - Co panowie myślą o Idei Wspólnego Losu?

- Gorąco ją popieramy - powiedział szybko jeden.

- Jestem szczerym zwolennikiem - mruknął drugi. Wybuchnęła śmiechem.

- Z czego się pani śmieje? - spytał ten pierwszy.

- Czy to odmiana masturbacji? - palnął drugi.

Byli wyraźnie oszołomieni jej leniwym i bezczelnym tonem.

- Wyobraziłam sobie panów w systemie Agitpropu - powiedziała.

Grupa snobów, stojąca nieopodal, wybuchnęła śmiechem i z zachwytem klaskała: jak zręcznie madame Łunina załatwiła łajdaków!

Oto, czego nam brakuje, proszę państwa - zuchwałości ludzi radzieckich! Trzeba czuć poparcie wielkiej siły, by z taką pewnością siebie i arogancją przywołać do porządku redaktorków brukowej prasy, bydlaków, którzy niedawno doprowadzili do łez księżniczkę Wieszko - Wierszkowską...

Nikt nie zauważył, że Tania była u kresu wytrzymałości nerwowej. Miała ochotę zacisnąć dłońią usta, by nie jęczeć z rozpaczy, kiedy nagle ujrzała pana domu, który zbliżał się do niej, prowadząc pod rękę - o mój Boże! - Freda Baxtera. Patrząc na dwóch wysokich starców, uspokoiła się, poczuła się bezpiecznie. Staruszkowie uśmiechali się do niej, a Baxter - nie wierzyła własnym oczom - najwyraźniej był zmieszany. Zaczęli rozmawiać, jakby znali się od dawna, jakby nie było między nimi żadnych niezręcznych sytuacji. Arsienij Nikołajewicz powiedział Tani, że sprytny Baxter chce odkupić od niego kawałek góry, chciwa dłoń amerykańskiego imperializmu sięga po północne zbocza, ale figę dostanie, dolina za północnymi zboczami - to raj na ziemi. Pani, Tatiano, jeszcze tam nie była? wybierzemy się jutro, ale pieszo. Pani jest sportsmenką i na pewno lubi chodzić. Zjemy obiad na biofermie. Proszę sobie wyobrazić, ani elektryczności, ani gazu, ani nawet energii atomowej, wszystko tak jak było w siedemnastym wieku, i wszystko doskonale służy ludziom. Gdybyż ludzie potrafili poprzestać na tym!

Arsienij Nikołajewicz pokazał ciekawskim, jak należy traktować przyjaciółkę syna, a potem przeprosił i wycofał się zręcznie, zostawiając Tanię z Baxterem.

Co za cuda! Stary wyga był wyraźnie zdenerwowany. Tania spytała z uśmiechem, czy już wszystko o niej wie.

- O tak, *darling*, dowiedziałem się o pani wszystkiego jeszcze tamtej nocy. Zaraz po starcie z Areo Symfi do Moskwy mój sekretarz przedłożył mi wyczerpującą informację o pani. Nie wiem, w jaki sposób tak szybko ją zdobył, wszystko się splotło, *darling*, w głównianym świecie CIA - KGB - OSWAG - CIC - Szibet - Deuxieme - Bureau - całe to gówno plus prywatni detektywi, *darling*. Wiedziałem o pani wszystko, lecąc do Moskwy, później, kiedy pani mieszkała tutaj, a ja podróżowałem, cały czas napływały do mnie informacje. Po co tu przyjechałem? Widzi pani, „Elise“ ciągle jeszcze cumuje w Jałcie, miałem zamiar.. Krótko mówiąc, chciałem jeszcze raz zobaczyć panią. Bardzo proszę, niech pani mnie wysłucha. Rozumiem, że wtedy poszła pani ze mną z rozpaczy, ze złości lub pod wpływem jakiegoś innego impulsu. Błagam... proszę przyjąć do wiadomości, że stary Bak wykreślił wszystko z pamięci, nic się nie wydarzyło. Może się pani uśmiechać ironicznie, ale ja jestem człowiekiem starej daty. Ubóstwiam panią.

- Jak pan powiedział, *admire*?

- *Yes, lady, but I might better say: I am in awe of you..* - W tłumaczeniu rosyjskim brzmi to zbyt mocno. Ubóstwiam!

- Przepraszam, ale tłumaczenie właściwie oddaje angielski sens.

- Jak pan może ubóstwiać kurwę?

- Pogniewam się na panią, naprawdę panią ubóstwiam...

- Niech mnie pan ratuje, Bak! - jęknęła nagle Tania. - Niech mnie pan stąd gdzieś wywiezie!

Patrzył na nią uważnie i przenikliwie, jak ojciec.

- Nic prostszego - powiedział. - Mogę zawieźć panią, dokądkolwiek pani zechce, kiedy pani zechce i dać wszystko, czego pani zapagnie, w każdym razie zapewnić komfortowe, bezpieczne życie. Czy mówiła pani poważnie?

- Gdyby pan wiedział, jak się zaplątałam.

- Wiem wszystko.

- Wszystko z wyjątkiem Andrieja.

- No właśnie.

On rzeczywiście zakochał się we mnie, pomyślała Tania, zakochał się w jakimś staroświeckim stylu. Spojrzała mu prosto w oczy, chciała dać do zrozumienia, że nic już nie łączy jej z Andriejem, wszystko się wypaliło.

- *Okay* - powiedział Baxter. - Gdzie chciałaby pani zamieszkać?

- W Nowej Zelandii - powiedziała.

- *Okay* - kiwnął głową. - Są tam cudowne miejsca i wcale nie jest nudno, jak uważają niektórzy.

- No właśnie... w Nowej Zelandii... - bełkotała - w Nowej Zelandii, gdzie wcale nie jest nudno, jak uważają niektórzy...

Dygotała. Obok stolika, przy którym siedzieli nad doliną Koktebelską, przemknął cień, szczęknęła migawka.

- Proszę się opanować, Taniu - mruknął Baxter. - Nie trzeba się denerwować. Może pani być spokojna. Wszystkie zdjęcia zostaną zniszczone. Jeżeli pani sobie życzy, wyruszymy jeszcze dzisiaj. Jeżeli pani chce, możemy najpierw polecieć do Londynu, Paryża, Nowego Jorku albo od razu do Nowej Zelandii... A może wypłyniemy nocą w morze na „Elise“. Mogłaby pani pojechać sama albo z moją zaufaną sekretarką panią Higgins... Krótko mówiąc,

pewnie zwariowałem na starość, ale postanowiłem twardo...*you are my queen for the rest of my life...* To cytat z pewnej starej piosenki, Taniu.

- Czy to prawda, Bak? - zrozumiiała, że jest uratowana, że znalazło się wyjście ze ślepej uliczki, że gdzieś w oddali ukazała się zielona Nowa Zelandia, ale zaraz zniknęła. - Nic z tego nie będzie, Bak. Pańscy informatorzy wspominali o moich dzieciach? Nie mogę zostawić dzieci, a oni ich nie wypuszczą. Oni nigdy nie wypuszczają krewnych uciekinierów.

- To żaden problem - powiedział Bak. - Zadzwońię do Aleksieja, on załatwi sprawę w ciągu jednego dnia.

- Do jakiego Aleksieja?

- Do Kosygina - Baxter spojrział na nią naiwnymi oczkami. - On mi nie odmówi. Wędkowaliśmy razem wiele razy.

Roześmiała się. Jakie proste jest życie! Fred Baxter dzwoni do Aleksieja Kosygina i po problemie! Wędkowanie, golf, zielone wzgórza Nowej Zelandii!

Jedźmy, Bak. To będzie jeszcze jedna sensacja tego wieczoru. Nie powiemy Andriejowi, nie trzeba psuć mu święta. Będzie zmartwiony nową sensacją, która przyćmi ZWL. Idea i ruch zbledną trochę. Później go zmartwimy, zadzwonimy do niego. Skąd? Trzeba się zastanowić. Zadzwońić z morza czy z za morza? Tak! Trzeba jeszcze dzisiaj wynieść się z Wyspy, uciec od wszystkich obrzydliwych problemów. Muszę tylko po drodze wstąpić do soboru świętego Włodzimierza na przylądku Chersones, zapalić świecę. Pojedziemy tam najpierw, ponieważ „oni“ też się tam wybierają nad ranem, a spotkanie nie jest wskazane.

Po konferencji prasowej, która trwała co najmniej dwie godziny, Łuczniak wreszcie dorwał się do butelki szampana i opróżnił ją błyskawicznie.

- Halo, mister Marlboro - usłyszał nagle cichy głos i ujrzał obok tę szarą myszkę z Amnesty International.

- Przepraszam, madame... - powiedział i nagle doznał olśnienia: - Kristino!

Trudno było poznać w skromnej „pani profesor“ o kanciastych mchach ową rozpasaną seksterrorystkę, międzynarodową kurwę, błąkającą się nimfomankę - jak o niej myślał, jeżeli kiedykolwiek przychodziła mu na myśl. Była zabawną przygodą w jego życiu, a miał tych przygód niemało. Dziwne, że od razu ją sobie przypomniał, jej głos, żart o marlboro, lekki polski akcent, a następnie całą resztę - jej pojawienie się, walkę o przewagę i cudowną kapitulację. Uśmiechnął się, widząc jej zmieszanie.

- Trudno panią poznać, dziecinko - powiedział kpiąco. - Zastanawiałem się cały wieczór, kto mnie hipnotyzuje? Pomyślałem nawet, że to jakaś terrorystka. Oszłamiająca zmiana. Zmieniła pani styl. Nowa metoda uwodzenia? Czy z tym już koniec? Amnesty to kolejna zabawka? Przepraszam, zasypałem panią pytaniami? To stary dziennikarski nawyk. Zaczerwieniła się pani, jestem zdumiony. Rumieniec wstydu to coś nowego. Powrót do klasyki?

- Gdyby pan wiedział, jak się cieszę z tego spotkania - powiedziała cicho, wyciągnęła rękę i opuszkami palców dotknęła lekko jego ramienia.

Zdumiewające, pomyślał, jaka bije od niej energia. Czyżby była zakochana? Rzeczywiście jest we mnie zakochana. Z tymi babami nigdy nie wiadomo, zawsze mogą zaskoczyć.

Rozejrzał się - Tani nigdzie nie było. Zapytał Kristinę, czy dotrzyna mu towarzystwa przy kolacji. Poprosił starego Chua o nakrycie stołu na południowym tarasie, skąd schody prowadziły prosto do jego wieży.

Siedzieli nad uśpioną doliną. O tej porze przed świtem, niczym węgle w palenisku, dogasały w dole ostatnie światła hulaszczego Koktebelu. W Kachowce także snuły się

jeszcze cienie. Oficjalni goście wyjechali, nadszedł czas młodzieży. Na trawniku pod skałą tańczyło kilka par, latarnie umieszczone tuż nad ziemią oświetlały nogi, wszystko powyżej kolan osłaniał mrok.

Podczas nocnego posiłku wyjaśniła się ważna okoliczność. Okazało się, że Anton i przyjaciółka Kristiny, Pamela, jeszcze wtedy wiosną wzięli ślub, Pamela jest w ciąży, a więc zwycięzca Rajdu Antycznego niedługo zostanie dziadkiem.

Okazało się również, że minione miesiące miały wielkie znaczenie dla Kristiny, wprawdzie nie zaszła w ciążę, ale przeżyła psychiczny przełom. Zrozumiała pustkę dotychczasowego życia, lewactwa i feminizmu. Teraz postanowiła poświęcić się więźniom sumienia na całym świecie. Nie bez pańskiego wpływu, mister Marlboro, zaszła we mnie ta zmiana, wybacz, Kristino, ale los więźniów sumienia, Chilijczyków czy Argentyńczyków, niewiele mnie obchodzi. Ważniejsi są dla nas więźniowie rosyjscy. Jesteśmy, niestety, pochłonięci naszymi rosyjskimi problemami, a jest ich tak wiele...

- Właśnie wszystko zaczęło się od Rosjan - przyznała się ze smutkiem Kristina - ściślej od Rosjanina, od pana, Andrieju. Myślałam o panu... Może zawiniły słowiańskie geny... sentymentalizm... wydawałoby się nic wielkiego - *little sexual affair*, ale nie mogę zapomnieć... W Stanach zaczęłam zastanawiać się nad panem, nad pańską ideą... zadziwiła mnie zawarta w niej ofiarność... Profesorowie w Harvardzie uważają, że to typowy dla Rosjanina sadomasochizm, ale mnie się wydaje, że to coś głębszego, ważniejszego... może to wpływ religii... nie wiem... w każdym razie nabrałam wstrętu do głupiego, rozpustnego życia, jakie prowadziłam dotąd, przekazałam połowę swoich pieniędzy na rzecz Amnesty International i zaczęłam dla niej pracować... Nie uwierzy pan, ale od tamtego wieczora nie byłam z mężczyzną.

Zdumiewające, pomyślał Łucznikow, po co taki ascetyzm? Spojrzał na delikatny owal twarzy, na smukłą szyję obramowaną białym kołnierzykiem. Rzeczywiście klasztorna czystość... Był wzruszony - ta mała Amerykanka miała w sobie coś z dawnej Rosji.

- Ile ma pani lat, Kristino? - spytał.

- Trzydzieści jeden.

- A Pamela?

- Dwadzieścia dwa.

A więc Antoszka ma żonę o trzy lata starszą od siebie...

Na końcu tarasu ukazała się nagle jakaś postać. Łucznikow szybko sięgnął po pistolet, umieszczony w kaburze pod pachą. Człowiek uspokoił go gestem, postawił na podłodze telewizor, wyciągnął teleskopową antenę, nacisnął klawisz. Zaświecił się ekran. Człowiek powoli odszedł.

- Co to znaczy? - spytała przestraszona Kristina.

- Wszyscy żartują - uśmiechnął się kwaśno Łucznikow. Pistolet powędrował do kabury.

Z telewizora rozległ się sugestywny szept:

- Jeżeli nie śpicie, jest okazja poznać tajemnice ważnych osobistości tego świata. Pytania odłożmy na później. Teraz proszę o uwagę. Nagranie pochodzi sprzed dwudziestu minut.

Na ekranie ukazał się przylądek Chersonesz, ciemna bryła soboru świętego Włodzimierza otoczona wzgórzami, za którymi widniały miny starożytnych budowli. Marmurowe kolumny, odłamki kapiteli i mozaiki połyskiwały w świetle latarni sewastopolskiego portu.

Pod sobór zajechał russo - bałt. Wysiadła z niego kobieta. Biała suknia, nagie opalone

ramiona. Za nią wygramoliła się z wozu wysoka chuda postać. Starszy pan. Oboje zbliżyli się do soboru, zaskrzypiały głośno drzwi, otwierające się przed nimi. W soborze paliło się kilka świec. Sklepienie i boczne nawy tonęły w mroku, ale widać było masywną trumnę, stojącą przed podium dla chóru. Zwłoki hrabiego Nowosilcewa. Dalsze kadry kręczone były z innego miejsca, operator - bluźnierca przedostał się pewnie za ołtarz. Wysoki starzec został przy drzwiach. Kobieta zbliżała się do trumny. Minęło kilka sekund, nim Łucznikow poznał Tanię. Widział ją ze świecą w ręku tuż nad głową swego przyjaciela. Superczuły obiektyw wychwycił z mroku jej twarz: zmęczoną, w świetle świecy surową, gniewną. Stopniowo gniew ją opuszczał, pozostało tylko zmęczenie.

Andriej patrzył i patrzył na tę twarz.

- Pan się z nią żegna? - dobiegł go z daleka głos Kristiny.

Wtedy wyłączył aparat.

XIII. Trzeci Odcinek Państwowy

Symferopolu Marlen Michajłowicz znalazł nowego przyjaciela. Był nim właściciel sklepu spożywczego, pan Mercator, wesoły grubas nieokreślonej narodowości, wywodzący ród w prostej linii od twórcy map Mercatora.

Marlen Michajłowicz lubił przebywać pod pasiastymi markizami jego sklepu przy Sinopskim Bulwarze, w przytulnym świecie cudownej obfitości. Na niedużej powierzchni zgromadzono wspaniałości, jakich nie uświadczysz w specbufetach i „kremlowkach” - sklepach za żółtymi firankami przy ulicy Granowskiego. Miłe wrażenie robiły wymiary sklepu, w niczym nie przypominającego gigantycznych supermarketów, wypełnionych pod sufit atrakcyjnymi towarami, które w jakiś nieuchwytny sposób były podobne do przydziałowych sklepów Kraju Rad. No bo przecież wielkie supermarkety są pewnie tym, co zwykły radziecki człowiek wyobraża sobie pod słowem komunizm” - urzeczywistnieniem odwiecznych ludzkich marzeń.

W sklepie pana Mercatora nic nie przypominało komunizmu, panowała tutaj atmosfera czasów rozkwitu dawnego kapitalizmu - zmieszana woń znakomitych gatunków tytoniu, przypraw korzennych, herbaty, wędlin i serów. Ceny u pana Mercatora były przystępne, bardzo zachęcające, a kiedy zaprzyjaźnili się ze sobą, Marlen Michajłowicz płacił niemal symboliczne rachunki.

Mówiąc między nami, Marlen Michajłowicz zaczął jadać w domu ze względu na oszczędność. Żywność w sklepach kosztowała trzykrotnie taniej niż jedzenie w restauracjach. Pracownicy IBWS w porównaniu z krajowymi płacami mieli tu wysokie uposażenie, wypłacane w walucie, a pobory konsultanta generalnego Kuzienkowa były na poziomie dyrektora IB WS, to znaczy ambasadora, ale wszyscy pracownicy instytutu oszczędzali „białe ruble” na poważniejsze zakupy niż żywność. Ile różnych rzeczy warto było stąd przywieźć do Moskwy, dla żony, dzieci, krewnych, aż się w głowie kręciło.

Pan Mercator, który płynnie, chociaż niegrammatycznie, mówił w dwudziestu językach, łącznie z jidysz, z miejsca zorientował się, że Marlen Michajłowicz pochodzi ze Związku Radzieckiego i zaproponował filiżankę kawy. Po kilku dniach zobaczył Marlenu Michajłowicza na ekranie telewizora, co wprawiło go w dumę, że taka osobistość jest jego stałym klientem. Czuł się zaszczycony, że Marlen Michajłowicz gawędzi z nim, nawet wypytuje o różne rzeczy, jakby chciał z tych pogawędek wyciągnąć jakieś wnioski. Kiedy w sklepie pojawiał się Kuzienkow, pan Mercator przekazywał obowiązki dwóm młodym pomocnikom, zamawiał kawę i prosił gościa do gabinetu, gdzie siedząc w skórzanych fotelach w miłym chłodku, gwarzyli sobie godzinkę albo i dłużej.

- Jestem ciekaw, panie Mercator - zapytał Marlen Michajłowicz, bacznie mrużąc oczy - czy pan, niezależny kupiec, także jest zwolennikiem Wspólnego Losu?

Pan Mercator podniósł brwi, rozłożył ręce, a potem przycisnął je do serca.

- Monsieur Kuzienkow, może pan być pewny, iż jak wszyscy myślący ludzie (śmiem zaliczyć się do takowych, biznes to tylko część mego życia) Władko Mercator jest oczywiście gorącym zwolennikiem Idei Wspólnego Losu i będzie głosował na jej kandydatów.

- Czy zdaje pan sobie sprawę z tego, że zwycięstwo ZWL w wyborach może spowodować nie tylko formalne, lecz rzeczywiste połączenie Krymu z ZSRR?

- Marlenie Michajłowiczu, czy mogę się tak do pana zwracać? Trudno uwierzyć, że takie niezwykle wydarzenie będzie miało miejsce za życia naszego pokolenia, ale jeżeli to się wydarzy, bardzo się ucieszę. Nie każdy bywa świadkiem historycznego przełomu. Jak pan to sformułował, monsieur Kuzienkow? Szczęśliwy, kto żył w tym świecie w jego okrutnych czasach... Mogę zanotować? To Aleksander Błok?

Pan Mercator wyjął ciężki brulion oprawny w skórę i zanotował w nim linijkę z rosyjskiego wiersza.

- Uwielbiam wszystko, co rosyjskie! Nie dlatego, że w moich żyłach płynie jedna sześćdziesiąta czwarta część rosyjskiej krwi, tyle, ile u naszego ostatniego cesarza, lecz dlatego, że my wszyscy na wyspie, nawet Tatarzy, należymy w jakimś stopniu do rosyjskiej kultury. Wie pan, nasza elita - wrewakanci

- zawsze zachowywali się taktownie wobec mniejszości narodowych, a tacy jak ja ludzie śródziemnomorscy cenią sobie wyrozumiałość, tolerancję, pewien wdzięk w stosunkach między ludźmi różnych narodowości. Wszystko się tu przemieszało - mój kuzyn jest znanym adwokatem w Wenecji, ciotka

- właścicielka firmy herbacianej w Tel Awiwie, są Mercatorzy na Malcie, na Sardynii, w Marsylii, w Barcelonie... *Homo mediterraneus* to obywatel świata, panie Kuzienkow.

- Och, panie Mercator..

- Dlaczego pan wzdycha, Marlenie Michajłowiczu? Może kieliszek benedyktyna? To oryginalny benedyktyn, sprowadzam go bezpośrednio z klasztoru, moi klienci wiedzą o tym. A więc mówiłem o wrewakantach, panie Kuzienkow... Nikt inny nie może tak wiele zrobić dla Związku Radzieckiego! Proszę mi wierzyć, to śmietanka narodu rosyjskiego, szczyty wykształcenia, szlachetności, talentu. Kiedyś byli reakcjonistami, walczyli przeciwko wielkim wodzom Trockiemu i Leninowi, ale kiedy to było, panie Kuzienkow? W niepamiętnych czasach. Dzisiaj oczywiście także istnieją różne orientacje, nie wszyscy są tak postępowi jak nasz wspaniały Andriej, ale wielki Związek Radziecki stanowi w naszych czasach taką potęgę, że może sobie pozwolić na pewne różnice zdań w społeczeństwie, czyż nie mam racji?

- Och, panie Mercator - westchnął Marlen Michajłowicz, zmartwiony gadaniną sklepikarza. - Czy pan rozumie, że mamy ustrój socjalistyczny? Jeżeli się połączymy, straci pan swój piękny sklep.

- Będę kierownikiem, socjalistycznym dyrektorem - rozpromienił się pan Mercator. - Przecież wielki Związek Radziecki nie zrezygnuje z mego doświadczenia, z moich śródziemnomorskich kontaktów!

- Powiedzmy - mruknął ponuro Marlen Michajłowicz.

- Ale nie będzie pan miał angielskiej herbaty, francuskich serów, amerykańskich papierosów, szkockiej whisky, owoców kiwi...

- Cha, cha, cha - zaśmiał się pan Mercator. - Jest pan skłonny do czarnego humoru, Marlenie Michajłowiczu. - Cha, cha, cha, to zabawne!

- Niestety, panie Mercator, powiem panu w zaufaniu, że z pańskiego sklepu zniknie wiele towarów. W socjalizmie będzie pan musiał niektóre towary ukrywać pod ladą, w sklepie ustawią się kolejki i nie będzie tak tu przyjemnie pachniało. Czy nie zechciałby pan zanotować w swojej księdze jeszcze jednego cytatu? Winston Churchill: „Kapitalizm - to nierówny podział bogactwa, socjalizm - równy podział ubóstwa“.

- Brawo! Rozmowa z wykształconym człowiekiem to rozkosz! My, handlowcy krymscy, postaramy się przemienić socjalistyczne ubóstwo - jak to formułuje Churchill, w socjalistyczne bogactwo. To wcale nie jest trudne, naprawdę. Liczy się ludzka energia i

inicjatywa. A równomierny podział dóbr materialnych to - chyba się pan zgodzi - istota ludzkiej cywilizacji. Czy nie tego uczył nas Jezus?

- Rzeczywiście Jezus uczył nas tego, ale byliśmy złymi uczniami, a życie koryguje nawet formułę reakcjonisty Churchilla. Proszę zanotować, panie Mercator, modyfikację: „Socjalizm to nierówny podział ubóstwa“.

- Kto to powiedział, monsieur Kuzienkow?

- Przepraszam, na mnie czas. Dziękuję za towarzystwo.

Pan Mercator odprowadzał gościa do drzwi, a czasem wychodził nawet na próg, by go widzieli w towarzystwie „wybitnego radzieckiego towarzysza“ sąsiedzi i konkurenci z Sinopskiego Bulwaru. Młodzi pomocnicy pana Mercatora, Jaki Hasan i Albert, wynosili zakupy Kuzienkowa i układali je w samochodzie, podniszczonym peugeocie. Oni sami rozbijali się luksusowymi piterami, ale zachwycała ich skromność potężnego „towarzysza“, którą uważali za dowód skromności wielkiego Związku Radzieckiego.

Pan Mercator nieraz napomykał, że byłby uszczęśliwiony, podejmując monsieur Kuzienkowa w domu, w miejskim mieszkaniu albo na dacy w Karaczeli, wszyscy byliby uszczęśliwieni - i żona, i dzieci. Marlen Michajłowicz jednak zawsze delikatnie się uchylał od tych propozycji, a z kolei pan Mercator natychmiast dawał do zrozumienia, iż nie jest zaskoczony odmową, jakby nawet przeproszał za swoją śmiałość - zbyt wysoko mierzył. Pewnego razu Marlen Michajłowicz zirytował się i powiedział wprost: „Panie Mercator, obawiam się, że pan mnie nie zrozumiał. Nie mogę odwiedzić pańskiego domu ani dacy w Karaczeli nie z powodu pychy, lecz dlatego, że jestem śledzony. Jestem pod stałą obserwacją, każdy nowy kontakt może spowodować niespodziewane komplikacje“.

Pan Mercator oburzył się okropnie. Czyżby oswagowcy mieli czelność śledzić takiego człowieka jak monsieur Kuzienkow? On, Mercator, natychmiast napisze do „Kuriera“, gazeta przywoła ich do porządku! „Ależ panie Mercator, znowu pan nietrafnie ocenia sytuację. Wasi oswagowcy ani mnie grzeją, ani ziębią. Chodzi o moich towarzyszy, którzy mogą napisać na mnie donos. To, niestety, dość rozpowszechnione zjawisko w naszym środowisku, oświadczenia, notatki służbowe, »sygnały«, donosicielstwo to spadek po stalinizmie“. Pana Mercatora bardzo przygnębiły słowa Marlena Michajłowicza, żegnając się z nim był zamyślony i ponury, jednak podczas następnego spotkania znowu promieniał. Wiele rozmyślał o tak zwanym donosicielstwie, doszedł do wniosku, że wynika ono z wielkiego poczucia wspólnoty, poczucia jednej rodziny, ogólnego dążenia do doskonałości, od poczucia istnienia jakby jednej wspólnej dla wszystkich „matki“, której można się poskarżyć na brata - z tego, czego właśnie brak wyspiarzom, podobnie jak wszystkim ludziom zachodniego świata. „Tak, panie Mercator - powiedział ze smutkiem Kuzienkow - trafnie to pan określił, tego uczucia ludzie zachodniego świata rzeczywiście nie znają“.

Kiedy bywał na wiecach, czytał przedwyborcze plakaty, oglądał telewizję, studiował prasę, rozmawiał z ludźmi na przyjęciach organizowanych w ambasadzie, w salonach arystokratów, na wernisażach, wystawach, imprezach sportowych, dochodził do wniosku, że są oni nieuleczalnie chorzy. Z dnia na dzień sytuacja na Wyspie coraz wyraźniej wymykała się spod wpływów tradycyjnych rosyjskich instytucji. Niemal wszyscy deputowani, niezależnie od przynależności partyjnej, nawet monarchiści, zaczęli przemówienia od deklarowania wierności ZWL - owi. Odcięcie się od Idei Wspólnego Losu pozbawiało wszelkich szans w wyborach. Tylko drobne ekstremistyczne grupki, które nie mogły liczyć na wejście do Dumy, atakowały obóz Łucznikowa. Jaki - nacjonalizm szybko topniał i wyborcy uznali go za niepoważny młodzieżowy klub. A Moskwa bombardowała

Marlena Michajłowicza ciągłymi szyfrówkami, dopytywała się, czy trzyma rękę na pulsie wydarzeń, czy zmierzają one w odpowiednim kierunku? Marlen Michajłowicz zastanawiał się, jak ma nimi sterować. Z jakimi ugrupowaniami rozmawiać, w jaką stronę je popychać, kiedy wszyscy płoną miłością do wielkiego Związku Radzieckiego? Rewolucyjna teoria i rewolucyjna praktyka uczą nas - odpowiadała Moskwa - iż w skomplikowanych sytuacjach należy szukać oparcia w partii robotniczej jako przodującej sile proletariatu. Należy znaleźć pretekst do odwiedzenia arabaskiego okręgu przemysłowego, nawiązać kontakt z przywódcami związków zawodowych, z działaczami miejscowej socjaldemokracji. Proszę się wystrzeżać partii, która nosi nazwę „komuniści - nacierze“. Jak wynika z informacji operacyjnych, utrzymują oni kontakt z Belgradem. Proszę przedłożyć Komitetowi Centralnemu wyczerpującą informację o sytuacji w arabaskim okręgu przemysłowym.

Cóż to za bzdury, myślał z irytacją Marlen Michajłowicz. Czy oni nie rozumieją, jakie małe znaczenie ma w życiu politycznym Krymu tak zwana klasa robotnicza, przecież to dobrze sytuowani ludzie, bogacze opijający się piwem i pozerający befsztyki grubości dłoni. Poza tym na Arabacie sześćdziesiąt procent ludności stanowią zagraniczni robotnicy - Turcy, Grecy, Arabowie. Wyspiarze nie lubią babrać się w ropie naftowej. Jak można z takim uporem trzymać się zdezaktualizowanych dogmatów, a w dodatku dopasowywać do nich niezwykle historyczne wydarzenia? Jak można zaniechać rozwijania marksizmu?

Marlen Michajłowicz zaczął się obawiać własnych myśli. Kilka lat wstecz sam uważał Arabat za cytadelę świadomości klasowej, prężne centrum ruchu robotniczego. Niekiedy budził się nocą, wstawał, palił, patrzył na bezludny bulwar, gdzie spoza drzew świeciły się wystawy sklepowe i okna nocnych klubów artystycznych i myślał, że może w tej chwili - komunista Marlen Michajłowicz - jest najbardziej reakcyjnym człowiekiem w kraju, że może nikt nie jest tak bardzo przeciwny połączeniu małego kraiku z wielką metropolią.

Myślał o Wyspie, dziwnym zrzędzeniem losu położonej prawie na samym środku niewielkiego Morza Czarnego. Jakie siły tektoniczne oderwały ją od kontynentu i w jakim celu? Czy nie po to, by przed naszym pokoleniem Rosjan postawić obecnie tak bolesne zadanie? Myślał o Cieśninie Czongarskiej, wspominał Dzień Lejtnanta Bayle - Landa, przypadający dwudziestego stycznia, jedną z najbardziej ukrywanych przed narodem radzieckim dat historycznych, dzień przerażającej klęski, jakiej w 1920 roku doznała zwycięska armia proletariacka, kiedy przeciwko lawinie rewolucyjnych bojowników stanął młody Anglik, wesoły przyszczaty chłopak. Stanął i zwyciężył. Nikt w Związku Radzieckim, prócz Marlena Michajłowicza i kilku innych specjalistów nie ma prawa o tym wiedzieć. Może go jedynie wspomina żałosna garstka renegatów, zdrajców, dwa lub trzy miliony tak zwanej inteligencji, czyli obywateli późniejszego gatunku.

Marlena Michajłowicza dopuszczono do sekretnych archiwów przed dziesięciu laty za czasów Chruszczowa, kiedy powstał obecny sektor Wschodniego Śródziemnomorza. Przeżył wówczas wstrząs, nie tylko dlatego, że Armia Czerwona poniosła taką sromotną klęskę. Zachwiały się podstawy jego wiary, podporządkowującej jednostkę historii. Odtąd raz po raz zagłębiał się w tajnych archiwach, coś go ciągnęło do Bayle - Landa. Zaczęło mu się wydawać, że był świadkiem wydarzeń, które poprzedziły o dziesięć lat jego urodziny.

Dwudziesty stycznia. Trzydziestostopniowy mróz. Szeroka na sześćdziesiąt kilometrów Cieśnina Czongarska jest skuta lodem, przechodzą po nim wielotysięczne kolumny wojska, jadą działa. Tego dnia wszystko odbywało się zgodnie z logiką walki klasowej: zdemoralizowana, zdezorganizowana Armia Ochotnicza w panice ładowała się na wysłużone parostatki w portach Sewastopola, Jałty, Teodozji, Kerczu, Eupatorii; jednostki zdolne jeszcze do walki - mamontowcy, markowcy, drozdowcy - ścierały się z oddziałami

jazdy tatarskiej, które wyskoczyły z górskich wąwozów; pułki kozackie zostały zdemoralizowane przez bolszewickich agitatorów, podobnie jak załogi potężnej eskadry angielskiej, mającej bronić północnego wybrzeża. Marynarze angielscy i angielska piechota morska zgodnie z nakazami solidarności klasowej opuścili swoje okręty, uwięzione wśród lodów przy nabrzeżach i na redzie Alma - Tarchanu i wicowali pod czerwonymi sztandarami na nabrzeżu i w rynku pośród straganów, lepierek i minaretów północnokrymskiego miasta, przeszywanego lodowatym wiatrem. W całkowitej zgodzie z logiką walki klasowej po raz pierwszy od stu lat zamarzyła Cieśnina Czongarska i w całkowitej zgodzie z logiką walki klasowej po błyszczącym w słońcu lodzie spokojnie maszerowały na Wyspę wojska Frunzego i Mironowa. Było co prawda dość ślisko, kopyta końskie ślizgały się, ale w spłówiatym od mrozu niebie powiewały sztandary, orkiestry wojskowe grały „bój to jest nasz ostatni“, a czerwonoarmiści kleli wesoło, nie spotykając oporu w drodze do ostatniego schronienia wroga klasowego.

Tylko nastrój dwudziestodwuletniego lejtnanta Bayle - Landa, dowódcy wieży działowej na liniowcu „Liverpool“, nie był w zgodzie z logiką walki klasowej, lejtnant miał lekkiego kaca. Zmusił swoich artylerzystów do pozostania w wieży, co więcej, wycelował działa w nacierające kolumny i otworzył ogień potężnymi szesnastocalowymi pociskami. Celność ostrzału nie miała znaczenia, ponieważ pociski kruszyły lód, czoło kolumny tonęło w lodowatej wodzie, tylne szeregi mieszały się, wybuchła panika. Można to było obserwować z nabrzeża w Alma - Tarchanie nawet przez niezbyt mocne lornetki, a czasem gołym okiem. Na całym Krymie terkotały aparaty telegraficzne: angielska flota odpiera atak czerwonych! Z lotnisk w Sary - Bułacie startowały wysłużone farmany, newporty, witiacie z tęczowymi kołami na skrzydłach. Zrzucały na lód ładunki wybuchowe. Dowódca naczelny baron Wrangel rozkazał wszystkim jednostkom wojskowym przebić się na północne wybrzeże. Po raz pierwszy od miesiąca rozkaz został wykonany. Dywizja Drozdowa wysforowała się na północne rubieże. Nawet Wilcze Sotnie Szkury zrezygnowały na jakiś czas z potyczki z Tatarami w ciepłych wąwozach i pogalopowały na mroźne stopy. A niedobitki floty rosyjskiej w Zatoce Bałakławskiej po serii wieców zaczęły rozpalać kotły i podnosić andriejewskie bandery. Załogi angielskich okrętów wróciły na stanowiska bojowe. W przedziwny sposób świadomość klasowa ustąpiła miejsca pokusie zwycięstwa na polu bitwy. Mimo to rząd brytyjski nie wybaczył buntownikom i po wojnie większość marynarzy wolała osiedlić się na ziemi krymskiej, by uniknąć strasznej morskiej *penitentiary* zgodnej z tradycjami Władczyni Mórz. W ten sposób powstały północno - krymskie angielskie osiedla, podobne do australijskich kolonii zbiegłych więźniów.

W pierwszej dobie kruszenia lodu Armia Czerwona odniosła potworne straty. Marlen Michajłowicz płakał, czytając wykazy strat bohaterskiej Drugiej Armii Konnej, inzińskiej i sypirskiej dywizji piechoty, batalionów pancernych i artylerii konnej.

Czerwoni walczyli z rozpaczliwą determinacją, szukali innego dojścia na krymskie wybrzeże, ale Czongar zamarzył tylko w największym miejscu, od strony zachodniej i wschodniej falowała woda. Czerwonoarmiści ginęli tysiącami w lodowatej brei. Armia Ochotnicza odradzała się. Niektórzy zaczęli już nawoływać do kolejnej wyprawy na Moskwę. Zwyciężył jednak rozsądek. Wyspa odparła ofensywę i umocniła obronę.

Kilka dni wiał silny wiatr z południowego wschodu. W Cieśninie Czongarskiej szalał sztorm. Bohatera bitwy lejtnanta Bayle - Landa odszukano w klubie oficerskim w Sary - Bułacie. Dwie doby z rzędu grał w kanastę z rosyjskimi lotnikami.

Marlen Michajłowicz długo wpatrywał się w zdjęcie portretowe lejtnanta. Odstające

uszy, wyniosłe, głupkowate spojrzenie, przyлизane włosy. Pewnie retusz ukrył pryszcze, ale według wszelkiego prawdopodobieństwa musiał je mieć. Na zdjęciu nie wyglądał na dwadzieścia dwa lata, chyba właśnie osiągnął pełnoletniość, taki trochę przeterminowany gimnazjalista. Synalek jakiejś zubożałej arystokratki, z dziada pradziada w Royal Navy. Co za potworna bzdura - przyszczaty chłopak zmienił bieg historii! Marlen Michajłowicz był szczególnie oburzony tym, że Dick Bayle - Land w wywiadzie udzielonym po zwycięstwie z uporem nie chciał słuchać żadnych hymnów pochwalnych, żadnych porównań z „procą Dawida“, negując własne bohaterstwo. „Byłem po prostu ciekaw, co z tego wyniknie - mówił dziennikarzom. - Przysięgam, panowie, nie miałem najmniejszego zamiaru bronić Krymu ani imperium rosyjskiego, konstytucji, demokracji i czego tam jeszcze. Po prostu cała ta sytuacja wydała mi się zabawna - lód, natarcie, wielkokalibrowe działo, bunt na okręcie. Chyba najbardziej byłem ciekaw skuteczności mego działa“. W tym miejscu zwykle smarkał się w chustkę z haftowanym monogramem, a zachwyceni dziennikarze rozpisywali się o angielskim humorze, nie rezygnując z „procy Dawida“.

Jak to możliwe, że bez świadomości klasowej, bez nienawiści do zwycięskich mas, tylko ze zwykłej ciekawości taki smarkacz zmienił bieg historii? Chyba potem wygłupiał się, pajacował. W głębi duszy z pewnością rozumiał, że zwycięstwo górników z Donbasu i peterskich hutników zagraża jego interesom. Tak tłumaczył sam sobie Marlen Michajłowicz, ale przyglądając się zdjęciom lejtnanta w głębi duszy nie wątpił, że stało się to wszystko bez nienawiści, bez świadomości klasowej, po prostu z ciekawości.

Rozmyślając teraz o tym wydarzeniu, Marlen Michajłowicz wspominał inne ślepe uliczki historii, kiedy teoria marksistowska traciła rolę kierunkowskazu.

Zdarzały się niekiedy wewnętrzne załamania i muzyka rewolucji zaczynała się wtedy wydawać kakofonią, a jej czyste dźwięki - ofiarności, miłości, romantyczne marzenia - natychmiast ginęły w przygnębiającym chaosie partytury.

Marlen Michajłowicz zadrżał, odpędził bluźniercze myśli, jął przeglądać szyfrówki, korespondencję z „Ważniakiem“, informacje, notatki, wytyczne. Nagle odsunął od siebie wszystkie szpargały, westchnął ciężko, ale jakby z ulgą.

Kochał tę Wyspę, z którą związana była pamięć o dawnej Rosji i marzenie o nowej bogatej, rozwiązłej demokracji, porty skalistego południa, otwarte na cały świat, energię skazanego przez historię rosyjskiego kapitalizmu, dziewczyny i bohemy Jałty, wybujałą architekturę Symferopola, dorodne stada na wschodnich pastwiskach i rozległe pszeniczne łąny na zachodzie, cud okręgu przemysłowego, sam kształt Wyspy, podobny do płaszczki. Tyle lat poświęcił temu dziwnemu cudowi natury i historii, czyżby to wszystko miało się zmarnować z woli „Niesympatycznego“, wbrew zdrowemu rozsądkowi i wbrew interesom naszego kraju, nawet bez wyraźnego stanowiska kierownictwa? Mój Boże, nie przeżyję tego, muszę temu zapobiec! Generalny konsultant do zagadnień strefy Wschodniego Śródziemnomorza Marlen Michajłowicz Kuzienkow odwołał się nagle do Pana Boga!

Trzeba było jednak jechać w delegację. Wyżaliwszy się, Marlen Michajłowicz zabrał się do wykonywania dyrektyw. Zamówił samochód w IBWS, włożył do walizeczki piżamę, przybory do golenia i udał się po mądrość klasową do naturalnych sojuszników w Arabaskim Okręgu Przemysłowym.

W drodze, oglądając z estakady fermy Niemców (całą Wyspę zaopatrują w doskonałe wyroby mleczarskie, a sery i wędliny eksportują do krajów europejskich), Marlen Michajłowicz zastanawiał się nad informacją dla „Ważniaka“, ile można umieścić w niej demagogii, a co napisać serio, myślał o przemówieniu w Towarzystwie Przyjaźni, kombinował, jak uniknąć spotkania z „komunistami - nafcjarzami“, krótko mówiąc

pochłonęła go praca i zapomniał o wszystkich wątpliwościach i lękach.

- Jakie tu fermy, jakie bydło! - westchnął kierowca Łopatow.

Marlen Michajłowicz spojrział na jego tłustą gębę. O co mu chodzi? Czy to prowokacja?

- Taak - powiedział.

Teraz kierowca szybko zerknął na niego. Jakiś czas jechali w milczeniu.

- Gdyby tak sprowadzić naszych chłopów - powiedział Łopatow, odwracając się do Marlena Michajłowicza. - Ziemia pierwsza klasa, towarzyszu Kuzienkow, no nie? Fajna ziemia.

W IBWS nie było zakazu podziwiania warunków naturalnych Krymu. Marlen Michajłowicz poczuł się podle: kierowca boi się jego, a on kierowcy.

- To dzięki gospodarności, Łopatow - powiedział oschle i odwrócił się.

Nie minie rok, a mieszkańcy Krymu będą się bali jeden drugiego, tak jak on i Łopatow. Łuczniuk spodziewa się, że Rosjanom przybędzie odwagi pod wpływem Krymu. Akurat!

Rzucić wszystko, uciec, wystąpić w telewizji, wypowiedzieć wojnę ZWL, ujawnić durniom prawdę, apelować do Zachodu...

- Oto i Ak - Meczet! - powiedział Łopatow, zjeżdżając ku Zatoce Azowskiej.

Z wysokości estakady widać było Arabatską Striełkę, ciekawy twór przyrody, piaszczystą mierzęję o szerokości półtora do dwóch kilometrów i długości ponad stu kilometrów. Od wschodu ciągnęły się cudowne plaże z czerwonego wapienia muszlowego, omywane czystymi wodami Zatoki Azowskiej. Zachodni brzeg graniczył z zatęchłym płytkim Siwaszem, skarbnicą Krymu, bezcennym zbiornikiem ropy naftowej, gazu ziemnego i innych niezliczonych bogactw. Wszystko było odpowiednio zagospodarowane. Z zachodniej strony wzdłuż całej mierzei ustawiono szyby wiertnicze, zbudowano rafinerie - w których ropę destylowano, rafinowano, uszlachetniano - zbiorniki i estakady - powstała przemysłowa dżungla. Środkiem mierzei biegła sześciopasmowa autostrada ze wszystkim, co w podróży może być potrzebne - co kilometr - telefony, samoobsługowe stacje benzynowe, automaty z kawą, papierosami, coca - colą, herbatą, gumą do żucia, cukierkami hot dogami, eleganckie bary, utrzymane w tak zwanym stylu pogranicza. Dalej na wschodnim wybrzeżu, czyli w odległości półtora kilometra od przemysłowej dżungli, znajdowały się plaże, przystanie jachtowe, miasteczka i osiedla pracowników i przemysłowców, supernowoczesne osiedla ze wszystkimi możliwymi wygodami, a także z bogatym programem rozrywkowym nie zawsze najwyższego lotu. Głównymi ośrodkami miejskimi na Striełce były Ak - Meczet, Bolszoi Bem i Trzeci Odcinek Państwowy, dokąd właśnie kierował się samochód Kuzienkowa, tam bowiem znajdowały się siedziby zarządu Arabat Oil Company, władz związków zawodowych i towarzystw. Na północnym cyplu mierzei zbudowano niewielkie osiedle w stylu Dzikiego Zachodu, zwane Małym Bemem lub Kopiejką.

Po całej Wyspie krążyły opowieści o tym, jakie można tu przeżyć nieprawdopodobne przygody. Wśród nabrzeży towarowych i rurociągów znajdowało się ze dwadzieścia burdeli na każdy gust, taki sobie mały Hongkong.

Nim dojechali do Trzeciego Odcinka Państwowego, kiedy już na horyzoncie ukazały się różnobarwne wieżowce z odblaskowymi szybami, Marlen Michajłowicz pomyślał, że dobrze byłoby zostać tutaj samemu, pozbyć się kierowcy Łopatowa. W jakim jest stopniu? Chyba nie niżej majora. Jeszcze raz przyjrzał mu się z boku. Co za gęba! Całkiem jak Neron! Pewnie trudno spotkać bardziej zdemoralizowanego człowieka pracy.

Kiedy już byli w hotelu Odlewnia Splendid, Marlen Michajłowicz zaproponował

kierowcy:

- Wiecie, Łopatow, zostanę tu trzy dni, samochód nie będzie mi potrzebny. Możecie wyskoczyć do Małego Bema. Podobno są tam różne ciekawe rzeczy! Drugiej takiej okazji nie będzie.

Oczy Łopatowa zabłyśły.

- A... wy, towarzyszu Kuzienkow... jak... tutaj... - wybełkotał.

- Łopatow - Marlen Michajłowicz uśmiechnął się lekko - przecież wszyscy jesteśmy ludźmi, trzeba iść sobie na rękę...

- Otóż to! - zawołał rozpromieniony Fieofan Łopatow. - Dobrze powiedziane - wszyscy jesteśmy ludźmi! Ten aparatczyk wysokiego szczebla, tajemniczy konsultant, którego przykazano nie spuszczać z oczu, po prostu zamierza zabawić się tutaj bez świadków. Po chwili w duszy doświadczonego przez życie Łopatowa zrodziła się obawa: jak dowiedzą się towarzysze o skoku do Małego Bema - koniec z karierą, odsuną od kierownicy, trzeba będzie resztę życia spędzić w kraju. Ale jednocześnie... Łopatow ze smutkiem rozglądał się po przytulnym holu Odlewni Slendid, z miękką wykładziną, kinkietami, znudzonym barmanem w głębi... Spojrzał przez oszkloną ścianę, za którą połykiwały zimowe fale Zatoki Azowskiej. „Wszyscy jesteśmy ludźmi“. A niech tam, żyje się raz, potem będzie żal zmarnowanych lat, wypuszczę się na całe trzy dni do kurew w Małym Bemie, poszaleję sobie! Niech mnie nawet wyrzucają z partii, ale przez trzy dni z dziewczynkami i pedziami przeżyję coś takiego, czego, drodzy towarzysze, nie doświadczycie przez całe swoje życie... Wspomniał nudne lata pracy przy kierownicy. Niedługo wspaniała Wyspa przestanie istnieć i jest to ostatnia szansa, żeby zobaczyć coś więcej.

Te wszystkie uczucia odbiły się wyraziście na tłustej twarzy Łopatowa. Marlen Michajłowicz kolejny raz zaskoczony był faktem, jak zmienili się w ostatnich latach „nasi ludzie“. Chwilę później Łopatow dyplomatycznym samochodem pomknął do Małego Bema, by się zabawić z międzynarodowymi kurwami.

Marlen Michajłowicz westchnął z ulgą, był wolny, miał wspaniały dwuosobowy pokój, z oknami wychodzącymi na otwarte morze. Na dole czyściutkie uliczki Trzeciego Odcinka Państwowego biegły w kierunku plaży. Wiatr kołysał wierzchołkami drzewiastych jałowców, rosnących wzdłuż lustrzanych wystaw sklepowych. Od czasu do czasu przejeżdżał samochód albo przechodził jakiś młody chłopak w jaskrawej kurtce. Marlena Michajłowicza ogarnął spokój, było mu tu przytulnie, zniknęły służbowe problemy i bezsensowne instrukcje. Spędzę tu trzy dni w samotności, nie będę do nikogo dzwonił ani się z nikim spotykał, a sprawozdanie napiszę bez trudu - i tak nie ma ono żadnego znaczenia, nie zapobiegnie katastrofie, ani jej nie przyspieszy. Będę trzy dni siedział przed telewizorem, zmieniał kanały, obserwował przebieg kampanii wyborczej. Spacery, lektura prasy, oglądanie telewizji... Na trzy dni wypadnę z gry, postaram się zrobić wybór, w którą stronę się zwrócić, z kim i po co. Przed końcem delegacji zadzwonię z jakiegoś barn do Wiery, powiem, żeby zadzwoniła do mnie od swojej siostry. Wiera zrozumie, poproszę, żeby się skontaktowała z „Ważniakiem“, trzeba jeszcze raz spróbować powstrzymać ich od katastroficznych decyzji.

Włączył telewizor. Na jednym kanale nadawano bzdurny serial francuski, na drugim amerykański jazz, na trzecim radzieckie mistrzostwa hokejowe... Komentator agencji informacyjnej trajkotał niczym karabin maszynowy, spokój i bez troska zniknęły bez śladu. Kamerzyści pokazywali z Eupatorii zlot Wilczej Sotni, na którym ta ultrapravicowa organizacja ogłosiła przyłączenie się do Związku Wspólnego Losu. Jakiś zramolały pułkownik (pewnie jeden z ostatnich kawalerzystów Szkury) z zachwytem opowiadał

młodzieży o wycieczce turystycznej do Moskwy i o ogromnym wrażeniu, jakie zrobiła na nim defilada wojskowa na Placu Czerwonym. Ani słowa o komunizmie - mocarstwowa Rosja, której sztandar powiewa na wszystkich szerokościach geograficznych, XXI wiek to wiek Rosjan! W prezydium zebrania Marlen Michajłowicz zauważył nagle profesora Fofanowa, jednego z „kolegów z klasy”. Jeszcze przed tygodniem, profesora jako liberała i sympatyka czerwonych rozpląszczono by na ścianie na takim zebraniu, teraz - tydzień przed wyborami - był honorowym gościem, członkowie Wilczej Sotni oczekiwali jego przemówienia.

Zadzwoił telefon. Marlen Michajłowicz drgnął. Kto może do niego dzwonić? Kto wie, że jest w hotelu Odlewnia Splendid? Okazało się, że wiedzą ci, co wiedzieć powinni. Dzwonił z Teodozji Wiliam Iwanowicz Kokkinaki. Pod tym nazwiskiem przebywał na Wyspie pułkownik Siergiejew. Dostojny profesor archeologii przybył do Teodozji z Kalifornii w związku ze swoją pracą naukową. Melodyjnym głosem, lekko grasejąc, archeolog jako stary przyjaciel i znawca Krymu zapraszał Marlana Michajłowicza w odwiedziny. Kiedy będzie miał pan dość pracy lub natrętnych gości, zapraszam do mnie, wynajęłam cudowną willę nad morzem, będziemy mogli jak w dawnych dobrych czasach podyskutować o trzeciej warstwie w kurhanie Tepseń lub o pochodzeniu zbiorników wodnych na zboczach Leginera. Przepraszam, jakich gości ma pan na myśli, powiedział Marlen Michajłowicz, nie mam zamiaru z nikim... Tak, oczywiście, ja także uwielbiam samotność, powiedział Kokkinaki, z całego serca współczuję. Dopiero wczoraj pozbyłem się pewnego numizmatyka, niejakiego Ignatiewa - Ignatiewa, ciekawy facet, ale całkowity dyletant. Radzę odsyłać takich amatorów do wszystkich diabłów albo bezpośrednio do mnie. Jeżeli zjadą jacyś starożytni Egipcjanie, proszę dzwonić do mnie, podaję numer telefonu.

Marlen Michajłowicz zastanawiał się jakiś czas, co to wszystko znaczy, patrząc niewidzącymi oczami na ekran, aż uświadomił sobie, że telewizja pokazuje kolejne bardzo ważne wydarzenie. Konferencję prasową w Bachczysaraju. Rzecznik prasowy dwóm chana składał oświadczenie. Jego wysokość islamski przywódca narodu tatarskiego na Krymie nawołuje swoich poddanych do poparcia w głosowaniu Związku Wspólnego Losu i wyraża przekonanie, iż w składzie wielkiego Związku Radzieckiego Krym będzie mógł wnieść większy wkład w ruch krajów niezaangażowanych, wzmocnić antyimperialistyczny front swoich braci w wierze.

Znowu zadzwonił telefon. Tym razem dzwonił portier. Poprawną ruszczyzną zapytał, czy szanowny pan życzy sobie zamówić kolację do pokoju.

Na ekranie zjawił się Andriej. Wyskoczył ze śmigłowca w bazie Wojskowych Sił Lotniczych w Kaczy. Śladem za nim podążała jego aktualna kobieta - Kristina Parsley w skórzanej kurtce i dzinsach, pociągająca osóbką, chociaż daleko jej do naszej Tanki, dureń z tego Andrieja, pod każdym względem dureń. Witął ich Czernok i ze trzystu rozradowanych lotników.

Kolację? Tak, poproszę. Coś lekkiego, prostego. Poproszę także, jeżeli można, butelczynę szkockiej, tak... Słucham? Butelkę. Może być black - white...

Łuczniak wszedł na trybunę, podniósł rękę, prosząc o ciszę.

- Lotnicy! - zaczął. - Hiszpańskie karawele wypływały na Atlantyk, nie wiedząc, co im przyniesie każda następna mila, płynęły w mgłę i mrok. Odkryły Amerykę, ale mogło jej nie być na ich szlaku, wtedy byliby skazani na śmierć. Taki jest los ludzi - stale podążają ku nowym brzegom. Czy odkryjemy Rosję, nasze marzenie, nasz los? Wyruszając w tę drogę, pragnę wam powiedzieć, że czeka nas gęstsza mgła i czarniejszy mrok niż te, które

napotykali Hiszpanie.

Zerwał się jakiś przystojny chłopak z lejtнанckimi dystynkcjami, machnął czapką.

- My latamy w każdą pogodę! - zawołał.

Widownia ryknęła z zachwytu. Pułkownik Czernok zapalił cygaretkę. Andriej uśmiechał się smutno. Miss Parsley demonstrowała wyłącznie bezgraniczne oddanie swemu panu i władcy.

Co za chytra bestia z niego, pomyślał ze złością o Łucznikowie Marlen Michajłowicz. Agitacja na wspaniał! Straszy ludzi „mgłą i mrokiem“, a wzbudza zachwyty i determinację, o które mu chodzi. Co się z tymi ludźmi dzieje? Sołżenicyn raz po raz tłumaczy z ekranów telewizyjnych - zaczekajcie, opamiętajcie się! Słuchają z uwielbieniem, a potem dochodzą do zdumiewającego wniosku: tylko wielki kraj mógł wydać tak wspaniałą osobowość, tylko wielki Związek Radziecki! Być może człowiek wychowany w dobrobycie ma skłonność do bezmyślnego entuzjazmu. Jakim cudem Łucznikow tak świetnie poznał psychologię wyspiarzy? Czyżby nauczono go tego w KGB? Kuzienkow jednak doskonale wiedział, że kierownictwo tej instytucji wcale nie dąży do wcielenia Krymu, straci bowiem cudowne pole działania. Po prostu Andriej jest jednym z wyspiarzy, jednym z „lepszych“.

Telewizja pokazała zbliżenie twarzy Łucznikowa. Dziwny kontrast - drapieżny uśmiech i smutne spojrzenie.

- Łajdak! - Kuzienkow przysunął pięść do twarzy byłego przyjaciela. Łajdak pod każdym względem, zapomniał o swoich bliskich, wyrzucił ukochaną, przez tyle miesięcy nie starał się spotkać ze starym przyjacielem. Wszystko pochłonęła sadomasochistyczna idea, snobizm sięgający absurdu.

- Całkowicie *zgdzam* się z panem, Marlenie Michajłowiczu - powiedział w pobliżu jakiś trochę zardzewiały głos.

Kuzienkow odskoczył od telewizora. Do pokoju wtaczano wózek ze „skromną kolacją“ - zestaw półmisków i półmiseczków, osłoniętych srebrnymi pokrywkami, i butelka whisky. Wózek pchał służący w średnim wieku, chuderlawy facet z uśmiechem odsłaniającym blade dziąsła. Szpakowate włosy opadały mu na czoło.

- Użył pan właściwego określenia - powiedział. - Andriej Łucznikow to łajdak. Znam go od dzieciństwa, chodziliśmy razem do Symferopolskiego Gimnazjum imienia Cara Wyzwolicielea.

Kuzienkow w milczeniu patrzył na służącego, rozumiał, że to nie jest służący, że być może źle zrobił, odsyłając Łopatowa, że czekano tu na niego. Należy natychmiast zadzwonić do pana Kokkinaki, o ile nie jest za późno.

Fałszywy służący skłonił głowę, lekko stuknął obcasami.

- Pozwoli pan, że się przedstawię. Jurij Ignatiew - Ignatiew

- powiedział. - Proszę uprzejmie wybaczyć, ale była to jedyna możliwość dotarcia do pana.

Ignatiew - Ignatiew podniósł poły, jak robiono w dziewiętnastym wieku, i przysiadł na brzeżku fotela, ale był to współczesny fotel i pan Ignatiew - Ignatiew zapadł się w nim niezręcznie. By dostosować się do sytuacji, założył arogancko nogę za nogę. Przemieszczenie epok i stylów było tak idiotyczne, że Marlen Michajłowicz pomimo napięcia uśmiechnął się lekko.

- Ignatiew - Ignatiew? - powiedział lodowatym tonem. - Z Wilczej Sotni? Niemało słyszałem o panu.

- To już przeszłość, szanowny Marlenie Michajłowiczu powiedział Ignatiew - Ignatiew, polerując paznokcie. Czynił to niedbale i bardzo sztucznie. - Wilcza Sotnia wyrzuciła mnie

ze swoich szeregów, jestem dumny, że uczyniono to kilka tygodni przed zaprzęciem się ZWL - owi. Teraz jestem członkiem partii „Komuniści - Nafciarze“...

- Brawo - powiedział Marlen Michajłowicz. - Gratuluję. Czy mógłby pan już wyjść. Jestem niedysponowany...

- Co więcej, zostałem powołany do KC tej partii. Chciałbym z panem porozmawiać prywatnie, lecz jako członek KC...

- Ignatiew - Ignatiew niepewnie wyciągnął rękę do butelki.

- Proszę zostawić whisky - powiedział Kuzienkow, zaskoczony swoim grubiańskim tonem.

Twarz Łucznikowa zniknęła z ekranu. Teraz telewizja z przejęciem informowała o dramacie, który się wydarzył w jałtańskim hotelu Majestic; Lucy Clark zastała w łóżku producenta filmowego Jacka Haloya miejscową arystokratkę Nesselrode! Wśród rozmówców reportera mignęła twarz reżysera filmowego Witalija Ganguta od niedawna przebywającego na emigracji. Gangut kategorycznie odciął się od łóżkowej historii, oświadczając, że Lucy Clark „olewa“ (niejasne sformułowanie, proszę państwa, postaramy się ustalić, co to znaczy), a Lidoczkę Nesselrode „widzi w trumnie“ (też to wyjaśnimy), z pozostałej „bandy“ nie chce nikogo znać, a „Ośmiornicę“ ceni jako „łębskiego“ producenta filmowego. Wyglądało na to, że gość telewizji był na solidnym gazie. Kiedy go zapytano, czy to prawda, że wspólnie z Haloyem planuje nakręcenie wielkiego filmu, Gangut uśmiechnął się chytrze i pogroził palcem.

- Zdaje się, że tego drania zna pan również, towarzyszu Kuzienkow? - spytał Ignatiew - Ignatiew, wskazując ekran.

- Nie jestem dla pana towarzyszem - krzyknął Marlen Michajłowicz, nalał sobie pełną szklankę whisky, a butelkę niedwuznacznie odsunął jak najdalej od nieproszonego gościa.

- Jeżeli o mnie chodzi, to znam go świetnie - uśmiechnął się Ignatiew - Ignatiew, wcale nie speszony. - Witia Gangut, zwyrodnialec i alkoholik. Przyjaciel naszego bohatera. Widocznie ci panowie mają we krwi zdradę ojczyzny.

Po szklance whisky świat nabrał blasku.

- Chyba każę panu wynieść się stąd precz, obrońco ojczyzny - powiedział Kuzienkow do Ignatiewa - Ignatiewa i wskazał drzwi gestem Lenina.

Na ekranie ukazała się twarz Ganguta. W odpowiedzi na pytanie o stosunek do ZWL reżyser skrzywił się, jakby ugryzł go komar.

- Gardzę... - wybełkotał.

Mignęło coś z zagranicy. Ropa naftowa, zdemoralizowane pyski szejków i przywódców rewolucyjnych, terroryści, playboye, uczeni, sportowcy, modelki i kurwy.

- Tak, jestem obrońcą ojczyzny - nadał się Ignatiew - Ignatiew i znowu sięgnął po butelkę, ale Marlen Michajłowicz przestawił ją jeszcze dalej. - Walczę z jej wrogami, z takimi łajdakami jak Łucznikow, gotów jestem sprzymierzyć się z komunistami - nafciarzami, z samym szatanem...

- Co pan ma na myśli, mówiąc o ojczyźnie? - spytał Marlen Michajłowicz.

Oczy Ignatiewa - Ignatiewa błysnęły radośnie - aha, nie wypędza! Pogwarzymy sobie!

- Moje rozumienie ojczyzny różni się od łucznikowskiego - powiedział szybko.

- Tylko tyle? - Marlen Michajłowicz udał, że jest rozczarowany. - To nudne, panie Ignatiew - Ignatiew. Pan myśli tylko o Łucznikowie, a nie o ojczyźnie. Ma pan bzika na jego punkcie.

Głowa Ignatiewa - Ignatiewa opadła.

- Proszę nalać mi whisky - mruknął cicho.

- Nie naleję. Nie zapraszałem pana. Pan mnie nie interesuje. Ignatiew - Ignatiew opanował się, odrzucił do tyłu włosy,

wstał, przespacerował się po pokoju.

- Niepotrzebnie pan gardzi mną, Marlenie Michajłowiczu - powiedział. - Reprezentuję te nieliczne siły na wyspie, które przeciwstawiają się epidemii ZWL. Zachód jak zwykle wykazuje niemoc. My mamy kontakty z Belgradem, szukamy dróg dotarcia do Pekinu. My - to znaczy siedem lewicowych partii, jedynych, które mogą cokolwiek zrobić przeciwko ZWL...

- I szuka pan we mnie sojusznika? - uśmiechnął się Marlen Michajłowicz. - Uważa pan, że radziecki dyplomata może zostać pańskim sojusznikiem? Ciekawe.

- Pan jest naszym potencjalnym sojusznikiem - powiedział Ignatiew - Ignatiew. - Mamy informacje, iż w Związku Radzieckim istnieje potężne środowisko przeciwne połączeniu, a pan się z niego wywodzi.

- Kto to panu powiedział, panie komunisto - nafciarzu? - Marlen Michajłowicz, trzymając szklanekę z whisky w lewej ręce, zbliżył się do Ignatiewa - Ignatiewa i schwycił go za ramię. Było bardzo słabe, uległe. - Proszę odpowiedzieć - skąd pochodzi ta bzdurna wiadomość?

Ignatiew - Ignatiew milczał, a głowa kiwała mu się bezwładnie.

- Ja mu powiedziałem - rozległ się głęboki głos. Marlen Michajłowicz ujrzał na progu postawnego mężczyznę z brodą Radamesa. Bez trudu rozpoznał w nim pułkownika OSWAG - u Wadima Wostokowa. Pułkownik skłonił się szarmancko, wszedł do pokoju i postawił na stole srebrne wiaderko z butelką szampana. Rozłożył przepraszająco ramiona.

- Proszę mi wybaczyć, Marlenie Michajłowiczu, to ja podczas przesłuchań tego kryminalisty nieopatrznie wyraziłem to przypuszczenie.

- Czemu zawdzięczam pańską wizytę, panie Wostokow? - spytał wesoło Marlen Michajłowicz. Whisky zrobiła swoje, świat stał się prostszy, barwny, podobny do starego, podkoloryzowanego filmu.

- Zna pan moje nazwisko? Jestem zaszczycony - Wostokow wprawnie otworzył szampana. — Słyszysz pan, jak wyje północno - wschodni wiatr? Zaczyna się sztorm. W takie wieczory miło jest w zacisznym hotelu rozgrywać partię politycznego pokera.

Szampan po whisky był jak dźwięk fortepianu po akordach orkiestry.

- Musi pan wiedzieć, panie Wostokow, że w pokoju obok mieszka dobrze wytrenowany major Łopatow.

Telewizja demonstrowała „urodę leningradzkich nadbrzeżnych latami“. Na ekranie pojawiła się krwawa łuna gasnącej zorzy wieczornej za cienką iglicą Twierdzy Pietropawłowskiej. Uśmiechnięte twarze trzech chłopaków w szynelach z podniesionymi kołnierzami i czarnymi szalikami na szyjach.

- Pokój obok jest pusty - poinformował uprzejmie Wostokow. - Major Łopatow za pańskim pozwoleniem rozkoszuje się w tej chwili w gabinecie masażu „Bangkok“ w Małym Bemie.

- Uwaga - do Marlana Michajłowicza dotarł głos komentatora. - Nadajemy reportaż z kolebki rewolucji proletariackiej. - Na ekranie ukazał się komentator. Płaszcz z podniesionym kołnierzem, nasunięty na oczy kapelusz.

- Filmujemy na żywo bez zezwolenia władz, przepraszamy za usterki techniczne. - Odwrócił się do trzech chłopaków. - Panie i panowie, oto Igor, Sława i Walera, wszyscy oni nazywają siebie „Nową Prawicą“.

Jeden z chłopców wyjął zza pazuchy kartkę zeszytowego papieru i zaczął czytać:

- W imieniu Komitetu Nowa Prawica Wyspy Kriestowskiej zwracamy się do rządu rosyjskiego Wyspy Krym, do generała Pawłowicza, Dowódcy Naczelnego Sił Zbrojnych Południa Rosji, a także do generała Arifmietikowa, szefa OSWAG - u, z prośbą o natychmiastowe aresztowanie redaktora naczelnego proradzieckiej gazety „Russkij Kurier“, Andrieja Łucznikowa. Młodzież radziecka i jej awangarda Nowa Prawica Wyspy Kriestowskiej uważają Andrieja Łucznikowa za renegata i zdrajcę...

Na ekranie zaczęły się przepychanki, migwały niewyraźne plamy. Komentator telewizji tłumaczył z werwą, że wywiad został przerwany, ale chłopcy z Nowej Prawicy zdążyli uciec motocyklem.

- Aha! - zawołał radośnie Ignatiew - Ignatiew - słyszeli panowie? Aresztować Łucznikowa! Oto woła radzieckiej młodzieży!

- Przecież to prawica - powiedział ze śmiechem Marlen Michajłowicz - a pan jest teraz ultralewicowy, panie Ignatiew - Ignatiew.

- To nie ma znaczenia! - krzyczał Ignatiew - Ignatiew, pryskając śliną. - Najważniejsze, że żądają aresztowania Łucznikowa! Póki nie jest za późno. To największy łajdak!

- Oto, co znaczy namiętność! - Wostokow ze współczuciem wskazał głową Ignatiewa - Ignatiewa. - Uwielbiał Andrieja od dzieciństwa. Niedawno trafił do OSWAG - u dziennik pana Ignatiewa - Ignatiewa. Proszę sobie wyobrazić, Marlenie Michajłowiczu, prawie tysiąc stron namiętności, miłości, wściekłości, wyobraża sobie Łucznikowa jako kobietę.

- Falszyfikat! - zawołał Ignatiew - Ignatiew. - Dziennik jest falszyfikatem!

Oczy miał zamglone, widać było, że cierpi, a zarazem sprawia mu to rozkosz, jak to się zdarza młodzieniaszkom, kiedy słuchają opowieści o ukochanej istocie, choćby nawet niewiernej, podłej, ale bardzo pożądanej.

- Niech mi pan należy trochę, Marlenie Michajłowiczu - poprosił żałośnie Ignatiew - Ignatiew. - Chociaż kropelkę.

- Proszę przynieść kilka butelek z baru - powiedział ostro Wostokow. - Na rachunek OSWAG - u.

- Tak jest. - Ignatiew - Ignatiew wybiegł z pokoju. Wostokow wyłączył telewizor. Zapadła cisza, tylko zza okna dobiegało wycie północno - wschodniego wiatru, czyli bory, jak tutaj mówiono. Promień reflektora oświetlił horyzont rozkołysany morskimi falami.

- Od dawna miałem ochotę porozmawiać z panem, Marlenie Michajłowiczu - powiedział Wostokow.

Marlen Michajłowicz zaśmiał się. Jego serce przepelniała młodzieńcza odwaga. Wydawało mu się, że potrafi odgadnąć przyszłe poczynania ludzi, którzy zaplątali się we własne sieci, zna absurdalny sens ich gry, ponieważ rozgryzł przyczynę tego zamętu.

Wostokow westchnął.

- Jak fatalnie wszystko się poplątało! Marlenie Michajłowiczu, proszę powiedzieć szczerze, czy odgrywając w tym tak ważną rolę, rozumie pan, co się dzieje? - Nie chodzi o to, czy rozumiem, czy nie - powiedział Marlen Michajłowicz. - Dzięki memu wychowaniu i wykształceniu, w odróżnieniu od pana, towarzyszu białogwardzisto, czynnik decydujący widzę w...

Zjawił się Ignatiew - Ignatiew. Tym razem komunistę - nafciarza przyprowadził, trzymając go boleśnie za nos, profesor Kokkinaki, czyli pułkownik Siergiejew.

- Zamierzał obezwładnić panów gazem paraliżującym - powiedział pułkownik Siergiejew. Pchnął Ignatiewa - Ignatiewa, usiadł na fotelu i wyjął z teczki trzy butelki wódki

syberyjskiej.

- Proszę zwrócić mi mój dziennik, panie Kokkinaki - błagał Ignatiew - Ignatiew. - Proszę zwrócić ten brudny falsyfikat.

Marlen Michajłowicz spojrział wesołym wzrokiem na wszystkich obecnych.

- Widzę, że są tu sami swoi. Siergiejew uśmiechnął się.

- No nie całkiem, ale dzielimy się niektórymi informacjami. Bez takiej wymiany wywiad nie mógłby istnieć. Czy nie tak, kolego Wostokow?

Ku zdziwieniu Marlena Michajłowicza, Wostokow nie zaszczycił uwagą Siergiejewą.

- Czy mógłby pan, Marlenie Michajłowiczu, dokończyć swoją myśl? Wspomniał pan o czynniku decydującym?

- Właśnie - Marlen Michajłowicz nalał sobie odrobinę whisky, odrobinę szampana i dopełnił szklankę wódką. - Ów czynnik decydujący sprawił, że wszyscy kręcimy się w jego wirze, życie stało się absurdem, nasza praca - bezmyślnym marnowaniem czasu i pieniędzy. Wszystkich nas - marksistów, monarchistów, tych z CIA i tych z KGB - wciąga w swoje wiry, płynie ku nam przerażający, krwiożerczy rekin!

Zamilkli wszyscy, zapadło krępujące milczenie. W tej przykrej ciszy zabulgotało coś - to Ignatiew - Ignatiew ostrożnie łykał wódeczkę.

- Mam propozycję - odezwał się Kokkinaki. - Jesteśmy tu wszyscy mężczyznami - spojrział na Ignatiewa - Ignatiewa. - No, prawie wszyscy. Wypijmy dzisiaj za boreę. Popijmy ostro i wybierzmy się na kurwy do Małego Bema. Nawiasem mówiąc, Łopatow oberwał w Bangkoku butelką po głowie.

- Czasem to dobrze robi - powiedział Wostokow.

- Szkoda, że tylko czasem, a nie zawsze - powiedział Marlen Michajłowicz. - Jak sobie przypomnę tę koszmarną tłustą gębę... Niechby mu się ta rozwalona czaszka nie goiła.

Spróbujcie mego koktajlu, towarzysze sztirlicowie. Już się kołyszę jak na morzu. Co znaczą te błyski, reflektory, migacze? Może się już zaczęło?

- Będziemy wiedzieli, kiedy się zacznie - powiedział Siergiej. - Admirał Wiren zawsze podczas takiego wiatru wyprowadza swoją eskadrę na ćwiczenia, a nasi z Noworosyjska także nie siedzą w domu. I Amerykanie latają, robią zdjęcia. Po co?

- To jego sprawa - uśmiechnął się zagadkowo Marlen Michajłowicz, naśladując ręką ruchy wielkiej ryby.

wszyscy się zaśmiali. Zadzwoił telefon. W słuchawce rozległ się głos Andrieja Łuczniakowa.

- Udało mi się, Marlenie, nawiać telewizji i mojej obstawie

- powiedział pospiesznie. - Jestem w odległości pięciuset metrów od ciebie, w barze Triezubiec przy samej plaży. Przyjdź natychmiast.

- Mam gości - wybełkotał Marlen Michajłowicz. - To bardzo sympatyczni ludzie. Gawędzimy o czynniku decydującym.

- Wiem, kto jest u ciebie - odparł Łucz. - Wykołuj ich jakoś. To jedyna szansa.

- Dobra, dobra - zaśmiał się chytrze Marlen Michajłowicz.

- Moi szanowni goście są bardzo zaintrygowani. Zaraz ściągnę tu również pana, przyjacielu! Zagramy partyjkę politycznego pokera przy wtórze nord - ostu. Pamięta pan tę pieśń? „Kruszony pod butami lód, i groźny ryk nord - ostu, do komunizmu zdąża lud, lecz droga nie jest prosta“... - Odłożył słuchawkę, spojrział wesoło na „gości“.

Oficerowie wywiadu patrzyli na niego zawodowym wzrokiem. Biedacy, pomyślał Marlen Michajłowicz, im się wydaje, że wiedzą wszystko, że kierują wydarzeniami, a jest inaczej, chyba nie ma mniej zorientowanych, żałośniejszych giermków głównego bydlaka,

czynnika decydującego...

- Dzwonił Łucznikow - powiedział.

Oficerowie wywiadu zachowali kamienne twarze, ale komunista - nacierz, który kiwał się bezwładnie nad szklanką syberyjskiej, zerwał się rozdygotany jak panna.

- Jest na dole w barze. Zaraz go tutaj przyprowadzę - powiedział Marlen Michajłowicz.

- Nie przeżyję tego - szepnął Ignatiew - Ignatiew.

- Czy jest z nim miss Parsley? - spytał szybko Wostokow.

- Jest sam. - Marlen Michajłowicz wyszedł z pokoju i zamknął go na klucz. Nim się stąd wydostaną, my damy dyla, pomyślał. Ale dokąd? Na morze? W holu hotelowym podszedł do dyżurnego policjanta, okazał paszport i poskarżył się, że do niego, radzieckiego dyplomaty, wpakowali się jacyś pijacy, nie pozwalają odpocząć. Gliniarz pognął po patrol. Łobuzy zakłócają odpoczynek „radzieckiemu towarzyszowi“.

Marlen Michajłowicz wybiegł z hotelu na bezludną, ciemną uliczkę. Wiatr szarpał jałowce, świeciły się okna kilku barów. W końcu uliczki rozszalałe bałwany wściekle waliły w betonowy falochron, przelewając się na chodnik.

Dopiero tutaj, przeniknięty zębem Marlen Michajłowicz, uświadomił sobie, że wyskoczył w samej kamizelce. Dobiegł do falochronu i po obu stronach plaży zalanej spienioną kipiela ujrzał dziki taniec świateł w mroku. Pomyślał, że może tej nocy zostaną rozwiązane wszystkie problemy. Wesoło odgarnął z czoła mokre włosy i wtedy dostrzegł na parterze masywnego gmachu trzy oświetlone, przyjazne okna. To był bar Triezubiec. Fale zatrzymywały się w odległości metra od ganku. Ta straszna noc została gdzieś za nim, kiedy przestąpił próg. W ciepłym wnętrzu pachniało kawą, tytoniem, grała muzyka.

Właściciel baru oglądał w telewizji mecz hokejowy ZSRR - Kanada. Obok za barem siedział potężny owczarek z czarną pręgą na grzbiecie. Na widok Marlenu Michajłowicza wyszczerzył przyjaźnie zęby. Na kanapce w kącie siedzieli Łucznikow i miss Parsley.

- Mój Boże - zaśmiał się Andriej. - Jesteś mokry i pijany. Nigdy nie widziałem cię w takim stanie. *Cristy, look at my friend. He is a heavy drunk...*

Schludna, surowa miss Parsley w zapiętej pod szyją skórzanej kurteczce uśmiechnęła się do Kuzienkowa. Dzięki telewizji cała Wyspa wiedziała, że ta pani ma zawsze w kieszeniach kurteczki dwa odbezpieczone pistolety.

- Daj, Nikołaju, memu przyjacielowi jakiś sweter i szklankę gorącego rumu - poprosił barmana Łucznikow.

Pięć minut później Łucznikow powiedział:

- Daj, Nikołaju, memu przyjacielowi jakiś skafander, wyjdziemy trochę na świeże powietrze.

Ruchem dłoni zatrzymał Kristinę, która chciała im towarzyszyć. Wyszli w mglistą, wietrzną ciemność. Powoli szli wąskim pasem plaży, który jeszcze pozostał między kamiennym nabrzeżem Trzeciego Odcinka Państwowego a napływającymi raz po raz z mroku spienionymi falami.

- Wiesz, Marlenie - krzyknął Łucznikow do ucha Kuzienkowa - odwaliliśmy kawał roboty! Za tydzień zwyciężymy! Ostatnie badania opinii społecznej wykazały, że ZWL zdobędzie ponad dziewięćdziesiąt procent głosów!

- Możesz być dumny! - odkrzyknął Marlen Michajłowicz.

- Zżera mnie smutek! - powiedział Łucznikow.

- Wcale się nie dziwię! - zawołał Marlen Michajłowicz. - Jesteś przecież tylko żalonną rybą - pilotem ogromnego, bezmyślnego rekina.

- Co ty bredzisz? - zdziwił się Łucznikow. I natychmiast o tym zapomniał. Szedł zamyślony i dziwnie młody w mokrym, błyszczącym skafandrze, prawdziwy zwycięzca ogólnonarodowego plebiscytu.

- Za tydzień Duma Państwowa skieruje prośbę do Rządu Radzieckiego o włączenie Wyspy Krym w skład Związku Radzieckiego jako republiki związkowej. Powiedz, czy możesz mi zagwarantować, że nie będzie żadnego barbarzyństwa, żadnej okupacji? To w naszym przypadku jest całkiem zbędne. Czesi jako obcy chcieli odejść, my jesteśmy swoi, chcemy się przyłączyć. Przemoc nie jest potrzebna. Potrzebny jest takt, cierpliwość... Przecież zgodnie z konstytucją każda republika ma prawo do wystąpienia ze związku, do kontaktów na arenie międzynarodowej, nawet do posiadania własnych sił zbrojnych. Nasza armia będzie częścią Armii Radzieckiej, więc po co okupacja? Przebudowę socjalistyczną również należy wprowadzać stopniowo, jeszcze długo będziemy mogli stanowić źródło twardej waluty. Niech mnie natychmiast wywiozą, niech wywiozą wszystkich „kolegów z klasy“ do Kułundy, niech nas zamkną w więzieniu wladimirskim, niech nawet rozstrzelają, gotowi jesteśmy na wszystko, ale z Wyspą, z jej ludnością należy postępować rozważnie, wszelkie barbarzyńskie akty są niedopuszczalne... Okupacja może spowodować wstrząs i u nas, i u was, może doprowadzić do najgorszego... do wojny... Kilkakrotnie próbowałem zwracać się do najwyższych czynników w sprawie gwarancji, ale tam zawsze udają, że my nie istniejemy. W końcu to ty, Marlenie, prowadzisz tutaj politykę rządu. Nie spotykałem się z tobą od miesięcy z powodu wścibskich dziennikarzy... Skompromitowaliby nas obu... Teraz nie ma wyjścia - powiedz wprost, czy starczy tam mądrości, by nas nie okupować? Łucznikow mówił jakby do siebie, a kiedy wreszcie spojrzął na Kuzienkowa, aż się przeraził. Jego przyjaciel, uosobienie spokoju i rozważności, wyglądał dziko z kosmykami mokrych włosów na czole, z płonąącym spojrzeniem, skierowanym w ryczący mrok Zatoki Azowskiej.

- Mądrości?! - wykrzyknął i wybuchnął śmiechem. - Mądrości starczy! Trochę jej mamy, a dużo nie trzeba!

- Co ci jest, Marlenie? Wracajmy do Tryzubca! - Łucznikow zatrzymał zdążającego gdzieś przed siebie Marlana Michajłowicza.

Marlen Michajłowicz wyrwał się, przywarł do betonowych płyt falochronu Trzeciego Odcinka Państwowego, rozłożył ramiona. Jego oczy z nieprawdopodobnie rozszerzonymi źrenicami przeszywały sztormową noc, a usta wykrzywił sarkastyczny śmiech.

Potężne grzywacze nacierały jeden za drugim. Łucznikow pomyślał, że coraz silniejszy sztorm może ich w końcu roztrzaskać o falochron. Na razie fale opadały w odległości jakiś dwudziestu metrów od nich, ale kotłująca się piana sięgała prawie tu, gdzie stali. Za godzinę fale przeleją się przez falochron.

- Więc to tak? Jesteś zwolennikiem cierpliwości i taktu? - bełkotał Marlen Michajłowicz, nie mogąc opanować śmiechu. - Chcesz złożyć tylko siebie w ofierze? Pozostałych zamierzasz uratować? Mesjanizm? Lot ku gwiazdom? Utorowałeś sobie drogę na Golgotę? Czy ty nie rozumiesz, że nie chodzi o mądrość naszych mędrców, ani o twoją ofiarność? Czy ty nic nie widzisz? Nie rozumiesz, że to on wprawia wszystkich nas w ruch?

Wystraszony Łucznikow uderzył Marlana Michajłowicza w twarz.

- To histeria, Marlenie! Weź się w garść. O czym ty gadasz?

- O czynniku decydującym! - zaśmiał się Kuzienkow. Łucznikow niepewnie zachichotał

- To wasze marksistowskie brednie, ja nie jestem marksistą...

- Cha, cha, cha! - Kuzienkow ryknął szalonym śmiechem, wyciągnął ramiona w mgłę. - Nieważne, czy jesteś marksistą, czy wierzysz w swoją bożę, przecież musisz widzieć rzeczywistość, musisz widzieć jego ogromne ciało, jego światło!

Oderwał się od falochronu, pobiegł w stronę morza. Łucznikow rzucił się za nim. Fala cofnęła się i stali teraz po pas w pieniającej się wodzie... Tu i tam wirowały w niej skrzynki, bierwiona, deski, kawałki plastiku i styropianu, skrawki pomarańczowych kamizelek ratunkowych. Łucznikowa dzieliło od Kuzienkowa z dziesięć metrów, pomyślał, że zdoła go dopędzić. Wtedy z góry, z falochronu, padła na morze smuga światła potężnego reflektora, oświeciła kolejny szereg grzywaczy, którzy sunął na nich wściekle, dźwigając na szczycie morskie śmieci.

- Marlenie! - zawołał rozpaczliwie. - Zaczekaj! Kuzienkow, jak dziecko uradowane kąpielą, odwrócił ku

niemu roześmianą twarz:

- To on! On! - zawołał.

Fale zwały się na niego, uniosły go do góry. W świetle reflektora widać było wyraźnie, jak gruba belka uderzyła go w głowę. Za chwilę woda nakryła Łucznikowa. Popłynął co sił przed siebie, znowu próbował dopędzić Kuzienkowa.

Kiedy wyciągał na brzeg bezwładne ciało generalnego konsultanta, na falochronie i na piasku wzdłuż niego tłoczyli się ludzie. Widział Kristinę stojącą po pas w wodzie, biegnących ku niemu chłopaków z ochrony, Siergiejewą, Wostokowa, nawet Ignatiewa - Ignatiewa. Wszystko było wyraźnie widać w świetle reflektorów. Telewizja nadawała reportaż na żywo.

XIV. Wiosna

W środku wiosny, pod koniec kwietnia, na stokach Siuriukkaja i Świętej Góry zakwitają tulipany i maki, co cieszy wzrok i pobudza wyobraźnię. Kwitnienie piołunu, macierzanki i lawendy przepaja powietrze ulotną poezją, sprawiając rozkosz powonieniu. W nocy okna otwarte na oścież, w dzień wędrówki po górach. Arsienij Nikołajewicz pomyślał, że po nim to zbocze będzie kwitło tysiące razy, przecież po Maksie kwitnie prawie pół setki razy... A kiedy ziemia zacznie stygnąć, to zgodnie z teorią prawdopodobieństwa gdzieś we Wszechświecie powstanie takie samo zbocze i raz do roku będą na nim kwitły tulipany i maki, lawenda, piołun i macierzanka... Uśmiechnął się na myśl o tym, że zgodnie z teorią prawdopodobieństwa na owych zboczach wśród powodzi kwiatów może się zjawić podobny starzec.

A taki wysoki starzec w białym starym swetrze, w znoszonych mocnych butach, jeszcze całkiem zręczny i zwinny, wyjątkowo dobry i uczciwy - co nie wszystkim się zdarza na starość - zasługiwał na powtórzenie zgodnie z teorią prawdopodobieństwa.

Tamtego ranka Arsienij Nikołajewicz wybrał się na górską przechadzkę w towarzystwie innego starszka, podpułkownika w stanie spoczynku Filipa Stiepanowicza Boboryki, podobnie jak Arsienij Nikołajewicz uczestnika tamtej wojny. Filip Stiepanowicz, w odróżnieniu od Arsienija Nikołajewicza, był tęgi i cierpiał na zadyszkę. Z powodu złego stanu zdrowia przeszedł do rezerwy jeszcze w latach trzydziestych, ale stękając i uskarżając się, przeżył od tamtego czasu kilkadziesiąt lat, założył i przekazał dzieciom niewielką, ale dobrze prosperującą stocznnię remontową i objeździł cały świat. Teraz jęcząc, stękając, pomstując na Arsienija Nikołajewicza za to, że go zaciągnął na spacer nie do pomyslenia dla ludzi matuzalemowego wieku, podpułkownik Boboryko opowiadał o ubiegłorocznej podróży do Moskwy i o przyjemności, jaką mu sprawił koncert reprezentacyjnej orkiestry Armii Radzieckiej.

- Arsiusza, *mon ami*, słowo honoru, to było wspaniałe! Przypomniała mi się dawna Rosja! Kapelmistrz podrzucał batutę, z tyłu stały sztandary podobne do siemionowskich i preobrażeńskich. Trębacze, jak jeden mąż barczyści, wąsaci, oto co znaczy mocarstwowa potęga, gdzie tam do nich naszym siłom zbrojnym, wybaczyć, wiem, że tego nie lubisz, ale zgodzisz się chyba, że nasi coraz bardziej wyglądają na izraelskich komandosów niż na rosyjskich żołnierzy. A wiesz, co tam grano? Nie zgadniesz! *Morskiego króla, Słowiankę*, nawet jedną białugwardyjską piosenkę, wyobrażasz sobie, Arsiusza, grali *Marsz drozdowców*, bez słów oczywiście, a ja śpiewałem, Arsiusza, śpiewałem w radzieckiej sali, śpiewałem i płakałem...

Filip Stiepanowicz przebiegł truchcikiem po górskiej ścieżce, włożył ciężko na stojący głaz i zaśpiewał z uczuciem: „Szli drozdowcy twardym krokiem, wróg pod ich naciskiem wiał...”.

Dostał ataku kaszlu i dyskretnie splunął w krzaki.

- Drogi Boboryko - powiedział z uśmiechem Arsienij Nikołajewicz (ciekawe - podpułkownik nawet w młodości nie miał żadnego przydomka, samo jego nazwisko brzmiało zabawnie) - muszę cię zmartwić, ci twoi trębacze nie słyszeli nawet o drozdowcach, a na tę melodię śpiewają własną piosenkę *Dolinami i wzgórzami*. Pod względem poetyckim ten tekst jest lepszy niż nasz Zmartwiony Filip Stiepanowicz patrzy!

ze smutkiem na Arsienija Nikołajewicza. Nie ulegało wątpliwości, że by odbyć poważną rozmowę, a to był wstęp, przyjechał do Kachowki.

Przed dwoma miesiącami Tymczasowa Duma Państwowa zwróciła się do Rady Najwyższej z prośbą o przyjęcie Krymu w skład Związku Radzieckiego jako szesnastej republiki. Odpowiedź dotychczas nie nadeszła, Rosja nie zareagowała, jakby Wyspa Krym nie zasługiwała na jej uwagę.

- A jednak, Andriusza, w tamtejszych siłach zbrojnych szanują rosyjskie tradycje. Wyobraź sobie, pojechałem do Lefortowa, gdzie kiedyś służyłem w korpusie kadetów. Zobaczyłem te same czerwone ściany, białe kolumny, dookoła prawie nic się nie zmieniło, w budynku mieści się Akademia Artyleryjska, przy wejściu oficer dyżurny, zgrabny chłopak, koalicyjka, pas główny, prawdziwy oficer rosyjski. Powiedziałem mu, że jako kadet uczyłem się w tym budynku. Wyobraź sobie, Arsiusza, żadnej wrogości, przeciwnie - życzliwość, szacunek...

- Co chcesz przez to powiedzieć, Boboryko? - spytał łagodnie Arsienij Nikołajewicz. - Powiedz wreszcie, co masz na wątrobie.

- Chcę powiedzieć, że na świecie tyle jest gadania o radzieckim militarystyce, a przecież my, Rosjanie, zawsze lubiliśmy wojnę, my... - Filip Stiepanowicz był wyraźnie zdenerwowany, dostał zadyszki, ręce mu drżały.

- Usiądźmy - Arsienij Nikołajewicz usadził starego przyjaciela na nagrzanym przez słońce gładzie. Przed nimi rozpościerała się ogromna niecka Zatoki Koktebelskiej z żaglówkami i kutrami, nad nią niebo z kilkoma śmigłowcami, z boku o tarasowej zabudowie, pierścienie estakady, po której sunęły samochody. Tu, wysoko, panowała cisza, tylko nieopodal poświstywał jakiś ptak, mocno pachniały kwitnące zioła.

- No, mów, Fila, mów, pytaj - powiedział Arsienij Nikołajewicz.

- Dobrze - Filip Stiepanowicz złapał wreszcie oddech. - My, Arsiusza, już wymieramy. Ilu nas zostało? Nie zbiera się nawet batalion. Koledzy wysłali mnie tutaj. Czujemy, że oni niedługo przyjdą. Nie ulega wątpliwości, że przyjdą. Sami byśmy przyszli na ich miejscu, inaczej być nie może. Powiedz, czy my, ostami ochotnicy, możemy traktować ich jak naszą armię?

- Nie, to nie jest nasza armia - powiedział Arsienij Nikołajewicz bez chwili namysłu.

Był ciepły majowy wieczór. Na otwartej werandzie literackiej restauracji Nabokow Anton Łucznikow grał na saksofonie dla swojej ciężarnej żony. Pożyczył instrument od muzyka z orkiestry. Znali się tu wszyscy, przyjaźnili, wszyscy byli jaki, więc znakomity saksofonista Jakob Brill nie odmówił Toniemu, dał mu swój pozłocisty skarb pod warunkiem, że nie napluje do niego. Anton zagrał w stylu retro melodię *Sentymentalna podróż*. Myślał, że zadziwi goście staroświeckim utworem, który niedawno znalazł w archiwum ojca, okazało się jednak, że ten kawałek znają wszyscy bywalcy Nabokowa, nie mówiąc o muzykach, którzy natychmiast dostosowali się do nowego solisty, uśmiechając się tylko, kiedy zdarzył mu się kiks. A piosenkarka, długonoga czarna Zaira, opięta czarną suknią, stanęła obok Toniego i zaczęła śpiewać.

Anton grał wpatrzony rozkochanym wzrokiem w żonę. Urodziła lada dzień. Będę miał dziecko, syna albo córkę, jeszcze jedną bliską istotę na świecie. Matka odeszła, ale dziecko wypełni pustkę, czarną dziurę w przestrzeni, która powstała po śmierci matki. Po niedawnej śmierci matki czuł, że się zmienił, może wydorósł, w każdym razie jest zdecydowanie inny. Każdy człowiek ma własny wszechświat, niedostępny dla innych... Matka odeszła, a ojciec nawet o tym nie wie, krąży po zimnych orbitach swojej nędznej

sławy, coraz bardziej oddalając się od niego... od dziadka także. Na szczęście jest obok Pamela... Siedzi tam w afrykańskim burnusie, a brzuch ma tak wielki, że nie da się go ukryć. Tam jest jego dziecko...

Czarna, szczuplutka Zaira, córka Tatara i Murzynki, poruszała biodrami i ramionami, jakby chciała wyskoczyć z sukni.

Anton pomyślał, że... kiedy w Stambule na małej uliczce ujrzał między kramami dwie amerykańskie dziewczyny, do głowy mu nie przyszło, że jedna z nich zostanie jego żoną. Chyba stało się tak za sprawą dziadka, to on powiedział - oto żona dla ciebie, Antoszka! Z pewnością nie powiedział tego ojciec, może tylko pomyślał o tym, spojrzał na nich jakoś dziwnie w Kalipso, ale nie powiedział nic. Nie miał do tego głowy. Historyczny działacz... Historia to bzdura, polityka także. Żeby grać na saksofonie tak jak Brill!

Skończył grać, zwrócił instrument właścicielowi z ceremonialnym ukłonem.

- Mógłbyś zostać niezłym saksofonista - powiedział poważnie Brill. - Jak chcesz, popracuję z tobą.

- Bardzo chcę - powiedział Anton. - Chętnie zacząłbym nawet jutro.

- Pograj, póki nie przyszli czerwoni - powiedział Jake Brill.

- Teraz u nich także można grać na saksofonie - powiedział Anton. - Właśnie tam się nauczyłem. U niejakiego Dima Szebeko.

- Aha - Brill z uznaniem kiwnął głową. - Wiem.

Anton wrócił do stolika, przy którym niczym złocista bogini siedziała Pamela, a obok bliski przyjaciel, zdobywca trzeciego miejsca w Rajdzie Antycznym, Masta Fa i kilkoro dziewcząt i chłopców z pierwszego narodowego kongresu Jaki, który natychmiast rozpadł się na grupy, grupki i niezależnych działaczy. Ojciec ma, niestety, rację, myślał Anton, idea narodu Jaki zrodziła się zbyt wcześnie, trzeba jeszcze co najmniej jednego pokolenia. Być może to dziecko w brzuchu Pameli mogłoby zostać prawdziwym Jaki, gdyby... gdyby nie ta cudowna wiosna, gdybyśmy wszyscy nie oczekiwali na to, co nieuniknione, gdyby nie zahipnotyzowało nas tajemnicze milczenie północy. Jakie to zresztą ma znaczenie. Ja nigdy nie pójdę drogą mego ojczulka, nigdy nie stanę się wyznawcą żadnej politycznej idei, każda z nich jest obrzydliwsza od poprzedniej, lepiej już grać na saksofonie, wyjadę z Pamelą do jej Malibu, zapomnę, że jestem Rosjaninem, że jestem Jaki, zapomnę Wyspę Krym, koniec... W pamięci raz po raz jawił mu się stary pałac na przedmieściach Rzymu, podarte tapety, rozeschnięte klepki parkiem, woń nieodwracalnego końca... Potrząsnął głową, czując zaniepokojone spojrzenie Pameli.

- No - uśmiechnął się do żony - jak ci się podobała moja gra?

- Nieźle - odpowiedziała, uśmiechając się także. - Nie wierzyłam, że rzeczywiście umiesz grać na saksofonie.

- Brill obiecał, że popracuje ze mną - powiedział Anton. - Za rok będę grał jak on.

- Brawo! - Pamela pogłaskała go po głowie. Im większy robił się jej brzuch, tym bardziej po macierzyńsku traktowała swego męża. - Napiszę jutro mamie, że się pomyliłam, wychodziłam za mąż za przyszłego premiera, a on okazał się saksofonistą.

- Mam gdzieś wszystkich premierów - mruknął Anton. - Jazz to niezależna kraina, żaden polityczny łajdak nie będzie w niej rozrabiał.

- Coś taki apolityczny - powiedział złośliwie Masta Fa. - Stałeś się innym człowiekiem po powrocie z Włoch. Czyżbyś się przestraszył Czerwonych Brygad? wszyscy wybuchnęli śmiechem, nie śmiali się tylko Anton i Pamela. Nie opowiadał nikomu prócz Pameli, dlaczego jeździł do Włoch, i nikomu nie opowie, po co mieliby wiedzieć o czarnych wymiocinach, o popękanych ścianach w tak zwanym pałacu, o ostatnich jękach matki, o jej

oczach zamglonych narkotykami, o samotnej modlitwie zakończonej drgawkami, nikomu tego nie opowie prócz Pameli, nawet ojcu, a właściwie przede wszystkim jemu. Nie odpowiedział Masta Fa, odwrócił wzrok. Wychodzi na to, że nie ma przyjaciół. Masta Fa to sojusznik polityczny, a nie przyjaciel, jeżeli nie może mu o wszystkim opowiedzieć. Dziadek Arsienij na swojej górze... Czy jemu można opowiedzieć? Kto wie... Dziadek Arsienij jest jego przyjacielem. Opowie mu wszystko o matce, o okropnym pałacu, gdzie spędziła swoje ostatnie dni... Jutro pojedą z Pamelą do Koktebelu...

- Więc jak? - świdrował go wzrokiem zacięty Masta Fa. - Sfajdałeś się na widok brygadzystów?

- Mam w dupie Czerwone Brygady - powiedział niechętnie Anton, wypił kieliszek koniaku, zapalił.

- Sfajdałeś się! - zawołał Masta Fa. - Wszyscyśmy się sfajdali! Okazało się, że wszyscy jesteśmy gównem! Nie jesteśmy Jaki, jesteśmy gównem!

Po udziale w Rajdzie Antycznym wyrzekła się go bachczysarajska arystokracja. Nie godzi się muzułmaninowi uczestniczyć w barbarzyńskich rozrywkach niewiernych. Później ojciec, bogaty plantator, wypędził syna z domu - idź do swoich Rosjan! Teraz Masta Fa miał wszystkiego dość i pragnął samotności.

Po wypowiedzi krewkiego rajdowca przy stole wybuchł gwar. Masta Fa dopiął swego - zapomniano o jazzie i urokach późnej wiosny, o sprawach sercowych i marihuanie, zaczęło się bezsensowne wałkowanie problemów Jaki. Anton, chociaż poprzysiągł sobie, że nie będzie wracał do tego tematu, za chwilę później walił pięścią w stół, odpierając jego argumenty.

- Zrozumcie, naród się jeszcze nie ukształtował, choćbyśmy robili nie wiadomo co, nie ma jeszcze narodu! Widzieliście, że nie udawały się żadne nasze wiece, z wyjątkiem tych, kiedy chodziło o bójkę. Wszystkie dyskusje były zwykłym zawracaniem głowy, a nasz język sami wyśmiewaliśmy!

Masta Fa poderwał się gwałtownie.

- Wy wyśmiewaliście, Rosjanie, inni się nie śmiali! Wy, Rosjanie, jesteście masochistami! Złota Orda rządziła się u was przez trzysta lat, a wy znosiliście to pokornie! Stalin męczył was czterdzieści lat, a wy nazywaliście go ojcem narodów. Teraz zwracacie się w stronę czerwonych, jeszcze wam mało. Koniec! Nie chcę mieć z wami do czynienia!

Masta Fa odepchnął krzesło, przeskoczył przez poręcz werandy od razu na jezdnię. Kilka sekund później zielony mazaratti ruszył z rykiem spod restauracji.

- Oto macie Jaki - Anton ze smutkiem rozłożył ręce. - Tak wygląda cały nasz „naród“! Co do tego mają Rosjanie? W końcu dlaczego mam być Rosjaninem? Z równym powodzeniem mogę być Włochem!

- Pan jest Włochem? - spytała, zbliżając się, Zaira. - Taki blondasek?

- Uważa pani, że wszyscy Włosi muszą być czarni jak sadza? - zwróciła się do niej wyniośle Pamela sponad swego brzucha. Czuli, co się święci, piosenkareczka chciałaby na jedną noc porwać chłopaka od ciężarnej żony.

- No proszę, teraz mówimy o kolorze skóry, kolorze włosów, co za prymitywny rasizm - powiedział Anton, przygnębiony nagłym wybuchem gniewu Masta Fa. - Przyjaciele - powiedział - kłócimy się z powodu głupstw, a w rzeczywistości o jednym myślimy: czy przyjdą czerwoni?

- Przyjdą, możesz być pewny - odezwał się ktoś z drugiego końca stołu.

Powiedział to po rosyjsku, Antonowi wydało się, że z radziecką intonacją. Oczywiście, to

musi być ktoś stamtąd. W końcu stołu siedział bokiem mały, z brodą po oczy, młody człowiek w żołnierskiej koszuli haftowanej w lilie według mody radzieckich hipisów.

- Pan jest z Rosji? - spytał Anton.

- Teraz z Rosji - odpowiedział dwuznacznie brodac. Anton odwrócił się do przyjaciół i ciągnął dalej:

- Przyjdą czerwoni czy nie, obowiązkiem młodzieży krymskiej jest kontynuowanie procesu kształtowania nowego narodu. Trzeba ideę Jaki przenieść na nowe pokolenia. Trzeba zorganizować wielonarodowe komuny rolnicze, pracować nad językiem, nad kulturą... - mówiąc to, czuł na sobie kpiące spojrzenie brodacza. Odwrócił się do niego szybko. - Dlaczego pan się śmieje, do diabła?

- Chciałbym widzieć wasze wielonarodowe komuny w Krymskiej ASRR - powiedział brodac. - Nikt z was nie rozumie, czym jest bolszewizm. Nawet wy, Jaki, przeciwnicy połączenia. Nawet wy nie rozumiecie, że bardzo szybko zrobią z wami porządek...

- Kim pan jest? Przyjechał pan z Moskwy?

- Przyjechałem stamtąd przed tygodniem.

- Turysta? Ale wyjazdy turystyczne odwołano po odezwie Dumy. Emigrant żydowski? Oni tutaj nie przyjeżdżają...

- Jestem po prostu uciekinierem - powiedział skromnie brodac.

wszyscy wybuchnęli śmiechem - znalazł sobie azyl!

- Mnie wszystko jedno dokąd uciekać - wyjaśnił. - Mogę uciec skądkolwiek i dokądkolwiek. Nazywam się Benjamin Iwanow, przyjaciele nazywają mnie Ben - Iwan. Jestem człowiekiem ezoterycznym. Z każdym rokiem odkrywam w sobie coraz to nowe przejawy wolności. Proszę spytać ojca, Toni. W ubiegłym roku przekroczyliśmy rosyjsko - fińską granicę. Udało mi się wtedy unieszkodliwić całą strażnicę, ich radar.

- Więc to był pan? - zdziwił się Anton.

- Do usług! - Ben - Iwan skłonił się, wstał, podszedł do balustrady i nagle zniknął w gałęziach rozłożystego płątana.

Anton potrząsnął głową. Ben - Iwan znowu siedział przy stole i uśmiechał się do niego przyjaźnie.

Zaira przysunęła miękkie wargi do ucha Antona. Może zatańczymy, *sexy boy*.

- *Sexy boy zatańczy ze mną* - powiedziała gniewnie Pamela, nie wiadomo jakim cudem usłyszała nie wypowiedziane słowa. - Byłabym wdzięczna, gdyby pani jeszcze raz zaśpiewała *Sentymentalną podróż* - powiedziała pojednawczo.

Zaira była zgodna kobietą. Natychmiast skierowała się na estradę. Po drodze poderwała ezoterycznego przybysza. Okazało się, że miał przy sobie puzon i grał całkiem dobre solówki, uśmiechając się do Zairy i poklepując po jędrnym tyłeczku. Wszyscy zaczęli tańczyć na werandzie. Anton tulił ogromny brzuch żony, miał wrażenie, że serce dziecka bije w rytmie jego serca. Widział wokół siebie twarze przyjaciół, niedoszły nowy naród Wyspy Krym. Jacy piękni są Jaki, hej, *cello*, czy widzieliście gdzieś piękniejszą młodzież? Tańczyli przy dźwiękach melodii sprzed ćwierć wieku i uśmiechali się. Nad werandą unosił się słodki obłoczek marihuany. Na niebie dogasała złocista zorza wieczorna, wirowały majowe muszki. Za kryształową szybą widniała sala restauracji Nabokow. Jeszcze niedawno odbywały się tam co wieczór przyjęcia z okazji przyjazdu kolejnego emigranta. Teraz eleganccy goście krążyli całkiem bezmyślnie z kielichami martini w ręku. Gdzieś widać było roześmiane twarze, gdzie indziej chmurnie ściągnięte brwi proroków, wykrzywione usta pijaczków. Podstarzałe panusie, na wszelki wypadek trochę obrażone, dumnie toczyły wzrokiem. Z dębowej boazerii spoglądały na dum portrety Turgieniewa,

Miereżkowskiego, Bunina, Achmatowej, Brodskiego, Wozniesińskiego, Achmadulinej i kogo tam jeszcze. „Pisarze - wierni pomocnicy partii“ - Anton przypomniał sobie hasło w Centralnym Klubie Literatury, które bardzo go zdumiało. Teraz wszystko wyglądało nierealnie, tonęło w lekkiej mgiele. To wrażenie, spowodowane działaniem marihuany, trwało chwilę, rozwiało się równie szybko, jak się zjawiało. W prześwicie między platanami Anton ujrzał kopułę nieba krymskiej nocy, panoramę Symfi pełną sześcianów, iglic, kul, kwadratów i tarasów, mrowie świateł i sterczący pośrodku wieżowiec „Kuriera“. Na jego szczycie błyszczało światło jak latarnia morska. Tam był ojciec. On strzegł tego światła, które już straciło sens - latarnia morska wśród oślepiająco złotej nocy, kiedy wszystko można zobaczyć i przewidzieć z daleka.

Tej nocy zaczęła się inwazja, zgodnie z tradycją w ciemnościach, kiedy zorza poranna nie zdążyła jeszcze zastąpić wieczornej. W tym krótkim zmierzchu rozległo się nad Symfi dudnienie niezliczonych silników.

Przewodniczący rady Związku Wspólnego Losu, wydawca i redaktor „Russkiego Kuriera“ Andriej Łucznikow, zrozumiał, że oto się dokonało.

Wyłączył światła w wieży i wtedy „koledzy z klasy“ ujrzeli mrowie świateł nad Symfi. Nad miastem w kolejce do lądowania krążyły ogromne desantowe anteusze.

Telewizja jak zawsze była tam, gdzie coś się działo. Na ekranie ukazał się luk desantowego potwora, z którego wyjeżdżały dżipy z „niebieskimi beretami“. Co prawda transmisja została nagle przerwana, kiedy kilku żołnierzy skoczyło ku kamerze z podniesionymi kolbami.

- No widzicie - powiedział spokojnie Beklemiszew - oni znowu nas oszukali. Zawsze kłamią.

- Jacy oni?! - krzyknął Łucznikow. - Nie rozmawiałem z żołdakami! Rozmawiałem z Gospłanem! Rozmawiałem z KOMIKON - em i z Gospłanem. Mogli nie wiedzieć, co się szykuje.

Onegdaj w wieży „Kuriera“, a następnie w gmachu rządu zapanowała radość. Moskwa przerwała złowieszcze trzymiesięczne milczenie, do Łucznikowa zaczęli dzwonić dygnitarze z Gospłanu, a następnie z Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej. Uznano, że nadszedł czas, by rozpocząć koordynację ekonomiki. Ucieszony Łucznikow kierował moskiewskich towarzyszy do odpowiednich organów rządowych, handlowych, finansowych w Symferopolu. Wynikało z tego - jak uznali „koledzy z klasy“ - że w Moskwie zwyciężyli pragmatycy, postanowiono przeprowadzić zjednoczenie stopniowo, taktownie, nie ma mowy o inwazji, to przecież bezsens - inwazja na kraj, który się przyłącza dobrowolnie. To co innego niż kraje nadbałtyckie.

Wydawało się, że wszystko zmierza w pomyślnym kierunku, tylko te złote zachody słońca na Wyspie nie wiadomo dlaczego budziły coraz większy niepokój, co sprawiło, że „koledzy z klasy“ przesiadywali nocami w wieży „Kuriera“, nie rozchodzili się do domów.

Zaświecił się sygnał wideofonu. Na ekranie ukazał się pułkownik Czernok. Był w hełmofonie. Powiedział ściszym głosem:

- Ze wszystkich stron płyną w kierunku Wyspy okręty desantowe, na plażach lądują kolumny czołgów, w zatokach - piechota morska, użyto poduszkowców. W porcie lotniczym w Symfi tłoczą się samoloty transportowe. System radarowy zapowiada zbliżanie się formacji lotnictwa myśliwskiego. Przypuszczam, że chodzi o blokadę naszych baz.

- Po co mają blokować nasze bazy, Sasza? - zawołał Mieszkw. - Czyżby nie rozumieli, że to są ich bazy?

Łuczniłow położył dłoń na drżącym ramieniu Mieszkowa.

- Spróbuj zapytać Sztab Generalny o przyczyny inwazji - powiedział do Czernoka.

- To nie jest inwazja - uśmiechnął się Czernok.

- Więc co to jest?! - krzyknął Sabasznikow, którego opuścił zwykły spokój.

- Włącz moskiewską telewizję - powiedział Czernok. Fofanow przełączył telewizor na moskiewski kanał. Pызaty

prezenter Arbienin uspokajającym monotonnym głosem czytał komunikat TASS. Jego ton świadczył, że komunikat jest poważniejszy niż informacja Głównego Urzędu Statystycznego, ale nie tak ważny jak przemówienie towarzysza Kapitonowa na zebraniu z okazji dekoracji miasta Kineszma Orderem Rewolucji Październikowej.

- Jak wiadomo (skąd mogło być wiadomo, skoro na ten temat nie było żadnych informacji?) szerokie rzesze społeczeństwa odwiecznego rosyjskiego obszaru (nie ma żadnej Dumy Państwowej, nic takiego nie istnieje) Wschodniego Śródziemnomorza... (nawet w takim komunikacie nie użyto wyklętej nazwy Krym, tego już za wiele) zwróciły się do Rady Najwyższej Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich z prośbą o włączenie w skład jednej z republik związkowych (znowu paskudne kłamstewko - prośba brzmiała inaczej). Wczoraj na posiedzeniu Prezydium Rady Najwyższej ZSRR postanowiono spełnić tę prośbę. Teraz sprawa zostanie rozpatrywana na kolejnej sesji Rady Najwyższej. Dla uczczenia ponownego zjednoczenia Wschodniego Śródziemnomorza z naszą wielką socjalistyczną wspólnotą Komitet Kultury Fizycznej i Sportu przy Radzie Ministrów ZSRR wspólnie z jednostkami lądowymi armii, lotnictwem i marynarką wojenną organizują w sektorze Morza Czarnego, wojskowo - sportowe święto pod wspólną nazwą „Wiosna“. Święto odbędzie się (wczorajsza data). Reportaże z przebiegu święta będą nadawane w drugim programie Telewizji Centralnej.

- Starczy - powiedział ze swego ekranu Czernok. - Wyłącz.

Widać było, że oficer dyżurny podaje Czernokowi radiogram. Pułkownik uśmiechnął się znowu, tym razem nieco sarkastycznie.

- Amerykanie informują uprzejmie, że z Odessy wypłynęła w naszym kierunku eskadra z lotniskowcem „Kijew“ na czele, a z Noworosyjska eskadra na czele z lotniskowcem „Mińsk“.

- Potwierdzają się nasze informacje - powiedział niewzruszony Wostokow.

- Na razie, chłopaki - powiedział Czernok. - Lecę śmigłowcem. Rozumiem, że przestałem być dowódcą. Chcę jednak zaspokoić swoją ciekawość, zobaczyć, jak oni to robią.

Wideofon zgasł, prawie w tejże chwili ujrzeli duży zielony śmigłowiec z radzieckimi znakami rozpoznawczymi, który zbliżał się do wieży „Kuriera“. Zawisł w powietrzu tuż przy szklanej ścianie łuczniłowowskiego apartamentu. Stłoczeni w otwartych drzwiach desantowcy uważnie wpatrywali się w odblaskowe szyby.

- Czy to po nas, Wostokow? - spytał Łuczniłow. Wostokow nie odezwał się.

- Gdzie jest Siergiejew? Kiedy mają nas zabrać? - dopytywał się Łuczniłow.

Wostokow milczał.

Na śmigłowcu zaświecił się jaskrawy reflektor. Smuga światła oślepiła wszystkich. Poczuli się jak nędzne robaki pod mikroskopem. Nagle rozległa się seria z automatu. To strzelała Kristina Parsley z jednego z wyższych poziomów „wigwamu“. Śmigłowiec, zgasiwszy światła, zaczął się oddalać.

- Czy pan ma zamiar się bronić, Andrieju? - spytał Wostokow z krzywym uśmiechem. - Jak Salvadore Allende?

- Rzuć broń! - krzyknął ze złością do Kristiny Łuczniłow. Natychmiast wykonała rozkaz.

- Jak mogłaś strzelać?

Usiadła na podłodze ze zwieszoną głową.

- Co mamy robić? - zwrócił się do wszystkich Sabasznikow. Bardzo się zmienił, teraz z pewnością już niczego nie udawał. - Czy mamy siedzieć i czekać, aż nas aresztują, jak Dubczek?

Zapadła dłuższa cisza. Przerwał ją Łucznikow.

- Pietiasza ma rację - powiedział. - Niech towarzysze przynajmniej popracują. Niech nas poszukają. A my na ostatek pojeździmy sobie po naszym kraju.

Wstali w milczeniu.

Kilka minut później z podziemnego garażu „Kuriera“ bez szczególnego pośpiechu, z godnością, zaczęły wyjeżdżać samochody „kolegów z klasy“ - russo - bałt Mieszkowa, bmw Beklemiszewa, mercedes Fofanowa, jaguar Sabasznikowa, wozy Nulina, Karetnikowa, Denikina... i wreszcie słynny piter turbo przywódcy idei narodowej Łucznikowa.

- Pewnie następnym razem spotkamy się w hucie szkła w Potmie - powiedział na pożegnanie Sabasznikow. Tym razem nie mógł się powstrzymać, musiał zagrać dekabrystę.

Było coraz jaśniej. Kiedy na niebie pojawił się gwiazdozbiór eskadry śmigłowców, Wostokow, który zwlekał z odejściem, ujrzał nadchodzącego pułkownika Siergiejew. Tym razem pułkownik był w mundurze, który wyglądał na nim dość dziwnie.

- Rozjechali się? - spytał półgłosem. Warkot nadlatujących śmigłowców przypominał buczenie trzmieli, cichy głos Siergiejew rozległ się donośnie i wyraźnie na placu wyłożonym kolorowymi taflami.

Wostokow patrzył na nadchodzącego Siergiejew. Ciekawe, czy zastrzeli mnie własnoręcznie, pomyślał, czy poleci to uczynić tym łajdakom ze śmigłowca.

Siergiejew podszedł blisko.

- Dlaczego ich pan nie zatrzymał? Taki był rozkaz. - W jego głosie także brzmiała ciekawość. Wostokow pomyślał, że ta cecha nie opuszcza ludzi ich zawodu nawet w najtrudniejszych chwilach.

- Dlaczego? Jak pan myśli? - spytał wyniośle Wostokow. - Nie domyśla się pan?

- Zuch, Wostokow - powiedział nagle moskiewski pułkownik, chyba chciał poklepać po ramieniu kolegę, ale się nie odważył. - Nie pomyliłem się co do ciebie, Wostokow. Siadaj do swojej bryki i pryskaj, póki czas. Jedyne ratunkiem dla ciebie jest zniknąć stąd.

- Nawet gdybym wykonał rozkaz? - Wostokow nie mógł pohamować swojej ciekawości.

- W takim przypadku tym bardziej - powiedział Siergiejew.

- W porządku - powiedział Wostokow. - Ja również nie pomyliłem się co do pana.

Ledwie ciemnowisniowy volkswagen Wostokowa zdążył skrócić za róg gmachu „Kuriera“ i dać nura do najbliższego tunelu prowadzącego do Wężła Podziemnego, gdy ze śmigłowca zaczęli wyskakiwać żołnierze specgrupy.

Ich dowódca nie krył zawodu, nie udało się powtórzyć wariantu czechosłowackiego, kiedy to ustawił pod ścianą cały rząd w komplecie i kazał ministrom podnieść ręce; symferopolscy towarzysze byli mniej uświadomieni politycznie.

Wraz z pierwszymi promieniami słońca na szczytach drapaczy chmur przy bulwarze 20 Stycznia pojawiły się czerwone i trójbarwne flagi. Im wyżej było słońce, tym gęstszy tłum kotłował się na szerokich chodnikach głównej ulicy Symfi. Kilka godzin wcześniej niż zwykle otwarto wszystkie kawiarnie i bary szybkiej obsługi. Panowało radosne podniecenie. Młodzi chłopcy wieszali na gałęziach platanów hasła: „Witaj Moskwo!“, „Radziecka wyspa wita radziecki kontynent!“, „Krym plus Kreml równa się miłość!“ i

najoryginalniejsze: „Niech wiecznie kwitnie przyjaźń narodów ZSRR!“ Strumienie samochodów wolno płynęły bulwarem w obu kierunkach. Policja w pocie czoła usiłowała oczyścić główną ulicę, by mógł się odbyć uroczysty przemarsz jednostek bratniej Armii Radzieckiej. Jednak do godziny ósmej w centrum miasta nie pojawił się żaden żołnierz radziecki. Na wielkich ekranach w barach i na przenośnych telewizorach można było obejrzeć reportaże z różnych punktów wybrzeża. Tym razem reportaże były chaotyczne, często się przerywały, ale dawały wyobrażenie o ogromie wojskowo - sportowego święta. Pewnie nonszalancy chłopcy z telewizji irytowali radzieckich żołnierzy, widać było ich niezadowolone twarze i transmisja urywała się nagle. Na kanale moskiewskim nadawano wczorajsze wieczorne wydanie wiadomości, materiały o przebiegu prac polowych, przemówienie charge d'affaire Republiki Mozambiku z okazji narodowego święta, dekorację weteranów przemysłu węglowego. Ludzie na bulwarze 20 Stycznia zaczęli pić szampana, nastrój ożywił się coraz bardziej, nie szkodzi, wszystko się ułoży, do diabła z telewizją, niedługo zobaczymy na własne oczy, podobno wieczorem ma przylecieć Breżniew.

Nagle u wylotu bulwaru przeraźliwie zawyły syreny, jakiś nienaturalnie donośny głos jął powtarzać w kółko:

- Samochody i piesi! Proszę natychmiast opuścić jezdnię! Samochody i piesi! Proszę natychmiast opuścić jezdnię!

Stołeczna policja zabrała się do usuwania samochodów, upychała je między płatany, na chodniki, niemal w bramy domów.

Wreszcie bulwarem przemknęło kilka pancernych amfibii, miały włączone światła i przeraźliwie trąbiły. Spoza pancerzy widać było tylko błękitne berety włożone na bakier i wygolone potylicy.

Okrzyki zachwytu pewnie nie dosięgły spieszących się gdzieś żołnierzy. W kawiarni Pole Marsowe jakiś cudzoziemiec wyraził przypuszczenie, że pododdział pędził, by zgarnąć Radę Ministrów. Został bezlitośnie wyśmiany. Kilka minut później rzeczywiście pojawiła się informacja z placu Senackiego, gdzie pancerna kawalkada wdarła się pomiędzy stylową kolumnadę gmachu Rady Ministrów. Program nagle się urwał. Tego dnia telewizja okazała się poniżej wszelkiego poziomu.

Piter turbo krymskiego czempiona stał w korku na placu Barona. W zwykłych warunkach przyciągnąłby ogólną uwagę, ale dzisiaj pasażerowie i kierowcy samochodów patrzyli w inną stronę, żeby nie przegapić pierwszych radzieckich kolumn zdążających na uroczystość.

Kristina była bardzo zmieniona, nie wyglądała już na gibką, milkliwą ochroniarzkę - kochankę. Miała twarz spuchniętą od płaczu i strach w oczach.

- Andrieju, błagam, zostawmy ten samochód - powtarzała. - Twój wóz znają wszyscy. Zaraz cię aresztują. Włóż perukę i uciekajmy. W każdej chwili mogą cię zgarnąć przekłeci czerwoni...

- Nie ukrywam się przed nikim — odpowiadał dumnie Andriej. Z jego twarzy nie zniknął telewizyjny uśmiech. Czarny sweter, kołnierzyk niebieskiej koszuli, papieros w kąciku ust - zwykły reklamowy wygląd. - Jeżeli przedstawią nakaz aresztowania, podporządkuję się. Jeżeli spróbują wziąć siłą, będę stawiał opór.

Wybuchnęła rozpaczliwym szlochem. Zirytował się - ta twarda dziewczyna okazała się beksą. Tanka nigdy nie pozwoliła sobie na coś takiego. Potrzęsnał nią mocno:

- Otrzyj smarki!

- Pomyśl o mnie - szlochała Kristina. - Co zrobię bez ciebie? Uciekajmy, Andrieju! Chociaż raz pomyśl o innych! Pomyśl o mnie, o innych, nie myśl tylko o sobie...

- Uważasz mnie za egocentryka? - krzyknął - Uważasz, że całe to piekło zrobiłem dla siebie?

Grzmiała orkiestra, z głośników płynęła muzyka, powiewały flagi wszystkich krymskich partii politycznych i czerwone sztandary Związku Radzieckiego, wszędzie widać było roześmiane twarze. Na przedzie przed pomnikiem Barona zrobił się ruch, przyjechało kilka policyjnych furgonetek i wozy telewizji.

Łucznikow pochylił głowę, ścisnął dłońmi skronie. Może Kristi ma rację? Zapomniał o ojcu, o synu, o wnuku, który lada dzień może przyjść na świat, o niej samej. Ja nawet o swojej Tańce zapomniałem, pomyślał, zapomniałem jeszcze wtedy w Moskwie, dlatego odeszła, zapomniałem o swojej jedynej kobiecie, plunąłem na nią, a Kristiny nigdy nie pamiętałem. Jednak ona nie ma racji, nie o sobie myślałem cały czas, lecz o Rosji, o jej wielkiej misji, o odkupieniu win...

Kiedy dzisiaj opuścili gmach „Kuriera“, Kristina przypomniała mu o ojcu. Zatelefonował do Kachowki z pierwszej telefonicznej budki. Telefon odebrał nowy bibliotekarz, były premier Kublicki - Piottuch. Poinformował, że Arsienij Nikołajewicz w środku nocy, nie powiadamiając nikogo, pojechał ze swoim wiernym Chua rolls roysem do Symferopola. Ten wyjazd zapewne spowodowany został znanymi wydarzeniami natury ogólnej, o których oczywiście Andriej Arsieniewicz jest najlepiej poinformowany. On jest Andriejowi Arsieniewiczowi wdzięczny za to, że w porę mógł opuścić bezużyteczny urząd, aczkolwiek wyraża dezaprobatę...

W symferopolskim mieszkaniu Chua łkał do słuchawki.

- Andriusa, stało się coś okropne... Arsiusa poseł z dom w stary synel ze swój stary zardzewiały karabin...

Teraz, stojąc w korku na placu Barona, Łucznikow niepokoił się o swego ojca i o swego syna. Pomyślał, że bez nich życie straci sens. Straci sens także bez synowej, złocistej Pameli, bez przyszłego wnuka, bez Saszy - syna Tanki, bez samej Tanki, i bez tej kobiety, która - jak się okazało - szaleje za nim. W jednej chwili cała historia, filozofia i polityka spłonęły jak stos starych gazet, poczuł się bryłką protoplazmy, żalonym żywym białkiem w otocze skóry, drżącym i potrzebującym obrony. Przeżył już to uczucie po zakończeniu Rajdu Antycznego.

- Uwaga! - nad wielkim placem znowu rozległ się donośny głos z megafonu. - Samochody i piesi mają natychmiast zwolnić jezdnię na bulwarze 20 Stycznia, bulwarze Sinopskim i na ulicy Preobrażenskiej! Natychmiast zwolnić jezdnię dla kolumn wojskowych!

Rozkaz nie dotyczył placu Barona, gdyby zresztą dotyczył, jego wykonanie byłoby niemożliwe.

Łucznikow zsunął dach, stanął w samochodzie. Ujrzał zbliżającą się do bulwaru Sinopskiego pierwszą kolumnę czołgów. Jechały ze światłami i podniesionymi lufami dział.

Kilku kamerzystów telewizji w srebrnych kurteczkach biegło z kamerami na ramieniu, nie wiadomo daczego, nie w stronę czołgów, lecz w kierunku placu Barona. Co się tam dzieje? Dachy autobusów, furgonetek policyjnych i wóz telewizji zasłaniały pole widzenia.

- Co się tam dzieje? - spytał pustkę.

Kristina siedziała bez ruchu, nasunawszy na oczy męski kapelusz, oczy ukryła za ciemnymi okularami.

- Proszę spojrzeć na ekran, panie Łucznikow - usłyszał w pobliżu uprzejmy głos. W stojącym obok cadillacu, którego dach był także podniesiony, kierowca, z wyglądu makler giełdowy, wskazywał ekran swego przenośnego telewizora. - Bolszewicy czekali na to

historyczne wydarzenie ponad sześćdziesiąt lat. Ostateczna kapitulacja Armii Ochotniczej.

Łuczniwow drgnął z przerażenia. Na ekranie widać było doskonale wszystko. Pod cokołem pomnika Barona stał czworobok - kilkuset starców, chyba pół batalionu, byli ubrani w zniszczone ze starości szynele z naszymi Armii Ochotniczej w kształcie klina na rękawach, pogniecionymi naramiennikami. Każdy starzec miał w ręku broń - karabiny kalibru 7,62, zardzewiałe karabinki kawaleryjskie, mauzery, szable. Kamery telewizji ukazywały widok ogólny starczego wojska i w zbliżeniu poszczególne twarze z wątrobianymi plamami, sklerotycznymi żyłkami, zmętniałe oczy albo przeciwnie, przejrzyste jak szkło, obramowane zmarszczkami... Przygarbieni, obwisłe brzuchy, zniekształcone reumatyzmem nogi, kilku staruszków zjawiało się na zbiórkę na inwalidzkich wózkach.

- Co się dzieje, panie Łuczniwow? — spytał właściciel cadillaca. - Czy może mi pan wytłumaczyć, po co ta farsa?

Kamera sunęła wzdłuż szeregu, Łuczniwowowi wydało się nagle, że ma przed sobą prawdziwe wojsko, że ci ramole rzeczywiście są żołnierzami. Chwilę później Łuczniwow ujrzał człowieka, którego spodziewał się tu ujrzeć, swego ojca. Arsienij Nikołajewicz stał w pierwszym rzędzie wśród najsprawniejszych, trzymających się najlepiej. Niektórzy zuchowato wypinali piersi z orderami i medalami, co wyglądało dość żałośnie. Łuczniwow - senior, z dystynkcjami pułkownika na junkierskim szynelu, stał oparty o karabin, pewnie w takiej pozycji odpoczywali w przerwach boju o Kachowkę. Dziwnie wyglądał przy nim reporter telewizji w srebrzystej kurteczce z firmowym emblematem na plecach. W głębi kadru, nad morzem głów, kwiatów, flag i hasel, jaśniały światła zbliżającej się z wolna kolumny czołgów.

- Prezydium Związku Białego Żołnierza, jak wiadomo, odrzuciło decyzję Tymczasowej Dumy Państwowej - dał się słyszeć spokojny głos ojca. - Znajdujący się tutaj pododdział Zbrojnych Sił Południa Rosji, wierny przysiędze żołnierskiej, jest przeciwny inwazji armii czerwonych.

- Jednakże profesorze... - reporter wprawnie wystawił przed kamerę swoją uśmiechniętą twarz.

- Pułkownikowi - poprawił go łagodnie Arsienij Nikołajewicz.

- Przepraszam, pułkowniku, cały Sztab Generalny i cała kadra naszych sił zbrojnych aprobeje połączenie z bohaterską armią wielkiego Związku Radzieckiego.

- My jesteśmy ochotnikami! - krzyknął tęgi starzec stojący obok Arsienija Nikołajewicza. - Rosyjską armią!

- Czy rosyjska armia zamierza walczyć? - spytał spokojnie reporter.

- Zamierzamy kapitulować - powiedział Arsienij Nikołajewicz. - Armia Ochotnicza kapituje wobec przeważających sił przeciwnika - uśmiechnął się. - Zgodzi się pan, że „kapitulacja” brzmi lepiej niż...

Potężny głośnik zagłuszył dalsze słowa.

- Natychmiast zwolnić jezdnię! Za pięć minut rusza kolumna czołgów!

Setki, tysiące samochodów oddzielały Andrieja od ojca. Nie zdoła tam dotrzeć, by go uratować. W ogólnym harmiderze, wyraźnie zabrzmiała komenda:

- Baczość! Naprzód! Marsz!

Starcy wyprostowali się, kolumna powoli ruszyła. Andriej ostatni raz widział ojca, kiedy energicznym ruchem odsunął on od siebie reportera telewizji.

Teraz filmowano z góry. Okazało się, że między czołgami i batalionem pozostał wolny kawałek asfaltu, nadający się do dokonania historycznego aktu kapitulacji. Być może

zatrośczyli się o to sami reporterzy telewizji, żeby utrwalić tę tragikomedię.

Nad kapitulującym batalionem ukazała się całkiem efektowna biała flaga. W pierwszym szeregu niesiono pochylony trójbarwny sztandar Rosji i kilka sztandarów pułkowych.

Kamera przesunęła się po młodych twarzach radzieckich czołgistów. W obramowaniu hełmofonów wydawały się absolutnie spokojne, tylko dwóch czy trzech chłopaków wyglądało głupawo z półotwartymi ustami.

Na razie czołgi stały w miejscu. Ich światła były równie jasne jak reflektory telewizji. Niewidoczny komentator trąkotał teraz po angielsku tak szybko, jakby to było sprawozdanie z ostatnich minut finałowego meczu o Puchar Świata.

- Dobiega końca wzruszające symboliczne wydarzenie! Z sześćdziesięcioletnim opóźnieniem biała armia składa broń przed armią czerwoną. Spójrzcie na drżących starców, to ci sami pełni zapału chłopcy z czasów Marszu Lodowego. Ilu ich zostało? Gdzie się podziały ich tradycje? Kim są dzisiaj, przed kim kapitulują?

Starcy ciskali na asfalt przed czołgami zardzewiałą broń, odchodzili na bok, znowu ustawiali się w szeregu, teraz ze spuszczonej głowami i rękami założonymi za plecy.

Nagle coś się zmieniło. Zniknęły twarze czołgistów, wieże czołgów zamknięto. W pół słowa zakrzuszył się komentator. Pomiędzy czołgami biegli desantowcy w błękitnych beretach, z automatami gotowymi do strzału. Nie zwracali uwagi na starszków białogwardzistów, wyparli ich, rzucili się na samochód telewizji. Obraz na ekranie jął skakać. W pewnym momencie Łucznikow zobaczył, jak dwaj żołnierze wykręcają do tyłu ramiona chłopca w srebrzystej kurtce, potem po ciosie kolbą w kamerę obraz znacznie się pogorszył, chwilę później na ekranie widać było trzy uciekające srebrzyste kurtki i goniących je desantowców. Telewizja ukazywała własną klęskę.

- Dziwna akcja formacji desantowej - chrypiał, osłaniając się łokciem znany komentator Bob Kolenko. Twarz miał pokrwawioną, z tyłu napierał na niego „niebieski beret“, wpychając mu lufę automatu pod podbródek, ale Bob Kolenko widział skierowane na siebie oko kamery i chrypiał nadaj:

- Dziwna gra. Imitacja natarcia na publikatory. Widzicie państwo, jak ten chłopak dusi mnie automatem. Chyba zbyt poważnie traktuje zabawę...

Na ekranie pojawiła się srebrzysta plansza ze skrzydlatym okiem.

Właściciel cadillaca z lękiem spojrział na Łucznikowa.

- Widocznie reporterzy telewizji pozwolili sobie na jakiś nietakt wobec naszej armii. Prawda?

Przełączył telewizor na Moskwę. Pokazywano tam ulice krymskich miast, tłumy rozradowanych ludzi. Grupa spadochroniarzy w skoku z opóźnionym otwarciem spadochronu utworzyła na niebie napis ZSRR.

Łucznikow zobaczył, że czołgi ruszyły.

- Tam jest mój ojciec - powiedział do Kristiny. - Spróbuję się dostać na plac. Usiądź przy kierownicy.

Wczepiła się w niego kurczowo. W tym momencie zobaczył, że z caravana odległego o jakieś pięćdziesiąt metrów gromadka podpitych pasażerów wskazuje go ze śmiechem palcami. Nie od razu ich poznał. Byli to rozweseleni amerykańscy filmowcy, wśród których najbardziej pijany, wyzywający i agresywny był Witasia Gangut, wczorajszy moskiewski przyjaciel. To on wytykał Łucznikowa palcem, rechotał bezwstydnie, a kiedy zauważył, że Łucznikow patrzy na niego, dosłownie zaczął szaleć. Dławiąc się śmiechem, wrzeszczał coś do niego, wskazując sunące wokół pomnika Barona wieże radzieckich czołgów, a później

wyciągnął z kieszeni kurtki jakąś zieloną książeczkę i pokazał ją z triumfem. Amerykański paszport, domyślił się Łucznikow. Uważa, że jest wolnym, bezpiecznym obywatelem świata, w przeciwieństwie do Łucznikowa, chłopca pańszczyźnianego czerwonych. Odwrócił się od filmowej bandy, całkiem ją ignorując, zdjął kapelusz z głowy Kristiny, pogłaskał ją po włosach, pocałował.

- *Why, baby? Take it easy, easy. I want you. I love you.*

Uspokoila się, puściła jego marynarkę. Nawet się uśmiechnęła. Obok mignął jakiś cień, ktoś przeskoczył przez maskę cadillaca.

- Proszę wstać, panie Łucznikow! Chcę pana spoliczkować! Stał przed nim młody przystojniak w pasiastej koszulce

i białych dżinsach, smagła twarz o wyrazistych rysach - prawdziwy Jaki. Łucznikow zdążył złapać pięść podniesioną do ciosu. Kiedy się mocowali, przyjrzał się napastnikowi. Gdzie widział tego chłopaka? Wreszcie sobie przypomniał - rywal w Rajdzie Antycznym, trzecie miejsce. Puścił jego rękę.

- To pan, Masta Fa?

Młodzieniec z demonstracyjnym obrzydzeniem ocierał rękę o dżinsy.

- Jestem Mustafa, a nie Masta Fa! - powiedział gniewnie. - Do diabła z Jaki! W dupie mam wszystkich Rosjan! Jesteście kundlami! Ja jestem Tatar! Nie plunąłem panu w twarz przez szacunek dla pańskiego wieku. Poza tym nic w panu nie zasługuje na szacunek, gardzę panem!

- Mustafa, błagam - powiedział cicho Łucznikow. - Czy wiesz, gdzie jest Anton?

- Przypomniał sobie syneczka! - zaśmiał się ze złością Mustafa. - Gdzie były wcześniej pańskie ojcowskie uczucia? Co prawda wszyscy jesteście siebie warci, rosyjskie świnię. Czeka was gazawat!

- Błagam - powtórzył Łucznikow - czy Pamela urodziła? Czy wie pan coś o nich?

Kolumna czołgów jechała bulwarem 20 Stycznia, w korku samochodowym zaczęła się ruch. Z tyłu trąbiono.

- Uklęknię przed tobą, Mustafo - powiedział Łucznikow. W gniewnym głosie świeżo upieczonego islamskiego wojownika zabrzmiała nutka litości.

- Wyjechali nocą do Koktebela na Siuriukkaja. Nie, jeszcze nie urodziła - powiedział. - Radzę wam, uciekajcie wszyscy z naszej wyspy, biali i czerwoni...

- Dziękuję, Mustafo - powiedział Łucznikow. - Uspokój się, przyjacielu. Nie złość się. Zrozum, to koniec naszego dawnego życia. Zaczyna się nowe.

Z tyłu trąbiły dziesiątki wozów. Łucznikow ujął kierownicę. W ostatniej chwili napotkał wzrok młodego człowieka - nie było w nim ani pogardy ani gniewu tylko dziecięcy smutek.

- Wskakuj na tylne siedzenie! - zawołał Łucznikow.

Z przodu utworzyła się niewielka luka i piter turbo zanurkował w nią, zmierzając w kierunku pomnika barona Wrangla.

Na placu wokół pomnika ujrzeli istne pobojuwisko: potłuczone szkło, skrawki srebrzystych kurtek, zgnieciony gąsienicą furgon. Pod cokołem pomnika stała grupa wystraszonych policjantów. Patrzyli z trwogą w daleką perspektywę bulwaru Sinopskiego, gdzie pojawiły się światła kolejnej kolumny czołgów. Łucznikow przyhamował, spytał jednego z policjantów, gdzie są starcy - wrewakuanci?

- Zabrano ich do szpitali - odpowiedział nawet dość uprzejmie, nagle poznał Łucznikowa, wyprężył się. - Jest wielu rannych, a pański ojciec ...

- Co?! - zawołał z przestraszeniem Łucznikow.

- Nie, proszę się nie denerwować... chyba tylko ma złamaną rękę... Zabrali go przyjaciele... Dwie panie w russo - bałcie... Tak, z pańskim ojcem wszystko w porządku!

- Czy możecie, sierżancie, zrobić mi przysługę? - spytał Łucznikow.

- Z przyjemnością, proszę pana! - policjant uśmiechnął się

- Proszę zatelefonować pod ten numer do pana Chua i powiedzieć mu wszystko, co wiecie o mnie i o moim ojcu. Niech go natychmiast odszuka i zawiezie do Koktebelu. Będę tam.

- Już się robi - sierżant zaczął się przepychać do pobliskiej kawiarni.

Łucznikow musiał kilka razy objechać pomnik Barona, nim udało mu się dostać do jednego z tuneli Podziemnego Wężła. Kiedy się tak kręcił, nurtowała go myśl, że musi coś zrobić właśnie tu, na tym placu, że zapomniał o czymś ważnym... Zapomniał się przeżegnać przed cerkwią Wszystkich Świętych na Ziemi Rosyjskiej Objawionych... W ostatniej chwili, kiedy już potok samochodów wciągał go do tunelu, spojrzał na przezroczystą kopułę cerkwi i przeżegnał się.

Pod ziemią, w pomarańczowym świetle niekończącego się szeregu latarni, jak zwykle sunęły setki samochodów, zdawało się, że nic się nie zmieniło, toczy się normalne życie normalnej supercywilizacji.

- Dlaczego sam nie szukasz ojca? - zawołała Kristina. Wyglądało na to, że odzyskała równowagę, nawet zapaliła papierosa.

- Muszę złapać Antona! - powiedział Łucznikow. - Ojciec już zszedł ze sceny, ale ten chłopak może narobić głupstw.

- Dokładnie! - zawołał ktoś z tyłu.

Łucznikow odwrócił się i ujrzał Mustafę skulonego na tylnym siedzeniu. Wyciągnął do niego rękę, poczuł mokry policzek chłopaka.

- Wybacz mi, Andrieju aga - powiedział Mustafa. - Załamałem się nerwowo.

Łucznikow poklepał go po policzku i ujął oburącz kierownicę. Kristina radośnie spojrzała na Mustafę, przechyliła się przez oparcie i zaczęła go całować.

Wkrótce wyskoczyli na wschodnią estakadę. Z jej wysokości otwierał się widok na imponującą panoramę wojskowo - sportowego święta „Wiosna“. Na estakadzie nie było wojskowych pojazdów - jak dawniej, w nudnych czasach niezależności, jechały po niej gromady różnorodnych samochodów, być może generałowie radzieccy wątpili w wytrzymałość stalowych filarów. Natomiast w dole wszystkie drogi były zapchane czołgami i wojskowymi ciężarówkami, kolumny poruszały się chaotycznie, wpadały na siebie i długo tkwiły w jednym miejscu jak stado zwierząt tłoczących się przy wodopoju. W powietrzu wisały i latały w różnych kierunkach liczne śmigłowce. Ich głównym zadaniem była pewnie koordynacja mchu kolumn, chyba jednak źle sobie radziły, ponieważ zielonoszare stada ledwo się mszały. Na zjazdach z estakady tworzyły się korki osobowych samochodów. Na razie estakada nie była zbyt zatłoczona i piter turbo bez trudu utrzymywał prędkość stu dziesięciu kilometrów. Niekiedy od strony słońca pojawiały się parami straszne, gwizdzące MiG - i - 26. Przelatywały nad estakadą i znikwały w błękicie. Daleko na południu, chyba w rejonie Baksana lub Tam Daira, widniał na niebie ciemny obłok. Pewnie lądował tam desant lotniczy.

Nagle podczas przełom kolejnego patrolu myśliwców doszło do katastrofy. Prowadzący MiG zahaczył skrzydłem o śmigłowiec wiszący nad skupiskiem czołgów. Trudno powiedzieć, co się stało z MiG - iem, ponieważ zniknął błyskawicznie, potwierdzając tym swoją nazwę. Natomiast śmigłowiec zapalił się i runął w dół. Wybuchła panika, czołgi i samochody

pancerne otworzyły chaotyczny ogień. Na szczęście piter turbo zdążył przeskoczyć niebezpieczny odcinek.

Karaczel, Bachczy - Eli, Sały, Mama - Russkaja... Zbliżali się już do zjazdu w kierunku Otuzy, skąd do Kachowki pozostało kilkanaście kilometrów.

- Jeżeli na górze zastanę Antoszkę i Pamelę, natychmiast wrócę do Symfi po Arsienija - rozważał głośno Łucznikow. - Musimy przed wieczorem zebrać się na górze, żeby zdecydować, co zrobimy.

- Słusznie! - powiedziała Kristina. - A w nocy uciekniemy!

- Dokąd? - spytał Mustafa.

- Świat jest wielki! - zawołała triumfująco Kristina. Przyszło jej na myśl, że być może będzie wspominała ten dzień jak najwspanialszą przygodę w życiu. - Świat jest wielki. Istnieje wiele miejsc, do których można uciec, piękny Tatarze! Prawda, Andrieju? Milczysz? Jesteś wierny swojej idei wymagającej poświęcenia? Rosyjski męczennik nie ucieknie z nami, miły Mustafu. Szkoda, prawda? Myślałam, że będziemy spali we troje, a tymczasem będziemy musieli to robić we dwoje, mój miły Mustafu.

Łucznikow spojrzął kątem oka. Kristina, przechylona do tyłu, całowała się z Mustafą. Pomyślał, że niestety zawsze bardziej gustował w kurwach niż w przyzwoitych kobietach, taka Kristina bardziej mu się podoba niż wierna i dzielna purytanka.

W tym momencie na tablicy rozdzielczej zapaliło się czerwone światelko - zostało pięć litrów benzyny. Przed chwilą minęli miasteczko Mama - Russkaja, ale pięćset metrów dalej był zjazd do zbudowanego na zboczu hotelu, nieopodal którego widniały kolorowe budynki ze sklepami i kawiarniami, a także stacja benzynowa Esso, gdzie tłoczyły się samochody.

- Musimy tutaj zatankować - powiedział Łucznikow. - weźmiemy pełny bak i kanister. Nie wiadomo, kiedy będzie następna okazja do tankowania.

Dziwne, w kolejce do tankowania wszyscy byli uśmiechnięci, rozkładali ręce - nie ma rady, w takim historycznym dniu trzeba postać w kolejce. Samochód Łucznikowa zmieścił się w trzeciej dziesiątce. Kristina, w niezwykle dobrym humorze, puściła „chłopaków“ na kawę, a sama usiadła przy kierownicy. Tak, panowie, w naszych czasach kobieta powinna dogadzać mężczyznom. Przy drzwiach kawiarni Łucznikow obejrzał się - czy aby nie zanoszą się na kolejny atak hysterii? wydawało się, że wszystko jest w porządku. Miss Parsley spokojnie siedziała na fotelu kierowcy, piękne kasztanowate włosy spływały jej na ramiona.

W kawiarni było tłoczno. Sprawnie działały dwa ekspresy do kawy. Panował gwar, świeciły się dwa ekrany telewizyjne.

Moskwa patetycznym tonem opowiadała o życiu i pracy mieszkańców jakiegoś osiedla, obok ich własna telewizja pokazywała aresztowanie i rewizję w lokalu jednej z najstarszych prawniczych gazet w Jałcie „Russkij Artillerist“. Kawiarniani goście komentowali wydarzenia, wszyscy zgadzali się, że tymczasowe (oczywiście tymczasowe) aresztowanie niektórych dziennikarzy z prasy i telewizji, jak również przywódców partii politycznych, to posunięcie konieczne i mądre w chwili, kiedy zachodzą tak ważne wydarzenia historyczne. Wkraczamy, panowie - przepraszam - towarzysze w nową, wyższą formację społeczną, tłumaczył farmer niemieckiego pochodzenia jakimś nierobom znad morza. Zgadzał się z nim, kiwali głowami. Chciałbym podkreślić, proszę panów, przepraszam, proszę towarzyszy, że dowództwo radzieckie wprowadza tę zmianę niezwykle taktownie, ostrożnie, powiedziałbym nawet delikatnie. Przypomnijmy, jakie ofiary towarzyszyły podobnemu przełomowi w Rosji.

Łucznikow zamówił campari z wodą sodową, Mustafa - dzin z mocnym wermutem.

- Proszę się na mnie nie gniewać - powiedział Mustafa. - Czy przypuszczał pan, że to się

odbędzie w taki sposób?

- Nie przypuszczałem, że z takim rozmachem - powiedział Łucznikow.

Do kawiarni weszli trzej radzieccy żołnierze, „niebieskie berety“, na ramionach mieli automaty i bagnety przy pasach. Byli, rzecz jasna, po raz pierwszy w zachodniej kawiarni, na ich twarzach malowało się zmieszanie. Szturchali się nawzajem, uśmiechali nieśmiało, pewnie zamierzali wyjść, kiedy podskoczył do nich z otwartymi ramionami wąsaty, przystojny gospodarz.

- Bracia! Panowie! Dżentelmeni! Czym mogę służyć? Kawiarniani goście z sympatią spoglądali na przybyszów,

okazywali im taką życzliwość, że żołnierzom zakręciło się w głowach.

- Drink - powiedział jeden z nich, blondynek. - Poprosiłbym wody - usiłował schować automat pod pachą i wytłumaczyć eleganckim ludziom swoją skromną prośbę.

- Chcecie chłopcy pić? - ucieszył się gospodarz. - Może być piwo Löwenbrau?

Żołnierze wymienili zdziwione spojrzenia. Już nakryto dla nich stół, otwierano nieprawdopodobnie piękne puszki „zagranicznego“ zimnego, złocistego piwa. Przyniesiono chrupiące bagietki, smakowite wędliny, duży drewniany półmisek z dwudziestoma gatunkami sera, a wszyscy obecni patrzyli na nich z sympatią i zachwytem.

Żołnierze certowali się, łykali ślinkę, wreszcie ten sam blondynek powiedział: „Ale firma!“ - i wszyscy trzej zabrali się z apetytem do poczęstunku. Ktoś nalał im po kieliszku metaksy i chłopcy rozanielili się całkiem.

- Smacznego - powiedział gospodarz.

Desantowcy rozdziawili gęby, dopiero teraz uświadomili sobie, że rozmawiają tu z nimi po rosyjsku.

- Potraficie mówić po naszemu? - spytał blondynek.

- Przecież jesteśmy wasi - zawołał gospodarz. - My jesteśmy wasi, a wy nasi. U nas wszystko tak jak u was.

Żołnierze spojrzeli na siebie, zaśmiali się. -

- U nas jest inaczej! - chichotali. — Całkiem inaczej! Okazało się, że jeden jest z Kostromy, a dwóch z Kaługi.

- Zaraz zaśpiewamy wam starą piosenkę, cudzoziemcy. Posłuchajcie!

Za chwilę cała kawiarnia śpiewała starą, okazało się, że jeszcze frontową, piosenkę, a goście dawali żołnierzom na pamiątkę różne drobiazgi, zegarek omega, zapalniczkę ronson, wieczne pióro mount - blanc, pierścionki z oczkami i inne drobiazgi.

Mustafa, siedząc przy barze, obserwował żołnierzy.

- Nienawidzę tej tępej hołoty - powiedział

- Niesłusznie - powiedział Łucznikow, kładąc mu dłoń na ramieniu.

- Znam pańską koncepcję, aga - powiedział Mustafa. - Znam wszystkie pańskie przemówienia. Nie rozumiem. Niech mi pan wybaczy, chylę czoło przed panem jako człowiekiem, sportowcem, mężczyzną, ale kiedy myślę o pańskiej koncepcji, wydaje mi się, że jest pan złośliwym garbusem z suterren Dostojewskiego...

- Masz trochę racji - powiedział Łucznikow. - Mam garba, ale nie jestem zły. Z jakiego rodu pochodzisz, Mustafa?

- Achmed Girej - mruknął niechętnie.

- Ach tak? Dumny Achmed Girej? - zdziwił się Łucznikow.

- Nasza duma to już przeszłość - powiedział Mustafa. - Ojciec gra na giełdzie. Powiodło mu się, jest w Atenach. Nawiasem mówiąc, może powinien wrócić? Jak pan myśli? Może

będzie sekretarzem komitetu rejonowego. Są precedensy. Księżę Sufanuwong...

Nagle urwał, patrząc na coś, co znajdowało się za Łucznikowem. Andriej odwrócił się. Drzwi kawiarni otwierały się powoli...

Kiedy pili martini i wermut, na stacji benzynowej doszło do tragedii.

Kristina powoli zbliżała się do dystrybutora, kiedy nadeszła jej kolej, z drugiej strony zajechał masywny ford ze skrzydłami podobnymi do płetw rekina, zardzewiały symbol złotych lat pięćdziesiątych. Kristina przypomniała sobie, że w dzieciństwie w Chicago, dokąd trafiła jako dziecko z rodzicami po ucieczce z Polski, zachwycała się takimi wielkimi samochodami. Teraz rzadko się je widuje, pewnie jeździ nim jakiś snob.

Tak też było - stuprocentowy snob w zardzewiałym rekinie, wysokie przygarbione chłopisko w krótkiej skórzanej kurtce, bryczesach i butach z cholewami! Samochód pochodził z połowy wieku, a kierowca pewnie z jego początku. Wyprzedzając Kristinę, chwycił szlauch. Kristina uśmiechnęła się do niego w podzięce za uprzejmość i wyciągnęła rękę.

- A chuja! - powiedział mężczyzna i wsunął szlauch do swego wozu.

- *It's my turn, sir* - Kristina uśmiechnęła się jeszcze raz i, trochę zaskoczona, wzruszyła ramionami.

- A chuja! - mężczyzna powtórzył swoje niezbyt zrozumiałe pozdrowienie.

Nalewając benzynę, przyglądał się Kristinie. Na jego oczy - jak dwa szpakowate skrzydła - spadały przetłuszczone włosy, dziwny uśmiech odsłonił dziąsła. Nieciekawy facet, pomyślała Kristina. Ktoś z kolejki zawołał do niego po rosyjsku, że nie wypada tak traktować kobiety. Wtedy ten facet wyprostował się i wrzasnął, wymachując wolną ręką:

- Dość mam zagranicznych kurew! Gdzie się obrócisz, na każdym kroku zagraniczne kurwy! Dość! Rzygać się chce! Teraz przyszli nasi! Przyszło rosyjskie wojsko! Wypędzimy precz zagraniczne kurwy!

Wyjął szlauch ze swego baku i skierował na Kristinę potężny strumień benzyny.

Zaskoczona, nie mogła ruszyć się z miejsca. Benzyna zalewała ją, a ona nie była w stanie poruszyć się. Wszyscy w kolejce byli wstrząśnięci niesłychanym barbarzyńskim wyskokiem.

Niema scena na stacji benzynowej, nieruchomi ludzie, otwarte usta.

Dziwaczny maniak rzucił szlauch - strumień benzyny zalewał teraz siedzenie otwartego pitera - chichocząc, usadowił się w swoim fordzie, zapalił papierosa, rzucił zapalną w kierunku Kristiny i odjechał.

W chwili, kiedy się otwarły drzwi kawiarni, Łucznikow i Mustafa ujrzeli biegnącą, wirującą, cudownie piękną Kristinę, opasaną płomieniami na ramionach i biodrach. Łucznikow zawsze błyskawicznie reagował w ekstremalnych sytuacjach, tak było i teraz. Podczas gdy Mustafa siedział jak skamieniały, zerwał ze stołu obrus i pobiegł za Kristina.

A ona pod wpływem szoku wywołanego bólem ze śmiechem uciekała od Łucznikowa i innych goniących ją ludzi. Chyba w tej chwili myślała tylko o tym, że jest piękna jak nigdy, że płomienie na ramionach i biodrach dodają jej bajecznej urody, a mężczyźni ze szmatami w rękach chcą teraz to zniszczyć.

Była prawie uratowana, Łucznikow dogonił ją z tyłu, a z przodu biegł ku niej Mustafa. Wtedy przeskoczyła przez barierę, za którą kończył się wyasfaltowany plac i rozpościerało się zbocze. Przepiękne zbocze z kwitnącymi wśród skał tulipanami. Popędziła na dół, potknęła się, przewróciła i już nieprzytomna potoczyła się jak płonąca pochodnia.

Przyłodek Chersonoz tonął w blasku słońca. Słońce sięgnęło zenitu, kiedy Andriej Łucznikow przywiózł martwą Kristinę do soboru świętego Włodzimierza. Na rozległym

parkingu przed portalem świątyni zwróconym ku morzu było pusto, stał tam tylko stary zielony volkswagen. A więc zastali ojca Leonida. Delikatnie, jakby w obawie, by nie sprawić bólu, wziął na ręce ciało Kristiny. Mustafa stał obok w milczeniu.

- Zaraz ją zaniesiemy i pochowamy na tym cmentarzu obok - powiedział Andriej. - To cudowny cmentarz, jeden z najpiękniejszych, jakie kiedykolwiek widziałem.

- Wejźmy do cerkwi - Mustafa pociągnął go lekko za rękaw.

- Spójrz, wyznawco islamu, jak harmonijnie Hellada przemienia się w Bizancjum, a Bizancjum w Rosję - powiedział z uśmiechem Andriej. Zrobił kilka kroków w stronę antycznego portyku i oparł się o kolumnę. Wydawało się, że nie czuje ciężaru martwego ciała, które dźwigał w ramionach.

W tym czasie lotniskowiec „Kijew“ - ogromna szarozielona góra metalu - powoli i bezgłośnie mijał przylądek Chersonoz, kierując się do portu w Sewastopolu. Wyraźnie widać było marynarzy z opalonymi twarzami. Wirowały anteny radarów. Z pokładu lotniskowca startował kolejny samolot.

- Efektowny widok, prawda Mustafu? - powiedział leniwie Łucznikow, mrużąc oczy osłepione słońcem. Położył ciało Kristiny na mozaikowej posadzce z antycznym ornamentem. Było obandażowane i wyglądało jak manekin. Łucznikow zapalił. - Spójrz, jaki to widok - stalowa góra płynie obok antycznych ruin. Nieźle wygląda, prawda?

- Chodź stąd, Andrieju - powiedział trwożnie Mustafa. - Wejźmy do cerkwi!

- Spójrz, jak startuje z pokładu ten samolot uzbrojony w rakiety - powiedział Łucznikow. - Najnowocześniejsza technika. Jakie to wspaniałe, jaki rozmach. Spójrz w niebo, śmigłowce krążą niczym muchy.

- Zdaje się, że jest tam jeden nasz - powiedział Mustafa, patrząc na niebo. - Spójrz, ten najwyżej, błękitny z tęczowymi znakami.

- Samotny bohater! - zaśmiał się Łucznikow. - Czyżbyś nie rozumiał? Zgodnie ze scenariuszem - to samotny bohater!

Lotniskowiec opłynął przylądek, ale ciągle był bardzo blisko, wynurzał się z morza, jakby współzawodnicząc z soborem świętego Włodzimierza, zbudowanym na początku wieku w miejscu, gdzie książę Włodzimierz jako pierwszy na Rusi przyjął chrzest.

Nagle lotniskowiec przemówił monotonnym głosem:

- Oddziały Popowa i Jefremowa ustawią się w szyku na trzecim pokładzie, odbędzie się tam spotkanie z delegacją miejscowej ludności. Uwaga! Kapitan statku pozdrawia młodych marynarzy z okazji rozpoczęcia służby...

- Czy w końcu zrozumiałeś, Mustafu, co się wokół dzieje? - spytał z uśmiechem Łucznikow.

Chłopak potrząsnął głową, jakby chcąc się obudzić z koszmarne snu: bezludny cypel przypominający muzeum, wielka rosyjska świątynia, zbudowana w stylu Bizancjum, ogromna stalowa świątynia Kraju Rad, sunąca do Sewastopola, obandażowany trup młodej kobiety na wzorzystej posadzce, jej roześmiany kochanek, swobodnie wsparty o kolumnę... Mustafa odwrócił się i pobiegł do cerkwi.

- To przecież zdjęcia do filmu! - śmiał się Łucznikow, który nie zauważył zniknięcia Mustafy. - Prawdziwie amerykański rozmach. Brawo Octopus! Zaćmisz dzisiaj *Najdłuższy dzień* i *Czas Apokalipsy!* Witasia, gratuluje, oczywiście to ty jesteś reżyserem! Brawo! Genialnie pomyślane! Kupiliście flotę i lotnictwo, to nie żarty! A jak dokuczyliscie mi przy okazji. Jestem pewny, że w tej chwili filmujecie mnie. Scena postradania zmysłów na de antycznych ruin. Widzę, że poradziliście sobie ze scenariuszem beze mnie. A śmierć Kristi to

dla was też niezła gratka, nieprawdaż? Może rzucił na nią zapałkę jakiś wasz asystent, jakiś pedał z Manhattanu? Nowa metoda twórcza - happening! Brawo! Jakże mogłem nie domyślić się od razu, że to od samego początku wasze tricki. No cóż, filmujcie. A ja będę się śmiał. Pewnie według scenariusza powinienem się śmiać. Proszę bardzo! Pluję na was! Cha, cha, cha! Szkoda, że Kristina nie może zaśmiać się dla was. Może, Kristino, pośmiejesz się dla dżentelmenów, masz piękne ząbki, na ekranie będą wyglądały wspaniale. Klawo - powie Witasia. Czy tak, Witasia? Czy dobrze pamiętam twoją moskiewską ksywę? A gdzie jest nasz samotny bohater? Cha, cha, cha! Tu jest samotny bohater! Sam jeden wśród czerwonego pospólstwa! Wspaniale!

A tym, którego Łuczniuk nazywał samotnym bohaterem, był jego najbliższy przyjaciel, dowódca krymskich sił zbrojnych pułkownik Czernok, który się wcale nie czuł samotnym bohaterem w stylu Hollywood. Od rana latał nad miejscami lądowania nieprawdopodobnie licznego, doskonale uzbrojonego desantu. Potęga święta „Wiosna“ wielokrotnie przewyższała braterską pomoc Czechosłowacji.

Czernok miał znakomity śmigłowiec drozd, przystosowany do lotów wysokościowych, wyprodukowany w tutejszych zakładach lotniczych „Sikorski“. Pułkownik siedział w oszklonej kabinie obok pilota. W każdej chwili mógł za pomocą wideofonu połączyć się z dowództwem każdego pułku. W tylnej części kabiny dwaj młodzi oficerowie przy komputerze odbierali i opracowywali bieżące informacje.

Niemal całe dowództwo krymskich sił zbrojnych należało do ZWL, na licznych odprawach wszyscy oficerowie wielokrotnie rozważali różne warianty operacji „Połączenie“. Nikt jednak nie przewidział tego, co się zaczęło tej nocy i wciąż się katastroficznie rozszerzało.

W jakimś momencie Czernok zwątpił w strategiczną mądrość moskiewskich marszałków i w taktyczne umiejętności radzieckich generałów. Z obserwacji prowadzonej z góry wynikało, że w wielu przypadkach jednostki radzieckie miały się bezładnie, albo się zatrzymywały w dziwnym bezruchu. W kilku miejscach powstały na Wyspie zbyt wielkie skupiska ludzi i maszyn. Zdaniem Czernoka ogólna koncepcja operacji była jakaś niejasna. Radziecka teoria wojenna wyraźnie nie nadała za radziecką szkołę szachową, pomyślał pułkownik i wyobraził sobie referat w Akademii Sztabu Generalnego, w którym, dla wspólnego dobra rosyjskiego oręza, ujawni dostrzeżone błędy. Chociaż wątpliwe, czy zechcą go wysłuchać, pewnie wyślą go do jakiegoś zielonego garnizonu. Tak czy inaczej, można było zauważyć, że te grupy desantowe usiłują otoczyć rejon dyslokacji krymskich sił lądowych, lotnictwa i bazy morskie. Czernok obleciał wszystkie ważne miejscowości od Sary - Bułata do Kercza, rozmawiał przez wideofon z dowódcami. Wszyscy byli w dobrych humorach, szykowali się do spotkania, wciągali na maszty flagi państwowe ZSRR. W kilku miejscowościach telefony odbierali radzieccy oficerowie w stopniach od majora do generała - majora. Pytali o Czernoka, o jego miejsce pobytu, zapraszali uprzejmie na osobiste spotkanie. W jakimś momencie uświadomił sobie, że oficerowie ci nie są w stanie ustalić jego miejsca pobytu i nie potrafią posługiwać się krymską techniką, a pomocy nie ma kto udzielić, ponieważ... ponieważ... Nie ma co się oszukiwać! Jasne, że izolują naszych dowódców. Dziwne, czyżby nie rozumieli, że taka sytuacja może spowodować nieoczekiwane skutki, doprowadzić do bratobójczej wojny?

Czernok z niepokojem pomyślał o pułkowniku Bonafede, dowódcy bazy raketowej w rejonie Sewastopola. To był chyba jedyny wyższy oficer wierny białym tradycjom, który miał wiele zastrzeżeń do idei ZWL. Wątpliwe, by krewki Igor Bonafede dał się aresztować bez oporu. Do Sewastopola zbliża się lotniskowiec „Kijew“, świetny cel dla rakiet

pułkownika!

Pułkownik Czernok kazał pilotowi lecieć w kierunku Sewastopola, przez wideofon połączył się z bazą.

Widok pułkownika Bonafede przy butelce whisky z radzieckim gościem, również w stopniu pułkownika, był absolutnym zaskoczeniem. Obaj pułkownicy przerwali rozmowę i odwrócili się do ekranu.

- Czołem, towarzyszu były dowódco - powiedział Bonafede.

- Siergiejew - przedstawił się grzecznie radziecki oficer. - Wywiad wojskowy.

- Miło mi - powiedział Czernok. — Widzi pan „Kijew”, Igorze?

- Nie tylko widzę, ale słyszę, o czym rozmawiają - zaśmiał się Bonafede. - Właśnie sprzeczamy się z pułkownikiem Siergiejewem. Przekonuję go, że załatwię lotniskowiec „Kijew” jedną salwą z dystansu stu mil, a on wątpi w nasze możliwości...

- Niesmaczna dyskusja - powiedział oschle Czernok, przerywając połączenie.

- Zniżyć lot w kierunku bazy Bonafedego - rozkazał.

- Łądujemy? - spytał pilot.

- Czy mamy latać całe życie? - mruknął Czernok. - Zniżamy się stopniowo, kontynuując obserwację.

Śmigłowiec zaczął się stopniowo zniżać. Widać już było zbliżający się do Sewastopola lotniskowiec. Na morzu, jak okiem sięgnąć, wszędzie okręty wojenne i transportowce. W stronę brzegu leciały dziesiątki śmigłowców. Z pirsów w kierunku centrum miasta sunęły kolumny pancerne.

Czernok odwrócił fotel o sto osiemdziesiąt stopni, teraz miał przed sobą stół operacyjny - takim cudem techniki był śmigłowiec drozd. Dwaj młodzi podporucznicy, Kronin i Laszko, specjaliści w dziedzinie informatyki operacyjnej, patrzyli na pułkownika. Wszyscy trzej milczeli.

- Czy oni zwariowali? - przerwał milczenie Laszko.

- Najzabawniejsze jest to ... - zaczął Kronin.

- Atakuje nas MiG - 25 - powiedział pilot.

Czernok obejrzał się. Zdążył zauważyć smugę kondensacyjną po przelocie myśliwca.

- Chciał pan coś powiedzieć, Kronin? - spytał.

- To herezja - uśmiechnął się chłopak.

- Mogę się założyć, że pan także miewa takie myśli - powiedział Laszko.

Chłopcy starali się mówić po rosyjsku, ale raz po raz przechodzili na łatwiejszy dla nich angielski.

- Co z tym myśliwcem? - spytał Czernok pilota.

- Szykuje się do drugiego ataku - zameldował pilot. - Widzę bazę Bonafedego. Zbliża się do niej kolumna pancerna.

- Zniżamy się tam - powiedział Czernok i zapalił cygaretkę. - Tak, chłopcy, miewam takie myśli - powiedział. - Co więcej, nie wydają mi się wcale herezją. Jestem prawie pewny, że nasze siły zbrojne...

- Tak! - zawołał Kronin. - Gdyby to był wróg, gdyby to była inwazja, zepchnęlibyśmy ich do morza!

- Myślę, że po prostu zniszczylibyśmy ich - uśmiechnął się zimno Laszko. - Proszę spojrzeć...

W głębi kabiny na ciemnej ścianie ukazała się mapa Krymu. Sunęła po niej świetlna wskazówka.

- Skupisko techniki pod Karaczeli - Laszko skrzywił się z pogardą. - Tłok w Bałakławie... mrowie czołgów bez kropli paliwa pod Bachczysarajem...

- Jakby pan działał w takiej sytuacji, Kronin? - Czernok odchylił się na oparcie fotela. - Zabawmy się w wojnę.

- Salwa rakietowa - tyle tylko zdążył powiedzieć pilot. Wybuch, który w tym momencie nastąpił, zniszczył śmigłowiec i zabił czterech znajdujących się w nim oficerów.

Łucznirow widział jaskrawy rozbłysk na niebie, zniszczenie śmigłowca pułkownika Czernoka, ale nie zwrócił na to uwagi, uznał to za pirotechniczny efekt specjalny, zastosowany podczas kręcenia tego podłego filmu. Przypomniał sobie Kristinę, pomyślał o niemoralnych metodach, do których ucieka się sztuka. Filmują wszystko, wszystko ukazują, im prawdziwiej wygląda ludzka tragedia, tym lepiej. W imię czego?

Biedna dziewczyna trafiła wtedy na Krym... trafiła do jego sypialni...

Podniósł jej ciało i powoli skierował się do świątyni. W jego kierunku ścieżką obok antycznych ruin i prawosławnych krzyży biegły trzy postacie. Rozpoznał je, kiedy się zbliżały - ojciec Leonid, Piotr Sabasznikow w zakonnym habicie i Mustafa.

- Proszę, ojciec Leonidzie - powiedział Łucznirow, podając mu ciało Kristiny. - Urodzona w wierze katolickiej, ale przeszła na prawosławie. Bardzo mnie kochała. Co za różnica - katolicyzm czy prawosławie? Chrześcijanie powinni być razem, kiedy na świecie dzieje się coś tak niemoralnego, jak kręcenie tego filmu.

- Kręcenie filmu? - Sabasznikow potrząsnął nim. - Nazywasz to kręceniem filmu?

- Nawet ty się nie domyśliłeś? - zaśmiał się Łucznirow. - I co tu mówić o prostych ludziach? Wyobrażasz sobie, jakie to dla nich przeżycie! Ciekawe, kto pozwolił bandzie filmowców znęcać się nad ludźmi? - wejdźmy, moje dzieci, do świątyni - powiedział ojciec Leonid. Myślę, że dzisiejszej nocy przyjdzie tu wielu. Chodź i ty, Mustafu. Nie obrazisz islamu, jeżeli będziesz dzisiaj z nami.

- Słabo znam islam, jestem buddystą - mruknął chłopak.

Ojciec Leonid szedł dużymi pewnymi krokami, niosąc bezwładne ciało Kristiny. Na ten widok Łucznirow wybuchnął szlochem.

- Ciesz się, Andrieju - ojciec Leonid odwrócił się do niego. - Przed godziną ochrzciłem twego wnuka.

Skały przylądka Chersones sterczą wysoko nad morzem, a dołem biegnie pod nimi wąski pas kamienistej plaży. Tam, w jednej z małych zatoczek, szykowało się do ucieczki czworo młodych ludzi - Benjamin Iwanow z przyjaciółką, śniadą Tatarką Zaira, i Anton Łucznirow ze swoją żoną Pamelą. Właściwie było ich pięcioro - w ucieczce miał uczestniczyć nowo narodzony Arsienij. Znaleźli tu porzucony przez kogoś kuter z przyczepnym silnikiem mercury. W kutrze był także dwudziestolitrowy kanister z benzyną - dość paliwa, by dotrzeć do tureckiego wybrzeża.

Anton i Pamela, wstrząśnięci przeżyciami mijającego dnia, siedzieli przytuleni do siebie, oparci o skałę oddalającą się od nich coraz bardziej Wyspy Krym. W ostatnich programach milczącej obecnie telewizji krymskiej podano wiadomość o śmierci dziadka Arsienija i o aresztowaniu lub - jak to taktownie sformułowali wystraszeni reporterzy - „tymczasowym izolowaniu“ Andrieja. Na kolanach rodziców leżał nowo narodzony Arsienij - główka na kolanach ojca, pupka na kolanach matki. Anton, szarpany gwałtownymi uczuciami, w końcu popadł w prostrację. Zona nie mogła mu w niczym pomóc, wycieńczona porodem, przejęta litością dla Antona, czułością do dzieciątka, lękiem przed ucieczką, była jakby w półletargu.

Co prawda, energii Ben - Iwana starczało dla pięciorga. Czuł siew swoim żywiole, ucieczka była jego specjalnością. „Ucieczka to mój twórczy akt - mawiał zwykle. - Jestem

wdzięczny tym, którzy mnie zamykają, ponieważ aresztowanie to zapowiedź ucieczki. Będę niepokieszony, kiedy Rosja otworzy swoje granice“.

Wspólnie ze swoją przyjaciółką Zaira, która poruszała się tak, jakby tańczyła, Ben - Iwan przygotował kuter do podróży, a później przytargał z supermarketu koce, płaszcze przeciwdeszczowe, wór żarcia i picia, nawet radio CB. Zaśmiewał się, opowiadając o „naszych chłopakach“, to znaczy o żołnierzach radzieckich w supermarkecie, o tym, jak entuzjastycznie ich przyjmowano, a oni opychali się czekoladkami After Eight, prażonymi migdałami i byli wniebowzięci.

- Poczekamy do nocy, Ben - Iwanie? - spytał Anton.

- W żadnym przypadku! - zawołał mistrz ucieczek. - W nocy będą oświetlać wodę reflektorami, raketami. Koniec z nami, jeżeli nas wówczas wypatrzą.

- A jeżeli wypatrzą teraz? - spytała wesoło Zaira.

- Teraz co innego, *kara kizim*, teraz słońce chyli się ku morzu, dobiega końca historyczny dzionek, zmierzch - to pora, kiedy ujawniają się przejścia do świata ezoterycznego. Rozumiesz?

U kapitana - lejtnanta Płużnikowa, szefa wachty sygnałowej lotniskowca „Kijew“ zameldował się jeden z operatorów, starszy marynarz Gulaj.

- Towarzyszu kapitanie - zaczął i nagle się spieszył, jakby pożałował, że tu przyszedł.

- Co tam, Gulaj? - skrzywił się kapitan - lejtnant Płużnikow, który liczył minuty pozostałe do końca wachty, marząc o zejściu na ląd. - wszystko w porządku? - Najwyraźniej marynarz chciał wykazać inicjatywę, ale już tego żałuje, tylko nie ma odwagi się wycofać. - No, co się tam dzieje?

- Towarzyszu kapitanie, jakiś obiekt na radarze.

Ale drań z tego Gulaj a. Po co robić tyle rabanu? Co mu przeszkadza ta pchełka w rogu ekranu? Może ktoś tratwą pryska do Turcji? Po kiego... Teraz trzeba meldować dowódcy, bo ten Gulaj gotów jeszcze donieść...

Spojrzał uważnie na starszego marynarza. Sympatyczna facjata, wyrazista, szczerza - taki nie sypnie. A może właśnie... Wrócił do swego pulpitu, połączył się z dowództwem, zameldował regulaminowo: jakiś obiekt płynie od brzegu w kierunku wód neutralnych w sektorze takim to a takim...

Szef wachty okrętowej komandor Zubow był wściekły na Płużnikowa. Wielka rzecz, że ktoś stąd ucieka. Nie da się w ciągu jednego dnia zaszcześcić wszystkim świadomości klasowej. No i dobrze, że uciekają, będzie więcej miejsca na lądzie. Nie będę nikomu meldował, a Płużnikowowi powiem, że zostanie wyróżniony. Obok Zubowa stał jego zastępca komandor - porucznik Grankin, udawał, że nie słyszy, ale na twarzy zwróconej w stronę reklam świetlnych Sewastopola pojawił się lekki uśmiezek.

Ten pedał mnie testuje, pomyślał Zubow o Grankinie. Ale ja zrobię mu kawał.

- Proszę zameldować dowódcy - rozkazał Zubow. Dowódca lotniskowca kontradmirał Blincow przebywał

właśnie w swojej sypialni, dokąd się udał, by odbyć prywatną rozmowę z małżonką, która jak zwykle odpoczywała na dacy w Pieriedielkinie. Należało uściślić listę zakupów w kapitalistycznym jeszcze Sewastopolu i, co ważniejsze, dowiedzieć się za pomocą im tylko znanego systemu aluzji, co tam z młodszym synem Sławą, czy nocował w domu, czy też drapnął na Cwietnoj Bulwar do swojej panienci.

I w takim momencie ten cholerny Grankin zwraca mu głowę idiotyczną pchełką w morzu. Oczywiście, na takich jak Grankin trzyma się tu wszystko, ale nie budzą oni sympatii.

Tak czy inaczej, kwadrans po sygnale marynarza Gulaja z lotniskowca „Kijew“ w kierunku pchełki wędrującej po bezkresnym morzu wystartował śmigłowiec bojowy pilotowany przez starszych lejtantów floty Związku Radzieckiego Komarowa i Makarowa.

- Spójrz, Tola - powiedział Komarow. - Ten z lewej to jakby Grecja.

Bezludny przylądek Chersonoz odpłynął do tyłu. Zaraz potem odbili w morze.

Drobne fale uderzały w dno szybko płynącego kutra. Słońce zachodziło za sewastopolskie wzgórza. Nagle z tego morza ognia wychynęła i zawisała nad kutrem złowieszcza ważka. Czyżby koniec, pomyślał Anton, ściskając ramiona Pameli, czyżby jednego dnia miałyby dojść do zagłady całej rodziny Łuczniaków? Jego żona zaniosła się płaczem. Zaira wyciągnęła ręce w kierunku śmigłowca:

- Nie czyńcie nam krzywdy, chłopaki! Na Boga, zlitujcie się nad nami! - zawołała.

- Uwaga, kładę się krzyżem - powiedział rzeczowo Ben - Iwan. Odczołgał się na rufę, położył się na plecach, rozkrzyżował ramiona i skierował na kabinę śmigłowca mocne, „odwracające“ spojrzenie. Z napięcia podrygiwał od czasu do czasu. Tylko nowo narodzony Arsenij zachował spokój.

Dwóch wszechmocnych radzieckich ludzi patrzyło na nich z góry.

- Widzisz, Tola, jakie chłopaki - powiedział starszy lejtant Komarow. - Całkiem sympatyczni.

Starszy lejtant Makarow w milczeniu kiwnął głową.

- A dziewczyny jeszcze lepsze - ciągnął Komarow. - Jest też niemowlak.

Makarow znowu kiwnął głową.

- Spójrz, Tola, oni się żegnają - powiedział Komarow. - Nie mają żadnej broni. Żegnają się, Tolka, krzyżem bronią się przed nami. Zapieprzaj, Tolka, rakietę!

- Tam walniemy - Makarow wskazał mętawy zmierzch nadciągający z południowego wschodu.

- Jasne - powiedział Komarow. - Przecież nie do ludzi. Ustawił śmigłowiec. Makarow pociągnął dźwignię.

- Halo, dziewięćdziesiąty trzeci. Melduję wykonanie zadania - przekazał na „Kijew“ Komarow.

- Przyjąłem - odpowiedział starszy marynarz Gulaj, chociaż widział na ekranie, że zadanie nie zostało wykonane.

Na Chersonozie była już noc, kiedy z soboru świętego Włodzimierza wyniesiono lekką trumnę z ciałem Kristiny Parsley. Za trumną szli czterej żałobnicy: ojciec Leonid, Piotr Sabasznikow, Mustafa Achmed Girej i Andriej Łuczniakow.

Na niebie jarzyły się gwiazdy, nad świętującym Sewastopolem stała luna, która nie przeszkadzała gwiazdom płonącym nad bezludnym przylądkiem, gdzie bieleły się marmurowe pamiątki po Helladzie i błyszczwały chrześcijańskie nagrobki z czarnego marmuru.

Muszelkowicz skrzypiał cicho pod stopami ludzi idących w kondukcje. Ojciec Leonid kołysał lekko kadzielnicą i półgłosem czytał ewangelię wg świętego Mateusza, jakby zapytywał sam siebie:

...Cóż widzieć wysłicie na puszczy? Trzcinę kołyszącą się na wietrze? Ale coście wysłi widzieć? czy proroka?

- Dlaczego jest powiedziane, ojciec Leonidzie: u was nawet włosy na głowie wszystkie są policzone? - spytał Łuczniakow.

Jego głos drżał gorączkowo. Duchowny odwrócił ku niemu twarz, bielejącą w ciemności.

- Światem ciała jest oko - powiedział cicho. - Jeśli tedy oko twoje szczere jest, całe

twoje ciało jasne będzie...

Łucznikow ścisnął głowę rękami.

- Dlaczego jednak jest powiedziane, że nawet wszystkie włosy są policzone, że z dwóch wróbelków kupionych za pieniądze, ani jeden nie upadnie na ziemię bez woli Ojca naszego? Po co jesteśmy Mu potrzebni?

Jego ręce opadły.

Ojciec Leonid uniósł twarz ku niebu i mówił w pustkę:

- Ciasna jest brama i wąska droga, która prowadzi do życia, a mało takich, którzy ją znajdują...

- Po co się wysilamy? - pytał Łucznikow. - Dlaczego jest powiedziane, że On potrzebuje kuszenia, ale biada człowiekowi, który ulegnie pokusie? Jak uniknąć pułapek, ojcze Leonidzie?...

Duchowny nie patrzył na niego, mówił jakby do siebie, ale jego głos rozchodził się daleko:

- ...Bo gdzie będzie ścierwo, tam się zgromadzą i orły...I wielu fałszywych proroków powstanie i zwiódą wielu....Kto wytrwa do końca, ten zbawiony będzie....Czuwajcie tedy, ponieważ nie wiecie, której godziny Pan wasz przyjdzie*.

Grabarze postawili trumnę nad wykopanym dołem. Wszyscy stanęli obok. Łucznikow patrzył na spokojną twarz Kristiny, jego wargi machinalnie powtarzały za ojcem Leonidem słowa modlitwy za zmarłych. Trumnę spuszczone, padały na nią garście suchej ziemi, w której były także okruchy Hellady. Kiedy podniósł oczy, ujrzał obok inny grób, krzyż z czarnego marmuru, a na nim nazwisko zmarłej: Tatiana Łunina.

- Więc i ona tutaj - mruknął. - Tania i Kristi są teraz obok siebie - uśmiechnął się. - Czyście nie przesadzili, chłopcy?

Sabasznikow objął go za ramiona. Mustafa powiedział szeptem:

- W piterze działa CB. Zgłosili się Anton i Pamela. Są na morzu, płyną do Turcji. Podali sygnał wywoławczy. Jeszcze pół godziny będą w strefie słyszalności. Co im przekazać?

- Powiedz, że ich całuję - powiedział Łucznikow. - Trzykrotnie całuję nowo narodzonego. Przekaż, że jestem zajęty, chowam moich bliskich.

Sabasznikow mocniej ścisnął go za ramiona.

- Powtarzaj za ojcem Leonidem.

We trzech, zaintonowali donośnie i czysto: - Pokochaj twego Pana Boga całym swoim sercem, całą swoją duszą i całym swoim ciałem!

Świeciły gwiazdy. Za soborem świętego Włodzimierza wystrzeliły w niebo sztuczne ognie.

W sąsiedniej alei za odłamkami marmurowej kolumny już od dawna czekał na zakończenie ceremonii pułkownik Siergiejew.

Mój Boże, jak ja żyję, myślał. Co robię przez całe życie.

Opanowała go trwoga, gdy spojrzął na świecąca się tarczę zegarka... Nagle coś się stało z nowoczesnym mechanizmem, wskazówki - sekundowa, minutowa i godzinowa - zawirowały z ogromną prędkością, jakby w bezmyślnej pogoni, a w okienku dni tygodnia wyskakiwały w kółko: poniedziałek, wtorek, środa, czwartek, piątek, sobota, niedziela, poniedziałek, wtorek, środa, czwartek...

1977 - 1979

